ROK XXI.
Ogólnego zbioru Tom LXXXIII.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM III. — ZESZYT I.

Lipiec.

WARSZAWA,

1896.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 12.

Druk ukończono d. 9 lipca 1896 r.

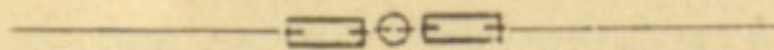
ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

1896.

TOM III.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXXXIII.



WARSZAWA.
DRUK JANA COTTY,
ulica Senatorska № 29.

—

1896.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 16 Августа 1896 года.



SPIS RZECZY.

Str.

I. Rzeczy społeczne i spółczesne.

2. Filozofia i fizyologia.

3. Literatura.

4. Beletrystyka.

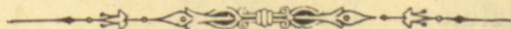
Str.

5. Historya.

6. Ekonomia polityczna.

7. Antropologia.

8. Rozbiory i sprawozdania.



RUGIWOJSCY.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

I.

Dosyć! — rzekła tonem suchym i ostrym pani Jadwiga hrabina Rugiwojska do kobiéty zapinającéj jéj bucik.

Nachylona u nóg pani, służąca umilkła. Drugą nogę ubrała w bucik szybko i zgrabnie; uśmiechając się, wygładziła ręką lekką fałdę bucika i powstała.

Pani hrabina podniosła się zwolna i szła ku gotowalni, zajmującéj część ściany między dwoma oknami obszernego, sypialnego pokoju. Zamyślona usiadła na krześle i w milczeniu rozpoczęło się czesanie. W wielkiém lustrze, ujętém w ciemne ramy odbijały się postacie pani i sługi rozplatającéj szybko ciemno-blond włosy hrabiny. Światło dzienne, przyćmione storami, odbijało nie dość jasno i wyraźnie twarz w lustrze, zabarwiając ją żółtawo. Hrabina podniósłszy oczy ku zwierciadłu już ich nie spuszczała, przypatrując się z zajęciem swemu odbiciu. Mimo z górą lat czterdziestu, twarz jéj nie była zużytą, jednak zmarszczki lekkie gotowały się do wystąpienia w kątach twarzy, pod szyją, koło uszu, by nagle wypaść i objąć oblicze w posiadanie. Oczy ciemno-niebieskie, ostre, śledziły niespokojnie zniszczenie czasu; z uwagą patrzały na czoło z charakterystyczną zmarszczką

uporu czy rozkazu, która usadowiła się pomiędzy brwiami; badały dokładnie płeć grubiejącą; usta, których opuszczone kąty wykazywały silną wolę; ślizgały się po rysach wyrazistych, pokrytych delikatną skórą. Zamało jednak było tego światła hrabinie, gdyż po chwili rzuciła rozkaz:

— Story!

Kobiéta porzuciła w téj chwili warkocz i szybko podbiegła do okna. Potok światła wpadł do pokoju przesiąkniętego delikatnym zapachem werbeny i rozświecił lustro. Światło białe, bezwzględniéj i surowiéj oświeciło odbite w lustrze postacie. Wśród włosów przewijały się wyraźniéj białe odblyski, lekkie sińce pod oczyma stały się ciemniejsze, a w rysach twarzy uwidocznił się niezmącony spokój, graniczący z oschłością.

Obok hrabiny odbijała się usługująca kobiéta. Niemłoda, z mięsistym, spuszczonym nosem; wargami szerokiemi i grubemi; z brodą zaokrągloną rozpływającą się w podbródku obfitym; stanowiła ona przeciwieństwo względem śmiałych i skończonych rysów hrabiny. Skóra gruba, żółtawa, pomarszczona, na pokładzie tłuszczu, obwisła na szczękach, miała leciutki zarost włosów po bokach. Ciemne, siwiejące włosy, uczesane gładko, osłaniały pomarszczone czoło. Cała energia i siła twarzy skupiała się w piwnych oczach, które obecnie śledziły ruch grzebienia. Po dłuższém milczeniu zapytała hrabina niedbale:

— Hrabianka?

— Chyba w ogrodzie. Widziałam jasną pannę wychodzącą — odpowiedziała służąca pospiesznie.

— Dawno?

— Może przed godziną.

— Nudna dziś jesteś, Łucyo. Co słychać?

— Rządca chciał wczoraj odprawić stangreta jasnéj pani. Krzyczał na folwarku: ja tu pan! Musi być, jak ja każę...

Umilkła, zajęta gładzeniem niesfornéj garstki włosów. Pani przyjęła podaną wiadomość obojętnie, zaledwie przemijający blask oczu świadczył o zainteresowaniu się chwilowém. Gdy Łucya milczała pochłonięta swą pracą, szepnęła raczéj, aniżeli wymówiła hrabina:

— Cóż daléj?

— Nadszedł jasny pan hrabia, krzyk ustał, ale stangreta chyba nie będzie...

— Dlaczego? — odezwała się hrabina nie akcentując pytania.

— Nie wiem. Słyszałam, że zostanie oddalony.

— Ta...ak.

— I stary Rosnowski, aby do roku, także odejdzie — mówiła służąca daléj smutnym głosem.

— Rosnowski? — powtórzyła hrabina.

— Czternaście lat — zaczęła Łucya biadając — i to wiernéj służby na folwarku; od pisarza do ekonoma i...

— Za co? — zapytała hrabina.

— Rządca powiedział, że raporta są źle pisane — mówiła pospiesznie.

Umikła. Po chwili patrząc z dumą na uczesanie, rzekła z uśmiechem na szerokich ustach:

— Pani hrabina dziś tak wygląda jak w Rozhurczu.

Było to przypomnienie panieńskich lat hrabiny, spędzonych w téj wsi.

Lekkie zadowolnienie przemknęło na twarzy hrabiny i nieznacznie, bezświadomie, prostując się, wpatrzyła się uważniéj w odbicie swéj twarzy. W pytających jéj oczach niknęła większość śladów lat przeżytych, ale nie można było zmienić prawdy słońca i lustra. Mimowoli opuściła głowę, spojrzała na swe białe ręce i szepnęła do siebie:

— Lata płyną.

Łucya zrozumiała szmer tych słów, i kończąc swe fryzyerstwo, gładząc miękką szczotką włosy na karku hrabiny, mówiła szybko:

— Nie dla jasnéj hrabiny. To dla nas, co ciężko musimy pracować, ot jak Rosnowski... Żona mu słaba, syna chciał posłać do szkoły, ale rządca nie pozwolił...

— Dlaczego?

— Nie dał koni. Takiemu kasyerowi, buchalterowi, to byle chcieli, codziennie dałby konie; a nam i do kościoła żałuje, nie pozwala prosić Boga o zdrowie dla jasnéj hrabiny, — mówiła bez wytchnienia układając kolejno na fotelu części sukni hrabiny — a my przecież nie lutrzy, jak ta bona, która rozkrzyczała się wczoraj na hrabicza Bola..

— Rozkrzyczała?—ździwiła się hrabina i spojrzała pytająco na Łucyę.

— Hrabicz wywijał pałasikiem, a ona się zlękła i dalejże krzyczéć na hrabicza Bola; poodbierała zabawki i poszła z ogrodu do pałacu. Widział to Mikołaj i rządca — dodała Łucya ze złośliwém zadowolnieniem.

— Rządca? — rzekła hrabina.

— Chyba że on ma szpiega w pałacu, bo ile razy ta angielka wyjdzie, jest już i rządca — odpowiedziała zjadliwie Łucya.

— Ta...ak? I co robią?

— Nie wiem, bo nie widziałam, gdzież ja mam czas na to. Po dłuższém milczeniu zapytała hrabina chmurząc się:

— Bolo płakał?

— Gdzieżby takie hrabiątko płakało, ale było bardzo smutne — odpowiedziała z żałością w głosie.

— A cóż było w pokoju? — pytała pani daléj.

— Opowiadała mi Zosia pokojówka, że ona pozwala sobie dużo z hrabiczem, raz do kąta go nawet postawiła...

Hrabina zmarszczyła brwi gniewnie, rzuciła jeszcze raz okiem na uczesanie i wstała z przed lustra, pozwalając, by ją ubierała służąca. Po chwili zapytała Łucyę o zdrowie pani Turowskiéj, dalekiéj kuzynki, wdowy, zajmującéj się gospodarstwem kobiecém w pałacu.

— Pani Turowska zdrowsza, dziś wstała. Panna hrabianka była wczoraj cały wieczór u niéj. To takie serce anielskie i miłosierne jak u jasnéj hrabiny. Pan Bóg wynagrodzi to pannie hrabiance, ja się modlę codziennie o to.

Mówiąc te słowa, spuściła oczy i głęboko westchnęła.

Hrabina spojrzała na zegar i rzekła:

— Powiész Ernestowi, by poprosił pana hrabiego do mnie.

Po wyjściu służącéj, hrabina przeszła do pobocznego saloniku i usiadła na kozetce. Wielkie okno przepuszczało promienie wrześniowe, oświecało foteliki i kozetkę pokrytą niebieskim atłasem, padało na stół, na którym obok najświeższego numeru mód leżała nierozcięta powieść francuska i kalendarz gotajski. Na lśniącą posadzkę rzucał cień ładny kosz kwiatów świeżych, ustawiony pod oknem. Z wonią werbeny, zalatującą z sypialni, mieszały się zapachy żywych kwiatów wytwarzając atmosferę łagodną, miękką, głaszczącą, harmonizującą z wykwintnym salonikiem, z meblami jasnemi, ze spokojem i ciszą panującą w całym pałacu.

Mimo że hrabina była samą, nie opuszczał jéj wyraz dumy i rozgoryczenia rysującego się w opuszczonych kątach ust. Spojrzała na almanach i przypomniały się jéj myśli wczorajsze. Wyciągnęła swą piękną, białą, delikatną rękę, wzięła otwartą książkę, spojrzała i wnet z wyraźną niechęcią położyła na stole. Myślała.

Herta ma już lat dwadzieścia, byłby czas wydać ją zamąż. Przecież nie wyda Herty za pierwszego lepszego księcia lub hrabiego, Rugiwojscy spokrewnieni z królami, to obowiązuje. Wpajane i podniecane uczucie dumy rodowéj odezwało się w niéj odruchowo. I ona jest Rugiwojska, poszła zamąż za Rugiwojskiego, ich dzieci: Jasmund, Herta i Bolesław, dziedziczą tylko po Rugiwojskich, innéj krwi w nich

nie ma. Ale ten mąż? Zajęty końmi, budowaniem, nie pomyślałby o przyszłości, gdyby nie ona. Ma tych kilka wiosek i siedzi w domu, jak jaki szlachetka. Oszczędny, prawie skąpy, ma jedyną zaletę, że jest Rugiwojski. I gdyby nie wuj Jasmund nie byłaby nigdy, przenigdy poszła za niego, lepszy nawet już klasztor... Wspomniawszy wuja Jasmunda, spojrzała na jego portret zawieszony naprzeciw kozetki. Był to już niemal starzec, zda się urobiony z porcelany, tak każdy rys twarzy był wygładzony i skończony. Oparty o fotel stał dumny i nieugięty. Pan olbrzymiéj fortuny, bezdzietny wdowiec, senior rodu, chciał, by hr. Rugard ożenił się z Jadwigą hr. Rugiwojską. I stało się, jak chciał. Lecz tego rodzaju życzenie zobowiązuje przecież wuja Jasmunda. Nie poprawi przecież losu jéj dzieci to, że oczyścił z długów majątek Wieszary, że jéj dał ślubny podarunek. Jeśliby nic więcéj nie zrobił dla nich, dzieci ich zostałyby w nędzy... Znów wróciła myślą do męża. Jego majątek Wieszary z czterema wioskami, cóż znaczy dla Rugiwojskich, którzy sięgali niegdyś po koronę, a dzierżyli nie klucze, ale całe prowincye... Jeszcze syn pierworodny Jasmund, starszy o trzy lata od Herty, może zdobyć majątek ożenieniem się bogatém. Przecież nie z bankierówną! Każda księżniczka poczyta sobie za zaszczyt zostać Rugiwojską. Ale córka!? Przymknęła oczy, by skupić uwagę i przesunęła się przed nią Herta, piękna, smukła blondynka, z rysami wytwornemi, kształtami tak powabnemi i skończonemi, że każda z kobiét mogła jéj pozazdrościć, ale jéj przyszłość? Leżący na stole almanach podsunął hrabinie myśl zapytania wyroczni; gdzie otworzy się książka, spotkane nazwisko będzie wskazówką Opatrzności. Spojrzała. Były to nazwiska arystokracyi niemieckiéj. Uśmiechnęła się ironicznie. Wyrocznia skłamała. Niemieccy książęta uważaliby Wieszary lub jéj posagowy majątek litewski za udzielne księstwo, ale po obliczeniu dochodów odsunęliby się niezawodnie. Szukają żony posażnéj, bardzo posażnéj, a Herta, bodaj czy będzie miała 100,000, może 150,000 rubli. Książęta niemieccy nie dla niéj. Jeszcze jaki stary lub wdowiec, gdy zobaczy piękną Hertę, może ożeniłby się, ale trzeba koniecznie pokazać ją światu... tu nikt nie przyjedzie jéj szukać. Myślała o podróży. Nie pojedzie z nią przecież do miejsc kąpielowych—nie, to dobre dla szlachcianek... Co innego Wiedeń, Paryż, Nicea, Rzym, chociażby Biarritz; zależy zresztą od sezonu i wiadomości, gdzie się znajduje upatrzony kandydat. Wyjadę — szepnęła do siebie, z wyrazem wielkiéj stanowczości w twarzy i oczach.

W téj chwili zapukano lekko do drzwi, otworzono i wszedł hr. Rugard Rugiwojski, jéj mąż.

— *Good day* — powiedział obojętnym tonem.

Żona lekko skinęła głową, na znak powitania.

Ubrany w szarą marynarkę, w koszuli nocnéj związanéj jedwabnemi sznureczkami na szyi, w palonych butach, stał krótką chwilę w progu, rzuciwszy przenikliwe spojrzenie na żonę, patrzącą nań badawczo. Twarz szczupła, z długiemi blond wąsami, uderzała spokojem. Charakterystyczną cechą twarzy obojga były silnie nakreślone łuki nad oczyma, pokryte ładnemi, równemi brwiami; nos z lekkiém orlem wygięciem, delikatny, z nozdrzami cienkiemi i ruchomemi; usta małe pięknie wycięte; i broda wysunięta lekko naprzód. Były to cechy dziedziczne Rugiwojskich, prócz ładnych rąk, małych nóg i smukłéj postaci. Hr. Rugard przeczuł surowy i poważny nastrój żony, i chcąc sobie dodać odwagi, zamknął ostro drzwi za sobą, dżokejkę rzucił na fotel przy drzwiach i stanąwszy naprzeciw żony zapytał:

— Jest co ważnego? List? Depesza?

To rzekłszy, włożył obie ręce w kieszenie marynarki i podszedł ku oknu. Od chwili wejścia hrabiego, w saloniku dał się odczuwać zapach stajenny. Hrabina podniosłszy chusteczkę do nosa, zrobiła grymas niezadowolenia i rzekła półgłosem:

— *Sportsman perfume!*

Mąż uśmiechnął się lekko i nie odwracając głowy, odpowiedział:

— *The only who rested me.*

Nastało milczenie. Hrabia obrywał starannie zwiędłe listeczki na różach, umieszczonych w porcelanowym koszu i milczał. Żona nie spuszczała z niego oczu i poprawiając się na kozetce powiedziała:

— Może usiądziesz.

Hrabia się odwrócił i z głębokiém westchnieniem siadł na fotelu.

— Chciałam pomówić z tobą o Hercie... Żniwa skończone, urodzaj dobry, czy jesień i zimę mamy przepędzić w tych Wieszarach?

— Przedewszystkiém żniwa nieskończone... do zimy daleko, a Wieszary nie są tak *odious* — odpowiedział swobodnie, spoglądając na ładny salonik hrabiny.

Hrabina podniecona spokojem męża rzekła ostrzejszym tonem:

— To zależy!... Ty wiész o zbiorach tylko od rządcy, który mówi to, co mu na rękę. Jesteś wierném echem każdego...

— Więc i twojém — przerwał z ironią,

— Prócz żony — odpowiedziała z goryczą.

Mąż widząc, że zanosi się na wymówki, udał ziewnięcie i zapytał:

— Nareszcie o co idzie? O zbiory? O wyjazd? O rządcę?

— Rządca? — uśmiechnęła się wzgardliwie — ponieważ on tu panem i każdy musi go słuchać, jak to powiedział publicznie, niechże rządzi, ale ja nie myślę wzywać go na naradę, tobie zostawiam ten zaszczyt...

— Nie podobał ci się? — rzekł obojętnie, otrzepując klapę marynarki z niewidzialnego kurzu.

Żona wzruszyła ramionami i odpowiedziała z ironią:

— Podobał lub nie? Cóż to obchodzi ciebie?

— A więc? — zapytał znużonym, jednostajnym głosem.

— Idź, naradź się z nim, czy wolno nam wyjechać na zimę, czy on pozwoli?

W oczach jego zamigotały błyski gniewu, wstał i kłaniając się nisko odparł z ironią:

— Jestem zawsze posłusznym mężem.

— Zostań, proszę cię.

Mąż usiadł i zniecierpliwiony tarł ręce.

— Wyjechać z Hertą muszę — mówiła stanowczym tonem.

— Dokąd? — zapytał bez zdziwienia.

— Zależy od listów, wiadomości... Uprzedzam cię, byś się przygotował.

— Ileż ci trzeba? — mówił tłumiąc westchnienie.

— Od pięciu do... dziesięciu tysięcy — odpowiedziała hrabina zmarszczywszy brwi lekko.

— Tylko tyle? —zaśmiał się z przymusem.

Hrabina wpadając w poprzedni obojętny ton męża, powiedziała:

— Obliczyłam się.

Hrabia poruszył się na fotelu, włożył znów ręce w kieszenie marynarki i mówił głosem doradczym:

— Przecież w Warszawie, masz pałac wuja Jasmunda do rozporządzenia...

— W Warszawie!? — ze zdziwieniem zapytała żona,—któż tam jest dla Herty? — kończyła, podkreślając słowo t a m.

— Jednak jest tam kilka dobrych rodzin...

— I synowie bogatych bankierów — dodała hrabina z ironią głęboką.

— Jesteś dziś *intolerable* — mówił hr. Rugard z udanym spokojem.

— *I am to-day and you ever* — odcięła żona i szukając wzroku hrabiego zapytała. — Ostatecznie Herta ma iść zamąż czy do klasztoru?

— Dziwne pytanie — odpowiedział nachmurzony.

— Pozwól mi więc działać — przemówiła spokojniéj.

— Pozwól mi rachować — mówił tym samym tonem mąż.—Wieszary z folwarkami dają do 20,000 rs. dochodu, z tego 6,000 edukacya Mundzia; podatki, ciężary, zapisy i dom zjadają resztę.

Hrabina westchnęła i patrząc przed siebie, rzekła z miną zrezygnowaną:

— Co zjada rządca, koniuszy, stajnie, budowanie, nie liczy się.

— Licz i owszem.

— *I thank you.* Zostaje mi tedy wuj Jasmund — dodała z westchnieniem.

— On? — ździwił się hrabia.

— Jeśli ty nie możesz, — mówiła cichym, ale stanowczym głosem — więc któż? On nas połączył, on płaci koszta, to naturalne.

— To niemożliwe! — odpowiedział zaniepokojony.

I w głowie jego szybko przesunęła się cała przeszłość, Wieszary, odłużone, bliskie upadku podźwignął wuj Jasmund, skojarzył następnie małżeństwo, nie szczędził darów, wyznaczył pensyę 6,000 rub. ze swych majątków, wszystko pod warunkiem, by Rugard porządnie się prowadził, nie grał, nie hulał... Od czasu do czasu rzucał nawet dwuznaczne słowa, że zapisze im dobra, bo oni jedni rozumnie żyją, poprzestają na małém, nie dokuczają mu żądaniami i prośbami, i nagle jedno niewłaściwe odezwanie się o pomoc, jedna pretensya, zepsuje wszystko. Dwadzieścia lat pracy, wzorowego prowadzenia się, tłumienia w sobie pokus, znoszenie uwag, poleceń, pretensyi starca nad grobem, i dla marnych kilku czy kilkunastu tysięcy poświęci się oczekiwane krocie, miliony... Spojrzał na wiszący portret wuja, i uprzytomnił sobie jego uśmiech pół dobrotliwy, pół ironiczny z jakim mawiał o krewnych ubiegających się o darowiznę... I on będzie na téj liście. Cóż za tryumf dla braci stryjecznych, dla szwagrów, gdy im wuj Jasmund opowié o prośbie, żądaniu, pretensyi jego żony! Wezbrała w nim gorycz, owładnął nim żal. Przypomniały mu się podobne sceny, w których bywały aluzye do wuja, ale nigdy nie postawiła żona téj sprawy tak wyraźnie, tak bezwzględnie. Rozmyślał też chmurny, jak zapobiédz temu niewłaściwemu postanowieniu.

Hrabina wiedząc, że mąż drży na myśl utracenia łaski i dobréj opinii wuja, używała czasem téj groźby, ale dziś było szczerą prawdą, że do niego się uda. Cóż po milionach, gdy Herta zwiędnie, zbrzydnie i albo zostanie starą panną lub zrobi mezalians. Matce wolno wszystko, byle uratować dziecko. Gdy zwierzy się wujowi ze swéj obawy o Hertę, on ją zrozumié i chętnie pomoże, bo tu idzie o przyszłość Rugiwojskiéj.

Podniosła oczy na portret wuja i spotkała wzrok męża. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Zimne, bezlitosne, zamigotały jak szpady przeciwników. Hrabia uczuł w téj chwili przypływ krwi, ochotę rzucenia kilku słów gwałtownych, drażniących, przykrych—ale powstrzymał się. Spuścił pierwszy oczy, i postanowił zagrać w dyplomacyę.

— Mam wiadomości, — mówił tonem, który starał się być obojętnym — że wuj Jasmund leży ciężko chory. Udawanie się o pomoc w takiéj chwili uważam za niestosowne.

Żona spojrzała na mówiącego badawczo, leciutki uśmiech ironii przemknął około ust i powiedziała:

— Wuj choruje bez przerwy, ale i żyje i rządzi bez przerwy. A zresztą twoje wiadomości...

— Najpewniejsze.

— Od rządcy, koniuszego czy kamerdynera?—tryumfowała z ironią hrabina.

— *Too much* — odpowiedział chmurząc się.

— Więc powiédz skąd wiész?

— Skąd? Wczoraj przyprowadzono mi konia z majątku wuja i powiedziano, że Skotacki otrzymał depeszę od Jasmunda, by natychmiast przyjechał.

— I cóż z tego?

— Skotacki przed dwoma dniami przyjechał do majątku; ta depesza, jak ogólnie mówią, przyszła, bo wuj Jasmund ciężko chory.

— Nie wierzę... Ja nie mam żadnego listu, a gdyby był chory, miałabym list lub depeszę... A zresztą tém lepiéj — dodała z uśmiechem wyższości—powiem wujowi, że przyjechałam zaniepokojona plotkami o zdrowiu z powodu depeszy do Skotackiego.

Hr. Rugard zmarszczył brwi gniewnie. Przypomniał sobie upokorzenia doznawane z powodu hr. Skotackiego, dalekiego kuzyna Rugiwojskich, rządzącego samodzielnie dobrami wuja Jasmunda. To jego sprawka, by pobieraną pensyę odbierał hr. Rugard z rąk administracyi dóbr za kwitami, by o każdą drobnostkę darowaną przez wuja, kołatał przez cały szereg urzędników. I on, hr. Rugard Rugiwojski, przyszły sukcesor Jasmunda, musiał jeździć, kłaniać się, podpisywać, a wszystko przez hr. Skotackiego. To też na wzmiankę o nim rzekł ze spokojną ironią:

— Jakto? Będziesz się powoływała na depeszę rządcy? Hrabinę dotknęła złośliwa uwaga męża i kładąc rękę na oparciu kozetki mówiła:

— Przedewszystkiém hr. Skotacki nie jest rządcą, lecz plenipotentem wuja. To nie jest ktoś tam ze służby, ale kuzyn Rugiwojskich.

— Kuzyn? Może brat? — zaśmiał się hrabia.

— Jeśli Herta pójdzie drogą, którą ty jéj gotujesz, jéj bracia mogą miéć jeszcze lepszych kuzynów, aniżeli hr. Skotacki — kończyła uśmiechając się nerwowo.

— Cóż mam robić? — zapytał mąż, którego podniecenie już się wyczerpywało.

— Wyjadę z Hertą i zobaczymy.

— Tak wielkiéj sumy nie mam na razie — szepnął hrabia.

— To do mnie nie należy. Ja nie administruję Wieszarami — mówiła obojętnie.

— Chyba pożyczę? — rzekł hrabia wzdychając.

— Nie wiem... Tu idzie o przyszłość dziecka. Gdyby o mnie chodziło, zostawiłabym cię w spokoju w twéj stajni, ale...

— Dobrze. Pomówię z rządcą...

— Ach! zawsze ten rządca — zawołała z niesmakiem hrabina.

— Jeśli chcesz, oddalę go — odpowiedział obojętnie.

— Przyjdzie nowy — rzekła zirytowana — i znów będziesz go słuchał.

Hrabia w odpowiedzi ścisnął ramionami.

— I ten byłby niezły, — mówiła daléj — ale niech wié u kogo służy. Wczoraj odprawił mego stangreta.

— Odprawił? — ździwił się mąż.

— Tak jest. Ja wiem, ale ty rządzisz, otrzymujesz raporta... A może i o Rosnowskim nie wiész? — pytała z wzrastającą ironią.

— Co?

— Także odprawiony!... A teraz powiédz sam, czy takiemu rządcy nie przewróci się w głowie, gdy robi, co zechce. Tylko do mojéj służby niech się nie miesza.

— Ale cóż znowu? — obruszył się hrabia.

— Na to ja nie pozwolę — kończyła energicznie. — Zapowiédz twemu rządcy, że mój stangret zostaje, że miss Ellen nie istnieje dla niego, że konie dla mojéj służby być muszą, bo jeśli kasyer i buchalter twemi końmi rozjeżdżają po wizytach, to przecież do kościoła znajdzie się para koni.

Na wzmiankę o miss Ellen twarz hrabiego spochmurniała, lecz gdy żona powiedziała o koniach, wyraz jego twarzy stał się nieprzejednany. Po chwili wstał, wziął dżokejkę i rzekł krótko:

— Wypędzę go.

— Zobaczymy. A pamiętaj, wyjadę wkrótce.

— Dobrze, ja będę gotów.

Hrabina nawet się nie uśmiechnęła po odniesionêm zwycięstwie, przeciwnie, na twarzy jéj osiadła troska o kierunek podróży. Rozpisała już poprzednio listy i oczekiwała odpowiedzi, która miała zdecydować o miejscu. Po chwili wyciągnęła rękę, nacisnęła guzik dzwonka tuż za kozetką i wkrótce zjawiła się Łucya.

— Okno otworzyć.

Służąca spełniła rozkaz w milczeniu.

— Miss Ellen z Bolem niech przyjdzie. Powiész stangretowi, by zajechał po Bola.

Łucya w milczeniu skłoniła głowę i odeszła wypełnić rozkazy, uśmiechając się tryumfująco, że stangret hrabiny został jednak na służbie.

Hrabia gniewny, zirytowany rozmową, wyszedł z postanowieniem odprawienia rządcy, oburzony nadużyciem koni. W bezbarwnêm i spokojnêm życiu w Wieszarach miał hrabia dwie przyjemności, które stały się niemal potrzebą jego spokoju i szczęścia: budownictwo i zamiłowanie do koni. Pierwsze, jako zbyt drogie uprawiał rzadziéj, ale konie miał zawsze pod ręką. Na prowadzenie wielkiéj stadniny rasowéj, nie starczyło pieniędzy, ale koni otrzymywanych w darze od wuja Jasmunda pilnował i troskliwie doglądał. W chwilach zirytowania podążał do stajni z nawyknienia. I teraz szybko przeszedł długi kurytarz, minął schody i skierował się ku stajni.

Planu jasnego nie miał na razie, utkwiły mu w umyśle i bolały słowa i wymagania żony. Kwestya pieniężna niepokoiła go, gdyż od czasu ożenienia liczył się z wydatkami o tyle, by nie wpaść w znaczne długi. Uregulował też rozchody jak mógł i umiał. Nagle ten, jak się wyrażał z zadowoleniem, zegarek wieszarowy, może się zepsuć, bo tych kilka tysięcy zażądanych są dopiéro początkiem wymagań... Następnie ten rządca! Zdawało się, że dobry i uczciwy, ale ta odprawa służby, te konie wyjazdowe oddawane oficyalistom, to podejrzane. Należałoby go wydalić, ale kłopoty przy odprawianiu, usprawiedliwiania się, prośby o pozostawienie... chyba niech zostanie. Lecz jeśli daje konie... lepiéj odprawić. I nagle błysnęła mu myśl, że przecież listownie może tę sprawę załatwić. To uspokoiło go znacznie. I równiejszym krokiem szedł po zwirowanéj ścieżce ku stajni. Budynek ten położony za klombami drzew, w zachodniéj stronie od pałacu, był murowany. Nad szerokiemi bramami były umieszczone, wielkie, niezdarnie rzeźbione głowy końskie, a pod niemi herb Rugiwojskich: lwica na czółnie, ozdobionêm u steru krzyżem, gdy z przeciwnéj strony powiewał sztandar.

W chwili, gdy z za klombu wyszedł hrabia, dwóch stajennych prowadziło pięknego, złoto-gniadego konia ku stajni. Hrabia uśmiechnął się na widok Selima, klasnął w ręce i dał znak, by się wstrzymali; sam zaś przyspieszył kroku. Głaszcząc konia, wysłuchał relacyi koniuszego, powiedzianéj w niemieckim języku, że Selim, przepędzany na lince, okazał zadziwiające zalety w kłusie.

Hrabia zapomniał o żonie, piéniądzach, rządcy — owładnęły nim konie. Wraz z wprowadzonym Selimem, wszedł do stajni obszernéj, podzielonéj na klatki. Na każdéj klatce była przybita tabliczka z napisem i rodowodem konia. Wchodził do klatek swoich ulubieńców, ganił najlżejszy nieporządek, uczył obchodzenia się z poszczególnemi końmi, zniecierpliwiony niezręcznością sam brał do ręki zgrzebło, szczotkę, unaoczniając na przykładzie swe rozkazy. Przyjął wreszcie propozycyę koniuszego, by spróbować parę świéżych koni wyjazdowych. Próba miała się odbyć z powodu płochliwości koni w ujeżdżalni, leżącéj za stajnią, a dotykającéj rozległego parku.

Konie młode, niewyjeżdżone, to rwały się, znów stawały, kładły się na dyszel; wrażeń było dużo. Wtém nagle spięły się w górę i zaplątały się w lejce krzyżowe, wszyscy stajenni z hrabią ruszyli ku pomocy. Rozplątano konie i odprowadzono do stajni. Sam hrabia zmęczony, otworzył furtkę boczną, by przez park udać się do pałacu. Zaledwie zrobił kilka kroków, odezwał się tuż za nim świéży i melodyjny głos:

— Te konie ojciec mi daruje? Dobrze?

Hrabia się odwrócił i zapytał z uśmiechem:

— Skądże Herta tutaj?

— Jeśli ojca interesują konie, to również i córkę. Cóż, te konie będą moje?

— Późniéj, późniéj. Jestem zmęczony, chodźmy.

I w milczeniu szli daléj aleją wysadzoną grabami i lipami a wiodącą do pałacu. Obok hrabiego pochylonego, idącego krokiem ociężałym, Herta wysmukła, z figurą ładnie wciętą, w sukni białéj szewiotowéj, świéża swą młodością, robiła wrażenie w tym pogodnym dniu jesiennym, istoty tak czystéj, tak dalekiéj od codziennych walk życia, iż zdawało się, że jéj obecność rozświéca cienie staréj alei. A szła tak lekko, elastycznie, że zaledwie widniał na piasku odcisk jéj maleńkiego bucika. Południowe słońce wrześniowe, złociło i srebrzyło jesienne liście drzew, grało tęczowemi blaskami na nitkach pajęczych rozsnutych pomiędzy gałęźmi i na trawnikach. Łagodny powiew strząsał od czasu do czasu barwne liście, które z cichym szelestem kładły się na ziemię. W głębi alei rysowała się werenda pierwszego piętra pałacu,

zielona i barwna od kwiatów. Nad nią roztaczało się niebo blado-błękitne, jak wielki kwiat niezapominajki spalony żarem letnim. Herta wstrzymując ojca rzekła:

— Ładne są Wieszary! — i ręką wskazała aleję i pałac z odłamem nieba.

Ojciec rzucił obojętnie okiem i odpowiedział:

— Ładne, a jednak wyjeżdżasz.

— Ja? — ździwiła się Herta.

— Matka z tobą.

— Nic nie wiem. Może mi ojciec powiedzieć? — mówiła z zaciekawieniem. — Ojciec zmęczony, usiądźmy.

Skręcili ku ławce ogrodowéj i usiedli. Herta zdejmowała zwolna rękawiczkę, spoglądając na ojca. Hrabia po krótkiém wahaniu postanowił wyjaśnić córce powody wyjazdu, równocześnie uległ bezwiednie potrzebie utrwalenia się w przekonaniu o konieczności podróży i zamążpójścia córki. Po krótkiém milczeniu zaczął ojciec poważnie:

— Jesteś już w tym wieku, że należałoby ci wyjść zamąż...

— Kiedy w domu mi dobrze — przerwała Herta.

— Zapewne, ale to przeznaczenie kobiét, tak Opatrzność rozrządziła i my na to nic nie poradzimy. Otóż my t. j. matka i ja myślimy o tém... Wiész zapewne, że byli tacy, którzy pragnęli połączyć się z nami, ale były to partye niestosowne dla Rugiwojskiéj. Wiész?

Herta skinęła głową i zamiast odpowiedzi zapytała ze szczerym żalem:

— Więc muszę wyjść zamąż, opuścić rodziców, Wieszary?

— Ależ Herto i królowa musi iść zamąż. Wygasłby ród nasz, gdyby tolerowano podobne zachcenia. Właśnie koligacyą jesteśmy silni. — A widząc, że ma w córce chętnego słuchacza, tak z poczucia obowiązku pouczenia dziecka, jak również idąc za osobistém zamiłowaniem, mówił, zapalając się zwolna do własnych myśli i wymowy:

— Ród, moje dziecko, to wielkie słowo, i wielka sława. Nic droższego nie mamy na świecie. Pieniądze, zaszczyty, władza, to marne dodatki. Jest bowiem rzeczą podrzędną czym bogaty czy biedny, posiadam zaszczyty, władzę, lub nie... zawsze i wszędzie jestem Rugiwojski. Są tacy, którzy głoszą równość... utopia! głupstwo! Weźże konia czystéj krwi i konia chłopskiego... porównaj. To samo i z ludźmi. Czyż nie tak?

Herta słuchała z uwagą, zapatrzona w ojca i po krótkiéj chwili skarżyła się:

— Ale ja zmienię nazwisko...

— To prawda — mówił ojciec poważnie — będziesz nosiła inne nazwisko, nie takie jak nasze, ale bądź co bądź dobre. Lecz i to prawda, że jak nie przestaniesz być moją córką zawsze, tak nie wyrzekniesz się i krwi Rugiwojskich. Sprawy rodzinne będą ci tak bliskie jak teraz, i dopiéro wszedłszy w świat, zrozumiész znaczenie związków i politykę rodu. I dawniéj, i dziś Rugiwojscy w każdém stronnictwie, w każdéj dzielnicy mają wpływy i znaczenie, dla tego téż nie dosięgnie naszego rodu klęska zagłady, i tak rządząc, zapanujemy.

Mówiąc to, podniósł głowę, wyprostował się, spojrzał bystro przed siebie i czując w Hercie pokrewną sobie istotę, mówił daléj,

— Nasi przodkowie rozumieli doskonale potęgę rodu i związków, a chąc utrwalić znaczenie i sławę Rugiwojskich w dalekie pokolenia, utworzyli fundusz żelazny, olbrzymi skarb. W zawierusze on przepadł... ale może, kiedyś, uda mi się utrwalić naszą łódź herbową, złotą kotwicą, ale taką, by żadne zawieruchy jéj nie zerwały. Wówczas wszyscy garnąć się będą do łodzi bezpiecznéj, gdy w około zahuczą fale samowoli i szaleństwa. I to będzie Herto nasza łódź, łódź Rugiwoskich.

W téj chwili wypiękniał hr. Rugard zapałem; lekki rumieniec zabarwił żółtawą twarz, oczy błyszczały, a Herta słuchała go powstrzymując oddech, by nie stracić i słowa.

— Jakie to piękne, wspaniałe! — zawołała. — Ach, gdyby tylko prędzéj tego dokonać.

Hrabia uśmiechnął się dobrotliwie i ściskając rękę córki, rzekł:

— Ród żyje nie lata, lecz wieki. Jeżeli ja nie dokonam, to syn lub wnuk; bo u nas śmierć nie przerywa planów i myśli. Śmierć u ludzi jest końcem, ale u nas jest tylko przemianą formy. Wyzwoleni z ciała, żyjemy w dziejach i tradycyach rodu. Spojrzyj na portrety rodzinne i rysy te same, i dusze te same.

— Jaki ojciec dzisiaj dobry... — mówiła Herta rozczulona.

— Mówię ci o tém, bo masz wyjechać. Chcę, byś zawsze pamiętała, że jesteś Rugiwojską.

W tém doleciały do uszu siedzących ostre okrzyki stajennych, Hrabia nasłuchiwał zaniepokojony i poleciwszy córce, by poczekała na niego, sam poszedł spiesznie w kierunku ujeżdżalni.

Herta przeprowadziła oczyma ojca, póki nie znikł na skręcie ulicy ogrodowéj. Ostatnie przypomnienie ojca było dla niéj zbyteczne.

Gorące barwy są konieczne dla oka zmęczonego, a gdy teraźniejszość hrabiego Rugarda i jego rodziny była bezbarwną, jednostajną, tém piękniéj przedstawiała się przeszłość pełna blasku, purpury, zaszczytów i władzy. Dla Herty dzieje ich rodu stanowiły niemal jedyną kanwę jéj marzeń.

Tęskniła za tą przeszłością, kochała tych rycerzy, hetmanów, polityków, prałatów, których portrety wisiały w pałacu. Znała całe anegdotyczno-biograficzne ich życie, ich szczęście, wyniesienie, klęski i zgon. I te kobiéty w zakonnych strojach, i te inne w bogatych złotogłowiach, te w powiewnych, niemal przezroczystych strojach, toż to jéj prababki. Ona zawsze czuła, że w niéj krew z ich krwi, duch z ich ducha. Te portrety dla niéj żyły życiem realném, istotném. Miała wśród nich ulubieńców, na wzór których kształtowały się jéj marzenia panieńskie. Była to piękna twarz młodzieńca, który zginął młodo, w bitwie w dalekich dzikich stepach.

Cała jéj istota skupiała się w rodzie Rugiwojskich. Żyła, czuła, myślała, patrzyła, ceniła, krytykowała tylko jako Rugiwojska. Projekt wyjazdu i konieczność zamążpójścia stanowiły niemiły epilog świetnych marzeń jéj oca, które brała chętnie jako fakta realne. Tak, Rugiwojscy będą sławni, potężni, silni; ale ona wyjść zamąż musi. Obsiadły ją rojem przeżyte wspomnienia , obracające się jak w zaklętem kole, około wydania jéj zamąż. Niemal od piérwszego wstąpienia w świat, to zagadnienie postawiono przed nią, nasuwano jéj nieustannie, czuła je około siebie, widziała w spojrzeniach matki i krewnych. Każdy wyjazd, każdy bal, każde liczniejsze zebranie, było zatrute dla niéj tą nieustaną zagadką przyszłości, krępującą z każdym rokiem więcéj jéj swobodę i zamiłowania. Jakże chętnie wyjechałaby z matką do Francyi, Włoch, nad morze, gdyby zostawiła za sobą troskę o swe zamążpójście!

Zamyślona nie spostrzegła na razie lokaja, oznajmiającego jéj godzinę śniadania. Poleciwszy mu poproszenie ojca, wstała z ławki i skierowała się ku pałacowi. Piękna gra kolorów liści purpurowych i żółtych w promieniach słońca, różnobarwne kosze wonnych lewkonii, heliotropów, werben, jaśminów i gladiolusów, rozrzuconych umiejętnie przed pałacem teraz nie zwróciły jéj uwagi. Szła cicha, spokojna, nie zamarzywszy nawet o możności sprzeciwienia się woli rodziców.

II.

Przy śniadaniu prócz hrabiny, Herty i hrabiego, była miss Ellen, bona Bola. Drobna, ładna szatynka, która rzucając kiedyniekiedy ukradkowe, niespokojne spojrzenia na hrabinę, starała się usilnie podkreślić swe zajęcie Bolem, dzieciakiem ośmioletnim, z twarzą wyraźną, napiętnowaną cechami rodzinnemi. Bez uśmiechu, poważny, z twarzyczką chudą, ściągłą, robił wrażenie znacznie starszego. Same tyl-

ko oczy z odbłyskami naiwności dziecięcéj, mówiły o wieku dziecinnym. Przy tym samym stole siedziała i pani Turowska, niemłoda, wysoka, szczupła, ubrana w ciemną suknię. Twarz jéj poważna i surowa, starała się być łagodną i słodką, ile razy zwracła się do rodziny hrabiów. Smutna cecha życia zależnego od woli, a nawet kaprysów państwa, nadawała całéj jéj postaci coś z ptaka, gotowego pofrunąć za najlżejszém skinieniem. Nosiła ona na sobie ten zwykły stempel niewoli kobiéty, niezdolnéj do zapracowania na chléb, chyba jedynie uległością i ślepém posłuszeństwem.

Śniadanie przeszło cicho i milcząco. Na razie hrabia mówił o koniach, podtrzymywany przez Hertę, a gdy się ten przedmiot wyczerpał, umilkli. Mały Bolo nie jadł potrawy piérwszéj, usprawiedliwiając się cichym głosem przed miss Ellen, ale gdy i drugiéj ledwie dotknął, zwróciło to uwagę matki. Dziecko, skarżące się na gól głowy, wyszło wraz z angielką na skinię matki do swego pokoju. I znów zapanowało milczenie, przerwane wejściem lokaja niosącego na tacy depeszę adresowaną do hrabiny.

I mąż i córka śledzili z uwagą rysy czytającéj, ale prócz lekkiego zmarszczenia brwi, nic nie dostrzegli.

Zazwyczaj hrabia pijał czarną kawę w swych pokojach, lecz dziś na propozycyę żony przeszedł do gabinetu obok leżącego. Zapalił dobre cygaro i po wyjściu służącego zapytał spokojnie:

— Wolno wiedziéć, skąd depesza?

— Wuj Jasmund chory.

— Tak? Więc moje wiadomości były dobre — mówił z lekkiém zadowoleniem.

— Wyjeżdżam dziś—rzekła hrabina, nie zwracając uwagi na jego słowa.

— Ty?

— Tak jest... Przecież ty zajęty jesteś gospodarstwem, ja znów mogę wyjeżdżać każdéj chwili. Zbyt wielka troskliwość — kończyła ostrzegająco — jest tak samo złą, jak i nieuwaga.

— Kuryer do Warszawy — mówił tonem imponującym — odchodzi o 10 minut 30 w nocy.

— Będę na kolei. Ty uważaj na Bola.

— Dobrze.. Depeszę o zdrowiu wuja mi przyślesz? — pytał z ukrytą prośbą.

— Naturalnie.

I oboje zamyślili się nad słabością wuja Jasmunda. Oboje starannie ukrywali przed sobą pragnienie śmierci wuja, takie przyznanie nie jest ani etyczne, ani estetyczne.

Jednakże majaczyły przed ich oczyma marzenia o wielkim spadku składającym się z dóbr, stadniny, fabryk i kapitałów.

I ona i Herta byłyby piérwsze w kraju, poszukiwane, cenione, wielbione; wzbudzałyby zazdrość kobiet, zabiegi mężczyzn.

On znów dałby uczuć swą władzę i wielkość tam, gdzie musiał być grzecznym i uprzejmym; hr. Skotackiego i jego klikę usunąłby bezwględnie, stadninę prowadziłby sam, wyjechałby do Paryża, odświeżyłby wspomnienia, wstąpiłaby weń nowa krew, nowe życie.

Wszystkie popędy egoizmu ciasnego i zarozumiałego zagrały chórem, wszystkie tłumione pożądania wystąpiły jaskrawo i zwodniczo przy magicznêm słowie: sukcesor! Z uśmiechem pobłażania popatrzył na filiżankę, piłby tylko ze sewrskiéj i starosaskiéj porcelany, cygaro wydało mu się złém, zrobił nawet ruch ręką, by je zdusić w popielniczce, ale powstrzymał się, rychło przyszła refleksya, odrzucił zwodnicze nadzieje i rzekł uprzejmie:

— Dam ci inne konie do dworca, twoje dziś chodziły.

— Byle z Gabryelem — odpowiedziała z naciskiem.

— Naturalnie. A wiész, jego odprawienie było plotką.

— Już ci wytłomaczył rządca — odezwała się z ironią.

— Nie widziałem go jeszcze — mówił spokojnie — koniuszy mi powiedział.

Umilkli. Po chwili hrabina wstała i wychodząc rzekła:

— Niepokoi mnie Bolo, pójdę do niego, zapewne doktór już jest?

— Przyślij mi tutaj doktora po wizycie.

Paląc cygaro i popijając kawę, myślał o chorobie wuja, o wyjeździe żony, o odłożeniu podróży z Hertą. Na razie najwięcéj zajęła go potrzeba wysłania żony nocą do dworca kolei. Naturalnie, dwóch konnych pojedzie z kagańcami, bo noce ciemne, ale teraz po wsiach pełne stodoły i toki, a przy suszy o pożar łatwo. I przypomniał sobie projekt swój przy czytaniu artykułu o elektryczności, w jakiejś gazecie angielskiéj. Gdyby odziedziczył po wuju, kazałby zrobić powóz z oświetleniem elektrycznem. W pudle powozu umieściłby maszynę elektryczną wysyłającą swój prąd do końca dyszla, tam umieszczona lampa elektryczna rozświecałaby wybornie całą drogę, również w powozie czy karecie byłoby światło dowolnego natężenia. I podobnie jak dawniéj, uśmiechnął się i teraz do téj swojéj myśli. Ponieważ ów rzekomy wynalazek przyszedł mu lekko, bez pracy, bez studyów, bez nauki, więc téż lekceważył uczonych. Co prawda, on był Rugiwojski, a ci uczeni, dopiéro przy sławie otrzymują jakie takie nazwisko, zazwyczaj źle brzmiące. Konstrukcya tego powozu przy-

szłości tak dalece go zajęła, że obudził go dopiéro głos kamerdynera meldującego doktora Bielańskiego.

— Niech tu wejdzie — brzmiał rozkaz

Po chwili wszedł do gabinetu niski mężyzna, z twarzą inteligentną, z uśmiechem dobrym na ustach, ocienionych ciemnym wąsem. Oczy piwne, bystre, żywe, w oprawie nazbyt okrągłéj z ciężkiemi powiekami, koncentrowały całą energią życia i pewności siebie. Wiedząc o śliskiéj posadzce salonów pańskich, stąpał po niéj ostrożnie. O ile jestem potrzebny, mawiał do najbliższych, o tyle mnie cenią, po za tém jestem dla nich niczém; w myśli jednak dodawał: ale oni czy chcą czy nie chcą, są stopniem w mém życiu materyalném, i zadowolony zacierał swe pulchne ręce. Postawiwszy tak kwestyę, cenił wysoko tę klientelę; znosił spokojnie przykrości, związane ze stanowiskiem doktora pałacowego.

Hrabia nie ruszając się z miejsca podał rękę doktorowi, wskazując głową wolne krzesło, zapytał:

— Cóż nowego, doktorze?

— Zdecydowanego nic nie ma. Może to niedyspozycya, a może coś się rozwinie. Zarządziłem odpowiednie środki, będę o szóstéj — odpowiedział tonem lekko urzędowym.

— Wię nic niebezpiecznego, mówisz doktorze? — dopytywał się hrabia.

— Nie wiem.

— A cóż pan wié? — zapytał hrabia z uśmiechem ironicznym.

Doktór zawahał się chwilkę i rzekł żartobliwie:

— Panie hrabio, o dzieciach i kobiétach nie można wiedziéć nic pewnego.

Hrabia odpowiedź przyjął łaskawie:

— Masz słuszność, doktorze, ale o Bolu dziś mnie zawiadomisz... Czy widziałeś doktorze, moje nowe konie — kończył ożywiając się.

— Słyszałem, ale nie miałem sposobności.

— Mówię ci doktorze, że chodzą w zaprzęgu jak lalki...

Doktór westchnął na znak żalu, iż nie widział tych koni.

Hrabia strząsając popiół z cygara rozsiadł się jeszcze wygodniéj i mówił:

— A Selim! Co to za koń! Czy uwierzysz doktorze, ani „Janczar”, ani „Mars”, ani „Mortimer”, nie mogą mu dorównać w kłusie. Coś nadzwyczajnego!

Doktór aż syknął cichutko ze zdziwienia i rzekł:

— Chyba „Mira” dojdzie!?

— Mira? Mira? — drwił hrabia — ależ ona już na drugiéj wiorście zostaje w tyle.

— Czy podobna!? — zawołał doktór, patrząc niedowierzająco na hrabiego.

— Możemy zaraz spróbować z zegarkiem w ręku w ujeżdżalni — mówił hrabia ożywiając się. — Pójdziemy, dobrze?

Ostatnie zapytanie było tak zbliżone do rozkazu, że doktór wstając z krzesła wypowiedział z uśmiechem:

— Z największą przyjemnością. Zobaczymy!

Hrabia zadzwonił na lokaja, by mu przyniósł czapkę, zgasił cygaro, wstał zwolna z kanapki i rzuciwszy doktorowi słowo: chodźmy, szedł piérwszy najkrótszą drogą, przez salon jadalny, który posiadał drzwi parapetowe na dolną werendę. Nie minęli jeszcze salonu, gdy przez drzwi od kurytarza weszła miss Ellen i zobaczywszy doktora rzekła:

— Pani hrabina prosi pana doktora do pokoju Bola.

Hrabia stanął i zapytał:

— Cóż się tam stało?

— Pani hrabina kazała poprosić pana doktora.

— Idź doktorze — przemówił kwaśno hrabia.

Bolo blady leżał na swém łóżeczku. Twarz jego zmęczona, w sztucznem półcieniu pokoju odbijała się niewyraźnie na tle poduszki. W chwili wejścia doktora, matka siedziała przy łóżeczku z miną posępną i nic nie mówiąc wskazała Bola ruchem głowy. Doktór uśmiechając się do dziecka zbadał puls, opatrzył ciało i powiedział wesoło:

— Jutro Bolo zdrów będzie, ale owoców nie trzeba jeść.

Hrabina, która śledziła każdy ruch i słowa doktora, zapytała poważnie:

— Czy sądzi pan, że to tylko gastryczne?

— Zdaje mi się, że tak, zresztą zaczekam na wyraźne objawy choroby.

W téj chwili zapukano lekko do drzwi i weszła Herta. Na pytający wzrok matki odpowiedziała:

— Byłam tak niespokojna o Bola, że przyszłam zobaczyć.

— Doktór mnie uspokaja — rzekła hrabina — ale sam mówi, że należy czekać objawów choroby.

— Pozwoli mi mama tu zostać? — prosiła Herta.

— I owszem, zostań. A pana doktora poproszę, by zaczekał w bibliotece.

— Będę na usługi pani hrabiny — mówił doktór i skłoniwszy się głęboko, wyszedł.



Bolo leżał spokojnie; hrabina sądząc że uśnie, usunęła się wraz z Hertą w głąb pokoju i po chwili milczenia mówiła półgłosem:

— Depesza była od wuja Jasmunda, leży chory, należałoby jechać i chciałam, a tu Bolo słaby.

— Mama może jechać spokojna, dopilnuję go sama, i doktór i miss Ellen.

— Tylko nie ona, — mówiła z goryczą hrabina — to jéj wina; obchodzi się z dzieckiem niewłaściwie, i jak tylko przyjadę, zaraz ją odprawię.

— Zdawało mi się, że jest troskliwa i obowiązkowa — broniła Herta nieśmiało.

— Tak, w oczy, przy nas, ale opowiadano mi, że krzyczy na dziecko, a nawet ośmiela się stawiać do kąta, to oburzające, czyż nie wie, kto jest Bolo? — irytowała się hrabina.

Herta milczała.

— Boję się, żeby to nie było cóś mózgowego, on taki wrażliwy...

— Doktór powiedziałby przecież...— uspakajała Herta.

Obiedwie spojrzały na dziecko, które patrzało na nie spokojnie i badawczo, jak dojrzały człowiek.

— Niepokoi mnie wuj Jasmund — zaczęła matka — pewno tam zjechali się krewni, ale wuj odczuje głęboko naszą nieobecność w chorobie, on wié jak go kochamy... Muszę jechać, chociaż nie darowałabym sobie, gdyby Bolo był seryo słaby.

— A gdyby ojciec pojechał? — ośmieliła się córka zaproponować.

Hrabina zacisnęła usta, zmarszczyła się, lecz odpowiedziała spokojnie:

— Ojciec?... Zapewne, tylko że ojciec nie będzie siedział przy wuju... zajmą go konie lub oburzy się na Skotackiego i wyjedzie... Czy nie znasz ojca?

— Ależ mamo — broniła córka — ojciec tak kocha wuja, że dużo zniesie dla niego.

— Kocha?.. Któżby nie kochał wuja Jasmunda, ale... to nie męska rzecz siedzieć przy chorym. I jeśli tylko Bolowi się polepszy, dziś jeszcze pojadę.

W téj chwili Bolo, zaczął się krztusić, krzywić i zawołał:

— Mamo!

Hrabina wstała i przystępując do łóżeczka powiedziała do miss Ellen:

— Doktór w bibliotece, proszę go zawołać!

Po uspokojeniu i ułożeniu dziecka, które zmęczone zdawało się usypiać, hrabina wraz doktorem wyszła, zostawiając Bola pod opieką Herty i bony.

Gdy doktór przy drzwiach do saloniku hrabiny, chciał ją pożegnać rzekła:

— Proszę pana na chwilę.

Usiadła na fotelu, białą, i delikatną ręką dotknęła swego czoła i lekko westchnąwszy mówiła:

— Siadaj pan, proszę, chciałabym się poradzić.

Doktór siadając, zapytał z wielką uprzejmością i współczuciem:

— Co właściwie dolega pani hrabinie?

— Zwykłe rozdrażnienie, doktorze, lecz nie o mnie chodzi... Proszę mi powiedziéć szczerą prawdę, jak doktór znajduje Bola?

— Miałem już zaszczyt powiedziéć i powtarzam, że nic niebezpiecznego, zwykła niedyspozycya.

— Napewno nic mózgowego? — pytała niespokojnie.

— Ręczę, że nic — mówił doktór pewnym głosem.

— Pan daruje, że tak się dopytuję — mówiła ciszéj hrabina — ale straciłam już dwoje...

Doktór westchnąwszy, pochylił głowę, wiedział bowiem, że za jego poprzednika umarło dwoje dzieci hrabiostwu. Hrabina, wracając do swego zwykłego tonu spokojnego, mówiła daléj:

— Chcę jechać dzisiejszym kuryerem w sprawach familijnych, więc mogę być zupełnie spokojną o Bola?

— Najzupełniéj. Opieka miss Ellen i moja wystarczą.

— Liczę tylko na pana — powiedziała tonem przyjemnym,

— Rozumiem ten zaszczyt — mówił doktór pochylając głowę — i nie zawiodę zaufania.

— Uspokoiłeś mnie doktorze. Jadę — i skinęła lekko głową na znak pożegnania.

Doktór zajrzał do śpiącego Bola i szedł szukać hrabiego, by go zawiadomić o zdrowiu dziecka.

Kuryer odchodził z najbliższéj stacyi o godzinie 10 minut 30, a że z Wieszar było do dworca kolei wiorst dwadzieścia, więc hrabia rozkazał, by Łucya z nieodzownemi kuframi wyjechała wcześniéj; o godzinie 8 wieczorem stanęła przed pałacem kareta zaprzężona w piękną czwórkę gniadych koni. Dwóch konnych z pochodniami poprzedzało ekwipaż. W nocy bezksiężycowéj, długa aleja wjazdowa, wysadzona drzewami staremi, zdawała się ciemniejszą przy świetle kagańców, ostrém, czerwonawém, rzucającém w małym promieniu swe blaski na żółte i czerwonawe liście jesienne. Gra barw była tak żywa, że nawet

zobojętniały hrabia zwrócił swą uwagę, odprowadzając żonę. Kamerdyner hrabiny z umiejętną pokorą trzymał drzwiczki karety i zanim hrabia dokończył słów: — *Bon voyage*! — już on siedział na koźle, obok stangreta. Kareta z zapalonemi latarniami, poprzedzona kagańcami, wśród ciemnéj nocy, podobna była do świetlnéj gwiazdy, ulatującéj w czarne przestrzenie. Póki była widzialna, wpatrywali się w nią hrabia, Herta i doktór, a gdy znikła na zakręcie, rzekł hrabia:

— Chodź doktorze do mnie, pogadamy.

Głównemi drzwiami weszli do przedpokoju oświetlonego dwoma lampami, trzymanemi na halabardach przez manekiny, ubrane w naśladowaną zbroję średniowieczną Tuż przy drzwiach wiodących do kurytarzy, stał niedźwiedź wypchany i w dwóch przednich łapach trzymał przyrząd do zawieszania ubrań. Obok wielkiego niedźwiedzia patrzącego nieruchomo szklanemi oczyma i wyszczerzającego zęby, stał w chwili wejścia hrabiego, karzełek Paweł, pełniący obowiązki szwajcara pałacowego. Głowa wielka, nieforemna, była osadzona na tułowiu małém, przysadzistém z twarzą brzydką, pożółkłą z obwisłemi zmarszczkami, bez zarostu. Włosy ciemnawe, proste, robiły wrażenie przyklejonych, a uśmiech na szerokich ustach był zawsze złośliwy. Wzrost jego karzełkowaty, brzydota i niechęć do kobiet były przedmiotem dowcipów i śmiechów całéj służby pałacowéj z hr. Rugardem na czele, który nie opuścił sposobności zażartowania z karzełka i bawił się wybornie tak tanim kosztem. Karzeł ubrany z węgierska, w chwili gdy hrabia przechodził przez przedpokój, wystąpił z cienia i przytrzymywał swą małą rączką ciężką portyerę, zasłaniającą drzwi kurytarzowe. Hrabia pozwolił przejść Hercie i zatrzymując doktora rzekł:

— Szczęśliwy Pawełek, doktorze! Zaślubia téj niedzieli najpiękniejszą dziewczynę dworską, Zosię.

Doktór uśmiechnął się i zwracając się do karła, mówił:

— A winszuję! winszuję! Czemuż mnie Paweł nie zaprosił na swój ślub?

— On sam chce być panem młodym — odezwał się hrabia dwuznacznie.

Karzeł poczerwieniał i zaskrzeczał bezdźwięcznie:

— Z kobiétami, prócz urodzenia, nic wspólnego nie miałem i nie mam.

— Miałeś przecież mamkę! — zawołał rozweselony hrabia.

— Krowę, nie mamkę, dzięki Bogu — odpowiedział krzywiąc się zabawnie.

— Sprytny, choć mały —rzekł hrabia opuszczając przedpokój. — Lubię go — mówił w kurytarzu do doktora — jak małpę sprytną, zło-

śliwą, ale gadającą, i gdyby umiał pisać, zrobiłbym go rządcą, nie przebaczyłby nikomu.

I z temi słowy otworzył drzwi do swoich pokojów, znajdujących się na parterze tuż pod pokojami żony i połączonych z jéj apartamentem skrytemi schodami. Weszli do gabinetu.

Pokój ten o trzech oknach, odznaczał się surowością umeblowania. Prócz biurka wysuniętego na środek pokoju, stojącego na wielkim dywanie, stołu pod oknem, czterech foteli i szezlongu wygodnego, były dwie wielkie mahoniowe szafy, ładnie rzeźbione, mieszczące archiwa gospodarcze. Tam składał hrabia raporta i rachunki tak Wieszar z folwarkami, jako też litewskich dóbr, wziętych w posagu za żoną. Meble staroświeckie, ciężkie, wydawały się wrośniętemi do miejsca. Ściany prócz portyer dywanowych nad drzwiami i oknami były ozdobione obrazami, z których się wyróżniał portret wuja Jasmunda, portrety żony i dzieci, i obraz historyczny, przedstawiający jednego z Rugiwojskich w chwili otrzymania buławy hetmańskiéj na polu bitwy. Z gabinetu wiał chłód surowości posępnéj, powagi uroczystéj i pracy obowiązkowéj, liczącéj czas na godziny przymusu.

Hrabia usiadł na wygodnym fotelu przed biurkiem, wskazał doktorowi drugi fotel i rozpoczął gawędę o sąsiadach, których znał z kościoła, jarmarków, polowań, a doktór bywał u nich z powodu swego zajęcia.

— Dziś był doskonały dzień — rzekł hrabia — do wypróbowania koni, ani gorący, ani słotny.

— Istotnie mamy bardzo sprzyjającą pogodę, — mówił doktór zapalając papierosa, — Wieszary są i tak piękne, a przy pogodzie zyskują. Są wprost cudowne ze swym pałacem i parkiem.

— Wieszary? Wieszary? uśmiechał się hrabia ironicznie — naprawdę powinny się zwać Konary, gdyż z całego dębu przyszło Rugiwojskim siąść na tych konarach, a resztę obsiadły... grzyby...

— To szczęście, że nie jadowite — zażartował doktór.

— Ale zawsze grzyby — mówił hrabia wzgardliwie. — Jeszcze tak zwana szlachta, synowie komisarzy, ekonomów, pisarzów, wiedzą, gdzie porośli w pierze; ale te półpanki czy półgłówki...

— Takich jest mało, bardzo mało — odpowiedział doktór z namysłem.

— Mało?... Mam przecież pod bokiem jednego. Nie byłeś doktorze u hrabiego Chlewańskiego? — pytał hrabia, podkreślając drwiąco tytuł.

— Nie wrócili jeszcze z wód — brzmiała odpowiédź.

— Żadne wody nie pomogą na pozbycie się perfumy hrabiów Chlewańskich, to wrodzone — mówił hr. Rugard. Doktór śmiał się serdecznie, jakkolwiek słyszał ten dowcip kilkakrotnie o hr. Chowańskim, sąsiedzie Wieszar, rywalizującym z hr. Rugardem pod względem mieszkania, służby, stajni. Zbyt dobrym politykiem był doktór, by się nie śmiał z dowcipu, a nadto ostrożnym, by powtórzył zmianę nazwiska wobec hrabiego, bo wolno Rugiwojskiemu drwić z hr. Chowańskiego, ale nie doktorowi. To też rzekł z uśmiechem:

— Dowcip pana hrabiego, jest tak gryzący, że wkrótce zniknie tytuł, a bodaj czy nie nazwisko pana Chowańskiego.

— Nie życzę nikomu nic złego—mówił hr. poważnie—więc i temu panu, ale—tu uśmiechnął się—zabawny jest ze swojem pięciem się.

— Po śliskim słupie — dorzucił doktór.

— Nie tyle śliskim ile wysokim. I trzeba ciężkiéj pracy, wielkiej zasługi, by stać się godnym zaszczytu — kończył hrabia z namaszczeniem.

— Słowa pana hrabiego — rozczulał się doktór — są prawdziwe i piękne; mają w sobie coś, co przypomina nasze dobre, dawne tradycye.

— Tylko te nam zostały — westchnął hrabia.

— I Rugiwojscy — dodał doktór, pochylając głowę.

— W Konarach — uzupełnił hrabia z ironią. Po chwili zapytał: — a u Niemoskich zawsze karteczki?

— Bawią się, jak umieją.

— Nie lubię kart — rzekł hrabia z miną obrzydzenia — to dobra zabawa dla idyotów. Są rzeczy lepsze...

— *Wein, Weib und Gesang,* jak mówi walc — podchwycił doktór.

— Nie dla mnie — odparł hrabia poważnie. — Wino lubię tylko w towarzystwie, a tu na kresach go nie ma; kobiéty z temperamentem ujdą czasem, a śpiewu nie lubię.

— Tylko konie? — udał ździwienie doktór.

— Wolę od ludzi, są przynajmniéj pożyteczne.

— Pan hrabia dziś surowy — mówił doktór zapalając drugi papieros.

— Zirytował mnie dziś ten rządca — rzekł z miną kwaśną hrabia. — Zadużo sobie pozwala. Dziś go odprawiam — tu spojrzał na list przygotowany. — Czy nie wiész, doktorze, o jakim dobrym gospodarzu?

Doktór myślał chwilę i uderzając ręką w oparcie fotelu zawołał nagle:

— Mam! Gospodarz wyborny, był w dobréj szkole gospodarskiéj, cichy, spokojny i bez fantazyi.

— Nazwisko?

— Bołsunowski. Obecnie ma małą dzierżawę i może natychmiast objąć obowiązek, bo traci i krucho z nim.

— Znasz go doktorze dobrze? — dopytywał się hrabia.

— Bywam wprawdzie rzadko, ale mogę ręczyć za jego uczciwość. Nie geniusz to, ale rozsądny człowiek, energiczny gospodarz i wykonawca—zachwalał doktór.

— Mógłbyś się podjąć pośrednictwa?

— Jeśli pan hrabia mi zaufa...

— Daję 800 rubli i 30 korcy ziarna, dom, ogród i opał... Obowiązki znane ci doktorze; ja rządzę, on słucha, to pierwsze i jedyne przykazanie.

— Nie kłam, to drugie — zaśmiał się doktór.

— Nie kradnij, to trzecie i ostatnie. Niech przyjedzie, zobaczę go, pomówię i zdecyduję.

— Jutro będę u Bołsunowskiego—mówił doktór z gotowością — i jestem pewny, że pan hrabia znajdzie go możliwym.

— Służbę może objąć chociażby pojutrze. A jeszcze jedno, żonaty czy kawaler?... Kawalera nie chcę, ma mało do stracenia, to też i dba mało...

— Ale on żonaty i ma dwie córki—zawołał doktór zadowolony.

— Dorosłe?.. No i tego nie lubię, zaraz bale, zabawy, tańce...

— Jedna 18 lat, ładna dziewczyna, druga to dziecko, ale obie uczą się jeszcze w domu...

— Hm... zobaczymy... zobaczymy...

W tém zapukano do drzwi i wszedł kamerdyner Ernest, oznajmiając o przebudzeniu się hrabicza Bola.

W pokoju dziecinnym zastał hrabia i doktór, Hertę i miss Ellen starające się zabawić rozbudzone i kapryśne dziecko.

— Gorączka się zmniejszyła — rzekł doktór po chwili badania — puls normalny.

Herta ucieszyła się wiadomością i zwracając się do doktora mówiła:

— Bolo chce zabawek, a co mu dać, znudzi go prędko. Chce coś zjeść, czy mu wolno?

— Coś lekkiego można — odpowiedział doktór i zwracając się do dziecka pytał: — Zabawki nudzą Bola? Czegóż chce Bolo?

— Konia, ale żywego! — zawołało dziecko.

Hrabia rad z zażądania syna, powiedział z uśmiechem:

— Jutro wstaniesz i zobaczysz twego kuca.

— A teraz nie można? — prosił Bolo.

— Dzisiaj musi Bolo leżéć w łóżeczku — rzekł doktór.

— Kiedy ja się nudzę...

— Miss Ellen opowié ci ładną bajkę — pocieszał doktór.

— Ja nie chcę miss Ellen, niech mi Herta opowié...

— Czy bajka nie zanadto go zmęczy? — troszczyła się Herta.

— Bolo już zdrów i może słuchać — odpowiedział doktór.

— Opowiadaj Herto — wołał dzieciak — ale zaraz niech ojciec posłucha i doktór, twoje bajki są bardzo ładne...

— Niech Bolo będzie grzeczny — rzekł ojciec surowo. — Herta opowié ci bajkę, ale my pójdziemy.

W oczach dziecka zabłysły łzy, Herta szybko nachyliła się ku niemu i gładząc jego miękkie blond włosy szepnęła:

— Cicho, cicho Boleczku, opowiem ci długą bajkę.

— Najdłuższą...

— Dobrze, tylko nie płacz, wstydź się, taki wielki chłopiec.

Po wyjściu ojca i doktora, Herta przyćmiła lampę, pozwoliła miss Ellen wyjść do pobocznego pokoju, usiadła na foteliku obok łóżeczka i zaczęła swą bajkę:

— Daleko, daleko, tam kędy sinieje morze, a wysokie fale z wielkim szumem i białą pianą uderzają o czarne granitowe skały jest wyspa, zielona jak wiosna, bogata jak korona królewska, silna jak lew na straży. Tam, na wysokiéj skale stał zamek, który urągał wiatrom i burzom, i patrzył daleko na sine morze, na krawędzie nieba, kędy wschodziło i zachodziło słońce. Zamek ten dzierżyli olbrzymi; ich była wyspa i cały kraj dokoła. Tu mieszkali od wieków, tu były grobowce kamienne, tak wielkie, że dzisiaj stu ludzi nie dźwignie tych płyt kamiennych. I przypłynęli karły, kawałkami rwali skały, szarpali okruchami, ale olbrzymi nie zważali na robotę karłów, bo przecież jeden olbrzym pokona stu karłów, i siedzieli spokojnie na wysokim zamku. Aż przyszedł dzień i zachwiał się cały zamek. Poznali olbrzymi, że już im ginąć trzeba. Więc wzięli największe płyty, uczynili wielki grobowiec i tam weszli gromadnie z żonami i dziećmi, by nic już po nich, prócz grobów, nie zostało. Lecz żona króla olbrzymów miała córeczkę malutką, którą bardzo kochała, i nie mogła przenieść myśli o śmierci tego dziecka, więc nim dzień zguby zaświtał, wybiegła nocą i w koszyku puściła dziecko na morze. A morze, które tyle wieków patrzyło na moc i panowanie olbrzymów, które teraz widziało ich upadek i zagładę, utuliło dziecię i niosło daleko ku brzegom.

Tam napotkał je rybak, a że dzieci nie miał, ucieszył się bardzo i zaniósł dziecko swéj żonie. Ona nazwała ją Hertą. Dziecko rosło i rosło, tak piękne, dumne i odważne, że wprawiało wszystkich w podziw. Nie wiedzieli bowiem, że to królewska córka i ostatnia z rodu. Była dobrą, posłuszną, kochała rybaków, a nadewszystko morze. Całemi godzinami stała na wybrzeżu, rozpuściła włosy swe złote na wiatr i kładła rękę na falach, które biegnąc po piasku roztrącały się u stóp jéj cicho i bez szelestu, jakby uszczęśliwione jéj pieszczotą i znów wracały do zielonego morza, opowiadając o Hercie innym falom.

Panował tam wówczas młody król Jasmund, silny jak tur, łagodny jak łania, smukły jak jeleń. Oczy jego, gdy się zapaliły gniewem, błyszczały złowrogo jak u rysia i najśmielsi drżeli, lecz gdy się uśmiechnął, to tak, jakby promień słońca rozdarł chmurę i wpadł na ziemię, tak on rozweselał wszystkich. Jednak miał zawistnych i chytrych wrogów między swymi rycerzami i gdy po wyprawie ucztował, kazał nalewać w puhary złote wino, podsunęli mu truciznę taką, że od niéj mgła ciemna, nieprzejrzana, padła na oczy. Nie śmieli go bowiem zabijać, bo kochał go lud i bali się zemsty. Od téj chwili Jasmund nie widział ani słońca jasnego, ani borów zielonych, ani błysku miecza swego. Zamknął się więc w wysokiéj wieży i rozesłał wiernych rycerzy po kraju, by szukali takiego, coby go uleczył.

Usłyszała o tém Herta, i marząc o tym pięknym, nieszczęśliwym królu, patrzała na słońce, które łagodnie kładło się do morza na swe złote i koralowe łoże. Herta pieściła falę za falą, które podpływały dziś częściéj niż zazwyczaj i zasnęła nad morzem. Śniła o młodym królu, o jego ślepocie, a morze zwolna tak się zbliżyło do niéj, że fale mogły jéj powierzyć swą tajemnicę, iż za górą, pod kamieniem jest woda, która uleczy króla. Herta, przerażona szeptem, zerwała się i spojrzała na morze, ale morze szumiało i śpiewało jak zazwyczaj.

Szła tedy Herta do tego źródła, nabrała w dzban téj wody i przyszła do króla. Wrogi nie chcieli jéj puścić, lecz widząc w niéj tylko rybacką dziewczynę z dzbankiem wody, puścili. Gdy zobaczyła młodego króla, którego włosy miały blask słońca, usta były jak róże, a taki był smutny i nieszczęśliwy, zapłakała Herta i obmyła mu oczy. Jasmund ujrzał ją i pokochał. Ukarali niewiernych rycerzy, ale król nie chciał dłużéj panować nad tym krajem, zebrał wiernych i wraz z Hertą popłynął daleko morzem i rzekami na wielkie urodzajne pola i niwy. Herta jednak tęskniła za morzem i gdy Jasmund był na dalekiéj wyprawie, porzuciła ona zamek i złoto, i syna jedynaka, i popłynęła sama na łódce do morza. A morze ucieszone pochwyciło Hertę, skryło ją głęboko, głęboko i nikt, już nigdy nie widział Herty.

Bolo słuchał opowieści z wielką uwagą, a gdy się skończyła, zawołał:

— Brzydkie morze, dlaczego ją zabrało?

— Bo kochało ją.

— A ty Herto kochasz morze?

— Kocha się tylko Boga i ludzi, ale bardzo lubię morze.

— A co się stało z Jasmundem i synem?

— Żyli długo, panowali, byli sławni, bogaci...

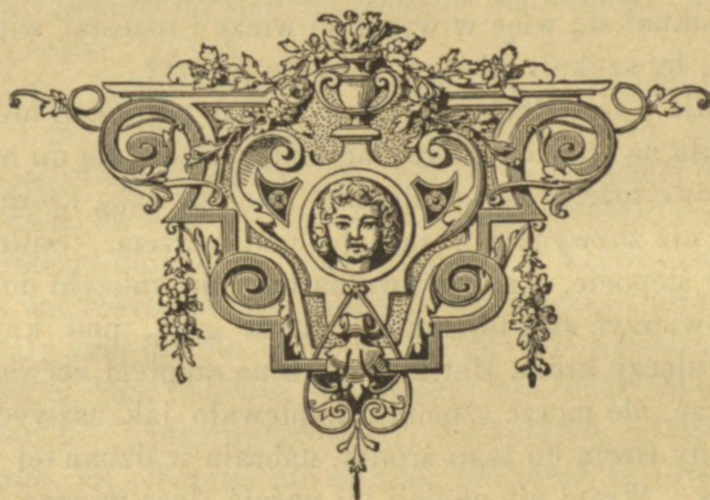
— Aż przyszli karły i ich zwyciężyli—przerwał Bolo.

— Nie, przecież ojciec i mama żyją...

— A jak przyjdą karły? — pytał Bolo uporczywie.

— Zwyciężymy!

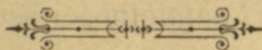
(*D. c. n.*) *Artur Gruszecki.*



Uwagi o „MARYI STUART”

SŁOWACKIEGO

w przedstawieniu prof. Małeckiego.



Siostrze méj ofiaruję.

I.

Wiem, że daję dowód wielkiéj odwagi, ba, nawet zuchwałości biorąc do ręki pióro po A. Małeckim, dla rozbioru „Maryi Stuart”. Czytelnik, spojrzawszy na tytuł, pomyśli sobie: Utwór Słowackiego od tak dawna powszechnie znany, czyżby aż dotąd oczekiwał należytéj oceny? A zresztą, młodsze to dziecko muzy Słowackiego nie jest policzone między dzieła, które wciąż przykuwają do siebie uwagę, odkrywają coraz nowsze a dalsze widnokręgi. Pocóż tedy omawiać to, co wielokrotnie już było omawiane?

Odważyłem się jednak podjąć nanowo rozbiór krytyczny wydatniejszych postaci dramatu i wejrzéć jednocześnie głębiéj w samą jego osnowę. Przecież dzieło naszego poety nietylko b y ł o w ręku szerokiego koła czytelników, ale téż i b ę d z i e w ich ręku. Mimo wszelkie zarzuty dramat utrzymuje się na scenie, posiada zatém pewien tytuł do ściągania na siebie krytycznéj uwagi. Zachęca mnie również następująca okoliczność.

W ciągu pracy zauważyłem, że wnioski moje zgadzają się z wynikami, jakie na innéj drodze poczynił p. Hahn w rozprawie swéj, zamieszczonéj w lutowym zeszycie „Ateneum" z roku 1894 („Przyczynek do genezy Maryi Stuart"). A nadto... słowo Małeckiego w stosunku do poety, któremu tak piękny pomnik postawił, bywa dotychczas bardzo często uważane za wyrocznię. Najlepszy tego dowód mamy na Spasowiczu, który idzie za biografem poety. Ale czyż wszystkie wnioski znakomitego krytyka zawsze mają równą wartość? Czyż żaden z nich nigdy nie może ulec sprostowaniu? Nie znajdzie się ani jeden zbyt pośpieszny? [1]).

Zresztą, nie jest mym zamiarem poddawać w wątpliwość całości poglądów p. Małeckiego, o ile one dotyczą „Maryi Stuart". Osnowę zaś tych poglądów rozumiem w następujący sposób.

Rzeczony utwór, mimo swéj nazwy, nie jest zgoła dramatem „historycznym". Poeta nie wyzyskał tła dziejowego, zlekka zaznaczonego w scenie wstępnéj. Warunki, które popchnęły królowę Szkocyi do upadku, nie tkwią bynajmniej w okolicznościach czasu. W utworze podjęto zagadnienie całkiem psychologiczne. Pierwotne przyczyny zbrodni i zguby złożone są w osobowości lekkomyślnéj kobiety, porwanéj wirem wypadków i namiętności osobistych. Dwa główne zarzuty uczynić można wykonaniu podjętego zadania. Pierwszy—to pominięcie etycznych względów dla osiągnięcia silnych poetyckich wrażeń: poeta nie umiał osłonić Maryi przed odrazą, jaką wzbudzają jéj zbrodnie, za pomocą współczucia, wywołanego w czytelniku, nie umiał stworzyć i utrzymać w widzach wiary w lepszą cząstkę jéj serca. Dru-

---

[1]) Rozbiór „Balladyny" np. można uważać za całkowicie chybiony. Daje on szerokie pole do przeciw-krytyki. Lecz dla rozwinięcia téj myśli wypadałoby chyba poświęcić artykuł. Dla przykładu tedy obiorę drobniejszy szczegół. W Lambrze jest mowa, iż na wygnanie towarzyszył bohaterowi „ktoś drugi", co przy nim giermka podjął się usługi. Kto to był taki? — może odgadniecie?" Oczywiście jest to sam śpiewak, który przed chwilą mówi o sobie: „Widziałem walkę, widziałem to błonie, gdzie siła naszych rycerzy poległa. Ja byłem dzieckiem i patrzałem z chaty." A nasz krytyk każe się błąkać w przebraniu męskiém kochance bohatera, z którą się spotykamy d o p i é r o w d a l s z y m c i ą g u o p o w i a d n i a. Aby zaś wytłómaczyć fakt wkradania się Idy na okręt korsarza, prof. Małecki przypuszcza, iż ona „od pewnego czasu" już nie dzieliła losów Lambra. Lecz o tém ani wzmianki w poemacie. W następstwie tego *qui pro quo* z paziem, krytyk nie nie może dojrzéć niekonsekwencyi, któréj się dopuszcza poeta: długoletni przyjaciel wodza daje się najprzód przekupić, jako zwykły najemnik; daléj, widząc okropne skutki swego wiarołomstwa, myśli jedynie o ucieczce, nie zapominając o worze złota... Gdzie patryotyczne pobudki, które go pchnęły na ścieżki tułacze, gdzie uczucie przywiązania?

gi zarzut dotyczy wadliwości przeprowadzenia kompozycyi. Nim słuszność jego sprawdzimy, chciałbym uprzednio zwrócić uwagę czytelnika na inny, niemniejszéj wagi szczegół.

II.

W pierwszym okresie swéj twórczości poeta nasz pozostawał pod wpływem Byrona; jego bohaterowie są odbiciem Lary, Korsarza i t. p. demonicznych typów. Jeden z bohaterów „Maryi Stuart" — Botwel, posiada pewne znamiona, łączące go z innemi bajroniczno-demonicznemi postaciami, występującemi we wcześniejszych utworach Juliusza, jak „Mindowe", „Arab", „Żmija". Ta okoliczność pozwala omawiany przez nas obecnie dramat wliczyć do téj saméj kategoryi dzieł poety, do jakiéj należą pomienione utwory. Czyni to prof. Małecki, a za nim Wł. Spasowicz. Jak wiadomo, upodobaniem Słowackiego do typów demonicznych, krytyk jego tłómaczy niepowodzenie pierwszych tomików jego poezyi. Społeczeństwo polskie—mówi on—nie mogło zrozumiéć pierwiastków buntów, przekleństwa i t. d., uosobionych w bohaterach poety; nie mogło pojąć, o co chodzi właściwie i samemu poecie, i postaciom przez niego stworzonym... Otóż należy sprawdzić, o ile słuszną jest rzeczą przykładanie ogólnéj miary — demonizmu bohatera — do „Maryi Stuart". Albowiem, jeżeli jest prawdą, że dramat ów jest tylko jednym z objawów tego nieszczęśliwego usposobienia Słowackiego, w pierwszéj chwili jego wystąpienia na szerszą widownię, jeżeli jest prawdą, że w utworze tym najwyraźniéj i najgłośniéj słyszéć się daje dźwięk téj samy struny, wciąż targany przez poetę, a wydającéj, niemiły i zagadkowy dla ogółu głos,— w takim razie byłoby to rzeczą naturalną, że „Marya Stuart" uległa wspólnemu losowi innych dzieł Słowackiego. Jeżeliby znowu znamiona t. zw. bajronizmu, leżały tylko lekkim pokostem na osobie kochanka Maryi, poetyckich grzechów dramatu należałoby szukać gdzieindziéj. Dlatego za wstęp do dalszych uwag obrałem postać Botwela. Posłuchajmy, w jaki sposób przedstawia nam wspólnika Maryi Spasowicz „Do typu wcielonych demonów należą także: Mindowe czyli Mendog i Botwel — w „Maryi Stuart", dwa pod względem przewrotności pokrewne sobie charaktery" („Dz. Lit. Pol.", wyd. 91 r., str. 377). Mniéj więcéj w ten sam sposób przemawia również Małecki: „Jeden z tych typów bajrońskich, nigdy niezadowolonych z niczego...." W objęciach zbrodniczego kochanka, przed którego tajemniczą istotą i sama

się wzdryga" i t. p. Gdzieindziéj Botwel ukazuje się „jakby napiętnowanym cechą potępienia na czole".

W ten sposób uprzedzeni, przypatrzmy się teraz naszemu bohaterowi, jakim on jest nie według swych słów, lecz w postępkach swych, i rozważmy pobudki jego działań. Na początku III-go aktu zastajemy go pod oknami królowéj, która bawi się właśnie w liczném kole dworskiego otoczenia. Nasz rycerz ma w piersi całe piekło ambitnych chęci, trawi go niemożność natychmiastowego ich urzeczywistnienia. W przyszłości świeci mu zwodniczym blaskiem korona. Ale czy naprawdę znajdzie się kiedykolwiek na jego czole? Tu wątpliwość ogniem pali mu skroń.

....jam płocho marzeniom zawierzył,
Czyliż na krok jeden zbliżyłem się do tronu.

Tymczasem, jak chciwy żebrak, z zawiścią i upokorzeniem spogląda na spływające z okien światło, widzi niewyraźne zarysy postaci. A tym, co się tam cisną, wolno być blisko słońca, które go do siebie podnieść może, on tylko pominięty, zapomniany:

.....Oto na tym dworze
Tłum zalotników, pełen nadziei, zapału,
Ja jak nędzarz u progu... okna oświecone,
Cień się jakiś przesuwa po szybach kryształu—
Tak, to ona, królowa! poznałem koronę...
Bliżéj, bliżéj — o nieba! już mi sił nie stanie,
W oczach się snują dziwne gorączki kolory.

Zdaje mi się, że w tym charakterze, jak nam tu odkrywa, nie ma nic zagadkowego, nic tajemniczego. Czatujący pod oknami awanturnik o włos nie jest wyższy od zgrai dworaków, w téj właśnie chwili nadskakujących królowéj. Przenosi on ich tylko zuchwałością zamiarów. Jak daleką jest od niego wyniosłość i dumna pogarda Lary, Korsarza, Lambra, Mindowego, Żmii, Bieleckiego! który z nich tak chciwie wyciągał rękę po szych, który tak płaszczył się, takie wydobywał z siebie skomlenie psa zgłodniałego?

Nic téż dziwnego, że podobny człowiek nie wzdrygnie się przed żadną koniecznością, a wszystko złoży na ołtarzu marzonéj wielkości, i nie drogą cenę zapłaci, bo ta zapłata nie wiele go kosztować będzie. Prosi swéj gwiazdy, by mu przyświecała.

„Może krew na téj drodze, świéć — krwi się nie boję."

Poznaliśmy wytknięty sobie przez Botwela cel i drogę, którą podążać ma, zobaczymy, czy z niéj zboczy?

Natrafiwszy na dogodną dla siebie chwilę, gdy uczucia niechęci, a nawet nienawiści względem męża, doszły w sercu znieważonéj Maryi do najwyższego stopnia napięcia, — na chwilę, gdy królowa wskazuje mu w perspektywie swą miłość i koronę za cenę śmierci Henryka, Botwel odrazu czuje się panem położenia. Powtarza ostatnie słowa królowéj:

„On żyje jeszcze? W dobrą trafiłem godzinę,
Wieki trzebaby czekać na takie wyznanie,
A teraz ją zdradziły rozpacz, obłąkanie,
Myśl zemsty w niéj ukrytą jako kwiat rozwinę;
Piękny kwiat, choć zatrute owoce wyradza,
Teraz chyba szatana wyrwie mi ją władza!
Serce się moje kobiet łzami nie rozczula...
Chce, żebym myśl jéj odgadł? nie, ja nie rozumiem!
Aż mi powie: Botwelu! zabij! zabij króla!
Za mniejszą cenę nie chcę zabijać — nie umiem.“

Jaki to zimny, pewny siebie człowiek! A przed chwilą głodna żądza przyśpieszała mu oddech, słowa z trudnością się przeciskały przez usta, spazmem chciwości skręcone.

Wyraźne wspólnictwo królowéj w zbrodni odda w ręce dzielnego rycerza władzę nad występną kobiétą, a wtedy korona już go nie minie. Nie daje tedy zagasnąć w sercu małżonki Darnleja uczuciom znieważonéj dumy i zemsty, znajduje coraz nowy powód do jątrzenia rany, a nadewszystko domaga się zdarcia wszelkiéj zasłony między myślą a czynem. Niech powié głośno — zabij!

Zrozpaczona niedomyślnością kochanka, Marya już kończy westchnieniem:

„.... Zniknęła nadzieja,
On mnie nie pojmie, ja się wyrzec nie ośmielę.“

Lecz wtedy przewrotny kusiciel rzuca na szalę swą groźbę oddalenia się..., a za przyczynę podaje przykład Rizzia: los nieszczęsnego harfiarza poucza, że niebezpiecznie jest zanadto zbliżać się do téj, która tylko z imienia jest władczynią Szkotów...

Stanowcze słowo wyrwane wreszcie z ust obłąkanéj... Król ma zginąć... Ale Botwelowi nie dosyć tego upokorzenia. Daje swéj wspólniczce truciznę dla Henryka pod pozorem usypiającego napoju...

Od końca aktu III-go i przez dwa następne, Botwel wytrwale i konsekwentnie dąży do zamierzonego kresu — przykucia do siebie Maryi za pomocą występku, bo „serca zbrodnią skalane nie boją się zbrodni"—sama krwią zmazana nie odepchnie jego krwawéj ręki.

Takim jest kochanek królowéj w swych czynach. Przywykliśmy w bohaterach „demonicznego" typu widziéć jakiś wewnętrzny niepo-

kój, popychający ich do zbrodni, z którego sami sobie sprawy zdać nie umieją. Można sądzić, że występek pociąga ich ku sobie jakimś szczególnym, właściwym sobie czarem. Widok ran zadawanych, zda się, dostarcza im jakiéjś rozkoszy, połączonéj z męczarnią, z wyrzutem sumienia. Zniszczenie i pustka, którą sieją dokoła, jest jakby wynikiem i wyrazem uczuwanéj czczości życia. Obiérając sobie jakiś cel określony, nigdy nie są pewni, czy cel ów godzien podjętych wysiłków. Nic podobnego nie widzimy w Botwelu od chwili, gdy zapragnął korony za jakąbądź cenę. Wié on bardzo dobrze, czego chce, zbrodnia go nie nęci, lecz i nie odpycha, wahań ani śladu. Jest to postać tak doskonale skończona, przejrzysta, że w umyśle czytelnika nie pozostawia żadnéj wątpliwości, co do sprężyn swojego postępowania. Są one należycie oświetlone i uwydatnione. A mniejsza o zamiar autora, — mówię o wrażeniu, którego doznaje czytelnik. I jeżeli ten człowiek może miéć jakieś uroszczenie do poetycznéj aureoli, równeż prawa do niéj posiada każdy zbój, wkradający się oknem do pokoju, a z nożem w ręku, by ugodzić tego, ktoby mu stanął na drodze; każdy złodziéj, gdy wchodzi w układy ze służbą... Przecież i oni buntują się przeciw społeczeństwu.

III.

Upada tedy sam przez się główny zarzut, skierowany przeciw wcześniejszym utworom Słowackiego, a mianowicie: „Nie wiadomo, o co poecie chodzi.” Upada, powiadam, przynajmniéj co do postaci „demonicznego bohatera.”

Nie było to jednak zamiarem poety stworzenie niezłożonego charakteru, jakim się okazał w ostatecznym wypadku nasz rycerz. Zamierzał go on ubrać w ulubione swe posępne barwy duchów niespokojnych, cierpiących, potępionych. Lecz na umysł czytelnika głębsze wywierają wrażenie nie szaty skradzione, nie słowa, lecz czyny.

Poraz pierwszy ukazuje się oczom naszym Botwel w drugim akcie u astrologa. Wystąpienie to nie jest umotywowane, przykład nie jedyny w dramacie. Botwel nosi się z myślą samobójstwa, więc się sam dziwi temu, co go zapędziło w progi starca.

„Czemuż wszedłem w te progi? Muszę być szalony!
Obaczyć przyszłość? Zajrzéć w dno prawdy kielicha?
Przyszłości mi nie kryją nadziei zasłony...“

Po długich rozmyślaniach o tém, co może go czekać z tamtéj strony grobu, przychodzi wreszcie do najsłuszniéjszego wniosku:

„I czego tu przyszedłem? tak—wrócę się—wrócę“,

aż tu całkiem niespodzianie i wcale nierozsądnie dodaje:

„Nie, już się stało, tak jest—stało się, zostanę“.

Poeta chciał wprowadzić Botwela na widownię z bardzo ważnego względu dla dalszego rozwoju wypadków. Astrolog, wskazując mu tron w przyszłości, ułatwia przez to zbliżenie się jego do kochającéj go królowéj. Dążenie do włożenia na swe skronie korony — ze strony Botwela, w połączeniu z różnorodnemi uczuciami, miotającemi Maryą, sprowadza wszystkie następne powikłania dramatu. Astrolog wobec Botwela odgrywa rolę czarownic wobec Makbeta. Przepowiednia, z gwiazd wyczytana, zatrzymuje rycerza przed rzuceniem się w otchłań nicości. „Zatrzymał mnie ten starzec nad przepaścią zgonu.“ Czy dla dalszego rozwoju wydarzeń potrzebny był ten szczegół samobójczego zamiaru? Nie. Nie wiąże się on w jeden łańcuch z późniejszemi postępkami nieprzebierającego w środkach człowieka. Owszem, do określenia jego osobistości, wprowadza pewien sprzeczny rys. Gdy mu rzucają to magiczne słowo: Będziesz królem! nie odrazu daje się on uwieść ułudom wielkości. I nie dlatego, żeby nie uwierzył temu, kto mu taką nowinę zwiastuje! Nie! Oto wobec otwierającéj się przed nim perspektywy — nieolśniony przyszłém wyniesieniem, znajduje on w sobie tyle filozoficznego spokoju, że jest zdolny ważyć w umyśle względną wartość dostojeństwa królewskiego i cichości grobu.

„Będę królem... Kląć ciebie? Czy dziękować tobie?
Nie wiem, powiédz mi starcze, powiédz, czy na tronie
Spokojniéj jest niż w grobie? ten wszystko pochłonie,
Może późniejsze życie gorzki owoc wyda?
I pocóż, pocóż ścigać tak znikomą marę.“

Jakież to przyczyny wtrąciły w takie zniechęcenie, wyniszczyły żądzę życia w młodym, pełnym sił i nadziei, świetnym rycerzu? Te są pozostawione w cieniu.

„Widzisz mnie, astrologu, na wybladłéj twarzy
Gorzki uśmiéch i wzgarda, nie patrz, co jest we mnie.
Któż się we wnętrze grobu zaglądać odważy?
Nie zniszczyły mnie zbrodnie, jest to sytość życia,
Gorące serce wrzało we mnie od powicia,
Teraz jestem znużony — zimny — umrzéć muszę.“

A zatém widzimy tu przed sobą człowieka tak zmęczonego życiem, starganego cierpieniem, że z tęsknotą i z upragnieniem, z uśmie-

chem błogości wewnętrznéj zbliża się do rozwartéj przed nim otchłani mogilnéj „śmierć nie jest straszna”.

Jakże teraz wytłómaczymy sobie to nagłe przeistoczenie się Botwela-samotnika, który „tajemniczy miał smutek wyryty na czole”, Botwela, goniącego sentymentalnie różę, wypadłą z włosów królowéj, w Botwela-srogiego, ambitnego okrutnika?

Mamy tu jakby przełamanie osobistości na dwoje, widzimy raczéj dwu różnych ludzi. Jeden z nich powiada o sobie: „nie zniszczyły mnie zbrodnie” Drugi śmiało depce po trupach: „może krew na téj drodze? krwi się nie boję”. Do jednego śmierć miłosne wyciąga ramiona, drugi cały wypełniony jest brutalną żądzą życia. Bo czyż ten drugi choć raz, raz jedyny, zadał sobie pełne niepokoju pytanie: Po co mi to wszystko? A powinien był być przyzwyczajony do pytań takiego rodzaju — jeżeli to ten sam człowiek przemawiał tak gorzko w akcie drugim: syt jestem życia.

Z tego wszystkiego wolno nam uczynić następujący wniosek: Botwel miał być typem demonicznym, lecz nie utrzymał się na téj wysokości (jeżeli to jest wysokość) wbrew chęci autora. Natomiast zyskał na jasności charakteru i roli, w któréj występuje. Nadmienić też wypada, że ten drugi Botwel — z aktu III-go i następnych — sympatyi autora nie posiada. Został on żywcem przeniesiony z tragedyi Alfierego, gdy tymczasem Botwela drugiego aktu wymarzył sam poeta. Twierdzenie co do genezy postaci kochanka Maryi można uważać za dowiedzione po rozprawie p. Hahna.

W nawiasie niewielka polemiczna uwaga. Smutna postać rycerza pociąga ku sobie Maryę. Nie przeczę. Lecz myli się autor „Juliusza Słowackiego”, gdy twierdzi, że przed kochanka „t a j e m n i c z ą istotą w końcu i sama (Marya) się wzdryga”. Nie zagadkowość to, lecz całkowite jéj wyzbycie się, odsłonięcie przyłbicy przeraża królowę.

„O, Botwelu, Botwelu! nie jesteś aniołem!
I n n y s t w o r z y ł a m o b r a z niegdyś w mojém sercu.
Precz! precz ode mnie! zbójco z tém wybladłém czołem.“

Co prawda, mamy tu do czynienia z jedną jeszcze niekonsekwencyą autora. Marya przecież bardzo chciała, by ów „anioł” odgadł jéj tajoną myśl zbrodniczą! Skądże rozczarowanie?

Nim pójdziemy daléj, proszę czytelnika, ze względu na dalsze części wykładu, o pamiętanie, że Botwel występuje c z y n n i e dopiéro w akcie 4-ym i 5-ym.

IV.

A teraz postarajmy się rozstrzygnąć pytanie, czy skazy, dostrzeżone w przedstawieniu jednego z głównych bohaterów, są zjawiskiem odosobnioném? Mowa tu oczywiście o skazach estetycznych, nie moralnych.

Jeśli dzieło o psychologicznym zakroju, jakiém jest Marya Stuart, ma zyskać trwałe uznanie, winno posiadać jeden z następujących warunków, które zapewne oddzielić się od siebie zupełnie nie dadzą. Najprzód autor może poruszyć strunę współczucia, i tą jednością uczucia połączyć z sobą mniéj lub więcéj świetnie wykonane poszczególne obrazy, wystąpienia działających osób. Mam tu właśnie na myśli to, co Małecki nazywa etycznemi wymaganiami. Pod tym względem utwór naszego poety zadowolić nas nie może. Czytelnik czuje się jakoś obco, nie zespala się w uczuciu, — rzadko chyba — z przebiegającemi przed jego wzrokiem postaciami, zwłaszcza z Maryą. Nad tym punktem, dostatecznie rozwiniętym w pracy biografa poety, dłużéj zatrzymywać się nie będę.

Ale autor, zdaniem mojém, może się również chwycić innego środka, wiodącego z niemniejszą pewnością do celu: jest to przenikająca utwór ciągłość myśli, dokładność rozbioru duszy ludzkiéj, rozbioru, postępującego naprzód wciąż tą samą drogą, nie zbaczającego w stronę, nie wikłającego wyników, — lecz prowadzącego w końcu do jakiegoś głębszego wniosku. Czy utwór naszego poety wyjdzie z próby zwycięsko, jeśli doń przyłożymy taką miarę? Potrącamy tu o zarzut, o którym wspomniałem już na początku — zarzut wadliwości budowy. Wydatne miejsca są wprawdzie silnie oświetlone, lecz jakby wiszą w powietrzu, albowiem poeta — może umyślnie — nie uzasadnia postępków poruszających się osób. Oto jeden z najważniejszych przykładów, wskazanych przez pr. Małeckiego. Śmierć Rizzia jest niby punktem zwrotnym dramatu. Od téj chwili Marya coraz szybciéj stacza się w przepaść, którą otworzyła przed nią jéj własna lekkomyślność... Widzimy zatém, jak poważną jest rzeczą uzasadnić obecność Rizzia u stóp królowéj w czasie, gdy zabójcy się zbliżają. Tymczasem nic oprócz dowolności autorskiéj czytelnik dojrzeć tu nie może. Wszak wyjazd był nakazany przez królowę tak stanowczo i w tak chłodno-ironiczny sposób, iż o odwołaniu postanowienia mowy być nie może. A jednak Rizzio zjawia się w nocnéj dobie w komnatach niekochającéj go kobiety i na jéj własne żądanie!... Tyle Małecki. Możnaby łatwo wskazać inne podobne do powyższych przykłady. Jak widzieli-

śmy, z istoty uczuć, miotających sercem Botwela—zgoła nie wypadało, iż ma on zapytywać astrologa o swą przyszłość. O przyszłość—z trucizną w ręku! Jeszcze przed wystąpieniem na widownię wrzekomo smętnego rycerza, nadaremnie chcieliśmy przeniknąć uczucia Mortona, który koniecznie nastaje na życie Rizzia. Skąd tchórzliwemu dworakowi, zabiegającemu naprzemian drogę królowi i królowéj,—skąd mu przybyło tyle odwagi? Co go skłonić mogło do tak śmiałego wystąpienia? Przecie już się wytłumaczył przed Darnlejem, że nie jego to winą zabrakło imienia króla na papierze, przez Maryę podpisanym? Te i tym podobne uchybienia są wszakże podrzędniejszego znaczenia. Należą one całowicie do kategoryi braków wykonania,—nie nadwerężają istoty rzeczy. Łatwo można by je usunąć kilku pociągnięciami pióra. Słówko jakieś wystarczyłoby, iżby w pewność zamienić domysł czytelnika, że pobudką do zbyt stanowczego wystąpienia kanclerza były owe słowa Duglasa:

...Mówiła królowa:
„Jeśli pieczęć upuści dłoń Mortona drżąca,
Może ją weźmie ręka, co o struny trąca.“

Wyobraźcie sobie daléj, że Rizzio pozostaje wbrew woli królowéj, a dla dotrzymania słowa Duglasowi. (Oczywiście, już teraz wykreślić lub przerobić należy oną scenę, gdy spiskowcy wydzierają paziowi list Rizzia). Tymczasem pieśniarz z raju wygnany, błądząc pod oknami Maryi, ulega pokusie.. I oto jeden z punktów, wiszących w powietrzu, zostanie mocno ugruntowany na podstawach gmachu, nie tracąc nic z oświetlenia swego.

Ta tedy okoliczność, że akcya rozwija się skokami, bez dostatecznego ustopniowania przejść od jednego położenia do drugiego, — ta, mówię, okoliczność, łatwiéj dałaby się wybaczyć, jeżeliby ruch odbywał się wciąż w tym samym kierunku. Lecz rozwój zdarzeń w utworze jest już skrzywiony w samym pomyśle. Akcyi zbywa na wewnętrznéj jedności. Uwaga czytelnika się rozstrzela w różnych kierunkach. Najgłębsze pobudki nie pojedyńczego działania, lecz całego szeregu czynów nie są należycie wyświetlone. Wypadki, wypełniające dramat, nie zbiegają się do jednego punktu, nie są nawiązane na tę samą nić jednéj myśli przewodniéj. Oto twierdzenie, które mi należy uzasadanić. Więc najprzód — niewyraźne są uczucia, łączące czy dzielące dwie główne postaci dramatu—Maryę i Henryka. A przecie wokoło tych uczuć nawija się wątek akcyi. Poddajmy rozbiorowi sprężyny, poruszające Darnlejem. Jakie głosy najsilniéj w nim przemawiają? Czy zazdrość o władzę? Czy miłość i jéj odwrotna strona—za-

zdrość? Czy upokorzenie godności męża zdradzanego? Widzimy go doprowadzonego do wściekłości tém powiedzeniem błazna, że jego wizerunku nie ma na szylingu.

„Jestem królem — nie jestem królem, sam się dziwię,
Że tak długo cierpiałem honoru zakałę...
Dosyć już poniżenia, jam na wszystko gotów...
Gdzie się obrócę — dziecko wytyka mnie małe:
Oto jest mąż królowéj! Czemuż nie król Szkotów?
Mąż królowéj — to wielka dla Darnleja sława?“

Sporo znajdziemy podobnych wzmianek, tu i owdzie rozsianych. Nie brak wszakże i wprost przeciwnych, z którychby wywnioskować wypadało, że Henrykowi chodzi przedewszystkiém o serce Maryi:

„Długo żyjąc oddaleni
Nie żyjemy tak zgodnie, jak dawniejśmy czuli...
To prawie m o j a w i n a... j a k a ś z a z d r o ś ć p ł o c h a
Rozdzieliła nas, zdradę podstępni uknuli.
Lecz królowa kochała i teraz mnie kocha.“

Albo z jaką czułością (Akt. IV) dziękuje Maryi, że go odwiedziła, jak usilnie chce ją zatrzymać...

„O Maryo! mój aniele! Boże! dzięki Tobie!
Nawróciłeś jéj serce, kocha mnie tak szczerze?
. . . .
Wszystko się odmieniło, już jestem szczęśliwy,
Czy widziałeś jéj uśmiech? uśmiech szczery, tkliwy?“

Jakiekolwiek pobudki działały w Darnleju, to jednak pewna, że męża Maryi odsunęło od niéj to z ogółem dzielone przekonanie, że Włoch zadaleko się posunął w łaskach królowéj. Postępowanie jego się nie zmieni, jak bądź ocenimy jego przyczyny. To też rozbiór uczuć Darnleja ma znaczenie nie ze względu na niego samego, lecz raczéj ze względu na stosunek Maryi do męża. Ten ją kocha, jego oddaliła zazdrość, myśl o wystygnięciu w jéj sercu miłości. Być nawet może, że w głębi serca uważa miłość Maryi tylko za środek do władzy, nie za cel. A ona? Czy mamy do czynienia tylko z lekkomyślnością z jéj strony? Być może, — bo przecież nie kocha harfiarza, bawi się nim jedynie. A jeżeli to tylko lekkomyślność—co się stało pobudką do usunięcia imienia Henryka, z owego rozkazu, do którego nie chce przyłożyć pieczęci dłoń Mortona drżąca? Czy ją skłoniło do tego podejrzenie wyrażone w słowach:

„M o ż e lud działał zgodnie z Henryka rozkazem?
Wszak jego trefniś luby sam przewodził w tłumie?“

Powód to nadto błahy, zwłaszcza jeżeli zważymy że to jest „Pierwszy czyn przeciw męża," że nieledwie powstrzymuje ją to przypuszczenie, iż się Henryk obrazi. Czyż można na jednéj szali kłaść obrazę i poduszczanie ludu przeciw wyznaniu, które opieką swą otacza królowa i ukochana kobieta? Więc jedno z dwojga. Jeżeli Marya uważała za prawdopodobne takie objawy niechęci ze strony swego męża, jak łączenie się z „płochym ludem stolicy" – w takim razie nie miała już powodu obawiać się „obrazy." Jeżeli zaś tak nie było, to znowu nie umiemy sobie wytłumaczyć jéj postępowania:

„Pierwszy czyn przeciw męża; opuszczone słowo
Struje szczęście domowe, dni pogodę skazi."

Więc jeszcze szczęście nie strute, pogoda nie zmącona? Nie trudno sobie zdać sprawę i z jéj uczuć i z jéj „pierwszego czynu," tego czynu, w którym się ukrywa zawiązek całego dalszego przebiegu wydarzeń dramatu. Jeżeli miłość własna Darnleja nie będzie obrażona, nie połączy się on z zabójcami włocha, nie wzbudzi zatém ku sobie odrazy i nienawiści ze strony Maryi, nie zostanie otruty, ani wysadzony w powietrze, występna królowa nie dozna całéj rozmaitości sprzecznych uczuć... Owóż należało koniecznie dać czytelnikowi możność głębszego wejrzenia w istotę stosunku małżonków, poznania przyczyn chłodu ze strony Maryi... Pr. Małecki tłumaczy nam, że „taka chwiejna kreatura, taka bezwarunkowa nicość mężczyzny nie była oczywiście stworzona na męża Maryi. Jeżeli Henryk znaczył coś kiedy w jéj oczach, to te czasy dawno minęły. Zgoda i porozumienie małżeńskie spadły między nimi do pustéj formy." Nie dzielę tego zdania. W słowach biografa poety czytam wnioski przez niegoż uczynione ze znajomości postaci Darnleja. Małecki sądzi że tak nie inaczéj Marya powinna była zachować się wobec męża, że innych uczuć posiadać by nie mogła. Atoli wnioski owe ani dadzą się wyczytać bezpośrednio z przedstawienia rzeczy, ani wchodziły w zamiar autora. Ze strony Maryi nie tylko nie widzimy cienia pogardy względem męża, owszem, wierzy ona w jego moc męską; bo oto, w chwili stanowczéj, gdy ani jéj błagania, ani rozkazy nie mogły zmiękczyć twardego serca Duglasa, wtedy nieszczęśliwa z rozpaczą woła:

„O, gdyby tu był Henryk! Tak cicho jak w grobie;
Gdzież Henryk? Henryk! mąż mój." —

Straszna to agonia... Ustęp jeden z najwspanialszych...

V.

Zatrzymajmy się tu chwilę. Poproszę teraz czytelnika, by rzucił spojrzenie po za siebie, przypomniał sobie treść trzech aktów dramatu, uprzytomnił kolej wydarzeń, grę namiętności, która doprowadziła nas wreszcie do strasznego rozwiązania. Zostawiamy za sobą punkt ciemny, a tym jest stosunek Maryi do Henryka. Mimo to bieg wypadków podąża dotychczas równym, acz przyspieszonym krokiem. Obcy przybysz obraża dumnego barona. Darnlej, mając powody mniemać, że jest zdradzony, czuje się upokorzonym. Nie mniéj lekkomyślny, jak sama Marya, daje się wciągnąć do spisku. Rizzio u stóp królowéj zamordowany, łatwo zrozumiéć, jak silne wrażenie wywrzeć musiała na jéj umysł nocna scena i... głos Henryka, głos tego, kogo wzywała jak obrońcę i mściciela swéj czci, swéj dumy, swego uczucia zelżonego, zdeptanego.

„Jestem tu przy tobie.
— Był przy mnie? Henryk! mąż mój? Boże mój!“

Czujemy dobrze, że doznane wstrząśnienie, że ten krzyk zgrozy— nie przeminą bez śladu. Przychodząc do zmysłów, Marya znowu powtarza z przerażeniem:

„Jestem przy tobie... Boże zmiłuj się nade mną!
On był przy mnie, mąż, Henryk, był przy mnie—zabijał,
Nie poznaje Botwela, „Tyś Rizzia krwią zmazany.“

Przewidujemy kierunek, w jakim potoczą się teraz wypadki, prześcigając się w szalonym biegu, tłocząc, popychając ku przepaści i porywając z sobą występnych i niewinnych, lekkomyślnych i rozważnych.

„Mścić się potrzeba—drżyjcie—czyż krew płacić łzami?
Krew za krew—drżyjcie! Zemsta straszliwa nad wami!
Już śmierć weszła do zamku—będą zbrodnie nowe.“

Pewną komplikacyą jest wprowadzenie Botwela właśnie w chwilę po zabójstwie, Marya obłąkana przerażeniem, rozpaczą, rzuca się w objęcie pierwszego lepszego awanturnika, byle w nim zyskać powolne narzędzie swych celów.

„Rzucam się na twe łono, — już jestem zgubiona.“

Oto w jaki sposób mogłaby być zachowana wewnętrzna jedność akcyi.

Lecz myśl poety nie podążyła tym prosto wytkniętym szlakiem. W koło wypadków wpleciona została miłość Maryi dla Botwela.

Nie mówiliśmy dotąd nic o roli, jaką tenże odgrywa w rozwoju wydarzeń od chwili, gdy mamy na uwadze nie pojedyńcze charaktery, lecz ogólny ruch wypadków, a nie mówiliśmy dla tego, że tam dlań miejsca nie było. Poznaliśmy Botwela osobiście już w akcie drugim; na początku aktu trzeciego odsłonił się nam jego wewnętrzny charakter. Pobieżną wzmiankę o nim znajdujemy już w pierwszéj scenie aktu pierwszego. I oto już stoimy u kresu aktu trzeciego. Słyszeliśmy Botwela, widzieliśmy go. A jednak — nie wystąpił on czynnie ani razu, na bieg wypadków nie wpłynął w najmniejszym stopniu, nie rozplątał żadnego węzła, nie zawiązał żadnéj nici. Co innego Rizzio. Jako pośrednio główna sprężyna wszystkiego, co się dzieje, jako środkowa postać, wypełnia on sobą cały utwór. Nawet gdy pada pod ciosem zabójcy,—cień jego kryje chmurą osoby, ich czuci, postępki, myśli. Ostatnie jego słowa: „Boże zmiłuj się nade mną" stają się smutną zwrotką, którą powtarzają kolejno sama Marya, jéj mąż, biedny paź i Nick. Czyżbyśmy mogli nawet na chwilę przypuścić, że postać Rizzia została wykreślona z dramatu? Nie, boby się cała budowa rozsypała. A teraz inne przypuszczenie. Usuńmy Botwela. — Chłodne stosunki między Maryą i mężem, nie stosowne postępowanie Rizzia, lekkomyślność ostatniéj ze Stuartów rodu, zazdrość Henryka, duma i wściekłość Duglasa, zabójstwo na Włochu dokonane — wszystko pozostanie na miejscu bez zmiany, wszystko wywoła właściwe sobie następstwa. Choćby nie miał przybyć Botwel do pałacu o północnéj godzinie, Marya wezwie Henryka, tym samym gromem w nią uderzą ciche jego słowa: „Jestem tu przy tobie." A potém... potém powtarzać będzie: „Boże zmiłuj się nade mną."

„On był przy mnie, mąż, Henryk był przy mnie, zabijał!" A gdy się otrząśnie z przygnębienia — doda jeszcze: „Krew za krew."

W tém wszystkiém aż dotychczas Botwel nie ma najmniejszego udziału. Środkowym punktem jest harfiarz, chociaż gra rolę bierną. Wobec tego dziwnym mi się nieco wydaje pogląd prof. Małeckiego na rolę Rizzia, pogląd zawarty w tych słowach: „Do tragicznego obrotu rzeczy p r z y c z y n i a j ą się u b o c z n e okoliczności, p r z y p a d k o - w e zdarzenia, następstwa nieprzewidzianych, o b o j ę t n y c h założeń dawniejszéj daty." Małecki widocznie większe znaczenie w dramacie przypisuje Botwelowi, może dla tego, że on potrafił opanować serce Maryi.

VI.

Przeważny wpływ na wypadki Botwel wywierać zaczyna dopiéro od chwili, gdy Marya niemal obłąkana, rzuca się w jego objęcia (koniec aktu 2-go). Tu jednakże nasuwa się nam odrazu trudność nielada. Botwel stawił się na wyraźne żądanie królowéj. Uczucie jéj uprzedziło straszliwe rozwiązanie tego splotu namiętności, którego tworzeniu przyglądaliśmy się w poprzednich aktach...

„O, teraz przybądź do mnie! przybądź tu Botwelu!
Przybądź, nie mam korony i nie mam pierścienia,
Przybądź! już się nie lękam Boga i potwarzy...“

tak się odzywa królowa już w drugim akcie. Już wtedy został wprowadzony nowy czynnik, nie pogodzony z całym kierunkiem dotychczasowéj walki namiętnościowéj. Przytoczone słowa naprowadzają nas na łatwy wniosek, iż cokolwiek by się stało, Marya rzuciłaby się w objęcia kochanka; że ten czyn jéj nie wypływa przyczynowo z dramatu, który się odegrał przed chwilą w jéj obecności. Obie sceny połączył wypadek.

Nocnéj sceny w pałacu między królową a jéj kochankiem dotknął również prof. Małecki i osądził ją z tego samego stanowiska, lecz zarazem nie ustrzegł się błędu. Najprzód nie ocenia on w należytym stopniu tego znaczenia, jakie dla budowy całéj sztuki ma wątłość wiązań w tém właśnie miejscu. I nie mogło być inaczéj, ponieważ krytyk chce widzieć w całéj sztuce ciągły, prawidłowy rozwój występnych uczuć Maryi. Rizzio zaś jest dlań „uboczna”, „przypadkowa okoliczność”. Nie może zatém dostrzedz jakby przeskoku od jednego bohatera do drugiego, nie widzi, że się bieg wypadków wykoleja. Pomieniona scena jest dla niego tylko jednym jeszcze przykładem niekonsekwencyi autora. Oprócz tego błędu jest jeszcze inny, wyraźniéj rzucający się w oczy, krytyk nie dojrzał, iż w słowach, zamienionych między królową a Botwelem, obok czynników ubiegłéj doby, oprócz wyznania miłosnych uczuć, znajdują się pierwiastki nowe, będące bezpośrednim wynikiem téj strasznéj chwili, która otwiérała przed nieszczęśliwą kobiétą, w przyszłości, szereg różnych, niemniéj strasznych... Dawniéj Marya potrzebowała zdjąć koronę i pierścień, przestać być królową, by czuć się tylko kobietą, by zawołać: Przybądź Botwelu! O śmierci męża, o zemście nie myślała. Jeszcze kilka godzin temu w ustach jéj nie było tych oto słów:

„... chodź przed ołtarz Pana,
Połączę z tobą dłonie, gdym serce złączyła!
Lecz nie... ta ręka z krwawą ręką powiązana,
On żyje jeszcze! Boże! cóżem wymówiła! (ucieka).

Nie ma więc zupełnéj za sobą słuszności Małecki, gdy się wyśmiéwa z czyjegoś powiedzenia, że scena powyższa jest „psychologicznie uzasadniona". W inném téż świetle przedstawi się nam monolog Botwela, jeżeli uwzględnimy opuszczone przez krytyka słowa:

„On żyje jeszcze
Botwel (sam)
On żyje jeszcze? W dobrą trafiłem godzinę,
Wieki trzebaby czekać na takie wyznanie,
A teraz ją zdradziły rozpacz, obłąkanie".

I rzeczywiście ze stanowiska Botwela była to naprawdę „dobra godzina". Przecie nie chodziło mu o miłość Maryi, o jéj posiadanie. Przed chwilą jeszcze Marya szukała opieki u swego męża. Teraz szuka jéj przed mężem, chce jego śmierci. A zatém — Darnlej ustąpi miejsca Botwelowi, i węzeł zbrodni połączy kochanków.

Postać Rizzia coraz bardziéj teraz usuwa się w cień. U steru nawy stanął „człowiek milszy dla królowéj nad tron i nad życie..." Miłość uzyskuje stanowczą przewagę.

Na początku aktu 4-go widzimy pewną równowagę w umyśle znękanéj kobiéty. Już, jak się zdaje, wyrzekła się zemsty:

„Dziś jestem spokojniejszą, czystych modlitw władza,
Usypia wszystkie troski i uśmiérza bóle".

Ale zły jéj geniusz umié rozdmuchać jeszcze nieprzygasłą iskrę nienawiści. Nie odrazu wprawdzie zmusił Maryę do wyjawienia ukrytéj chęci — lecz w kołczanie jego nie wszystkie się jeszcze strzały wyczerpały:

„Pani! więc dziś się z tobą na wieki rozdzielę,
Przyszedłem cię pożegnać...

Cios ten nie chybił celu. Marya zgadza się na wszystko. Podejmuje się nawet dać senny napój mężowi, by ułatwić zbrodnię. A teraz rozważmy pobudki czynu: jeżeli Botwel popycha królowę do stanowczego kroku, wyzyskując jéj uczucie ku sobie — to... Rizzio mógłby żyć. On przestał już być główną posuwającą sprężyną... Dla Botwela, nie dla Rizzia Marya stała się zabójczynią. Posłuchajmy jeszcze rozmowy, jaka się toczy między Darnlejem, a jego żoną. Henryk błaga królowę o przebaczenie za swe wspólnictwo w krwawym czynie. Cóż

na to Marya? Czy uczucie zemsty, rozpaczy, odwetu przemówiło w niéj jękiem, krzykiem, groźbą, silniejszém uderzeniem serca? Nie, ona z zimną krwią stara się uśpić wszelkie podejrzenia. Śmierć męża w umyśle jéj postanowiona, bo ta śmierć—to nie kara dla zbrodniarza, to stuła, wiążąca ją z Botwelem. Cóż dla niéj znaczy pokuta zabójcy? Choćby nawet był niewinny — niech umrze. Słyszymy tę myśl, widzimy ją, jak się porusza w najtajniejszéj skrytce jéj serca, — a słysząc to i widząc, powtarzamy, Rizzio mógłby żyć.

Wogóle ze względu na bezpośredni udział w działaniach w ostatnich dwu aktach, i ze względu na wpływ, jaki uzyskał na królowę, — jedynie Botwel mógłby zasługiwać na miano głównego bohatera tragedyi, — a stosunek, łączący Maryę z kochankiem powinien być uważany za istotną przyczynę wszelkich powikłań w utworze. Tak też to zrozumiał Małecki. Lecz, jak widzielimy, do téj myśli przewodniéj ogół budowy nie jest przystosowany.

Trudno, naprawdę, poradzić sobie z posągowym rycerzem naszym. Jako główny sprawca wszystkich nieszczęść, jako główna przyczyna upadku dobréj i szlachetnéj bohatérki — występuje on zapóźno. Jako dodatkowe koło wśród innych rozbieganych kół, popychających królowę i wszystkie otaczające ją osoby do straszliwego końca (bo ocaleli tylko Morton i Astrolog) — zjawia się zawcześnie. Powinienby się ukazać dopiéro w ostatniéj scenie aktu 3-go jako srogi, ambitny awanturnik, i nie kochany przez Maryę.

VII.

Powtórzmy teraz w zwięzłéj osnowie wyniki naszego badania.

Utwór Słowackiego składa się wyraźnie z dwu różnych części, a każda z nich obraca się wokoło innéj osi, posiada odmienną budowę. Oba odłamy dramatu są spojone z sobą w ten sposób, iż w miejscach, gdzie się stykają, pokrywają siebie częściowo; dla tego też nie mogą być oddzielone od siebie wyraźną linię graniczną. Linia ta łamie się w różne skręty i zygzaki. Natrącani o miłosnych uczuciach królowéj względem rycerza jéj orszaku, przytoczone wyżéj słowa: „Przybądź tu Botwelu", — wszystko to należy uważać za ułamek części drugiéj utworu, ułamek, który wrósł w ciało pierwszéj. Dzwony na pogrzebie Rizzia w akcie 4-m — to ginące odgłosy tych okrzyków namiętności, już to cichszych, już głośniejszych, które wypełniały początkowe karty dramatu. Główném spoidłem mechaniczném między obu niezależnemi poniekąd częściami dzieła, jest piérwsze samotne spotkanie

królowéj z Botwelem. Tu też najjaskrawiéj się uwydatniły wszystkie sprzeczności w przeprowadzeniu akcyi... Przypomnę jeszcze wynik méj analizy charakteru Botwela

A teraz pozwolę sobie przytoczyć ogólny pogląd krytyka poety na zewnętrzną stronę dramatu. — „Cały akt 1-y, równie jak 2-gi przeprowadzone są w sposób chlubnie świadczący, że się talent... wzmógł, dojrzał, spotężniał... W tém rozpoczyna się akt 3-ci, a w nim jakoś akcya zaczyna wikłać — ogniwo łańcucha zdarzeń, dotąd prowadzonego tak dzielnie, pęka — charaktery owiewa jakby mgła jakaś, która nie dopuszcza dojrzéć aż w samo ich wnętrze — coś się w nich paczy, zdaje się, jakby się ich role poprzemieniały...

Zadaniem mém właśnie było dotrzeć do samego źródła owéj ról przemiany.

Jak teraz wytłómaczyć sobie wahanie się akcyi wokoło dwu różnych punktów ciężkości, jak rozwikłać pogmatwane ruchy? Tu znowu wypadnie nam powołać się na pracę p. Hahna. Wyniki rozbioru, podjętego w celu artystycznéj oceny, zbiegają się z wynikami drobiazgowego porównania motywów, które spotykamy zarówno u naszego poety, jak i gdzie indziéj — w dziełach, które zasiliły jego wyobraźnię. Słowacki usiłował zlać z sobą i wcielić w swym utworze dwa odmienne poglądy na tragiczne chwile życia Maryi, a każdy z tych poglądów w czém inném szukał osnowy dramatu. Poeta nasz, jak wykazał p. Hahn, podczas tworzenia znajdował się pod wpływem Walter Scotta. Dowodzą tego zestawienia poszczególnych ustępów, sytuacyi — wreszjednakowość charakterystyki osób, występujących u Słowackiego, a wspomnionych przez szkockiego powieściopisarza. Stąd wielkiego prawdopodobieństwa nabiera przypuszczenie p. Hahna, że Słowacki poszedł za autorem „Pięknéj dziewicy z Perthu", rozwijając dramat na tle zabójstwa harfiarza i mściwych uczuć obrażonéj królowéj, które miały początek w téj zbrodni. Niemniéj widoczny jest wpływ utworu Alfierego. Utwór ów również nosi tytuł „Maryi Stuart". Dramat włoskiego poety osnuty jest znowu na tle śmierci Henryka. Botwel — któremu się poddaje zupełnie żona Darnleja — jest jej złym duchem. Atoli miłosny między nimi stosunek należy podobno do własnéj inwencyi naszego poety, jako też owe „demoniczne" barwy bohatera w drugim akcie. Te części pomysłu nie zlały się z obcemi reminiscencyami w jedną organiczną całość. Bierność Maryi i jéj bezwzględne poddanie się Botwelowi ma podwójne źródło. Najprzód wytwarza ją wprowadzony przez naszego poetę czynnik występnéj miłości; po drugie — mamy tu poprostu do czynienia z przeszczepieniem Alfierowskiego wzoru. W następstwie obu tych przyczyn inicyatywa

czynu wymyka się właściwie z rąk bohaterki, i przez to samo zrywa się łączność ostatnich dwóch aktów z poprzedniemi częściami dramatu, ponieważ działa obca—nie Maryi—wola, która pobudek do postępowania nie czerpie w rozwoju przeszłych zdarzeń.

Brak wewnętrznéj jedności i niezadośćuczynienie „etycznym” wymaganiom — oto kardynalne wady utworu, obniżające artystyczną jego wartość. Lecz należy oddalić to przypuszczenie, żeby postać kochanka Maryi swą „demonicznością” w większéj mierze mogła ujemnie oddziaływać na losy dramatu.

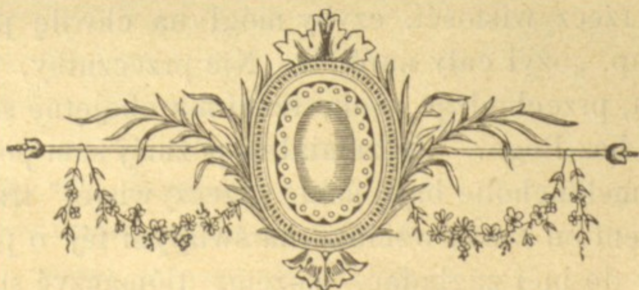
Ostatni ten wniosek, dotyczący bajroniczno-demonicznego kolorytu poezyi Słowackiego, zastosowałbym bez wahania do wszystkich utworów Juliusza wcześniejszéj doby. Sądzę, że „Mindowe”, „Mnich”, „Bielecki”, „Arab”, „Żmija”, „Lambro” — nie dlatego odpychały od siebie społeczeństwo polskie, że jest ono „z natury dobroduszne, optymistyczne”, jak chce Małecki; nie dlatego, że „zwątpienie, rozpacz, bunt ducha, przekleństwo odtrącające... równie nam wtedy były obce, jak metafizyczna mglistość...” Gdyby tak było w istocie, czyżby poezya niemiecka („mglista”) tylu znajdowała zwolenników, a Byron tylu wielbicieli i tłómaczów? Tymczasem Shelley, pod wielu względami stanowiący sprzeczny biegun z autorem „Kaina”, pozostaje bez żadnego wpływu, mimo że utwory jego nie były całkiem obce, np. tłómaczowi „Giaura”. Rozwiązanie zagadnienia, t. j. próżni otaczającéj Słowackiego, w pierwszych latach jego twórczości, należy szukać w słowach Goszczyńskiego: „Nad dziełami obcéj osnowy, jak Lambro, nie nasza rzecz zapuszczać się w uwagi. Nazwijmy ten brak Słowackiego — bo niepodobna mi się jaśniéj tłómaczyć — oderwaniem od gruntu realnego. Dzieł jego powszechnéj nieuwadze nie wyrwałaby może nawet skończona ich doskonałość artystyczna. Ot, taki nawet rzewny, smutny „Mnich” nie uszedł ogólnéj kolei... Że „Kordyan” odrazu wywalczył naszemu poecie uznanie wśród ziomków, to chyba nie artyzm stał się tego przyczyną. Gdyby pota posiadał cokolwiek zmysłu rzeczywistości, czyby mógł na chwilę przypuścić, że w jego „Żmii” np. „ożył cały naród”? Nie przeczułby, iż każdy członek tego narodu, przechodząc obok, rzuci mu obojętne słowa: Piękna świątynia—lecz bez Boga? Zrozumiał to później sam poeta, gdy przeciwstawiał swe melancholie bajrońskie „rzeczywistéj” tragedyi... Dopiéro my, oddaleni od czasu wzniesienia świątyni téj o pół wieku, my dopiéro możemy do niéj zaglądać, możemy tłómaczyć sobie szczegóły budowy i wskazać, co się nam podobać może, a co znowu uznać mu-

simy za wadliwe. Dla pokolenia, które już snem wiecznym spoczęło, uwagi nasze nie byłyby na miejscu.

Nie jest bez pewnego znaczenia stosunek krytyka do dwu kolejno po sobie następujących utworów Juliusza „Lambro" i „Kordyan". Na sąd jego wpływają poniekąd te same czynniki, które niegdyś tak mocno zaważyły na szali wziętości poety. Wprawdzie pomysł „Lambra" jest skrzywiony. Myśl przewodnia „Kordyana" wyłania się jaśniéj; może dlatego, że poprzez poplątane sceny prowadzi nas Małecki. Ostatecznie jednak pod względem artystycznego wykonania „Kordyan" jest o tyleż chybioną całością, jak „Lambro", jeśli nie więcéj. Parę scen „Kordyana" wykonano z niepospolitą siłą, lecz zarazem... z pewną przesadą... Przy czytaniu owych scen pamięć mimowoli nasuwa własne Małeckiego uwagi (w rozbiorze „Wacława") o granicach, w jakich się zamknąć winna dowolność w przekształceniu przekazanych przez dzieje, albo podanie faktów lub charakterów... Czytelnik, znający „Kordyana", wié również, jaką postać mam na myśli. Poeta zrobił z niéj rażącą karykaturę... Lecz poszczególne ustępy są prześliczne, niekiedy wspaniałe. Nie brak ich zarówno w obu utworach, o których tu mowa. Tymczasem, na jeden z nich pada wyrok zbyt surowy, ocena „Kordyana" znowu jest nad miarę łaskawa. „Dramatyczne jego pisma późniéj wydane ani siłą, ani przedmiotowością (?), ani samą wreszcie artystyczną dzielnością nie dorównywują (?) już kilku mistrzowskim scenom, tworzącym dzieła tego akt trzeci. Wogóle jest to część utworu, którą pod względem artyzmu, zdaniem mojém, liczyć należy do najpiękniejszych rzeczy, jakie literatura zawdzięcza Słowackiemu.

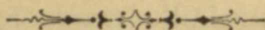
Powyższy ustęp jest zakończeniem I-go tomu pracy: „Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła".

A. Drogosław.



Projekty i próby reformy agrarnéj.

(Dokończenie).



III.

Uzyskawszy podstawę teoretyczną dla zrozumienia potrzeb, odczuwanych zewsząd na widok upadającego rolnictwa, postaramy się poznać w ogólnym przynajmniéj zarysie bądź dokonane już, bądź projektowane dopiéro próby ustawodawczéj reformy agrarnéj.

W Prusiech przez długi czas nie znano istoty niebezpieczeństwa, grożącego rolnictwu i własności ziemskiéj. Dopiéro gdy wyłoniła się z jednéj strony kwestya robotników wiejskich, t. j. kwestya, jak uchronić gospodarstwo rolne od utraty rąk roboczych wskutek emigracyi do miast lub za morze, z drugiéj strony zaś kwestya, jak zaradzić tworzeniu się latyfundyów i nadmiernemu obciążeniu oraz nędzy upadającego włościaństwa, dopiéro wtenczas zaczęto poważnie zastanawiać się nad sprawą rolnictwa. Wówczas Rodbertus ogłosił był swoją dyagnozę i teoryę rentową. Pod jego to wpływem w r. 1879 kolegium ekonomiczne oświadczyło się w zasadzie za wprowadzeniem wieczystéj dzierżawy, aby umożliwić osadnictwo robotników wiejskich. Zmierzano wtenczas do zmniejszenia obszaru zbyt wielkiéj własności ziemskiéj i odłączenia od niéj części, którąby potem miano odprzedać

chłopom. Fundusz w ten sposób uzyskany miał służyć na umorzenie długów hipotecznych. Natrafiono jednak na trudność. Z jednéj strony bowiem brakło chłopom, pragnącym nabyć ziemię, funduszów, z drugiéj strony właścicieli, którzy byli skłonni do oddzielenia od swego obszaru części, krępowały najrozmaitsze przeszkody prawne. W roku 1885 ministeryum przedłożyło jednak kolegium ekonomicznemu memoryał o dobrach rentowych, w którym zerwawszy z zamiarem ustanowienia wieczystéj dzierżawy, wprowadzono nową zasadę, mianowicie: przenoszenie własności ziemskiéj za stałą rentę, stosownie do umowy niewypowiedzialną. Kolegium ekonomiczne memoryał ten przyjęło przychylnie. Niebawem zasadę tam wyrażoną poczęto stosować, zrazu z tendencyą polityczną. W roku 1886 na porządku dziennym stanęła ustawa kolonizacyjna. Sejm pruski wówczas wcielił zasady, w memoryale wyrażone, do ustawy o popieraniu kolonizacyi niemieckiéj w Prusiech Zachodnich i w Poznańskiém. Wykupno ziemi z rąk polskich dla Prus korzystny wydało rezultat. Za tém poszło, iż zasadę rentową i opierającą się na niéj instytucyę posiadłości rentowych rozszerzono i na inne prowincye pruskie. W roku 1890 rząd przedłożył sejmowi pruskiemu projekt o posiadłościach rentowych, mający jako ustawa obowiązywać w całych Prusiech. Projekt ten stał się ustawą, okazał się jednak później niedostatecznym. Z tego powodu wydano w r. 1891 uzupełniającą ustawę, która określa współdziałanie banków rentowych i komisyi generalnych przy zakładaniu posiadłości rentowych.

Ustawa z r. 1890 stanowi, że w zamian za stałą rentę wolno własność gruntu przenieść na inną osobę. Umowa decyduje o tém, czy renta ma być spłacalną. Jeśli dług jest wypowiedzialny, stronom wolno umówić się o kwotę, za pomocą któréj rentę spłacić należy, i ustanowić termin wypowiedzenia. Posiadłość rentowa musi być założona bez ciężarów gruntowych i długów hipotecznych, obciążających grunt pierwotny, macierzysty. Oddzielenie posiadłości rentowéj od większego, pierwotnego gruntu, może nastąpić bez interwencyi wierzycieli hipotecznych pod pewnemi warunkami. Umowa o nabycie posiadłości rentowéj mogła bowiem zawisłą uczynić dalszą parcelacyę od zgody wierzyciela rentowego. Gdy więc ten wierzyciel zezwolenia swego odmówi, to komisya generalna może orzec, że w interesie ogólnym dalsza parcelacya jest dopuszczalna. Ustawa pruska z r. 1890 wymagała istotnego uzupełnienia, gdyż nie zawierała żadnego postanowienia, któreby większym właścicielom z oddzielenia części od swego gruntu zapewniało jakie korzyści. Drobne sumy, płacone przez nabywców, nie miały dla tych właścicieli większego znaczenia, bo oni

potrzebowali właśnie sum większych dla spłaty swych długów hipotecznych. Z tego powodu ustawa z r. 1891 o popieraniu tworzenia posiadłości rentowych ma na celu zapewnienie pomocy państwa przy zakładaniu wiejskich dóbr rentowych średniego lub mniejszego obszaru, innemi słowy, ma na celu popieranie kolonizacyi wewnętrznéj. Komisya generalna normuje warunki, pod któremi obszar ziemski może korzystać z téj ustawy. Renty są spłacalne za pośrednictwem banku rentowego, a mianowicie przy pomocy listów rentowych, poręczonych przez państwo. Bank wypłaca wierzycielowi rentowemu 27-krotną rentę w $3^1/_2\%$ listach, nabywca gruntu zaś obowiązany jest płacić w ciągu $60^1/_2$ lat 4% wartości nominalnéj listów rentowych (lub też w innéj przewidzianéj kombinacyi). Nadto mogą komisye generalne na wniosek jednego z interesowanych zajmować się same zakładaniem posiadłości rentowych.

Reformy pruskie na polu polityki agrarnéj obejmują prócz tego zawodową organizacyę rolników i organizacyę kredytu rolnego. Mianowicie jeszcze w r. 1864 powstał ogólno-niemiecki związek towarzystw zarobkowych i gospodarczych, który dziś ma pewne znaczenie także dla rolników, o ile oni korzystać mogą z centralnéj jego instytucyi finansowéj w Berlinie. Głównie jednak działają dobrowolne rolnicze związki kredytowe, jak towarzystwa zaliczkowe, „ziemstwa" (*Landschaften*), kasy pożyczkowe Raiffeisena, obok nich także ogólnoniemieckie związki jak: związek towarzystw rolniczych, główny związek rolniczy w Berlinie, związek chłopski połączony od roku 1893 ze związkiem rolniczym. Celem wszystkich tych organizacyi jest wzajemna pomoc. W czerwcu 1894 wyszła nadto w Prusiech ustawa o izbach rolniczych, mających na celu korporacyjną organizacyę zawodu rolniczego [1]). W końcu należy wspomnieć o uchwałach pruskiéj rady stanu z marca 1895 r. w sprawie rolnictwa. Obrady nad „środkami koniecznemi na polu organizacyi kredytu" zakończyły się uchwałami, które wychodzą z następującéj zasady: Dla uzdrowienia kredytu rzeczowego potrzeba jak najszerszéj przemiany wypowiedzialnych, nie spłacalnych i zwykle wysoko oprocentowanych hipotek prywatnych na kredyt tańszy, wypowiedzialny, połączony z przymusową amortyzacyą. W tym celu należy granicę odłużenia w ziemstwach i w podobnych instytucyach odpowiednio uregulować i wogóle, a zwlaszcza dla mniejszéj własności ziemskiéj bardziéj uprzystępnić. W interesie kre-

[1]) Por. Beilagen der erläuternden Bemerkungen zu den Gesetzentwürfen betreffend die Errichtung von Berufsgenossenschaften der Landwirte und betreffend die Errichtung von Rentengütern 1893; Leopold Caro: Pomoc dla rolników w Austryi, 1894.

dytu osobistego pożądane jest utworzenie krajowéj instytucyi kredytowéj, którąby związkom stowarzyszeń rolniczych udzielała kredytu pod dogodnemi warunkami [1]).

Na odmiennéj zasadzie, niż ustawa pruska, polegają reformy projektowane w Austryi. Przedłożenie rządowe, wniesione 1893 r. do parlamentu postanawia, że posiadłości rentowe mogą być zakładane tylko za pośrednictwem przymusowéj korporacyi rolników, na podstawie umowy zawartéj między osobą prywatną a korporacyą. Wzorem dla tego projektu była ustawa angielska z roku 1892, Small-Holdings Act.

Ażeby lepiéj poznać projektowaną przez rząd austryacki organizacyę, należy zdać sobie sprawę z głównych postanowień organizacyjnych Small-Holdings-Actu angielskiego. Ta ustawa ma na celu utworzenie własności mniejszéj, któréj brak w Anglii. Jeśli bowiem rada hrabstwa (*County council*) jest zdania, że w hrabstwie zachodzi potrzeba drobnych posiadłości, może ona nabyć wszelki odpowiedni kawałek gruntu dla tych osób, któreby pragnęły nabyć same takie małe grunta i na nich gospodarować. Nabywca płaci przy kupnie co najmniéj $^1/_5$ ceny w gotówce, część, najwyżéj $^1/_4$ ceny kupna pozostaje jako dług rentowy, obciążający posiadłość, resztę ma nabywca spłacić w ciągu co najwyżéj lat 50, licząc od daty nabycia. Rada hrabstwa może nadto pod pewnemi warunkami, oznaczonemi w ustawie, grunta wydzierżawiać bądź osobom fizycznym, bądź stowarzyszeniom. Suma jeszcze nie spłacona jest spłacalną każdéj chwili wedle tabel władzy. Prócz tego ma nabywca obowiązek spłaty regularnie uskuteczniać, nie wolno mu gruntu dzielić, ani pozbywać, ani wydzierżawiać.

Projekt austryacki opiéra organizacyę posiadłości rentowych również na związku przymusowym. Posiadłość rentowa jestto nieruchomość, za którą cenę kupna uiszcza się w formie stałéj renty, spłacalnéj wedle przepisów ustawy i któréj właściciel podlega ograniczeniom w ustawie określonym. Posiadłością rentową może być tylko posiadłość, należąca do stowarzyszenia rolników, i może być założona tylko za pośrednictwem krajowego stowarzyszenia rolników. Przepisy ustawy odnoszą się tylko do takich gruntów, które są poświęcone gospodarstwu rolnemu lub leśnemu albo pewnéj gałęzi tych gospodarstw. Założenie może nastąpić w sposób dwojaki: albo w drodze przymusowéj, albo dobrowolnie. W drodze przymusowéj zostaje posiadłość rentowa założona w razie licytacyi nieruchomości. Przy egzekucyjném

---

[1]) Por. „Agrarbeschlüsse des preuss. Staatsrats“ w Zeitschrift f. d. ges. Staatswissenschaft, 1895, str. 744 nast.

oszacowaniu nieruchomości, ewentualnie przed rozpisaniem licytacyi sędzia ma zbadać, czy nieruchomość wpisana jest do stowarzyszenia zawodowego. Sąd ma w razie zezwolenia na licytacyę zawiadomić o tém odnośne powiatowe i krajowe stowarzyszenie. Powiatowe stowarzyszenie winno natychmiast postarać się o sprawdzenie wartości nieruchomości na podstawie czystego przychodu katastralnego. Krajowe stowarzyszenie jest obowiązane brać udział w licytacyi, aż do wysokości 20-krotnego czystego przychodu katastralnego. Dobrowolne założenie posiadłości przychodzi do skutku na żądanie właściciela, wniesione do stowarzyszenia powiatowego. W razie, jeżeli odłużenie nieruchomości przenosi jéj wartość, sąd na prośbę stowarzyszenia rozpisuje licytacyę. Cenę wywołania stanowi wartość nieruchomości przez stowarzyszenie uznana. Gdyby jednak obciążenie było mniejsze od wartości nieruchomości, w takim razie stowarzyszenie nabywa tę nieruchomość kontraktem kupna i wpisuje się do ksiąg jako właściciel. Z ceny kupna potrąca się ciężary, płaci się długi hipoteczne a resztę wypłaca się dotychczasowemu właścicielowi. Każda nabyta nieruchomość powinna być poddaną postępowaniu rentowemu, to znaczy, należy po pierwsze ustanowić kapitał rentowy i przypadającą rentę, powtóre wyszukać nabywcę posiadłości rentowéj, po trzecie zawrzéć kontrakt rentowy. Kapitał rentowy odpowiada nominalnéj wartości wydawanych przez krajowe stowarzyszenie rolników listów rentowych, po sprzedaży których otrzymano kwotę na nabycie nieruchomości. Renta jest to roczna przez nabywcę opłata na oprocentowanie kapitału, na jego amortyzacyę i na pokrycie kosztów administracyjnych. Nabywcą może być tylko jedna osoba, pierwszeństwo ma dawny właściciel, potém jego żona, jego zstępni. Na podstawie umowy rentowéj ze stowarzyszeniem, nabywca obejmuje ciężary rentowe i inne z tego stosunku płynące zobowiązania. W rozporządzaniu własnością jest posiadacz rentowy o tyle ograniczony, że bez zezwolenia stowarzyszenia nie może własności przenosić, nie może zmieniać gospodarstwa rolnego lub leśnego, nie może ustanawiać zastawu. Po śmierci właściciela rentowego posiadłość nie należy do masy spadkowéj, lecz oddaje się ją osobie wskazanéj rozporządzeniem ostatniéj woli zmarłego. W razie spłaty kapitału rentowego w przepisanym terminie stowarzyszenie orzeka, że posiadłość przestała być rentową i zarządza jéj wykreślenie z odnośnego rejestru. Pożyczek może stowarzyszenie udzielać w listach rentowych na melioracye, w razie klęsk elementarnych lub klęsk rodzinnych. Pożyczka nie może jednak przewyższać sumy spłaconéj z kapitału rentowego. Stowarzyszenie zawiera kontrakt pożyczki z posiadaczem włości rentowéj i czuwa nad tém, żeby pożyczka na odpowiedni

cel była użyta. Listy rentowe, wydawane przez krajowe stowarzyszenie rolników, mają gwarancyę swą w całym jego majątku [1]).

Oto główne punkta projektu zaprowadzenia włości rentowych. Równocześnie jednak z tym projektem wniósł rząd inny, który się odnosi do zawodowéj organizacyi rolników. Projekt drugi ma na celu ułatwić spełnianie wspólnych członkom zadań. Przymusowa wedle projektu organizacya rolników składa się z powiatowych stowarzyszeń w każdym powiecie sądowym, podlegających krajowemu stowarzyszeniu w każdym poszczególnym kraju koronnym Przedlitawii. Organizacya ta obok zadań etycznych ma do spełnienia ważne posłannictwo gospodarcze i społeczne. Do niéj należy zakupno artykułów potrzebnych gospodarstwu rolnemu, sprzedaż rolnych płodów swych członków, urządzanie domów składowych, odpowiadających temu celowi, organizacya kredytu, opartego na złożonych w składach towarach. Środki pieniężne gromadzi stowarzyszenie drogą nakładania dodatków do państwowego podatku gruntowego; organa administracyjne mogą pośredniczyć w wybieraniu tych dodatków. Celem wykonywania prawa nadzoru, rząd jakotéż wydział krajowy miałby reprezentanta w stowarzyszeniu. Wyżéj wymienione zadania stowarzyszenia są podrzędne, punkt ciężkości stowarzyszenia rolników ma leżéć w zakładaniu włości rentowych [2]).

Staraliśmy się przedstawić z pomiędzy ustawodawczych prób agrarno-politycznych tylko te, które najbardziéj na uwagę zasługują. Dodajemy, że i rządy węgierski i włoski wniosły do odnośnych parlamentów w ostatnim czasie projekta reformy agrarnéj.

IV.

Historyczny rozwój społecznych i gospodarczych stosunków rolnych, naszkicowany na wstępie w ogólnych zarysach, stanowi dla nas podstawę do rozbioru i oceny tak teoretycznych zapatrywań na kwestyę agrarną, jak prób reformy ustawodawczéj. Wykazał on, zdaje się, dostatecznie, że na przesilenie, jakie rolnictwo europejskie obecnie przebywa, składa się cały szereg zjawisk, przyczynowo ze sobą związanych. Wykazał on przedewszystkiém, że rolnictwo jest zagrożone

---

[1]) Por. „Gesetzentwurf betreffend die Errichtung von Rentengütern, XI Session, 1893“, wraz z „Erläuternde Bemerkungen“; por. téż Leopold Caro: j. w., i Aleksander Mataczyński: „Posiadłości rentowe według ustaw pruskich i według projektu austryackiego rządowego“, 1894.

[2]) Por. „Gesetzentwurf betreffend die Errichtung von Berufsgenossenschaften d. Landwirte, XI Session, 1893“.

w swoich podstawach i to nie w małym stopniu, dzięki nowoczesnemu ustrojowi prawnemu i gospodarczemu, na którym liberalizm wycisnął swoje piętno. Stąd wynika, że zrodzony w historycznym rozwoju stan rzeczy wymaga dokładniejszéj obserwacyi i że nie wystarcza traktowanie sprawy tak doniosłéj dla całego społeczeństwa powierzchowne, jak to czynią zwolennicy szkoły liberalnéj. W każdym razie mylném jest zapatrywanie, iż za depresyę produkcyi zboża, którą pociąga za sobą wywołany konkurencyą zagraniczną spadek cen, winić należy rolników w odnośnych krajach dowożących, którzy nie mogą produkować zboża w dostatecznéj ilości. Za tém idzie bezzasadność wniosku, iż rolnicy ci powinni zaniechać produkcyi zboża, a jąć się innych, zyskowniejszych rodzajów uprawy. Zupełnie mylnym i niesprawiedliwym jest zarzut, że sami właściciele ziemscy spowodowali niezaprzeczenie nadmierne odłużenie. O ile zwolennicy liberalizmu ekonomicznego uznają smutne położenie rolników, wskazują „pomoc własną” jako jedyny środek zbawczy, państwu zaś konsekwentnie odmawiają ingerencyi, przynajmniéj dopóki położenie rolnictwa nie jest nieznośném. Wiemy atoli, że już dzisiaj położenie to jest opłakane, że pomoc własna nie jest wystarczająca dla uzdrowienia upadającego rolnictwa, że konieczném staje się podjęcie akcyi ratunkowéj ze strony państwa na wielką skalę [1]).

Terapia nie powinna jednak być tak symptomatyczną, jak proponują zwolennicy polityki prohibicyjnéj. Nie można zatrzymywać wzroku na zewnętrznych objawach, jak np. na fakcie ciągłéj zniżki cen płodów rolnych i starać się o środek zaradczy na każdy z dostrzeganych objawów z osobna, lecz trzeba sięgnąć głębiéj. Zresztą pominąwszy, że środki te luźne nie opiérają się na jakiéjś wyższéj myśli przewodniéj, nie wszystkie są skuteczne i racyonalne, nie wszystkie dadzą się wykonać. Najważniejszy, zdaniem téj kategoryi polityków, bo najwidoczniejszy na zewnątrz objaw, spadek cen zboża, ma wymagać reakcyi w formie odpowiedniéj polityki celnéj i monetarnéj. Ale cła zbożowe nawet w tym kierunku nie są skuteczne dla rolnictwa, ponieważ nie mogą wpływać na równomierny rozdział dochodów między wszystkie kategorye własności. Nadto zaś, podnosząc cenę środków żywności w kraju, oddziaływają ze swéj strony na wzrost płacy, więc i na wzrost kosztów produkcyi nietylko rolniczéj, neutralizując niejako w ten sposób swój bezpośredni skutek, lecz i produkcyi przemysłowéj i sprowadzają konieczność ochrony celnéj także dla przemysłu, innemi słowy, one w konsekwencyi prowadzą do otoczenia całego gospodar-

[1]) Por. Ruhland: j. w.; K. Preser: j. w.

stwa społecznego niby murem chińskim, co jest równoznaczne z jego ruiną. Nie trzeba prócz tego zapominać, że konkurencya zamorska, która właśnie powoduje skutkiem znacznéj podaży produktów zniżkę cen, nie jest zjawiskiem przemijającém, wyjątkowém, należy ją raczéj uważać za związaną z całym dzisiejszym rozwojem ekonomicznym i z tendencyą tego rozwoju w przyszłości. A lubo nie można pomijać trafnéj uwagi Ruhlanda, że „zbytnia podaż płodów rolnych na targu światowym wiecznie trwać nie będzie, gdyż żaden kraj rolniczy nie zechce dłużéj, niż tego wymaga absolutna konieczność, zostawać na tym niskim stopniu rozwoju", to przecież nie można przypuszczać, żeby to przejście do wyższego, przemysłowego typu gospodarczego, miało nastąpić rychło i w całym świecie równocześnie. Należy raczéj przyjąć, że gdyby nawet przepowiednia Ruhlanda w niedalekiéj przyszłości ziścić się miała w Ameryce północnéj, to jeszcze przez długie pono wieki podostatkiem będzie ziemi do uprawy w Ameryce południowéj, w Azyi, w Afryce i w Australii. Wobec tego zaś z konkurencyą zagraniczną i z jéj wpływem liczyć się trzeba dzisiaj jakby ze zjawiskiem trwałém. To téż za daremne uważać należy usiłowania trwałego zneutralizowania wpływu zagranicznéj konkurencyi za pomocą ceł zbożowych. Nie więcéj widoków ma drugi ze środków proponowanych na spadek cen, t. j. polityka monetarna w kierunku bimetalistycznym. Można wprawdzie przypuścić, że międzynarodowy układ monetarny, gdyby kiedyś przyszedł do skutku, zdołałby wpływ drożejącego piéniądza złotego na ceny, jeśli nie usunąć, to złagodzić przez zaprowadzenie powszechnéj waluty podwójnéj. Widoki jednak międzypaństwowego porozumienia w tym względzie są tak słabe, że i sprawy walutowéj w rachubę brać nie można, chcąc przystąpić do pozytywnéj reformy agrarnéj wewnątrz państw poszczególnych. Tak tedy środki, mające wedle zwolenników ceł opiekuńczych zaradzić przesileniu rolniczemu, bądź jako niedostateczne, bądź jako przemijające, nie mogą służyć za podstawę szerokiéj reformy [1]).

Mniéj oddalona od poznania istoty kwestyi agrarnéj jest grupa pisarzy z Schäffle'm na czele, która w zbytniém odłużeniu hypoteczném upatruje główne źródło przesilenia, a w usunięciu wadliwéj organizacyi kredytu ratunek upadającego rolnictwa. Ale i ten pogląd nie obejmuje jeszcze całości kwestyi. Wprawdzie bowiem nadmierne odłużenie hypoteczne jest najdotkliwszym objawem krytycznego stanu rolnictwa, lecz nie jedynym. Stąd złudną jest nadzieja, jakoby z wadliwą organizacyą kredytu i samo odłużenie ustąpić musiało. Wszak na odłuże-

---

[1]) Hdw. d. Staatsw. Agrarkrisis.

nie, jak wiadomo, składa się cały szereg przyczyn, związanych organicznie z wytworzonym ustrojem gospodarczo-społecznym. Dlatego też nie można „inkorporacyi kredytu hypotecznego" uważać, jak pragnie Schäffle, za główny gmach przyszłéj reformy, do którego należałoby dostroić jeszcze dobudowania odpowiednie. Przedewszystkiém bowiem położyć musimy fundament pod przyszłą budowę. A fundamentu dostarczyć nam może znajomość historycznych warunków reformy. W tym celu zaś należy badać daléj i zbadać najpierw istotę samego odłużenia. Z tém wszystkiém projektu Schäfflego reorganizacyi kredytu nie można ignorować. Zawiera on myśl zdrową, która w przyszłéj reformie agrarnéj nie może być bez wielkiego znaczenia. Mówimy o idei korporacyjnego złączenia średnich i małych właścicieli ziemskich i o oparciu na niém organizacyi kredytu. Do tego punktu jakotéż do poruszonéj również przez Schäffle'go myśli ustanowienia granicy odłużenia późniéj powrócimy.

Istotę samego odłużenia hypotecznego, jego głębszą przyczynę zbadać się starał Rodbertus. „Zasada rentowa" bliższa téż jest prawdy, zwłaszcza prowadząc do świetnéj dyagnozy przesilenia. Wprawdzie trudno przyznać słuszność zapatrywaniu Rodbertusa w téj formie, iż ziemia wogóle jest czémś zasadniczo zupełnie różném od kapitału, iż należy uważać ją i traktować za źródło renty jedynie, za fundusz dający rentę. Nie ulega wątpliwości, że między ziemią a kapitałem zachodzi istotna różnica, kiedy ziemia przedstawia nam się jako prosty wytwór przyrody. Jest ona siłą surową tylko, gdy zaś kapitał z natury swéj jest siłą wykształconą, czynnikiem produkcyi, obdarzonym temi własnościami, jakie mu w świetnym wywodzie przypisuje Rodbertus. Ale też ona nie jest owém źródlem renty, stanowi część przyrody, *in potentia* wprawdzie zdolną stać się pod wpływem społecznéj pracy ludzkiéj czynnikiem produkcyi, ale w rzeczywistości jeszcze martwa. Ażeby ziemia dawała jakiś dochód, musi już mieć udział w produkcyi jako wykształcona pracą ludzką siła. W takim razie jednak nie można, jak to czyni Rodbertus, przychodu z ziemi rozkładać na przychód z przedsiębiorstwa rolnego i na przychód przypadający w udziale właścicielowi ziemi jako takiemu, czyli na zysk i na rentę gruntową. Mimo to słuszne jest zapatrywanie, że renta gruntowa przy rozdziale dochodów zostaje pod wpływem innych czynników, aniżeli zysk z kapitału lub płaca. Doświadczenie uczy, że przychód z ziemi a z kapitału nie zawsze pozostają w harmonii, że to, co wpływa na wzrost zysku, nie koniecznie tak samo, a czasem wręcz odwrotnie działa na przychód z ziemi. Jest to wyraz wzajemnéj zawisłości wszystkich gałęzi gospodarstwa społecznego, z drugiéj strony

zaś także wyraz nie dającéj się zaprzeczyć różnicy ekonomicznéj między gospodarstwem rolném, jako grupą pewnych czynności, a innemi dziedzinami gospodarczemi. Do téj różnicy powinna się stosować wszelka racyonalna organizacya kredytu, a o ile istniejąca organizacya jéj nie uwzględnia w pożądanéj mierze, należałoby dążyć do jéj zmiany. Pytanie tylko, czy w takim razie organizacyę kredytu rolnego oprzéć należy na myśli Rodbertusa, iż przy oznaczeniu wartości ziemi winno się brać za podstawę sam przychód, nie kapitalizując go wcale. Kwestya stosunku t. zw. prawdziwéj wartości, t. j. wartości wedle przychodu, a wartości obrotowéj zbyt mało jest zbadana, żeby można wydać sąd o tém zapatrywaniu Rodbertusa, które na pierwszy rzut oka uderza swą naturalnością, swą prostotą. To jednak zdaje się ze słusznością zaznaczyć można, że myśl ta w konsekwencyi prowadzi do odcięcia niejako gospodarstwa rolnego od całego organizmu społecznego i wymaga dlań odrębnych urządzeń, które niełatwo pogodzić się dadzą z duchem całego ustroju gospodarczego istniejącego, albo z tendencyą prawdopodobnego ukształtowania się jego w przyszłości. Uwaga ta znajduje poparcie w dalszém żądaniu Rodbertusa oparcia zalecanéj organizacyi kredytu na lokalnych związkach samych właścicieli ziemskich [1]).

Bądź co bądź, bystre zapatrywanie Rodbertusa, jego wyświetlenie właściwości gospodarstwa rolnego, podkreślenienie potrzeby uwzględniania tych właściwości i zwrócenie uwagi na kierunek, w którym szukać trzeba źródła nadmiernego odłużenia własności ziemskiéj, odkrywa całą doniosłość kwestyi agrarnéj i otwiéra dla późniejszych badaczy szerszy widnokrąg. Sam pogląd Rodbertusa na kwestyę agrarną nie mógł objąć wszystkich jéj zjawisk, ponieważ za jego czasów jeszcze się nie ukazywały, stąd nie jest wolny od zarzutu jednostronności lub niedokładności.

Za to daleko dokładniejszém, wszechstronniejszém jest naszkicowane wyżéj zapatrywanie większości dzisiejszych ekonomistów. Ci na podstawie historycznego badania doszli do słusznego wniosku, że na dzisiejszy stan rolnictwa złożyło się przeobrażenie prawne i gospodarcze w ostatnim wieku, że ono uczyniło go wrażliwym na wszelkie wpływy zewnętrzne. Stąd to pochodzi, że spadek cen płodów rolnych i długi tak bardzo dziś przygniatają gospodarstwo rolne. Nie uzasadnia to jednak twierdzenia konserwatywnéj grupy owych pisarzy, że dla uzdrowienia stosunków rolnych, należy znieść cały dzisiejszy ustrój prawny i gospodarczy i powrócić do dawnych urządzeń — przynaj-

---

[1]) Por. J. Kirszrot-Prawnicki („Ekonomista polski“, 1894): j. w.

mniéj, jak dodają, co do własności ziemskiéj. Ustrój dzisiejszy, a raczéj jego duchowa podstawa stanowi cywilizacyjną zdobycz społeczeństw europejskich. Jedynie odżywiający rozwój kulturalny zdoła go przekształcić, żadną miarą zaś nie ustąpi miejsca dawnym urządzeniom, choćby go przymusem usunąć próbowano. Co prawda, nie zawsze pozytywne prawo odpowiada rzeczywistym potrzebom życia społecznego. W naturze każdego pozytywnego ustroju prawnego leży to, że nie może podążać za kalejdoskopowém kształtowaniem się stosunków rzeczywistych, że nie przewidując tych zmian wielu, rodzących się z niemi nowych potrzeb nie uwzględnia, że z czasem „rozum staje się nonsensem, dobrodziejstwo—plagą". Z drugiéj jednak strony pracujący bezustannie duch ludzki wykrywa odpowiadające owym nowym potrzebom ideały i wymogi etyczne, które w miarę przenikania do umysłów ogółu sprawiają, że dawne formy prawne, przy sposobności praktycznego stosowania ze strony państwa pozytywnych przepisów, otrzymują coraz odpowiedniejszą treść i naginają się do świeżych potrzeb — aż się okażą tak krępującemi, że wypadnie je zastąpić nowym, opartym na świéżo uzyskanéj podstawie kulturalnéj pozytywnym ustrojem prawnym. Zadaniem państwa jest właśnie baczyć na to, żeby forma ustroju prawnego odpowiadała ile możności zawsze rzeczywistym potrzebom życia społecznego i wymogom etycznym. W tym celu powinno ciągle formę tę w drodze administracyjnéj ożywiać, w stosownéj zaś chwili w drodze prawodawczéj zmienić odpowiednio do owych potrzeb społecznych i wymogów etycznych. Nigdy jednak nie powinno wracać do urządzeń, które w swoim czasie miały racyę bytu, spełniając swe posłannictwo, ale które, ustąpiwszy pod naporem nowych stosunków i idei, nie dałyby się organicznie wcielić do dzisiejszego ustroju i stanowiłyby w nim element obcy. Uwagi te odnoszą się do szermierzy ultrakonserwatywnéj, antykapitalistycznéj polityki agrarnéj, przedewszystkiém do systemu agrarnego Ruhlanda. System ten dąży do cechowego urządzenia gospodarstwa rolnego, do wyodrębnienia tego gospodarstwa od całości organizmu gospodarczego. Wśród dzisiejszych stosunków znaczyłoby to usunąć rolnictwo od wpływu świata gospodarczego, utrudnić mu odżywianie się z innych dziedzin gospodarstwa społecznego, zamknąć i jakby sparaliżować jedną, istotną część organizmu społecznego. Zresztą i podstawa, na któréj się wznosi cały system agrarny Ruhlanda, nie jest bardzo pewna. „Prawdziwa wartość" własności ziemskiéj, mająca być tą podstawą, jest to pojęcie zaczerpnięte u Rodbertusa, a rozwinięte i określone ściśléj przez Ruhlanda z uwzględnieniem różnych stopni rozwoju gospodarczego. Trudność oznaczenia stosunku téj prawdziwéj wartości do

wartości obiegowéj, obliczanéj na zasadzie kapitalizowania przychodu, wskazaliśmy już wyżéj przy rozbiorze poglądu Rodbertusa. Co się zaś tyczy pojęć: „pierwotna wartość przychodu", „prawdziwa wartość" wedle określenia Ruhlanda, odsyłamy do szeregu wątpliwości, podniesionych przez Buchenbergera, a przez tamtego nie rozwianych [1]. W końcu nie zawadzi wspomniéć, że, zdaniem niektórych pisarzy, system agrarny Ruhlanda przyczyniłby się do przyśpieszenia procesu proletaryzacyi ludności wiejskiéj [2].

Z pomiędzy reform, proponowanych przez Seringa i innych uczonych, wypada najpierw omówić reformę spadkową. Nie ulega wątpliwości, że prawo spadkowe bardzo doniosły wywiéra wpływ na własnościowe stosunki w społeczeństwie. To téż reforma prawa spadkowego w zasadzie jest usprawiedliwioną, jeśli stosunki własnościowe stały się z przyczyny tego prawa nieodpowiedniemi. Ale kierunek i zakres takiéj reformy nie są obojętne. Wedle wspomnianych pisarzy, reforma spadkowa miałaby przeciwdziałać rozdrabnianiu się własności ziemskiéj w téj saméj rodzinie. W kombinacyi z „zasadą rentową" nowe prawo dziedziczenia ograniczałoby także możność nadmiernego odłużenia. Do tego celu byłoby, zdaniem ich, zastosowane jedynie ustawnicze beztestamentowe niepodzielne prawo dziedziczenia. Przedewszystkiém zauważyć należy, że idzie nietyle o utrzymanie własności ziemskiéj przy dzieleniu spadku i opiérać się na zasadzie utrzymania własności ziemskiéj w téj saméj rodzinie, ile raczéj o utrzymanie jedności i całości gospodarstwa. W takim razie zachodzi pytanie, czy cel nie da się osiągnąć w inny sposób, aniżeli przez proponowane prawo dziedziczenia [3]. Pominąwszy to nawet, stwierdzić musimy, że poważne podnoszą się wątpliwości tak co do kierunku, jak co do zakresu reformy. Niektórzy pisarze mianowicie wykazują, że zalecane to prawo dziedziczenia nieraz wychodzi na niekorzyść albo rodzeństwa, albo głównego dziedzica, dając tamtemu zamiast działu własności wynagrodzenie, więc wyzuwając je z posiadania, dziedzica zaś narażając na zadłużenie [4]. Prawo takie zmniejsza podaż gruntów i przyczynia się w ten sposób do wzrostu ceny ziemi, koncentruje ono własność ziemską w ręku nielicznych jednostek i mogłoby podobnie, jak to było w Anglii, w połowie naszego stulecia, przyczynić się do pochłonięcia gospodarstw

---

[1] „Zeitschrift f. d. ges. Staatsw.", 1895, str. 355 nast. i str. 736 nast.

[2] Por. „Die Neue Zeit", 1894 (XIII), str. 58.

[3] L. Brentano. „Die Wirkungen des Auerbenrechtes" w „Die Zukunft", 1895 (XII), 590.

[4] Schäffle. „Agrarpolitik" w „Die Zukunft", VII, 491 i VIII, 159.

małych przez wielkie przedsiębiorstwa rolne [1]). Niepodzielne prawo dziedziczenia nie nadaje się zresztą dla wszystkich okolic. W okolicach z gospodarstwem intensywném osłabia ono energię gospodarczą uprzywilejowanego dziedzica, utrudnia mu używanie kapitału obrotowego i korzystanie z kredytu obrotowego [2]). W takich okolicach, gdzie pod wpływem stosunków gospodarczych zapanowała już zasada podzielności gruntów, natrafiłoby nowe prawo spadkowe na wielki opór ludności, a przymusowo wprowadzone zaostrzyłoby sprzeczności interesów, zwiększyłoby liczbę proletaryatu wiejskiego, nie osiągnęłoby więc pożądanego skutku, wzmagając natomiast niezadowolenie [3]). Wobec takich wątpliwości uzasadnioném jest zdanie Buchenbergera, „że tam, gdzie zgodnie z wytworzonemi raz stosunkami gospodarczemi utrzymało się niepodzielne dziedziczenie własności ziemskiéj, zwyczaj ten utwierdzić należy przy pomocy ustawniczego prawa niepodzielnego dziedziczenia, że jednak ogółowi prawa takiego powszechnego narzucać nie można, zadając gwałt rozwojowi historycznemu, który w pewnych okolicach z konieczności gospodarczéj prowadził do swobodniejszych form dziedziczenia" [4]). Widzimy zatém, że reforma spadkowa, proponowana przez Seringa i innych, nie miałaby bardzo szerokiego zastosowania. Mimo to, ograniczony jéj zakres byłby dość znaczny, bo, wedle zdania Schäffle'go i Buchenbergera, dałaby się stosować na znacznym obszarze, zwłaszcza w północnych Niemczech, w północnéj Francyi, w Skandynawii i w wielu okolicach w Austryi. Należałoby jednak w tym jéj zakresie i o tém pamiętać, że zasada niepodzielności nie może być bezwzględnie stosowana do wszystkich kategoryi własności, że nie może być zamiarem wspomnianéj reformy ustawodawczéj popiérać tworzenie się rozległych fideikomisów z jednéj strony, ani wieczne wegetowanie karłowatych parcel, że opieka ustawodawcza, dążąca do utrzymania całości gospodarstwa, rozciągać się powinna tylko na średnią własność ziemską, któraby wobec tego pośród tamtych dwóch kategoryi rozwijać się mogła swobodnie w kierunku wzrostu obszaru własności i liczby właścicieli.

Drugi główny środek zaradczy przeciw przesileniu rolniczemu, proponowany przez Seringa i niektórych innych ekonomistów, t. j. ustanowienie granicy odłużenia napotyka również liczne zarzuty. Po-

---

[1]) L. Brentano: j. w., 593.
[2]) Schäffle: j. w., VIII, 161.
[3]) A. Stengele. „Die Bedeutung des Anerbenrechts für Süddeutschland", Stuttgart, 1894.
[4]) „Zeitschrift f. d. ges. Staatsw., 1895, 346.

wiadają mianowicie, że ustanowienie takiéj granicy jest niemożliwe z powodu trudności oszacowania gruntu, które przecież jest warunkiem jego nieodzownym. Wartość gruntu jest względną, różną z różnych punktów widzenia, bo inną dla posiadacza, inną dla pragnącego nabyć, inną przy grożącém wywłaszczeniu [1]). Nie mniejszą trudność przedstawia, zdaniem niektórych, oznaczenie owego *minimum* utrzymania rodziny rolnika, mające wraz z innymi momentami służyć, wedle Schäffle'go, za miarę owego ograniczenia. Ani rodzinne stosunki pod względem liczby członków rodziny nie wszędzie są równe, ani potrzeby stanu rolniczego nie wszędzie na jednym znajdują się stopnia rozwoju. To téż organizacya kredytu z tendencyą ograniczenia musiałaby być szablonową, nie uwzględniając indywidualnych różnic, często stosownie do okolic bardzo daleko idących [2]). Większą racyę przyznaje się myśli Seringa, żeby za podstawę granicy odłużenia uważać wysokość czynszu dzierżawnego gruntu [3]). Ale myśl ta jeszcze nie usuwa wątpliwości co do możności ustawodawczego ograniczenia odłużenia. Zresztą sam Sering tyle dopuszcza wyjątków od granicy odłużenia dla kredytu melioracyjnego, dla kredytu na powiększenie kapitału obrotowego i w razie klęsk, że granica byłaby ułudną, tembardziéj, że i obecnie większość wypadków nadmiernego odłużenia do tych przyczyn sprowadzić się daje. Prócz tego byłaby prawdopodobnie zbyt daleko wysunięta, ażeby stosować się mogła ogólnie. W takim zaś razie możność zbytniego odłużenia w wielu wypadkach nie byłaby uchylona. W końcu niektórzy wykazują zgubne skutki, jakieby ustanowienie granicy odłużenia sprowadzić mogło, gdyby w drodze ustawodawczéj weszło w życie. Wywołałoby prawpopodobnie obniżkę cen ziemi, co wśród dzisiejszych okoliczności pociągnęłoby za sobą bankructwo średniéj własności [4]). Tych wszystkich trudności zwolennicy zasady ograniczenia możności zaciągania długów nie widzą w tym stopniu, żeby od niéj mieli odstąpić. Schäffle twierdzi, że możność odłużenia do granicy przez niego wskazanéj uważać należy za kierującą zasadę tylko, że natomiast w praktyce nieraz od téj zasady odstępować się będzie, odpowiednio do wymogów miejscowych. Po ewentualnéj zniżce cen ziemi spodziéwa się Schäffle, że i ludzie o mniejszym majątku mogliby nabyć małą posiadłość na trwałą własność. Zresztą byłaby

---

[1]) Bon. w „Verhandlungen der Agrarkonferenz" (Landw, Jahrb. 1894 r., jak wyżéj).

[2]) Tamże; Th. v. d. Goltz: j. w.

[3]) Buchenberger, w „Zeitschrift f. d. ges. Staatsw., 1895, str. 353.

[4]) Bon: j. w., po części hr. Kanitz w „Verhandlungen der Agrarkonferenz", j. w.

owa obniżka ceny ziemi, zdaniem jego, zgodna z „naturalną” ceną. Granica odłużenia reguluje cenę ziemi w ten sposób, że „wartość obrotową prze ku naturalnomu punktowi ciężkości ceny, ku wartości kapitałowéj przeciętnego przychodu czystego” [1]. Zdaje nam się, że podniesione wyżéj wątpliwości oparte są na dość dokładnéj obserwacyi stosunków i że trudno je obalić zanadto abstrakcyjnemi przypuszczemi. Z tém wszystkiém zasada ustanowienia granicy odłużenia mogłaby miéć zastosowanie pośrednie przy zakładaniu nowych posiadłości, jak sądzi Conrad, który jednak z góry dodaje, że przy ustanawianiu téj granicy odmiennie należy traktować posiadłości wielkie a małe [2]. Ale nawet stosowanie téj zasady w mniéjszym zakresie zawisło od odpowiedniéj organizacyi kredytu.

Organizacya kredytu odpowiedniejsza, niż dotąd, należy obok instytucyi posiadłości rentowych do wspomnianych wyżéj, zalecanych przez Seringa, uzupełnień reformy agrarnéj pod względem społecznym i gospodarczym. Co do zasad reorganizacyi kredytu nie ma zgody pomiędzy uczonymi, to jednak wszyscy utrzymują, iż reorganizacya ta powinna obejmować nietylko kredyt hypoteczny, ale i osobisty. Zapatrywanie to jest zupełnie słuszne, jak słuszném jest żądanie, żeby kredyt osobisty dla rolników zorganizować w pożyczkowych kasach systemu Raiffeisena, które okazały się bardzo odpowiedniemi zwłaszcza w Niemczech. Co się tyczy kredytu hypotecznego, jak wiadomo, Schäffle pragnie go „inkorporować”, t. j. udzielanie tego kredytu monopolicznie zastrzedz zawodowéj korporacyi rolników. Sama idea korporacyjnego złączenia rolników jest bez kwestyi nietylko piękną i doniosłego znaczenia cywilizacyjnego, bo dąży do podniesienia wartości człowieka i jego poczucia obowiązku, ale stoi też w zupełnéj harmonii z asocyacyjnemi dążeniami najnowszych czasów, i ma widoki rychlejszego czy późniejszego urzeczywistnienia się w sferze społecznéj. To też i oparcie na takim związku organizacyi kredytu wydaje się uzasadnionem. Bardzo wątpliwém jest tylko, czy korporacya powinna miéć zastrzeżony sobie monopol przyznawania kredytu, a jeszcze bardziéj, jak widzieliśmy, czy podstawę téj organizacyi kredytu mogłaby stanowić granica odłużenia w kierunku wytkniętym przez Schäffle'go. O instytucyi posiadłości rentowych, zalecanéj również jako uzupełnienie reformy, wypowiemy zdanie swoje przy rozbiorze ustaw i projektów agrarno-politycznych. Tu zauważymy tylko, że da

---

1) „Agrarpolitik“ w „Zukunft“, VII, 496.
2) W „Verhandlungen d. Agrarkonferenz“, Ldw., Jbrb. j. w.

się ona sprowadzić do „zasady rentowéj". Rodbertusa, którą w zmienionéj nieco formie stosuje praktycznie w szczupłym zakresie.

Staraliśmy się poddać analizie najwybitniejsze zapatrywania na kwestyę agrarną z pominięciem tylko poglądu socyalistycznego, w krytykę którego tu wdawać się nie można, ponieważ opuszcza właściwą dziedzinę naszego badania, dzisiejszy ustrój społeczny. Przystępujemy do rozbioru ustawodawczych środków zaradczych przeciw niedomaganiu rolnictwa, których znaczenie i miejsce pośród ogółu proponowanych reform łatwiéj teraz ocenić zdołamy ze stanowiska wymagań nauki i potrzeb rolnictwa.

Tak ustawy pruska i angielska, jako też projekt austryacki mają cel na pozór podobny. Przypatrzywszy się zaś bliżéj, spostrzegamy, że w Anglii przeważa wzgląd na potrzebę nierozwiniętéj tam mniejszéj własności ziemskiéj, że więc ten wzgląd cechuje Small-Holdings-Act. W Prusiech idzie o dostarczenie większéj własności ziemskiéj sił roboczych, o działanie przeciw emigracyi robotników wiejskich i o kolonizacyę wewnętrzną. Projekt austryacki pragnie przeciwdziałać zbytniemu odłużeniu rolników, oczyścić własność ziemską z ciężarów hipotecznych i dąży do utrzymania stanu włościańskiego [1]. Bądź co bądź nie ulega wątpliwości, że punkt wyjścia wszystkich trzech prób ustawodawczéj reformy jest społeczny. Mimo to, już na pierwszy rzut oka wobec ogromu zadań polityki agrarnéj przedstawiają się jako środki drobne, zresztą w jednym tylko kierunku stosowane. Stosuje się to głównie do ustawy pruskiéj, która ani pod względem tendencyi, ani pod względem sposobu przeprowadzenia nie może miéć pretensyi do załatwienia kwestyi rolnictwa w Prusiech. Oparta na wolnéj umowie prywatnéj instytucya posiadłości rentowych nie rokuje nawet widoków skuteczności reformy choćby tylko w kierunku, który jéj ustawa wytknęła. Doświadczenie bowiem uczy, że stosunku rentowego bez pomocy państwa wcale nie zawierano. Dopiéro gdy państwo zamienia wierzytelność rentową w kapitał, osoby interesowane mogą z ustawy korzystać. Atoli widzieliśmy, że ta pomoc publiczna wedle ustaw pruskich jest tylko pomocniczą, wyjątkiem od reguły, którą pozostaje i nadal stosunek dobrowolny. Taki stosunek zaś może nieraz zgubne miéć następstwa. Gdyby mianowicie często zawiérały ze sobą stosunek rentowy osoby, z których jedna, sprzedawca jest chlebodawcą nabywającego, mógłby się łatwo wyrobić pewien rodzaj poddaństwa. Wprawdzie, jak nam wiadomo, taki stan rzeczy nie byłby przeciwny zapatrywaniom niektórych teoretyków, ale nie dałby się pogodzić

---

[1]) Por. „Erläuternde Bemerkungen": j. w.

z duchem czasu ani wogóle z ideą rozwoju. Z tego wszystkiego wynika, że z podobnych ustawach tylko pod tym warunkiem spodziewać się można pewnych korzyści, jeżeli państwo lub korporacye publiczne zawierają umowy rentowe z interesowanymi. Nadto wytknąć należy jako wadę ustaw pruskich, że nie chronią posiadłości rentowych od zadłużenia [1]).

Co się tyczy innych urządzeń agrarno-politycznych w Prusiech, wszystkie, któreśmy wyżéj poznali, dążą w odpowiednim kierunku do wzmocnienia siły odpornéj rolnictwa. Dążenie to cechuje także miarodajne zwykle uchwały pruskiéj rady stanu. Tylko pod względem organizacyi rolników pożądaném byłoby oparcie jéj na idei korporacyjnego zawodowego złączenia zamiast kontentowania się, jak dotychczas, reprezentacyą interesów.

Ustawa angielska bierze już za podstawę związek przymusowy, radę hrabstwa i o tyle jest racyonalniejsza od pruskiéj. Ustawa ta w swoim zakresie, t. j. w zakresie tworzenia własności mniejszéj, będzie prawdopodobnie także skuteczną. Mimo to, nie może być uważana za reformę agrarną. Cel jéj zbyt drobny, więc i środek nie ma daleko sięgającego znaczenia. Zdaje się, że w Anglii nie zwrócono jeszcze należytéj uwagi na całość kwestyi agrarnéj.

Projekta austryackie na nierównie szerszéj opierają się podstawie od poprzednio wymienionych ustaw Z tego powodu zasługują na bliższe cokolwiek rozpatrzenie. Jak ustawie pruskiéj tak austryackiemu projektowi zakładania posiadłości rentowych przyświeca myśl, zawarta w „zasadzie rentowéj" Rodbertusa. Projekt zawodowéj organizacyi rolników jest zużytkowaniem idei Schäfflego, wyrażonéj w jego „inkorporacyi kredytu hipotecznego." Samo zaś urządzenie instytucyi posiadłości rentowych wzoruje się na angielskim Small-Holdings-act. Widzimy zatém, że projekta wspomniane mogłyby doniosłe mieć znaczenie dla rolnictwa, mając sposobność połączenia wymogów teoretycznych i praktycznych, byleby tylko zdołały odpowiednio dostroić się do rzeczywistych stosunków rolnych w Przedlitawii.

Wiadomo, jaki główny cel sobie zakreśla projekt odnoszący się do zakładania posiadłości rentowych: przeciwdziałanie zbytniemu odłużeniu hipotecznemu. Wprawdzie znając rozciągłość przesilenia rolniczego, musimy uważać zakres ten za zbyt szczupły, ale w tym szczupłym zakresie cel jest bardzo ważny. Idzie tylko o odpowiednie środki do jego osiągnięcia. Otóż właśnie znaczenie tych środków

---

[1]) Hdw. d. Staatsw.: Rentengüter (M. Sering).

prawie wszyscy krytycy projektu podają w wątpliwość. Mianowicie wskazują, że już w zasadzie wielkim stowarzyszeniom, które wedle projektu mają obowiązek uczestniczyć w licytacyi nieruchomości, będzie to bardzo trudne bez znacznego ryzyka [1]. Wskazują także na zbyt nizką granicę maksymalną, t. j. 20-krotny czysty przychód katastralny, do któréj właśnie stowarzyszenie rolników ma brać udział w licytacyi. Nieliczne skutkiem tego byłyby wypadki, w których krajowe stowarzyszenie mogłoby nabyć posiadłość licytowaną [2]. Obawiać się nawet można, czyby taki stan rzeczy nie sprzyjał spekulacyi. Mógłby bowiem spekulant nabywszy grunt za 21-krotny przychód odprzedać go natychmiast włościaninowi za 40-krotny przychód w ten sposób, że tylko część np. $^1/_4$ ceny kupna otrzymałby w gotówce, resztę „kredytując." Pominąwszy to wszystko, wypadki egzekucyjnych sprzedaży zadłużonych własności stanowią bądź co bądź małą bardzo część własności ziemskiéj obciążonéj długami hipotecznemi [3]. Środki te są więc niedostateczne do osiągnięcia celu zakreślonego. Bo nie można się spodziewać, żeby po za drogą przymusową na dobrowolny wniosek właściciela często powstawały posiadłości rentowe w myśl przypuszczenia ustawy. W razie nieznacznego odłużenia właściciel niełatwo zdecyduje się poddać kurateli stowarzyszenia, w razie zaś większego lub bardzo wielkiego odłużenia zachodzi niebezpieczeństwo, że przy rozpisać się mającéj licytacyi ktoś trzeci przelicytuje stowarzyszenie, że zatém właściciel grunt na zawsze utraci. Zresztą sam sposób urządzenia posiadłości rentowych nie mógłby nęcić nawet najbardziéj zadłużonych właścicieli. Ustawa poddaje bowiem właściciela posiadłości rentowéj tak wielkim ograniczeniom pod względem rozporządzania, że „prawo użytkowania z posiadłości rentowéj pod względem mocy swojéj pozostaje daleko po za własnością użytkową dawniejszych ustrojów prawnych" [4]. Nie dziw przeto, że projekt austryacki, dotyczący instytucyi posiadłości rentowych, nie znalazł wielu zwolenników i obrońców i że niedawno koła fachowe, reprezentanci Towarzystwa gospodarskiego oświadczyli się przeciw wprowadzeniu téj instytucyi.

O wiele racyonalniejszym przedstawia się projekt drugi, odnoszący się do organizacyi właścicieli ziemskich w przymusowych związkach zawodowych. Zakres działania stowarzyszeń rolniczych ma swój

---

1) Conrad: j. w.

2) Walter Schiff: Landw. Berufsgenossenschaften u. Rentengüter in Oesterr. (w Zeitschrift f. d. ges. Staatsw. 1895, 383 nast.; v. Grabmayr: Schuldnot und Agrarnot, 1894.

3) v. Grabmayr: j. w.

4) v. Grabmayr: j. w.; por. téż W. Schiff, j. w.

punkt ciężkości w zakładaniu posiadłości rentowych, ale jest oprócz tego bardzo rozległy, obejmując zaspokojenie etycznych i ekonomicznych potrzeb ludności rolniczéj. Ba, zakres ten jest tak rozległy, że powstaje wątpliwość, czy ludność wiejska w Austryi wszędzie dorosła do tych zadań [1]). Projektowana organizacya rolników ma ten kardynalny błąd, że nie uwzględnia różnych stopni kultury ludności wiejskiéj, różnych historycznie wytworzonych warunków gospodarczych, odmiennego w różnych okolicach usposobienia i charakteru ludności i tym podobnych zasługujących na uwagę różnic. Ta szablonowość i centralizacyjna tendencya, objawiająca się np. w tém, że decyzya stowarzyszenia nawet w sprawach niewielkiéj wagi zawisła aż od ministeryum, w końcu ociężały aparat biurokratycznego postępowania utrudnia bardzo przeprowadzenie organizacyi. Jeśli zatém zawodowa organizacya rolników ma przyjść kiedyś do skutku i działać korzystnie, musi projekt obecny uledz gruntownéj zmianie w tym kierunku, żeby ustawa państwowa, co najwięcéj, zawierała normy ogólne organizacyi, żeby zaś wypełnienie ram ogólnych zostawić ustawodawstwu krajowemu, które do właściwości i potrzeb lokalnych łatwo stosować się może [2]). Niektórzy pisarze są nawet zdania, że za podstawę organizacyi zawodowéj mogłaby służyć gmina, ponieważ doświadczenie uczy, że asocyacye rolnicze w związkach lokalnych (w kasach pożyczkowych, stowarzyszeniach spożywczych i t. p.) cieszą się powodzeniem [3]). Należałoby jeszcze zdaniem naszém przy takiéj organizacyi mieć na uwadze, żeby wewnątrz stowarzyszeń obejmujących — wedle projektu obecnego—wszystkie kategorye własności, nie ścierały się ze sobą interesa klasowe, szczególnie zaś żeby nie miały przewagi żywioły o wielkiéj potędze socyalnéj nad słabszemi, lecz żeby organizacya była korzystną i dla słabszych, właśnie dla słabszych.

V.

W szeregu teoretycznych poglądów na istotę przesilenia rolniczego i ustawodawczych kroków do jego zażegnania, których przedstawieniu niniejsza rozprawa była poświęcona, nie mogliśmy wskazać jednego któryby bezwarunkowo do celu prowadził. Przekonaliśmy się, że zapatrywaniom na zawikłaną kwestyę agrarną brak jeszcze téj jednolitéj podstawy harmonijnéj i wszechstronności, jakiéj wymaga po-

---

[1]) v. Grabmayr: j. w.

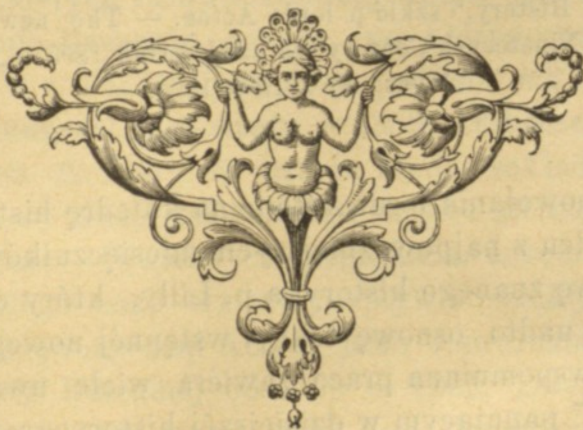
[2]) W. Schiff: j. w.; Leopold Caro: j. w.; Aleksander Mataczyński: j. w.

[3]) v. Grabmayr: j. w.

ważne dzieło społeczne, że brak jeszcze przewodniéj myśli wielkiéj reformy agrarnéj. Przewodnia myśl nieodzownie przyświecać zaś musi każdéj pracy istotnie społecznéj, jeśli jéj rezultaty mają być żywotne i trwałe, więc i pracy, która chce dźwignąć z upadku rolnictwo, tak ważny organ gospodarstwa społecznego. Skreślone przez nas zapatrywania teoretyczne i próby praktyczne ani same dla siebie ani nawet razem wzięte nie przedstawiają owéj pożądanéj budowy reformy agrarnéj, budowa ta jeszcze nam nieznana, czeka ona nie na budowniczego, lecz na plan architekta. Jednak, bądź co bądź, jakąkolwiek będzie przyszła budowa, dwie rzeczy będą dla niéj niezbędne, a obudwu dostarczą jéj przedstawione wyżéj zapatrywania i dążenia ustawodawcze. Z jednéj strony dostarczą one materyału dość obfitego, którego zrzec się niepodobna. Nie będzie bowiem można ignorować ani owéj wysoce pedagogicznéj i postępowéj idei Schäfflego korporacyjnego połączenia rolników, ani w zupełności zasady rentowéj Rodbertusa i praktycznego jéj zastosowania w instytucyi takiéj, jak posiadłości rentowe, ani wskazanego przezeń i rozwiniętego przez późniejszych teoretyków kierunku badania istoty kwestyi, ani rezultatów tego badania. Wszystkie te momenta będą musiały być uwzględnione przy konstrukcyi reformy. Będą jednak uwzględnione tylko o tyle—i tego uczy nas właśnie z drugiéj strony rozbiór znanych nam zapatrywań i dążeń — o ile pogodzić się dadzą ze współczesnym stanem cywilizacyjnego rozwoju i z tendencyą tego rozwoju w przyszłości. Bo jeśli w miarę rozwoju cywilizacyi stosunek osobistéj zawisłości jednego człowieka od drugiego coraz bardziéj się rozluźnia i ustępuje miejsca z jednéj strony coraz większemu znaczeniu społecznemu jednostki, z drugiéj strony zaś, mimo to, zawisłości jednostek od całego społeczeństwa, ale zawisłości w równéj mierze wszystkich jednostek, jeśli daléj w miarę rozwoju cywilizacyi każde gospodarstwo społeczne wchodzi w sferę wpływu całego świata a objawy społeczne, występujące w jednym krańcu gospodarzącego świata cywilizowanego, rychléj czy późniéj docierają do drugiego krańca — to każda reforma agrarna z tém wszystkiém liczyć się będzie musiała, tak samo, jak wszelka poważna działalność społeczna. Prócz tego, wszelka reforma agrarna zostawać będzie musiała w harmonii z innemi stronami wewnętrznego życia społecznego. Wprawdzie wzgląd na właściwości gospodarstwa rolnego, których dziś nikt nie zaprzecza, nawet socyaliści, może wymagać będzie wytworzenia odrębnego prawa normującego stosunki rolne, prawa agrarnego o analogicznym zakresie, jak istniejące już dziś prawo handlowe, prawo wekslowe, w każdym jednak razie odosobnienie rolnictwa, zamknięcie go, usunięcie od wpływów innych gałęzi pracy społecznéj ni-

gdy nie byłoby uzasadnioném. Życie społeczne stanowi organiczną całość a wszystkie strony tego życia w swéj różnorodności objawiać powinny jedność. Skoro jednak utrudnimy rozmaitym gałęziom pracy ludzkiéj wzajemne na się oddziaływanie, zabraknie życiu społecznemu normalnych warunków rozwoju. Po tych naszych uwagach zbytecznêm byłoby, zdaje się, dodawać, że przyszła reforma agrarna, pomna swego zadania społecznego i pragnąca zadaniu temu odpowiedzieć, nie powinna ograniczyć się na zabezpieczeniu interesów pewnéj tylko grupy jednostek, lecz mieć na względzie dobro wszystkich, pracujących na téj saméj dziedzinie gospodarstwa społecznego.

A. Korkis.



Historya w świetle dzisiejszéj nauki.

„German schools of History," szkic p. lorda Acton. — The new spirit in History" p. Lilly, artykuł w „Nineteenth Century" za październik 1895.—„Illustrated London News" Nr 2915 r. 1895.

Z powodu powołania lorda Actona na katedrę historyi nowożytnéj w Cambridge, jeden z najpoważniejszych miesięczników angielskich [1]) zamieścił rozprawę znanego historyka p. Lilly, który oprócz własnych poglądów podaje nadto osnowę lekcyi wstępnéj nowego profesora. — Ponieważ wyżéj wspomniana praca zawiéra wiele uwag krytycznych o „nowym duchu" panującym w dzisiejszéj historyografii, przeto sądzę iż nie będzie bez pożytku przedstawić je wraz z nasuwającemi się spostrzeżeniami i naszemu kołu czytelników.

Już sam fakt wyboru w mowie będącego uczonego na tak ważne stanowisko, jest znaczącym objawem w obecném życiu publiczném Anglii; bo (jak to zresztą zaznaczył już sam profesor w swém pierwszém przemówieniu) czterdzieści lat temu kołatał on napróżno jako kandydat o tęż samą posadę w Cambridge. Za tym uniwersytetem trzy inne zamknęły przed nim swe podwoje. Wtedy jeszcze religia [2]), w któréj

---

[1]) Nineteenth Century.

[2]) Katolicka.

się był Acton urodził i wychował, była mu w tém bardzo ważną przeszkodą nawet w liberalniejszym [1]) z dwóch głównych uniwersytetów angielskich.

Dziś czasy się do tyla zmieniły, że wyborowi prezesa angielskich ministrów przyklasnął kraj cały, oxfordzka Trinity spieszy z nominacyą nowego profesora swoim członkiem honorowym a jego lekcyi wstępnéj słuchają najznakomitsi przedstawiciele uniwersytetu ze wszystkich wydziałów. Jest to może najlepsza ilustracya zanikania tego starego ducha sekciarskiego, który jeszcze niedawno znajdował wyraz w sporach religijnych, oraz radykalnéj zmiany, jaka w ciągu lat ostatnich zaszła w głównych przybytkach wiedzy angielskiéj, czyniąc z fanatycznych twierdz protestantyzmu, skarbnice nauki w rzeczywistém i prawdziwém tego słowa znaczeniu.

Drugą przyczyną, dla któréj objęcie przez lorda Actona wyżéj wspomnianéj katedry ważnym faktem nazwać można, jest to, iż bez zaprzeczenia jest szanowny profesor jednym z najuczeńszych przedstawicieli nowoczesnego ducha w historyi.

Sir John Emerych Edward Dalberg Acton jest synem nieżyjącego już Ferdynanda Ryszarda Actona, po którym nastąpił jako ósmy z rzędu baronet w r. 1837. Dzisiejszy profesor ma lat 62 a wyniesionym został do godności para Anglii w 1869. Edukacyę pobierał najpierw w kolegium St. Mary w Oscott, kiedy zakładem tym kierował kardynał Wiseman, potém zaś kształcił się pod kierunkiem d-ra Döllingera w Monachium. W śmiałych poglądach ucznia na kwestyę soboru watykańskiego znać też silny wpływ monachijskiego profesora. Karyerę polityczną rozpoczął Acton, jako reprezentant miasta Carlow w szeregach partyi liberalnéj od 1859 — 1865, potém wybrany przez Bridgnorth a od czasu wyniesienia do godności para zabierał kilkakrotnie głos w izbie lordów, ostatnio jako zastępca sekretarza dla Irlandyi. W roku 1865 ożenił się z hrabianką Maryą-Arco-Valler (zm. r. 1889), z którą miał jednego syna i trzy córki. W Anglii znane są szerszemu kołu czytelników jego prace dziennikarskie, jako wydawcy trzech pism peryodycznych [2]), które jednak krótko wychodziły; lecz zawierają wiele artykułów treści historyczno-teologicznéj pióra Actona. Podczas soboru watykańskiego, na skutek głośnéj broszury Gladstone'a, prowadził z nim w téj materyi bardzo wyczerpującą polemikę w „Timesie". Wreszcie ogłoszona w „Quaterly Review" rozprawa p. t. „Wolsey i rozwód Henryka VIII" zwróciła nań powszechną uwa-

---

[1]) Cambridge.

[2]) „Home und Foreign Review" od 1862 — 1864, „The Chronicle" i „The North British Review."

gę. — Lord Acton piastuje wiele honorowych godności: w r. 1872 podczas jubileuszu uniwersytetu monachijskiego mianowany został doktorem wydziału prawnego; w 1887 Oxford dał mu honorowy stopień doktora prawa cywilnego a kolegium All Souls mianowało go swoim członkiem honorowym, który to zaszczyt dzieli Acton tylko z Gladstonem. W Niemczech historyczne prace Actona znane są lepiéj jeszcze prawie niż w Anglii, gdzie taki np. „List do niemieckiego biskupa obecnego na koncylium watykańskiém" nie wielu znajdzie czytelników. Rozprawę p. t. „German Schools of History" tłomaczył na niemiecki Immelmann (Berlin 1887, Gaertner Verlagsbuchhandlung). We Francyi, Actona listy o wolności tłomaczył Emil Laveleye. Oprócz tego wiele innych prac w mowie będącego uczonego pojawiło się bezimiennie. Lord Acton jest przyjacielem Gladstone'a, który często w kwestyach dotyczących historyi odnosi się do jego rady i erudycyi.

Dotychczas w Anglii katedra historyi nowożytnéj w Cambridge, wielkie bezzaprzeczenia mająca znaczenie pedagogiczne, traktowana była iście po macoszemu. Tak się jakoś składało, że zawsze prawie powoływano na nią ludzi niekompetentnych. Możnaby powiedziéć, iż w wyborze profesorów kierowano się zasadą lorda Lyndhurst, który mianując sędziów, mawiał: „najważniejsza, aby dany człowiek był przedewszystkiém gentlemanem a jeżeli oprócz tego zna jeszcze i trochę prawa, to tém lepiéj!" Podobnie téż i poprzedni ministrowie zdawali się uważać każdego literata za dostatecznie uzdolnionego do zajęcia stanowiska profesora historyi nowożytnéj w Oxfordzie lub Cambridge a pewna popularność zdobyta w dziedzinie romansu historycznego, szczególną już do tego zdawała się być kwalifikacyą. Oto najbliższe dwa przykłady: nadzwyczaj powierzchowny wykład Kingsleya, którego w r. 1860 mianował profesorem Palmerston a po nim wybór autora *Ecce homo* Sir John'a Seeley [1]). Ten wprawdzie na stanowisku swém pracował dużo a owocem téj pracy było dzieło jego o Steinie, lecz pomimo to najgorętsi nawet jego wielbiciele nie mogą powiedziéć, iż był to uczony historyk. Z lordem Acton rzecz ma się zupełnie inaczéj. Całe swe pracowite życie poświęcił on badaniom historycznym, prowadzonym z metodą iście naukową. We wszystkich zaś ogniskach wiedzy kontynentalnéj znany jest jako jeden z niewielu dziś angielskich uczonych, którego erudycya pozwala postawić go w jednym rzędzie z Niebuhrem i Rankem, Mommsenem i Treitschkem.

„Cztery powyżéj wymienione nazwiska, pisze Lilly, przypominają najlepiéj ile uczyniono w naszych czasach, aby posunąć badania histo-

---

[1]) Poprzednik Actona w Cambridge.

ryczne na stanowisko naukowe. Może nie od rzeczy będzie bliżéj określić co przez to rozumiemy.

Dwa najważniejsze są pytania, z któremi ciągle spotyka się historyk są: co? i dlaczego? W naszych czasach zaś odpowiada na nie nauka daleko gruntowniéj i systematyczniéj niż kiedykolwiek przedtém. Weźmy np. wielkich dziejopisów Grecyi i Rzymu. Dalecy od czynienia im jakiéjkolwiek ujmy, sądzimy nawet, że pod pewnemi względami przewyższają oni o całe niebo historyków późniejszych. Panuje w nich przedewszystkiém ten jakiś duch czy ton męzkości i powagi, są prawdziwemi skarbami wielkich myśli i bohaterskich czynów—kapłanami tego, co Milton nazywa „zupełną a szlachetną edukacyą, która czyni człowieka zdolnym do pełnienia sprawiedliwie, skutecznie i wspaniałomyślnie, wszystkich urzędów tak publicznych jak prywatnych, zarówno w czasie pokoju jak i wojny." „Literackie zaś ich zalety są równie wielkie, jak etyczne. Gdzież bowiem znajdziemy więcéj skupioną siłę wymowy jak u Tacyta, większą malowniczość opisów jak u Liwiusza, czystszy i prostoty pełniejszy styl, niż u Xenofonta a groźniejszą tragiczność i siłę niż u Tucydydesa? Lecz niewielu z nich analizuje surowo opowiadane przez siebie fakty a żaden nie stara się z danych faktów, ogólnych wyciągnąć prawideł. Oni nie znają wcale tego, co my nazywamy filozofią przyczyn. Nawet u najbardziéj postępowego z nich wszystkich, u Tucydydesa, znajdujemy bardzo niewiele rzeczywistego pierwiastku naukowego. Jest on wielkim krytykiem, wielkim myślicielem i wielkim artystą. Nie zaniedbuje też badać przyczyn. Zajmują go urządzenia i instytucye społeczne, dążenia pojedynczych partyi, walki namiętności, wymowa mężów stanu, strategia wojowników; lecz bardzo mało, prawie wcale nie zastanawiają go względy fizyczne i ekonomiczne. Tucydydes nie spostrzega jak wielkiemi i potężnemi czynnikami w ogólnym biegu wypadków historycznych są konfiguracye geograficzne, wpływy klimatu, stan sztuk i nauk, poziom moralny i warunki handlowe. Tém mniéj zaś zastanawia go ten fakt, iż prócz tego wszystkiego jest jeszcze pewna wewnętrzna konieczność przyrodzona, która wielce wpływa na kształtowanie się wypadków a konieczność ta ma swe źródło w charakterze narodowym."

Powyższa uwaga wydaje mi się nader słuszną, bo częste potępianie naszéj np. przeszłości za to, że nie postąpiła w danym razie jak jéj sąsiedzi lub inne ludy europejskie, może właśnie winno być hamowane tym względem na charakter danego narodu. Jest to może jeden z najważniejszych punktów, którego rozpoczynający swe dzieło mąż stanu nigdy z oczu stracić nie powinien.

„Zdaje się, iż nie będzie zbyt śmiałém twierdzenie, ciągnie daléj powołany powyżéj historyk, iż Montesqieu i Vico byli pierwszymi, którzy szukać zaczęli praw rządzących zjawiskami politycznemi, Leibnitz zaś był może najpierwszym, który prawdziwie pojął ideę powszechnéj przyczynowości w dziejach ludzkich; lecz późniejszemu filozofowi, choć mniéj niż tamten sławnemu, zawdzięczamy pierwszą jasną ocenę téj ciągłości w historyi, o któréj właśnie mówił lord Acton w swéj lekcyi wstępnéj. Herdera to bowiem pojęcie o przeznaczeniu ludów, jako jednéj wielkiéj epopei, przyczyniło się bardzo do posunięcia badań historycznych na tory naukowe. Nie miejsce tu i nie czas wyliczać tych pisarzów, którzy poszli w ślady niemieckiego poety - myśliciela; dodam tylko, że i tutaj także zauważyć można jak i w każdéj innéj sferze nowożytnéj myśli ludzkiéj, wpływ potężnéj osobistości Hegla. On bowiem niewątpliwie dał silny popęd nowemu duchowi historycznemu, jakkolwiek sam we własnych dziełach poświęcał fakty dla mrzonek i podporządkowywał prawdę swoim teoryom.

W prelekcyi swéj lord Acton twierdzi, iż nowa era w dziedzinie historyoznawstwa zaczęła się dopiéro naprawdę w drugiéj ćwierci naszego stulecia. Był to czas nadzwyczajnego ruchu w dziedzinie nauk przyrodniczych a wielki ich postęp najwidoczniéj wynikał z doskonałości stosowanéj przez nie metody. Ztąd silna chęć przystosowania téjże metody do nauk moralnych a w szczególności do historyi i wkrótce „atmosfera uprawomocnionego kłamstwa," która zawisła była nad wiekami średniemi, rozproszyła się. Przestarzałe tradycye historycznego racyonalizmu, tak drogie uczonym wieku ośmnastego, znikły zupełnie. „Każda historya, mówi Emerson, powinna być pisana w duchu mądrości, który wnika w zakres naszych skłonności duchowych i patrzy na fakty, jako na symbole. Wstydzę się przyznać jak płytką gadaniną jest nasza t. z. historya."

Spostrzeżenie powyższe myśliciela amerykańskiego doskonale charakteryzuje jedno z głównych znamion nowego ducha w historyoznawstwie.

„Nie należy zapominać, są zawsze słowa p. Lilly, iż nowy ten zwrot jest, po większéj części, wynikiem wielkiéj rewolucyi francuskiéj, która sama w sobie była pewnego rodzaju buntem przeciw historyi, zmierzającym do zatarcia przeszłości i uczynienia wszystkiego nowém. Duclos twierdził, że „pewna fermentacya rozumu powszechnego, dążącego do rozwinięcia się" była cechą jego stulecia. I w rzeczy saméj: rewolucya francuska, w któréj się ta fermentacya odbyła, wprowadziła panowanie idei ogólnych. Historya stała się naukowém badaniem sił rządzących ludzkością. Rozproszony sposób zapatrywania się

na rzeczy stał się już niepodobnym dla inteligentniejszego badacza. Lessing w swoim *Nathan der Weise* słusznie pisze o wielostronności każdéj kwestyi i o trudności należytego ocenienia związku zachodzącego pomiędzy niemi:

„In der Welt
Ein jedes Ding, so manche Seiten hat,
Von denen oft sich gar nicht denken lässt,
Wie sie zusammenpassen.

Historyk dzisiejszy jednak stara się i usiłuje wykazać, jak i w jaki sposób rzeczy i wypadki wzajemnie od siebie zależą. Jego zadaniem stać po za aktorami w tym powszechnym dramacie i szukać przyczyn—geograficznych, ekonomicznych, etnograficznych, psychologicznych, politycznych i etycznych, oraz zrozumiéć należycie instytucye, w których przyczyny powyższe wyraz swój znalazły. Każdy z nas wié; jak wielce stosowanie téj metody wpłynęło na nasze poglądy w każdéj prawie epoce dziejów ludzkich. Jakież to jasne światło na religijne, domowe i polityczne instytucye Grecyi i Rzymu, albo raczéj na cywilizacyę starożytną wogóle rzuca dzieło Fustel de Coulanges p. t. *La Cité antique!* Jakże zmieniły się nasze pojęcia o ekonomiczno-socyalnéj organizacyi Niemiec w krytycznym okresie 1450—1500 r. pod wpływem badań Janssena! Ileż to zawdzięczamy wielkiemu dziełu Taine'a, które przedstawia nam prawdziwy stan dawnego porządku we Francyi, przyczyny przewrotu i rzeczywistą naturę instytucyi, które rewolucya temuż porządkowi przeciwstawiła! Są to trzy od niechcenia postawione przykłady, bo najpierw się na myśl nasuwają. Zbyteczném jest prawie wymieniać pisarzów, którzy z pożytkiem na téjże saméj pracowali niwie—pisarzów, pomiędzy którymi widzimy przedewszystkiém Ottryda Müllera i Niebuhra, Rankego i Mommsena, Locky'ego i Creighton'a, Alexego de Tocqueville i Alberta Sorel. Wszystko to są „wzniosłe dusze”, które podług Montaigne'a są: „*âmes universelles, ouvertes, prestes à tout.*

Dosięgliśmy zatém tego, co lord Acton nazywa „pełnym rozwojem historyi”, epoka ta zaś, jak i wiele innych, przedstawia pewne wyłącznie sobie właściwe trudności. Jedną zaś z najważniejszych jest niezmierna rozległość i ogrom materyału, który obecnie powinien być znanym badaczowi historyi nowożytnéj. Mówiąc o historyi nowożytnéj, rozumiéć należy wraz z lordem Acton'em wszystko to, co się stało od czterystu lat, a odgranicza się i oddziela wyraźnie od czasów je poprzedzających, a w biegu swym rozwija specyficzne i charakterystyczne cechy. Starając się zrozumiéć wypadki ostatnich czterech wieków, stajemy zdumieni przed obfitością odkryć już porobionych w archiwach

a wzrastających z dniem każdym. „Około r. 1830 (mówi prelegent) rozpoczęto na szeroką skalę badania dokumentów, a do dziś dnia badania te rozwijają się coraz więcéj i wciąż jeszcze jesteśmy zaledwie w początku ery dokumentów." Powołując się daléj na wyżéj wspomnianą prelekcyą, ciekawą będzie np. wiadomość, że same tylko archiwa Watykanu, oddane teraz do użytku świata uczonego, wypełniły 3,239 skrzyń, gdy je przesyłano do Francyi. Każde państwo pozwala badać swe archiwa, a skutek z tego taki, iż życie całe spędzone w jednym z takich zbiorów nie wystarczyłoby na wykształcenie prawdziwego mistrza historyi nowożytnéj. Bo zanimby zdołał przejść od literatury do źródeł, od Macaulay'a, od Thiersa do nieprzebranéj korespondencyi Bonapartych, wciąż jeszcze czułby brak pobieżnego choć poznania historycznych skarbów Wenecyi i Neapolu, biblioteki Ossuna lub Ermitażu.

Rzeczą jest niewątpliwą, że pierwszym skutkiem tak wielkiego nagromadzenia się materyałów historycznych będzie podział pracy w téj sferze działności umysłowéj. I może też tak lepiéj będzie. Często bowiem się zdarza, że człowiek pewien przedziwnie uzdolniony do krytycznego badania dokumentów, wyposażony jest bardzo skąpo, lub czasem wcale nie w literackie zdolności do umiejętnego ich ujęcia w pewną organiczną całość. Zdolność krytyczna jest bezwątpienia rzadszą niż literacka. Oto co mówi p. Lilly: „Dokument jakiś może być autentyczny, a jednak nieprawdziwy. Cóż bardziéj autentycznego, jak akt parlamentu? A jednak przez ślepe zaufanie do Aktów parlamentu, niedawno zgasły historyk Froude dał się zaprowadzić na manowce i popełnił kardynalne błędy historyczne. W studyum swém, wydaném w r. 1855 p. t. „Najlepsze sposoby nauczania historyi angielskiéj" [1]), pierwszy raz ogłosił światu swe wielkie odkrycie, że w statutach angielskich „zarówno nauczyciel jak uczeń, znajdą współczesny sąd zdrowych umysłów kraju, wyrażony z jasnością poglądów, a często z majestatem słowa, którego wpływu żadne prywatne próby imaginacyi zatrzéć nie zdołają." Na to odpowiedział słuszną uwagą Freeman, „gdyby wstęp do Aktów parlamentu przyjąć zawsze za wiarogodne świadectwo historyczne, to historya angielska stałaby się bardzo dziwną bajką, dziwniejszą o wiele, niż nią jest nawet na kartach pism p. Froude."

Idąc daléj, Lilly mówi, że sprawozdania i korespondencye dyplomatyczne nie zawsze też na wiarę zasługują: „Należy być bardzo ostrożnym, aby odróżniać w nich wiadomości, spisywane przez ambasado-

---

[1]) The best means of teaching English History.

rów dla swego dworu, wiadomości dawnemi czasy podobne do dzisiejszego Biura Reutera, a szczególnemi świadectwami, które dane są przez naocznych świadków, lub też odezwami posłów w kwestyi specyalnie ich obchodzącéj. Trzeba przedewszystkiém poznać wszelkie idyosynkrazye danego autora, zanim zdecydujemy się jaką wagę przywiązywać należy do pism jego. Paolo Sarpi np. w opowiadaniach swych o Jezuitach jest nietyle świadkiem, co filozofem moralności. Coby należało uczynić dla krytycznego badania dokumentów, to stosować sądową metodę przesłuchiwania świadków. Jest to jednak niepodobném, przeto nie pozostaje nic innego, jak zastosować proces krytyczny, opisany przez lorda Acton jak następuje:

„Krytykiem jest ten badacz historyczny, który, natrafiwszy na interesujące i ważne świadectwo, zaczyna od podejrzywania go. I w nieufności téj trwa, dopóki świadka swego nie podda trojakiéj próbie. Najpierw pyta sam siebie, czy przeczytał dany dokument w tym duchu, w jakim go autor napisał. Czasem bowiem sekretarz, który go przepisywał, czasem wydawca, a czasem cenzor oficyalny, płatali różne figle. Jeżeli zaś żadne tego rodzaju nieporozumienie nie miało miejsca, to mogło się zdarzyć, że autor napisał dzieło swe dwa razy, że można odnaleść pierwszy jego zarys, pewne rzeczy dodane, inne zupełnie wykreślone. Drugą próbą jest pytanie, skąd autor zaczerpnął swoje informacye. Jeżeli z drugiéj ręki, trzeba to sprawdzić i badanie rozpoczynać *ab ovo*. Jeżeli z niewydanych dokumentów, trzeba je odszukać, a odszukawszy znów badać, czy na wiarę zasługują. Należy stwierdzić odpowiedzialność danego świadka historycznego, znać jego stanowisko, charakter, przeszłość i pobudki, jakie nim w życiu, karyerze i danéj pracy kierowały. I to jest, co w innėm a ściślém tego słowa znaczeniu, zowie się krytyką wyższą, różną wielce od służalczéj, a często czysto mechanicznéj pracy śledzenia danych faktów u t. zw. źródeł. Bo historyk musi być traktowany, jak świadek przed kratkami sądowemi, t. j. nie mieć wiary, póki nie stwierdzono jego prawdomówności. Zasada, że każdy człowiek uważany winien być za uczciwego, dopóki nie dowiedziono mu, iż tak nie jest, dla historyka nie istnieje. Główném tedy usiłowaniem jego winno być nie gromadzenie materyału; lecz sztuka krytycznego badania tegoż, odróżniania prawdy od fałszu i rzeczy pewnych od wątpliwych. Badania historyczne wzmacniają, prostują i rozszerzają poglądy umysłu nietyle przez bogactwo erudycyi, ile przez sumienną i gruntowną krytykę".

Słowa te nowego profesora głębokie są i, zdaniem naszém, winny być ideałem historyków polskich szczególniéj; bo należy się obawiać, by z powodzi dokumentów i źródeł, które ostatniemi czasy ogło-

szono, nie wyciągano zbyt pośpiesznie nadto potępiających wniosków. Najlepszém i najpewniejszém świadectwem o stanie danego narodu pozostanie zawsze to, które dane było bezwiednie i nieświadomie.

„Historya—mówi daléj p. Lilly—była i będzie zawsze poniekąd psychologią. Wypadki, które opisuje, są tylko o tyle ciekawe, o ile malują i charakteryzują: namiętności, uczucia, przekonania i dążenia ludzkości.” I dlatego słuszność ma wspomniany przez nas dopiéro co autor, gdy w mowie wypowiedzianéj na bankiecie literackim, rzekł: „jeżeli chcemy się przekonać, czém było życie jakiegoś narodu w pewnym danym okresie, to objaśni nas o tém najlepiéj jego literatura.” To jest zwierciadło, w którém czasy się odbijają, to jest owo bezwiedne, nieświadome siebie świadectwo. „Każda generacya zanim zniknie, odbije się w niém. I dlatego to Arystoteles uważał poezyę za więcéj filozoficzną i na większą zasługującą uwagę niż historya φιλοσοφώτερον καὶ σπουδαιότερον ποίησις ἱστορίας ἐστίν. Tak samo zapatruje się na tę sprawę jeden z najpierwszych nowożytnych historyków Taine, twierdząc, iż literatura jest owocem najwybitniejszych zdolności każdego narodu *(les facultés maîtresses)*. „Literatura daje nam obraz życia, które przeszło przez oczyszczający je ogień myśli. I dlatego to pewno znamy wiek Peryklesa lepiéj, niż jakąkolwiek epokę historyczną, bo tak całkowicie duszę téj epoki odzwierciedlili wielcy pisarze tego okresu. Prawdziwy charakter i rzeczywiste zasługi przywódzców rewolucyi francuskiéj pozostawiły niezatarte piętno na jéj literaturze, nie wiele co wartéj sama przez się; lecz jako ilustracya epoki, nieskończone mającéj znaczenie. Jest to literatura gwałtu, fanatyzmu i nienawiści, mająca swój osobny słownik charakterystyczny; lecz maluje doskonale panujący naówczas konflikt idei, przeciwstawiający religii — naturę, przesądom -zdrowy rozsądek, zabobonom—postęp, a tyranii—wolność.”

Przypuśćmy teraz—pisze Lilly—że historyk, zgodnie z radą lorda Acton, zebrał już dostateczny łańcuch powodów i sprawdził je podług wyżéj wspomnianéj metody krytycznéj. Zadaniem jego dalszém będzie ugrupować te fakty i dowody tak, aby prowadziły czytelnika do pewnych konkluzyi. I tu jest właśnie różnica, jaka zachodzi pomiędzy krytykiem a sędzią. Ten wielki arsenał faktów, których dostarcza historya, daje broń w rękę wszystkim partyom. Zdaje się, iż Talleyrand to jeszcze powiedział, że „*il n'y a rien qui s'arrange aussi facilement que les faits*”. Na podstawie jednych i tychże samych świadectw można zwykle osnuć dwa sprzeczne twierdzenia, czego zresztą rozprawy sądowe codziennie prawie dowodzą. Szczęściem, przysięgli nie wydają wyroku, lecz sędzia, którego zadaniem jest beznamiętnie

i bez uprzedzeń zesumować wszystkie dowody nie w interesie żadnéj ze stron, ale w interesie prawdy. Taka też bezstronność jest obowiązkiem historyka. W miarę, jak tylko przechyla się na stronę jakiéjkolwiek partyi, obniża się ideał jego wysokiego powołania. Józef de Maistre świetnie to określił słowami: „zabraniam krótkowidzom pisać historyi". I bez zaprzeczenia, zbyt wielu historyków opisuje i przedstawia przeszłość w interesie teraźniejszości, odtwarza ją dla własnych celów i często prawie bezwiednie przystosowuje ją do swoich nadziei lub obaw, sympatyi i antypatyi. Ich zapatrywania polityczne, filozoficzne lub religijne z góry już kształt nadają ich wnioskom. Lord Acton przytacza w téj materyi charakterystyczną anegdotę o Rankem. Gdy pewien duchowny, który podobnie jak znakomity historyk niemiecki pisał o reformacyi, powitał go jako kolegę, ten odpowiedział: „Pan jesteś przedewszystkiém chrześcianinem, ja zaś przedewszystkiém historykiem; więc pomiędzy nami cała przepaść." Niepodobna lepiéj wyrazić, jak dalekim winien być historyk od ducha partyi i stronnictwa, — mówimy: powinien być, lecz rozumiemy przez to, iż winien miłować, zbliżyć się jak najwięcéj do tego ideału, gdyż bezwzględnéj bezstronności żaden chyba człowiek nie posiada. Niepodobna bowiem wyzuć się (jakkolwiekbyśmy się o to starali) ze znamiennych cech naszego ducha, wszystkich instynktownych wstrętów lub głębokich, wrodzonych sympatyi. Ludźmi jesteśmy i ludzie niestety, jak mówi Schiller, piszą historyę:

O Schade!
Dass Menschen nur, nicht Wesen höhrer Art
Die Weltgeschichte schreiben!

„Możemy jednak pochlebiać sobie, że w naszym wieku osiągnęliśmy pojęcie i jasno sobie zdajemy sprawę z sędziowskiego charakteru historyka. Lord Acton mówi, iż główną cechą téj nowéj generacyi pisarzów, która wykopała tak głęboką przepaść pomiędzy historyą, tak jak ją pojmowali nasi przodkowie, a tém jak się nam ona dziś przedstawia, jest ten dogmat bezstronności. Jest to już rzeczywiście bardzo wiele podnieść zasadę bezstronności historycznéj do godności dogmatu. Co się zaś do rozszerzenia tego pojęcia najwięcéj przyczyniło, to zdobyte przekonanie, że w historyi nie panuje *absolutum* (twierdzenie bezwzględne), lecz relatywne, od wielu przyczyn zależne fakty."

Pan Lilly rozwija tę myśl szerzéj w tych słowach: Historyk sądzi lub gani. Te same wielkie prawa i zasady etyki, które rządzą życiem indywidualném każdego człowieka, panują także w życiu zbiorowém całéj ludzkości. Napoleon zwykł był mawiać, iż są dwie moralności:

jedna dla spraw prywatnych, druga dla spraw publicznych—moralność życia codziennego, kierowana względami sprawiedliwości i krzywdy, oraz moralność mężów stanu i wojowników, kierująca się względami powodzenia lub niepowodzenia. I te dwie moralności, podług niego, są sobie wprost przeciwne — *la petite morale est ennemie de la grande.* Podług p. Lilly, jest to fałsz. Nie ma dwóch moralności. W życiu publiczném, zarówno jak w prywatném najważniejszemi hasłami są dobro i zło. Prawo moralne jest zasadniczym probierzem i podstawą nietylko egzystencyi indywidualnéj, ale i porządku społecznego. Jest to słońce sprawiedliwości, oświecające świat racyonalnego bytu. Uznanie powyżéj wyrażonéj prawdy stanowi, zdaniem naszém, największy urok pism jednego ze starożytnych historyków. Sprawiedliwość, honor, wdzięczność, przekonania religijne, są to, według Tucydydesa, zasady kierujące wzajemnemi stosunkami państwa z państwem, człowieka z człowiekiem.

Jednym z najpiękniejszych ustępów w prelekcyi lorda Actona był ten, w którym szczególny kładąc nacisk na tę teoryę mówi: „Zaklinam was, panowie, abyście nigdy nie obniżali moralnego dążenia dziejów, lub obrażali choćby na jotę ideał sprawiedliwości; sądźcie drugich podług tych samych praw, jakie przy końcu życia zastosowywane będą do was samych i nie pozwalajcie, by żaden człowiek, ni żadna sprawa nie uszły kary, którą historya piętnuje wszelkie zło. Jeżeli błądzimy często, to lepiéj być zbyt surowym, niż nadto pobłażliwym, bo wtedy przynajmniéj nie obniżamy wartości zasad."

Na to wszystko godzi się p. Lilly, twierdząc, że surowe godło poważnéj „*Edinburgh Review*": *Judex damnatur cum nocens absolvitur*, stosuje się dosłownie do historyka; lecz z drugiéj strony dodaje od siebie:

„Nie należy ani na chwilę zapominać, jak dziwnie dobro i zło plączą się czasem w tym chaotycznym dramacie historyi ludzkiéj, jak często właśnie pewne wybryki własności narodów wypełniają najszlachetniejsze i najpiękniejsze karty dziejów. Dlatego to historyk powinien posiadać ten subtelny dar ogólnego współczucia, powinien patrzéć „innemi, większemi oczyma", niż zwykli ludzie. Nigdy bowiem nie bywa tak, aby wszelka słuszność była po jednéj stronie, a błąd po drugiéj.

Dwa wielkie ruchy w dziejach nowożytnych, t. j. reformacya i rewolucya francuska, mogą tutaj służyć za przykład. Wiemy, co Goethe o nich powiedział:

„*Franzthum drängt in diesen verworrenen Tagen, wie ehemals Lutherthum es gethan, ruhige Bildung zurück.*"

I to jest bez zaprzeczenia prawda. Reformacya i rewolucya francuska bezwątpienia cofnęły wstecz spokojny, tak drogi Goethemu, rozwój kulturalny, lecz skądinąd możemy być pewni, iż nawet Goethe ani na chwilę nie przypuszczał, iż słowa powyższe są sprawiedliwym sądem historycznym o tych wielkich i tak ogromne znaczenie mających przewrotach społecznych.

„Przypominam sobie — pisze Lilly — jakto, gdy wielkie dzieło Taine'a „*Les origines de la France contemporaine*", było już prawie na ukończeniu, w obozie współczesnych Taine'owi Jakobinów, podniósł się jeden okrzyk zgrozy i oburzenia: *il détruit la légende* — wołano. I w rzeczy saméj takim jest istotny wynik tego monumentalnego przedsięwzięcia, arcydzieła niestrudzonéj, bezstronnéj a jasnéj analizy, choć trochę przeciążonéj szczegółami. Janssen uczynił to samo z historyą reformacyi Lutra, przedstawiając ją potomności w jéj rzeczywistéj, niczém nie ubarwionéj, prawdzie. Odtąd nikt nie powié, iż lata 1521 i 1789 są datami rozpoczynającemi nowe ery łaski i prawdy. Bezpośrednim skutkiem rewolucyi francuskiéj, zarówno jak i reformacyi, była anarchia, wandalizm, niewola ogólna i zaprzeczenie praw sumienia i rozprzężenie obyczajów. Lecz nie ulega kwestyi, że zarówno jeden, jak i drugi z tych przewrotów, był logiczném przesileniem w historyi. Jeden i drugi jest buntem przeciw stanowi rzeczy, który się stał nieznośnym, a niemożebnym do naprawienia drogą pokojową. Pomimo to jednak, przewodnią ich myślą była idea prawdziwa, któréj windykacya przyczyniła się do ogólnego postępu ludzkości." I tu znów przytoczyć można słowa lorda Actona, który, mówiąc o obu tych epokach historycznych, każe widziéć w nich „niespożytą ideę przynależnego każdemu człowiekowi prawa, by mu nic i nikt nie przeszkadzał w pełnieniu jego obowiązków względem Boga!"

„Tyle co do naukowego ducha historyi — pisze Lilly — ale historya nietylko jest nauką, jest ona również i sztuką. Ażeby być wielkim historykiem, trzeba też być i wielkim artystą. Każdy, kto chce sprawić, aby pod jego piórem przeszłość ożyła, posiadać musi ten niedający się zdobyć lecz wrodzony przymiot, t. j. geniusz czyli siłę poetycką. Prześlicznie wyraził to Taine w swém studyum o Liwiuszu: „w historyku jest krytyk sprawdzający fakty, erudyt gromadzący je, filozof, co je wyjaśnia; lecz ich wszystkich zasłania poeta, co opowiada. Historyk w czasach dzisiejszych nie powinien zapominać o téj prawdzie; chociaż z drugiéj strony nie ulega wątpliwości, że bez nauki, ścisłości, zmysłu krytycznego, rozsądku i prawości nie napisze niczego, coby na miano historyi zasługiwało." Tak podług p. Lilly miała się rzecz z niedawno zmarłym historykiem angielskim Froude, który po-

wodowany uprzedzeniami obrażał prawdę historyczną. W drobne atoli szczegóły wycieczki p. Lilly przeciw Froude'owi wdawać się tu nie będziemy; wolimy raczéj iść daléj z biegiem ogólniejszych poglądów autora.

Zadawano sobie niejednokrotnie pytanie: Czego właściwie uczy nas historya? Otóż ten rodzaj historycznego romansu, jaki uprawiają historycy ze szkoły p. Froude, nie wiele zaiste nauczyć nas może. Lecz prawdziwa historya daje nam wiele nauk praktycznych. I nikt tego nie wyraził lepiéj, jak jeden z nowszych pisarzów, stanowiący poważny kontrast ze wspomnianym wyżéj profesorem oksfordzkim, t. j. Lecky: „Ten, kto nauczył się rozumiéć prawdziwy charakter i dążenia wielu poprzednich wieków, nie może się wielce mylić w sądzeniu wypadków sobie współczesnych."

Tak jest, dla każdego narodu znajomość historyi wogóle, a swych dziejów ojczystych w szczególności, to szkoła jego życia na przyszłość. A dlaczego tak jest, powiedział już blisko dwa tysiące lat temu Tucydydes, który swoją historyę wojny peloponeskiéj, poświęca tym, c o p r a g n ą m i é ć p r a w d z i w y p o g l ą d n a ó w c z e s n e w y p a d k i i p o d o b n e a l b o t y l k o p r z y b l i ż o n e i m r z e c z y, m o g ą c e z g o d n i e z n a t u r ą l u d z k ą [1]) p r z y t r a f i ć s i ę i p o t é m. Jest to głęboka myśl, a rzeczywiste korzyści ze znajomości historyi osiągniemy wtedy, gdy w wykładzie dziejów ojczystych kierować się będziemy tém zdaniem historyka ateńskiego.

Historya — mówi daléj p. Lilly — to dzieje ciągłych zmian. Lecz jest coś, co się nigdy w istocie swéj nie zmienia, a tém jest owo τὸ ἀνθρώπειον Tucydydesa. I dlatego to muza historyi jest též zarazem i wieszczym duchem. Oto nawet dalekie czasy wojny peloponeskiéj pełne są nauczających przykładów dla nas dzieci XIX-go stulecia. Nigdzie zaiste nie znajdujemy tylu kart pożytecznych dla męża stanu, co w tych dziejach kréślących demoralizujący wpływ ducha partyi i stronnictw, który wkrótce miał pogrążyć Grecyę w niewolę. I tu nasuwa się p. Lilly ciekawe porównanie pomiędzy niedawno odkrytém dziełem Arystotelesa o upadku sławnéj rzeczypospolitéj ateńskiéj a dziejami Anglii współczesnéj. „Historya konstytucyi ateńskiéj ciągnie się przez przeciąg niespełna dwóch wieków. Zaczynając się za Solona i dosięgnąwszy stopnia najwyższego rozwoju pod Peryklesem, kończy się w dwadzieścia cztery lat po jego śmierci niepowetowaną klęską pod Egospotamos. Znamy w drobnych nawet szczegółach bieg wypadków politycznych w Atenach przez ciąg tych dwudziestu czterech lat. Na-

---

[1]) κατὰ τὸ ἀνθρώπειον.

stępujące po sobie jedna po drugiéj radykalne zmiany w konstytucyi jeden przywódzca partyi wysuwający się ponad drugiego i szukający poklasków motłochu, obaj zarówno obojętni na dobro publiczne, własne tylko interesy mający na celu, a w ciągu tego wszystkiego „nieuunikniony koniec, zbliżający się nieubłaganie". Tak wyraził się o dziejach swéj ojczyzny jeden z największych myślicieli politycznych, a zdanie to może i dziś jeszcze obudzić bardzo niepokojące myśli wśród wielu społeczeństw. Historya czasów nowszych szczególnie obfituje w wymowne pod tym względem przykłady. Doświadczenia poczynione przez inne narody w rozwiązywaniu zagadnień politycznych są lekcyami poglądowemi, jasnemi dla wszystkich, którzy tylko patrzéć umieją. Przytoczę tu dwa, a w przedstawieniu ich użyję słów jednego z pisarzów, którego szerokość i niezawisłość poglądów dają mu szczególne prawo do wyjątkowéj uwagi tego stronnictwa, które się zowie liberalném, i które, był czas, że uważało go za swą wyrocznię [1]. Jednym z ulubionych sofizmatów, często używanych obecnie przez liberałów, jest identyfikacya wolności cywilnéj i religijnéj z niczém nie hamowaną przewagą (teroryzmem, że tak powiem) większości i głosowania powszechnego. Jest to, jak to już wyżéj powiedzieliśmy, sofizmat, który najelementarniejsza znajomość wypadków historycznych odeprzéć potrafi.

„Doświadczenie uczy — powiada J. St. Mill — że przedstawiciele władzy, będący tylko reprezentantami ludu, są tak samo gotowi (jeżeli tylko mogą liczyć na poparcie ogółu) do użycia środków despotycznych i niewłaściwego wdzierania się w życie prywatne, jak każdy inny organ oligarchiczny."

Co do drugiego przykładu, to członkowie parlamentu, uważający się za nader liberalnych, domagają się wciąż, aby członkowie izby gmin pobiérali pensye z funduszów publicznych. Mill był temu stanowczo przeciwny. W książce p. t. „*On the representative Government*" mówi, iż system podobny prowadziłby do głębokiego poniżenia władz ustawodawczych. Książka Milla wyszła w r. 1861, a historya Europy przez przeciąg trzydziestu czterech lat, które nas od jéj ukazania się oddzielają, dowiodła aż nadto dobrze słuszności tego zapatrywania. We wszystkich krajach, w których wprowadzono wynagradzanie pieniężne przedstawicieli narodu, stanowisko posła stało się celem westchnień wszelkich awanturników, stało się rzemiosłem uprawianém, jak każde inne tylko ze względu na to, jakie im przynosi korzyści. Wszystkich tego rodzaju błędów uchroniłyby się zatém ludy, gdyby

---

1) J. St. Mill.

kierowały się znajomością historyi. Pytanie jednak, czy historya ma jaką wartość praktyczną? pociąga za sobą pytanie drugie, mianowicie: czy my wogóle posiadamy jaką rzeczywistą moc kształtowania i urabiania biegu wypadków? Historya przedstawia nam przecież działanie sił i praw, które z pokolenia w pokolenie są zawsze też same. Więc jakiéjże natury są te siły i te prawa? Sąż one wszystkie tylko fizyczne, które podobnie jak siły materyi skrępowały naturę przeznaczeniem? I oto, zadając sobie te pytania, stajemy oko w oko z dwiema szkołami myśli, zarówno na polu historyi jak i innych dziedzin nauki. Jest to konkluzya, obracająca się głównie około jednostki ludzkiéj; a mianowicie: czy człowiek jest jedynie ślepém narzędziem praw natury, t. j. swoich sensacyi, lub téż czy posiada w duszy swéj prawdziwą przyczynowość?

Nie pora tu wdawać się w dyskusye metafizyczne; p. Lilly mówi, iż w jego przekonaniu zapatrywania deterministów na zbiorowe i indywidualne życie ludzkości, zapatrywanie, które czyni z tego życia jakiś mechanizm fizyologiczny — jest zupełnie fałszywe. A przekonanie to swoje opiera na téj zasadzie (nie mówiąc o innych), że jest ono stanowczo przeciwne idei ludzkiej samowiedzy. „Nie można jednak zaprzeczyć, mówi daléj, że pogląd deterministów mieści w sobie nieco prawdy, bo to, co nazywamy fatalizmem czyli przeznaczeniem, gra jednak wielką rolę w sprawach ludzkich. Tak jest: istnieje pewna konieczność, wynikająca z natury rzeczy. Działanie przyczyn ekonomicznych i fizycznych jest nieustanne, historya ludzka ma więc swoją stronę fizyologiczną; lecz działanie przyczyn moralnych, idei, pragnień, cnót, występków, zarówno jednostek jak i całych narodów jest również nieustanne; — historya ludzka ma zatém również i swoją stronę psychologiczną. Przypuszczamy, że po za zjawiskami szukać należy praw, po za przypadkowością kryje się konieczność, za wolą natura. To prawda; lecz czyż twierdzić tak (a zaiste czasem musimy tak twierdzić) nie jest to przemieniać historyę w coś podobnego do jakiéjś fizyki socyalnéj, zrobić z niéj to, co Niemcy nazywają *„eine reine Naturgeschichte."* Przeznaczenie nie krępuje absolutnie człowieka. Pierwszym warunkiem jego postępu jest wyłamanie się z pod praw fizycznego fatalizmu. Rzymski poeta wyraził to krótko: *„Et mihi res non me rebus subjungere conor."* Historya ludzka to raczéj stopniowy tryumf sił sumienia i rozumu nad ślepemi siłami natury, instynktu i temperamentu człowieka. Żeby cywilizacya polegała na samém poznaniu i stosowaniu się do praw fizycznych, uważam to za jeden z najniedorzeczniejszych aksyomatów. Pierwiastki cywilizacyjne są przedewszystkiém moralne. Główny postęp ludzkości—a wszelki inny postęp podporząd-

kowanym mu być musi — polega na rozwoju téj idei etycznéj, która istniejąc w naszym umyśle, rozwijała coraz więcéj pierwiastek osobisty, ludzki w historyi. Rozwijała go jako odżywczą zasadę tych instytucyi, wśród których żyjemy będąc ludźmi cywilizowanymi; jest to usprawiedliwienie potęgi ogółu, która bez tego byłaby tylko brutalną siłą. Twierdzenie Hegla, że filozofia historyi to filozofia ducha, jest wielce prawdziwe, bo kreśli ona rozwój rozumu, objawiającego się w państwie."

„Najbardziéj nauczającą lekcyą historyi wydaje mi się ta, która mówi o postępie; lecz nie o téj ciągle wzrastającéj znajomości fizycznych praw natury, czyli praw wygody, ale o naszych głębszych dążeniach i pragnieniach, o świętości i wartości człowieka jako istoty etycznéj, obdarzonéj wolą, wolnością wyboru i odpowiedzialnością. Są tacy, którzy w obecnéj cywilizacyi widzą wiele rzeczy smutnych i złe zapowiadających następstwa. Trudno im zaprzeczyć, kiedy spojrzawszy naokoło siebie, widzimy tylko ubóstwianie mamony, materyi i mechanizmu, upadek obyczajów, nienawiść rzeczywistéj wyższości, skłonność płynięcia z prądem kaprysów ogółu, składanie odpowiedzialności całéj na wypadki, przyjmowanie faktów za konieczność bez względu na ich moralne znaczenie i usprawiedliwianie wszystkiego paradoksami? Tak jest, surowi cenzorowie naszego wieku mają po za sobą wiele dowodów na poparcie swego twierdzenia. A jednak, jeżeli spojrzymy w przeszłość, jeżeli weźmiemy dzieje ludzkie jako całość, choćby tylko nawet te niezbyt odległe wieki, które zowiemy dziejami nowożytnemi, to czyż nie należy uwierzyć, że:

„W nieświadomym postępie świata
Działa za nas duch mądrzejszy
I oko bystrzejsze niż nasze?"

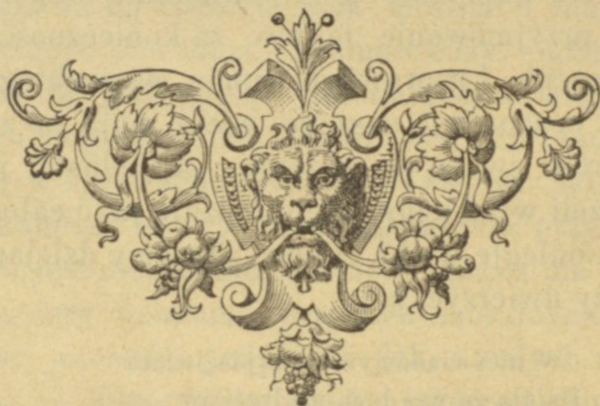
W szczególności zaś kończy Lilly, zgadzam się z lordem Actonem, że zdobyta wolność jest najważniejszym rezultatem moralnym, opierającym się na połączonych wszystkich warunkach postępu. Postęp w dziedzinie zorganizowanéj wolności jest charakterystycznym objawem historyi nowożytnéj i hołdem, który taż historya składa teoryi Opatrzności."

Widzę bowiem, słowa są p. Lilly, działający w historyi, (która bez tego nie miałaby dla mnie znaczenia) porządek moralny, przyczynowość-ideał. I przekonany jestem, że przywilejem każdego człowieka jest: stosując się do tego porządku, do tych przyczyn i tego ideału: pracować w miarę sił nad posunięciem naprzód ogólnego postępu świata i zostanie robotnikiem w tém nieskończoném dziele, które się cią-

gnie przez wieki; być pomocnikiem w osiąganiu tego oddalonego jeszcze wielce, lecz boskiego zakończenia, ku któremu dąży cały wszechświat! I w tém to przeświadczeniu jedynie, znajduję dla duszy silną i pewną kotwicę na wzburzoném morzu zbrodni, potwarzy, tryumfu fałszywych zasad, jakich tak pełno w historyi."

Témi słowy kończy p. Lilly swoją zajmującą rozprawę, którą podawszy tutaj w głównych zarysach, sądzę, iż nie użyłem czasu bezowocnie. Zacna i głęboka myśl, choćby tylko zlekka i niezbyt udatnie podjęta, pobudza przecież do dalszego myślenia a czasem i znakomitego téjże myśli rozwinięcia. Dobrze jest przypomnieć sobie i znaléźć to potwierdzoném przez mędrców tego świata, że historyą oprócz sił i praw natury, rządzi przedewszystkiém odwieczna sprawiedliwość.

M. W.



EKONOMICZNY STAN WIOSEK

i ich przyszłość.

Kto wsi nie zna? — wszyscy ją znamy, jest to zwykle szereg chałup, pośród których wije się droga, co nierzadko zbacza z traktu do dworu, rezydencyi właściciela większego obszaru. Oprócz dworów, w wielu wsiach mamy kościoły i obok tonące w zieleni oborki i dom proboszcza. Taka wieś zawsze posiada budynek z zajazdem, czyli karczmę, punkt zebrań świątecznych i, jak obecnie, miejsce kupna towaru fabryczno-miejskiego. Często gdzieś na uboczu stoi kuźnia i dom kowala, i wiatrak na wzniesieniu przy wsi lub za wsią, dwa konieczne zakłady dla rolnika.

Typowa wioska w Królestwie przedstawia to zjawisko, iż wzrastająca rodzina wieśniaka musi się rozejść, bo posiadany grunt nie wystarczy, więc u chłopa pragnienie gruntu, wogóle posiadania, jest dominującą cechą, — gdy chęć wyzyskania tego, co jest, stanowi dominującą cechę dworów; lecz brak robotnika, a właściwie niechęć i zawiść ze strony wsi uniemożliwia wiele robót, mających osobiste dobro właściciela większego obszaru i korzyść całéj wioski na celu, wskutek czego trwa zastój w ekonomicznym jéj rozwoju.

Ponieważ przedmiot tego antagonizmu zajmuje mnie oddawna, i o ile wiem, stanowi w ustroju gospodarstwa społecznego jako praca u podstaw, kardynalny warunek zmian na szerszą skalę oczekiwanych,

przeto podaję charakterystykę wsi w jéj ekonomicznéu położeniu obecnie, albowiem to będzie wskaźnikiem reform, które nastąpić mogą.

Najbliższa wioska Ossa (pow. opoczyńskiego), w sąsiedztwie któréj zamieszkuję, rozpada się na starą wieś i nową, czyli kolonie, istniejące od lat szesnastu na gruntach rozparcelowanego dworu, wtedy jeszcze, kiedy Banku włościańskiego nie było; mamy tu więc do czynienia z pozostałością historyczną i nowotworem. W staréj wsi, na skutek uwłaszczenia, powstało 30 gospodarek, obejmujących przecięciowo po 30 morgów. Grunta owéj wioski wogóle piaskowe, w czém tylko dwa pola, szerokie ogrody i wąskie ogrody, posiadają czarnoziemy o głębokiéj warstwie rodzajnéj i odwiecznéj kulturze, te dwa bowiem pola były pier-wotnym punktem uprawy z chwilą powstania téj wsi, zdaje się w XV-ym wieku.

Oprócz włókowéj przestrzeni gruntów indywidualnego władania, do każdego numeru takiéj gospodarki, wedle tabeli nadawczéj przywiązanego, cała wieś czyli gromada otrzymała 140 morgów na pastwiska po wyciętym lesie i około 70 morgów łąk błotnych, któremi sami włościanie podzielili się 1866 roku. Przytém wieś cała otrzymała 62 morgi lasu, którym również w kilka lat po uwłaszczeniu podzielono się w stosunku do ilości gospodarek w tabeli zapisanych i las wycięto; lecz ten podział po dziś dzień nie został przez komisarza legalizowany, a przestrzeń leśna jest uważana za wspólną całéj wsi, jak grunta pastwiska.

Obecnie, 1896 roku, zatém po 32-ch latach od daty uwłaszczenia, na gruncie 30 ukazowych gospodarek, mamy 48 domostw, a 84 tak zwanych „gospodarzy", chociaż początkowo było tyle chałup, ile ukazowych gospodarek. Zatém przybyło 54 gospodarzy, a tylko 18 chałup, czyli że w większości domów mieszka po dwie rodziny (dwóch gospodarzy), a w kilku gospodarkach, oprócz rozdzielonego gruntu ukazowéj gospodarki, zachowała się wspólna stodoła, chléw, obora, a nawet jak u kilku (3) z rodziny Penkalów, wspólnego konia, karmionego i używanego kolejno w lecie co drugi dzień, a w zimie co tydzień. Jest to cenny szczegół, bo inni, dzieląc pierwotne gospodarki, starają się o własne budynki gospodarskie, chociaż niejednokrotnie pług, sieczkarnia, drobiny i t. d. bywają używane wspólnie, to jest ciągle wzajem sobie „pożyczane".

W téj wiosce dotychczas zachowała się niepodzielna tylko jedna gospodarka ukazowa, mająca 36 morgów, gdy tymczasem:

7 gospodarzy posiada po 16 morgów
16 „ „ „ 12 „

14	gospodarzy	posiada	po 10	morgów
25	"	"	" 8	"
13	"	"	" 6	"
6	"	"	" 5	"
2	"	"	" 4	"

a mieliby znacznie mniéj, gdyby zmysł ludowy nie wprowadził systemu ożenku na miany, to jest że brat żeniwszy się we wsi Wola Kamienna, a siostra, idąca tam za chłopa, wymieniają sobie należne cząstki gruntów, przyczém różnica bywa dopłacana w kosztach weselnych, lub gotówką, albo *in natura* krową, zbożem i t. d. Gdy zaś nie mogą zgodzić się na miany, a małżeństwo zostaje uskutecznione, albo młodsze rodzeństwo jeszcze nie podrosło, aby mogło się pobrać i nastąpić wymiana poletek, to każde stadło z odległości swojéj wsi uprawia należny działek — kobiéty, gdy ta się przeniosła do wsi męża, lub odwrotnie działek chłopa, gdy zamieszkał we wsi żony. Że zaś takowy działek nigdy nie bywa właściwie mierzwiony, a tylko ugoruje, a jak obecnie łubinuje co lat kilka, przeto rola ubożeje i jak to zwykle się zdarza, dopiéro wtedy bywa sprzedawaną lub idzie pod zastaw. Kto zaś policzy straty gospodarcze, gdy dana rodzina posiada grunta w dwóch sąsiednich wioskach, gdzie koszta zbioru, uprawy i siewu są połączone z rozległemi kosztami transportu?! A ma to miejsce zawsze przy stworzeniu nowéj rodziny wśród uboższych włościan, gdy sami rodzice nie mogą przeprowadzić operacyi wyposażenia, a w kasie gminnéj brakuje (jak zwykle) zapasu na zaciągnięcie pożyczki [1]).

Wśród otoczenia wiedzą, iż w końcu należny działek nie będzie uprawiony z odległości drugiéj wsi, więc brat czy szwagier czeka cierpliwie téj chwili, kiedy rola zubożeje i albo wtedy korzysta prawem kaduka, lub obiecuje spłatę, która się ciągnie całe lata, przechodzi na dzieci i kończy się procesem lub zatkaniem gęby i odpisem na korzyść zaborcy. Nieraz o tém rozmawiałem, i zawsze dostrzegałem, iż zła wola z jednéj strony, a wygórowane żądania z drugiéj nie pozwalają na normalną sprzedaż należnego za kobiétą działka, jeżeli tego rodzice nie przeprowadzili, robiąc zgodę między synami i zięciami, młodszemi a starszemi dziećmi. Taki stan rzeczy wywołuje liczne procesy, zemsty i kłótnie, a nawet zabójstwa, oraz taki chaos w życiu wsi, tam, gdzie już rozdrobnienie znacznie postąpiło naprzód, że tam lite-

---

[1]) Wkłady do kas gminnych dają 6%. Mało kto wié o téj pewnéj lokacyi, która ma tém większe znaczenie przy akcyi konwersyjnéj. Taka lokacya jest czynem obywatelskim, bo umożliwia ekonomiczny rozwój wsi.

ralnie nikt napewno nie wié, do kogo właściwie pewien dany działek należy.

Całą prawdę tego stanu rzeczy łatwiéj zrozumiemy, gdy się zwróci uwagę na istniejący rozkład gruntów i system uprawy włościańskiéj. Dlatego jednak trzeba rzucić okiem wstecz, nie zapominajmy bowiem, iż z chwilą uwłaszczenia w każdéj wsi istniała gospodarka trzypolowa, t. j. z wiosną każdego roku, gromada stanowiła na gruntach *A* jarzyny, na gruntach *B* oziminy, a na gruntach *C* ugór czyli pastwisko, że zaś każda wieś takich różnych pól mogła miéć po kilkanaście [1]), przeto starsi gromady modyfikowali nie system uprawy, (bo istniały tylko trzy wyżéj zaznaczone zmianowania, ale rozkład tych płodów w tém lub owém polu. W dobrach, gdzie we wsi był dwór lub mieszkanie starosty (ekonoma), starsi gromady mieli głos doradczy; na pytanie dziedzica radzili tak lub owak, lecz zawsze dwór szedł wspólnie ze wsią i bez względu na zmiany i inowacyę dziedziców, trzypolówka istniała na przeważnéj przestrzeni dóbr kraju [2]). Otóż z chwilą, gdy chłopi zrozumieli, iż naprawdę otrzymają grunta na własność, każdy z nich chciał miéć dział pola w przypadających oziminach, jarzynach i ugorze, jak również w ogrodach, lesie i pastwisku.

Opowiadali mi w kilku miejscach świadkowie naoczni, tak z chłopów jak i nie-chłopów, jak tu lub tam światły geometra dowodził przy pomiarze straty dla wsi, jakie sprowadzić musi takie drobienie pól; lecz wtedy chłopi tego ani chcieli, ani mogli zrozumiéć, chociaż dziś wielu z nich wspomina swą głupotę, gdy mówi: „mogłem miéć grunt w całości, a teraz mam w 10-ciu kawałkach"; bowiem przy pomiarze nie dość, że chciano miéć po działku w każdém polu, ale znów chciał miéć każdy w owém polu, jak to zwykle się trafia, cząstkę najbardziéj rodzajną, — więc gdy nie chciano się sprzeciwiać, to nietylko pola A, B, C i t. d. dzielono, ale każdą znów różną cząstkę tych pól drobiono na pasy ciągnące się przez całą długość tego pola. Wtedy nikt lub mało kto myślał o następstwach techniki gospodarczéj wobec takiego podziału [3]), lecz chłopi byli zadowoleni i działacze w za-

---

[1]) Jak w omawianéj wiosce Ossa jest takich pól 9 i każde z nich ma swą historyę, nazwy i powstania, mianowicie Bórki, pod Domoszno, podbzidek, Szerokie działy Kieszki, Ogrody szerokie, wąskie i pod zapowiedź.

[2]) Nawet obecnie bodaj czy jeszcze nie $1/4$ dóbr w kraju bywa rządzoną na podstawie trzypólówki, którą spotykałem nawet w Sandomierskiém.

[3]) Prawda, iż w dobrach rządowych i poduchownych, jak to w sąsiednich Brodzewicach, Domośnie, Redzicach starano się zachować system oddzielnych przestrzeni, czyli kolonii, wskutek czego włościanie tych wiosek lepiéj się mają, ale i w wielu dobrach koronnych ulegano żądaniu ludności i grunta drobiono.

pale doktrynerskim kontenci. Ale oczywistość szkód i strat gospodarskich szybko wyszła na jaw; tak naprzykład w opisywanéj wiosce Ossa proszę sobie wyobrazić (podobnie w całym kraju) gospodarstwo nie 6 morgowego, ale nawet 10 morgowego chłopa, gdy te grunta posiada w 9-ciu różnych polach pasami na wiorstę i dłużéj, a kilkołokciowéj szerokości.

Już dawno taki rozkład gruntów sprowadziłby zupełny chaos we władaniu ziemskiém, gdyby znów zmysł ludowy nie pozwolił żyć bez nadmiernéj kłótni o granice pól i szkody, przez wzajemne przejazdy i paszenie bydła wyrządzone. W tym bowiem podziale na cząstki pasami się ciągnące przez całą długość pól byłoby niemożebnością uskuteczniać pasanie na swojém i tutaj to pomógł instynkt wspólnictwa, wskutek czego pasanie początkowo po uwłaszczeniu, jak dawniéj, odbywało się bez różnicy właściciela na całéj przestrzeni gruntów wioski. Pastwisko gromadzkie, chociaż obejmuje, jak wyżéj wspomniałem, z górą 3 włóki (140 morgów), lecz tylko na wiosnę i początku lata starczy, bo jednocześnie tam, chodzą gęsi, owce, krowy i konie, więc już w czerwcu daje się czuć brak pastwiska; chodzi tedy bydło po lesie, bywa tam codzień ganiane stado owiec, a gęś wszędzie bywa, gdzie cośkolwiek porasta. Dzieją się wzajemne szkody, dające początek kłótni, złości, zemstom i procesom; lecz to wszystko nie decyduje ani pastwiska nie zwiększa i natychmiast po żniwach inwentarz korzysta z trawy w ścierni będącéj, co daje chwilową ulgę i porost na pastwisku, z którego znów od połowy sierpnia inwentarz korzysta, póki ziemia nie zeskorupieje, kiedy jeszcze bydło, konie i owce w dni pogody wyganiają na pola ozimin całéj wsi, dopóki śniegi ziemię nie okryją.

Ta wspólność pasania korzystna dla mniéj i więcéj gruntu posiadających, ma tę dodatnią stronę, iż zachowuje równowagę w utrzymaniu biédniejszego i możniejszego chłopa, gdy oba mogą z małą różnicą trzymać jednaką ilość bydła w lecie; ale ten przymus wspólnictwa ma swe strony ujemne zawsze tam, gdzie istnieją różnice intelektualne, a z chwilą uwłaszczenia zyskały one na wsi warunki dla swego rozwoju.

* * *

W wypadku wspólnictwa, pierwotnie istniejącego na całéj przestrzeni kraju, co obecnie się jeszcze zachowuje, nie znać było materyalnych różnic; lecz z chwilą zastosowania nowych roślin i upraw wspólnictwo pasania musiało upaść i uledz reformie, jaka obecnie ma miejsce. Mianowicie, gdy który z możniejszych włościan sieje sera-

delę w żyto lub koniczynę białą albo czerwoną i chce stale siewać rośliny motylkowe (jako wiążące azot atmosferyczny), bądź w jare zboża, bądź oziminy, to szkoda ziarna i roboty, bo plon otrzymany w ściernі zaraz po żniwach bywa spasiony wskutek wspólnego używania ściernisk na pasanie. Zatém możniejsi włościanie, chociaż mogą pojmować jaknajlepiéj korzyści z wysiewu roślin pastewnych, motylkowych i innych celem przysporzenia paszy i zielonych nawozów, czynić tego nie mogą wobec gromadzkiego pasania, a jeżeli to robią, to na kawałkach roli odgrodzonéj żerdziami, a blisko domu, aby można było od szkody upilnować. Że zaś ogół wiejski, jak i na całym świecie, nie znosi żadnéj inowacyi, przeto niejeden taki emancypant rolniczy miewa na złość spasioną koniczynę, wobec czego tacy pionierowie poprawniejszego gospodarstwa na wsi są zniewoleni albo: 1) niejako zmusić całą wieś do postępowego systemu gospodarki i widokiem korzyści materyalnych ogół za sobą pociągnąć [1]), lub 2) jak to zwykle bywa, siłą pięści i materyalnéj przewagi wyłamują się z pod gromadzkiego pasania, zatém wspólnictwa użytkowania, lecz wtedy wieś rozpada się na dwa sobie wrogie stronnictwa i wchodzi na nową drogę bytu. Mianowicie, ponieważ stosowanie nowych roślin i upraw jest już koniecznością techniki gospodarczéj w pracy na roli dla wielu już wiosek i mają przykłady z dworów, które już poszły w tym kierunku, przeto i w tym wypadku zmysł ludowy znalazł sposób wyjścia, godząc wymagania obu dziś różnych, jak wyżéj rzekłem, stronnictw na wsi.

Tam, gdzie już powszechniéj włościanie zrozumieli zyski gospodarcze z siewu koniczyn, seradeli i t. d., bądź w zboża, bądź w stanie czystym, tam każdy pasie na swojém — wskutek czego już powstaje gospodarstwo postępowe, o ile naturalnie dwory w okolicy dają ku temu przykład a chłopi za korzystne dla siebie uznają.

Lecz ten obecny stan bytu dla wielu wiosek (a w niedalekiéj przyszłości dla wszystkich), gdy wszędzie każdy będzie pasał na swojém po za użyciem w ciągu kilku miesięcy wspólnego pastwiska [2]), sprowadza wybitny rozdział włościan na bezinwentarzowych, a potém już bezrolnych i zamożnych.

Albowiem ci którzy obecnie mają po kilka morgów rozrzuconych na pasy w kilku polach, będąc pozbawieni wspólnego pasania, muszą

---

[1]) Jak to w Czechach uczynił F. Skopalik i inni włościanie-pionierowie, którzy umieli zreformować swe wioski własnym przykładem, bo utożsamiali swój interes z potrzebą ogółu, udzielali rad i pomocy, co ich uczyniło wielkimi ludźmi swego narodu.

[2]) Pospolicie są to piachy porosłe jałowcami, sosną i lichą brzozą, jako dawne poręby, lub są to dawne moczary i łąki błotne.

posyłać za kilkorgiem dobytku dorastającego chłopca czy dziewczynę, co bez względu na olbrzymią zatratę sił roboczych—gdy miasto jednego wspólnego pastucha cała gromada dzieciaków ugania się po polach i każde pilnuje swego działku i bydła, — lecz gdy może, to korzysta z działku sąsiada, co nie zmniejsza kłótni idących od dzieci do rodziców, a nieraz opierających się o proboszcza lub sąd gminny.

Przytém posyłanie podrastających dzieci za kilkorgiem dobytku, lub z krową na postronku, jak to ma miejsce w kaliskiém, gdzie gromadzkie pasanie zanikło, możliwe do pewnego czasu, w końcu staje się uciążliwém, gdy dla kwarty mléka dorastający chłopak już nic nie robi. Więc w miarę podrastania dzieci, kupna słonina zastępuje mléko, bo krowa idzie na targ a dzieci na zarobek; więc omasta bywa otrzymywana z grosza a nie z domowego przemysłu. Wtedy cała pieczołowitość chłopa skupia się koło prosiaka, co w sposób najbardziéj racyonalny kapitalizuje płody małorolnego chłopa, które sprzedane dały by o połowę mniéj niż użyte na wypasanie trzody: prosiak nabyty za kilka rubli wyrasta do kilkudziesięciu, przyczém chłop z rodziną ma utrzymanie, gdyż u małorolnego trzoda spożywa to co i gospodarz a często lepiéj—bo prosię to całe bogactwo, a jego śmierć to ruina rodziny. U małorolnego, zamiast krowy i konia mamy trzodę, kury, gęsi, lecz ten inwentarz nawozu dla roli nie zapewnia a daje tyle tylko, aby było na zagony pod kartofle i warzywo. Taki „gospodarz" musi zejść na wyrobnika, rolnika bez roli, a w końcu emigranta.

Z zanikiem gromadzkiego pasania, ginie hodowla owiec, możliwa przy pasaniu po ścierni, paśnikach gromadzkich i wspólnym lesie, co w opisywanéj wiosce Ossa i sąsiednich zachowane, jeszcze umożliwiają swojszczyznę, ubiera w samodziały; w wielu innych miejscowościach kraju zostały podzielone między spadkobierców gospodarek w tabeli ukazowéj zapisanych i obrócone pod zasiew. Z zanikiem więc pastwisk wspólnych ginie hodowla owiec, przemysł tkacki i ubiór wiejski, co wypływa nie tyle z braku zamiłowania i emancypacyi ludu, jak to większość sądzi, ale z konieczności, spowodowanéj brakiem pastwisk i zanikiem dawnych urządzeń gromadzkich. Jeżeli drogą przyzwyczajenia zachowała się hodowla owiec mimo zaniku gromadzkiego pasania i użytkowania, to trzeba téj hodowli poświęcić chłopca na pilnowanie owiec, które, jak każde inne stworzenie, potrzebuje dużo ruchu i powietrza. Ostatecznie staje się to niemożliwém, gdy chłopiec wyrasta i musi przejść do innych robót, a młodszych dzieci brak, lub rodzina się pomnaża przez ożenek starszych dzieci, grunt rozdziela a nie ma wnucząt dorosłych któreby mogły być obrócone do pasania owiec, gęsi i t. d. Skoro tedy już starsze rodzeństwo idzie na zarobek lub służbę do możniejszych we

wsi, do dworu lub miast, to już nie ma rąk na wyroby tkackie, wymagające dużego nakładu pracy i czasu, najmują się bowiem do płatnéj pracy, gdy brak raz soli, to nafty, to okrasy a nieraz i chleba na przednówku.

Chłop małorolny pojmuje wartość samodziału jako materyału niespożytego, ale on nie ma na to, żeby kobieta, syn lub dziéwka w czasie zimowych miesięcy siedziała w chałupie nad warsztatem [1]). Taki małorolny żyje bardziéj z dnia na dzień niż zgoła służący, bo ten ma na rok zapewnione utrzymanie, gdy małorolny jako przywiązany do ziemi i miejsca, ma ograniczoną sferę zarobków i to wtedy właśnie, kiedy i sam potrzebuje swych rąk około swego poletka i lichego plonu, w ciągu zaś reszty zimowych miesięcy jest skazany na bezczynność i wyzysk, bo musi tyle brać, ile dają, a i to dobrze gdy jakakolwiek robota się zdarzy. Przytém nie trzeba się dziwić, że taki chłop jak ma kartofle i może przetrwać do nowego, to chociaż raz na dzień kobiéta strawę warzy, woli próżnować niż iść za byle co, zresztą jest to robotnik lichy, bo źle odżywiany i apatyczny na warunki dokonywanéj pracy. Taki małorolny chłop zwykle zapożycza się w zboże i kartofle na odrobek u bogatszych we wsi i po dworach, a wiecznie jest w długach, nieakuratny w pełnieniu odrobku, co powiększa złe sądy o nim u dworu, nieraz traci zaufanie i w końcu przedwcześnie umiéra wskutek nierozumnego przywiązania do tych kilku zagonów, które w spadku otrzymał. Jakże śmieszne, jeżeli nie okrutne, są tyrady naszych prowincyonalnych katonów, piszących korespondencye o demoralizacyi ludu, opiérające się zwykle na zniechęceniu (słuszném ale i wytłomaczoném) do robotnika z pośród włościan małorolnych, i niezadowolnieniu z sąsiadów włościan możnych, którzy także dostarczają mało i złego robotnika i rzetelnie objawiają cechy emancypacyjne; — ale z tym z duchem czasu godzić się trzeba — bo „co mnie za niewola, jak mówi syn chłopa możnego, iść do dworu na robotę, kiedy człowieka nie uszanują.” Jest to kwestya wciąż otwarta, którą mimochodem poruszam.

Spadkobiercy i dziś coraz liczniejsze rzesze małorolnych są o wiele praktyczniejsi, bo z łatwością wyprzedają co się daje, a gdy się nie daje (bo w otoczeniu wiedzą iż sprzedać muszą) bez żalu emigrują do miast i na służbę a gruntu prawem kaduka używa kum lub krewniak za nędzną nieraz opłatę (30 kop. z morgi), którą zjawiający się od czasu do czasu właściciel z trudnością odbiera.

---

[1]) Najpierw małorolny poczyna się ubierać w tandetę wiejską po jarmarkach, co jest najlepszym dowodem, iż emancypacya gra tu drugorzędną rolę.

Zastaw dokonany u krewniaka staje się własnością tego możniejszego, i w ten sposób sama z siebie uskutecznia się komasacya gruntów włościańskich o któréj osobliwie w Galicyi tyle i oddawna już mówią, jako o nieodzownéj akcyi prawodawczéj. Jak widzimy, komasacya sama z siebie powstaje kosztem chałupników i wogóle małorolnych, i taki stan rzeczy rozwija się w opisywanéj wsi Ossa, gdzie kilku możniejszych ma po kilka zastawów, nie chce wspólnego pasania i własne bydło i owce trzyma oddzielnie, korzystając z ogółu — ale nie pozwala pasania na własnych gruntach obsiewanych koniczyną i seradelą, które w sąsiednim folwarku od lat 10 dają doskonałe paśniki w ścierni po żniwach.

Dziś żyjący ojcowie rodzin, mający grunta w części zastawione lub niedostateczne ilościowo gospodarki, są właśnie tymi małorolnymi — których dzieci grunta spieniężą i pójdą na wsze strony świata, lub zostanie jeden brat, spłacający rodzinę posagiem żony i przy pomocy pożyczki z kasy gminnéj. Chociaż więc wedle litery prawa gruntów ukazowych nie wolno dzielić poniżéj 6 morgów, gdyby dziś chciano przeprowadzić urzędową kontrolę, to bezwarunkowo w każdéj wiosce znalazłyby się działki będące w zastawie lub prawem kaduka używane — dla których trzeba by prawych właścicieli szukać wśród okolicznéj ludności. Zatém nie ma zgoła żadnéj przesady w twierdzeniu, iż na wsi istnieje chaos władania ziemią, trudny do uregulowania, który wynikł biegiem wypadków z samego założenia przy uwłaszczeniu, kiedy zerwano spójnię, jaka historycznie istniała między wsią i dworem, która jedynie gwarantowała całość a i obecnie przedstawia rękojmię pomyślniejszego rozwoju ekonomicznego.

*
* *

Kolonie w omawianéj wsi Ossa powstałe po rozparcelowaniu gruntów dworskich, przed 16 laty, na 40 gospodarek o wspólnym lesie, łąkach i pastwisku, dziś już od lat kilku rozdzieloném, posiadają także międzyrzędowy rozkład gruntów, pasami się ciągnących przez całą długość pól; lecz już 16 lat temu ówcześni chłopi rozumieli szkody ze zbytniego drobienia różnych działów na działki. Starano się więc o zachowanie jednolitych całości mimo drobnych różnic gleby, czego jak wiadomo chłopi z 1864 r. nie dopuszczali. Otóż wśród tych gospodarek-kolonii jest jeszcze kilka w ręku pierwotnych nabywców, którzy roli między dzieci jeszcze nie rozdrobili. Gospodarki te, zawierające przeciętnie po 40 morgów, składają się przeważnie z 5 różnych działów, w czém po odliczeniu łąk, pastwisk, lasu około 6 morgów oddzielnie,

które w ostateczności mogły by służyć za warsztat na samodzielną gospodarkę, czego w większości dawnych wiosek być nie może, bo brakuje w jednym pasie takich ilości.

Kilku kolonistów pobudowało się nie przy drodze gdzie utworzyła się ta nowa wieś zwana Wzgórze, ale wprost na swojej parceli którą własną drogą połączyli z gościńcem. Mamy już tutaj początek gospodarstwa kolonialnego (system ferm) i komasacyę, bo są to gospodarki istniejące same w sobie o własném wodopoju (studni), własnéj drodze i paśniku. W tym rozkładzie pól, uprawa koniczyn i polowa kultura ogrodowizn, lub innych roślin delikatniejszych, może być stosowana bez szkody ze strony sąsiada i gromadzkiego użytkowania.

Ze zmianą techniki gospodarczéj w koloniach, idą różnice w poglądach ludu nowych wsi a ludźmi starych wiosek, czego najlepszym dowodem to zjawisko, że od lat 16 jak istnieją kolonie, tylko $1/5$ gospodarek uległa rozdrobnieniu, gdy inne zachowały się w całości; współspadkobiercy bowiem kolonii, mających się rozdrobnić, chętnie sobie ustępują należne działy, które są spłacane posagami żon, przy pomocy pożyczek i ratami składanemi przez starsze rodzeństwo do kas pocztowych i gminnych. Prawda, iż teraz na wsi w zawiązującém się małżeństwie na pierwszy plan występuje „spłata", lecz zmateryalizowanie uczuć ludu wiejskiego, dziwić nikogo nie powinno, bo jest faktem trzeźwości umysłowéj i konieczności cywilizacyjnéj, która ogólnie zmianę tę życia i uczuć sprowadziła.

Spłaceni lub oczekujący spłaty służą na „kobietę", to jest idą na kilka lat tam do służby, gdzie są dorastające dziéwki i gdzie składają swój udział, wstępując w gospodarkę z chwilą zawarcia małżeństwa. Są między nimi ryzykanci emigrujący do miast i tam pracujący po fabrykach, sklepach; potém sami zostają sklepikarzami, lub powracają na wieś i przy pomocy banku włościańskiego, spekulują na zbudowanie własnéj gospodarki.

Kolonistą będzie nie byle chłop—ale tylko ryzykant. Wiele się kryje pojęć w tém wyrażeniu—dość, iż ryzykantem zostaje wykolejony osobnik chłopski lub sam kwiat intelektualny i materyalny ludu wiejskiego. Że tak jest i dawniéj było, świadczy fakt, iż koloniści w omawianéj wsi Ossa mają o wiele szersze poglądy od swoich sąsiadów w staréj wsi, co niedowodzi ich jakiegoś lepszego pochodzenia z innéj okolicy, gdzie lud sprytniejszy, (bo to również ludność miejscowa), ale że to sam kwiat, ponieważ 16 lat temu gdy nie było pomocy bankowéj, mimo różnostronnego pochodzenia téj ludności z okolicy, doszlo do zgody i koloniści wzajemnie ręczyli za siebie, wskutek czego dokonali w Radomiu pożyczki na spłatę właściciela i Tow. Kred. Prawda iż

był w tém motorem żyd spekulant, który podjął się chłopów zebrać i dobra rozparcelował, bo sam właściciel wtedy tego dokonać nie mógł, raz iż wówczas świéżo po uwłaszczeniu chłopi zupełnie nie ufali, powtóre, iż była większa ciemnota i sądzono, że nawet kupione grunta, jako szlacheckie, dzieci właściciela będą mogły odebrać. Dopiéro gdy użyto pośrednictwa miejscowego żyda (ongiś pachciarza, dziś właściciela), ten umiał zebrać ufających i przeprowadził parcelacyę oraz zbiorową pożyczkę kolonistów — dopiéro wtedy chłopi Staréj Wsi spostrzegli się i po dziś dzień żałują, bo zrozumieli swój błąd; z tego téż powodu trwa pewien antagonizm między kolonistami a mieszkańcami Staréj Wsi.

Jak była wtedy wielka niewiara chłopów, dość przytoczyć fakt— iż gdy jeden z Borowieckich, członków zasiedziałéj rodziny z Staréj Wsi zadatkował $^1/_4$ kolonii a o tém wieś się zwiedziała, był maltretowany przez współwieśniaków i chwiać się zaczął w zamiarze. Dopiéro żyd spekulant dowiedziawszy się o tém, umiał upewnić go, że pieniądze nie przepadną wskutek czego chłop chwilowo się znów uspokoił, a dziś tryumfuje, gdy inni gospodarze Staréj Wsi żałują, iż wierzyli bałamutnym wieściom.

Jak wtedy, tak i dziś, gdy którykolwiek dwór zwróci się do chłopów swojéj wsi, aby brali kolonie, naturalnie teraz przy pomocy banku, to ociągają się i pertraktacye wstępne, trwają 2 i 3 lata; ale gdy kilku obcych weźmie jakiekolwiek parcele, to i miejscowi włościanie rzucają się do kupna, chociaż poprzednio targowali się bez umiarkowania. U większości wieśniaków tkwi mniemanie, bardziéj instynktownie niż rozumowo rozwinięte, że co dworskie, to winno należéć do ludzi miejscowych. Nie ulega kwestyi, iż chcą położenie wyzyskać, tak iż znane są wypadki formalnéj zmowy, gdy włościanie sami kolonii nie biorą a innych amatorów parceli odpędzają grozą spasania, pożaru i innych szkód; wskutek tego przyciskany do muru obywatel mięknie i ustępuje. Lecz tam gdzie trafi kosa na kamień, fikcyjna sprzedaż parceli ludziom z obcych stron narusza zmowę chłopów i poczyna się ruch nabywczy, który, jako już ważny moment psychologicznego nastroju, prowadzący parcelacyę winien wyzyskać.

Ale wracam do mego założenia.

Znamiennym rysem kolonisty jest duża doza wytrwałości i przedsiębiorczości, tak iż dla pozyskania gospodarki ojczyzną dla niego cały kraj, wszędzie tam, gdzie są największe widoki nabycia ziemi.

Gdy wieśniak typowy, którego reprezentuje Stara Wieś, jest dość ciasnych pojęć, bo jego ojczyzna to kąt rodzinny, kolonista jest za szerokich, bo kupi i sprzeda i daléj pójdzie, jeżeli tylko ma pewność zwiększenia obszaru i wogóle zarobku.

Typowy wieśniak roli nigdy nie sprzeda, zastawi, wydzierżawi, da nawet krewniakowi, ale nie łatwo z kątem rodzinnym zrywa; jest on z natury lokalista; kolonista zaś jest obywatelem całego kraju i to stanowi główną jego charakterystykę.

Typowych jest coraz mniéj, jak typowego szlachcica spotykamy coraz rzadziéj; a jak młodzież szlachecka przechodzi w inne, aniżeli u rodziców, fazy, tak samo młódź wiejska kształci się na wzór kolonisty i stara się jak on ubiérać czarno.

Dziwić się temu nie można: jakby mnie najinteligentniejsi warszawianie wyśmiali, gdybym pojechał do Warszawy w opoczyńskim ryjku (kapeluszu z sukna), buraczkowych spodniach i modnym kaftanie, w których chodzę w domu i bywam na jarmarku; tak samo kolonista wyśmiéwa miejscowe stroje [1]. Gdy koloniście dobrze się powodzi, to on, jako ojciec rodziny, stanowi tylko szczebel do powstania nowéj szlachty, przyszłéj inteligencyi, zatém księży, doktorów i t. d.

Po tym nawiasie, nie będącym od rzeczy dla charakterystyki wsi i zrozumienia jéj potrzeb, wracam do swego dowodzenia, iż oprócz naturalnego biegu komasacyi drogą małżeństw na miany, skupu i brania zastawów, spłaty i urządzania kolonii samych w sobie jako fermy zagraniczne, jak to obecnie się praktykuje przy parcelacyi, iż mimo to wszystko — ani komasacya, ani system ferm i ustrój rentowy dla zachowania całości gospodarek włościańskich, więc i tak zwane majoraty chłopskie, nie prowadzą do celu—bo, nie zapominajmy, iż ideałem rolniczym z punktu techniki gospodarowania jest ani wielka, ani średnia, ani mała własność, lecz wielka a podzielona odnośnie do warunków gleby i położenia na różne uprawy pod jednym zarządem, lub średnia czy mała własność, ale stowarzyszona w celach wzajemnéj wymiany usług, a na zewnątrz potężna jako całość wytwórczo-spożywcza.

* * *

Znaczenie stowarzyszenia się w celach wytwórczości i zbytu lub wzajemnego kupna i spożycia jest coraz lepiéj pojmowane, raz z powodów materyalnych, drugi raz ze względu na etyczną i handlową przewagę stowarzyszenia w porównaniu z jednostką samotną.

Zatém wychodząc z tego założenia, że wieś — to całość, która musi być stowarzyszona, skoro to właśnie jest celem, mamy już wytyczne przedsięwziąć się mających reform.

---

[1]) A jednak F. Skopolik, chłop czeski, nawet jako członek rady państwa, chodził w Wiedniu po wiejsku.

Aby więc zapobiedz temu przykremu stanowi rzeczy, jaki wytwarza brak, a właściwie niechęć i zawiść robotnika wiejskiego do dworu, ażeby więc utrzymać i miéć chętnego robotnika, aby rolnictwo mogło stanąć na wysokości swego zadania, trzeba znaléść ten punkt wyjścia, któryby godził interesa wsi i dworu.

Nie jest to tak trudne, jak się na pozór wydaje.

Chodzi o to, żeby robotnik wiejski właścicielowi ufał — lecz aby i ów robotnik miał stałe zajęcie i widział swą korzyść po za sprzedażą czasu, żeby mógł wkładać w robotę całą sumę usiłowań, o co głównie chodzi, bo brak téj szczeréj chęci pracy, gdy najmita czeka tylko, aby dzień zeszedł, jest główną przeszkodą w ekonomicznym rozwoju rolnictwa, o ile ono jest pracą rękodzielniczą.

Gdy nastąpi takie zespolenie, nietylko prawdopodobieństwo dalszych zmian nie będzie trudne, ani ciemne, lecz łatwe i jasne; nie trzeba się bowiem łudzić jakoby robotnik wiejski nie wiedział, że po za sprzedanym czasem ma on dawać coś, co samo życie stanowi, a co się nie wynagradza: bo on otrzymuje tyle, ile starczy na utrzymanie tylko, bez widoków na czas choroby, starość i możność wyposażenia dzieci. Więc w stosunku pracodawcy do robotnika brakuje „czegoś", co jedynie tylko gwarantuje dobroć towaru i taniość wyrobu, gdy zobopólnie to „coś" istniało.

Zapewne, że rezygnacya chłopa jest odwieczna, lecz na tém nie można opiérać gmachu: raz dlatego, iż chłop, już wprowadzony na tory emancypacyjne przez uwłaszczenie, prądem czasu musi zaznać szerszych aspiracyi; powtóre, że rozbudzenie apetytów już nastąpiło i dobrze, że istnieje akcya parcelacyjna, która otworzyła widoki uczciwéj pracy dla tych żywiołów burzliwszych, których, mojém zdaniem, nie brak. Trzeba zaś być całkiem optymistycznie zaślepionym, ażeby tych żywiołów nie widziéć.

Czémże jest to stale trwające nieposzanowanie własności dworskiéj?

Dlaczego brakuje takiéj służby, jaka niegdyś była i być powinna, dlaczego trzymamy cały sztab stróżów i różne stopnie pilnowaczy i kontrolerów, aby warsztat rolny funkcyonował prawidłowo, a bo gdy na chwilę brakuje ręki dzierżącéj, wszystko się rozłazi mimo tych rządców i stróżów?

Za długo obserwuję, abym nie znał całego szeregu tłómaczeń w różnych wypadkach lokalnych; ale to wszystko faktu nie zmienia, iż ów grunt wrzenia istnieje i ani wielkiego na to czasu, ani nazbyt osobliwych okoliczności nie trzeba, żeby wyrósł chwast socyalizmem zwany, jeżeli zawczasu do pielenia się nie weźmiemy.

Wielu ziemian i nie-ziemian z tych obaw, które wyraziłem, śmieje się, jak się śmiano przed stu laty z górą, kiedy zachodził analogiczny wypadek. Wówczas mieliśmy w świecie agrarnym dwa obozy: stronników systemu czynszowego i pańszczyźnianego. Pierwsi dowodzili, a jak dziś widzimy, zupełnie słusznie, iż właściciel nic nie traci, ale nawet dubeltowo zyskuje, gdy chłop siedzi na czynszu a nie na pańskiém, wtedy bowiem wkłada całą sumę energii i wysila spryt, aby dobrze gospodarzyć, czego w systemie pańszczyznianym nie ma, ani mogło być. Ostatecznie na całéj linii system czynszowy zwyciężył (jak w Rosyi, nawet uwłaszczono), bo wszędzie widoczném było, iż czynszownik był zainteresowany w produkcyi. Zupełnie tak samo obecnie, czy w bliskiéj przyszłości system zespolenia wsi i dworu zwycięży dotychczasowe produkowanie rozdzielne [1]).

W. Wojciechowski.

Pisałem w Kamiennéj Woli, 25 lutego 1896 r.

---

[1]) Artykuł ten jest ustępem większéj pracy, traktującéj „Wieś i jéj potrzeby".



ZE SŁUŻEBNICZYCH DZIEJÓW.

I. Leśniczówka.

Gwałtowny dészcz z piorunami spadł w nocy nad żyznym Wołyniem i odświéżył powietrze, trawy, pola i lasy. Piła ożywcze krople czarna ziemia, piły drzewa zielone i trawy bujne, a kwiaty polne obficie po sianożęciach rozsiane. Z po za lasów, szerokiém półkolem otaczających leśniczówkę, na brzask się zanosiło. Zrazu tylko jaśniejszą barwą zaznaczył się widnokrąg po prawéj stronie, potém ozłocił, zarumienił, aż naraz cały wschód oblał się purpurowo-promienną barwą i gorące promienie słońca strzeliły na wsze strony, lejąc strugi światła i życia. A z przeciwległéj strony nieboskłonu wiatr świéży spędzał ostatnie płaty chmur, które uciekały szybko to z głuchym grzmotem, to z jaskrawą błyskawicą i w chwili, gdy słońce się wytoczyło nad widnokrąg, całe niebo od wschodu do zachodu jaśniało czystym, pogodnym błękitem, a dzień się począł na poły letni, na poły wiosenny, tak pełen silnego, niepochwytnego czaru, jak ów dzień biblijny, w którym natura po raz pierwszy budziła się do życia.

Domek leśniczego z ogrodem warzywnym, z zabudowaniami gospodarskiemi, z nędzną lepianką w jednym rogu dziedzińca, służącą za mieszkanie dla „pobereżnika" (stróża leśnego), wznosił się na płaskowzgórzu, osłonięty od północy przepięknym lasem, z południa otoczony orném polem. Na dolinie naprzeciw domku szklił się stawek nie-

wielki i płytki, utworzony ze źródełka, co tam w głębi lasu biło chłodną, czystą wodą u stóp prastarego dębu, — i tak szuwarami w trzech czwartych zarosły, że tylko małą na środku błyskał tafelką. Nie ożywiał krajobrazu, lecz służył za gościnne przytulisko dla niezliczonéj ilości żab, których nawoływanie się z minorowego tonu, lub namiętne rzechotanie rozlegało się daleko na okół. Po błotnistych i grzązkich brzegach tego stawku, złocistych od gęsto kwitnącego żółtego „łotaczu", o metalicznym połysku na płatach kielichów — przechadzał się długonogi bocian, pogrążony w dyplomatycznych kombinacyach. Szło mu o to, by, korzystając tu z miłosnego gruchania, tam ze swarów żabiéj rzeczypospolitéj—zagarnąć jak najwięcéj łupów dla siebie.

Na drodze, których cztery schodziło się i krzyżowało przed wrotami leśniczówki, ukazał się wieśniak. Biegł raczéj niż szedł, tak bardzo się śpieszył. Zakasawszy poły staréj „świty" (sukmany), bez któréj i w upał chłop wołyński nie pójdzie do swego zwierzchnika, stawiał ogromne kroki, za każdym całą wagą ciała, przechylając się to w prawo, to w lewo. Dotarłszy do bramy zdjął kapelusz, upleciony z traw zbożowych swojskich i otarł rękawem pot z twarzy, w bruzdy głębokie zoranéj, bronzowéj od słońca.

Stanął u „przełazu". Pierwotny ten wynalazek uważano tam wtedy za wygodniejszy znacznie od furty, którą odmykać i zamykać trzeba, a urządzano go w ten sposób, że na pewnym punkcie obniżano płot do połowy na szerokość łokcia lub więcéj i po obu stronach, dla wygody kładziono niby stopnie albo spory kamień, albo gruby kloc drzewa.

Przybyły uniósłszy jeszcze wyżéj sukmany, zamierzał wkroczyć na dziedziniec i już stopą obutą w łapcie z lipowéj kory, obwiązaną rzemieniem po grubych płóciennych „onuczkach" dotknął przełazu, gdy naraz psy podwórzowe tak szalenie ujadać poczęły, że się cofnął ze strachem.

— No Rudko, no Biłka, cicho! swój!—upewniał, cofając się i kij sękaty ku obronie gotując, co jeszcze bardziéj wzmogło psią wrzawę.

— Co tam takiego? — ozwał się nagle spokojny głos męski i w otwartém oknie ukazał się pięćdziesięciokilkoletni mężczyzna, widocznie przed chwilą zbudzony.

— To ja, wielmożny panie, w interesie — odparł przybyły w ludowém narzeczu.

— Chodźże tu bliżéj, Filipie.

Nowa próba wkroczenia na dziedziniec okazała się równie bezskuteczną, jak pierwsza.

— Rudko! Biłka! a cicho mi! — krzyknął gospodarz.

Kundysy umilkły posłusznie lecz niechętnie, bo pospuszczały ogony, co, jak wiadomo, oznacza w psiéj mimice: smutek, konfuzyę, zły humór, krótko mówiąc: całą skalę uczuć przykrych.

— Pójdźcie tu, do nogi! — rozkazywał gospodarz.

Zwierzęta cofały się ulegle od bramy.

— Teraz nie bój się, Filipie, i chodź do sieni.

Wezwany usłuchał, skrobiąc się w głowę na dowód zakłopotania, i wszedłszy wreszcie zwycięsko na niewielkie podwórko, kierował się ku gankowi półkolistą linią, pragnąc widocznie zachować między sobą a swemi czworonogiemi przeciwnikami jak największą przestrzeń. Ostrożność nigdy nie wadzi.

Człowiek i zwierzęta spoglądali na siebie nieufnie. One pokazywały ostre, białe zęby, on kij sękaty, argumenta mało na serdeczność uczuć wpływające. Przy ganku nowy protest wiernych stróżów. Więc chłop się zatrzymał o kilka kroków i zdjąwszy kapelusz, czekał pokornie.

Oblicze jego i postać wyrażały spokojne pognębienie, bierne ugięcie się pod losem, który mu się wydawał równie twardym i nieubłaganym, jak starożytna *ananke*. Twarz ściągła, chuda, zbronzowana wiatrem i słońcem, nie miała wieku; włosy kasztanowate, spadające na czoło i przycięte nad brwiami, już siwiały; oczy błękitne patrzały smutno a roztropnie, ostry wąs jaśniejszy od włosów, krótko przystrzyżony, okrywał wargi zaciśnięte, kątami chylące się do dołu, co nadawało całemu obliczu wyraz gorzkiego, niemego bólu. Opuścił poły odzieży, podsunął czerwonego, spłowiałego pasa, poprawił zgrzebnéj koszuli, związanéj „życzką" (czerwoną tasiemką wełnianą) u szyi, chudéj, ciemnéj, pokrajanéj w bruzdy głębokie, podobnie jak twarz i czoło—i miął machinalnie kapelusz w spracowanych dłoniach.

Nie czekał długo, bo leśniczy wyszedł w równie pierwotnym stroju, jak wieśniak, z tą różnicą, że bieliznę miał cieńszą, a na nogach wysokie buty juchtowe.

— Chodźże tu do ganku, Filipie—przemówił cichym, łagodnym głosem, harmonizującym z jego bladą, zmęczoną cerą, z delikatnemi rysami twarzy i smutno patrzącemi oczyma.—Psów się nie bój, kiedy ja tu jestem.

Chłop się posunął śmieléj, pokłonił nisko ze zwykłém pozdrowieniem: „sława Bohu" i zamilkł, czekając pytania.

— Na wieki — odparł leśniczy i wnet zagabnął, siadając na drewnianéj ławce w ganku. — Cóż tam takiego nagłego, żeś przybiegł ze świtem?

— To, proszę wielmożnego pana, znowu się dobiérano do danieli.

— Znowu!—krzyknął leśniczy z podrażnieniem nerwowego człowieka, który wszystko żywo bierze do serca.

— Ale szkody żadnéj nie zrobili—dorzucił pośpiesznie wieśniak.

— Cóż? Odpędziliście złodzieja? Czemuście go nie złapali?

— Burza go odpędziła, wielmożny panie, a myśmy nic nie widzieli, choć nie spaliśmy, stróżując; ja do północy, Karpo od północy. Ale cóż, kiedy tak ciemno było „choć oko wykól".

— Jakże wiész, że złodziéj był, kiedyście go ani widzieli, ani słyszeli i szkody nie ma?

— Ot tak, wielmożny panie. Dziś piątek, post święty—choć to u nas biédnych post cały krągły rok, bo gdzie nas stać na mięso!... Chyba na Wielkanoc, ta na Boże Narodzenie kupi człek kawałek ochłapa!... Tak ja myślę sobie: pójdę raniutko do lasu, może grzybów nazbiéram dla mojéj staréj; niech krupniku z grzybami zgotuje. Idę w gęstwinę, po za zwierzyniec, aż tam trawa stłoczona od konia i ludzi. Coś mnie tknęło. Zaczynam się rozglądać, szukać, taj znachodzę w krzakach „ryskal" (rydel), piłę, sznury i długi nóż, jak u rzeźnika. Chciałem zabrać...

— A broń Boże!...

— Toć nie tknąłem. Bo myślę sobie: kiedy zostawili, to pewno jeszcze raz przyjadą. Tak ja już i grzybów nie zbiérał, tylko puściłem się „na przełaj" dać znać wielmożnemu panu.

— Dobrze! Zaraz pojadę, żeby ślad po rosie znaléść. Każ tam Kuźmie gniadego co prędzéj osiodłać, a ja wnet się ubiorę. Ha, łotry! Chcieli skorzystać z ciemnéj nocy.

— Pewnikiem. Przepiłowali u góry dwie deski w częstokole, podkopali się u dołu i dziś przyjdą wyprowadzić zwierzęta; bo to takie łaskawe, że do ręki biegnie jak psiak. Potém zabiją, zaduszą i na koń, taj w nogi...

— Zobaczymy!—odparł leśniczy, powstając i powtórnie dorzucił: każ Kuźmie gniadego przyprowadzić, a sam wróć się na kieliszek wódki za fatygę.

Chłop się pokłonił nisko na podziękowanie.

Dworek, w którym się powyższa toczyła rozmowa, odznaczał się specyalną, rzec można, architekturą, zastosowywaną tam przed czterdziestu (a może i dziś nawet!) laty do mieszkań oficyalistów nie pierwszorzędnéj kategoryi. Niski, ciasny, wilgotny, niewygodny, drwił sobie z hygieny, którą tam uważano wtedy za „zamorskie wymysły". Rozdzielony sionką na dwie połowy, w jednéj mieścił oficyalistę z rodziną, w drugiéj czeladź, a nawet bydełko. Dworek, o którym mowa, należący do wielkiego pana, właściciela obszernych włości i przepy-

sznych lasów, słynnych z obfitéj zwierzyny, był nieco wygodniejszy od innych: posiadał ganeczek kryty i jedną izdebkę więcéj, niż zwykle. Bo powszechnie takie domki miewały po dwie izby po obu stronach—otóż państwo Mirejkowie posiadali trzy izby, z których pierwszą, zwaną szumnie „pierwszym pokojem", oświécały trzy okna, wychodzące dwa na podwórze, jedno na stajnię i oborę. Wypaczone cienkie ściany, wybielone tylko, zdradzały wilgoć u dołu; podłoga nie z desek, tylko bruk z cegieł, gwoli praktyczności czy ozdoby—pomalowanych żółtą gliną. Z „pierwszego pokoju" wchodziło się do wąskiego alkierza o jedyném oknie, z alkierza do maleńkiéj izdebki o mikroskopijném okienku i ogromnym piecu, takim, jakie stawiają w wieśniaczych chatach. Spiżarenka wielkości sporéj szafy dopełniała apartamentów i przechowywała droższe zapasy.

„Piekarnia" po drugiéj stronie sieni odpowiadała „pierwszemu pokojowi" i służyła za kuchnię dla państwa, oraz dla czeladzi, za pralnię, za jadalnię i bawialnię dla sług, za „siedm razy jedną". Komora zupełnie ciemna obok, właściwie alkierz bez okna, tajemnicze gyneceum licznego za pańszczyznianych czasów „fraucymeru" zostawała pod nadzorem kucharki, staréj, wiernéj Kiliny i nikt z profanów nie był wtajemniczony, jak tam sześć dziéwek mogło się mieścić. Nie należy téż pominąć milczeniem malutkiéj ciupki, zwanéj „grubnikiem", będącéj wprost drzwi wchodowych, w któréj kominiarz swe operacye odbywał, a która służyła za postrach dla dzieci.

Jak „piekarnia", tak i „pierwszy pokój" do kilkorakiego służyły użytku: cztery razy na dzień przemieniał się w jadalnię, co wieczora w sypialnię pana Mirejki. Gdy gajowi przychodzili z raportami albo po rozkazy, bywał kancelaryą, w razie przybycia gościa służył za bawialnię, a kilka razy do roku przedzierzgał się w salę balową, gdzie przy rzępoleniu skrzypeczek hasano tak zamaszystego mazura, że aż z ceglanéj „posadzki" kurz się wzbijał pod sufit.

Ale owe tany, improwizowane zwykle trafem, gdy się zjechało kilku kolegów po służbie, z rodzinami, należało uważać raczéj za „wybryki dobrego humoru", sztucznie podnieconego, niż za wesołość płynącą bujnym strumieniem z głębokiego źródła szczęścia. Warunki życia były nie obiecujące. Nie brakowało wprawdzie „chleba powszedniego" na dzień bieżący, lecz jutro groziło zawsze straszną niepewnością. Dziewięćdziesiąt rubli pensyi rocznie i ordynarya rozmaitego zboża nie zabezpieczało bytu rodziny. A było ich pięcioro: mąż, żona, dwoje dzieci i matka leśniczyny. Toć nieraz ciężkim frasunkiem oblekały się twarze biédnych tych ludzi i tylko szczera, wielka religijność broniła od sarkań. Czasem jeno, gdy samowolne postępo-

wanie zaufanego nowego rządcy zbyt dotkliwie dawało się uczuć, szepnięto: „gdyby stary hrabia żył!...” I na westchnieniu, na rezygnacyi, wszystko się kończyło.

A jednak ci ludzie nie oddawna w służebniczéj obroży chodzili. Przeszłość ich lepsza, świetniejsza, inne wspomnienia i tradycye zostawiła im, lecz klęski i nieszczęścia, spychały ich z wyżyn na niziny, w sfery, gdzie obyczaj, mowa, rysy grubieją... Staruszka, pani Jerzminowa, zachowała jeszcze wykwintne ułożenie, delikatny sposób wyrażania się, do których się była wdrożyła w dzieciństwie; nawet w jéj ubogiéj odzieży przebijało się coś z téj wyrafinowanéj dbałości o strój, jaka w klasach tylko zamożnych despotycznie włada. Córka, pani Mirejkowa, już mniéj stykająca się z ową sferą, miała słowo głośniejsze, ruch żywszy, sposób bycia bardziéj szorstki, tylko w rysach twarzy i w charakterze pozostało wiele dawnéj godności i dumy.

Jak w ludziach, tak i w sprzętach, ślady lepszego dnia minionego widniały. Śród ubogich jesionowych mebelków, na stołku od siekiery, u wezgłowia leśniczego stała duża, pełna dokumentów szkatułka, arcydzieło w swoim rodzaju, takie na niéj kosztowne drzewo a rzeźby, w takie śliczne, nie krajowéj roboty, blachy srebrne, filigranowe, okuta; połamane wprawdzie, miejscami poobrywane i z drogich kamieni całkiem ogołocone. Ostatni ametyst ofiarował żonie na spinkę zubożały Mirejko. Koło łóżka Mirejkowéj, obok ogromnego kufra z odzieżą, stała komoda ze startą politurą, szpetnie kulawa, lecz z drogiego azyatyckiego drzewa, fantastycznie rzeźbiona w esy floresy, w niebywałe ptaki i smoki.

Dla znawcy zabytki te, mistrzowsko wykończone, niepoślednią wartość artystyczną i materyalną przedstawiać mogły, dla leśniczostwa były one pamiątką jeno rodzinną, do któréj żadnéj innéj, prócz wspomnienia, wagi nie przywiązywali, w nieustannéj ciężkiéj pracy na życie, zobojętnieli na sztukę, zapomnieli o niéj.

Nie ustępującym co do wartości był prawdziwy gobelin, dziś w strzępy podarty. Oddawna w posiadaniu Mirejków, zbutwiał od starości. Padający się w kawały zszywano bez względu, że postacie na nim przybierały kształty przeciwne wszelkim prawidłom natury. Tu głowa stykała się z kolanem, tam ręka wyrastała z żebra, nos z łokcia. Gdy służba zaczęła się śmiać, a dzieci strachać tych poczwar, zdjęto pokaleczony dywan ze ściany przy łożu, dla osłonienia nim bryczki, którą leśniczyna jeździła do kościoła. Lecz nie na tém koniec smutnych losów arystokratycznéj makaty... Ulegałyżby losy ludzi i rzeczy prawu ciążenia i spadłszy raz ze szczytu, musiały spadać coraz niżéj i niżéj, aż na dno samo?... Dość, że gobelin zniszczony jeszcze więcéj

od słomy, którą wyścielano siedzenie w wózku, i od sznurów, które ją przytrzymywały, został zdjęty i złożony w kilkoro poszedł służyć za posłanie dla ulubionéj kasztanowatéj suczki, Amiki... *Sic transit gloria mundi!*

Z dniem i ptakami budzili się tu i zasypiali ludzie, więc już ruch się rozpoczynał w leśniczówce. Woźnica Kuźma czyścił i kulbaczył gniadosza, pastuch Hryćko pędził z rosy krowy, z których jedna, śliczna tyrolka, odłączywszy się od trzódki, podeszła pod ganek i ryknęła przeciągle, jakby się oznajmić chciała: dojka biegła ze skopkiem, Mirejkowa wyszła na ganek z kluczami, staruszka Jerzminowa częstowała Filipa kieliszkiem gorzałki i krajanką chleba z sérem, drób się zlatywał na widok Kiliny sypiącéj poślad z sita hojną dłonią.

— Kuźmo, dawaj konia!—zawołał Mirejko.

A gdy na ten rozkaz piękny wierzchowiec stanął przed drewnianym gankiem, szlachcic dosiadł go tak raźno, że niejeden z młodszych mógłby mu pozazdrościć siły i zręczności.

Tuż za leśniczówką droga skręcała się w bok do lasu. Stary bór szumiał zdala potężnym tajemniczym szmerem. Sianożęć z bujną trawą, pola z kłosującą pszenicą falowały przy powiewie rannego wiatru, jak zielone tonie. Obfite krople niedawno spadłego dészczu ściekały po źdźbłach zbóż, drżały na młodych kłoskach, błyszczały dyamentowemi połyski na równowązkich liściach traw, na różowych smółkach, liliowych dzwonkach, białych, pachnących powojach polnych, fioletowych groszkach, purpurowych gwoździkach i tylu innych ziołach a kwiatach, z których jedne strzelały w górę, drugie rosły przy ziemi, inne słały się po łące, a wszystkie dyszały wonią do upojenia. O, bo żyzna i bogata w życiodajne soki ta ziemia.

Małe zbiorki wody po dolinach, na czarnéj drodze, resztki ulewy nocnéj, parowały pod gorącemi promieniami słońca i łamały je w tęczowe smugi. Gdy światło wielkie spadnie bodaj na kałużę, zawsze jéj coś ze swego blasku zostawi.

Jeździec z przyjemnością poddawał się urokowi cudnego poranku, lecz gdy znów droga złamała się pod kątem prostym i rzeźwiący powiew boru wionął mu prosto w twarz, ocknął się z zadumy. Koń parsknął wznosząc łeb do góry, jeździec go ścisnął kolanami i zdwoił kroku. Wjechał w las. I już nie poddając się zadumie, nie podziwiając piękności drzew, z których każde o pniu wspaniałym, warte było pędzla malarza, nie słuchając chórów ptasich, tysiącznemi głosy piejących wesoło, okiem urzędnika spoglądał, badając, czy nie spostrzeże szkody w pańskiéj własności, czy nie dojrzy śladu jakiego nadużycia: czy nie posłyszy uderzeń siekiery lub zgrzytu piły. Lecz było cicho,

konary olbrzymów splątały się w kopułę nad nim, młode gałązki sięgały mu głowy, a potrącone świéżemi kroplami dészczu sypały rzeźwiąco na czoło.

— Wio, gniady!

Koń zastrzygł uszami i przyśpieszył chodu. I nagle rozsunęła się przed jeźdzcem polanka. Zając pomknął z zarośli, z wysiłkiem przez wysokie trawy torując sobie drogę, nad któremi przy podskokach ledwo łebek i długie kiwające się słuchy wystawały. „Lasów tanecznica”, wiewiórka, gibko przerzuciła się z jednego drzewa na drugie, kos zagwizdał w gęstwinie. Wąską ścieżką dotarł Mirejko do zwierzyńca, w którego jednym rogu wznosiła się chatyna stróża, a na odgłos miarowego uderzenia kopyt końskich wyszedł chłop młody, rosły jak dąb z pokłonem w pas, według zwyczaju. Tuż z przeciwnéj strony krótszą drogą, przez rowy i płoty, dobiegał Filip zziajany.

— Daj Boże zdrowia — powitał chłopa Mirejko. — Cóż to, złodzieje byli u was?

— A byli, wielmożny panie i ponoś jeszcze będą.

— Trzeba ich przyjąć gościnnie—zażartował, zsiadając. — Czy nie macie sznura?—spytał po chwili. — Uzdeczka krótka, a chciałbym tak przywiązać gniadego, żeby się popasł.

— Juści, że jest. Niech wielmożny pan pozwoli, to ja zrobię co trzeba.

Leśniczy powierzył mu wierzchowca, a zwracając się do Filipa rzekł:

— Teraz chodźmy.

— Tędy, wielmożny panie, po za parkan.

— Nie. Niech nie będzie po nas śladu i niech nas nikt nie widzi. Chodźmy lepiéj przez zwierzyniec.

Filip otworzył wysoką bramę.

Weszli na ogromną łąkę, oparkanioną szczelnie, pośrodku któréj wznosił się budynek z grubych bierwion, naśladujący szalety szwajcarskie. Rozrzucone kląby drzew leśnych dawały cień zwierzętom, sztucznie urządzony płytki zbiornik, wąskim strumyczkiem odbiérający ciągle napływającą świéżą wodę z obfitego źródła, orzeźwiał park nawet w upały.

Zwierzyniec ten, z wielkim kosztem i staraniem utrzymywany niegdyś przez starego hrabiego, zapalonego łowca, niszczał powoli od jego śmierci. Sarny, jelenie, daniele ginęły; liczną służbę cofnięto i obecnie z kilkunastu ludzi pozostało tylko dwóch stróżów; z licznego stada ledwo sztuk kilkanaście. Pieszczone przybiegały na widok człowieka i wyciągając kształtną szyję wyglądały pożywienia z ręki. Gdy

leśniczy z dozorcą wszedł do zagrody, cała gromadka rozłożystoroga przybiegła do nich.

— Ot, tu — wskazał Filip.

Mirejko się zbliżył i popróbował deski. Dawała się wyjąć z łatwością, będąc podkopaną u dołu i mając przepiłowane spójnie w górze.

— Łotry! jak to wszystko zręcznie zrobili! Nie pierwszy raz pewno do kradzieży się biorą.

— Juści, wielmożny panie. To nikt inny, tylko oni w przeszłym roku wyprowadzili najpiękniejszą łanię z koźlęciem.

— Chodźmy teraz zobaczyć, gdzie pochowali swoje narzędzia.

Znów ze wszelką możliwą ostrożnością zaczęli się przedzierać przez rozrosłą gąszcz po za ogrodzeniem i znaleźli piłę, rydel, nóż, sznury; wszystko, czego potrzeba do podkopania się, wyprowadzenia i zabicia zwierzyny. Ziemia była stratowana przez konia, na wilgotnéj ziemi odciskały się wyraźnie ślady stóp.

— Było ich dwóch—odezwał się leśniczy po staranném obejrzeniu miejsca.—Jeden miał wywabić zwierzęta, drugi zabić je, przywiązać do konia i uciec... Chodźmy temi śladami.

Poszli w milczeniu i dotarli na kraj lasu.

— Ot, tu, koła od wozu. Ha, rozumiem! Byli z wozem po zwierzynę... Łotry!

Burzył się szlachcić podwójnie na kradzież, bo i w nim się odzywała żyłka myśliwska. Ale posuwać daléj śledzenia nie mógł.

U zrębu lasu znów się kilka dróg zbiegało z okolicznych wsi, na nich ślady kół, kopyt, stóp, ścierały się wzajem, gmatwały, że próżno było jakiéjś skazówki w nich szukać.

— Szkoda! — rzekł leśniczy, przypatrując się chwilę téj nierozplątanéj mozajce — ale postaramy się powetować to sobie wieczorem. Tylko Filipie, *sza!...* Nikomu ani słówka! Niby nikt nic nie wié. Was dwóch, ja trzeci. Przyprowadzę z sobą Kuźmę, ale jemu dopiéro na wsiadaném powiem, gdzie i po co jedzie. We czterech damy sobie radę. A teraz wracajmy.

Słońce już się było wzniosło wysoko i dzień się zapowiadał upalny. Mirejko dosiadł żywo konia i dobrym kłusem puścił się do domu. Miał tegoż dnia zdążyć na sesyę do Berezówki, na 10 godzinę zrana, a z lasu do wsi była prawie mila drogi.

2. „Komisarya”.

Tak zwano urzędownie w zwykłéj mowie mieszkanie pana rządcy, zawierające prócz zajmowanych przezeń pokojów, ogromną pustą izbę, w któréj wydawał rozporządzenia, z dobudowaną obszerną sienią z boku dla wieśniaków, przychodzących w interesie i którą przezwali „niedoczekalnią”, albowiem po długich nieraz godzinach wyczekiwania odchodzili, nie ujrzawszy dostojnego oblicza pana Wacława Rożahowskiego, większego pana w obejściu się niż właściciel hr. Pobóg. Zwyczajnie — parweniusz.

Po szybko spożytém śniadaniu, dosiadł leśniczy bułanka, zachowując gniadosza na nocną wyprawę i ruszył na sesyę.

Komisarya leżała niedaleko od pałacu i rościła pretensye do elegancyi. Otaczały ją sztachety biało pomalowane, dzikie wino pięło się po kratach, dziedziniec z murawą pośrodku, starannie utrzymywaną, był wyzwirowany.

Gdy Mirejko stanął przed gankiem, wybiegł kozaczek i przyjmując konia rzekł:

— Pan rządca p r o s i l i, żeby wielmożny pan p o c z e k a l i na niego w bawialni.

I zamiast do kancelaryi, otworzył drzwi do prywatnego mieszkania pana Rożahowskiego.

Szlachcic zdumiony wszedł do dużego, jasnego pokoju i postąpiwszy kilka kroków, obejrzał się wkoło. W jego smutnych, myślących oczach przebiła się wzgarda, a wargi spuściły kątami w dół z goryczą. Porównywał mimowoli ten komfort rządcy z ubóstwem swego mieszkania i myślał, że on lat trzydzieści służył téj rodzinie, p. Rożahowski zaledwo dziesiątek — i — taka różnica!...

Długo jednak nie rozmyślał, bo z dalszych komnat wbiegł śpiesznie rządca, z udaną serdecznością witając przybyłego, który mu się kłaniał niby z uszanowaniem, niby pokornie, lecz trzymał się zdala jakąś nieprzełamaną zaporę stawiając tą uległością między wszechwładnym „pełnomocnikiem” a sobą.

— Daruj, kochany panie Dominiku — mówił, ściskając ręce leśniczego—żeś czekał, lecz ojciec mi chory, doktór przy nim. Siadajże, proszę, siadaj!

I przysunąwszy gościowi fotel, sam usiadł w cieniu, tak, by go mógł obserwować, nie będąc obserwowanym.

Nic nie szkodzi—odparł cichym głosem leśniczy. — Jakże się miewa pan komornik dobrodziéj?—spytał przez grzeczność.

— Nieco lepiéj, dziękuję serdecznie za pamięć. Ale w nocy dostał tak silnego ataku astmy, żem się lękał nieszczęścia... Teraz drzémie osłabiony... Możebyśmy się czémś posilili i my obaj, bo sesya dyabelnie długo się przeciągnie... Nawał interesów.

— Bardzo panu rządcy dziękuję, zjadłem gotowane śniadanie na wyjezdném.

— Kieliszeczek starki... Hej, Pawełek.

— Dziękuję, bardzo dziękuję—zaprotestował z żywością. Nie pijam tak rano.

— To może fajeczkę lub cygarko?

Dłuższe wymawianie się byłoby zbyt widoczną niegrzecznością, przyjął więc cygaro z ukłonem, choć niechętnie. Rządca nadskakująco podsunął mu ładną zapalniczkę.

— To nie bez kozery—myślał leśniczy.

— Jakże zdrowie pani Mirejkowéj dobrodziejki i szanownéj pani Jerzminowéj?

Zapytany dziękował z przesadzoną pokorą, w któréj czuć było coś nieprzejednanego. Pod uległością widocznie sobie nakazaną, odzywała się siła. Rządca udając, że nic nie spostrzega, mówił daléj uprzejmie:

— A co porabia Kazia? to moja faworyta! Rozumne dziecko jak mało!... Co myślisz z nią począć, panie Dominiku.

— Chcielibyśmy ją edukować, by więcéj od nas umiała — odpowiedział innym tonem, widocznie w słabą stronę utrafiony.

— Ileż ma lat?

— Siedm skończy za miesiąc.

— Pora zaczynać. A chłopak w jakim wieku?

— Półczwarta roku.

— Ten ma czas przed sobą, ale o Kazi warto już pomyśléć na seryo.

— Toć myślimy o tém bezustannie i ku jesieni może da Bóg coś się zrobi.

— Czemuż nie na wiosnę?

— Teraz jeszcze nie można—odparł krótko.

— Eh, możeby można. Trzeba się postarać...

— Toż się staramy! Odmawiamy sobie wszystkiego, pracujemy od świtu do nocy, byle zebrać fundusik potrzebny...

— Nie o tém myślałem—przerwał Rozahowski.

— A o czémże?—spytał dobrodusznie Mirejko.

— Możeby hrabina pomogła...

— Hrabina? — powtórzył z niedowierzaniem — hrabina!... — i w smutnych jego oczach zamigotał jakiś płomień gorący, lecz zgasł szybko i siwa głowa pochyliła się ku piersi.

— Tak, hrabina — prawił rządca. — To dobra pani, tylko trzeba umiéć do niéj się zastosować; lecz — dodał, zniżając głos — trochę kapryśna. Et, zwyczajnie, jak wszystkie wielkie panie.

— Ja tego widać nie umiem — odparł Mirejko z goryczą. — Mogę pracować, pilnować jéj dobra, jak mego własnego, lecz jeśli tego zamało i tym sposobem zjednać jéj sobie nie zdołam, to... Bóg z nią! Nie wiem, co zrobić więcéj...

— Wszystko-bo w czarnych kolorach widzisz, kochany panie Dominiku, a to źle. I drugim i sobie tylko zgryzoty przysparzasz. Wszystkich masz za wrogów, kiedy tymczasem każdy ci sprzyja.

— Nawet i Chełmocki?—spytał ironicznie.

— Nawet i on. Nie powiem, żeby był od serca twoim przyjacielem, jak ja, nie chwaląc się, ale cię poważa i szanuje. Niedawno temu mówił mi, jak mu przykro, żeście się przemówili o to zboże... Tymczasem to były plotki tego niegodziwego Filipa, którego nie wiem za co protegujesz zawsze.

— Panie rządco! to nie plotki! Mam świadków, że Chełmocki pszenicę sprzedał i już promem podwody miały się przeprawiać, gdy z przeciwnéj strony nadbiegł kozak z wiadomością, że szwagier hrabiny jedzie z całą rodziną. A to pan nie malowany. Zarazby spytał podwodników: „co wy za jedni? Skąd? gdzie? po co? I wyszłoby na jaw, że pan ekonom sandomierki tyle sprzedaje na raz kiedy i połowy tego nie bierze w ordynaryi... Więc zboże z worów w wodę, a puste wozy daléjże uciekać co sił, biédne szkapy miały..."

— Bajki! wierutne bajki, wykrzyknął rządca z tém większém oburzeniem, że należał do spółki w owéj niefortunnéj sprzedaży. Czyż mnie tu nie ma, co pilnuję dobra pańskiego jak oka w głowie?... Mnie byś krzywdził, utrzymując podobną pogłoskę.

Na takie *dictum* zamilkł leśniczy, i po chwili, dla odwrócenia rozmowy, zagabnął:

— Pawełek mi powiedział, że był jakiś interes do mnie...

— Właściwie nie interes, powoli odparł rządca, przeciągając rękę po czole. Chciałem się tylko naradzić z tobą, kochany panie Dominiku...

— Ze mną?!..—spytał zdziwiony Mirejko.

Rządca udał, że nie słyszy i biorąc się ręką za łysiejącą głowę,

Rozwój idei

oraz jéj znaczenie wychowawcze.



Mianem idei zwykliśmy nazywać najogólniejsze pojęcia o przedmiotach pierwszorzędnéj wagi w życiu ludzkiém. Mówimy o ideach Boga, dobra, sprawiedliwości, wychowania, solidarności, odrodzenia i t. p., przypisując tym pojęciom znaczenie najszérsze, najogólniejsze i najwznioślejsze, bądź pod względem etycznym, bądź też umysłowym, np. w stosunku do idei ewolucyi, jedności wiedzy, przyczynowości. Niektórzy, idąc za Herbartem, ściśle odgraniczają idee o charakterze moralnym od pojęć teoretycznych, naukowych i tym drugim nazwy idei nie przyznają. Wundt, chociaż z innego stanowiska (transcendentalizm Kanta), ale też odrębne ideom przypisuje znaczenie, upatrując w nich wytwory rozumu (*Vernunft*), złożone z doświadczalnych i pozadoświadczalnych pierwiastków, kiedy pojęcia według niego powstają z dziedziny samych faktów za sprawą rozsądku (*Verstand*). Jakkolwiek pojmowano wyraz idea, oznaczamy nim stale syntetyczny pogląd na jakieś zjawiska natury fizycznéj lub duchowéj, uogólnienie szeregu pojęć, ważne w zakresie myśli, lub uczucia. Posługujemy się ideami zarówno w nauce i sztuce, jak w życiu. Odróżniamy pospolicie wielkie idee od małych ze względu na obszar i doniosłość ich dziedziny.

W szkicu niniejszym mówić będziemy o idei wogólności, przytaczając niektóre dla przykładu. Przez rozwój idei pojmować będziemy w danym wypadku rozwój największych uogólnień ze stanowiska jedy-

nie psychologicznego. W toku rozumowań naszych użyjemy nie raz wyrazów synteza, uogólnienie, abstrakcya w znaczeniu idei, gdyż, jak to niżéj zobaczymy, są one wszystkie synonimami i różnią się od prostych pojęć tylko ilościowo, t. j. większą sumą wyobrażeń i skojarzeń myślowych. Mówiąc o wychowawczém znaczeniu idei, kładziemy szczególny nacisk na te z nich, które posiadają największą społeczno-moralną oraz naukowo-filozoficzną doniosłość. Rozumié się wszakże, iż wnioski nasze do najwyższych stosowane idei, odnoszą się tak samo do wszelkich uogólnień i odwrotnie; jeżeli zatém odsłonimy budowę i warunki zastosowalności jakiéjkolwiek idei, to konsekwencye stąd wyprowadzone wyjaśnią nam rozwój, oraz znaczenie wszelkich pojęć ogólnych, od najskromniejszych abstrakcyi począwszy, a kończąc na obejmującéj cały wszechświat syntezie.

I.

Doświadczalne podstawy myślenia.

Pobudliwość organizmu jest reakcyą na czynniki zewnętrzne. — Wrażliwość jako początek procesów psychicznych. — Wznawianie się wrażeń. — Organizacya czucia jest wynikiem przystosowania organizmu do otoczenia. — Powstawanie wyobrażeń. — Pojęcia zmysłowe różnią się od abstrakcyjnych stopniem uogólnienia.

Wszystkie przedmioty złożone mają to do siebie, że nas tak dalece zdumiewają swoją zawisłością i wielkością, iż zapominamy o ich pochodzeniu, nie raz nie pomyślimy nawet, że kiedyś istniały w formie mniéj złożonéj, bardziej dostępnéj badaniu i że nawet — w braku odpowiednich warunków — mogły wcale nie istniéć. Do takich należą wielkie idee. Możnaby wyliczyć długi szereg dawniejszych uczonych i filozofów, którzy uważali wszelką myśl wielką a zwłaszcza idee moralne za natchnienia, za szczególny dar ducha, za tajemniczą właściwość pewnych umysłów. W odpowiedni téż sposób tłumaczono pojawianie się idei, uciekając się do potęg mistycznych, lub sił wrodzonych. Niezrozumiałe jednak i dowolne teorye te, musiały zejść do archiwów wobec badań nad zjawiskami czucia i myślenia, które z wielką starannością przeprowadzono nad człowiekiem i niższemi zwierzętami, zacząwszy od ich urodzenia.

Studya nad rozwojem czucia wykazały, że pierwiastkową i zasadniczą jego formą jest pobudliwość organizmów na podrażnienia. Im bardziéj organizm jest złożony, czyli im lepiéj narządy jego są przystosowane do rozmaitych warunków otoczenia, tém bardziéj udoskonalona i wyspecyalizowana jest pobudliwość. To znaczy, że kiedy naj-

prostsze ustroje, jak ameba, jednakowo we wszystkich częściach swego ciała wrażliwa jest na pewne bodźce zewnętrzne, to wyższe organizmy zdolność tę posiadają o tyle w większym stopniu, że niektóre organa (np. macki u pierwotniaków) odczuwają już lepiéj, niż reszta ciała. Wyżéj rozwinięte zwierzęta, z organizacyą bardziéj zróżniczkowaną, posiadają już oddzielne narządy, w którychześrodkowuje się wrażliwość na każdy rodzaj podrażnień. Organa zmysłów są właśnie temi częściami ciała, które, odznaczając się większą na pewne podniety wrażliwością, utrwaliły ją przez powtarzanie i rozwinęły w różnorodném ćwiczeniu; same zaś organa zmieniały się odpowiednio do swych czynności. Jeżeli zastanowimy się nad działalnością oka, nad jego tak rozległą a subtelną wrażliwością, jeżeli pomyślimy o tych świetnych obrazach, które do świadomości naszéj za pomocą wzroku dochodzą, to nic dziwnego, że na razie nie posiadamy się ze zdumienia i skłonni jesteśmy zaliczyć wzrok do najcudowniejszych rzeczy na świecie. Fizyologia jednak porównawcza wskazuje cały szereg takich narządów zmysłowych, gdzie widoczném jest stopniowanie zarówno w budowie organu, jak i w jego czynnościach. Badania w tym zakresie dowodzą, że każdy rodzaj czucia daje się sprowadzić do prostéj wrażliwości, ta zaś w ostatecznéj analizie przedstawia się jako pobudliwość (*Irritabilitaet*) czyli zdolność reagowania na czynniki zewnętrzne. Widzimy więc, słyszymy i w ogólności odczuwamy jedynie to, co na zmysły nasze w jakikolwiek sposób oddziaływa; czucie nasze jest tylko odpowiedzią na pobudzenia naszego środowiska. Podniety wewnętrzne, spowodowane np. trawieniem, krążeniem krwi, nie stanowią tu wyjątku, gdyż w stosunku do organów otrzymujących wrażenia są zewnętrznemi. Jeżeli doznajemy przyjemnych lub przykrych uczuć wskutek rozmyślania nad czémś, to i w takim razie pierwotną pobudką był tu świat zewnętrzny, który mógł dawniéj na zmysły nasze podziałać i przez nie dojść do świadomości. Wreszcie nieokreślone stany psychiczne, miewaniem się zwane, a wyrażające ogólną niemoc, apatyę, lub emogię, niesłusznie przypisywane bywają podnietom wewnętrznym, od otoczenia niezależnym. Nawet energia potencyalna (utajona) w centrach nerwowych, uważana przez niektórych badaczy za przyczynę ruchów w organizmie przed otrzymaniem wrażeń z zewnątrz, tak samo za spontaniczną, nieumotywowaną uchodzić nie może, jak nie nazwiemy samodzielną, samorodną czy spontaniczną energii w ziarnie zawartéj, lub w litrze pary wodnéj. Czucie jako władza lub niezależna zdolność, spoczywająca w organizmach, nie istnieje wcale, podobnie jak ciężar nie istnieje samodzielnie w kamieniu. Jeżeliśmy zrozumieli, że ciężar ciała jest wyrazem stosunku ciążenia dwóch mas ku sobie, to

nie trudno pojąć, iż czucie oznacza stosunek podrażnienia do bodźca, wyraża stan organizmu, wywołany podnietą zewnętrzną lub wewnętrzną.

Rozpatrując najprostsze objawy czucia, łatwo przekonać się możemy, iż pobudliwość istnieć może, rozwijać się i wzrastać jedynie ze zmianą bodźców. Prawo to, obszernie przez Spencera w psychologii rozwinięte, zostało następnie uzupełnione przez Webera i w matematyczną formułę u Fechnera ujęte. Tu jednak ograniczymy się na tym najogólniejszym jego wyrazie. Wszelka podnieta działa w ten sposób na organizm (również i na inne ciała), że go wyprowadza z równowagi, ustalonéj poprzednio innemi czynnikami, t. j. wpływami otoczenia. Zachowanie się organizmu wobec podniety polega na przywróceniu zachwianéj zmianą otoczenia równowagi. Ponieważ czuciem nazywamy owo zachowanie się organizmu przy pobudzeniu zewnętrzném lub wewnętrzném, to oczywista, że czucia objawiać się mogą jedynie przy takich bodźcach, które zakłócają równowagę między organizmem a jego środowiskiem. Dlatego téż, jak to wykazali Weber i Fechner, tylko przy pewnéj minimalnéj zmianie podniety wrażenie może być otrzymane, to znaczy, że zbyt małe różnice w otoczeniu nie wywołują reakcyi w organizmie. Prawo to jest wielce pouczającém w psychologii społeczeństw, widzimy np. że powolne zmiany w położeniu klas lub warstw społecznych przechodzą niepostrzeżenie, gdyż nie dają się dość wyraźnie odczuć.

Jeżeli podnieta sprawiająca pewnego rodzaju wrażenie, np. ciepła, barwy, twardości nie powtórzy się, w słabszym lub silniejszym stopniu, to wrażenie przemija nie wznawiając się nigdy; objawia się zaś powtórnie lub wielokrotnie przy powtarzających się pobudzeniach. Odnowa lub odtwarzanie doznanych wrażeń nie wymaga bynajmniéj jakiéjś przechowującéj je zdolności, za jaką zwykle uchodzi pamięć; potrzebną tu jest tylko pobudka, któraby wywołała w organizmie już raz przebytą reakcyę. Ponieważ ta ostatnia była przystosowaniem się organizmu do nowych okoliczności (t. j. do zmienionéj równowagi), przeto każda powtarzająca się podnieta o tyle jest zdolna odtworzyć podobne poprzednie wrażenie, o ile się różni od poprzedniéj podniety, o ile zakłóca przywróconą pierwéj równowagę. Odnowa zatém wrażeń jest wznawianiem się oddziaływań organizmu dla zrównoważenia stosunku czynności jego do działań otoczenia. Istotnie, jeżeli jakaś podnieta działa bezustannie, to odpowiadające jéj wrażenie słabnie i w końcu znika zupełnie, gdyż czynności organizmu przystosowały się do niéj; jeżeli zaś działanie podniety ustaje, a po niejakim czasie wraca, to i odpowiednie wrażenie powrócić musi, ponieważ organizm w przerwie

między pierwszém a drugiém działaniem bodźca ulegał innym wpływom, które zmieniły stan poprzedniéj równowagi.

W ustrojach rozwiniętych do tego stopnia, że podnieta może w nich wywołać jednocześnie dwa lub kilka wrażeń, np. wzrokowe i zaspokojenia głodu, reprodukcya wrażeń staje się już bardziéj złożoną, jakkolwiek na téj saméj spoczywa zasadzie. Zwierzę, lub kilkomiesięczne dziecko, przyjmując pokarm, odbiera jednocześnie kilka wrażeń; jeżeli się one przy odżywianiu stale powtarzają, to widok pokarmu wywołuje skojarzone z nim uprzednio wrażenie zaspokojenia głodu. Dlatego też przedmioty podobne w czémkolwiek do pokarmu budzą apetyt. Dlatego również spotykamy u zwierząt liczne przykłady zawiedzionego instynktu: mucha składa swe jaja w cuchnącym grzybie sromotniku z tego jedynie powodu, że ten zapachem swym przypomina zgniłe mięso. Jedno więc wrażenie może wywołać kilka oraz cały szereg związanych z niemi czuć, popędów i działań, jeżeli one uprzednio w tém samém występowały skojarzeniu.

Odbieranie kilku wrażeń jednocześnie zależy od przystosowania narządów do rozmaitych podniet czyli od organizacyi czucia. Narządy zaś rozwinąć się mogły tylko skutkiem różnicowania się czynności organizmu, dzięki rozmaitym przystosowaniom do warunków otoczenia. Ale jak podzielone czynności organizmu nie są jedne od drugich niezależne, lecz najściśléj w jedną zespolone organizacyę, która opiéra się stale wpływom otoczenia, wytrącającym ją z równowagi, tak samo rozmaite wrażenia są właściwie tylko rozmaitemi funkcyami czucia, które przy największém rozczłonkowaniu i wyspecyalizowaniu, pozostaje zawsze spójną całością, t. j. zorganizowaną reakcyą na czynniki zewnętrzne. Wynika stąd znane prawo psychofizyczne, że wrażenia oraz wszelkie czucia w organizmie (zdrowym) są współzależne; współzależność ta objawia się w fakcie dostatecznie przez psychologów stwierdzonym, że jedno wrażenie budzi cały szereg skojarzonych z nim wrażeń. Reprodukcya więc wrażeń zarówno prostych, jak i najbardziéj złożonych zasadza się na organizacyi czucia, t. j. na wzajemném oddziaływaniu organizmu i otoczenia. To znaczy, że wrażliwość na czynniki zewnętrzne nie przestaje być reakcyą w najściślejszém znaczeniu tego wyrazu i w takim wypadku, kiedy np. pewien dźwięk budzi liczne wzrokowe i inne skojarzone z niemi czucia, wzruszenia, popędy. Odtwarzanie przeto wrażeń stanowi proces osnuty z jednéj strony na współzależności czuć, wynikającéj z organizacyi czyli z przystosowań do rozmaitych bodźców, z drugiéj zaś — na pobudliwości organizmu wobec działań otoczenia. Proces ten nazywamy pospolicie pamięcią, uważając ją najniesłuszniéj za szczególną władzę, która w nas

żyje samodzielnie, aby wprowadzać na pole świadomości doznane niegdyś wrażenia, uczucia, idee. Pogląd to wszakże, jak widzimy, całkiem antropomorficzny, pozbawiony wszelkiéj rzetelnéj podstawy, a w rozbiorze psychologicznym wprost szkodliwy.

Analizując genezę i rozwój czucia przychodzimy do wniosku, że stanowi ono reakcyę wobec działań otoczenia, że organizm, przystosowując się do rozmaitych bodźców, różniczkuje swoją wrażliwość i że ta ostatnia przy największém rozczłonkowaniu i wyspecyalizowaniu, zachowuje w objawach swych stałą współzależność, nakoniec, że współzależność czuć, a względnie wrażeń powoduje ich reprodukcyę przy pobudzeniu chociażby tylko jednego skojarzonego z niemi wrażenia. Stąd prosty wynik, że nie pamięć wskrzesza doznane niegdyś wrażenia, lecz że one same współreagują przy odpowiednich podnietach na mocy jedynie swéj współzależności. Psychofizyologia dzisiejsza w taki mniéj więcéj sposób przedstawia ten proces. Pobudzeniem zewnętrzném (np. widokiem drzewa) wywołuje się podrażnienie tkanki mózgowéj, które objawia nam się jako wrażenie. Zaraz po ustąpieniu bodźca może zniknąć wrażenie, lecz podrażnienie zostaje jako ślad przebytego procesu fizyologicznego; ale pozostałości téj nie odpowiada w umyśle nic psychicznego, nie przechowuje się żaden duchowy obraz otrzymanego wrażenia. Dopiéro nowe podobne wrażenie pobudzić może uprzednie podrażnienie do wyraźnego wystąpienia w formie odnowionego wrażenia, które wspomnieniem zowiemy, a które bywa mniéj lub więcéj złożonym obrazem myślowym.' To znaczy, że to, co „przechowujemy w pamięci," co uważamy za swój dobytek duchowy, nie jest właściwie ani wyobrażeniem, ani myślą, ani ideą na dnie duszy ukrytą, jeno przystosowaniem fizyologicznem mózgu do pewnéj podniety, nie rychło ustępującém podrażnieniem, albo predyspozycyą do wznawiania wrażeń i wyobrażeń przy sprzyjających okolicznościach. Że taka predyspozycya czyli przystosowanie się do pewnych podniet może z czasem ustąpić, wiemy o tém z patologii, uszkodzenie bowiem pewnych części mózgu znieczula wrażliwość na odnośne pobudzenia; z drugiéj zaś strony wrażenia nie pobudzane nie wznawiają się nigdy, mówimy wtedy o nich, że są zapomniane.

Jeżeli organizacya czucia o tyle jest rozwinięta, że odtwarzanie wrażeń możebném się staje, to już u niższych zwierząt przypuścić należy pojawienie się wyobrażeń, jakkolwiek słabszych, mniéj wyraźnych i mniéj złożonych niż u człowieka. Ryby np., przypływające do brzegu na odgłos dzwonka, czynią to skutkiem wywołania za pośrednictwem wrażenia głosowego skojarzonych z niém wrażeń przy spożywaniu pokarmu; obudzone tu wrażenia, wskrzeszone niejako „w pa-

mięci", stanowią wyobrażenie w najprostszéj swéj postaci, które tém się różni od takichże wyobrażeń u zwierząt ssących i u człowieka, że daleko mniéj innych wrażeń z niém się kojarzy, że więc jest mniéj wyraźne, mniéj jasne i krócéj trwające. Nie przyjęto, co prawda, odtworzonych u ryby wrażeń wyobrażeniem nazywać, lecz to jest raczéj kwestyą zwyczaju, lub formalnéj klasyfikacyi, niż logiki, zwykliśmy bowiem stosować to miano wyłącznie do wytworów myśli, które można niby „dowolnie" porównywać i kojarzyć z innemi wyobrażeniami, wydzielać je z pośród innych i nad niemi rozmyślać. Lecz takie wysoko rozwinięte wyobrażenia dlatego tyle jasności, plastyki i ruchliwości posiadają, że się mogą wyodrębniać stopniowo z licznych szeregów innych pokrewnych wyobrażeń i że w całym tym procesie wielką pomocą jest mowa, która każdemu wyobrażeniu właściwą nadaje nazwę i stosowne w umysłowości stanowisko wyznacza. Rzeczywiście, wystarcza zastanowić się nad mechanizmem odnowy wrażeń, aby się przekonać, że odtworzone (przypomniane) wrażenia przy pobudzeniu jednego z niemi skojarzonego ukazują się jako wyraz stosunku danego podrażnienia do poprzedniego, stanowią zatém r o z r ó ż n i a n i e i p o r ó w n a n i e w najprostszéj, najbardziéj elementarnéj formie, dla któréj mowa nie stworzyła odpowiedniéj nazwy.

Ogólnie przyjęto nazywać wyobrażeniem takie wrażenie wznowione, którego jesteśmy świadomi, ale ponieważ stany psychiczne, nieświadomemi zwane, nie są bynajmniéj przeciwieństwem świadomości, gdyż podobnie jak i ona składają się z tych samych pierwiastków i takim samym podlegają zmianom, zatém wyobrażenia świadome uważać należy jedynie za wyższy rozwój wyobrażeń przedświadomych, zwłaszcza że samo pojęcie świadomości w wysokim stopniu jest względne. Istotnie, jeżeli psychologia nowoczesna nie może znaleźć granicy między nieświadomością a świadomością, jeżeli między obu temi stanami znajduje mnóstwo ogniw pośrednich i nakoniec wykazuje w procesach świadomych te same prawa powstawania, wznawiania się i kojarzenia wrażeń, które widzi w najelementarniejszych zjawiskach czucia, to dziwnie i nader niekonsekwentnie byłoby poczytywać wyobrażenia świadome za coś odrębnego od przedświadomych. Nic więc innego nie pozostaje, jak uznać wszelkie odtworzone wrażenie za wyobrażenie, nie przypisując mu koniecznie pewnego stopnia świadomości.

Zbliżyliśmy się obecnie do głównéj myśli naszego zadania, mianowicie, że procesy umysłowe początek swój biorą w stosunku organizmu do świata zewnętrznego, rozwijają się bowiem z czucia, a ponieważ jego rozwój polega na zróżnicowaniu i przystosowaniu pobudliwości organicznéj, zatém wszelka myśl na gruncie doświadczalnym powstaje

i doświadczalną kształci się drogą. Niewątpliwie, skoro w powstawaniu wyobrażeń zasadniczemi czynnościami są imanie wrażeń oraz ich odtwarzanie, to już z wyżéj opisanéj natury procesów tych wynika, że wyobrażenie jest mniéj lub więcéj złożonym, mniéj lub więcéj pośrednim wyrazem stosunku otoczenia do organizmu. Pierwotnym i najprostszym stosunku tego wyrazem jest czucie w elementarnéj swéj postaci, t. j. pobudliwość. Rozwija się ona do stopnia, albo jeżeli kto woli — do formy wyobrażeń dzięki jedynie swemu rozczłonkowaniu i przystosowaniu do rozmaitych podniet; w przystosowaniu zaś leży przyczyna, iż za pobudzeniem wrażliwości w jednym kierunku wznawiają się wszystkie występujące dawniéj razem wrażenia.

Wydaje się zupełnie oczywistém, że pochodzenie i rozwój wyobrażeń złożonych, jakie spotykamy w całkowitym rozkwicie świadomości, sprowadza się w ostatecznéj analizie do tych samych pierwiastków poznania, t. j. do wrażliwości i reprodukcyi wrażeń. Wszyscy bowiem zgadzają się na to, że wyobrażenie złożone tylko ilością swych składników od prostego się różni. Chyba nikt nie zaprzeczy, że wyobrażenie rośliny zupełnie taką samą powstało drogą, jak mniéj złożone wyobrażenia drzewa, że to nie inaczéj się utworzyło, jak wyobrażenia brzozy, brzozy płaczącéj i t. d. Podręczniki psychologii zapewniają nas zwykle, że przy powstawaniu wyobrażeń niezbędnemi są porównania i klasyfikacya oraz że czynności te towarzyszą całemu życiu umysłowemu. Nie można się spierać o tę dowiedzioną już i powszechnie uznaną prawdę, lecz zauważyć należy, iż w porównywaniu i klasyfikacyi upatrują się pospolicie szczególne jakieś zdolności, istotom myślącym właściwe. Jest-to błąd, który najniepotrzebniéj wprowadza różnorodność i powikłanie tam, gdzie jest jednorodność i prostota. Porównywanie bynajmniéj szczególnéj zdolności nie stanowi, a tém bardziéj nie jest wyłączną właściwością myśli, gdyż najelementarniejsze czucie najniższych ustrojów możebném się staje dlatego jedynie, że organizm odczuwa różnicę między poprzedniém a następném działaniem podniety. Pobudliwość w złożonéj lub w najprostszéj swéj formie występuje jako skutek zmienionéj równowagi między organizmem a otoczeniem. Nie możemy zrozumiéć żadnego zjawiska fizycznego, lub chemicznego bez zmian czyli różnic, zachodzących w warunkach jego przebiegu. Widzimy tak samo, że zjawiska biologiczne są skutkiem różnicy między działaniem wewnątrz organizmu a w jego otoczeniu. Działanie zatém pod wpływem różnic albo zrównoważanie się dwóch niejednakowych działań, do czego wszelkie porównania i rozróżniania sprowadzić się dają, jest zasadniczym i elementarnym warunkiem życia oraz wszelkiego ruchu. To, co w psychologii ujmowaniem

różnic i klasyfikacyą zowiemy, stanowi tylko bardziéj złożony proces w powszechném równoważeniu się sił. Klasyfikacya wrażeń jest prostém następstwem podziału czynności (zróżniczkowania) oraz poszczególnych przystosowań, utrwalonych przez powtarzanie czyli uorganizowanych. Zauważyć należy, iż to nie my porównywamy i szeregujemy wrażenia, wyobrażenia, myśli nasze, nie czyni tego ani nasze ja, ani wola, ani szczególniejsza jakaś zdolność; one się porównywają same i klasyfikują dzięki swéj współzależności i grupują w szeregi, typy, rodzaje wrażeń i myśli zawdzięczając organizacyi czucia, która podobnie jest skutkiem zróżnicowanych przystósowań, jak organizacya trawienia, oddychania i t. d. Do takiego stopnia przyzwyczajeni jesteśmy rozumować za pomocą wyrazów, że w końcu wierzyć zaczynamy, iż wytłumaczyliśmy wszystko, nadając pewnemu przedmiotowi nazwę, zaliczając zjawisko do takiéj lub innéj kategoryi. Percepcya, pamięć, porównywanie, klasyfikacya są to właśnie wyrazy, któremi oznaczamy znamienne cechy procesu myślowego, pewne jego fazy, nie zaś odrębne czynności domniemanych władz duchowych. Analiza bowiem psychologiczna odsłania już w genezie wyobrażeń i czuć te same znamiona, które uważamy za charakterystyczne dla myśli, idei.

Że wyobrażenia stanowią główną treść myśli i — wyrażając się obrazowo—materyał wszelkich procesów psychicznych, zacząwszy od jakiegoś elementarnego wyobrażenia pewnéj barwy, pewnego pokarmu, a kończąc na zawiłych ideach dobra, postępu i t. p., o tém rozwodzić się tu nie mamy potrzeby. Zastanowimy się obecnie nad różnicą między prostém wyobrażeniem zmysłowém a złożoną ideą, któréj zwykliśmy abstrakcyjny przypisywać charakter. Zwykle nam się wydaje, że takie pojęcia, jak stół, dom, drzewo są zmysłowemi obrazami przedmiotów; przypisujemy im pewną realność w przeciwstawieniu do pojęć oderwanych, którym nie przyznajemy pochodzenia zmysłowego. Przyjrzyjmy się jednak bliżéj powstawaniu jednych i drugich. Pojęcie np. domu pochodzi z zestawienia wielu poszczególnych wyobrażeń, któreśmy utworzyli, oglądając rozmaite domy. Nasze pojęcie nie zawiera wszystkich znamion znanych nam domów, lecz tylko niektóre z nich, a i te nawet nie stanowią obrazu rzeczywistych własności tego lub owego domu; tak np. jedną z części składowych wyobrażenia tego jest dach, lecz i to pojęcie nie jest bynajmniéj zmysłowém ujęciem pewnego jakiegoś dachu; zawiera ono jedynie cechy wszystkim znanym dachom wspólne, a pomija właściwości przygodne, indywidualne. Analizując w taki sposób dane pojęcie, przekonywamy się w końcu, że nie zawiera ono ani jednego szczegółu, któryby stanowił duchową kopię

rzeczywistości. Myśląc o mieszkaniu ludzkiém, mogę je sobie wyobrażać nie tylko z dachem i oknami, lecz i bez nich, nie tylko na powierzchni ziemi, lecz i pod jéj poziomem, słowem, wyobrażenie to jest tak ogólne i rozciągliwe, że uważać je można za formułę wyrażającą jednocześnie wszelkie domostwa, jakie gdziekolwiek istniały, a nawet jakie istnieć będą. Wyobrażenia więc takie w żaden sposób do konkretnych zaliczone być nie mogą. Zgadzają się z tém niektórzy psychologowie, uważając pojęcia ogólne, jak dom, brzoza, roślina za abstrakcyjne, ale ten dom, ta brzoza są według nich pojęciami zmysłowemi. Zdawałoby się, że mają słuszność, lecz to tylko pozornie. Dajmy nato, żeśmy widzieli tylko jedną brzozę. Czyż poszczególne części wyobrażenia téj brzozy odpowiadają prawdziwym jéj własnościom? Czy kształt i barwa drzewa tego nie jest w wyobraźni naszéj skutkiem zestawienia znamion brzozy z cechami drzew innych? Czyż nie wyobrażamy sobie tylko takich cech, któreśmy mogli z zestawienia tego wyróżnić? Każda najdrobniejsza własność postrzeganego przedmiotu dochodzi do świadomości naszéj jedynie przez porównanie z dawniéj otrzymanemi podobnemi wrażeniami. Poprzednie zaś wrażenie działa zawsze na świeżo powstające tak, że je mniéj lub więcéj zmienia, przystosowując je do wyrobionego już tła psychicznego. Teorya apercepcyi doskonale proces ten wyjaśnia i zarazem dowodzi, że nawet najbardziéj konkretne pojęcia nie są pozbawione abstrakcyi.

Jeżeli ułożymy szereg pojęć, zacząwszy od najbardziéj konkretnego a kończąc na jaknajogólniejszém, to dostrzeżemy z łatwością, że ich abstrakcyjność wzrasta ze zwiększaniem się składowych części pojęcia; z drugiéj zaś strony rozbiór wykaże, iż najogólniejsze wyobrażenia tak samo ze zmysłowych pochodzą pierwiastków, jak i najmniéj ogólne, czyli że abstrakcyjne pojęcia różnią się od konkretnych nie brakiem realizmu, lecz wyższym stopniem uogólnienia. Obrazowo dałaby się ta różnica tak przedstawić:

Oznaczmy ujmowane zmysłami przedmioty wielkiemi literami alfabetu łacińskiego, a dostrzegane własności tych przedmiotów odpowiedniemi małemi literami. Z zestawienia dwóch wyobrażeń a i b (którym odpowiadają przedmioty A i B) otrzymujemy nowe wyobrażenie, którego składnikami (na zasadzie praw apercepcyi) nie będą a b, lecz wyobrażenia zmienione, więc $\alpha\beta$. Porównywując to ostatnie z wyobrażeniem d, otrzymamy $\alpha_1 \beta_1 \delta$ ($\alpha\beta$ ulegają zmianie skutkiem nowego skojarzenia), następnie z e utworzy się wyobrażenie $\alpha_2 \beta_2 \delta_1 \varepsilon$ i t. d. Im więcéj robimy zestawień, tém ogólniejszy charakter przybiéra nasze wyobrażenie, a każdy z jego składników tém większéj ulega zmianie, tak, że $\alpha\beta\delta$ po jakich dziesięciu zestawieniach z innemi pokrewnemi

przedmiotami wcale już nie wyrażają tych własności, któreśmy dostrzegli pierwotnie w przedmiotach *A B D*. Jednak wyobrażenia złożone, a więc bardziéj oderwane, zachowują stale pewną zgodność z pierwotnemi wyobrażeniami *a*, *b*, *d*, jeżeli tylko myślenie odbywało się prawidłowo. Dlatego też złożone jakiéś pojęcie $\alpha_9 \beta_9 \delta_8 \varepsilon_7 \zeta_6 \ldots$ nie traci swego pierwiastku zmysłowego, pomimo że każdy ze składników wielokrotnym ulegał zmianom oraz uogólnieniom. Tak przy dokładném postrzeganiu i prawidłowém porównywaniu najogólniejsza idea posiada pewne podstawy realne, mniéj lub więcéj rzeczywistości odpowiadające; ale z drugiéj strony zauważyć należy, iż każde, chociażby najprostsze pojęcie nie jest wcale **obrazem** zmysłowym, lecz również abstrakcyą, gdyż uogólnia przynajmniéj dwa wyobrażenia.

Pojęcia więc ze stanowiska psychologicznego nie dają się podzielić na konkretne i abstrakcyjne, na zmysłowe i umysłowe, wszystkie bowiem one zawierają tak jedne, jak i drugie pierwiastki. Można tylko mówić o niższym lub wyższym stopniu uogólnienia danego pojęcia, co znowuż stanowi o mniejszéj lub większéj realności jego, czyli zgodności z odczuwaną (bo nie istotną) prawdą, jeżeli naturalnie sam proces tworzenia się pojęcia prawidłowo się odbywał.

II.

Realizm idei oraz jéj ziszczalność.

Przejście od rzeczywistości do idealizmu. — Różnice między myśleniem naukowém a nienaukowém.—Na czém polega zastosowanie idei.—Prawa naukowe i uogólnienia nieumiejętne.—Zgodność pierwszych z rzeczywistością i niezgodność drugich.— Rozwój złożonych idei jest analogiczny z rozwojem najprostszych wyobrażeń. — Wszelkie abstrakcye są zmysłowego pochodzenia.

Przyjrzyjmy się bliżéj faktycznemu upodstawowaniu, czyli realności idei, a przekonamy się, jaką rolę odegrywa rzeczywistość (dostrzeżona) w idealizmie, oraz jak dalece ziszczalność idei od jéj budowy zależy.

Realność myśli, prawa naukowego, wiedzy, nie na tém polega, że myśl jest jakoby odzwierciedleniem rzeczywistości, lecz na tém, że wniosek ze szczegółów wysnuty lub uogólnienie na prawdę szczegółom tym odpowiada. Często przypisuje się ideom naukowym zbyt wiele realizmu, uważa się prawa jakby za rzeczywiste byty (niektórzy wierzą, że prawa natury literalnie rządzą zjawiskami, że istnieją niezależnie od nich); metodzie doświadczalnéj wyznacza się nader skromne miejsce, przeważnie w zakresie umiejętności technicznych, odsądzając ją

z góry od idealizmu. Jest to powtarzanie w rozmaitych tylko odmianach błędu Hume'a, który sądził, jakoby nauka była kopią rzeczywistości, i że ze sfery postrzegania i doświadczenia (empiryzmu) nie można się wznieść po za granice realności do metempiryi Obserwacya i doświadczenie dostarczają nam wrażeń, które w procesie umysłowym stanowią jakby osnowę ideowéj, bo oderwanéj od rzeczywistości przędzy wyobrażeń. Jeżeli różnica wrażeń może być odczuwana, wówczas utrwala się ona w umyśle i objawia w postaci wyobrażenia, dając tym sposobem początek świadomości. Już pierwsze operacye tych wrażeń, pierwsze ich zestawienie do wniosku prowadzące, odrywa myśl naszą od postrzeganych stosunków realnych i przenosi ją w dziedzinę uogólnień, abstrakcyi, idealizmu. Tylko początek działalności psychicznéj—imanie wrażeń (percepcya) posiada najwięcéj charakteru zmysłowego, który blednie ze wzrostem wyobrażeń, w miarę zwiększania się samodzielnych, t. j. bezpośrednio od doświadczenia niezależnych skojarzeń, zrywających coraz bardziéj z realnym swym podkładem, a sięgających w coraz wyższe sfery abstrakcyi.

Zauważmy tu, że pod względem psychologicznym rozwój myśli naukowéj a nienaukowéj niczém zasadniczo się nie różni, tak samo jak uogólnienia pomniejsze nie różnią się w powstawaniu i budowie od szerokich idei moralnych, społecznych lub jakich innych. Znaczna część uogólnień—to są drogą indukcyi wyprowadzone wnioski, że skoro w szeregu obserwowanych przyczyn pewne następują skutki, to i w przyszłości ukazanie się takich samych przyczyn te same wywołać musi następstwa. Jeżeli ugólnieniem takiém będzie np. twierdzenie, że ciało niepodparte spada na ziemię w kierunku pionowym, to pierwsza jego część—odnosząca się do przeszłości—jest najzupełniéj przedmiotowa i o tyle realna, że się opiéra na powtarzaniu się grupy wydarzeń i na wykryciu zawsze jednakowych następstw. Zauważona jednostajność zjawisk pozwala przypuszczać, że się one i w przyszłości przy tych samych warunkach powtarzać będą. Druga więc część idei téj—odnosząca się do przyszłości — posiada charakter idealny, abstrakcyjny, jest domysłem, przepowiednią. Przepowiednia ta jednak têm się od innych, nieumiejętnych, różni, że się po pierwsze z doświadczenia wysnuwa, a po drugie, że się sprawdzić daje. Jeżeli pierwszy lepszy wypadek przyszłości pokaże, że dopatrzona przez nas przyczyna istotnie sprowadza oczekiwany skutek, to znaczy, że domysł nasz, nasza abstrakcya, uogólnienie, idea jest prawdą. Takie, sprawdzone doświadczeniem uogólnienia, nazwano prawami naukowemi, które są idealnym, nie zaś rzeczywistym wyrazem porządku zjawisk.

Ale między myśleniem naukowém a nienaukowém nie ma tak wielkiéj różnicy, jak się to na pierwszy rzut oka wydaje. Tak w pierwszym, jak i w drugim wypadku dla utworzenia pojęcia o przedmiocie musimy naprzód odnaléść znamienne jego cechy, wyróżnić go z pośród jednych, a upodobnić do innych przedmiotów i na zasadzie tych zestawień wyprowadzić ogólny wniosek o stosunku danego przedmiotu do nas, do otoczenia, lub do jakiéj grupy zjawisk. Czy przedmiotem naszego poznania jest ciało, czy zjawisko, świat zewnętrzny, czy duchowy, to w procesie myślenia nie stanowi różnicy. Ważném jest to, że dla utworzenia pojęcia o czémś, trzeba dany przedmiot zbadać w szczegółach (przez obserwacyę i doświadczenie), pomiędzy niemi wyróżnić podobne od niepodobnych i rezultat zestawień ująć w jedno ogólne pojęcie. Wszelka myśl tylko taką rozwija się drogą, a umysł niewyćwiczony nauką tém się różni od wykształconego, że zbyt niedbale i powierzchownie obserwuje szczegóły, tak samo porównywa, więc i zbyt pośpiesznie wysnuwa z nich wnioski, które często mogą przeczyć faktom, co wszakże pospolitéj myśli niepokoju bynajmniéj nie sprawia i do naprawiania błędów nie skłania.

Panuje dość upowszechnione mniemanie, że idea, stawiająca przed nami jakiś doskonały wzór do naśladowania, lub wskazująca jakieś najponętniejsze a świetne cele, nie może być nigdy urzeczywistniona. Ideał poczytuje się zwykle za niedościgniony. Jest tu pewna niedokładność, sprawiająca znaczne nieporozumienia. W powyższém mniemaniu zawiera się jednocześnie i prawda i błąd. Prawdziwém jest ono o tyle, o ile ideał nie jest kopią rzeczywistości, lecz abstrakcyą, wytworem uogólnień. Ponieważ ideał jest typem w wyobraźni naszéj utworzonym, jest zjednoczeniem harmonijném znamion np. dobra i piękna, których nigdzie ani w tak czystéj postaci, ani w zespoleniu takiém nie spotykamy, to oczywista, że ideał nigdy się nie da całkowicie urzeczywistnić. I to się odnosi nietylko do wielkich ideałów moralnych, ale do wszelkich wogóle konstrukcyi abstrakcyjnych. Nie zrobimy nigdy koła, którego części byłyby w stosunku ściśle odpowiadającym stosunkowi geometrycznemu. Żaden parowóz nie będzie się poruszał dokładnie z tą szybkością, jaką wykazują teoretycznie prężność pary i przeszkody, które ma do zwalczenia. Trudnościom w urzeczywistnieniu ideału nie pozwala sprostać nie tyle umiejętność i zręczność ludzka, ile sama budowa ideału. Na przykład najlepiéj urządzona machina nie może tak działać, jakby tego wymagały prawa prężności pary, prawa dźwigni, tarcia i t. d., gdyż wszelkie prawo naukowe jest abstrakcyą, na konkretach wprawdzie opartą, lecz formulującą tylko fakty ogólne z pominięciem zakłócających szczegółów. Prawo

nie orzeka, iż przebieg zjawiska jest takim a takim, lecz wyraża ogólny plan biegu zjawisk, wykazuje, że one przy pewnych warunkach odbyć się muszą, jeżeli temu nic nie przeszkodzi. Prawo zatém stawia przyczynę zjawiska w warunkach idealnych, bo odrywa ją od niezliczonych działań ubocznych, które w rzeczywistości zawsze swój wpływ na przebieg zjawiska wywierają. Dlatego też teorya naukowa nie jest kopią rzeczywistości, lecz typowym wyrazem tego, co w przyrodzie jest szczególném, indywidualném, nietypowém. Pomimo to jednak, nikt nie powié, że teorye i prawa naukowe są bezowocne, niezastosowalne. Cała technika i przemysł najwymowniejszym są dowodem prawdziwości praw naukowych, jakkolwiek żaden jeszcze ideał nauki w całości wcielonym w życiu nie został. W tém właśnie znaczeniu pojmujemy nieziszczalność abstrakcyi, idei, ideału. Ale ta okoliczność bynajmniéj nie zasmuca, ani nie zniechęca ludzi czynu, gdyż potrzeby życia mogą być najzupełniéj zaspokojone (czasowo), jeżeli idea zastosuje się w przybliżeniu. Niemasz takiéj idei na prawach naukowych, a więc na przedmiotowém badaniu opartéj, któraby się z mniejszą lub większą dokładnością zastosować nie dała, a wszystkie chybione próby wcielenia teoryi dowodzą tylko, że była ona wadliwie zbudowana, nie zaś, że tak wysoko w idealną sięgała sferę, iż o jéj urzeczywistnieniu jeno marzyć można.

Celem wiedzy jest zastosowanie przeszłego doświadczenia do nowych okoliczności, a możebne jest to jedynie na podstawie takich uogólnień, które mają największe widoki zastosowania. Ponieważ takiemi są prawa naukowe, w nich więc spoczywa największa potęga, która idei na prawach osnutéj, najdalszy zapewnia polot i największe dla życia znaczenie. Nie chcemy przez to powiedziéć, aby najwyższa i najpłodniejsza idea siedlisko swe już w dzisiejszych systematach nauki obrała; niestety, wiedza dotychczas zbyt małą jeszcze przeszła drogę w dziedzinie społecznego, więc i moralnego życia, aby jego zjawiska mogła w trwałe ująć prawa i z nich niezłomne dla ludzkości wysnuwać idee. Lecz rozwój myśli w kierunku poszukiwania praw dokonany, najlepszą daje rękojmię, że nie gdzieindziéj, tylko na gruncie naukowym za ideami z dziedziny wiedzy ścisléj, które tak świetną stworzyły kulturę, wykwitać będą coraz liczniéj idee, obejmujące całe życie z jego potrzebami fizycznemi i duchowemi. Że istotnie tak będzie, że wszystkie wielkie idee oraz ideały ludzkości na naukowych podstawach rozwijać się będą, o tém świadczy po pierwsze psychologia myśli, a po drugie historya tworzenia się idei, które naszemu przyświecają wiekowi.

Zobaczmy teraz, jak się tworzą uogólnienia przy niedokładnéj obserwacyi i zbyt pośpiesznem wnioskowaniu.

Weźmy przykład prostego wniosku, wynikającego z zestawienia wrażeń w takiéj głowie, którą pospolicie o idealne nie posądza się aspiracye. Znamy psa w Warszawie, który zwykł ze swym właścicielem wchodzić do każdego domu, tylko wstęp do kościola był mu wzbroniony; więc kiedy pan przestępuje progi świątyni, pies czeka nań przede drzwiami. Zdarzało się nieraz, że gdy wchodzono z nim do jakiéjkolwiek wspaniałéj kamienicy z okazałém wejściem i filarami przy schodach, pies zostawał zawsze na ulicy, oczekując na swego gospodarza, jak to zwykł przed kościołem czynić. Takie postępowanie psa wynikło z ogólnego wniosku, który tenże wyprowadził z podobieństwa zewnętrznego wyglądu kościoła i wspaniałych kamienic. Mniejsza o to, czy wniosek ten był świadomy, czy nie; prawdopodobnie sięgał on początków świadomości. Ciekawém jest to, że kiedy pies nigdy do żadnego kościoła wejść nie śmiał, to musiał w umyśle swoim zestawić znamienne dlań cechy kościołów i utworzyć jedno ogólne o nich pojęcie, z któremi kojarzyło się wrażenie zakazu wstępowania do świątyni. Znalazłszy następnie podobieństwo w pięknych kamienicach do kościoła, podciągnął i to wrażenie do poprzedniego; tym sposobem utworzyło się jeszcze ogólniejsze pojęcie o domach, do których — zdaniem zwierzęcia — wchodzić mu nie wolno. Że ogólne pojęcie psa o murach kościelnych nie było kopią rzeczywistości, lecz tylko z bardzo nielicznych wrażeń utworzoną abstrakcyą [1]) (mniejsza

---

[1]) Locke uważał za rzecz pewną, że zwierzęta nie posiadają zdolności abstrahowania i że właśnie idee ogólne wyróżniają człowieka od zwierzęcia, które ich całkiem jest pozbawione. Zdanie to popiérał tém, że zwierzęta nie posługują się ani mową, ani ogólnemi symbolami. Otóż Höffding w psychologii swéj dowodzi, że mowa artykułowana ułatwia powstawaniu abstrakcyi, niezbędna jednak nie jest. Znane są liczne przykłady tworzenia się abstrakcyi u dzieci, nie umiejących jeszcze mówić. Obserwacye Darwina, Espinasa, Hazeau'a, Romanes'a i wielu innych dowiodły, że inteligencya niektórych zwierząt znacznie przewyższa poziom umysłowy plemion bardziéj od cywilizacyi oddalonych, wreszcie wyższa jest od inteligencyi zwyrodniałych europejczyków i małych dzieci. Romanes w znaném swém dziele „Evolution mentale chez les animaux" podaje liczne przykłady zastosowania instynktu zwierzęcia do nowych okoliczności, rozszerzania się pojęć od szczegółów do ogółu oraz takich zastosowań doświadczenia niektórych zwierząt w praktyce, że się w uderzający sposób przypomina dedukcyę inteligentnego człowieka. Forel mówi, że „mrówki nie mają niezmiennego wzoru swych budowli, umieją one zastosować pracę swoją do okoliczności i korzystać z każdego położenia." Przed kilku laty drukował „Wszechświat" ciekawe spostrzeżenia nad inteligencyą małp; dowodzą one, że małpy umieją wyprowadzać pojęcia ogólne i dochodzić nawet do takich abstrakcyi, jak przewidywanie skutków na podstawie nigdy nie widzianéj, lecz domniemanéj przyczyny (przykład karmienia ogrzewaném mlékiem).

o stopień świadomości), to dowodzi łatwości, z jaką wyobrażenie to rozszerzył na wszystkie domy z filarami i okazalszym wyglądem. Ostatecznie więc pojęcie domu o wzbronionėm wejściu stało się najzupełniéj od rzeczywistość oderwanėm, przekroczyło bowiem dziedzinę doświadczenia i było abstrakcyą lub zaczątkiem idei. Błędną jest ona dlatego, że uogólnienie zbyt jest rozległe, a fakty, na których się wspiera, zbyt niedostateczne i nader powierzchownie obserwowane.

Wnioski oraz uogólnienia małych dzieci bardzo są podobne do przytoczonego przykładu. Kilkomiesięczne dziecko przekonawszy się, że niektóre przedmioty posuwają się pod naciskiem jego ręki, rozszerza ideę téj władzy na wszystkie przedmioty i próbuje posuwać stoły, szafy, ściany. Nie znając szczególnych cech, wyróżniających ojca od innych mężczyzn, nazywa każdego dorosłego „papa”, jednoczy bowiem znamiona wspólne w jeden ogólny typ. Dwu lub trzyletnie dziecko, które w podniesionym, surowym głosie ojca poznaje gniéw i groźbę, usłyszawszy grzmoty, przejmuje się strachem i płacze, oczekując lada chwila kary; niekiedy tuli się do opiekuńczych ramion matki, a gdy już mówić zaczęło, wyrzeka z trwogą: „bozia się gniewa”. Tłómaczenie burzy, jako objaw gniewu boskiego, musiało powstać drogą podobnych uogólnień u człowieka pierwotnego i u naszego ludu.

Z przykładów tych widzimy, jak utworzone przez doświadczenie pojęcia przechodzą drogą porównań ze sfery konkretnéj, realnéj, do dziedziny abstrakcyi, idealizmu. Zwierzę, dziecko i człowiek pierwotny snują pojęcia ogólne z postrzeganych zjawisk, ale ponieważ obserwacye te są bardzo nieliczne, doświadczenie zbyt szczupłe, więc i abstrakcye — przeważnie błędne. Niektóre przedmioty i zjawiska tak są proste i tak często dają się poznać w doświadczeniu codziennėm, że wysnuwanie z nich pojęć ogólnych nie stanowi żadnéj trudności i większość ludzi dorosłych zna pewną ilość typów, abstrakcyi, idei, odpowiadających jaknajlepiéj stosunkom realnym. Przeważna część jednak w obiegu będących uogólnień, nie mówiąc już o złożonych ideach, w rażącéj znajduje się sprzeczności z prawdą.

Nauka, która jest tylko cierpliwsza, oględniejsza, systematyczniejsza i dzięki udoskonalonym swym narzędziom i metodom, dokładniejsza w badaniu zjawisk, niż pojedyńczy i niewyćwiczony umysł, bada i porównywa szczegóły z taką umiejętnością, że wysnute z nich pierwsze pojęcia ogólne zupełnie odpowiadają rzeczywistości. Rozleglejsze abstrakcye, jak prawa naukowe, wspierające się na licznych uogólnieniach, również nie zawiodły jeszcze praktyków, o ile do systematu wiedzy wciągnięte zostały. Świéżo powstające idee, szumnie przez swych twórców prawami ochrzczone, jak znane „prawo” Malthu-

sa, mogą oczywiście niekiedy upadać, bo się sprawdzić nie dają. Ale wypadki takie, jakkolwiek często się zdarzają, nietylko powagi praw nauki nie podkopują, lecz przeciwnie, zwiększają dla nich zaufanie, jako dla wyrazicieli i stróżów prawdy, nie dających się lada przybyszowi (domniemanemu prawu) wyprowadzić w pole. „Nauka pewność swą zawdzięcza władzy rozkładania konstrukcyi idealnych na zmysłowe pierwiastki doświadczenia; metempiryka ciągłą swoją niepewność zawdzięcza metodzie swych badań, która nie wymaga, a często nawet nie jest zdolna do tego, aby sprowadzano intuicye jéj do uczuwań, abstrakcye do konkretów zmysłowych. Ponieważ pogardza ona empiryczną metodą budowania i stopniowego sprawdzania, przeto zmuszona jest przyjmować zasady, za które żadne doświadczenie ręczyć nie może i których nikt nie może potwierdzić" [1]). Jeżeli uczeni z zestawienia bardzo licznych szczegółów konkretnych dochodzą, posługując się przytém prawami nauki, do rozległych a zawiłych idei ogólnych, to nie sądźmy, aby to oni z taką łatwością i pewnością siebie czynili, jak się u nas w codzienném życiu praktykuje. W każdéj teoryi, do systematu wiedzy już należącéj, wiadomo dokładnie, co stanowi niezbitą prawdę, co należy do pojęć konkretnych a niewątpliwych, co do abstrakcyi z rzeczywistością zgodnéj, a co do przypuszczeń prawdopodobnych i wątpliwych. Liczne bardzo hypotezy oraz obszerne teorye na nich osnute zmieniają się często, powstają i giną, chociaż nie bez śladu, jak o tém wielu sądzi. Zmienność i nietrwałość wielu hypotez—gdyż niektóre stają się prawdami — nie jest wcale ani niespodzianką, ani rozczarowaniem dla uczonych, bo chociaż nie jeden myśliciel mógł je przeceniać i pokładane w nich nadzieje za pewniki uważać, to w każdym razie ogół badaczy nie był nigdy olśniony tém, co prawdą staćby się mogło, lecz nią nie było. Hypotezy, a zwłaszcza rozległe teorye hypotetyczne mogą służyć za dowód, że najdaléj sięgające idee naukowe poczynają się na łonie faktów realnych, najdokładniéj poznanych, wiążą się następnie z prawami w szereg licznych abstrakcyi, a nakoniec wznoszą się po szczeblach mniéj lub więcéj prawdopodobnych przypuszczeń w sferę myśli oderwanéj, po za granice wrażeń zmysłowych. Lecz tak powstała idea, chociaż się wzbije w dziedzinę najwyższych ideałów, nie przestaje być w zgodzie z przyrodą, lub życiem, gdyż fakty i prawa, z których się wyłoniła, wiążą jéj niebiańskie szczyty z ziemskiém podnożem.

Niesłusznie więc zarzucają metodzie doświadczalnéj, że jéj zwo-

---

[1]) Lewes. „Zagadnienia ducha i życia", tłóm. J. K. Potocki, Warszawa, 1892, str. 310.

lennicy wierzą w to tylko, co jest widoczne i namacalne. Zarzut ten pochodzi z zupełnéj nieznajomości konstrukcyi naukowych, albo jest aforyzmem skierowanym do tych, czyj wzrok po za świat zmysłowy nie sięga. Wszystkie pojęcia ogólne w nauce, prawa, teorye, hypotezy, a zatém wszystkie małe i wielkie idee wznoszą myśliciela, jak mówi Lewes, „na skrzydłach wyobraźni do sfer Niewidzialności i Nieuchwytności, napełniając je urojeniami bardziéj oddalonemi od faktów, aniżeli fantazye Nocy Arabskich od zwykłych wydarzeń na ulicy Oksfordzkiéj.” Ale „urojenia myśliciela, dodaje autor „Zagadnień ducha i życia”, tém się różnią od urojeń poety, że nie są kaprysami jego widzimisię; pozostają one w zależności od ścisłych praw i pod naciskiem Realności; z obu temi warunkami nie liczy się ani wyobraźnia poetycka, ani metempiryka.”

Z tego, cośmy o rozwoju pojęć ogólnych powiedzieli, wynika, że wszelka idea, mała lub wielka, prawdziwa lub błędna, w postrzeganiu i doświadczeniu rzeczywistości początek swój bierze, z wrażeń zmysłowych się wyłania; lecz porównanie tych wrażeń ze sobą prowadzi do wniosku, który już jest wyobrażeniem ogólném, od rzeczywistości oderwaną abstrakcyą. Od dokładności obserwowania przedmiotów zależy trafność porównań; wykrycie zaś znamiennych różnic i cech wspólnych wytwarza takie pojęcie ogólne, które się zgadza z rzeczywistością. W razie powierzchownego tworzenia pojęć elementarnych, skutkiem niedokładnéj obserwacyi, porównania muszą być również powierzchowne, wadliwe lub zgoła fałszywe, co znowuż do błędnych zniewala uogólnień, jak to się zdarza często u zwierząt, dzieci, ludzi dzikich i niewykształconych. W pierwszym tedy wypadku najszersza idea, z licznych złożona abstrakcyi, lubo nie jest wyrazem rzeczywistości, może w pewnym stopniu jéj odpowiadać. Jeżeli składające ją pojęcia ogólne z poznanych faktów powstały, to i sama idea może być prawdziwą i w praktyce zastosowalną.

Ze wspólnego więc źródła, bo z wrażeń zmysłowych rozwijają się wszystkie idee. Świat duchowy, jako najwyższy objaw przystosowania organizacyi czucia do otoczenia, odtwarza w ideowych formach stosunek organizmu do świata zewnętrznego. Najwyższe wytwory umysłowe, sięgające daleko po za granice codziennych naszych postrzeżeń, nie są wolne od pierwiastku zmysłowego, jakkolwiek pierwotne wyobrażenia, które za podstawę posłużyły idei, podlegały ustawicznym zmianom w indukcyjnym łańcuchu, wznosząc się po szczeblach abstrakcyi od tego, co istnieje, ku temu, co możebne. Ale w logiczném i na realnych podstawach osnutém myśleniu zarówno po-

jedyńcze abstrakcye, stanowiące ogniwa łańcucha indukcyjnego, jak i cała idea podlegają sprawdzaniu i odpowiadają istniejącym faktom. „Abstrakcya nie powinna być wytworzona samowolnie, jeśli się późniéj stosować ją będzie do rzeczywistości: wytworzona być musi ona z konkretów; po zachowaniu zaś tego warunku, ponieważ konkrety zmysłowe, będące jéj pierwiastkami, nie samowolnie zostały wprowadzone, możemy być pewni, iż abstrakcya jest tak prawdziwa w swoim zakresie, jak pierwiastki zmysłowe były w swoim. Stosunek raz abstrahowany od pewnych liczb, jest równie prawdziwy, jak i same te liczby. W ten sposób abstrakcya staje się prawdą przyrody, jakkolwiek od zjawisk przyrodzonych zbacza w tém, że pomija szczegóły [1]). Natomiast idea zbyt pośpiesznie wysnuta, przedstawiająca niekonsekwentny, a ciągle przerywany szereg indukcyi, o przesłankach wątpliwych, lub zgoła nie istniejących, jest poronionym owocem myśli, który, na wysokie zaniesiony szczyty, łudzi tylko naiwnych i do nieziszczalnych zapala rojeń.

Widzieliśmy następnie, że realność czyli pozytywność pojęć (idei) jest względna, tak samo jak ich abstrakcyjność, zależy to bowiem jedynie od stopnia uogólnienia danych wyobrażeń. Dlatego też nauki najbardziéj realne, jak przyrodnicze, posługują się często idealnemi konstrukcyami, wkraczając nie bez korzyści w dziedzinę metafizyki. Z drugiéj zaś strony idee najbardziéj oderwane i pojęcia apryoryczne nie bywają nigdy w takiem znaczeniu i w takim stopniu z góry powzięte, od doświadczenia niezawisłe, jak to utrzymywał Kant i jak myślą jeszcze dzisiaj liczni jego zwolennicy. Z niczego żadna myśl, żadne uczucie nigdy nie powstały. Odziedziczamy wprawdzie niektóre skłonności czuciowe i umysłowe, które znakomicie przyśpieszają rozwój duchowy; posiadamy od urodzenia wiele przystosowań zmysłowych, które nas uwalniają od ponownego wprawiania oka lub ucha do czynności, wyćwiczonych już należycie w poprzednich pokoleniach, możemy też w systemie nerwowym i mózgu posiadać pewne odziedziczone przystosowania (predyspozycye), lecz rozwinąć myśl z niczego, jak się rozwija przed naiwnymi kwiat pod czarodziejską rószczką kuglarza, nie możemy i nigdyśmy nie mogli. Byłoby to zaprzeczeniem zasadniczego prawa wszystkich zjawisk, prawa zachowania energii, na którém cała wiedza spółczesna się wspiéra.

W pewnych warunkach możemy snuć w myśli oddalone od rzeczywistości idee, kréślić plany przyszłości, lecz w takim razie, jak i w każdym innym wypadku myślenia, owoc rozumowań naszych dwo-

[1]) Lewes, tamże, str. 256.

jakiego może być gatunku. Będzie on płodem nieograniczonéj fantazyi, uogólnieniem dowolnych przesłanek, które w ostatecznéj analizie przeczą faktom, albo też może być rozległą abstrakcyą, rozkrzewieniem takich pojęć ogólnych, które się jednak rozłożyć dają na coraz bardziéj realne idee i nakoniec na wrażenia zmysłowe. Tak np. Bellamy budował w powieści swéj „W 2000-ym roku" obraz przyszłego społeczeństwa, nie posługując się bezpośrednio doświadczeniem. Przewidując bardzo dużo i nader wielkich zmian w przyszłém życiu społeczeństw, nie mógł on wiedziéć z pewnością, co może za sto lat nastąpić. Nie znaczy to jednak, aby Bellamy obraz przyszłego ustroju wymyślił. Analizując jego [1]) ideę, przekonywamy się, że jest ona wytworem bardzo złożonego szeregu indukcyi, któréj oddzielne części są mniéj więcéj uzasadnionemi teoryami bądź socyologii, bądź ekonomii politycznéj dzisiejszych czasów, bądź też wyrażają w ogólniejszéj nieco formie przeszłe i teraźniejsze ruchy społeczne narodów ucywilizowanych. Teorye naukowe, prawa i hypotezy, oraz liczne przez autora dostrzeżone prądy dziejowe dają się znowuż sprowadzić do prostszych i bardziéj konkretnych uogólnień, które ostatecznie powstały z obserwacyi i doświadczenia minionych pokoleń, lub współczesnych uczonych, a w danym razie za przesłanki do wysnucia nader zawiłéj posłużyły idei.

Jakkolwiek więc tego rodzaju wytwory umysłowe, t. j. nie wynikające bezpośrednio z postrzeżenia i doświadczenia, zaliczamy zwykle do ideałów, jednak nie należy zapominać, że i one w gruncie rzeczy w poznaniu zmysłowém początek swój biorą. Ten fakt jest tak powszechny, że nawet wywody matematyczne, za czystą uchodzące abstrakcyę, mające wszelkie pozory apryorycznych konstrukcyi, dają się w ostatecznéj analizie sprowadzić do takich pojęć, które powstają tylko przez uzmysłowienie realnych stosunków ilości i wielkości. Co więcéj, okazało się w świetle spółczesnéj psychologii, że pojęcia czasu i przestrzeni, uważane jeszcze przez Kanta za apryoryczne, z doświadczenia pochodzą. Niektóre idee, zwłaszcza w dziedzinie moralnéj, wydają się nam tak od rzeczywistości niezawisłe, do takiego stopnia od realizmu wolne, że bywamy skłonni przypuszczać, jakoby one w nas przebywały jako cząstki przedwiecznéj, a we wszechświecie rozlanéj „prawdy", nie mającéj nic wspólnego z pochodzeniem wszystkich innych wyobrażeń i pojęć. Złudzenie to stąd pochodzi, że zwykle nie znamy, lub nie pamiętamy tych skojarzeń myśli oraz konkretnych

---

[1]) Własnością autora jest właściwie tylko szata powieściowa obrazu, oraz niektóre szczegóły.

wyobrażeń, które za punkt wyjścia idei takiéj służyły [1]). Analiza jednak odsłania jéj rodowód i wykazuje, że w bliższych lub dalszych fazach rozwoju nawet najbardziéj oddalona od rzeczywistości idea na wrażeniach zmysłowych, a więc na faktach realnych się wspiéra.

III.

Zastosowalność idei zależy od jéj budowy.

Przykłady: zasada braterstwa, idea miłości bliźniego. — Przykład idei najbardziéj realnéj.—Wartość idei zależy od stopnia jéj prawdziwości.—Zastosowanie poprzednich wywodów do idei społecznych.

Rozbiór psychologiczny wykazuje, że prawdziwość i zastosowalność idei zależą od jéj rozwojowego procesu, t. j. od drogi, którą myśl przebywa, zacząwszy od wrażeń zmysłowych aż do ostatniego uogólnienia. Drogą tą jest indukcya; zaczyna się ona od błędnego lub prawidłowego poznania szczegółowych faktów, zależnie od tego przechodzi do mniéj lub więcéj zgodnych z prawdą pojęć, wiąże je z dodatkiem znowuż wadliwych lub starannie utworzonych poglądów w szereg przesłanek, a te bez żadnego sprawdzania lub po ścisłém skontrolowaniu służą do rozwinięcia ostatecznéj myśli ogólnéj. Wynik tych działań psychicznych zależy więc naprzód od ich punktu wyjścia, t. j. od poznania rzeczywistych szczegółów, które za wątek dla myśli służyć mają; następnie zależy od ścisłości powiązania ze sobą wszystkich przesłanek, oraz od tego, aby każda z nich jaknajlepiéj odpowiadała faktom, co za pomocą sprawdzania uskutecznić się daje.....

Wszelka ogólniejsza zasada postępowania staje się niedoścignionym ideałem, skazanym na wieczny w marzeniach spoczynek, jeżeli się nie przedstawia umysłowi w związku genetycznym, jako wiązanka indukcyjnie spojonych pojęć. Te zaś, jeżeli są metafizycznego pocho-

---

[1]) „Skojarzenia wyobrażeń mogą być tak stałe i silne w zespoleniu częśc i że zapomina się z jakich powstały pierwiastków. Takie trwałe i głęboko zakorzenione w umyśle skojarzenia, o których powstaniu i historyi zapomnieliśmy, są powodem owéj tajemniczości, jaka osłania niektóre strony naszéj duszy. Teorya trwałych skojarzeń jest najważniejszym argumentem, za pomocą którego nowsza szkoła angielska walczy z poglądem, uznającym apryoryczne, pierwotne formy świadomości oraz idee. Teorya ta wychodzi słusznie z założenia, że zjawisko, które przedstawia się jako całość, nie dające się rozłożyć na składniki, może mimo to powstać wskutek zespolenia rozmaitych pierwiastków. Domaga się też ona analizy psychologicznéj, głębszéj i daléj idącéj, niż ta, na któréj wnioski swe opiéra psychologia dogmatyczna.“ Höffding. „Psychologia“, II, str. 84.

dzenia, to idea do utopii się sprowadza; jeżeli zaś odpowiadają rzeczywistym zjawiskom przyrody i życia, to wówczas jedynie zrozumiałemi są przesłankami uogólnienia. Jakąkolwiek rozpatrywać będziemy ideę, zawsze przyjdziemy do wniosku, że każda z nich powstaje w umyśle albo jako uogólnienie z nielicznych i niedbale postrzeganych faktów wysnute, albo jako uogólnienie długiego szeregu pomniejszych uogólnień, ściśle wyprowadzonych z mnóstwa drobnych szczegółów. Ponieważ główna różnica między obiema drogami rozwoju myśli polega, jakeśmy wyżéj zaznaczyli, na większéj lub mniejszéj dokładności, oraz jednolitości indukcyi, którą się posługujemy, to oczywista, że w przyszłości na utopiach wzniesione bałwany, a dziś jeszcze za ideały poczytywane, będą musiały runąć wobec umiejętnie zbudowanych idei. Psychologia myśli stanowczym jest tego dowodem.....

Rozpatrzmy jeszcze jeden warunek ziszczalności idei, zależny od jéj budowy. Do pomysłów najbardziéj zastosowalnych należą projekty z zakresu budownictwa. Idea np. wielkich mostów wiszących byłaby w starożytności zaliczona do mrzonek. Dlaczegóż dziś tak zawiły i bądź co bądź na wielu matematycznych i fizycznych abstrakcyach osnuty projekt zastosowanie znajduje? Tylko dlatego, że cały systemat pomysłów, składający się na utworzenie planu mostu wiszącego, jest wynikiem nadzwyczaj szczegółowych i ścisłych indukcyi, w których każda przesłanka również najstaranniéj drogą indukcyi ze sprawdzonych praw i teoryi wysnutą została, te ostatnie zaś oparto na dokładnie zbadanych faktach. Wykonawca takich planów nie posługuje się tu wyłącznie uzmysłowionemi faktami, lecz istotnie wciela ideę, która prócz faktów zawiera mnóstwo uogólnień, teoryi i hypotez. Uczynić zaś to może dzięki temu, że jak się wzniósł stopniowo po szczeblach swéj indukcyi do zawiłego systematu myśli, tak też może w każdéj chwili po tych szczeblach zstępować coraz niżéj, do coraz prostszych przesłanek, oznaczających w technice główne części wiązania mostu, ich części, wreszcie sam materyał, którego własności mają być takie a takie podług teoryi na postrzeżeniu osnutéj. Ponieważ więc jego idea, choćby nawet po raz pierwszy stosowana, ściśle choć pośrednio z rzeczywistością jest zespolona, to wykonanie planu może się zacząć od wcielenia pierwszych przesłanek i tak systematycznie postępować aż do końca. Jedyną tu przeszkodą byłaby luka w indukcyi inżyniera, ale żaden biegły fachowiec nie przystąpi do urzeczywistnienia projektu, zanim go przedtém z całą ścisłością nie przeprowadzi teoretycznie, zanim się nie przekona, że wszystkie jego wywody, uogólnienia, oraz ich zastosowania z największą konsekwencyą jedne z drugich wynikają.

Jest to przykład idei najbardziéj realnéj, gdyż się na ścisłych opiéra naukach, i dlatego jéj przeprowadzenie w drobnych zaledwie szczegółach — nie przewidzianych w teoryi — z prawdą się rozmija. Napróżnobyśmy się wysilali osiągnąć obecnie taką prawdziwość indukcyjną w ideach bardziéj złożonych, jakiemi są biologiczne, socyologiczne i historyczne. To samo powiedziéć należy o ideach etycznych, ponieważ one z poprzednich wynikają. Zjawiska życia, a nadewszystko życia zbiorowego tak są zawiłe, że nawet nauka zaopatrzona w udoskonalone metody, z wielkim mozołem do prawdziwych dochodzi uogólnień. Idee zaś w téj dziedzinie, usiłujące ogarnąć przeszłość i teraźniejszość, aby z nich dla przyszłości stawiać horoskopy, muszą z konieczności posługiwać się też licznemi domysłami, często o bardzo chwiejnych podstawach. Jakkolwiek wszakże ścisłość, systematyczność i realne uzasadnienie tego rodzaju indukcyi są tylko częściowe, jakkolwiek idea w szczegółach swych zawierać może dużo braków i wątpliwości, to okoliczność ta jeszcze nie daje powodu, aby się jéj wyrzekać. Nie uznawać jakiéjkolwiek idei dlatego jedynie, że jéj prawdziwość nie jest jeszcze dowiedziona, znaczyłoby to samo, co wyrzec się niepewnéj działalności, niepewnych ruchów, z których się całe życie nasze składa, a bez których ani jednego nie zrobilibyśmy kroku, bo przecie nigdy nie mamy pewności, że stawiając nogę nie złamiemy jéj, że idąc ulicą nie padniemy pod koła powozu, że jadąc gdzieś nie zginiemy pod mostem, w falach morskich lub w strzaskanym pociągu. Pomijamy już to, że „obawiać się wilka znaczy nie chodzić do lasu”, ale rzeczywiście i literalnie każda chwila życia od urodzenia aż do śmierci wystawiona jest na liczne niepewności, niepowodzenia i niebezpieczeństwa; do nich się tylko przywykło i nie bierze zwykle w rachubę bezustannego ryzyka, lecz działanie niepewne, problematyczne jest również naturalném i koniecznem, jak samo życie. Nie łudźmy się więc tém, jakoby niepewność idei pozbawiała ją znaczenia, lub była synonimem nieziszczalności. W konstrukcyach abstrakcyjnych, tak samo jak i we wszelkiéj działalności, idzie o to, ażeby oczekiwany rezultat możebnie był najpewniejszy, możebnie najlepiéj warunkom rzeczywistym odpowiadał. Wartość zatém idei zależy od stopnia jéj prawdziwości i ziszczalności; bezwzględna zaś prawdziwość i zupełna zastowalność — to życzenie, które może się błąkać jedynie w sferze rojeń.

Im mniéj posługujemy się w wytworach umysłowych wiedzą ścisłą, im nasze indukcye częściéj są przerywane, a przesłanki źle sprawdzane, tém naturalnie mniéj ziszczalną staje się idea. Zasada wszakże jéj zastosowalności pozostaje ta sama. W zastosowaniu więc

powyższych wywodów do projektów o charakterze moralnym i społecznym wynika, że jeśli odnośna idea zakreśla przyszłe formy życia, choćby najdaléj od dzisiejszych odbiegające, to formy te stanowić powinny wyższy stopień rozwojowego procesu, którego początek aż do odległéj sięga przeszłości, a środek spółczesne obejmuje fazy. Innemi słowy, idea społeczna tém jest żywotniejsza i tém łatwiéj daje się zastosować, im lepiéj odzwierciedla w przesłankach swych ewolucyę przyszłości, z syntezy dziejów minionych wysnutą. Ziszczalność jéj zależy od ustopniowania w umyśle szeregu procesów rozwojowych w ten sposób, aby przyszłe, domniemane fazy konsekwentnie z poprzednich wynikały i tak samo z teraźniejszością pasmem przyczyn związane były, jak doba dzisiejsza wiąże się z przeszłością. W takim razie idea w pierwszéj swéj części odtworzy przeszłość, a w drugiéj dalszy jéj ciąg; uogólnienia pierwszéj części będą więcéj realne, drugiéj zaś—bardziéj idealne, lecz osnute na faktach, które do pierwszych służyły wywodów.

Idea taka nie może, naturalnie, posiadać tak doskonałéj i trwałéj budowy, jak idea mostów wiszących, lecz przy wyżéj wskazanéj konstrukcyi pozwala stosować ją w praktyce już od pierwszych indukcyjnych szczebli począwszy. To znaczy, że już pierwsze przesłanki, wybiegające po za teraźniejszość, mogą być wprowadzone w życie, jako przypuszczalny ciąg dalszy dziejowego procesu.....

IV.

Stosunek uczucia do idei.

Czy rozwój myśli osłabia uczucia? — Kiedy myślenie wpływa na uczucie dodatnio, a kiedy ujemnie. — Poznanie rzeczywistości jest koniecznym warunkiem zarówno dla tworzenia ideałów, jak i dla rozwoju uczuć.

Ale cóż to wszystko znaczy? — zawołają ci, co w marzeniach zwykli niepochwytne ścigać ideały. Czyż idea, która w nadziemskich wznosi się sferach, by nas od poziomych odrywać pragnień, ma się tak samo, jak zwykła myśl rozwijać i posługiwać się zimną i bezwzględną metodą badania? Może ta wielka gwiazda, wszedłszy na drogę rozumowań, rozświetli myślicielom widoki, lecz dla większości czy nie zgaśnie nie zawsze? Czy umiejętne myślenie, do idei moralnych i społecznych stosowane, nie rozwieje czarującego ich powabu, co się w tajemniczości ukrywa? Czy nie wystudzi uczuć, bez których ideał byłby tylko rozumiany, nie zaś pożądany?

Wątpliwości te, mogące nie jednemu się nasunąć, rozstrzyga psychologia, wykazując z jednéj strony jaka jest zależność uczuć od myśli, z drugiéj zaś odsłaniając genezę zawiłych idei, które się rozwijają tą samą drogą i na zasadzie tych samych praw postrzegania, kojarzenia i wnioskowania, co wszelka myśl wogóle. O powstawaniu i rozwoju idei jużeśmy mówili i przyszli do wniosku, że jéj prawdziwość i zastosowalność zależy przedewszystkiém od prawidłowéj syntezy. Co zaś do zależności uczuć od myśli, to ponieważ kwestya ta obszernie i dość wyczerpująco traktowaną jest w dziełach psychologicznych, nie mamy potrzeby obecnie nad nią się zatrzymywać, zwłaszcza że to znacznie przekroczyłoby zadanie niniejszego szkicu. Pomijając jednak szczegółowe dowodzenia psychologiczne o wpływie myśli na uczucie, nie możemy powstrzymać się tu od kilku uwag ogólnych w tym przedmiocie.

Wśród wielu poważnych pisarzy, a jeszcze bardziéj wśród ogółu inteligencyi rozpowszechniane jest zdanie, że rozwój umysłowy działa przygniatająco na sferę uczuciową, że myśl, jak to mówią, wyziębia serce. Dla poparcia tego mniemania przytacza się znane fakty niewzruszonéj obojętności niektórych uczonych na sprawy życia, domagającego się od każdego współczucia i współudziału. Mówi się też o wygaśnięciu uczuć w tych warstwach narodu, które pod względem wykształcenia naukowego wyżéj od innych stoją; albo się przypomina, że dawniejsze a mniéj oświecone pokolenia większą odznaczały się wrażliwością od nowych, stapiających gorące swe porywy w zimnéj rachubie. Jest w tém dużo gorzkiéj prawdy, lecz i wiele dowolnych tłómaczeń. Nie ulega wątpliwości, że wśród dzisiejszych pracowników nauki nie jeden zamyka serce przed napływem wzruszeń otaczających go ludzi, że usiłuje być głuchym na bóle i radości innych. Ale winą tego jest albo jednostronność umysłowego wykształcenia, ciasnota widnokręgu, nie obejmująca ważniejszych dziedzin życia, albo nierównomierność wychowania, polegająca na wyłącznéj uprawie rozumu z pominięciem—uczuć, oraz nawyknień do działania.

Jeżeli karyera myśliciela, lub jakiego fachowca zasłania przed nim wyższe, czy bardziéj naglące zadania, niż wykrycie rodowodu jakiéjś postaci historycznéj, odszukanie źródeł rzeczułki afrykańskiéj, lub ulepszenie pieców, czy wynalezienie sposobu tańszego farbowania perkalików, to w takich razach śmiesznem byłoby winić naukę, że jakiś specyalista historyk, geograf, technolog lub chemik nie podzieła i nie rozumié ogólnoludzkich sympatyi i pragnień. Niemniéj téż lekkomyślném będzie rozszerzanie takich, niestety, licznych wypadków aż do powszechnéj zasady, są bowiem zarówno specyaliści uczeni, jak i pra-

ktycy biegli w jednéj gałęzi wiedzy, dla których wszechludzkie uczucia i dążności wcale nie są obce i którzy, myśląc i pracując w obranym zawodzie, umieją téż myśléć i działać na szerszém polu. W tym względzie żadna specyalność—o ile nie zamienia człowieka w automatyczne kółko machiny wytwórczéj — nie przeszkadza pracownikowi sięgać myślą po za drobny swój warsztat, a uczuciem po za pracownię. Nie przeszkadza dlatego, że praca umysłowa, choćby w szczupłym zakresie, może się wiązać logicznie z produkcyą duchową społeczeństwa i ze skromnego stanowiska swego dążyć do urzeczywistnienia najbliższego celu nauki, t. j. spotęgowania i rozszerzenia świadomości ogółu. Po drugie, każdy fachowiec—o ile, powtarzamy, choć trochę swym czasem rozporządza —jest wieloma sprawami z bliższym i dalszym ogółem związany, który to związek zawsze dojrzéć może, a zatém i sposobność znaléść do współczucia i współdziałania z tym ogółem.

Co do pobudliwości uczuciowéj, która w oświeceńszych warstwach narodu ma być słabsza, niż w ciemniejszych, lub dawniéj miała być większą, niż dzisiaj, to pojęcie takie wynikło z pogmatwania różnych czynników. Najprzód do tych oświeceńszych zaliczano ludzi wadliwie, bo jednostronnie wychowanych, mówiliśmy o nich przed chwilą; powtóre, nie uwzględniono głębokich, na szeroką skalę rozwiniętych a niezmiernie subtelnych uczuć, które jedynie przy wyższéj umysłowości wyłaniać się mogą; po trzecie, zapomniano o tém, że łatwe wybuchy uczucia u ludzi ciemnych nie dowodzą ich wyższości, są bowiem tylko gwałtowniejsze, a zawsze grubsze, elementarnym potrzebom odpowiadające, nie rozczłonkowane, nie wyspecyalizowane, nie tak głęboko i nie tak długo przyjmujące ducha.

Profesor Lange w rozprawie swéj „O wzruszeniach umysłu" (tłóm. w Warsz. 1888) powiada, że „jednostki i narody tém łatwiéj podlegają afektom, im niższym jest stopień ich rozwoju umysłowego. Tak zwane ludy dzikie przedstawiają też większą gwałtowność zarówno w radości, jak w smutku, aniżeli ludy ucywilizowane. Taż sama różnica przebija się pomiędzy różnemi pokoleniami jednego plemienia; my jesteśmy łagodni i spokojni w porównaniu z naszymi barbarzyńskimi przodkami." Że wzruszenia dzikiego, lub nierozwiniętego człowieka z większą wybuchają gwałtownością, to nie ulega najmniejszéj wątpliwości; wiadomém jest również, jak łatwo budzą się w nim uczucia strachu, gniewu, smutku, radości pod wpływem takich pobudek, które na nas wcale nie działają. Buszman przeraża się na widok swego portretu i nie posiada się z radości, gdy mu ofiarują najlichszy wyrób galanteryjny Europy. Tatar kaukaski w błahéj kłótni gotów jest zasztyletować przeciwnika. Lecz żaden dziki, lub barbarzyńca, nawet żaden

prostak oświeconéj Europy nie zna i nie podziela tysiącznéj części wzruszeń, które kotłują w duszy wszechstronnie rozwiniętego człowieka. Nie co innego, jeno wiedza, roztaczając przed nami rozległe widnokręgi życia, pozwalając myśli zapuszczać się w przeszłość, ogarniać duchowym wzrokiem usiłowania i prace milionów, dostarcza nieprzejrzanego mnóstwa pobudek do odczuwania tego, co się z przeszłości w literaturze i sztuce odbiło, co dzisiaj życiem tętni oraz w przyszłości umysłami wstrząsać będzie. „Łagodni i spokojni jesteśmy w porównaniu z naszymi barbarzyńskimi przodkami” w tém jedynie znaczeniu, że słabną w nas zwierzęce instynkty, a namiętności nie objawiają się w tak ostréj, żywiołowéj formie. Wzruszenia nasze znacznie są jednak liczniejsze i wywołują się tak subtelnemi wskazaniami świadomości, o jakiéj przodkowie nasi najmniejszego nie mieli wyobrażenia. Względna to więc łagodność i względny spokój, które nam przypisuje Lange. Przecie setki czynów, tolerowanych obojętnie w czasach dawniejszych, uchodzą obecnie za zbrodnie i chociaż często nie sprowadzają gwałtownych objawów protestu, jednak o tyle zakłócają spokój, że się poszukuje środków zaradczych, nie bacząc nawet na poważne przeszkody i przykrości.

Niemożebna więc zgodzić się na wniosek autora (str. 48), że „zmniejszenie sfery uczuciowéj pod wpływem wzrastającego wykształcenia osobników i generacyi nie tylko idzie ręka w rękę ze wzrastającym rozwojem sfery rozumowéj, lecz jest po większéj części wynikiem owego rozwoju.” Jeżeli wychowanie osłabia lub nawet unicestwia niektóre wzruszenia, lecz jednocześnie rozszerza, pogłębia i budzi nowe uczucia w daleko większéj ilości, to trudno mówić o „zmniejszeniu sfery uczuciowéj pod wpływem wzrastającego wykształcenia.” Osłabienie uczuć może niekiedy iść w parze z rozwojem rozumu, jak o tém fakty świadczą, ale te fakty dowodzą również skoślawienia natury skutkiem tego, że jednostronna działalność umysłowa zbyt silnie wybujała kosztem innych czynności psychicznych. Taka zaś przewaga rozumu, która hamuje rozwój uczucia, uważana jest w medycynie, psychologii oraz wychowaniu za objaw chorobliwy, nie jest przeto bezpośrednim wynikiem kultury umysłowéj, lecz owocem niedojrzałéj, a właściwie zgniłéj cywilizacyi. Wié o tém dobrze niekonsekwentny profesor, gdy na str. 2 mówi: „Jeśli jest prawdą, iż musimy pozostawić na uboczu swe namiętności, ilekroć chodzi o spokojny pogląd, jasne poznanie lub bezstronny sąd, nie mniéj jest niewątpliwém, iż nie możemy uważać tego człowieka jako zdrowego i zupełnego, który umié jedynie myśléć, poznawać i sądzić, lecz nie umié cierpiéć, lękać się lub pociągać

ku sobie, nawet gdyby to niekiedy miało miejsce ze szkodą dla jego władzy poznawania i sądzenia."

W człowieku normalnie wykształconym, t. j. z uwzględnieniem równomiernego rozwoju wszystkich czynności duchowych, władze umysłowe znakomicie rozszérzają i potęgują działalność uczuć. Rozszérzają tém, że zakres poznania zwiększa pole pobudek i celów uczucia; potęgują zaś dlatego, że im bardziéj świadomość jest rozwinięta, tém ściśléj są połączone pobudki uczuć ze sobą, tém częstszém echem odbija się w duszy każde wzruszenie. Im bardziéj system uczuć jest jednolity i harmonijny, co w wysokim stopniu od jednolitości umysłu, od przewodnictwa górującéj idei zależy, tém więcéj spójni i współzależności widzimy w uczuciach. Zespolenie ich bywa tak ściśle, że wystarcza wpomnienie, krótka o czémś wzmianka, jakiś drobny wniosek logiczny, aby wywołać uczucia, nie gwałtowne co prawda, lecz tak trafne i odpowiadające nastrojowi ducha, że cały ustrój nerwowy jakby w nieskończonych akordach pierwszy swój motyw powtarza. Na tém właśnie polega intensywność wysoko rozwiniętych uczuć, że mogą one choć łagodnie, ale głęboko, wszechstronnie i na długo opanować ducha, budząc liczne skojarzone z niemi uczucia i poruszając odpowiednie myśli.

Świadomość, przyćmiona niewiedzą i tajemniczością, pozwala zapewne kiełkować podnioślejszym uczuciom, jeżeli one już się przebijają w atmosferze wieku, lecz nie pozwala rozwinąć się im w całéj pełni i nie otwiera drogi do czynu. Wobec mglistych ideałów nie rozwija się nigdy gorące żądanie, któreby ku ich osiągnięciu wiodło; wynurzają się zaledwie życzenia nieokreślone, więc i bezsilne do urzeczywistnienia marzeń. Wśród tych można się miotać, rwać się do jakiéjś lepszéj sfery, można nawet znienawidziéć swe otoczenie i przekląć teraźniejszość, lecz taki stan ducha na żadną drogę czynu nie wiedzie, przeciwnie, zniechęca i mnoży szeregi pesymistów bez wyjścia. Natomiast silne i trwałe uczucia rozkwitają w niezłomną potęgę przy jasném świetle idei. Dzieje się to za sprawą poznania, które, wychodząc z danéj rzeczywistości, wznosi się po szczeblach syntezy do pojęć najogólniejszych, w dziedzinę idealną. Żeby zaś ostateczny wniosek indukcyi zrozumiałym był i pożądanym, trzeba znać naprzód punkt wyjścia idei, t. j. rzeczywistość. Poznać to, co możebnie najlepsze, jedynie wtedy zdołamy, kiedy istniejące poznaném zostanie. Dla pożądania zaś tego, co możebne nieodzowném jest, jasne wyobrażenie zarówno realnéj rzeczywistości, jak idealnéj możliwości. I dlatego profesor Struve powiada [1]), że „zadowolenie, które sprawia

---

[1]) „Wstęp do filozofii", Warsz. 1890 (ros.) str. 153.

ideał, polega bezpośrednio na spodziewanéj realności jego. Bez tego pierwiastku realnego ideał staje się utopią, t. j. zjawiskiem dowolnéj fantazyi, pozbawionym wszelkiego znaczenia dla poważnego umysłu." Traci on również znaczenie dla uczucia, które, nie mając ani jasno określonego celu przed sobą, ani pobudek do jego ścigania, pozostaje jałowém, nie przechodzi w działanie, gdyż wola, jak to już zauważył Herbart, jest dążnością, połączoną z wyobrażeniem osiągnięcia tego, do czego dążymy.

V.

Wnioski pedagogiczne.

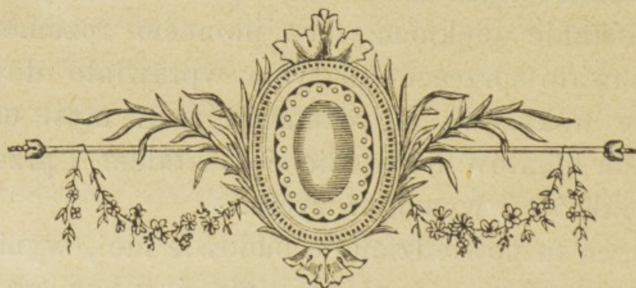
Główném zadaniem wykształcenia umysłowego i ostatecznym jego celem, w części zaś i zadaniem wychowania moralnego jest rozwijanie w młodych umysłach idei ogólnych, któreby ogarniały cały zasób szczegółów wiedzy, poglądów na życie, wierzeń, pragnień, nadziei; któreby jednoczyły wszystkie rozstrzelone uczucia w jedném ognisku najlepszych i najwznioślejszych dążeń — w oświetleniu jednéj wielkiéj myśli przewodniéj. Zadanie to tak doniosłe, że z jego pominięciem wychowanie staje się tresurą zdolności ludzkich poto jedynie, aby grać na świecie rolę maryonetki. Każdy przeto wychowawca, zawodu swego świadomy i umiejący ocenić opłakane skutki bezideowości, będzie się starał poznać ogólniejsze przyczyny, hamujące rozwój przewodnich myśli, zbadać ważniejsze szkopuły, o które idea, stając się czynną, w nicość się rozbija. W szkicu niniejszym rozważyliśmy tylko te warunki rozwoju i zaszczalności idei, które od jéj budowy zależą. Po za tém istnieją liczne przyczyny szkodzące, lub sprzyjające tworzeniu się i rozpowszechnianiu wielkich uogólnień. O czynnikach tych wspomnieliśmy na początku; obecnie dodamy, że ich uwzględnienie tak jest ważném w wychowaniu innych lub samego siebie, że najracyonalniéj rozwijana idea pozostanie piękném, lecz płonném rozumowaniem, jeżeli się nie będzie usuwało sprzeczności życia, wprawiało do ciągłego działania zgodnie ze wskazówkami rozumu, i jeżeli myśl od prostych pojęć aż do wielkich ideałów nie będzie się kształcić i przerabiać równolegle ze zmianą faktów i wymagań życia.

Już z tego, co tu powiedziano o budowie idei, wynika, że nie jest i nie może być ona stałą i niezmienną, nie jest bowiem nigdy wykończoną, gdyż do prawdy zmierza i ogólnie, nie zaś w szczegółach ją wyraża. Możemy być najpewniejsi, że o ile zdolności poznawcze nie wyczerpią się w ludzkości, — a nie mamy powodu do odwrotnych przypuszczeń—zmienność i doskonalenie się idei nigdy nie ustanie, gdzie

tylko postęp społeczny trwać będzie. W kształceniu więc myśli swojéj, lub wychowańców naszych nie powinniśmy nigdy zapominać, iż jéj wywody nie poto na idealne wprowadzamy wyżyny, aby tam dla nas w kamienne zakrzepły bożyszcza, gotowe rozsypać się w gruzy, gdyby na wiecznych nie spoczęły podstawach. Idea, szczegółowym planem życia być nie może i do ślepego stosowania się nie obowiązuje, kreśli bowiem wytyczne ogólnych dążności, wskazuje główny kierunek i główne drogi działania. Szczegóły zaś sami powinniśmy śledzić, w praktyce życia oceniać wartość przesłanek, a jeśli która z nich okaże się błędną, nie zrażajmy się tém, lecz szukajmy natomiast albo nowéj dla idei podstawy, albo zmieńmy ją odpowiednio do zmiany warunków.

Jeżeli w rozwijaniu idei zastosujemy psychologiczne prawa budowy myśli, t. j. udzielimy wychowańcom przedewszystkiém wiadomości realnych, o tém, co jest, a następnie dopomożemy im z wiadomości tych wyprowadzać wnioski, to dalsze, osnute na nich uogólnienia stanowić będą szereg idei, z których każda indukcyjnie z poznanych faktów się wyłoni. Otóż przy takiéj metodzie nauczania — nie zaniedbując rozwoju uczuć i nawyknień do zgodnego z myślą działania — zarówno stosowanie przesłanek idei, jak ich sprawdzanie nie przedstawia żadnych szczególnych trudności. Praktyka życia przy rozumném kierownictwie wychowawcy pokaże, dlaczego dana idea nie dobrze była stosowana, lub która z jéj części składowych rzeczywistości przeczy i dlaczego. Naprawiając takie błędy, dziecko lub młodzieniec wcześnie się przyzwyczai do pozbywania się beztreściwych poglądów i nieziszczalnych idei, podąży natomiast myślą i uczuciem do wszystkiego, co jest najprawdziwsze, najmożebniejsze i najbardziéj zastosowalne.

S. Karpowicz.



WYSTAWA HYGIENICZNA.

Rezultat bezpośredni zwierzęcego instynktu samozachowania — ochrona zdrowia, starym jak ludzkość sama, odwiecznym jest jéj kłopotem. Pewne ślady ochrony przeciwko stanom chorobnym, którym podpaść może organizm żyjący, już u zwierząt nawet spotykamy. Człowiek od najpierwszych chwil swego pojawienia miał zdaje się dwa cele na widoku: żyć jaknajdłużéj, użyć jaknajwięcéj. Pierwsze starano się podtrzymywać przeróżnemi środkami, magicznemi wpływami nawet, czego wyrazem jest teurgiczny początek medycyny, a późniéj słynne poszukiwanie eliksiru wiecznego życia.

Powoli jednak w miarę postępu nauki, gdy z jednéj strony oprzéć się było można na dowodnym materyale długiego praktycznego doświadczenia, z drugiéj strony na teoretycznych wiadomościach o normalnych i patologicznych funkcyach organizmu,—nauka jeden najważniejszy, ale zarazem najtrudniejszy do wykonania z poszukiwań swoich wyciągnęła wniosek: jednym z najważniejszych zadań medycyny powinno być nie leczyć ale przewidywać chorobę i odwracać ją przed zawładnięciem przez nią organizmu. Jedném słowem, medycyna przyszłości musi być przedewszystkiém medycyną prewencyjną, następnie zaś dopiéro sztuką łatania nadwyrężeń. Wyrazem najlepszym tego kierunku w nauce lekarskiéj są wszystkie terapeutyczne metody zapobiegawcze, zacząwszy od szczepienia ospy, skończywszy na dzisiejszéj serumterapii, szczepiącéj błonicę, wściekliznę i t. d.

Z drugiéj jednak strony do najważniejszych środków prewencyjnych należy taki tryb życia, takie utrzymanie ciała, aby możliwość owładnięcia przez wpływy chorobne dało się zredukować do najmniejszych granic, uodparniając organizm przez odpowiednio ułożone i usystematyzowane warunki życia. Ułożeniem zaś tych właśnie t. zw. sanitarnych warunków życia, nakreśleniem programu zajęć, czynności odpowiednio dostosowanych do siły organizmu, normy pożywienia, sposobu ubrania i t. d., zajmuje się właśnie hygiena. Z uwagi na samo określenie hygieny, jako metody zapobiegania procesom chorobnym przez ułożenie programu życia organizmu, tak skombinowanego, aby jaknajsilniéj mógł się uodpornić przeciw wpływom chorobnym, — z uwagi na tak szeroki zakres określenia hygieny, jako środki pomocnicze, jako przedmioty wchodzące w zakres jéj kompetencyi, a raczéj pod kontrolę praw jéj podpadające — wchodzą wszystkie przedmioty, wszystkie urządzenia, jakiemi człowiek rozporządza, z jakich użytkuje od najpierwszych godzin niemowlęctwa do ostatnich dni życia.

Peryodyczne urządzanie wystaw, coby mogły poglądowo okazać i systematycznie ugrupować wyniki ostatnich udoskonaleń technicznych w zastosowaniach teoryi hygienicznych, — możność zapoznania szerokiéj publiczności z urządzeniami, co skutecznie z chorobnemi przypadłościami walczyć mogą, ma znaczenie pierwszorzędne w życiu społeczném narodów, dając możność popularyzowania i szerokiego rozpowszechniania jednego z najważniejszych postulatów prawidłowego i pomyślnego rozwoju społecznego—zdrowia i jego ochrony.

Druga wystawa hygieniczna, urządzona za inicyatywą redakcyi „Zdrowia", daje więc nam możność skontrolowania postępów naszych urządzeń hygienicznych w ciągu lat dziesięciu, t. j. od daty ostatniéj podobnéj wystawy.

Pod względem urządzenia wystawa obecna spotykała się z nader wieloma zarzutami: na wszystkie atoli zdania malkontentów jedną dać można odpowiedź: trudno było dać więcéj przy tak szczupłych środkach pieniężnych, z jakiemi komitet i zarząd przystąpił do pracy. Zapewne, obecna wystawa nie może równać się do tych wszechświatowych jarmarków, na jakie się zdobywają kraje zachodu; nie jest to jednak jéj zadaniem owe koniecznie przez ogół wymagane rozciągnięcie na całe kilometry przestrzeni, urozmaicanie przez najprzeróżniejsze atrakcye humbugowe.

Wystawa obecna jest przedewszystkiém naukową, taką chce i musi pozostać. Smutnym zaś bardzo objawem, raczéj publiczności aniżeli wystawie ubliżającym, będzie deficyt w kasach, spowodowany zbyt małą liczbą tanich wabików reklamowych, ściągających tłumy, które przy-

chodzą na przedstawienia cyrkowe, ale które obojętnie się zachowują wobec zgromadzonych latami pracy usiłowań polepszenia warunków życia.

Z pomiędzy najdonioślejszych rezultatów i zabiegów, dobrym skutkiem uwieńczonych, a których wystawa jest niejako przyczyną, przedewszystkiém zaznaczyć wypada: pogotowie ratunkowe, kąpiele ludowe i stacyę meteorologiczną. Niesienie pomocy w nagłych wypadkach, ratowanie w pierwszéj chwili, uorganizowane szybko i dokładnie z zastosowaniem wszelkich najnowszych wymagań nauki, — oto jedna z palących niemal kwestyi dla każdego większego miasta, gdzie ruch uliczny i przemysłowy staje się mimowoli najpodatniejszym gruntem dla wszelkich pojedyńczych i zbiorowych nieszczęść.

W każdém téż większém mieście zagraniczném istnieją t. zw. stacye ratunkowe, opatrzone w dostateczną ilość noszy, powozów ambulansowych, strzeżone przez odpowiednio wyćwiczony personel lekarski i służbowy, szybko i dokładnie niosący pomoc w razie nieszczęścia.

Stacya, którą widzimy na obecnéj wystawie hygienicznéj, powstała dzięki ofiarności hr. Przezdzieckiego, który całe umontowanie oraz powozy i nosze sprowadził z Wiednia, na wzór któréj to wiedeńskiéj stacyi ratunkowéj, dyrektor jéj, dr. Vragassy, urządził obecną stacyę oraz zapoznał lekarzy naszych z metodą postępowania. Sama stacya przedstawia się nader okazale w zbytkownych przyrządach, urządzonych tak, że naprzód nadają się wszystkie do szybkiego spakowania i przewozu, powtóre, że są zgrupowane w sposób dający możność oryentowania się odrazu, jakie przyrządy są konieczne w danym wypadku zasygnalizowanym. Mamy więc tu skrzynie pełne wszelkich możliwych aparatów do dużych opatrunków w groźniejszych wypadkach, daléj — mniejsze pudła do mniejszych opatrunków, płótna do rozciągnięcia w razie pożaru i t. d. Wogóle system, przyjęty w stacyi, polega na takim rozdziale materyału, że lekarz i pomocnicy w razie wypadku odrazu wiedzą, za co chwytać; nawet w saméj stacyi, gdzie urządzoną jest salka do pierwszéj pomocy ze stołami operacyjnemi i opatrunkowemi, są dwa stoły, z których jeden ma wszystko, co jest potrzebne w razie drobniejszych obrażeń na drugim zaś, większym, znajdują się wszystkie potrzebne do ważniejszych uszkodzeń opatrunki.

Powozy, używane do przewożenia chorych, odznaczają się wprost wykwintném i świetnie obmyśloném urządzeniem, zarówno jak nosze, łatwo składające się, nader lekkie i praktyczne. Jeden zarzut zrobiłbym całéj stacyi. Zbytni komfort, a nie dość wielką dbałość o aseptykę. Nadto, po co było to wszystko sprowadzać z zagranicy, kiedy na

model tych samych przyrządów nasze firmy tutejsze nie gorzéjby te aparaty wykonały, o czém dowodnie przekonać się można, porównawszy stacyę ratunkową z eksponatami sekcyi szpitalnéj, zapełnionéj jedynie wyrobami krajowemi. W każdym razie pogotowie ratunkowe jest instytucyą wagi pierwszorzędnéj, konieczną w całém tego słowa znaczeniu; miejmy nadzieję, że Towarzystwo niesienia pierwszéj pomocy prędko wejdzie w życie, wraz z nową urządzoną stacyą.

Drugą instytucyą niemniejszéj wagi, to kąpiele natryskowe (urządzone na wzór przez firmę Wetler i Nasiuss staraniem zarządu). Niezmiernie ważne, ze względu na zdrowotność ludu, kąpiele te dzięki zawiązującemu się odpowiedniemu towarzystwu są również w przededniu urzeczywistnienia. O ile jednak doskonałym dla mężczyzn jest system natryskowy (z możnością otrzymania wody gorącéj, mieszanéj lub zimnéj), o tyle mniéj praktyczném zdaje się to urządzenie dla kobiét. Natrysk, zmoczywszy przedewszystkiém silnie głowę, u kobiét z długiemi włosami spowodować może łatwo przeziębienie przez trudność wysychania włosów. Z drugiéj strony nietylko hydroterapeutyczna wartość natrysków powinna być brana w rachubę,—należy wziąć pod uwagę i możność dokładnego umycia się, do czego odpowiedniejszemi zdają się być wanny, dogodniejsze zresztą dla kobiét. Przyszłe więc kąpiele powinny być zarówno natryskowe, jak i wannowe, aby odpowiedziéć w zupełności swemu zadaniu.

Równoważną z kąpielami natryskowemi instytucyą jest małomiasteczkowa łaźnia, wystawiona przez d-ra J. Tchórzchnickiego w dziale hygieny ludowéj. Bardzo dobrze obmyślana i urządzona, może być z pożytkiem niezmiernym odtworzona w naszych miastach, w większości których brak zupełnie tak doniosłych dla zdrowia publicznego urządzeń.

Pozostaje ostatnia zdobycz obecnéj wystawy: stacya meteorologiczna miejska.

Nie ma chyba potrzeby przypominać i wyliczać teoretyczne i praktyczne zastosowania i doniosłość każdéj stacyi meteorologicznéj.

Dzięki zasiłkowi ze strony magistratu zebrano kilka wybornych przyrządów koniecznych w stacyi pierwszéj klasy; aparaty te samozapisujące w większéj części, nastawione i puszczone w ruch działają zupełnie zadawalniająco, bądź to w osobnym, na ten cel przeznaczonym pokoju, bądź téż na wieży nad hallą gimnastyczną. Jedna atoli zachodzi okoliczność, zachmurzająca dotychczasowe powodzenie stacyi: oto sprawiwszy instrumenta, magistrat zrobił, zdaje się, wszystko co mógł, a raczéj co chciano od niego.

Jakie zaś będą dalsze losy stacyi, nic nie wiadomo i zachodzi po-

ważna obawa, aby z ukończeniem wystawy kosztowne przyrządy nie poszły do składów na wieczne czasy, bezpożyteczne i zapomniane, w braku niewielkiego fundusiku corocznego na utrzymanie stacyi. Sądzić jednak należy, z pewnym, nieco może zbyt śmiałym optymizmem, że pojętą zostanie ważność i znaczenie miejskiéj stacyi meteorologicznéj i uchwaloném będzie wstawienie do budżetu miasta niewielkiéj sumki na utrzymanie stacyi.

Narzędzia zaś sprowadzone do téj, oby nie prowizorycznéj, stacyi są wzorowe: mamy tu doskonały psychrometr Assmana, drugi zwyczajny Augusta, samozapisujący hygrometr Richard'a, takiż ewaporator Richard'a, samozapisujący pluwiometr, heliograf, barograf, termometry ziemne, maksymalny i minimalny, barometr duży, stacyjny i nakoniec Wildowską chorągiewkę.

Ściany pokoiku, mieszczącego te przyrządy (zawierającego także zawiązek biblioteczki statystyczno-meteorologicznéj i antropologicznéj), zawieszono odpowiedniemi tablicami, z pomiędzy których wspomnimy o tablicach izoter letnich i izoter zimowych prof. W. Wróblewskiego, obliczonych bardzo starannie i umiejętnie przedstawionych; daléj, tablice pp. Ehrenfeuchta i Mereckiego, oraz tablicę p. Ciemniewskiego.

Tablice te, przedstawione przez komitet statystyczno meteorologiczny, stanowią niezmiernie bogaty materyał; starano się bowiem o danie, możliwie wszechstronne, statystyczno-etnograficznego i fizyograficznego stanu naszego kraju. Prócz tablic, z meteorologią mających styczność, w samym dziale statystyczno-antropologicznym widzimy przedewszystkiém nader sumienne prace p. Adama Zakrzewskiego, który w całym szeregu map przedstawił stosunki ludnościowe i rolnicze kraju naszego. Mamy więc przedewszystkiém rozdział ludności Królestwa Polskiego według grup wyznaniowych, daléj przedstawienie niezmiernie pożyteczne pod względem dydaktycznego znaczenia stosunkowéj wielkości miast i miasteczek naszych, wraz z absolutnemi liczbami mieszkańców; podobnież druga wielka mapa odtwarza stosunki liczebne ludności żydowskiéj miast i miasteczek do ogółu ludności, z któréj to mapy dowiadujemy, że największą ilość żydów wykazuje miasteczko Ryki (pow. garwoliński), mające 99.6% téj ludności, najmniéj zaś żydów spotykamy w Orchówku 0.0% (pow. włodawski). Tegoż autora mamy tablice gęstości zaludnienia wiosek, ilość poddanych obcych w kraju i niezmiernie ciekawe tablice, dotyczące rozdziału liczebnego drobnéj szlachty polskiéj, oraz wielkości w morgach (w cyfrach absolutnych), a także stosunkowych do ogólnéj przestrzeni gruntów, gospodarstw drobnoszlacheckich. Najbogatszym pod owym względem okazuje się powiat wysoko-mazowiecki, w ogólności zaś

owe gospodarstwa drobnoszlacheckie grupują się w północno-wschodniéj części kraju, w gub. Łomżyńskiéj i Siedleckiéj. Interesująco też przedstawia się mapa rozdziału gospodarstw dworskich, większéj własności ziemskiéj, których najwięcéj przypada na pow. kutnowski. Tablice wydajności ziemi, a więc dotyczące produkcyi kartofli, pszenicy, żyta, oraz stosunku gruntów obsianych do ogólnéj przestrzeni kraju, dopełniają bogaty dział p. Zakrzewskiego.

Ruch ludności w Królestwie Polskiém pod względem ilości urodzeń, małżeństw, śmierci i przyrostu naturalnego obliczył p. Danielewicz, dla Warszawy zaś przedstawił te stosunki w nader obszernych obrazach graficznych prof. Załęski. Również pracy p. Danielewicza są grafiki śmiertelności z różnych chorób za lat 5 w Warszawie; bardzo pouczające są nakoniec tablice graficzne, wykonane przez p. Ciemniewskiego, przedstawiające ceny głównych artykułów spożywczych, oraz ceny węgli, drzewa, a wreszcie ilości pożarów w Warszawie za za ostatnie dwudziestolecie, z rozdziałem na miesiące oraz na przyczyny pożarów. Do działu statystycznego zaliczyć należy tablicę okręgów szpitalnych d-ra H. Dobrzyckiego, która unaocznia nam graficznie stan bardzo smutny; narzuca się tedy pytanie: dlaczego wbrew odpowiednim przepisom i postanowieniom tak mała jest ilość szpitali u nas. Dotychczas mamy ich 102, projektuje się, buduje lub ma zamiar budować 15, do pełnéj zaś liczby brakuje jeszcze 35.

Wiele tablic statystycznych rozrzucono po różnych odpowiednich działach, jak w sekcyi szpitalnéj, hygieny ludowéj i t. d. W każdym razie obfitość materyału jest niezmierna i mimowoli pobudza do postawienia jednego pytania: czyby nie można było, skoncentrowawszy w odpowiedni sposób obrobiony ten materyał, wydać atlas statystyczno-geograficzny Królestwa Polskiego? Wszak w tych tablicach lata pracy się kryją, pracy, która z trudnością mogłaby znaléść się na półkach księgarskich, ze względu na niemożność wielkiego zbytu, na niechęć wydawców i redakcyi do ogłaszania prac wymagających znaczniejszego nakładu. Atlasu takiego dotychczas nie posiadamy. Po odpowiedniém dopełnieniu i poprawieniu nagromadzonego już na wystawie materyału, mogłoby się utworzyć dzieło pomnikowe, na któr jednak odpowiedniéj trzeba sumy. A może znajdzie się kto z ludzi dobréj woli i zainicyuje w pewnych kółkach towarzyskich poparcie, które może da więcéj zadowolenia od setek rubli, rzuconych w czeluście totalizatora i baka?

Może kto z tych, komu na parustach rubli nie zależy, zajmie się tą sprawą i doprowadzi do skutku dzieło, co i jego imię uwieczni w dziejach naszego piśmiennictwa naukowego.

Łączący się z działem statystycznym dział antropologii, zawiera tablice p. Zakrzewskiego, dotyczące wzrostu poborowców w Królestwie Polskiém, oraz poborowców m. Warszawy, rozróżniające dwie kategorye ludności: żydów i chrześcian.

Z tablic tych wynika ten znany fakt, że najwyżsi przeciętnie żydzi warszawscy są jeszcze niżsi od przeciętnie najniższych chrześcian. Do tegoż działu zaliczyć należy prace d-ra W. Kosmowskiego, oraz oraz d-ra Anny Tomaszewicz-Dobrskiéj nad dziećmi z kolonii letnich. Szczególnie zastanawiają niezmiernie drobiazgowo opracowane tablice p. Tomaszewicz-Dobrskiéj, nieco jednak trudne do oryentacyi. W tymże dziale znajdują się tablice autora niniejszéj notatki, dotyczące wzrostu, wskaźnika piersiowego [1]), koloru oczu i włosów ludności Królestwa Polskiego.

Przechodząc obecnie do sekcyi wychowawczéj, widzimy przedstawioną normalną klasę z ławkami najnowszych typów (wystawione przez p. Leonię Rudzką, przełożoną pensyi żeńskiéj); daléj szereg pomocniczych preparatów wykładowych z dziedziny botaniki, zoologii i anatomii, sprowadzonych niestety z zagranicy; daléj pokój do zabaw dla dzieci prowadzonych pod kierunkiem pp. Szycówny, Nowickiéj i Kellerówien. Pani Łapińska przedstawiła mały gabinet fizyczny, p. Kuczalska typową salę gimnastyki szwedzkiéj. Nie zapomniano o ociemniałych i głuchoniemych, mamy więc prócz odpowiedniéj biblioteki, dotyczącéj téj sprawy, alfabet Braille'a dla ociemniałych. Dział hygieny mowy przedstawił bardzo sumiennie dr. Ołtuszewski; niemowlętom poświęcono cały przedział, gdzie staraniem d-ra Kramstyka urządzono wzorowy pokój dla noworodków. Wszystkie te przedmioty pomieszczono w obszernéj halli, która ma być z czasem przeznaczona na stałą salę ćwiczeń gimnastycznych.

Tamże widzimy długi szereg szematów przeróżnych manifestacyi woli, opracowanych przez d-ra Korniłowicza, nader pouczających przy odpowiedniém, bardzo popularném i wszechstronném objaśnieniu autora, trudnych natomiast niezmiernie do ujęcia przy samoistném studyowaniu. Z zajęć praktycznych w tym dziale spotykamy się naprzód z zabawami dziecięcemi, oraz ćwiczeniami gimnastycznemi na specyalnie urządzoném boisku.

Z pozostałych eksponatów działu pedagogicznego zwrócić muszę uwagę na osadę studzieniecką, prezentującą wyroby swych wychowanek

---

[1]) Patrz. „Przyczynek do badań antropologicznych nad ludnością Królestwa Polskiego", 1896. Warszawa, z jedną tablicą graficzną; skład główny w księgarni E. Wendego.

i wychowańców, oraz robótki dzieci ochron Towarzystwa dobroczynności i gminy ewangelicko-augsburskiéj.

Sekcya szpitalna pod jednym względem na szczególny poklask zasługuje. Pomieszczona w baraku składanym, zarówno jak i pogotowie ratunkowe, przewyższa go tém że całe urządzenie wewnętrzne, a więc sala antyseptyczna, aseptyczna, pokój za sterylizatorami, wózki do przewożenia chorych, łóżka, — wszystko to jest dziełem robotników krajowych.

Tak stoły operacyjne, jak stoły do narzędzi i szafki do instrumentów dokładnością obrobienia i zachowaniem ścisłém przepisanych form, przewyższają nawet obok postawione szafki zagraniczne, niepotrzebnie upiększane i niedość podatne do sterylizacyi. Sekcya szpitalna dowiodła, że można, nie ponosząc kosztów cła i sprowadzenia, z poparciem przemysłu krajowego zaopatrywać szpitale w nieustępujące zagranicznym, a nawet przewyższające je wyroby krajowe; z pomiędzy wystawionych tam przedmiotów zwraca więc przedewszystkiém uwagę doskonały składany, stół operacyjny nadający się do wszystkich pozycyi metalowy lakierowany, doskonały stół opatrunkowy, stół operacyjny szklany, szczyt doskonałości w tym kierunku, z jednéj tafli złożony, z suwaną poduszką obitą blachą o gumowym spodzie, oraz nakoniec świetny i nadzwyczaj lekki wózek do przewożenia chorych na salę operacyjną. Zwracam też uwagę specyalistów na doskonale obmyślane urządzenie rozkładu sali i sterylizatorni, niedopuszczające asystentów ze sterylizatorni do wnętrza sal operacyjnych, a zmuszające ich do podawania intrumentów przez okna, co do *minimum* ogranicza prąd powietrza, idący z innych sal, a ewentualnie zabezpiecza dokładność aseptyki.

Szpitale wystąpiły ze zwykłemi urządzeniami, bądź w okazach, bądź w fotografiach. Szpital dziecinny przedstawił model budynku swego oraz typy łóżek. Zaciekawia niezmiernie dział wyrobów obłąkanych z Tworek, artystycznie ugrupowany. Po co jednak szpital starozakonnych robiąc fotografię swéj sali operacyjnéj nie usunął chociaż na moment fotografowania ciężkiego fotela, skórą krytego, którego celu w sali operacyjnéj nie można się domyśléć. Do działu szpitalnego odnieść trzeba eksponaty mechaniczno-terapeutyczne dr. Skowrońskiego, oraz liczne zbiory okazów kostnych i fotografii dr. Neugebauera, zarówno jak stereoskop z fotografiami chorób skórnych dr. Kozerskiego. Do tego działu zaliczają się eksponaty urządzeń sanitarnych przeróżnych kolei żelaznych, z pomiędzy których najokazaléj wystąpiła kolej nadwiślańska, dając prócz pudeł z przyrządami ratunkowemi, modele wagonów do przewożenia chorych, modele baraków dla cholerycznych, oraz in-

teresujący dział statystyczno-leczniczy ruchu chorób personelu służbowego tejże kolei.

Wogóle dział ten pokazuje nam najwymowniéj ogromne postępy, dokonane w ostatnich czasach w urządzeniach szpitalnych, a dowodzące, że niemogąc dziś jeszcze być zupełnie prewencyjną, medycyna dzisiejsza stara się przynajmniéj jak najdokładniéj zabezpieczyć okresy chorobne, zmniejszając zakaźność, ochraniając chorych pooperacyjnych z całą troskliwością, opierając się na najnowszych wynikach wiedzy. Pokrewna z poprzednią sekcya bakteryologiczna pomieściła się w osobnym budynku, aby módz szerzéj rozłożyć swe eksponaty i laboratorya.

Mamy więc tutaj kompletne urządzenie pracowni bakteryologicznéj ze wszelkiemi typami sterylizatorów, termostatów, z całym arsenałem igieł, łopatek, płytek szklanych, kolb do hodowli i t. d. Obfita kolekcya przeróżnych hodowli dopełnia obrazu. Osobny pokój mieści mikroskopy i mikrotomy. Nakoniec w stajni znajdują pomieszczenie konie, używane do zbierania surowicy przeciwbłoniczéj.

Z hodowli zwraca uwagę hodowla zarazku Loefflera (mysiego tyfusu) oraz cocobaccilusa tak ważne w gospodarstwie rolném, nawiedzoném przez plagę szczurów polnych lub chomików. Bogaty ten dział na długie może zająć godziny, tem więcéj że często udzielane objaśnienia daja ogólny pogląd na istotną wartość poszukiwań bakteryologicznych.

Obszerna sekcya chemiczno-fizyczna, począwszy od analiz głównych artykułów pożywienia lub składu powietrza, dała nam nawet dane dotyczące rozdziału oświetlenia na ulicach Warszawy. Mamy więc tutaj graficznie przedstawione części składowe różnego rodzaju pożywienia przez d-ra Peltyna, skład mléka kobiecego i krowiego, w postaci słupów graficznie uobrazowany przez d-ra Bączkiewicza, obszerny, na długie sprawozdanie specyalne zasługujący dział analiz piwa i mikroorganizmów fermentacyjnych, opracowany wzorowo przez p. Boczkowskiego, analiza powietrza, respiratory zabezpieczające przeciwko pyłom w nim zawartym, przy niektórych fabrykacyach, przedstawione przez p. Boguskiego, analizy i przedstawienie przemysłu mlecznego przez pp. Dłużewskiego i Wernera, analiza mikroskopowa mléka kobiecego d-ra Fruchtmana, rozbiór wody dokonany przez pp. Lepperta, Nenckiego i Neugebauera, tytoń i jego analizy dokonane przez d-ra Kucharzewskiego, zalecającego jako jedyne hygieniczne palenie „narghilé”, rozbiór octu i oleju dokonany przez p. Małyszczyckiego i t. d. Dział ten, jak widzimy nader bogaty, jeśli nie daje nam czegoś zupełnie nowego, czegoś cobyśmy nie znaleźli w podręcznikach chemii fizyologicznéj, niemniéj jednak na rzetelne uznanie zasługuje,

pozwalając szerokiéj publiczności zapoznać się z chemicznym składem i wartością prawdziwą artykułów najpierwszéj potrzeby.

Poważne miejsce w tym dziale zajmuje chemia żywienia, opracowana przez d-rów J. Zawadzkiego i Kuczyńskiego, a pokazująca prócz rysunków makro- i mikroskopijnych organów trawienia, skład chemiczny ciała ludzkiego, stopień strawności różnych pokarmów, nader poglądowo przedstawiony, ilość dobową różnych substancyi pokarmowych i t. d.

Do tegoż działu odnosi się arcyciekawy przyrząd prof. Hołowińskiego do fotografowania dwóch tonów serca, wraz odpowiedniemi fotogramami, oraz tablice oświetlenia ulic m. Warszawy dokonane przez p. Stetkiewicza.

Sekcya farmaceutyczna wystąpiła z licznemi okazami dobrych i zafałszowanych materyi, barwników i produktów przemysłowych, umiejętnie zgrupowanych.

Obszerny dział hygieny ludowéj daje nam prócz łaźni małomiasteczkowéj, o któréj już wspominałem, model przestronnéj chaty wiejskiéj oraz eksponaty przeróżnych ubiorów z wielu okolic kraju naszego. W tymże dziale widzimy nader ciekawe przedmioty do zamawiania chorób, używane przez lud nasz, zebrane przez d-ra Wysokińskiego z Międzyrzeca. Wzorowa rzeźnia dopełnia obrazu tych wymagań jakie nauka stawia życiu wiejskiemu, a które w niedalekiéj przyszłości znajdą może realne urzeczywistnienie.

Dział budowlany reprezentuje dom dla robotników, postawiony przez budowniczego Goldberga, odznaczający się brakiem piwnic i poddaszy; ciekawych umotywowania téj ze stanowiska hygieny ważnéj zmiany odsyłam do artykułu p. Goldberga w ostatnim numerze „Zdrowia" (za maj-lipiec 1896).

Oto w najogólniejszych zarysach szybki, pobieżny przegląd naukowych działów wystawy hygienicznéj.

Wiele, nader wiele ciekawych rzeczy pominąć musiałem, choć w paru słowach na końcu zaznaczając ważne dla apteczek wiejskich po dworach przyrządy d-ra Sochackiego, robione z przedmiotów codziennego użytku i paru rurek gumowych jak np. irygatory, rozpylacze i t. d.

Cała wystawa wogólności przedstawia się okazale, czuć tu na każdym kroku ogromny nakład pracy, usiłowanie stworzenia obrazu coby na szeroką skalę malował nasze stosunki sanitarne.

Jedno tylko powtórzyć jeszcze należy: oto w tych działach tak bogate leżą materyały, że nieodżałowaną byłoby rzeczą gdyby zginąć miały w zapomnieniu.

Czyby sekcye nie mogły przy pomocy swych referentów działowych opracować broszury do każdego działu i wydawać ich zbiorowo lub pojedyńczo, wzbogacając naszą literaturę ciekawemi przyczynkami do wielu odłogiem niemal leżących kwestyi?

Drogą usilnéj pracy powstała wystawa obecna, z jednéj strony pokazuje jak daleko zaszliśmy na polu sanitarnych i związek z niemi mających urządzeń, z drugiéj zaś strony uczy nas, że dorośliśmy dziś do chwili, w któréj rzucić możemy użytkowanie z produkcyi zagranicznych, u nas, w domu, własnemi rękami sklecone równie dobre znajdując wyroby. I za to otworzenie oczu publiczności gorąca należy się wystawie hygienicznéj podzięka, któréj lwia część na sekcyę szpitalną przypadnie. Napaści zaś, których często wystawa była ofiarą, ciasnotę umysłów malkontentów tylko zdradzają, dowodząc że ludzie ci pojęciem proporcyonalności w najdrobniejszéj nie są nawet obdarzeni cząstce.

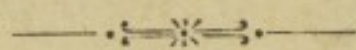
Wszechświatowe wystawy, o których się ciągle mówi, kosztują miliony i setki dają humbugów — wystawa hygieniczna za bardzo niewielkie sumy powstała, daje rzeczy istotnéj wartości naukowéj, nie starając się o reklamę, co właśnie zdaniem niektórych za największy jéj błąd się poczytuje.

Miejmy jednak nadzieję, że ogół pojmie nakoniec wszechstronną obecnéj wystawy doniosłość i należne uznanie jéj odda, a uczęszczając licznie, nauczy się stokroć więcéj niż w zabawniejszych może ogródkach lub cyrkach.

Kazimierz Daniłowicz-Strzelbicki.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.



Leroy Beaulieu. „Państwo nowożytne i jego funkcye“. Wydanie drugie. Przełożył Piotr Malinowski, kandydat praw. Warszawa, 1896.

Od wielu już lat Francya jest ostatnią twierdzą ekonomicznego klasycyzmu, chociaż pierwsza opozycya przeciwko szkole liberalnéj wyszła od uczonych francuskich, od Sismondi'ego i St.-Simona. Kiedy ojczyzna Adama Smitha, naśladując Niemcy, Włochy i Stany Zjednoczone, skłania się coraz więcéj ku kierunkom historycznym i socyalnym, kiedy politycy francuscy stoją na czele ruchu protekcyjnego, nauka francuska pozostała aż do ostatnich czasów wierną teoryom wolnego handlu i wolnéj konkurencyi. Lecz duch, wiejący w całym świecie cywilizowanym, nie mógł pozostać bez wpływu na Francyę, mimo jéj przysłowiowego lekceważenia obcéj literatury. W r. 1886-ym szereg młodszych ekonomistów, z Karolem Gide'm na czele, wypowiada walkę koryfeuszom liberalizmu, zgrupowanym około *Journal des économistes* i zakłada własny organ *Revue d'économie politique*, mający szerzyć poglądy historyczno-społeczne. Stara szkoła, starając się zwalczyć opozycyę, precyzuje i popularyzuje ponownie swe doktryny; we Francyi powtarza się walka, którą w połowie naszego stulecia widzieliśmy w Niemczech. W szranki wstępują najlepsze siły — Molinari, Leon Say i Leroy-Beaulieu — wszyscy idealizują poglądy liberalne, starają się obalić przeciwne, aż wreszcie dają nam rzeczywistą apoteozę doktryn klasycznych w *Dictionnaire d'économie politique*, wydanym pod redakcyą niedawno zmarłego L. Saya.

Dzieło, które mamy przed sobą, należy również do téj literatury walczącéj. Autor gromadzi w niém wszystkie argumenty, podnoszone od czasów fizyokratów, przeciwko interwencyi państwa w sferę interesów gospodarczych, przedstawia swe poglądy ze zwykłą Francuzom jasnością i elegancyą, ilustruje je licznemi przykładami, zaczerpniętemi z nowszéj historyi skarbowéj, gospodarczéj i politycznéj. Nie ma tu nowych myśli i wywodów, autor przenosi nas w czasy Adama Smitha i Ricarda, uprzystępnia zrozumienie ich zasad szerokim warstwom ludności. Wszystkie zarzuty przeciwko nowym prądom są zestawione bardzo zręcznie, z wielką dyalektyczną siłą, czasami nawet z pewną dozą sofisteryi. Na takiéj podstawie stara się Leroy-Beaulieu wykazać błędy nowszéj nauki, lecz jego sprawa jest już z góry stracona, zwycięstwo musi pozostać po stronie jego przeciwników.

Państwo nowożytne opiéra się, zdaniem autora, na wolności osobistéj, własności prywatnéj i współudziale w rządach wszystkich obywateli. Brak mu ducha wynalazczego, nie może więc zagarnąć całéj działalności, ani też nią kierować, winno tylko dopomagać jednostkom w ich pracy i popiérać wszelki postęp. Narzuca ono prawa i podatki, a wzamian daje opiekę prawną wewnątrz i obronę przed nieprzyjacielem zewnętrznym. To są główne zadania państwa, które w sferze interesów gospodarczych winno się ograniczyć do roli biernéj, nie mając do czynu ani siły, ani zdolności.

Przewodnie zasady Leroy-Beaulieu, odnoszące się do działalności państwa na polu gospodarstwa społecznego, możemy streścić jego własnemi słowami. „Państwo nie jest obowiązane uczynić wszystkich szczęśliwymi (str. 75). Rola jego polega tylko na niepotęgowaniu naturalnych przyczyn nierówności (str. 304), ale nie może zależéć na protegowaniu marnotrawców (str. 299), ani też nie ma słusznego powodu do upierania się przy zatrzymaniu ludności w miejscowościach ubogich (str. 129). Państwu obca być powinna wszelka niechęć względem towarzystw lub grup kapitalistów (str. 108), gdyż roboty najważniejsze z punktu widzenia interesu powszechnego są robotami, najlepiéj opłacającemi się" (str. 116).

Jednémi słowem, autor nasz potępia wszelkie zapędy państwa ku regulacyi stosunków ekonomicznych, a zasadę tę formułuje bardzo jasno i ostro, mówiąc o Anglii, jako o państwie, „które utraciło prawo do swéj dawnéj i chlubnéj nazwy przeciwnika interwencyi rządowéj" (str. 20). Stara się on dowiéść, że cała nowoczesna działalność ekonomiczna państwa jest chybioną i nigdy nie może osiągnąć zamierzonego celu. Publiczne roboty przedsiębierze się nieopatrznie, bez względu na ich wydajność; pomimo deficytu podnosi się pensye urzędników,

ustawami fabrycznemi narusza się wolność umowy i utrudnia położenie przemysłu krajowego wobec konkurencyi zagranicznéj; walką przeciw syndykatom i ustawami przeciw lichwie podkopuje się zbawienną spekulacyę i niszczy ducha przedsiębierczego; przymusowém ubezpieczeniem robotników zwiększa się koszta produkcyi i zabija się osobistą odpowiedzialność i ostrożność; mieszaniem się w spory robotników i przedsiębiorców rozluźnia się wezeł naturalny między nimi, oraz wspólny interes pracodawcy i jego podwładnych, wreszcie dla popiérania okolic ubogich zwiększa się ciężary publiczne, zachęca się do wydatków nieopatrznych i nieprodukcyjnych. Wszystko to jest zupełnie zbyteczne i bezużyteczne. Inicyatywa prywatna zajęłaby się wszelkiemi korzystnemi robotami publicznemi, te zaś, które w danéj chwili się nie rentują, są niepotrzebne, gdyż ludność okolic uboższych przeniosłaby się do okręgów więcéj rozwiniętych, znajdując tam utrzymanie; syndykaty wytwórców, jeżeli przejdą miarę dozwoloną, muszą upaść wskutek oporu konsumcyi; ochrona przed lichwą dopomaga tylko jednostkom nierozumnym i rozrzutnym, a więc niepotrzebnym; regulacya pracy we fabrykach jest zbyteczną, bo sami przedsiębiorcy starają się o podniesienie skali życia swych robotników i rzeczywiście stosunki zdrowotne naszego stulecia są znacznie lepsze od warunków hygienicznych epok dawniejszych; ubezpieczenia przymusowe zwiększają tylko koszta administracyi, które zabiérają bardzo znaczną część wkładek, a nie dają robotnikom żadnych korzyści, gdyż już przedtém mieli oni prawo do wynagrodzenia za szkodę i posiadali kasy wzajemnéj pomocy; w końcu progresyjny podatek dochodowy lub spadkowy nie może doprowadzić do żadnego rezultatu, wobec możności przerzucenia podatku i wolności testowania.

Nie możemy się wdawać w szczegółową ocenę wszystkich tych wywodów. Nie są one nowe i cała nowsza literatura ekonomiczna daje wyczerpującą odpowiedź na wszystkie te zarzuty. Obowiązki państwa na polu gospodarstwa społecznego staraliśmy się określić w osobnym artykule, drukowanym w kwietniowym i majowym zeszytach „Ateneum" r. b., możemy się więc nań powołać we wszystkich kwestyach zasadniczych. Tutaj wystarczy zaznaczyć dwie rzeczy. Pomijając już liczne niekonsekwencye i sprzeczności (np. co do pojęcia państwa—str. 9 i 49, co do syndykatów—str. 158 i 303, co do komunikacyi—str. 91, 121 i 131, co do administracyi pocztowéj — str. 123 do 125, co do stosunków zdrowotnych robotników — str. 247 i 285 i t. d.), musimy nadmienić, że autor stara się dowiéść, że wszelkie braki naszéj organizacyi usunie wolna konkurencya, niszcząc jednostki, które przekraczają jéj prawa, następnie zaś, że robi szereg zarzutów

praktycznych ubezpieczeniom przymusowym, twierdząc, iż są za kosztowne, popiérają nieostrożność i nieopatrzność, a robotnikom dają tak drobne korzyści, że o ich znaczeniu społeczném nie może być mowy. Na to można odpowiedziéć, że jest wielkim błędem czekać, aż konkurencya swym naciskiem, wywołującym zgubne przesilenia, usunie niezdrową spekulacyę, gdyż w ten sposób zabija się gospodarczą stałość, pierwszy warunek rozwoju ekonomicznego, a następnie, że w sprawie ubezpieczeń cyfry statystyczne wykazują, iż autor opiéra swe wywody na zupełnie nieprawdziwych przesłankach. Statystyka zabezpieczenia od wypadków w Austryi za r. 1893 (*Ergebnisse der Unfallstatistik*, Wien, 1895) i statystyka ubezpieczeń na wypadek choroby w Niemczech za r. 1894 (*Vierteljahrshefte zur Statistik d. deutschen Reichs*, 1896, II, str. 133 i nast.) dowodzą zarówno zbawiennego wpływu obu tych instytucyi. Oto niektóre cyfry.

W Niemczech było 6,759,920 zabezpieczonych, których wkładki, opłacane po największéj części przez przedsiębiorców, wynosiły 111,509,631 marek. Z tego udzielono wsparcia chorym w wysokości 42,599,461, koszta ich leczenia wynosiły 56,988,996 marek, koszta administracyi kas 11,943,745 marek, a więc 10.5% ogólnych wydatków. Tymczasem dobrowolne ubezpieczenie robotników obejmowało tylko 237,941 osób, a koszta administracyi wynosiły 13.5% ogółu wydatków, nie może więc być mowy o biurokratyczności ubezpieczenia państwowego. W Austryi było w r. 1893 ubezpieczonych od wypadku 1,466,270 robotników, wkładki wynosiły 4,559,816 złr., koszta administracyi 12.9% wpłaconych premii. Nieszczęśliwych wypadków było 32,917, średnia wysokość renty przy zupełnéj niezdolności do pracy 216 złr. 43 ct., czego wobec średniego wynagrodzenia robotnika (326 złr.) nie można uważać za kwotę zbyt niską. Co się tyczy przyczyny wypadku, to nieostrożność i wina robotnika odgrywa coraz mniejszą rolę; wypadków z winy dotkniętego było 1891 r.: 12.3%, 1892 r.: 9.5%, 1893 r.: 6.3%. Cyfry te dowodzą niezbicie, że Leroy-Beaulieu myli się w swych przypuszczeniach, co do rezultatów ubezpieczenia przymusowego, że działa ono bardzo korzystnie i przyczynia się potężnie do polepszenia dobrobytu warstw robotniczych.

Tak więc powrót do liberalizmu, który proponuje nasz autor, stanowiłby w każdym razie cofnięcie się gospodarstwa społecznego. Na zakończenie wypada jeszcze odpowiedziéć na pytanie, czy tłómaczenie tego dzieła było wskazane. Wobec tego, cośmy powiedzieli, widoczną jest rzeczą, że nie pragnęlibyśmy bynajmniéj, aby nasze społeczeństwo przejęło się doktrynami klasycznemi, pomimo tego możemy tylko czuć wdzięczność dla tłómacza za przyswojenie téj książki językowi pol-

skiemu. Leroy-Beaulieu, chcąc przeciwdziałać wzmagającemu się wpływowi państwa na polu gospodarczém, kréśli ponętny i pociągający obraz skutków asocyacyi dobrowolnéj. Apoteoza stowarzyszania się i wzajemnéj pomocy jest przesadna, sama myśl jednak jest zdrową i użyteczną, gdyż niepodobna przerzucić całego ciężaru życia ekonomicznego na państwo, należy koniecznie współdziałać z niém razem. Niestety, brak nam zmysłu do tworzenia spółek i stowarzyszeń, zawsze bardzo użytecznych, niejednokrotnie niezbędnych. Dzieło Leroy-Beaulieu może zachęcić do prób na tém polu, dlatego téż poczytujemy za zasługę p. Malinowskiemu, który przełożył je bardzo wiernie i starannie, a pomijając drobne usterki i może zanadto niewolnicze trzymanie się oryginału francuskiego, zupełnie dobrze i poprawnie.

Włodzimierz Czerkawski.

Stanisława Orzechowskiego „Książki o ruszeniu zlemie Polskiej przeciw Turkowi.“ Powtórnie wydał Teodor Wierzbowski. (Wydanie z zapomogi Kasy pomocy im. d-ra J. Mianowskiego dla osób pracujących na polu naukowém). Warszawa, 1895, w 8-ce, str. 48. Cena 20 kop.

Potęga Turków, coraz bardziéj wzmagająca się w Europie w wieku XVI-ym i towarzyszące jéj takie dziejowego znaczenia wypadki, jak pokonanie Węgrów przez Solimana II-go pod Mohaczem (1526 r.), gdzie poległ Ludwik II Jagiellończyk, następnie zaś zajęcie Węgier i wcielenie ich do państwa tureckiego (w r. 1541), nie mogły nie rzucić silnego postrachu na sąsiednie tym zaborom narody i państwa. W położeniu takiém skupienie wspólnych sił dla odparcia i złamania groźnego nieprzyjaciela było jednym z najpilniejszych zadań ówczesnéj polityki ościennych państw europejskich. Celem przedstawienia konieczności obrony i zagrzania ducha obywatelskiego do wystąpienia zbrojnego przeciw najazdowi otomańskiemu, ogłosił Stanisław Orzechowski dwie mowy, właściwie dwie rozprawy: jedną do rycerstwa polskiego *(ad equites Polonos oratio)* 1543 r., drugą do króla Zygmunta I-go, 1544 r. (Obie razem wydane powtórnie w Bazylei, 1551 roku). Napisał je po łacinie; jednocześnie wszakże z wydaniem rozprawy pierwszéj ukazal się i przekład jéj polski, dokonany prawdopodobnie przez samego Orzechowskiego (Kraków, 1543 r.). Znacznie późniéj, bo w r. 1590, obie te mowy wyszły w tłómaczeniu Jana Januszowskiego p. t. „Oksza Stanisława Orzechowskiego na Turki”, z przypisaniem Zygmuntowi III.

Dziełko pierwsze o ruszeniu przeciw Turkowi, wydane po polsku w r. 1543 pod nagłówkiem wyżéj przywiedzionym, niezwykłego doznać musiało przyjęcia wśród czytelników, skoro z czasem stało się wielką rzadkością i do dzisiaj przechowało się w jednym tylko egzemplarzu, stanowiącym własność hr. Zygmunta Czarneckiego w Rusku, w W. Księstwie Poznańskiém. Z tego to jedynego egzemplarza przedrukował je teraz p. Wierzbowski, ułatwiając tym sposobem czytelnikowi dzisiejszemu zapoznanie się z treścią krasomówczego utworu niepospolitego pisarza wieku XVI-go, oraz z jego dosadnym i barwnym językiem.

Cechy tego języka w przedruku zostały zachowane, pomimo zmiany pisowni pierwodruku na dzisiejszą. Na końcu dziełka, dla zrozumienia wyrazów przestarzałych, spotykanych w tekście, dodał wydawca słowniczek, wyjaśniający ich znaczenie. Pomiędzy niemi jednak sporo jest zbytecznych, bo zupełnie zrozumiałych, jak np. łatwie = łatwo, cny = zacny, okrutność = okrucieństwo, odmienność= zmiana, przyszło k temu = doszło do tego, do tyla = dotąd, dzięka= podziękowanie i t. p.; natomiast nadawałyby się do objaśnienia niektóre pominięte, jak np. wyrażenie: p r z e z d z i ę k i (tyle co: bez dzięki), str. 14, znaczące: gwałtem, przymusowo (odpowiednie wyrażeniu: w d z i ę k = dobrowolnie); lub słowo k o p i e n i c z y ć z kim, znaczące: kopią wojować, spierać się, kłócić się z kim, użyte w wyrażeniu: „Egipt też posiadł (Turek), gdy Francuzowie z Hiszpany kopieniczyli z sobą o Sycylją a Neapolim", str. 18. Tu i owdzie znów nasuwają się inne uwagi. Słowo np. o b o r z y ć s i ę (nie: oborzéć się) nie znaczy: „powstać przeciw komu", *insurgere*, ale przedewszystkiém: o b u r z y ć s i ę, następnie: rzucić się, uderzyć na kogo (czes. obořiti se na koho), str, 26. Wyraz h e r s t nieprawdziwie wyłożono przez „rozbój", zamiast: pierwszy ogień, pierwsze strzały (z niem. *der erste*); znaczenie to widoczne z wyrażenia: „....ubogi braniec, którego kijem, buławą i inszemi groźbami wypychają na h e r s t, ku szturmom, na działa", str. 24. Błędnie wydrukowano w słowniku słowo „odpoczynać" obok podanego objaśnia „odpocząć"; zamiast pierwszego powinna być staropol. forma dokonana o d p o c z y n ą ć i t. d.

Mimo te niedokładności słownikowe, ukazanie się w wydaniu wznowionėm tak rzadkiéj książki Orzechowskiego każdy z miłośników literatury wieku XVI-go powita z wdzięcznością.

Jeszcze jedna uwaga. Przy przedruku tekstu wydawca, modernizując pisownię, w imionach narodów pozmieniał także wielkie litery początkowe na małe (np. *r*zymianie, *f*rancuzowie, *p*olacy, *c*zechy, *mo*-

rawczycy i t. p.) wbrew tekstowi pierwodruku i bez najmniejszéj dla nowego wydania potrzeby. Odwieczny i ustalony zwyczaj w piśmiennictwie polskiém oddawania tych wyrazów dużemi literami ma na swoją obronę dwa ważne względy: 1) ze strony optycznéj przedstawia dla czytelnika niewątpliwe dogodności; 2) pozostaje w zupełnéj zgodzie z drukami i sposobami pisania wszystkich europejskich narodów. Zdaje się zaś, że daremnie ktokolwiek starałby się doszukiwać pobudek silniejszych, któreby skłaniały do odstąpienia od słusznego zwyczaju panującego.

Adam Ant. Kryński.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Władysław Rabski.* **Zwyciężony**, dramat w 4-ch aktach (Poznań, 1895, str. 128).—Autor, który wydał przed trzema laty dramat „Asceta", napisany językiem jędrnym i obrazowym, ale przedstawiający uczucia i charaktery chorobliwe, w obecnym utworze wysnuł kolizye silne i prawdziwie dramatyczne ze stosunków rzeczywistych, tętniących życiem i prawdą. Z jednéj strony miłość, z drugiéj przekonania społeczne stają do walki, kończącéj się zgnębieniem człowieka pełnego zdolności, marzącego o lotach orlich. Dr. Zygmunt Wolski, naczelny redaktor dziennika demokratycznego, pokochał Martę, córkę hr. Władysława Wareckiego, wyznającego zasady arystokratyczne, przejętego pychą rodową. Miłości téj sprzyjała Melania Wadyńska, kuzynka Wareckich, która, jak się z dalszego rozwoju akcyi okazuje, sama kochając głęboko Zygmunta, gotowa była do wszelkich dla niego poświęceń. Ona to dodała odwagi Marcie, ażeby miłości swojéj się nie zapierała wobec ojca i ludzi. Marta, lubo lękliwa, zdobyła się na odwagę pod wpływem słów Melanii, a zwłaszcza Zygmunta i szczególnego nastroju chwili: gdy goście w domu Melanii wracali z przejażdżki po jeziorze, zastali Martę i Zygmunta w uścisku, a Marta przedstawiła ojcu Zygmunta jako narzeczonego. Hrabia Władysław chcąc uniknąć skandalu, po krótkiéj chwili namysłu oznajmił zebranym, że Marta zawcześnie tylko zdradziła niespodziankę, którą on sam podczas wieczerzy miał zakomunikować. Nie myślał jednakże tak łatwo ustąpić; domagał się od Zygmunta odstąpienia haseł demokratycznych. Zygmunt się nie zgodził, a wówczas hrabia, nie zważając na skandal,

odmówił mu ręki córki. Marta wahała się znowu; dwie miłości wiodły z sobą bój w jéj sercu; miłość do Zygmunta zwyciężyła, ale tylko na chwilę. Wyszedłszy za Zygmunta, znalazła się w otoczeniu demokratów niemiłém dla siebie; raziła ją ich powierzchowność, ich zachowanie się, ich rozmowy. Przyzwyczajona do manier wykwintnych, wychowana wśród odmiennéj atmosfery duchowéj, już po pięciu miesiącach czuje niesmak i niezadowolenie. Potrzeba tylko jakiéjś okoliczności, ażeby nagromadzony w duszy jéj jad się rozlał. Okolicznością taką były wybory na sejm (rzecz się dzieje w W. Ks. Poznańskiém). Kandydatem partyi arystokratycznéj był jéj brat, hr. Karol, hulaka i gracz zapamiętały, a kandydatem demokratów był bogaty fabrykant Maurycy Wsiłowski, założyciel dziennika, którego Zygmunt był redaktorem, człowiek czynny na polu prac ekonomicznych, ale pretensyonalny w mowie, a niezbyt ogładzony w ruchach. Wareccy, doprowadzeni przez lekkomyślność hr. Karola do bardzo złego stanu finansowego, widzieli jedyny dla siebie ratunek w sprzedaniu majątku komisyi kolonizacyjnéj niemieckiéj. Chcąc atoli z powodu wyborów zachować pozór dobrych obywateli, zmusili swego dalekiego krewnego i domownika od lat 15, Ruszczewskiego, do wzięcia na siebie sprawy. Sprzedali mu symulacyjnie swe dobra, rozgłosiwszy, że on otrzymał wielki spadek, a on dopiéro odstąpił je komisyi. Na domiar bezeceństwa hr. Karol w mowie przed wyborcami ostro napiętnował postępek swego krewnego. Wyczytana o tém wiadomość przyśpieszyła zgon starca, obarczonego niesławą; umierając polecił staremu słudze odnieść dokumenty, wyjaśniające rzecz całą, Zygmuntowi. Mając taką broń w ręku gotował się redaktor do napisania piorującego artykułu przeciwko Wareckim, gdy w tém weszła Marta i zrozumiawszy, o co idzie, wymogła na mężu, że jéj pozwolił dokumenty owe rzucić w ogień. Zygmunt uległ uczuciu, ale nie mógł stłumić w sobie wyrzutów sumienia, że się sprzeniewierzył stronnictwu. Nie zaznał odtąd spokoju i dni przed wyborami spędzone były pasmem ustawicznych udręczeń. Gdy hr. Karol został wybrany, i gdy na wezwanie Marty Wareccy przybyli podziękować Zygmuntowi i zgodę z nim zawrzéć, wybuchnął „zwyciężony” gorzkiemi słowy żalu i oburzenia, iż mu zapłacić chciano za zdradę, napiętnował obłudę i nikczemność rodziny, z którą się połączył swojém małżeństwem, rozstał się z żoną, mówiąc do niéj i do Wareckich: „Ptak uciekł z klatki złocistéj i wraca w pokorze; niech leci, to lepiéj dla mnie i dla niéj.” Zleciwszy stałéj wciąż w uczuciu Melanii staranie o mające się narodzić dziecko, opuszcza dom z tém gryzącém serce jego przekonaniem, że zdradził lud. Zygmunt popełnił omyłkę, wybierając towarzyszkę życia ze sfery tak odmiennéj przekona-

niami i nawyknieniami od téj, w któréj sam i żona jego żyć mieli; nie obrachował się z charakterem Marty, a może z charakterem kobiet wogóle, które gotowe na chwilę zapomniéć o wszystkiém i pójść tam, dokąd ciągnie je namiętność, ale które niebawem zatęsknią za zwyczajami i nałogami, z któremi się zrosły w latach dziecięctwa i dojrzewania. Omyłkę jednak taką popełniają nieraz najrozumniejsi ludzie; nie można jéj zatém brać za błąd w charakterystyce bohatera; a gdy się to uzna, to dalszy rozwój Zygmunta i Marty będziemy musieli uważać za konsekwentnie i głęboko pod względem psychologicznym przeprowadzony. Inne figury, nawet podrzędne, są bardzo dobrze utrzymane. Akcya rozwija się energicznie, śmiało; dyalog żywy, barwny, charakterystyczny; w miejscach odpowiednich skrzący się dowcipem. Młody autor, który taki utwór napisał, zdaje się miéć świetną przed sobą przyszłość.

= *Dr. Bronisław Czarnik.* **Korzeniowski i teatr lwowski** (1822—1844). Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, 1896, str. 63.—Rozjaśnienie stosunku pisarza dramatycznego do sceny w dobie jego twórczości jest jednémz ważniejszych zadań krytyki naukowo-literackiéj: od stosunku tego bowiem zależy częstokroć ochota lub zniechęcenie dramatyka, raźność w tempie twórczém, mniejsze lub większe przejęcie się wymaganiami aktorów i teatru. Co do Korzeniowskiego mieliśmy dotychczas luźne tylko pod tym względem wiadomości i to, jak się okazuje, nie wszystkie prawdziwe. Dr. Czarnik rozejrzawszy się w listach Korzeniowskiego do słynnego aktora lwowskiego Antoniego Benzy, i przeprowadziwszy poszukiwania zarówno w zapylonych rocznikach gazet jak i w archiwach teatralnych, dał wielce zajmujący zarys, dotyczący przedstawień sztuk autora „Karpackich górali" na scenie lwowskiéj pomiędzy r. 1822 a 1844. Okazuje się z jego wywodów, że Korzeniowski lubo w praktyce bardzo powoli i ostrożnie wprowadzał reformy dramatyczne, w teoryi był już r. 1822 stanowczym przeciwnikiem teatru francuskiego; pisze bowiem w tym roku o Osińskim, dyrektorze sceny warszawskiéj: „pozawracał głowy publiczności francuskim teatrem, chce koniecznie, aby znalazła upodobanie w deklamacyach źle oddanych, kiedy ona szuka na scenie—życia, mocnych wzruszeń i gwałtownych namiętności i charakterów, których teatr angielski i niemiecki tak obficie dostarcza." Okazuje się daléj, że Korzeniowski zrażony początkowo niepowodzeniem, gdy nie mógł wystawić swych sztuk na scenie, uważał przez czas jakiś reprezentacyę za rzecz u nas niebezpieczniejszą niż druk, bo: „rzecz drukowaną sądzą znawcy

i o niéj piszą, a na parterze najczęściéj krytykują żaki." Późniéj atoli zmienił w téj mierze zdanie na słuszniejsze znacznie: „żal się Boże pisać dramat tylko dla czytelników; bez teatru nie ma uroku, nie ma kolorytu, nie ma życia; jest to czarna mizerna litografia." Znajdujemy tu potwierdzenie wielkiéj wrażliwości Korzeniowskiego na ocenę jego utworów: zdania dla niego pochlebne przyjmował w całości jako sobie należne, nie spostrzegając grubéj nawet przesady. Widać to szczególniéj z listu, wyrażającego radość z powodu sprawozdania Dobrzańskiego z przedstawienia „Starego męża." Co do chronologii wystawiania sztuk Korzeniowskiego na scenie lwowskiéj dr. Czarnik zaznacza, że rozpowszechnione dotychczas mniemanie, jakoby „Piąty akt" był pierwszym w tym względzie, jest mylne, faktem jest bowiem, że we Lwowie grano najprzód dramat: „Dymitr i Marya czyli Wróżba i zemsta" 4 lutego 1831 r., (powtórzony trzykrotnie tegoż roku, a raz w następnym), potém w r. 1834 przedstawiono „Piękność zgubą" (czyli „Piękną kobietę") czterokrotnie; a dopiéro po tych sztukach ukazał się w r. 1836 „Piąty akt", który wywarł najtrwalsze wrażenie i wielokrotnie aż do r. 1842 był wznawiany. Odtąd każda nowa sztuka Korzeniowskiego aż do r. 1844 była dawana we Lwowie, a więc: „Płochość ukarana" („Dziewczyna i dama"), „Umarli i żywi", „Stary mąż", „Żydzi", „Fabrykant", „Karpaccy górale", „Panna mężatka", „Okno na pierwszém piętrze." Słusznie więc powiada dr. Czarnik, że teatr lwowski był przez półtora dziesiątka lat prawdziwym orędownikiem jednego z najwybitniejszych naszych talentów literackich": że dni pierwszych przedstawień nowych jego utworów „stawały się prawdziwemi teatralnemi uroczystościami," gdyż doborowe grono artystów lwowskich „z postaci powołanych do życia przez naszego autora pyszne stwarzało kreacye", przystępując do ich oddania „ze szczerém uszanowaniem i niekłamaną miłością" (str. 46). Na podstawie listów prostuje dr. Czarnik niektóre daty powstania utworów Korzeniowskiego, podane przez niego samego w notatce zamieszczonéj obecnie w XII-ym tomie zbiorowego wydania „Dzieł jego". Sprostowania te w większéj części są zupełnie uzasadnione; czasami tylko budzą niejaką wątpliwość, niekiedy mogły być poparte innemi jeszcze wskazówkami. Z wiadomostki np. zawartéj w „Gazecie lwowskiéj" r. 1844, oraz ze wzmianki w liście Korzeniowskiego 30 czerwca 1844 wnioskuje dr. Czarnik, że „Okno na pierwszém piętrze" powstało nie w r. 1841, jak podaje notatka powyżéj wspomniana, lecz w r. 1844 lub w ostatecznym razie w końcu r. 1843 (str. 39). Możnaby tu jeszcze jako uzupełnienie dowodu nadmienić, że „Okno" było wydrukowane w „Athenaeum" Kraszewskiego w r. 1844. — Przy końcu książki swojéj umie-

ścił autor 10 listów Korzeniowskiego do Benzy; list pisany, jak się zdaje, do Adolfa Dobrowolskiego, oraz nieznany wierszyk albumowy; wreszcie „Tabliczkę przedstawień sztuk Korzeniowskiego w teatrze lwowskim od r. 1831—1844." Praca wykonana została starannie, sumiennie i podane w niéj są wszelkie informacye, mogące się przyczynić do jaśniejszego rozumienia szczegółów wzmiankowanych w listach; przytoczone recenzye sztuk Korzeniowskiego i t. d. Podzielić można życzenie autora, by podobnéj pracy dokonano co do sceny warszawskiéj.

= *Ksenofont.* **Wspomnienia o Sokratesie**, przekład E. Konopczyńskiego. (Bibl. filoz. pod redakcyą Struvego). Warsz. 1896.—Jakkolwiek nie pierwszy raz wychodzą po polsku „Wspomnienia o Sokratesie", wszakże przekład ten bardzo był pożądany i potrzebny. Jedyny bowiem całkowity pióra p. Bronikowskiego, tłumacza dzieł Platona, grzeszy ciężkim językiem, wada dająca się odczuwać zwłaszcza w takiém dziele, jak „Memorabilia" Ksenofonta. Książka ta bowiem, co do treści wysoce przystępna, co do formy przejrzysta, jak najlepiéj nadaje się (obok „Snu Scypiona" Cycerona) dla pierwszego zaznajomienia się z pisarzami filozoficznymi w tekście oryginalnym. A któż, jeśli nie Sokrates, powinien stanąć na czele naszych studyów filozoficznych? Żyjemy w epoce, z wielu względów zbliżonéj do téj, w jakiéj występował nauczyciel Platona. Roskosz i zbytek mają i dziś tysiące sofistów, którzy śpiewają im hymny pochwalne, a gdy ktoś staje w obronie sprawiedliwości, to pewne głosy krzyczą na pogwałcenie odwiecznych praw rządzących światem, zwolenników nowych idei przedstawiają jako „przeciwników religii, psujących młodzież" a nie mogąc ich otruć cykutą, zalewają jadem potwarzy. „Znacie zapewne Cherefonta, mówił Sokrates do 557 sędziów swoich, otóż on to pewnego razu przybywszy do Delf, śmiał zapytać się wyroczni, czy jest człowiek mędrszy nademnie? I odpowiedziała mu Pytia, że mędrszego nie masz nikogo... Zgłębiając znaczenie wieszczéj odpowiedzi, muszę, myślałem sobie, obejść wszystkich, którzy, według ludzkiego zdania, coś wiedzą. I dalibóg, Ateńczycy, znalazłem się wobec takiego oto zjawiska, iż u tych właśnie, których najbardziéj wysławiano, za ich rozum, gdym ich, posłuszny bóstwu, poddawał memu badaniu, znajdowałem największy prawie brak rzeczywistéj mądrości;—inni zaś, uważani powszechnie za pośledniejszych, wydali mi się ludźmi, zasługującymi daleko więcéj na miano rozumnych... I dziś jeszcze posłuszny Bogu chodzę pomiędzy ludźmi i jeśli mi kto wygląda na mądrego, poddaję go takiemu rozbiorowi i badaniu: a jeśli nie widzę w nim mądrości, staję po stronie bożej

i wyświetlam mu, iż nie jest on mądrym... Tak poświęciwszy się całkiem służbie bożéj, żyję pogrążony w nędzy ostatecznéj"... I ten właśnie, którego bóstwo uznało za najmędrszego z ludzi, miał taką Ksantypę, która go traktowała jako głupca; ten, który „żył w nędzy ostatecznéj", poświęcając się szerzeniu prawdy, osądzony był na śmierć za to, że wywierał zgubny wpływ na młodzież. A czyliż to rzadko bywa i dziś, że ci, którzy szczycą się tém, iż posiadają „mądrego" członka rodziny lub współobywatela, uważają za głupie i niepraktyczne te właśnie zdania i sądy, które mu taką zjednały opinię? Przekład p. Konopczyńskiego jest doskonały, przejrzysty i wierny a liczne uwagi, wyjaśniające dla mniéj obeznanych ze starożytnościami greckiemi niektóre szczegóły rozmowy, podnoszą wartość tłomaczenia. Wysoce przystępna cena książki (50 kop.) upoważnia obok tych zalet do nawoływania, aby się znalazła w ręku wszystkich wykształconych ludzi, jako pierwszy tom ich biblioteki filozoficznéj i jako jeden z tomów arcydzieł literatury wszechświatowéj. *W. M. K.*

= *Paweł Kośmiński.* **Poezye**. Warszawa. T. Paprocki. 1896, str. 175. — Zmarły niedawno autor uporządkował przed niespodzianym zgonem i oddał do druku zbiorek swoich utworów poetycznych, które obecnie wyszły w oddzielnéj książce. Kośmiński był od lat kilkunastu znany jako spółpracownik wszystkich pism „humorystycznych", sypał dowcipy i żarty jak z rękawa, zawsze w towarzystwie okazywał się wesołym i pełnym werwy. Ale jak to często bywa, ludzie weseli nazewnątrz, smutni są w głębi duszy i jeżeli wypowiadają to, co im przedewszystkiém na sercu leży, to jęk i cierpienie najczęściéj im z piersi się wydobywają. Tak prawdopodobnie było i z Kośmińskim; przynajmniéj „poezye" jego, zebrane w tomiku obecnym, na smętną, melancholijną nastrojone są nutę; z tego powodu może aż zanadto brzmią jednostajnie. Słowa, któremi się ten smutek wyraża, nie mają w sobie zazwyczaj nic świeżego, nic indywidualnego, są powtórzeniem dobrze znanéj od czasów bajronizmu frazeologii. Serce poety wygasło, ból rozsadza falujące łono, oczy pławią się we łzach „krwawiejących", chmura żalu zasępia czoło, pustka wokół niego się roztacza i wszystkie rozprasza natchnienia. Śpiew radosny nigdy z duszy jego nie wypłynie, gdyż pieśń jego zrodzona w bólu „nadludzkim", w bólu, „co nigdy, nigdy nie przeminie."

Zamknięta w smutek wiekuisty, ona
W smutku tym kwili i w smutku tym zginie.

Gdyż, mirażami marzeń nie zwiedziona,
Po oceanie prawdy mknie jedynie;
A na nim tylko wszędy bezdeń dla niéj
I mgły naokół... ni śladu przystani.

W tych ostatnich wierszach doczytujemy się jednego z powodów (w tém miejscu j e d y n e g o) smutku poety: niepodobieństwo znalezienia prawdy wśród mgieł powszechnych. Jednakże nie ten intelektualny motyw był istotną i główną przyczyną cierpień piewcy, gdyż bardzo rzadko zajmował się zagadnieniami bytu; pobudki raczéj uczuciowe przeważnie na jego usposobienie i nastrój oddziaływały. Szczegółów jakichś brak nam w téj mierze zupełnie; o jakimś zawodzie miłosnym nie opowiada poeta, aleź i po za takim zawodem istnieją tysiączne inne, które dręcząc człowieka drobnemi, lecz codziennemi ciosami lub choćby ukłóciami tylko, pogrążają go w otchłań smutku przygnębiającego, tém dotkliwszego, że nawet ustroić się weń przed ludźmi nie można, bo się z pierwiastków zbyt codziennych, zbyt powszednich składa. Nie roztacza też ich przed nami Kośmiński, nie nazywa ich po imieniu, lecz daje nam poznać ostateczny ich wynik, przypomina nam często przestrogę: *momento mori* i pragnie dla siebie po zgonie żalu tylko:

I wtedy myślę, że gdy grobowy
    Kamień na wieki pierś mą przygniecie,
Nie pragnę żadnéj pochwalnéj mowy
    I niech mogiły nie stroi kwiecie.,.
Nie pragnę uczty z świateł paradą,
    Kiedy na zawsze spocznę już we śnie;
Niech nad mym grobem nie płyną pieśnie,
    Niech na mą trumnę wieńców nie kładą.
A za nagrodę żywota całą,
    Co szedł śród burzy wieczystych fal —
Pragnę, by jedno po mnie zostało:
    Żal.

A jak w przedstawieniu uczuć własnych, tak i w obrazowaniu życia ludzkiego najczęściéj dostrzegał Kośmiński smutek, biédę, nieszczęścia, klęski. I nie z pesymistycznego punktu widzenia kréślił zarysy cierpień wśród klasy zwłaszcza ubogiéj; wiedział on, że istnieje maj i uśmiéch; ale chętniéj przebywał wśród śnieżnéj zawiei, deszczu ulewnego, suteryn ciemnych, facyatek ubogich, na cmentarzu. Nie rozpacznie, nie z przekleństwem, lecz z cichym, łagodném zadumaniem patrzy on na cierpienia i ich objawy. Jest pod tym względem znamienny w zbiorze wierszyk p. n. „Maj na cmentarzu," tęskną rezygnacyą nabrzmiały, bo poeta widząc rozwijającą się bujnie roślinność na grobach, przyglądając się pogodnemu niebu, a przytém słysząc ton żało-

sny łkania, wié, że pieśnią swoją umarłych nie zbudzi, a może nawet gdyby mógł, zbudzićby nie chciał:

Maj czarowny!... Biegnie słońce
Coraz daléj, coraz wyżéj.
Tylko siedzieć, tylko marzyć
Śród tych grobów, śród tych krzyży...
Tak tu dobrze, tak tu błogo,
Tak szeroko pierś oddycha,
I westchnienie z echem biegnie
I łza spływa smętna, cicha...
Po eterach z mgłami krążą
Tajemniczych duchów roje.
Śpijcie, śpijcie! — ja swą piosnką
Was nie zbudzę, śpiochy moje!...

Serdeczną dla ludzi życzliwość wyraził w ładnym wierszu „Exaudi", w którym błaga Boga, ażeby mu odebrał talent, urok natchnienia, śmiechu loty, byleby za to biédni, nieszczęśliwi, smutni doznali ulgi w swoich cierpieniach. Forma poezyi Kośmińskiego pod względem wierszowania jest płynna, gładka, potoczysta, widocznie przychodząca autorowi bez trudu; frazeologia atoli jest dosyć uboga, poeta zbyt często powtarza ulubione jakieś wyrazy lub wyrażenia: „miraże", „Eole", „fantomy", „hekatomby", pojawiają się z nużącą jednostajnością; czasami autor widocznie jakieś niejasne miał wyobrażenie o pewnych cudzoziemskich słowach jak np. o „insygniach" z łez, o „parabolach" śpiewanych! Zbyt obficie posługiwał się w porównaniach przedmiotami wziętemi ze sfery strojów i umeblowania: tiule, brokatele, gipiury, koce, fryzury obłoków, ekrany drzew i t. p. zastępują tu nieraz przenośnie ze zjawisk przyrody czerpane! Niekiedy formował Kośmiński wyrazy nieprawidłowo u nas brzmiące, np. d a l n y, k o k i e t l i w i e. Strofami władał bardzo swobodnie, ale wielkiego w nich urozmaicenia nie zaprowadził.

= **Synowie pana Marcina**, powieść wiejska przez *Klemensa Junoszę*. Warsz. 1896, druk Józefa Zawadzkiego w Wilnie, str. 276. — Nowy ten utwór autora „Panów braci" i „Syzyfa" nie należy do najlepszych. Znane zalety Klemensa Junoszy znajdują się naturalnie i tutaj; doskonała znajomość świata wiejskiego: szlachty, chłopów, żydów; prawda i naturalność w rozwinięciu charakterów, styl potoczysty, często barwny, nieraz dowcipny. Te atoli zalety nie są w „Synach pana Marcina" w tym stopniu zbieżności, co w niektórych innych. Przedewszystkiém wątek opowiadania nie jest w istocie rozwinięciem tematu,

zapowiedzianego w napisie książki; synowie pana Marcina odgrywają tu rolę bardzo podrzędną; prawie do połowy powieści nie widzimy ich wcale, a i potém gdy się na widowni pojawiają, poznajemy ich ledwie szkicowo. Wyrazistością rzeczywistą odznacza się w powieści sam pan Marcin, żyd Mosiek, po-części sąsiedztwo wiejskie. Pan Marcin to człowiek energiczny, wytrwały, małomówny, nie w słowach, lecz w czynach okazujący swą miłość, poczucie obowiązku, ochotę w niesieniu pomocy. Odziedziczywszy wielki kawał ziemi i ogromną masę długów, gospodarstwo zaniedbane i opuszczone, a przytém zastawszy najniepomyślniejsze warunki dla rolnictwa, nie chciał pozbyć się majątku, jak mu doradzał stary przyjaciel ojca, adwokat, lecz rozparcelował część gruntów między chłopów, na reszcie zaś pracował sam z prawdziwém zamiłowaniem. Szczęściło mu się lepiéj niż biednemu „Syzyfowi” i pod tym względem postać Marcina jest jakby przeciwwagą do pesymistycznie nakreślonéj figury gospodarza rolnego w poprzedniéj powieści. Nie chciał się żenić bogato, wziął panienkę biédną, a jednak z czasem stał się bardzo zamożnym i doczekał się istotnéj pociechy z synów, z których jeden pracował w fabryce, a drugi rozpoczął gospodarkę na małą skalę, ażeby zwalczać przeszkody jak jego ojciec. Mosiek jest to jeden z tych licznych żydów Klemensa Junoszy, co to w każdym ruchu i odezwaniu się są charakterystyczni; Mosiek nie należy do najlepszych kreacyi, znajduje się w nim połączenie rysów dawniéj już przez powieściopisarza używanych, a szczególniéj werwy w obrazowaniu nie znajdujemy; w każdym jednak razie jest to postać poprawnie skreślona i żywa. Z sąsiedztwa najlepiéj i najwydatniéj przedstawia się pani Felicya, wiecznie zapracowana, śpiesząca się, gadatliwa i gdérliwa, a w gruncie rzeczy niezbyt wiele robiąca, lecz dobra i z dobrodusznym śmiechem przyjmująca krytyczne uwagi. Do urozmaicenia i ożywienia powieści służy towarzystwo z Warszawy przybyłe, ruchliwe, dowcipkujące, nakréślone sylwetkowo, lecz doskonale.

= *Włodzimierz Zagórski.* **W XX wieku**, fantazya humorystyczna. Warsz. T. Paprocki. 1896, str. 139. — Autor jest wrogiem „snobbowskiéj krytyki, która tak wysoko ceni szablony i ów kunszt robienia powieści wedle znanéj recepty jarmarkowych kuglarzy: ten sam sztuk na inny manier”. I ja podzielam wstręt p. Zagórskiego, tylko pozwolę sobie spytać, czyby i jego fantazya humorystyczna nie dała się podciągnąć pod ową receptę, jeżeli przypomnimy, że nieco dawniéj dał już nam autor swój „Hypnotyzm”, a obecnie fantazyując na temat wszelkiego rodzaju udoskonaleń naukowo technicznych w wieku XX, za jeden z głównych

motorów swego pomysłu bierze hypnotyzm i telepatyą z dodatkiem cudownego „telopsa”, który będzie musiał być bardzo skomplikowanym przyrządem, jeżeli ma dać w Warszawie obraz tego, co na jakiéjś ulicy w Paryżu się dzieje,—i to za pomocą pociśnięcia tylko guzika. Fantazyować można dowoli, a jeżeli za podstawę fantazyowania nie bierze się jakiéjś zasady naukowéj rozwiniętéj do najdalszych wyników, to potrzeba za pomocą dowcipu zabawić czytelnika choćby najmniéj prawdopodobnemi przygodami. Spisywać zaś wszystko, co przyjdzie do głowy, bez względu na to, czy się pomysły łączą ze sobą jakąś nicią rozumną, lub czy bawią powabem fantastyczności wyobraźnią, jest to narażać się na słuszny zarzut lekceważenia czytelników i literatury. P. Zagórski przewidywał, że „Arystarchowie” odsądzą jego fantazyę „od wszelkiéj literackiéj wartości” i jako odpowiédź przygotował zapewnienie, że sam nie wié, czego opowiadanie jego chce i czego dowodzi, bo chciał jeno, by „jak fajerwerk z rac kilku tysięcy, aby spłonęło tylko... i nic więcéj.” Że to zapewnienie nie wyraża dokładnie istotnego charakteru, o tém przekonać może ustęp karykaturalnie a bez krzty dowcipu wymierzony przeciwko emancypacyi kobiet. Czasami zatém wiedział autor, czego chce i do czego dąży, ale nie umiał tylko ułożyć udatnéj całości i dlatego wolał twierdzić, że nie dbał o nic więcéj jak tylko o zabawienie wyobraźni. Wyraża on pragnienie, żeby jego opowiadanie, do którego zresztą nie przywiązuje „żadnéj pretensyi” (?), tak ubawiło czytelników, jak bawiło jego samego przy pisaniu. Że mogło bawić autora, nie dziwimy się, boć rodzice kochają i niekształtne dzieci, ale że p. Z. miał nadzieję zabawienia czytelników swoją „fantazyą humorystyczną” bez humoru, to chyba tém się daje wyjaśnić, iż liczył na bardzo niewybrednych.

= *Wiktor Gomulicki.* **Zielony kajet**. Szkice z ustronia. Warsz. T. Paprocki. 1896, str. 212. — Poświęcony został ten zbiorek obrazów „duchowi, który na ziemi był Niną”. Opowiadacz zamieszkał wraz z Niną i dzieciątkiem gdzieś pod Płockiem przy młynie, w którym chuda młynarzowa chętnie słuchała piskliwego fletu młynarczyka fach swój znającego doskonale, gdy młynarz zjadłszy łapczywie posiłek, chodził na wilgotne łąki i ręce w pięść ściśnięte zakładał za siebie. Zwykłe, drobne wypadki życia codziennego, przerywane kiedyniekiedy jakiémś donioślejszém zdarzeniem; wezbraniem rzeczki, które u mieszkańców cichego zakątka wywołuje przerażenie, lub też opadnięciem w niéj wód takiém, że młyn iść nie może; zauważenie jakiéjś figury ciekawszéj np. pastucha-filozofa, przemawiającego do psa i uczącego go prawd rozmaitych zdobytych w długiém doświadczeniu; posłyszana

opowieść o dziewczynie gorszéj od suki, bo dziecko swoje zadusiła, gdy suka szukając wziętych jéj szczeniąt, z wysilenia zdechła; widok brzydkiéj dziewuchy, broniącéj się energicznie od zalotników wiejskich, a kochającéj pomywaczkę, która po długoletniéj wiernéj służbie musiała opuścić chatę młynarza, bo nie miała czém zapłacić kary za pobyt bez paszportu; obrazek nowoczesnéj pary kochających się małżonków (Filemon i Baucis), kiedy żona wykopawszy dla zmarłego małżonka grób na cmentarzu tak go chytrze rozszerzyła, by i jéj trumna tam się pomieścić mogła; a skończywszy swą pracę, umarła w owym dole i razem z mężem pochowaną została: — oto szczegóły życiowe, jakie opowiadacz mimochodem zauważywszy, zapisuje w swym zielonym kajecie, by się niemi z czytelnikiem podzielić. A obok tego wszystkiego napawanie się naturą, bez deklamacyi i wykrzyków, lecz poprostu, szczerze, a pięknie, wypełnia tę książkę w sposób zajmujący i dziwnie powabny. Jest rzeczywiście jakiś czar w tém usunięciu się od gwaru wielkomiejskiego, w tém odłożeniu na bok zagadnień ciężkich i męczących, w tém wegetowaniu umysłu skądinąd czynnego i ruchliwego, który szuka wypoczynku wśród natury wiejskiéj i z uśmiechem pobłażania patrzy na zachody i starania mrowia ludzkiego o kawałek chleba i trochę przyjemności. Jest to również powab łagodnéj (a jak p. Gomulicki mówi z francuska „słodkiéj") melancholii, nie przechodzącéj nigdy w czarnowidztwo i rozpacz, lecz przyjmującéj w sposób zrezygnowany wszystko, co człowieka spotyka wśród tego ustronia cichego, w którém nawet katastrofy silniejsze mają przebieg dziwnie spokojny. Starał się p. Gomulicki w szkicach swoich o wytworną prostotę i zamiar ten, biorąc rzeczy ogólnie, osiągnął w zupełności, czasami tylko rażąc jakimś dysonansem przesady żartobliwéj lub w afektacyi wspomnień dziecinnych. Najlepsze z obrazków to „Magda", „Libella", „Suka", „Filemon i Baucis". Szkicowanie lekkie jest widać właściwością talentu p. Gomulickiego, bo najdoskonalsze jego rzeczy do téj właśnie należą dziedziny.



NEKROLOGIA.

— Dr. **Ludwik Natanson**, urodzony w Warszawie 4 marca 1822 r., ukończywszy gimnazyum na Lesznie w r. 1838, wstąpił do akademii medyczno-chirurgicznéj w Wilnie, a po jéj zwinięciu przeszedł do uniwersytetu dorpackiego, gdzie ukończył nauki lekarskie w r. 1843; w trzy lata późniéj Rada lekarska Królestwa Polskiego przyznała mu dyplom doktora medycyny, po napisaniu przez Natansona rozprawy „*De influxu nervorum spinalium in nervos vasomotorios*". W r. 1847 wraz z d-rami Helbichem i Le Brunem założył „Tygodnik lekarski", czasopismo to redagował przez lat 22, zapełniając w znacznéj części własnemi pracami. Jako członek tutejszego Towarzystwa Lekarskiego podnosił ważne kwestye naukowe, jak „Wyniki mikroskopowych badań błony krupowéj", „Bakterya we krwi w durzycy brzusznéj i innych chorobach zakaźnych", „O podskórnych wstrzykiwaniach w nerwobólach" i w. in.; wykonał w r. 1858 redakcyę uzupełnionéj ustawy Towarzystwa, oraz projekt ustawy Kasy wsparcia podupadłych lekarzy, oraz wdów i sierot po nich pozostałych, która jednomyślnie przyjętą została. Był jednym z najczynniejszych pracowników około uporządkowania słownictwa lekarskiego polskiego. W r. 1858 ogłosił „Krótki rys anatomii ciała ludzkiego". W uznaniu tych zasług, Towarzystwo Lekarskie powołało go w r. 1862 na stanowisko swego prezesa, które do roku 1865 zajmował, a w r. 1893 mianowało go „Członkiem honorowym". W „Słowniku lekarzów polskich" Kośmińskiego znajdujemy 80 z górą prac naukowych Natansona; najważniejszemi z nich są: „O tonie mięśniowym" (1860), „Przysłuch płynów połykanych" (1864), „Niektóre nowsze spostrzeżenia nad czynnościami nerwów" (1856), „Przyczynek do fizyologicznéj dyagnostyki kurczów", „Krążenie krwi

w mózgu. Mechanika snu" (1883), „Teorya jestestw idyodynamicznych" (1883). Zajęcia naukowe i praktyka lekarska nie wystarczały temu niepospolitemu człowiekowi. *Non solum medicus, sed etiam civis sum* — było hasłem jego życia, a rękę swą przykładał do każdéj pracy, którą za pożyteczną dla społeczeństwa uznawał, stąd zaznaczył się na polu hygieny publicznéj, szpitalnictwa i t. d. Przez lat 25 był prezesem warszawskiéj gminy żydowskiéj, przewodnikiem nie tytularnym tylko, lecz rzeczywistym, niestrudzonym, świadomym dobra ogólnego i zmierzającym wytrwale ku temu celowi. Materyalny stan gminy, który objął w stanie obdłużenia, pozostawił zasobnym, a w administracyi zaprowadził lepsze porządki. W r. 1887 rozpoczął sprawę budowy nowego szpitala gminnego, odpowiedniéj współczesnym wymaganiom nauki, i więcéj aniżeli w połowie przeprowadził to dzieło. Doniosłém było również działanie jego na polu szkolnictwa, on to dał początek warsztatom dla nauki rzemiosł; „Ateneum" pomieściło w roku 1888-ym (I, 203) piękne jego z téj dziedziny studyum „O uczeniu rzemiosł". Czynne to życie zgasło 6 czerwca r. b.

† Ksiądz **Michał Nowodworski**, biskup płocki, urodzony w Włocławku 27 lipca 1831 r., po ukończeniu w r. 1848 wyższéj szkoły realnéj w Kaliszu, w rok potém wstąpił do seminaryum włocławskiego, a w roku 1851 do akademii duchownéj w Warszawie, którą ukończył ze stopniem „kandydata" w r. 1855. Niebawem został w niéj bibliotekarzem i zastępcą profesora prawa kanonicznego, wykładał hermeneutykę, archeologię i introdukcyą do Pisma św., a w r. 1859 mianowano go profesorem stałym. Prace literackie pomieszczał w „Pamiętniku religijno-moralnym", a objąwszy jego wydawnictwo w r. 1863, przekształcił na tygodnik p. t. „Przegląd katolicki". Od r. 1868 administrował parafią Burzenin, w Sieradzkiém. W r. 1871 wróciwszy do Warszawy kierował „Przeglądem Katolickim", w dwa lata późniéj rozpoczął olbrzymie wydawnictwo „Encyklopedyi kościelnéj" (dotąd wyszło tomów 21), w któréj liczne bardzo prace własne pomieszczał. Prócz tego ogłosił wiele artykułów po innych czasopismach, broszur, książeczek; wymienić tu należy studyum oryginalne pod tyt. „X. Karol Surowiecki, szkic biograficzny na tle współczesném" (1870); tłómaczył „Symbolikę" Moehlera (1871), Reuscha „Biblia i natura" (1872), Périna „Bogactwo w społeczeństwie chrześciańskiém" (1875), Veuillota „Jezus Chrystus" (1877), Villefranche'a „Pius IX" (1877). Niedawno drukowana była praca oryginalna „Leon hrabia Tołstoj i jego doktryna". W r. 1888 mianowany przez akademię duchowną w Petersburgu i przez uniwersytet jagielloński doktorem teologii *honoris causa*. W r. 1888 duchowieństwo uczciło go medalem. W następnym roku

prekonizowany biskupem płockim, zajął się gorliwie administracyą spraw kościelnych w obszernéj dyecezyi, a mianowicie też kierownictwem osobistém seminaryum płockiego. Obok tego prac literackich nie zaniedbywał. Zmarł 12 czerwca r. b. nagle na anewryzm serca, w Warszawie, a tłumny pogrzéb był wyrazem szacunku, jaki sobie zjednał.

† Dr. **Romuald Pląskowski**, ur. w r. 1821 w Płocku, wychowanie średnie odbył w miejscowém gimnazyum 1845 r., studya medyczne ukończył w uniwersytecie dorpackim i uzyskał stopień doktora w roku 1850. W r. 1854 zajął stanowisko ordynatora w szpitalu ś. Rocha, oraz szpitala Ujazdowskiego. W ciągu lat 1857 — 1859 podróżował za granicą, zwiedzając wydatniejsze zakłady dla obłąkanych i zaznajamiając się z postępami psychiatryi, którą sobie obrał za specyalność. Po powrocie mianowany ordynatorem szpitala ś. Jana Bożego. W roku 1862-im rozpoczął w tutejszéj akademii medyczno-chirurgicznéj wykłady policyi lekarskiéj, hygieny i dyetetyki, a w Szkole Głównéj miewał odczyty psychiatryi, od r. 1864 jako profesor nadzwyczajny, którą to naukę wykładał daléj i w uniwersytecie tutejszym, ale w charakterze docenta i dopiéro na rok przed ukończeniem służby (którą opuścił w r. 1887) zatwierdzony został na stanowisku profesora nadzwyczajnego. Pełen spółczucia dla nieszczęśliwych pacyentów, starał się to usposobienie przelać w serca słuchaczów swoich. W kwestyach, dotyczących hygieny i psychiatryi, bardzo wiele ogłaszał prac po czasopismach; napisał też obszerne dzieło p. t. „Psychiatrya". Zmarł 24 czerwca r. b. Za życia darował Towarzystwu lekarskiemu swą bibliotekę, w testamencie zaś przekazał mu rs. 6,000, od którego procent służyć ma w części na premiowanie prac, dotyczących psychiatryi lub anatomii patologicznéj, w części na koszta podróży dla delegatów, wysyłanych na zjazdy psychiatryczne.



SPROSTOWANIA.

W zeszycie czerwcowym r. b. na str. 487 wiersz 3 od góry zamiast *jako* winno być *jedno*; wiersz 8 od góry zamiast *spalonych do szczypty* winno być *spalonych szczyptę*; wiersz 9 zam. *Wollenera* w. być *Wollernera*; w. 6 od dołu zam. *przesąd* w. być *przesadę*; str. 488 w. 20 od góry zam. *nieco* w. być *niemal*; str. 490 w. 4 od dołu zam. *oto* w. być *to*; str. 492 w. 9 od g. zam. *powadze* w. być *przewadze*; str. 493 w. 22 od g. zam. *wiele* winno być *stale*.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Іюня 1896 г. — Druk Jana Cotty.

OGŁOSZENIA.

CESARSKI UNIWERSYTET WARSZAWSKI.

TEMAT

wybrany przez fakultet historyczno-filologiczny

dla współubiegających się w latach 1896 — 1898 o *nagrodę z zapisu Adama Chojnackiego*

za dzieło popularne, mające na celu oświatę i uobyczajenie ludu:

Napisać albo jednę powieść, przedstawiającą w formie przystępnéj dla ludu prostego etyczny ideał włościanina we wszystkich stosunkach życiowych, albo szereg pouczających opowiadań, ujawniających poszczególne rysy tego ideału.

W takim utworze mają być w sposób poglądowy we wskazanéj formie wyjaśnione istotne cechy etycznego życia ludu, a więc poruszone w nim być winny i rozwiązane w sposób dodatni wszystkie zasadnicze kwestye etyki ludowéj. Do nich należą głównie: znaczenie religii, żywéj, płynącéj z serca wiary w Boga, jako Najwyższe Źródło moralnego porządku; stosunek do ustroju społecznego — państwa i gminy; przywiązanie do ziemi rodzinnéj (np. w przeciwstawieniu do przesiedlania się do miast, emigracyi do obcych krajów); zamiłowanie pracy nietylko dla korzyści materyalnych, lecz jako źródła moralnego zadowolenia; prawość i uczciwość w stosunku do bliźnich; trzeźwość, czystość obyczajów. Trzeba mieć również na względzie wyświetlenie z moralnego punktu widzenia różnorodnych stosunków rodzinnych, jako to: wzajemnych obowiązków małżonków, rodziców i dzieci i t. d.; w szczególności zaś, należy wziąć na uwagę pedagogiczne powołanie ojca i możliwe z jego strony współdziałanie zadaniom szkoły ludowéj. Mają być także uwzględnione: uszlachetniający pierwiastek zabaw ludowych, dążność do przyzwoitego otoczenia (ochędóstwo w domu i w ubiorze), miłość natury (np. zajmowanie się ogrodem), ludzkie obchodzenie się ze zwierzętami i t. p.

Nie można oczywiście żądać od autora, ażeby z równą dokładnościu rozwinął wszystkie rysy etycznego ideału włościanina, wszakże najwybitniejsze z wyżéj przytoczonych powinny być wystawione o tyle wyraziście i przekonywająco, ażeby to mogło wpłynąć na poczucie moralne, a tém samém i na sposób życia prostaczka.

Nie krępuje się autora w wyborze środków rozwinięcia podanego tematu: może np., gdzie uzna za stosowne, posiłkować się kontrastami, przedstawiając zgubne skutki, jakie wynikają z pogwałcenia prawa moralności, byle tylko osiągnął wyżéj wspomniany główny cel utworu. Rozmaitość w tym kierunku byłaby nawet bardzo pożądana, gdyż przyczyniłaby się więcéj do interesującego opowiadania, tudzież dałaby autorowi możność silniéj podziałać na wyobraźnię czytelnika i pobudzić go tym sposobem do samodzielnego zastanawiania się nad kwestyami moralnemi. Wogóle, zadawalniającego opracowania podanego tematu we wskazanym duchu podjąć się może jedynie pisarz-artysta, który naturalnie potrafi zadosyć uczynić wymaganiom poetycznéj prawdy.

Główne warunki konkursu. Nagroda konkursowa wynosi rs. 900. Dzieło powinno być przedstawione na konkurs najpóźniéj dnia 30-go kwietnia (12 maja) 1898 roku. Powinno być napisane w języku rosyjskim i przez poddanego rosyjskiego; ma być wydrukowane albo przedstawione w rękopisie, napisanym porządnie i czytelnie. Pozostawia się uznaniu autora wydanie nagrodzonego dzieła w języku rosyjskim lub polskim. Jeżeli w celu otrzymania przyznanéj nagrody przedstawioném będzie dzieło wydrukowane w przekładzie polskim z ocenionego przez fakultet urzędowego oryginału rosyjskiego, to do dzieła powinno być dołączone zaświadczenie fakultetu historyczno-filologicznego o zupełnéj zgodności tłómaczenia ze wspomnianym tekstem oryginalnym.

Rola jednostki inteligentnéj w społeczeństwie.

Do „inteligencyi" jako klasy społecznéj zaliczamy zwykle jednostki, pełniące zawody, do których przygotowanie wymaga mniéj lub więcéj rozległego wykształcenia teoretycznego.

Przypuszcza się — i nie bezzasadnie — że jednostka, która od młodych lat nawykła do obcowania z książką, (bo jak wiadomo specyalne studya w danym zawodzie poprzedza zwykle wykształcenie szkolne)—któréj sam zawód wymaga pewnego stopnia rozwoju umysłowego, polegając nie na czysto mechaniczném zastosowaniu pewnych
prawideł i biegłości rąk, jak w większéj części rzemiosł, lecz na sam
dzielnéj pracy umysłowéj, mniéj lub więcéj rozległéj, niekiedy n
na twórczości (inżynierya, budownictwo i t. p.), przypuszczają w
i wychowanie i nawyknienie i wreszcie wymagania samego
utrzymywać powinny jednostkę taką na takiéj stopie wyższ
słowéj, która usprawiedliwia zastosowanie do niéj zas
inteligencyi danego społeczeństwa.

Nie sam wszakże zawód, jakkolwiek sk
kolwiek trudnéj i mozolnéj wymaga n
ten właśnie stopień wyksz
się jako konieczna
nam zali

W ten sposób każdy, zaliczany do wymienionéj kategoryi, występuje w roli dwojakiéj. Po pierwsze, jako uczony fachowiec, znający i spełniający z mniejszą lub większą doskonałością to swoje przeznaczenie; będący np. dobrym lub złym lekarzem czy nauczycielem, muzykiem czy malarzem, prawnikiem czy inżynierem. Powtóre, jest wogóle człowiekiem wykształconym, t. j. wyżéj od innych uzdolnionym do pojmowania wymagań swego czasu, mniéj lub więcéj wyzutym z przesądów i zabobonów ciemnych mas, zdolnym ocenić piękność dzieł sztuki i wartość wiedzy bez względu na bezpośrednią użyteczność, obeznany z przeszłością całéj ludzkości i swego narodu, słowem, odpowiadający wszystkim tym wymaganiom, jakie stawiamy człowiekowi wykształconemu.

Pierwszą z tych właściwości nabywa jednostka inteligentna w specyalnie do tego przeznaczonych zakładach jak uniwersytety, szkoły politechniczne, konserwatorya muzyczne, szkoły malarstwa i t. p. a państwo czuwa nad tém, aby przyznanie praw do pełnienia odpowiedniego zawodu zostawało w zależności od właściwego posiędzenia przedmiotu i biegłości technicznéj. Dzieje się to przez wyznaczenie egzaminów zawodowych i udzielanie dyplomów lub patentów.

Druga, t. j. wykształcenie ogólne, jest po części wynikiem nauki w szkołach średnich ogólnych, przygotowawczych do wyższych zawodowych, po części pozostawia się własnéj pieczy danéj jednostki. Wykształcenie w szkołach średnich nie może wszakże wyczerpać tego zadania, raz dla tego, że organizacya ich czyni je raczéj przygotowawczemi do wyższych niż samodzielnemi ogniskami wykształcenia ogólnego; powtóre dla tego, że sam wiek uczniów oraz inne względy nie dopuszczają traktowania wszystkich zadań wchodzących w skład wykształcenia ogólnego. W szkole zaś zawodowéj młodzieniec jest zwy- zbyt zaabsorbowany niezliczonemi studyami swego zawodu, aby kształcić się ogólnie inaczéj jak tylko dorywczo, nie mając przy- néj innéj pobudki prócz wewnętrznego mniéj lub więcéj sta- przeświadczenia o konieczności podobnéj pracy nad sobą, a wobec groźnego widma ciągłych egzaminów usuwa się gi plan, odkłada się w daleką przyszłość.

ego, że ta właśnie cecha, dla któréj ludzi, pełnią amy inteligencyą, t. j. ich wykształcenie znajomością fachową; że będąc dźmi wykształconymi.

że wiele zawo- i złożo- ko-

niecznie potrzebują odpowiedniego do rozwoju formalnych władz i takich wiadomości ogólnych, bez których nie ma wykształcenia.

Tak, można być dobrym muzykiem-technikiem (nie artystą, w lepszém znaczeniu tego wyrazu) lub malarzem-pejzażystą, nie posiadając wiadomości historycznych ani przyrodniczych, nie będąc oczytanym w klasykach poezyi ani w nowszéj publicystyce.

Te zaś zawody, które opiérają się na rozległych podstawach naukowych, które podczas studyów wymagały różnostronnych umiejętności pomocniczych, jak np. prawo, medycyna, inżynierya lub technologia, z czasem zamieniają się na rutynę; człowiek z wiekiem i doświadczeniem nabywa coraz więcéj wprawy technicznéj, wyrabia sobie stałe sposoby wzięcia się do rzeczy i coraz mniéj rozumuje, coraz mniéj potrzebuje odwoływać się do umiejętności pomocniczych, których też niebawem zapomina doszczętnie. Z drugiéj strony człowiek, nie pełniący żadnego z wyżéj wymienionych zawodów uczonych, np. kupiec lub rzemieślnik, może przez pracę nad sobą stanąć na stopie wykształcenia wyższéj od tak często dziś nazywanego „inteligenta,” a możemy sobie łatwo wyobrazić społeczeństwo, w którym pewien dość wysoki stopień wykształcenia stanie się właściwością każdego obywatela, niezależnie od uczonego lub nieuczonego rzemiosła czyli zawodu, jaki pełni. Dwa tylko warunki są ku temu niezbędne: najprzód pewna ilość wolnego od pracy czasu; powtóre rozległe zastosowanie środków, uprzystępniających wykształcenie i naukę dla wszystkich, jak założenie muzeów i bibliotek, wykłady popularne, teatry naukowe, wreszcie tak rozpowszechnione w Anglii, Szwecyi i Belgii uniwersytety ruchome i ludowe.

Wracając wszakże od tego ideału do naszéj smutnéj rzeczywistości, przyznać winniśmy, że pomimo téj zaznaczonéj rozbieżności obu cech stanowiących właściwość człowieka inteligentnego, wogóle rzec można, że w społeczeństwie naszém przeważną część ludzi wykształconych stanowią uczeni zawodowcy.

Z tego dwoistego charakteru ich łatwo da się określić rola inteligencyi w społeczeństwie.

Społeczeństwo jest stowarzyszeniem („kooperacyą”), mającém na celu zadośćuczynienie nie tylko potrzebom materyalnym, ale i moralnym i wogóle wytworzenie ośrodka jaknajszczęśliwszego życia dla każdego ze swoich członków.

Jednostronność ekonomicznego zapatrywania się, każe nam widzieć i w roli inteligencyi przeważnie jéj czynność ekonomiczną, t. j. spełnienie przez nią swoich obowiązków uczonego rzemieślnika, zapo-

minając o téj drugiéj właściwości jako człowieka wykształconego, lub mieszając obie funkcye, podstawiając w rozumowaniach naszych jednę zamiast drugiéj, co wytwarza szereg nieporozumień i sporów, łatwych do rozstrzygnięcia, skoro tylko obierzemy właściwe stanowisko.

Oprócz téj działalności, którą każdy członek społeczeństwa wykonywa jako zawodowiec, w warsztacie czy w laboratoryum, w klinice lub na roli, na trybunie sądowéj, czy w szkole, wywiera on mniéj lub więcéj rozległe wpływy (dodatnie lub ujemne) przez proste obcowanie z ludźmi, czy to spowodowane wymaganiami jego zawodu — np. nauczyciel jako człowiek na uczniów; inżynier na powierzonych jego dozorowi rzemieślników, lekarz na pacyentów i ich rodziny, biuralista na swoich kolegów biurowych—czy też niezależne od zawodu, a wynikające ze stosunków towarzyskich lub zetknięć przygodnych.

Wpływy te polegają na dawanym przykładzie, wygłaszanych zdaniach i sądach, przygodnie rzuconych słówkami, zachęcie i pomocy, słowem na tysiącznych, niepochwytnych nieraz oddziaływaniach, wytwarzających moralną i intelektualną atmosferę ośrodka. Są one tém potężniejsze, im większéj powagi używa dana jednostka dzięki swemu wykształceniu lub zaletom moralnym, stanowisku lub wpływom. Fachowiec uczony, pod tym względem znajduje się w okolicznościach najkorzystniejszych, gdyż i powaga jego rzeczywistego lub domniemanego wykształcenia i wysokie stanowisko, jakie zajmuje w społeczeństwie, i rozległy zakres oddziaływań potęgują wielokrotnie wpływ jego na otoczenie, kształcący lub umoralniający, uspołeczniający lub dezorganizujący.

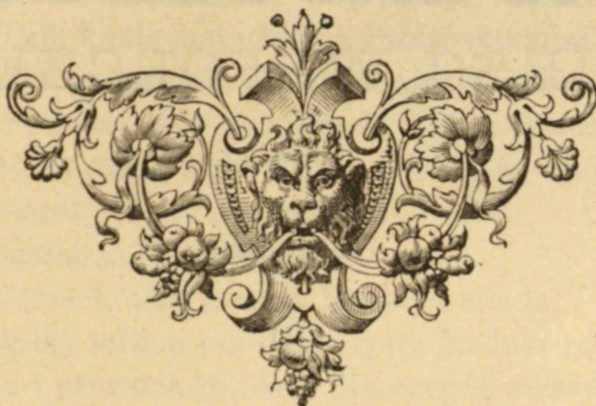
Dla tego też słusznėm jest zupełnie wymaganie od takich jednostek nie tylko wyższości intelektualnéj, ale i moralnéj i wyższego stopnia rozwoju uczuć społecznych.

Inżynier, umiejący poprawnie zaprojektować most, lub lekarz dobrze poznający chorobę, nie spełnia jeszcze całéj swéj funkcyi społecznéj. Stanowisko, które zajmuje w organizacyi ekonomicznéj społeczeństwa, jako rzemieślnik uczony, rola jaka mu przypada w stosunkach prywatnych, jako jednostce wpływowéj, nakładają na niego większe niż na przeciętnego rzemieślnika obowiązki, którym zadość uczynić potrafi tylko pracując więcéj od innych nad wykształceniem i wychowaniem swojém.

Również i tak często potrącana kwestya nadprodukcyi inteligencyi otrzymuje z zaznaczonego tu stanowiska należyte wyjaśnienie. Możemy sobie wyobrazić społeczeństwo, w którém będzie za wiele uczonych rzemieślników pewnego zawodu, np. za wiele lekarzy lub adwo-

katów (nasze jest jeszcze bardzo dalekie od tego stanu, a krzyki o nadprodukcyi płyną nieraz z kolosalnego fałszywego apetytu naszych pseudointeligentnych zawodowców), ale nie może być społeczeństwa, w którém było by za wiele wykształconych ludzi. Przeciwnie, ideałem społeczeństwa jest takie, którego wszyscy członkowie, niezależnie od swojéj funkcyi ekonomicznéj, posiadali by wysoki stopień wykształcenia umysłowego i rozwoju moralnego.

Wł. M. Kozłowski.



RUGIWOJSCY.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Dalszy ciąg).

III.

W obszernym gabinecie hr. Rugarda echa jego kroków, tłumione przez dywan i portyery, tonęły miarowo w ciszy.

Zwykle hrabia po drugiém śniadaniu czytywał dzienniki, które usposabiały go do snu przedobiedniego, lecz dziś sen uleciał, jakkolwiek dzienniki wydały mu się nawet nudniejsze. Był podrażniony, niespokojny i machinalnie rozpoczął wędrówkę po pokoju.

Zwykle nosił głowę lekko pochyloną, obecnie pod natłokiem myśli głowa opadła niżéj, na twarzy żółtawéj, z fałdami bocznemi, malował się niepokój, troska wykrzywiała usta, ocienionemi cienkiemi blond wąsami w ironiczny uśmiéch. Ręce zazwyczaj niespokojne, założył w tył i gryząc w ustach cygaro, chodził po gabinecie, zaglądając czasami w okna, przez które przeglądał dzień senny, mdły, nudny i dżdżysty. Chmury niskie, szarawe, jednostajne w kolorze, przewalały się zwolna po nieboskłonie, sypiąc kiedy niekiedy gęstym a drobnym dészczem, który na przejętéj wilgocią glince rozléwał się leniwo w kałuże, spływał bez szelestu po jesiennych liściach, po gałęziach i korze drzew, otulając je wilgocią ze wszech stron.

— To dopiéro pogoda! — mruknął hrabia i przystąpił do biurka, na którém leżało kilka depesz otrzymanych od żony. Wziął w rękę ostatnią i czytał: „Stan jeszcze groźny, doktorzy robią nadzieję, czekaj depeszy.”

— Czekaj!... czekam też od pięciu dni — zaśmiał się gorzko — i nie wiem, czy wuj żyje? czy umarł?...

— Jeśli wuj wyzdrowiał, a dotychczas zawsze tak bywało, to żona wkrótce powróci i rozpoczną się przygotowania do wyjazdu z Hertą zagranicę, on musi się starać o pieniądze... Rzucił depeszę na biurko i usiadł na fotelu.

— A gdyby można było znaléść dla Herty męża w kraju?—przyszło hrabiemu na myśl—uniknęłoby się dużo kłopotów i wydatków, ale kto? Przypomniał sobie znane nazwiska i przy każdém niemal uśmiechnął się wzgardliwie. Nie, w kraju nie ma nikogo, tylko w staréj Europie: w Anglii, w Niemczech, we Francyi, tam cenią czystość i dawność rodu. Tam konie mają lepszą i starożytniejszą genealogię, aniżeli tu tak zwani arystokraci... Herta znajdzie stosowną partyę... A jeśli nie znajdzie? Odrzucił tę wątpliwość bez wahania. Herta jest zbyt piękna i wysokiego rodu, żona zbyt rozumna, by mogła zajść omyłka, powstać wątpliwość. Inna rzecz posag!?

Ścisnął ramionami niecierpliwie.

Jeśli wuj umarł, tém samém kwestya upada... Gdyby został sukcesorem! Złożyłby milion jako wieczysty fundusz rodu, albo lepiéj dla wnuków swoich i prawnuków, bo i dla czegóż on sam ma się troszczyć o cały ród — tak, bezpieczniéj nawet, by tym funduszem jego potomkowie rozporządzali... Następnie, miałby najlepsze w kraju konie, pojechałby sam do Anglii, do Arabii... Na jesień i zimę pomknąłby zagranicę... i daléj snuł marzenia słodkie o uszczęśliwieniu siebie.

Lekkie stuknięcie do drzwi obudziło go, kamerdyner otworzył cicho i zajrzał.

— Czego? — zawołał hrabia.

— Depesza, panie hrabio—brzmiała pokorna odpowiedź.

— Dawaj.

Na srebrnéj tacy leżała szara koperta urzędu telegraficznego. Hrabia pochwycił ją gorączkowo, rozerwał i przeczytał. Postąpił bliżéj do okna i znów odczytywał zwolna słowa następujące: „Wuj zdrów, przyjadę kuryerem.”

Stał chwilę, namyślał się i zwracając się do sługi, rzekł:

— Wysłać konie na kuryer dzisiejszy... Kareta po panią hrabinę, fornalkę pod rzeczy.

Kamerdyner wyszedł, a hrabia stał na miejscu z depeszą w ręku. Uspokojenie po doznaném wrażeniu przychodziło zwolna. Czuł się zbyt silnym, wielkim, potężnym przed chwilą, by nagłe przebudzenie nie zrobiło mu przykrości. Zwolna złożył depeszę na biurku i zaczął jednostajną przechadzkę po gabinecie i jak gdyby potrzebował potwierdzenia wiadomości, rzekł głośno:

— Wuj zdrów... Tak, wuj zdrów...

Oczekiwane i odczuwane miliony zasnuwały się mgłą, a wraz z niemi obrazy jasnéj przyszłości, natomiast wychylała swą posępną twarz teraźniejszość. To dziś z całym szeregiem kłopotów finansowych i familijnych było dla niego męczące, przykre, wstrętne, a jednak musiał się niém zająć. Zbliżył się do biurka i wziął ostatni wykaz kasowy z podkréśloną cyfrą gotówki 2,400 rubli; jednak te piéniądze należą do wydatków gospodarskich, więc odłożył papiér i poszukał raportu o ziarnie przygotowaném na sprzedaż. Zrobił w myśli rachunek sprzedaży, jednak suma 15,000 rubli wydała mu się tak niską, że na razie rzucił raport z goryczą. Lecz jeśli żona zechce wyjechać w tym miesiącu, nie ma co zwlekać ze sprzedażą, przeciwnie — należy pośpieszyć.

Nowy rządca, Dołsunowski, załatwi tę sprawę. Nawet dobrze układają się stosunki, pocieszał się hrabia, ta sprzedaż będzie próbą ogniową jego zdolności i sprytu Przejrzał ceny targowe i przeciętna dała 80 kop. za pud pszenicy, ale pszenica z Wieszar, jego pszenica warta więcéj, rozumował hrabia, trzeba podwyższyć cenę. Właśnie miał zadzwonić na lokaja, by kazać zawołać rządcę, gdy wszedł kamerdyner.

— Czego?

— Pan doktór przyszedł.

— Prosić.

Witając się z doktorem, rzekł hrabia:

— W sam czas przyszedłeś, doktorze, chcę wypróbować twego protegowanego.

— Pan hrabia postępuje według Pisma świętego: Nie słów, lecz czynów nam trzeba—odpowiedział zagadnięty.

— To moja zasada — mówił hrabia, siadając przed biurkiem. — Nie miałem zamiaru sprzedawania zboża teraz, ale... chciałbym doświadczyć Dołsunowskiego, póki jestem swobodny. Polecę mu sprzedaż.

— Sądzę, że wywiąże się dobrze.

— Zobaczymy...

— Jeśli sprawę pokpi — mówił doktór surowo — pierwszy będę prosił pana hrabiego, by go wydalił.

Hrabia popatrzył bystro na mówiącego i szepnął:

— Tak dalece?

— Mam głęboki szacunek i wysoką cześć nietylko z powodu szlachetności i dobroci pana hrabiego, ale także ze względu na przeszłość—kończył doktór, akcentując ostatni wyraz.

Hrabia uśmiéchnął się łaskawie. Pochlebstwo osobiste, byle nie płaskie i nudne, jest zawsze miłe, ale pochlebne słowa dla rodu były mu przyjemniejsze. Milczał.

— Pragnąłem jedynie—mówił doktór cichszym głosem—umniejszyć panu hrabiemu trosk i kłopotów gospodarskich i dlatego zaproponowałem Dołsunowskiego.

Na te słowa zachmurzył się hrabia, wzmianka doktora o troskach i kłopotach zadrasnęła jego dumę. Spostrzegł to doktór i uśmiéchając się słodko dorzucił:

— Stan zdrowia pana hrabiego, jakkolwiek nie budzi obaw, wymaga spoczynku.

Tę troskliwość przyjął hrabia łaskawie i rzekł:

— Masz słuszność, doktorze, bywają chwile zdenerwowania... Wracając do rządcy, sądzisz, że umié sprzedawać?

— Był czas dłuższy u Wieńkowskiego, powinien być praktyczny.

— Ha, sprobujemy. Proszę, zadzwoń doktorze.

Doktór szybko podszedł do drzwi i nacisnął guzik. Po przyjściu lokaja rozkazał hrabia:

— Zawołać rządcę tutaj. Czekam.

Gdy zostali sami, mówił hrabia, czyszcząc scyzorykiem paznogcie:

— Powiédz mi, doktorze, jakie wady ma Dołsunowski?

— Wiem o jednéj, kardynalnéj — odpowiedział z uśmiéchem zapytany.

— Jaka?

— Ma żonę. Surowa, gniewliwa i trzyma go tak ostro, że on ani piśnie.

— Ładna?—zapytał hrabia zaciekawiony.

— Brzydka i gadatliwa, ale sprytna.

— Czy tylko tę wadę znasz, doktorze?

— Wystarczy na jednego—zaśmiał się doktór—ale jest i zaleta... Ma córkę bardzo ładną.

Hrabia zrobił ruch lekceważący i rzekł drwiąco:

— To się żeń, doktorze.

— Z taką teściową? Nigdy!

— Nie zarzekaj się... Słodycz z goryczą da się pogodzić—mówił rozweselony hrabia.

— To prawda, ale pod warunkiem, by słodycz była w ładnéj bombonierce.

— A jéj słodycz?

— Naga, bez bombonierki. Posagu żadnego, jak na nasze czasy, zbyt twardy orzech.

— Gdy byłem młodszy, gryzłem twardsze — rzekł hrabia, przypominając sobie wesołą przeszłość.

— Pan hrabia chciał, więc mógł i miał prawo... Co innego my?!

Hrabia, bawiąc się scyzorykiem, zapytał:

— A czego chcesz, doktorze, w życiu?

Doktór zawahał się, wreszcie skromnie odpowiedział:

— Być pożytecznym Bogu i ludziom — ostatnie słowo wymówił z intencyą wyraźną.

— A daléj?

— Poznać życie we wszelkich formach.

— DziecińStwo! — zawołał hrabia. — Najczęściéj jest na dnie rozczarowanie... Celem życia jest wypełnienie obowiązków, tak *ja* pojmuję życie!

Słówko ja podkréślił i doktór zrozumiał, że dalsza dyskusya jest niepotrzebna, jednak dodał:

— Wielkie obowiązki nakłada Bóg na wielkich ludzi, a małe na małych.

— Dobrze powiedziałeś—rzekł hrabia zwolna, przypomniały mu się bowiem wymagania żony.

W téj chwili kamerdyner zawiadomił o przyjściu rządcy.

— Niech wejdzie.

W progu stanął pan Dolsunowski, wzrostu więcéj niż średniego, ubrany dość starannie, z twarzą rozjaśnioną zaszczytem powołania go do gabinetu. Szybko objął cały pokój niebieskiemi oczyma, z których lewe zézowało, zrobił nerwowy ruch ręką ku swéj ściętéj brodzie, skłonił się nisko i zamykając drzwi cicho, postąpił krok naprzód.

— Proszę bliżéj — rzekł hrabia, patrząc obojętnie przed siebie i nie odwracając się, podał dwa palce na powitanie.

Pan Dolsunowski z uniżoną skwapliwością i z głębokim ukłonem uścisnął podane palce w milczeniu.

Zamienił następnie z doktorem uśmiéch przyjazny i wyprostowawszy się czekał rozkazów.

— Mój panie Dołsunowski—przemówił hrabia—sprzedasz w tych dniach gotowe ziarno, i pszenicę, i jarzynę.

Zaczerwieniony rządca skłonił się i wyjąkał:

— Dziś ceny nieszczególne. Może późniéj...

— Nie pytam o radę — powiedział hrabia zimno. — Pszenicę po 85 kop., jarzynę po 50 kop. za jeden pud; awanse odpowiednie, by nie było późniéj z kupcem kłopotu.

— Rozumiem, panie hrabio.

— Niech się pan Dołsunowski dobrze sprawi — mówił hrabia, podkréślając słówko dobrze—doktór wié, dlaczego robię tę uwagę.

Rządca utkwił swe oczy w uśmiéchniętą twarz doktora i milczał.

Hrabia rzucił okiem na ostatni, zeszłotygodniowy raport i zapytał:

— Ile gotowéj pszenicy?

Pan Dołsunowski z nerwowym pośpiechem wyjął notatnik z bocznéj kieszeni tużurka, co spostrzegłszy hrabia rzekł ostro:

— Nie pamiętam cyfr gadanych? Raportu nie przyniósł pan Dołsunowski? Proszę dziś podać.

Zmieszany rządca wciskał nerwowo notatnik w kieszeń, patrząc z przerażeniem na doktora, który z uśmiechem jednostajnym błądził wzrokiem po pokoju.

— Stanie się według rozkazu pana hrabiego — wyjąknął, schowawszy wreszcie notatnik.

— Kupca z Wieszar nie chcę, to nędzota—mówił daléj hrabia.— Przed ostateczném załatwieniem sprzedaży, czekam zawiadomienia.

Umilkli. W obszernym gabinecie słychać tylko było stłumione tik-tak zégara bronzowego.

— Pan Dołsunowski był dzisiaj na folwarkach?

— Na wszystkich.

— I co?

— Wszystko w porządku.

— Gdy i sprzedaż gładko pójdzie, będzie dobrze — rzucił hrabia i skinął głową na znak pożegnania.

Rządca złożył głęboki ukłon, uścisnął podane palce, uśmiéchnął się obowiązująco do doktora i cicho wysunął się z pokoju.

— Może z niego co i będzie — odezwał się hrabia po dłuższém milczeniu.

— Chwalono mi go bardzo —dodał doktór.

Hrabia skończył cygaro i ziéwając zapytał:

— Widziałeś Pawła, doktorze? Podobno leży chory.

— Nikt mnie nie zawiadomił, a w przedpokoju nie zauważyłem jego nieobecności—mówił doktór, wstając z fotela.

— Jednak ja zauważyłem, chociaż on taki mały — rzekł hrabia z lekką wymówką. — Za godzinę lub dwie przyjedzie hrabina kuryerem, zostań, doktorze, na obiedzie.

— Będę służył—bąknął doktór, żegnając hrabiego.

W oznaczonéj godzinie przypuszczalnego przyjazdu hrabiny, oczekiwali na nią w gabinecie, przy salonie jadalnym, Herta i hrabia, który niespokojny, rozdrażniony, przechadzał się, rzucając okiem raz wraz na okno, wychodzące na aleę wjazdową. Herta siedziała w fotelu spokojna, przerzucjąc leżące na stole album widoków włoskich.

— Sądzisz, że matka dziś przyjedzie? —zapytał ojciec, nie przerywając spaceru.

— Depesza została wysłana wczoraj, więc myślę, że dziś—odpowiedziała Herta spokojnie.

— I ja umiem tak rozumować—rzekł hrabia złośliwie.

Umilkli oboje. Po chwili hrabia, stanąwszy przy oknie, wyjął zégarek i mówił głośno:

— Kuryer przychodzi o godzinie 6 minut 30. Przypuszczam, że 10 minut wystarczy, by siąść do karety. Do nas z kolei półtoréj godziny, po oślizłéj drodze dwie godziny, więc o godzinie 8 minut 40 powinna matka być tutaj. Teraz jest pół do ósméj, zatém za 40 minut lub za godzinę i dziesięć minut skończy się oczekiwanie, krócéj lub dłużéj zależy od biegu koni. Czy tak, Herto?

— Zdaje mi się, że tak — odpowiedziała równym, spokojnym głosem.

Ten spokój córki irytował jeszcze bardziéj ojca. Był rozdrażniony nietylko oczekiwaniem na żonę, ale męczyły go różne przypuszczenia, odnoszące się do wuja Jasmunda. Jak przyjął przyjazd żony? Co mówił? Kto był u niego? Czy testament zrobiony? Jaka treść? — Te pytania przesuwały się chaotycznie, niepokoiły go, drażniły, bolały; a tymczasem Herta, taka spokojna, cicha, obojętna, przegląda ryciny.

Założył w tył ręce, głowę pochylił prawie na piersi i nierównemi krokami mierzył długość pokoju. Herta, która bokiem obserwowała ojca, widząc go tak niespokojnym, odezwała się miękkim głosem:

— Dlaczego się ojciec tak niepokoi? Mamy nie spotkało nic złego. Nie przyjedzie dziś, przyjedzie jutro.

— Zapewne. Nie dziś, to jutro—mówił zgryźliwie—nie jutro, to pojutrze lub za tydzień. Liczyć godzin nie umiecie nigdy, ale oszczędzać się w depeszy, zawsze!

Po chwili dodał:

— Powiédz sama, co szkodziłoby dodać w depeszy słówko: dziś czy jutro. Ale nie! Niech konie się męczą, niech wszyscy oczekują dzień i noc.

Herta opuściła niżéj nad książkę lekko zarumienioną twarz, przyznając milczeniem słuszność ojcu.

— Pamiętaj, Herto, gdy będziesz z matką zagranicą—zaczął ojciec gniewliwie — depesze i listy powinny być jasne i dokładne dla mnie. Dyplomatyczne półsłówka zostawcie dla innych...

— Czy kiedykolwiek z ojcem nie byłam jasną i szczerą?—zapytała Herta z wymówką.

Niepokój egoistyczny nie pozwolił mu na spokojną odpowiedź i odezwał się surowo:

— Mówię o przyszłości, nie o przeszłości.

To rozdrażnienie oczekiwania udzieliło się i Hercie. Jéj biała, niemal przezroczysta płeć twarzy przechodziła w różową, skronie pulsowały, lecz na widok chmurnego ojca przezwyciężyła się i postanowiła rozpocząć rozmowę.

— Czy ojciec nie mógłby mi powiedzieć, kiedy z mamą wyjedziemy?

— Pytasz o dzień czy miesiąc?

— Wogóle.

— Wogóle nic nie wiem, to zależy od matki — odpowiedział szorstko.

Umilkli.

— Chciałabym być nad morzem--rozpoczęła znów Herta.

— Dlaczego?

— Lubię morze i jeśli już nie widzę łanów i stepów, mam przynajmniéj morze.

— A mnie morze nudzi swą jednostajnością—mówił hrabia, stając przed Hertą.

— Ojciec żartuje... Morze tak ruchliwe, zmienne, nieskończone.

— W baśni jest ono takie, ale naprawdę...

— Gdy pierwszy raz ujrzałam morze, byłam zachwycona! — mówiła Herta szczerze.

— Złudzenie! Jechałem swego czasu z Odessy do Marsylii — zaczął hrabia, pobudzony przedmiotem rozmowy — morze było niespokojne, burzliwe, gniewała mnie ta niemoc człowieka wobec wody, ta niepewność nieustanna, to chybotanie się ciągłe, zależność od wiatru, fal i skał. Wracałem już przez Paryż, Berlin, Warszawę, obrzydło mi morze.

— Różnimy się z ojcem. Mnie pociąga tajemniczość głębin, bogactwo kolorów, zmienność fal i ta bezmierność widoku.

Ojciec uśmiéchnął się rad z zamiłowania córki i przypominając sobie los matki ich rodu, dodał żartobliwie:

— Byle cię morze nie porwało, jak ową Hertę z tradycyi naszéj.

— Nie ma obawy—odpowiedziała poważnie.—Nie jestem córką królewską.

— Ale dziedziczką ich krwi i nazwiska—dodał ojciec dumnie.

Ledwie dokończył tych słów, gdy spostrzegł światła karety, wysłanéj na dworzec.

— Matka przyjechała—to mówiąc wyjął zégarek i kończył mrucząc:—obliczyłem co do minuty, półtoréj godziny z kolei, dobre konie.

W oświeconym przedsionku kurytarzowym nastąpiło spotkanie. Mąż, całując przybyłą w rękę, rzekł z uśmiéchem:

— Punktualność jest grzecznością królowy.

Hrabina spojrzała zimném, zmęczoném okiem, uśmiéchnęła się z przymusem i zwracając się do Herty, zapytała.

— Bolo zdrów?

— Najzupełniéj.

Hrabia podał rękę żonie i odprowadził do jéj drzwi.

— Czy mogę wejść?—zapytał uprzejmie.

— Za mały kwadrans. Muszę się przebrać z podróży.

Weselszy nastrój, w który go wprowadziła rozmowa z Hertą i dobre konie, ustąpił, gdy wszedł do swego gabinetu, chmurnym myślom i przypuszczeniom. Żona była smutna, przygnębiona, więc albo jest zmęczona podróżą, co wobec wygód kolejowych trudno przypuścić; albo przywiozła wiadomości niepomyślne. Powrotna fala pesymizmu była silniejszą: kwestya spadku i przyszłości przedstawiała mu się w szarych, ciemnych, wreszcie czarnych obrazach. Oparł głowę zmęczoną myślami na ręku i wpatrzył się w kąt zasunięty cieniem. Jasne światło dwóch kandelabrów uwidoczniało ostro rysunek głowy. Miękkie, rzadkawe blond włosy, były w połowie siwawe, ręka biała, ładna, delikatna, uwydatniała silniéj pomarszczoną, zmęczoną twarz, nos wielki, przeświecając w świetle żółtawo, rzucał boczny cień. Cała twarz robiła wrażenie podobizny zdjętéj z portretu, a ulepionéj z wosku.

Lekkie pukanie do drzwi obudziło hrabiego z zadumy.

— Kto tam?

Drzwi się uchyliły, wejrzała uśmiéchnięta Lucya:

— Pani hrabina czeka.

Gdy hrabia wszedł na pokoje żony, zastał ją siedzącą na kozetce i uśmiéchniętą. Chce mi osłodzić pigułkę—pomyślał—i usiadł ciężko na fotelu, oparł się wygodnie i rzekł:

— Cóż wuj?

— Był niebezpiecznie chory, jednak atak przeminął szczęśliwie. Był rad z mego przybycia.

Ostatnie słowa tak dalece nie zgadzały się z przekonaniem popoprzednio powziętém, że mimowolnie zawołał:

— Czy się tylko nie mylisz?

— Wiem, co mówię—odpowiedziała oschle.

— Był Skotacki? — zapytał nagle hrabia, gdyż rozumował, że nieobecność jego wpłynęła tak korzystnie na wuja.

— Skądże to pytanie?—mówiła zdziwiona—jeśli z przyjaźni, to on jéj nie podziela—kończyła z uśmiechem sarkastycznym.

— Przyjaźń—zawołał gorąco—powiédz nienawiść.

— Jesteś niemożliwy z twoją namiętnością.

Umilkli. Hrabia nerwowo ściskał ręce, wreszcie rzekł:

— Czy jedziesz z Hertą?

— Otrzymałam właśnie listy, chciałabym pojechać za tydzień.

— Za tydzień—zdziwił się mąż.

— Muszę pośpieszyć, czekają nas w Wiedniu.

— Jak dla mnie, trochę zawcześnie... ale postaram się— kończył z westchnieniem.

— Wuj na stroje Herty wręczył mi pewną kwotę — mówiła spokojnie, uśmiéchając się leciutko.

— Wuj!... Mówiłaś z nim o tém?—zapytał niespokojny.

— Dowiedziawszy się o zamierzonéj podróży, wuj sam się ofiarował — a widząc podejrzliwy wzrok męża, dodała: — odmówić nie mogłam.

— Ile?—zapytał oschle.

— Pięć tysięcy... Wystarczy na pierwszą chwilę.

Te słowa żony, a zwłaszcza ton łagodny i uprzejmy uspokoiły hrabiego.

— Cóż wiecéj nowego?—zapytał weselszy.

— Wuj przyrzekł podarunek ślubny dla Herty.

— Wzruszył się starzec... Dokonałaś istnego cudu — kończył, skłaniając głowę przed żoną.

— Był przez cały czas bardzo dobry i uważający — dodała zadowolona.

— A ja się tak namartwiłem!— zawołał hrabia, przypomniawszy sobie dzisiejsze niepokoje.

— Niepotrzebnie—odpowiedziała z uśmiéchem wyższości—przecież ja tam byłam.

— Należałoby podziękować wujowi. Możeby Herta napisała?

— Już to mnie zostaw... Cóż u was nowego?

— Wszystko dobrze. Brakowało nam ciebie — mówił z dobrym uśmiéchem.

— Do Bola zgodziłam za poradą wuja nauczyciela. Miss Ellen odprawię.

Słowa o nauczycielu ubodły jego dumę ojcowską, rzekł też porywczo:

— Do wychowania córki ja się nie mieszałem, ani też do bon, ale synowie? Przynajmniéj należało mnie zapytać.

Twarz hrabiny spochmurniała, była jednak o tyle dyplomatką, że nie chciała narażać siebie i nauczyciela na kwaśne miny męża; i odpowiedziała spokojnie:

— Stało się to tak nagle, że nie miałam czasu zawiadomić cię. Rozmawiałam z wujem o Bolu, którego radzi kształcić w kraju, podobnie jak ty zamierzałeś, i sam zaproponował nauczyciela... musiałam przyjąć.

Spostrzegłszy, że niedostatecznie uspokoiła męża, dodała:

— Nic straconego. Nie podoba ci się, da mu się na podróż powrotną i koniec.

— No tak, zapewne... Cóż on za jeden?

— Był już w kilku domach. Widziałam go, jest o tyle, o ile możliwy.

— Dobrze. Zobaczę—mówił uspokojony.

Umilkli. Przytłumione echa dzwonu dawały znać o podaniu obiadu, z którym czekano na hrabinę.

— Chodźmy — rzekł hrabia, wstając — dziś jest doktór na obiedzie.

— Idź. Za chwilę przyjdę.

Obiad był ożywiony, niemal wesoły. Hrabia poweselał, opowiadając o zamierzoném polowaniu na Litwie. Gdy potrącono sprawę wyjazdu, przypomniał sobie dzisiejszą konferencyę z rządcą i zwracając się do doktora powiedział:

— A przypilnuj, doktorze, Dołsunowskiego — robiąc aluzyę do sprzedaży zboża.

— Kto to?—zapytała hrabina.

— Nowy rządca—odparł wesoło hrabia.

Żona skinieniem głowy i uśmiéchem podziękowała mu za tę niespodziankę.

IV.

Pan Dołsunowski po wyjściu z gabinetu powziął plan pojechania do miasta powiatowego, by wybadać ceny i znaléść kupca. Przedewszystkiém jednak myślał o raporcie. Szedł pieszo ku domowi, znając bowiem słabość hrabiego do koni unikał ich używania. Dom, w którym mieszkał, niezbyt daleko od pałacu, był to budynek niewielki, drewniany, kryty blachą, z małym gankiem na dwóch słupach i nędznemi akacyami na froncie. Za domem rozciągał się ogród z kilkunastu wisien i jabłoni, i obszernego warzywnego pola. Sam dom przedzielony był sienią na dwie równe części. Z lewéj strony był jadalny pokój, zarazem kancelarya rządcy, za jadalnią kuchnia wraz z śpiżarnią. Po prawéj był bawialny i dwie sypialnie: małżeńska i druga dwóch córek.

Zaledwie rządca otworzył drzwi od ganku, gdy równocześnie pokazała się w drzwiach jadalnego pokoju twarz jego żony. Mąż zdejmował w sieni głębokie kalosze, w tém odezwał się niecierpliwy głos żony:

— I cóż?

— Wszystko dobrze. Jutro jadę do miasta.

— Chodź-że prędzéj i gadaj – mówiła, usuwając się ze drzwi.

— Zaraz — powiedział, wchodząc do pokoju — tylko zdejmę surdut, bo szkoda.

— Masz twój na krześle. Opowiadaj-że.

— Ależ ty gorąco kąpana. Poczekaj, niech odetchnę po tém błocisku.

Mówiąc to, usiadł ciężko na krześle i głośno sapał.

Twarz pani Dołsunowskiéj ordynarna, gruba, posiadała ciemne, ruchliwe oczy, które w téj chwili patrzały badawczo na męża. Nos wielki, mięsisty, zadarty, poruszał się gdy mówiła z wielkim zapałem. Ciemne włosy, nisko opuszczone, zasłaniały do połowy czoło. Usta grube, szerokie, łatwe do uśmiéchu i grymasu, odsłaniały popsute, zżółkniałe zęby. Cała postać skłonna do otyłości, uwidoczniała energię w długich, ciężkich, niezgrabnych rękach i w ruchach nóg, któremi nawet siedząc poruszała. Szukała chluby ze swéj, jak mawiała, szczerości, naprawdę rubaszności i despotyzmu.

— Wysapałeś się w końcu? — zawołała zniecierpliwiona.

Mąż spokojnie wyjął papiérośnicę, zapalił papiérosa i rzekł:

— W gabinecie hrabiego zastałem i doktora...

— O ten to ziółko — przerwała żona — dobrze by było mieć go zawsze za sobą. No i cóż?

— Hrabia polecił mi sprzedaż pszenicy...

— Opowiadaj po kolei. Jak cię przywitał?

— Jakże? Podał mi rękę i koniec.

— O to się nie pytam, to rozumié się samo przez się, przecież ty taki dobry szlachcic, jak i on. Bo ja kpię sobie z tych tytułów zagranicznych. Ale czy był uprzejmy?

— Ależ uprzejmy...

— Prosił cię siedzieć?

— Nie.

— Cóżeś ty zrobił?

— A cóż? Nic!—odpowiedział zafrasowany.

— Widzisz. Tyle razy ci mówiłam, z takimi panami tylko ostro. Ja na twojém miejscu wzięłabym krzesło i usiadła. Ale ty... ty... — mówiła z wyrzutem.

— No, nie siadłem — rzekł zgnębiony i zaciągnął się dymem z papiérosa.

— Opowiadaj daléj, ale szczerze, nic nie opuszczaj.

— Hrabia kazał mi sprzedać pszenicę po 85 kop., jarzynę po 50 kop. za pud i wziąć dobry awans.

— Pewno mu trzeba piéniędzy?

— Nie wiem.

— Cóż daléj?

— Powiedział coś, czego dobrze nie rozumiem.

— Powtórz, ale dosłownie.

— Zaraz. Powiedział: niech się pan Dołsunowski dobrze sprawi, doktór wié dlaczego robię tę uwagę.

— Mówiłeś z doktorem?

— Kiedyż miałem mówić? Przecież on w pałacu...

— Dla mnie te słowa jasne. Hrabia wygadał się pewnie przed doktorem, że ciebie upoważni do sprzedaży wszystkiego zboża. Doktór musiał odradzać, o, bo on sprytny! Ale hrabia postawił na swojém i wezwał doktora na świadka, że sprzedaż poleca tobie. Ale powtórzno raz jeszcze.

Mąż powtórzył.

— Zobaczysz, że tak jest, jak mówię. O! ja poznałam się już na doktorze! Zawsze jednak idź dziś do doktora, niech on się wytłómaczy, ale zrób to sprytnie. Albo nie! Zaproś go tutaj, ja z nim pogadam, będzie lepiéj.

— Jak sobie chcesz—odpowiedział obojętnie.

Po chwili zapytała:

— I nic więcéj?

— Zażądał raportu z gotowego ziarna.

— Et, głupstwo, było mu cyfrę powiedziéć i koniec.

— Chciałem, ale hrabia odpowiedział, że nie lubi cyfr gadanych.

— Patrzcie go! Niechże ci doda pisarza podręcznego! Za tę marną pensyę będziesz pracował dni i noce. W dzień gospodarstwo, w nocy rachunki, raporta. Czy słyszał kto coś podobnego?

— Raport muszę napisać, ale na prawdę nie wiem dokładnie co do puda.

— Zawsze lepiéj mniéj podać w raporcie dla bezpieczeństwa. Późniéj niedobór i biéda. A zresztą zepsuje się, zgrzeje, ktoś ukradnie, albo co, jest zawsze czém załatać.

— Może masz i racyę.

— Ty mnie słuchaj, a dobrze wyjdziesz.

— A jeśli źle?—rzekł mąż z uśmiéchem.

— Ja odpowiadam za to, co radzę. I gdybyś mnie był słuchał, nie siedzielibyśmy tu w tych ciupach, daleko od ludzi, ale...

— Muszę raport przygotować—przerwał mąż wyrzuty.—A wy już po herbacie?

— Już, ale w czajniku zostawiłam dla ciebie—to mówiąc wstała i zaraz rozległ się w kuchni jéj głos zrzędzący.

Doktór tego wieczora był niewidzialny. Na drugi dzień rano pan Dołsunowski pojechał do miasta, rozesłał faktorów i czekał kupców. Zjawili się kupcy, lecz niestety ceny oznaczonéj przez hrabiego nikt dać nie chciał. Zaledwie po długich targach dawano 80 kop. za pud pszenicy z dostawą do kolei. Co do żądanéj dostawy, rządca nie był w kłopocie. Hrabia nie mówił i słowa, czy sprzedaje z dostawą, czy bez niéj; tłómaczenie łatwe, ale ta cena!?

Dopiéro od dwóch tygodni był rządcą u hr. Rugiwojskiego. Użył próśb, protekcyi różnych osób, by otrzymać to miejsce, nie dlatego, aby pensya lub wygody gospodarskie były korzystniejsze, przeciwnie, proponowano mu lepsze warunki, ale zadawalniało to jego ambicyę, że służy u hr. Rugiwojskiego, a nie u byle jakiego właściciela. Następnie rozumował, że po śmierci hr. Jasmunda, majątek znacznie się powiększy sukcesyą i on z rządcy zostanie plenipotentem. A gdyby i sukcesya ominęła, to po wysłużeniu chociażby roku, każdy przyjmie go chętnie na rządcę, szukając chluby w słowach: „Mam rządcę Rugiwojskiego u siebie”, a tego rodzaju patent posiadał wielką wartość. Inaczéj bowiem traktuje się i płaci rządcę, który służył u wielkiego pana, a inaczéj, gdy był gdzieś u zwykłego szlachcica. Pan Dołsu-

nowski rozumiał to dobrze, i ten złoty sen przyszłości, który umilał mu nietylko pracę, ale i pożycie domowe, może się nagle, jednêm niepowodzeniem, zmienić w smutną przyszłość, bez widoków polepszenia. Podejrzenie rzucone przez żonę na doktora nie tylko skiełkowało, ale i zakwitło. Kto winien, że hrabia podał tak wysoką cenę? Doktór winien. Czuł têm większy żal, że głównie doktorowi zawdzięczał tę posadę, on postawił go tak wysoko, by późniéj zepchnąć; gdyż rozumował daléj: oto pierwsze polecenie hrabiego, zostaje niewypełnione! Żądanéj ceny wyciągnąć nie można! Następstwa są widoczne. Hrabia cofnie polecenie sprzedaży, a on z rządcy w kluczu Wieszar, zejdzie do nadzorcę folwarków, jeśli nie gorzéj.

Tego rodzaju myśli i przypuszczenia skłaniały go do większéj gorliwości w poszukiwaniu kupna. Ale im gorętsze były namowy, im większe ułatwienia dostawy i oczyszczenia zboża, têm twardsze warunki stawiali kupcy i ku wieczorowi poczęli obniżać cenę dawaną rano.

Zmartwiony, zniechęcony, zły na kupców, na cenę, na hrabiego i doktora, wyjechał z miasta nocą nie załatwiwszy interesu.

— A to psie szczęście! — powtarzał co chwila, podniecał się co raz więcéj swêm niepowodzeniem w sprzedaży, aż wreszcie wyładował na furmana swoją złość.

Bryczka zaczepiła przypadkiem o słup przydrożny, więc obił furmana, sam powoził i batem na koniach czynił ulgę swéj pasyi. Noc była chmurna, deszcz rosił gęsty, p. Dołsunowski w rozpiętéj burce, bez rękawiczek, kierował końmi i znacznie uspokojony przyjechał do domu.

Żona mimo późnéj godziny czekała na niego z kolacyą. W czépku na głowie, w białym, zbrukanym kaftaniku, w spódnicy kolorowéj, siedziała w jadalnym pokoju, to drzemiąc, to cerując pończochę. Na turkot bryczki wyszła ze świécą do sieni i uśmiechając się wesoło, pomagała mężowi zdjąć przemoknięte wierzchnie ubranie.

— Ale zmokłeś! Tak ciemno i taka psia pogoda, że myślałam, że zanocujesz w mieście. Byłabym czekała tylko do pierwszéj.

— Daj mi wody do rąk — przemówił mąż.

— Zgubiłeś rękawiczki?

— Nie, ale szelma furman, tak źle wiózł, że sam wziąłem lejce i zdjąłem rękawiczki, bo szkoda.

Ta odpowiédź i ton ostry zaniepokoiły ją.

— Dam ci wodę z kuchni, bo jeszcze pobudzą się dzieci.

No chodźże raz i powiédz co się stało?

Po szczegółowém opowiedzeniu niefortunnych usiłowań sprzedaży, oboje małżonkowie zgodzili się na to, że chwila jest poważna, że wprawdzie doktór zawinił, ale należy spolitykować i wezwać go na walną, jutrzejszą naradę.

Po obowiązkowéj, popołudniowéj wizycie lekarskiéj w pałacu, wolancik doktora Bielańskiego zatrzymał się przed gankiem domu państwa Dołsunowskich.

Pani wyprawiając męża na pierwsze przywitanie, mówiła do starszéj córki: -

— Uważaj, aby nam nikt nie przeszkadzał, przyjdziesz Janiu wtenczas kiedy zawołam—i weszła sama do bawialnego pokoju, małego, z podłogą zaprawioną farbą i woskiem. Pod szerokiém, a niskiém oknem z kilkoma wazonikami kwiatów, ujętém w ramy białych firanek stał garnitur mebli wyścielanych, krytych zielonym rypsem. Pod ścianą, obok drzwi prowadzących do sypialni córek był fortepian, a nad nim oleodruk z krajobrazem górskim. Mdły zapach mydeł toaletowych, przedostawał się i z sypialni córek i z małéj sypialni małżeńskiéj połączonéj z bawialnią, drzwiami szerokiemi, pomalowanemi na żółto.

— Ależ pana doktora trudno złapać — mówiła pani, pokazując w uśmiechu swe zepsute zęby.

— Obowiązki pani dobrodziejko, obowiązki — odpowiedział doktór witając się uprzejmie i szukając oczyma pięknéj Jani.

— Obowiązki swoją drogą, a przyjaźń swoją. Niechże pan doktór siada—zapraszała pani—mamy wielką prośbę do pana.

— Czémże mogę służyć—mówił z ugrzecznieniem.

— Wiemy, że panu doktorowi zawdzięczamy naszą dzisiejszą pozycyę—zaczęła przymilając się—ale my sobie taka zwykła szlachta i nie znamy się na hrabskich finezyach...

— Więc?... — rzucił doktór zaciekawiony.

— Otóż mój Władzio — ciągnęła daléj spojrzawszy na milczącego męża — jest jedyny do roboty, ale nie umiał sobie wytłómaczyć słów hrabiego: „że pan doktór wié dlaczego polecił sprzedaż zboża."

— Ale to naturalne! — zawołał doktór. — Przed przyjściem pana Dołsunowskiego, mówiliśmy z hrabią o sprzedaży zboża — tu popatrzyła pani porozumiewawczo na męża – i hrabia oświadczył, że ta sprzedaż będzie dla niego próbą zdolności rządcy.

— Ja to mówiłam mężowi — rzekła tryumfująco — no powiédz, czy nie tak?

— A tak—odezwał się mąż z westchnieniem. — Cóż gdy szelmy kupcy nie dają téj ceny.

— To źle, bardz źle—mówił doktór poważnie.

— Jeśli téj ceny nie ma, to przecież nie dołożymy hrabiemu z naszéj kieszeni — zawołała szorstko.

— Choćbym chciał, to nie mam — mówił zmartwiony rządca.

— Ostatecznie jaką cenę dają kupcy? — zapytał doktór.

— Osiemdziesiąt z dostawą — odpowiedział chmurno.

— To źle. Muszą dać ośmdziesiąt pięć.

— Dobrze panu doktorowi mówić: muszą—zaśmiała się przykro pani — ale kto ich zmusi?

— Szukać kupca. Nie tu, to tam, ale znaléźć, — mówił doktór z naciskiem — bo z hrabią nie ma żartów.

— Pokazywali mi żydzi ceduły handlowe z zagranicznych rynków — bronił się rządca — i mają racyę, że dają osiemdziesiąt, więcéj nie można.

— Niechże pan doktór coś poradzi, bo my potraciliśmy głowy— mówiła słodko się uśmiechając.

— Cóż ja mogę?—tłómaczył się doktór.—Mówię państwu szczerze, że ta sprzedaż jest próbą. Uda się zadowolić hrabiego, będzie dobrze, nie uda się, za nic nie ręczę.

— Więc co? — zapytała pani z pasyą źle ukrywaną.

— Hrabia jest bardzo dobry, ludzki, — uspokajał doktór — ale jak coś sobie uroi, nie ma sposobu zmienić.

— Ha to pojadę—rzekł z rezygnacyą rządca — będę szukał, śledził, tropił kupca, a muszę znaléźć.

— Wiele czasu pan nie ma — mówił doktór — jeszcze onegdaj przy obiedzie wspominał hrabia o szybkiéj sprzedaży.

— A to nieszczęście—zawołała żałośnie żona.

— Nieszczęście! — powtórzył mąż wzdychając.

— Hrabina ma wkrótce wyjechać z hrabianką — opowiadał spokojnie doktór. Sam hrabia pewno ich odprowadzi i pojedzie do litewskich majątków.

— A tam po co? — zapytała ciekawie.

— Na polowanie i podobno jest tam kupiec na jeden las.

— Pan doktór był na Litwie?—dopytywała się pani.

— Byłem. Kraj leśny.

— Tam pewno tanie lasy — odezwał się rządca.

— To zależy od położenia i dróg. Opowiadano mi ciekawą anegdotę: Jeden z wielkich panów sprzedał kupcowi las z poręczeniem, że będzie 1,500 sążni drew, jak poprzednio obliczył leśniczy. Zawołał leśniczego i powiedział, że musi być 1,500 sążni, sam wyjechał. Leśniczy widzi, że tylko 1,000 sążni, nie namyślając się długo, sprowadził

500 sążni z innéj kniei i warunek został dopełniony. Po latach wykryło się, ale pan pogroził tylko i leśniczy został. Ta anegdota maluje doskonale lesistość tego kraju — u nas i 10 sążni nie można by ukryć.

— Bo też to nie lasy, ale gaje — mówił p. Dolsunowski wychowany na Polesiu.

Pani słuchała z natężeniem tego opowiadania i nagle rozjaśniła swą twarz, spojrzała tryumfująco na doktora, na męża i rzekła:

— Znudzimy pana doktora naszemi narzekaniami, zostawmy kłopoty na jutro, a teraz korzystajmy z miłego towarzystwa pana doktora.

Doktór, który często rzucał okiem na drzwi wchodowe, oczekując zjawienia się córki państwa Dolsunowskich, widząc że jéj nie ma wstał:

— Żałuję, że nie mogę zostać dłużéj, ale...

— Cóż to znowu? — zawołała pani — bez herbaty, bez kolacyi, czy kto słyszał coś podobnego—i wstawszy, poszła ku drzwiom, otworzyła i krzyknęła: — Janiu! Janiu! Pan doktór chce odejść!

Zawołana weszła. W ciemnéj sukience ozdobionéj ponsowemi kokardkami, zarysowywała się ładnie na tle białéj ściany jéj wysmukła i zgrabna postać. Modne, bufiaste rękawy sukni podnosiły wcięcie figury. Świéża i delikatna cera jéj twarzy stawała się bielszą przy bujnych, ciemno-kasztanowatych włosach. Lekko zarumieniona spojrzała pytająco na doktora i rodziców.

— Słyszałaś Janiu — rzekła matka — pan doktór chce odejść, może ty uprosisz, aby został.

Dziewczyna jeszcze bardziéj zarumieniona, podając rękę na przywitanie odezwała się niepewnie:

— Proszę, niech pan doktór zostanie... herbata gotowa.

— Jeśli pani każe... — odpowiedział wpatrując się w jéj twarz.

Usiadłszy, zwróciła się do ojca:

— Proszę papy, pisarz czeka na dyspozycyę od dość dawna.

— Czemużeś nie dała znać?—zarzucił ojciec wstając.

— Nie chciałam przeszkadzać...

Żona odprowadziła męża aż do drzwi i wzdychając mówiła:

— Mój Stefek tak cały dzień zajęty, nawet wieczorem nie dają mu spokoju, to nie tak, jak pan doktór.

— Nie jest téż rozkoszą być przy chorych.

— Czy tylko przy chorych? — zapytała matka uśmiechając się.

— Ma pani słuszność, nieustanne wyjazdy zabierają więcéj czasu—odpowiadał doktór uprzejmie.

— Oj, wié pan, o czém ja mówię, nie o wyjazdach — zaśmiała się pani głośno.

— Córka najlepiéj zna matkę — mówił doktór zwracając się do panny Janiny — więc niech mi pani wytłómaczy słowa mamy.

— Zapewne mama myśli o balach, zabawach, kartach... — odpowiedziała z wahaniem.

— Tak moje dziecko. Całe twoje szczęście w niewinności — rozczulała się matka.—Czyż nie prawda panie doktorze?

— O tak, niewinność jest cnotą — uśmiéchnął się.

— Śmiéj się pan, śmiéj, a jednak dziś inne czasy — kończyła wzdychając.

— Pani dobrodziéjko — mówił doktór udając powagę — od początku świata, cnotę w twierdzy, oblegają niecnotliwi.

— Z pana doktora niebezpieczny człowiek — uśmiechała się pani dyskretnie—drwi pan ze wszystkiego.

— Byle nie jak lis z winogron — zaprotestował doktór.

— I na winogrona jest sposób — uspokajała matka,—lecz w téj chwili uchyliły się drzwi i młodsza córka zawołała: mamo! — Zaraz, zaraz, przepraszam, że opuszczam pana doktora, ale obowiązki...

I z temi słowy wyszła.

Panna Janina poprawiła się na krześle, wyprostowała i czekała słów doktora:

— Pani zna bajkę o lisie i winogronach? — zapytał z miną niewinną.

— Nie, nie znam — odpowiedziała z uśmiechem, mówiącym że zna, ale chce posłuchać doktora.

— Pozwoli pani, że opowiem — skinęła głową, patrząc mu w oczy. — Otóż był sobie lis. Lisy nie zawsze chodzą na czterech łapach, ale i na dwóch, tak jak ja. I wisiały w pewnym domu winogrona soczyste, świéże, piękne np. jak... pani!

— Ach! Co pan mówi?! — zawołała śmiejąc się wesoło.

— Przecież to bajka. Lis chciał dostać tych winogron, to rzecz naturalna, więc skakał, zachodził tędy i owędy i...

— Nie dostał — skończyła z uśmiéchem.

— A więc pani zna tę bajkę? — zapytał doktór poważnie, chociaż śmiały mu się oczy.

— Domyśliłam się — odpowiedziała wymijająco.

— I nie żałuje pani lisa?

— Nie, bo był niezręczny — mówiła i unikając wzroku doktora, wzięła ze stołu robótkę szydełkową, przygotowaną zawsze na wszelki

wypadek. Robótkę nieśmiertelną, pozwalającą na przerwy, odwrócenie oczu i uwagi, stosownie do potrzeby.

— A cóż pani rozumié przez zręczność? — pytał doktór, przysuwając bliżéj swe krzesło.

— Zręczność? Zręczność? — mówiła z wahaniem szukając określenia. — Jeżeli np. kto ładnie tańczy, dobrze jeździ konno...

W téj chwili weszła młodsza siostra, dziecko dziewięcioletnie, siadła cichutko przy stole, kładąc obok kilka kwiatów.

— Heniu! A gdzie znalazłaś te kwiaty? — zapytała siostra.

— Odszukałam w ogrodzie...

— Pani lubi kwiaty? — mówił doktór obojętnie, jakkolwiek błyszczącemi oczami patrzał na Janiny twarz, szyję, wygięcie karku białego, falowanie piersi.

— Bardzo. A pan? — zapytała nie podnosząc oczu.

— I ja lubię, ale tylko... zrywać.

— A potém niech zwiędną — dodała z wymówką i sentymentalném spojrzeniem na doktora.

— Na to jest kwiat — zaśmiał się.

— I nie żałowałby pan?

— Cóż to pomoże? — tłómaczył doktór nachylając się — kwitnie kwiat w polu, spostrzegłem i zrywam. To nawet szczęście dla kwiatka, bo by go wół zjadł.

— Nie chciałabym być tym kwiatem — mówiła spokojnie.

— A ja chciałbym być ogrodnikiem pani—powiedział szybko doktór, w którym burzyła się namiętność.

— U nas teraz tak mało kwiatów — odezwała się z żalem i opuszczając robótkę na kolana, spojrzała poważnie na doktora — to nie tak, jak dawniéj. Czy pamięta pan jaki zrobiliśmy bukiet, gdy pan był u nas wiosną w Żarnówce? — kończyła wspominając poprzednie miejsce zamieszkania.

— Pamiętam ten bukiet, ale w Żarnówce była pani weselszą, chociaż dziś może piękniejszą.

— Pan doktór zawsze z komplementami—mówiła z udanym niesmakiem, jakkolwiek słowa te zrobiły jéj przyjemność. — Dla mnie Żarnówka pozostanie zawsze najmilszém wspomnieniem.

— Zbyt pospiesznie pani sądzi — mówił doktór bawiąc się kwiatem wziętym ze stołu. — Przyjdą nowe rozkosze, upojenia, i zapomni pani o dawnych.

— Nie zapomnę — upiérała się Janina. A nowych nie chcę.

— Więc już tyle pani przeżyła?

— Przeżyłam mało, ale wiem co to nieszczęście—odpowiedziała z naiwnością dziecka, nie rozumiejącego znaczenia słów i zajęła się pilnie robótką.

Ładna jéj twarzyczka miała istotnie odcień smutku, gdyż wspomniała swą pierwszą miłość, szorstkie wymówki matki, zerwanie z młodym studentem, po którym pozostały jako jedyne pamiątki wiersze i kilka zwiędłych kwiatów. Dziś, powodowana z jednéj strony rozkazem matki, z drugiéj praktycznym rozumem, starała się być uprzejmą i względną dla doktora.

Doktór widząc jéj gorączkową pracę, czuł się dotknięty, i zwrócił się do drugiéj siostry:

— Cóż robi Henia po całych dniach?

— Uczę się. Jania przygotowuje mnie do drugiéj klasy.

A gdy panna Janina nie ustawała w swéj pracy, doktór odsunął krzesło nieznacznie, czuł bowiem, że ona pociąga go więcéj, aniżeli dozwala polityka zastosowana przez niego w tym wypadku. Szukał jedynie zabawy, gry słów, uśmiechów, uścisków bez następstw, ale chwilami uczucie, namiętność owładały nim tak silnie, że na ustach plątały mu się wyrazy miłości, wyznania, ale oświadczyny odkładał do czasu, gdy albo ona będzie bogatą, albo też on uzna za stosowne ożenić się.

Panna Janina chcąc przerwać to niemiłe milczenie, zwróciła się do doktora, odłożyła robotę i zapytała:

— A nie wróżyła panu cyganka? Była dzisiaj u nas, ale papa nie pozwolił na wróżby.

Z twarzą rozjaśnioną zawołał doktór wstając i biorąc jéj rękę.

— Ja powróżę pani i nauczę chiromancyi.

W tém weszła matka, zapraszając na herbatę.

Okrągły stół jadalny, oświetlony lampą wiszącą, był zastawiony przysmakami. Obok śledzi marynowanych, kawioru, była szynka, podgarle wędzone, rożenki śliwek suszonych, séry; a trzy butelki wina zajmowały środek obok kosza owoców i ciastek. Na stole pod oknem, odsunięto papiéry kancelaryjne i ustawiono parę butelek piwa. Po przekąsce nastąpiła gorąca kolacya, humory się poprawiły, twarze się uśmiéchały, lecz wejście służącego doktora z biletem wzywającym go do natychmiastowéj pomocy choremu, przerwało wesoły nastrój wieczoru.

Po wyjściu doktora komenderowała pani:

— Heniu, idź kończyć zadanie i spać, a ty Janiu pomóż mi posprzątać.

Mąż pijąc ostatki piwa mruknął niechętnie:

— Po co te zbytki? Wina, piwa, przekąski, kawiory, na co to wszystko?

Żona spojrzała na mówiącego i nie przerywając zajęcia powiedziała:

— Janiu! zabierz butelki ze stołu ojca i uporządkuj papiéry — zwracając się zaś do męża: — Lubię takie gadanie, więc co? mam założyć ręce i czekać aż przyjedzie jaki królewicz po Janię?... Już i tak ma ona nabitą głowę, że zajedzie po nią poszóstna kareta.. Kto jest pod ręką, tego trzeba brać, a nie latać po gwiazdach.

— A cóż to ma jedno do drugiego? — zawołał mąż. — Ja mówię o zbytku przyjęcia, a ona Bóg wié o czém!

Rozgniewana stanęła przed mężem:

— Więc ty myślisz, że ja dla własnéj chwały wyprawiam takie kolacye?!... Janiu! Weź te butelki wina i zanieś ze służącą do piwnicy.

Po wyjściu córki, zbliżyła się do męża i mówiła ciszéj, ale surowo:

— Czémże ty myślisz zwabić zięcia? Co? Jania nic nie ma, ładna buzia, zgrabna i koniec, któż ją weźmie? Ale jak go przyjmują, poją, goszczą, to się rozczuli i oświadczy, bo do was droga najlepsza tylko przez żołądek, o! znam ja was! — kończyła złośliwie.

— No, no, zobaczymy — mówił z powątpiewaniem, kiwając głową.

— Już to dobraliście się oboje — rozpoczęła wróciwszy do porządkowania. — Żeby ona była mądrą, byłaby dawno po słowie z doktorem, czy to ja oczu nie mam? Ale naczytała się romansideł i kręci nosem na doktora. Jéj w głowie książę, hrabia, żeby klęczał, przysięgał, kochał... ale z miłości chleba nie ma...

— A niech i tak będzie... daj mi świécę, muszę wpisać dzisiejszą wypłatę robotnikom.

Na to weszła córka. W milczeniu, aby nie przeszkadzać piszącemu, schowano wszystkie resztki kolacyi i obie wyszły.

W sypialni panieńskiéj, pokoiku małym, wąskim, stały naprzeciw siebie wzdłuż ścian dwa łóżka i dwie szafy na suknie i bieliznę; stolik pod oknem z książkami, kajetami i lustrem przenośném; po przeciwnéj stronie umywalnia i kilka krzeseł. Święte obrazy uzupełniały skromne umeblowanie, które swą czystością robiło wrażenie przyjemne. Gdy matka z Janią weszły, Henia układała się do snu.

— Zdejm Janiu sukienkę, bo szkoda — mówiła matka, usiadła przed lustrem by się zaczesać na noc i zapytała: — co było dzisiaj z doktorem?

— Nic mamo, jak zwykle.

— U ciebie zawsze nic... Czy ty myślisz, że papa wiecznie żyć będzie? A jak nie potrafi pracować, co będzie?

— Cóż zrobię mamo?

Na te słowa odwróciła się matka od lustra i spojrzała na córkę. Po zdjęciu wierzchniéj sukni, zrudziałe buciki, z gumami rozszerzonemi i pończochy szare zwróciły jéj uwagę:

— I ty byłaś w tych bucikach? — zawołała z wymówką — i nie wzięłaś czarnych pończoch? Czy nie mam dosyć kłopotów, jeszcze muszę ciebie ubierać?... A gdyby ci się suknia podwinęła i on zobaczył takie niechlujstwo, myślisz że go zachwycisz?

— To niech się nie zachwyca, nie będzie on, będzie drugi — odpowiedziała nadąsana rozpinając gorset ciasny.

— Nie ten, to drugi, jaka mi pani! — drwiła matka. — Taka wielka, a rozumu za grosz. Że ci Bóg urody nie poskąpił, to myślisz, że wszystko, a to trzeba korzystać z każdéj sposobności, przymilić się, uśmiechnąć, panna z taktem zawsze wié co, gdzie i jak można zrobić.

— Czyż tylko jeden doktór na świecie?—broniła się córka, ubierając się w szlafroczek domowy.

— Jeden nie jeden, ale ty żadnego miéć nie będziesz, bo w głowie roi ci się, Bóg wié co — irytowała się matka. — Ja i papa wysilamy się na twoje stroje, na przyjęcia, a ty...

— Niech się już mama nie gniewa — mówiła, całując jéj rękę — poprawię się.

— Pamiętaj, że przyrzekłaś — zaczęła matka poważnie — porzuć te romanse książkowe i patrz trzeźwo na życie. Doktór młody, przystojny, ma łaski u hrabiego, wzięty w okolicy, niejedna ci pozazdrości...

— Dobrze mamo.

— Dobranoc ci—mówiła wstając — nie siedź długo, bo będziesz blada, a nie zapomnij wytrzéć rąk gliceryną. Ręka miękka i gładka dużo znaczy.

Po wyjściu matki Jania otworzyła szafę, wyjęła z kieszeni sukni kilka schowanych ciastek, odszukała książkę starannie ukrytą i zaczęła czytać, gryząc słodkie, suche łakocie. Była to powieść E. Wernerowéj, opisująca zmienne losy dziewczyny biednéj, pięknéj, z którą wreszcie ożenił się książe młody, bogaty i zakochany. Czytając ją, podstawiała nieustannie siebie jako bohaterkę, a nieznany, kochający książę zjawi się wkrótce i to dzisiejsze życie smutne i szare, skończy się jak sen przykry. O doktorze pomyślała zaledwie przelotnie i z niechęcią, on był i jest tak daleki od jéj marzeń, snów, pragnień.

Gdy małżonkowie przeszli do swéj sypialni, pani rozbierając się rzekła do męża:

— Czegóż ty wzdychasz, jak miech kowalski.

— Albożty nie wiész—odpowiedział smutnym głosem.

— Nie wiem — mówiła uśmiechając się.

— Muszę jechać, dyabli wiedzą gdzie, i żeby to na co się zdało? Ale ot psu na budę. Takiéj ceny nie dadzą.

— Ach, jaki ty głupi! — zawołała śmiejąc się głośniéj. — Pocałuj mnie, a ja ci poradzę.

To mówiąc zarzuciła na szyję mężowi swe nagie, tłuste ramiona.

— Ja i bez tego pocałuję ciebie, no powiédz...

Żona usiadła na łóżku obok męża i mówiła zwolna, oznaczając na palcach każdy punkt ważniejszy.

Hrabia chce 85, żydzi dają 80 kop. Hrabia uparł się jak kozioł, chce 85, niech będzie 85. Słyszałeś co mówił doktór o tym leśniczym? Zrób i ty tak samo. Weź z jednéj kieszeni, nasyp do drugiéj, aby tylko tobie nie zostało nic w rękach. Dodaj do gotowych 15,000 pudów pszenicy, z jakie 1000 pudów, ot i cena żądana będzie.

— Nie, nie mogę — zawołał oburzony.

— Głupiś. Chcesz gryźć kamienie na bruku? Czy ja namawiam cię do kradzieży? — mówiła stając przed mężem.

— Nie, nie chcę — mówił miększym głosem. — A jak hrabia się dowié?

— Dowié? — pytała z ironią — skąd? jak? Kto daje raporta? Kto wydaje pszenicę? Kto liczy? Ty, tylko ty.

— Jednak...

— Chce hrabia pokazywać fantazye pańskie, niech za nie płaci. Czy ty na tém co zyskujesz? Czy chociażby kopiejkę?—tłomaczyła siadając znów obok męża.

— To prawda — odpowiedział, zdejmując kamizelkę.

— A widzisz. Zrób, jak ci radzę i będzie wszystko dobrze.

— A może masz i racyę? — wahał się mąż.

— Kiedy mnie posłuchałeś, czy źle wyszedłeś? — zapytała, rozwiązując spódnicę.

— Prawda! — odparł bez wahania.

— Posłuchajże, a nie będziesz żałował.

— Posłuchać?... Hm, łatwo tobie powiedziéć, ale...

— Znów zaczniesz swoje? — przerwała ostro żona.

— Ha! Niech i tak będzie — rzekł zrezygnowany.

— No, a teraz zasłużyłam na całus?—zapytała miękkim głosem.

Zamiast odpowiedzi, mąż ucałował ją serdecznie, szepcząc czułe słowa.

W kilka dni przyjechał kupiec, oglądał próbę, lecz nie dawał więcéj jak 80 kop. za pud pszenicy z dostawą. Pan Dołsunowski przeprowadził jednak plan żony doskonale. Formalna umowa brzmiała o sprzedaży 15,000 pudów pszenicy po 85 kop. za jeden pud, natomiast zobowiązał się osobistym kwitem z powodu złego oczyszczenia dodać kupcowi 950 pudów. W ten sposób rozwikłano zadzierzgnięty przez hrabiego węzeł, mający decydować o zdolności i zaufaniu rządcy.

Gdy pan Dołsunowski poprosiwszy o audyencyę meldował lekko drżącym głosem o cenie i warunkach kupca, hrabia uśmiechnął się zadowolony i przeglądając umowę mówił:

— Dobrze się sprawiłeś panie Dołsunowski, nie zapomnę. Najwyższa cena, jak widzę z dzienników, jest 80 kop., ale wiedziałem, że za pszenicę z Wieszar, za moją pszenicę dadzą kupcy drożéj. Jest w tém jednak trochę zasługi i pana. Będę o tém pamiętał—kończył z uśmiechem łaskawym.

Wyszedłszy od hrabiego z umową podpisaną, pospieszał rządca do domu. Oczekująca go na ganku żona zawołała do zbliżającego się męża:

— A co?

Mąż zdejmując kapelusz i potrząsając umową krzyknął:

— Wygrana!

V.

Śniegi topniały.

Tykicz przepływający, głębokiém, kamienném łożyskiem u podnóża Wieszar spoczywał jeszcze otulony lodem. Tylko wody żółtawe z potoków przygodnych szumiąc, wpadały do rzeki i rozlewając się szeroko po lodach płynęły leniwie.

Prądy cieplejsze przedzierały się przez śniegi i stepy to silniéj, to słabiéj budząc naturę z odrętwienia zimowego. Posępne ptastwo zimy: wrony, kruki, kawki, gawrony opuszczały z głośną wrzawą siedziby ludzkie, wynosząc się w gaje i lasy. Wróble, dzierlatki, trznadle świegotały żywo, grzały się na strzechach i opłotkach w przemijających promieniach słońca i upatrywały gniazda. Zwłaszcza zachody słońca piękne, spokojne, rzucały purpurowe odblaski na resztki śniegów na tającą ziemię, na gałęzie drzew żółciejących już na końcu. Park spał jeszcze, tylko świerki, jodły, sosny czerniły się na tle śniegu

i gęstych gałęzi liściastych drzew, gałęzi nagich, wiotkich, uderzających z głuchym łoskotem o siebie za powiewem silniejszego wiatru.

W pałacu cisza i pustki. Hrabia od miesiąca cierpiał na lekkie bóle reumatyczne, przywiezione z polowania. Po całych dniach przesiadywał w gabinecie, zabawiając się rozmową z kamerdynerem, z doktorem lub wysłuchiwał raportów gospodarskich. Znudzony samotnością, żona bowiem z córką nie wróciły jeszcze z podróży, i jednostajnością życia, wpadł na koncept, który wydał mu się tak zabawnym, że hrabia uśmiechał się sam do siebie. Ofiarą miał być karzeł.

Rano, gdy kamerdyner którego obowiązkiem było także golenie hrabiego, zaczął swoim zwyczajem opowiadać o plotkach i nowinkach pałacu, folwarków i miasteczka, hrabia przerwał:

— Słuchaj Erneście, namów Zosię pokojówkę, by uważała kiedy ja wyjdę na obiad. Niech pójdzie do karła, ale do jego kryjówki za niedźwiedziem, i przymila się do niego; resztę sam zrobię.

Usłyszawszy te słowa Ernest zaczął się śmiać cichutko i tak długo, że hrabia rzekł:

— Czegóż się śmiejesz błaźnie?

— Bo będzie komedya...

Hrabia zadowolony uśmiechnął się.

Przed obiadem wyjaśnił doktorowi swój plan i obaj zeszli do karła, który zły i chmurny siedząc na ławeczce odwracał się plecyma i krzyczał na zalecającą się dziewczynę:

— Idź do dyabła, czego się mnie czepiłaś?

Hrabia z marsem na czole wystąpił z za portyery i zawołał groźnie:

— To ty Pawle tak się prowadzisz? Tu, w pałacu, pod moim bokiem romansujesz bez wstydu?

Karzeł zerwał się z ławki, stanął obok dziewczyny sięgając jéj ledwie do pasa, oszołomiony, zawstydzony, milczał.

Hrabia zwracając się do dziewczyny zapytał:

— Dlaczego tu przyszłaś Zosiu?

Ta zoryentowała się natychmiast i odpowiedziała płaczliwym głosem:

— Paweł obiecał ożenić się ze mną, a teraz i nie chce i łaje.

Karzeł oburzony, drżący z gniewu, odsunął się od niéj gwałtownie, i zaciskając małe pięście bełkotał bezsilny:

— Ja? Ja? żenić... Tfu, niedoczekanie twoje.

— Pawle ostrożnie z przekleństwami — ostrzegł hrabia. — Sam twój gniew dowodzi, że Zosia mówi prawdę. To trudno, musisz się ożenić, było nie bałamucić dziewczyny.

— Niech się pan hrabia nie irytuje — uspokajał doktór. Paweł się ożeni, dziś jeszcze pośle pan hrabia na zapowiedzi.

— Ależ to okropne,—oburzał się hrabia—myślałem, że przynajmniéj ten jeden porządny, a on w moim przedpokoju robi bezeceństwa.

Zosia z miną zasmuconą ocierała oczy, a karzeł wobec tych pozorów, mówił ze łzami w oczach, całując rękę i kolana hrabiego:

— To nie moja wina! To nie moja wina!

— Trudno—zawyrokował hrabia—teraz musisz się żenić, rozpusty nie ścierpię w pałacu. Hej Ernest! — krzyknął głośniéj i rzekł do wchodzącego: — Przygotować konnego posłańca do proboszcza! To powiedziawszy poszedł z doktorem do sali jadalnéj, zostawiając karła w rozpaczy.

Dwa dni bawił się hrabia obawą karła, jego przysięgami i złością.

Ale minęła i ta przyjemność, i znów zaczęły się dawniejsze nudy, przerywane listami i dziennikami. Codziennie około godziny 5-éj z południa otrzymywał hrabia przesyłkę pocztową i téj chwili wyczekiwał z lekką niecierpliwością. Z początku pisywała hrabina listy, tchnące nadzieją i żartowała z niewłaściwych dla Herty pretendentów. Stopniowo ton wiadomości przesyłanych posępniał, gorzkniał, wreszcie ograniczyły się listy na zawiadomieniach o odbytych lub zamierzonych balach i wycieczkach. Hertę na razie bawił nowy świat, nowi ludzie, świetne zabawy; późniéj humor matki i jéj pokrzyżowane plany popsuły wesołość i swobodę listów. Zmiana miejsc pobytu przez Wiedeń, Wenecyę, Rzym, ta pogoń na upatrzonego nastrajały ją smutnie, tęskniła do domu, do Wieszar, do ojca.

Dzisiejsza poczta, prócz zwykłych dzienników, przyniosła tylko jeden list w zwykłéj, szaréj kopercie. Hrabia czytał: „Panie hrabio! Dziękując szczerze za udzielane mi stypendyum, mam zaszczyt donieść, że w tym miesiącu składam ostateczny egzamin na wydziale agronomicznym. Mając nadzieję otrzymania posady, wystarczającéj na pokrycie mych potrzeb, uważam dalsze korzystanie ze stypendyum za krzywdzenie biednych uczniów, potrzebujących pomocy. Z głęboką wdzięcznością i szacunkiem Stanisław Wosiński".

I tytuł i ton listu zadziwił go i rozśmieszył. Polecił lokajowi zawołać buchaltera, by zasięgnąć bliższych wiadomości o nieznanym korespondencie.

Jeszcze ojciec hr. Rugarda, obciążył Wieszary obowiązkiem wypłacania dwóch stypendyów rocznie po 300 rubli dla synów szlachty ubogiéj. Każdorazowy właściciel Wieszar rozporządzał tą dotacyą własnowolnie. I hr. Rugard od czasu do czasu, gdy zawakowało sty-

pendyum udzielał potrzebującym. Nowe nazwisko wchodziło wówczas do księgi wydatków stałych i kasyer co cztery miesiące wysyłał odpowiednią sumę. Nazwisk wychowańców tego funduszu hrabia nie pamiętał, nie interesował się niemi, wystarczała mu pozycya w budżecie rocznym.

— Pan hrabia rozkaże — odezwał się buchalter, blady, pochylony, ze szpakowatym zarostem.

— Co za jeden Stanisław Wosiński?

— Stypendysta pana hrabiego.

— Wiem. Jego nauki?

Buchalter popatrzył wyblakłemi oczami na hrabiego, na razie nie zrozumiał pytania, postanowił tedy opowiedzieć historyę wychowańca:

— Po nagłéj śmierci rodziców Wosińskiego, dzierżawców folwarku pana hrabiego, został ten jedynak będący podówczas w pierwszéj klasie gimnazyum. Pan hrabia raczył mu udzielić stypendyum i chłopak się pokierował.

— Uczył się dobrze?

— Dobrze.

— Kiedy wysyła się stypendyum?

— 1 kwietnia, 1 sierpnia, 1 grudnia każdego roku po sto rubli.

— Kwietniowéj sumy nie wysyłać Wosińskiemu. Ogłosić wakans na to stypendyum.

— Słucham.

Hrabia skinął głową. W chwili gdy buchalter wychodził, lokaj zameldował doktora.

— Zabawny list otrzymałem doktorze. Czytaj.

Doktór odczytał w milczeniu i kładąc list na biurku, rzekł z uśmiechem:

— Znam tego Wosińskiego, list podobny do niego. Był przed dwoma laty w sąsiedztwie na wakacyach.

— Dlaczego nie stawił się w pałacu?—zapytał hrabia tonem niezadowolenia.

— Pan hrabia był nieobecny.

— I mówisz doktorze, że on podobny do listu?

— Tak jest. Młody, zdaje się, dobry chłopak.

— List dziecinny, ale podobał mi się... Co myślisz doktorze, ma chłopiec gdzieś praktykować, możeby go wziąć do Wieszar? Zrobię go pomocnikiem rządcy.

Doktór dbając o dobrą opinię swego protegowanego, korzystał z téj sposobności i rzekł:

— Zależy to od woli pana hrabiego, ale sądzę, że Dołsunowski pomocy nie potrzebuje, jest zdrów i powinien sam pracować.

Hrabia po krótkim namyśle mówił:

— Masz słuszność, doktorze, podwładnych wygodami psuć nie trzeba... Ale mam inny plan. Jestem dość zmęczony, trochę niedomagam, wezmę go na sekretarza i kontrolera.

Doktorowi projekt ten również się nie podobał. Dotychczas w pałacu on był jedynym łącznikiem hrabiostwa z otaczającym światem, czuł swój wpływ i znaczenie i pragnął je rozszerzyć i ustalić, a w przyszłym sekretarzu widział współzawodnika, więc rzekł zwolna:

— Zdrowie pana hrabiego wymaga wyręczenia w pracy, ale nie wiem, czy Wosiński będzie odpowiedni?

— Dlaczego?

— Jak każdy młody, jest zarozumiały i... i...

— Co?

— I np. będzie się kwasił, że jada przy drugim stole, że jest wykluczony z towarzystwa...

Hrabia się nachmurzył i odezwał się sucho:

— Zapominasz, doktorze, że to nasz wychowaniec, dobry szlachcic, a taki zawsze znajdzie miejsce przy naszym stole.

Spostrzegł się doktór, że postawił sprawę niewłaściwie, więc uśmiéchając się powiedział:

— Mówiąc to, miałem na myśli panią hrabinę...

Ale hrabia był w usposobieniu wspaniałomyślném i sprzeciwianie się doktora drażniło go, przerwał tedy ostro:

— Hrabina i ja jesteśmy jednych przekonań.

— A więc *mea culpa*, zawiniłem—zawołał doktór.

— Wy, panowie z inteligencyi, nie znacie nas, wyobrażacie sobie arystokracyę jako zamknięte koło. My zaś cenimy wszystkich ludzi, którzy żyją uczciwie, zgodnie z przeznaczeniem Opatrzności.

— Jednak nie cała arystokracya jest tego zdania. Są pewne zacieśnienia, uprzedzenia... — mówił doktór, spostrzegłszy chęć hrabiego prowadzenia téj rozmowy.

— Ależ, doktorze, przecież zacieśnieniem lub uprzedzeniem nie można nazwać łączenia się równych rodów. Nawet ów osławiony Darwin oparł swą teoryę na dziedziczności. Pilnujemy rasy koni, jakże chcesz, byśmy nie przestrzegali czystości naszéj rasy!?

— Pan hrabia w zasadzie ma słuszność, ale...

— Chcesz mówić o odświéżaniu krwi. Spojrzyj na portrety w naszéj bibliotece. Znajdziesz tam i czystą krew francuską, i angielską

i niemiecką. Naszą zasadą, którąśmy się zawsze kierowali i kierujemy jest: Odświeżając krew rodu, zachowujemy czystość rasy.

— Tak radzi i nauka — mówił doktór, szukając frazesu, zamiast odpowiedzi.

— Wy dopiéro dziś doszliście do tego, cośmy wiedzieli i praktykowali przed wiekami, słusznie téż przodujemy — kończąc, podniósł głowę i spojrzał dumnie przed siebie.

— Przekonania pana hrabiego są oparte na faktach, ale inni powołują się na urojone dowody.

— To samo i zawsze czynią demokraci, gonią za utopiami. Właśnie czytałem w dzienniku angielskim odpowiedź, daną jednemu z tych piśmideł demagogicznych.

Cień uśmiechu przebiegł po twarzy doktora, gdy poznał przyczynę téj gorącéj dyskusyi i nie zmieniając tonu, rzekł:

— W Anglii wre gorąca walka pomiędzy patrycyuszami i plebejuszami, jak w starożytnym Rzymie.

— Dobrze, że wspomniałeś, doktorze, o Rzymie — mówił hrabia spokojnie. — Hrabina bawi tam obecnie i obiecuje wrócić w kwietniu, chciałbym zrobić niespodziankę i wyjechać na spotkanie. Czy mogę podróżować?

— Przy pewnych ostrożnościach, niezbyt daleko...

— Nie daléj, jak do Warszawy.

— O, można! Myślałem, że daléj.

W téj chwili rozległ się dzwonek, zwołujący na obiad.

— Proszę doktora na obiad, a te proszki zażywać jeszcze?

— Tak jest. Zwiększę nawet dozę w przewidywaniu podróży.

— Chodźmy!—rzekł hrabia, wstając wolno z fotela.

Wziął obok stojącą laskę i lekko kulejąc skierował się ku drzwiom.

W sali jadalnéj zastali już nauczyciela z Bolem i panią Turowską, jak zawsze, z przymuszonym uśmiechem, którego ślady zaryły się już zmarszczkami.

Nauczyciel w średnim wieku, szczupły, z włosami długiemi, szpakowatemi, z krótkim zarostem na twarzy, w okularach na zapadniętym nosie, w chwili wejścia hrabiego, zgiął się niemal w pół, tak, że włosy opadły promieniowato i zapytał nieśmiało, głosem bezdźwięcznym:

— Jakże dziś zdrowie pana hrabiego?

— Dziękuję—odparł hrabia sucho, nie patrząc w tę stronę — zapytaj pan doktora, on wié lepiéj.

— Pan hrabia raczy żartować — mówił nauczyciel, prostując się zwolna —kto może wiedzieć lepiéj od pana hrabiego.

Lekkie zniecierpliwienie odbiło się na twarzy hrabiego i zwracając się do synka, zapytał:

— Czego uczyłeś się dzisiaj?

— Łaciny—odparł rezolutnie.

— Przygotowujemy się do gimnazyum, postępy są znaczne — rzekł nauczyciel, poprawiając wypieszczoną ręką długie włosy.

Hrabia nic nie mówiąc usiadł; po zupie zjedzonéj w milczeniu, zapytał:

— Cóżeś, doktorze, taki zamyślony?

— Ostatnia rozmowa z panem hrabią nasunęła mi myśl porównania Anglii z Francyą.

— I do czego doszedłeś, doktorze?

— Francuzi idą szybko naprzód.

— Tém pewniejszy upadek—mówił hrabia poważnie.—Ta republika wobec prawych sukcesorów tronu ostać się nie może.

— A jednak arcybiskup Lavigerie... — oponował doktór nieśmiało.

— Wśród stu jeden — odpowiedział hrabia. — Nie lubię zresztą mieszać kościoła z państwem.

Nauczyciel, który oczekiwał chwili możności wtrącenia swych słów, powiedział z namaszczeniem mistrza:

— Kościół nad państwem, to zasada dziejów.

Hrabia skinął głową i mówił daléj:

— Zbyt szanuję kościół, by go zniżać do walki z radykałami. On powinien stać wielki, święty, nietykalny.

— To jedyna opoka i nadzieja wśród naszéj ziemskiéj pielgrzymki — odezwał się znów nauczyciel głosem biadającego kaznodziei, chcąc zaznaczyć nietylko swą prawomyślność, ale i zgodność z zapatrywaniami hrabiego.

Równocześnie westchnęła i pani Turowska, wymówiwszy:

— Bóg nasza opieka!

Po chwili hrabia zaczął:

— Sam naród pozna wkrótce różnicę, pomiędzy tronem a anarchią. Byłem pierwszy raz w Paryżu za czasów Napoleona III-go. Jakaż to wesołość, swoboda panowała wówczas, chociaż na tronie siedział tylko jakiś Napoleon. Byłem i za czasów republiki, nie ten sam Paryż! Smutny, posępny, w gorączce oczekiwania.

— Znam Paryż napoleoński tylko z opisów Zoli, ale...

— Doktorze, żaden opis nie zastąpi rzeczywistości—rzekł hrabia sentencyonalnie.

— A zwłaszcza Zoli—dorzucił nauczyciel z pogardą.

— Pan czytał?—zapytał doktór.

— Nie czytuję powieści, szkoda czasu — odpowiedział poważnie zapytany nauczyciel. — Ale z obowiązku przeczytałem jedną. Język ciężki, niewłaściwy, brzydki, a przytém te brudy zmysłowe.

— Czego kto szuka, to i znajduje—powiedział doktór ironicznie.

— Nie lubię tych nowych autorów — rzekł hrabia z grymasem obrzydzenia.

Nauczyciel przybierając ton moralizatorski i uczony, przyczesując palcami włosy nad uchem, rzekł:

— W literaturze należy szukać ideałów wiary i nadziei, nie zaś brudów, których i na śmietnikach pełno. — I korzystając z milczenia, mówił daléj: — Byłem z hr. Burtyńskim w Paryżu. Pewnego dnia przynosi hrabiemu jakiś komisant ze sklepu kupione sprawunki. Wchodzi i tak bez zająknienia mówi do hrabiego, jak do równego sobie: *Bon jour Monsieur!* Zgromiłem go porządnie — kończył z wyrazem oburzenia.

— A pan Burtyński? —zapytał hrabia z ironią.

— Zarzekł się Paryża—zawołał głośniéj nauczyciel, rad ze swéj wymowy.

— Rozumiem—drwił hrabia—ów komisant zbyt żywo przypominał dziadka po kądzieli. Słuszne zniechęcenie.

— Sądzę—odezwał się doktór—że tylko dorobkiewicze oburzają się na formy.

— Pewno oburzyłby się hr. Chlewański — zaśmiał się hrabia. — Nie byłeś tam, doktorze?

— Pan Chowański wyjechał przed dwoma dniami z całym dworem do Warszawy.

— Łapie zięcia — rzekł hrabia zjadliwie. — Cóż nowego w okolicy.

— Byłem w Żarnach, z syna ogromna uciecha.

I daléj potoczyła się gawęda o sąsiadach, żywo interesująca zebranych.

Po obiedzie, będąc w gabinecie, spostrzegł hrabia list Wosińskiego, leżący na biurku. Gdy zawołany buchalter się zjawił, rozkazał hrabia:

— Proszę do Wosińskiego napisać list, by po skończeniu egzaminów tu przyjechał. Piećdziesiąt rubli dać z kasy na podróż.

— Słucham pana hrabiego — odpowiedział pokornym głosem buchalter.

Hrabia czuł się zmęczony, ziewnął raz i drugi, wreszcie zadzwonił i pozwolił się rozebrać kamerdynerowi. Po odmówieniu paciérzy,

przed srebrnym ołtarzykiem polowym, pamiątką dawnych czasów, przeciągnął się wygodnie na łóżku miękkiém i utonął w marzeniach.

Z tła smutnych obrazów występowały wyraźnie twarzyczki kobiét, zwłaszcza woltyżerka poznana w Wiedniu stała mu przed oczyma tak uporczywie, że westchnął za minioną rozkoszą. Ale wkrótce kobiéty te zasuwały się w czarne cienie, natomiast zarysowały się żywo piękne, ogniste konie. Całemi tabunami przesuwały się przed hrabią, aż wreszcie zmęczony, uśmiechając się do pysznego, złoto-gniadego anglo-araba—usnął spokojnie hr. Rugard Rugiwojski.

VI.

W drugiéj połowie kwietnia wróciła hrabina z córką do Wieszar. Jakkolwiek była zmartwiona podróżą bezskuteczną i zaniepokojona przyszłém zamążpójściem Herty, nie dawała nikomu poznać swéj troski. Zawsze równie dumna, pewna siebie i rozkazująca, pozwalała sobie okazywać swój niepokój jedynie w chwilach samotności. Wówczas spokojną jéj twarz i gładkie czoło opanowywały zmarszczki, często wzdychała i wyszukiwała przyczyn niepowodzenia.

Przedewszystkiém winien był mąż. Od czasu osiedlenia się stałego w Wieszarach zrywał kolejno wszystkie stosunki towarzyskie. Zaledwie raz, dwa razy do roku pojechał z nią do krewnych. A i w tych wizytach ani cienia chęci podtrzymania stosunków. Prawda i to, rozumowała daléj, że tu tak zwana arystokracya nie dorównywa mu rodem, przeszłością, a chełpi się bogactwem; ale, mój Boże, trzeba ludzi brać takimi, jakimi są i mając dzieci, niepodobna pędzić życia klasztornego, otaczać się jedynie zgrają podwładnych i sług.

Drugą przyczynę upatrywała w wuju Jasmundzie. Jest już taki stary, niedołężny; dlaczego milczy zawzięcie o spadku. Gdyby powiedział publicznie o sukcesyi, spoglądanoby na Hertę innèm okiem, widzianoby nietylko Rugiwojską, ale i pannę milionową.

Wreszcie i sama Herta winna. Obojętna na hołdy, tęskniąca do domu, często smutna, zachwycająca się niewłaściwie płaszczyznami, morzem, zraża do siebie.

I westchnienia mnożyły się. Kilka tygodni spędzonych w Rzymie wzmocniły jéj pobożność. Więc w takich chwilach żalu i zwątpienia szukała ulgi w modlitwie. Zawiesiła nad swym klęcznikiem obraz, pobłogosławiony dla niéj przez Ojca świętego i w skupieniu odmawiała modlitwy.

O ile jednak matka niechętnie zbliżała się do Wieszar, córka

okazywała niemal dziecinne zadowolnienie. Po kilku dniach Herta w czasie drugiego śniadania rzekła z uśmiechem przymilenia do ojca:

— Dziś zapraszam do siebie ojca i Bola, uporządkowałam moje zbiory z podróży.

— Zbiory?—odezwała się matka ironicznie — zobaczysz, Rugardzie, te bogactwa...

— Ach, mamo!—zawołała Herta pośpiesznie— proszę nic nie mówić, chcę zrobić ojcu niespodziankę.

— Domyślam się—rzekł hrabia—pewno albumy, szkice...

— Zobaczy ojciec, zobaczy...—uśmiéchała się Herta.

Po śniadaniu ojciec i Bolo, poprzedzani przez Hertę, poszli do jéj gabinetu. Jasne, południowe słońce rozświéciło mroczne schody, wiodące na piętro i z bocznych framug wyraźniéj występowały rzeźbione popiersia dawnych Rugiwojskich. Z ciemnych obić zagłębień, rzeźby białe robiły wrażenie jakichś duchów, pilnujących wejścia do pokojów hrabiny i jéj dzieci. Dopiéro górny korytarz, oświecony szeregiem okien, zaciérał przykre wrażenie półcienia schodów. Jednostajny wygląd szerokiego kurytarza, ciągnącego się niemal przez całą długość pałacu, urozmaicały grupy palm i innych liściastych roślin, a liczne obrazy, ilustrujące pamiętne zdarzenia rodzinne, jak również portrety skoligaconych osób, unaoczniały sławę i wielkość Rugiwojskich. Na obrazach wojska, dowodzone przez Rugiwojskich, staczały boje z różnemi narodami w różnych epokach historycznych.

Nawet kobiéty rodu brały czynny udział w walkach. Na szerokim, szarym murze twierdzy, tuż przy trupie dowódcy, stoi jedna z Rugiwojskich i obejmuje dowództwo nad żołnierzami, których pancerze i misiurki są krwią obryzgane. W innym obrazie kobiéta wobec Turków, wdzierających się do zamku, podpala prochy. W trzecim — kobiéta na koniu przemawia do zbrojnéj drużyny, wskazując na Tatarów i pożary.

Tylko wojny, rzezie, pogonie malowane jaskrawo, z naiwnym realizmem krwi czerwonéj, głów odciętych, ciał pokaléczonych stanowiły motyw sławy rodu. Na tych obrazach kształtowały się zamiłowania, fantazye, idealy młodych pokoleń Rugiwojskich; i w téj chwili ojciec pytał Bola o treść obrazów i był zadowolniony z wiadomości syna.

Po krwawych scenach bitew, po obrazach posępnych, gabinet Herty, jasny, pełen zapachu świéżych kwiatów, z ładnemi meblami w stylu *roccoco*, miękkiemi w dotknięciu, z biurkiem zajmującém róg pokoju, robił wrażenie promieni słonecznych po dniu chmurnym i słotnym.

— Jakie piękne muszle!—zawołał Bolo z podziwem.

Herta uśmiechnięta, wskazując ojcu biurko, rzekła:

— To moje bogactwo!

Stały na biurku szeregi dziwacznych muszli morskich. Jedne gładkie i świécące, z naróściami lub ostrzami na wszystkie strony; drugie matowe, inne nakrapiane, z odblyskami perel, szafirów, topazów i rubinów. Martwe odblyski bogactw morza. W głębi, po za rzędami muszli stały lichtarze, lampa, kałamarz, przycisk i inne drobiazgi, wyrobione przez nadbrzeżnych mieszkańców z wyłowionych muszli.

— Ładne zabawki—odezwał się ojciec po chwili.

Te słowa niezadowolniły Herty i chcąc uzyskać gorętsze pochwały, przeszła szybko do swego buduaru i wyniosła dwa obrazki olejne, przedstawiające morze spokojne przy wschodzie słońca i wzburzone przy zachodzie. Ustawiwszy je do światła, zapytała z żywością:

— Czy i to tylko ładne?

Obrazki były naprawdę marne, robione tuzinami na wielki odbyt; ale w szerokich, złoconych ramach, w efektownéın oświetleniu mogły się podobać. Hrabia uśmiechnął się i rzekł poważnie:

— Bardzo ładne, podobają mi się.

Słowa te ucieszyły Hertę i mówiła:

— To jedna dopiéro niespodzianka, ale mam i drugą, jeśli ojcie chce posłuchać, to siądźmy.

Usiedli na kozetce, pozwalając Bolowi bawić się muszlami.

— Wié ojciec, że dotychczas nie mamy obrazu pierwszéj Herty. Będąc teraz nad morzem, szkicowałam widoki i znalazlam tlo odpowiednie. Jest i zamek, i chata rybacka, i wokoło morze. W trzech obrazach będzie cała historya Herty, gdy płynęła w kolébce, gdy uzdrowiła króla, i gdy wraca do morza. Ja zrobię szkice, a ojciec każe namalować. Dobrze?

Hrabia słuchał uśmiéchnięty, zadowolniony i odpowiedział:

— Zobaczymy, ale powiédz mi, dlaczego zajmujesz się tak tą dawną tradycyą, są inne, świéższe.

— Dlaczego?... Podoba mi się bardzo Herta i... morze.

Hrabia spojrzał na zégarek, wstał i rzekł:

— Jeśli cię to bawi, więc się baw — i zwracając się do syna — chodź Bolu, czas na lekcyę jazdy konnéj.

Po wyjściu ojca Herta usiadła, patrząc kolejno to na błyskotliwą grę muszli oświeconych promieniami słońca, to na obrazki olejne i myślała o morzu.

Próżnia jéj życia, brak zajęcia, skłonność do marzeń, wszystko to zbiegło się razem, by Herta uczyniła sobie z morza pewien kult uczucia. Była przekonaną, że to upodobanie było wynikiem dziedziczności i jak się chełpiła rysami rodowemi, tak samo czuła się dumną ze swego zamiłowania do morza.

W pewnéj epoce życia młodzieńczego, tak dziewcząt, jak i chłopców, w chwili dojrzałości uczuć, następuje niemal konieczna dążność wytworzenia i ukochania ideału, zawsze miłością bezinteresowną, by chociaż bezwiednie dać ujście energii życia.

Tym ideałem, ukochanym, wypieszczonym w marzeniach było dla niéj morze, połączone baśnią z jéj rodem. Wychowana i pielęgnowana w domu jak kwiat oranżeryjny, zasklepiona w wielkości rodu, wciśnięta w zaczarowane koło tytułów i majątków, znalazła Herta w swém zamiłowaniu jedyne okienko, pozwalające jéj spojrzéć szerzéj, odetchnąć świeżym powiewem przyrody surowéj, wolnéj, tajemniczéj. Miała wreszcie gotową kanwę, na któréj swobodnie mogła wysnuwać swe marzenia, tęsknoty, pożądania zakryte przed nią i przed ludźmi falami morza, których muzyka i dotknięcie upajały ją tak niewinnie, tak słodko, tak rozkosznie.

W kilka dni późniéj, Herta, ubrana jak zwykle w białą suknię, rysowała przy swém biurku tak zawzięcie, że na twarz jéj matową wystąpiły lekkie rumieńce; oczy zazwyczaj tak łagodne i marzące błyszczały gorączkowo; zacisnąwszy usta, przesuwała ołówkiem, gdy do jéj pokoju, sąsiadującego z pokojami matki weszła hrabina.

— Co rysujesz, Herto?

— Widok morski, mamo — odpowiedziała i mimowolnie zakryła ręką kołyskę, która się unosiła na falach.

Matka zbliżyła się i spojrzała na rysunek. Twarz spochmurniała, usta złożyły się do uśmiechu ironicznego i nie odrywając oczu z papiéru zarysowanego, mówiła zwolna:

— Będąc w twoim wieku, marzyłam również, ale o biédnych, nieszczęśliwych, by nieść im pomoc i pociechę, jak to czyniły wszystkie z naszego rodu. A córka moja rysuje kołyskę! — zaśmiała się sucho.

— Ależ to z baśni, mamo — odezwała się Herta cichym głosem, patrząc na matkę.

— Baśń!—powtórzyła z ironią hrabina. — Czy sądzisz, że każdy jest obowiązany wiedziéć twoje myśli. A jeśli ten rysunek wpadnie w ręce niewłaściwe?

— Ach, mamo!—zawołała Herta, blednąc.

— Ten twój sport morza, jest zupełnie, ale to zupełnie niewłaści-

wy. Zwracałam ci już uwagę w czasie ostatniéj naszéj podróży na te zachwyty z powodu płaszczyzn morza.

— Ależ one mi się podobają, to jest prawdą — odpowiedziała śmieléj.

— Wiem o tém, lecz i to wiem, że piękne widoki są tylko tłem, na którém występuje człowiek. Dobrze, że w Miramare byli przeważnie Włosi, którzy ci wtórowali w twoich uniesieniach nad morzem, ale jeśli Opatrzność każe ci zamieszkać w Alpach, Pireneach, Wogezach? Góry nie podobają się tobie?

— Nie lubię gór...

— Oszczędź mi tych słów, godnych pensyonarki. Wszystko lubię, bo wszystko Bóg stworzył. Czas już, byś wyrosła z tych śmiesznych przesądów. Rysunek ten podrzyj; chcesz rysować? i owszem: zwaliska, kościoły, malownicze grupy parku, to są przedmioty stosowne.

— Zajmij się kwiatami, oranżeryą, mogłabyś mi wreszcie pomódz do skończenia stuły, bo moje *votum* i ciebie obchodzi.

— Dobrze, mamo.

— Nie jesteś pierwszą lepszą hrabianką, byś pozwalała sobie na egzaltacyę. Jesteś Rugiwojską, a to obowiązuje. Zrozumiałaś?

— Tak jest—odpowiedziała.

— Sądzę, że napomnienia te będą ostatnie.

— Postaram się, mamo—odpowiedziała pokornie.

Hrabina wyszła, rzuciwszy jeszcze raz surowe spojrzenie na córkę. Po wyjściu matki Herta wydarła z albumu świéżo narysowaną kartę, przedarła ją i położyła na biurku. Po chwili wzrok jéj padł na obrazek wschodu słońca. Podparła ładną, białą ręką głowę; myśl jéj pobiegła ku Adryatykowi. Równolegle z przyjemném przypomnieniem odezwała się surowa krytyka matki. Czy słowa matki były sprawiedliwe, słuszne? — zapytywała siebie i odpowiedź była przecząca. Bo i czém zapełnić dzień cały? Książki? Czyż wolno jéj czytać, co zechce? Każda książka musi wpierw przejść przez ręce matki, a i te, co otrzymuje, czyta z zastrzeżeniem pewnych stronic. Obrzydły jéj książki, nie lubi czytać. Konie? Tylko że konno wolno jéj jeździć jedynie z ojcem, a w powozie z matką. Łzy cisnęły się jéj do oczu z żalu nad swą niewolą. I miała tę jedyną przyjemność, to morze i tego nie wolno. To przypomnienie morza, widok podartego rysunku, tak dalece ją rozżaliły, że kilka łez spłynęło jéj z oczu.

Lecz w téjże chwili obudziła się w niéj duma i wstręt do płaczu, wpajany od dzieciństwa, jako oznaka słabości i wezwanie do ulitowania się. Ona, Rugiwojska, miałaby płakać! Czy nie dosyć łaski Boga, że jest Rugiwojską!

Szybko osuszyła oczy, złożyła album, wstała, wzięła przygotowaną pasterkę i wyszła.

To panowanie nad sobą kosztowało ją jednak zbyt wiele i nie czuła się dosyć silną, by czas dłuższy okazywać spokój; szukała też w parku miejsc oddalonych od oczu ludzkich.

Park w Wieszarach zniżał się tarasami lesistemi, pięknemi ku rzece. Wczesna wiosna rozwinęła pąkowie drzew w młode liście, przeświécające żółtawo w promieniach słońca. Wśród drzew nie było jeszcze głębokich cieniów, lecz siatka delikatna, złożona z promieni jasnych, przedziérających się przez gałęzie i liście, i plam ciemniejszych, ruchomych pod ciepłym powiewem wiatru. Powietrze, przesycone wonią wiosny, rozkwitłych konwalii i fiołków, zapachem żywicznym drzew iglastych, promienne blaskami słońca, oddziałało kojąco na nerwy Herty.

Smukła, zgrabna, w sukni białéj, trzymając pasterkę w ręku szła w głąb parku, zbiérając spotykane przy drodze fiołki. Przykrość doznana i żal odczuty przemieniały się w smutek łagodny.

• Zmęczona długą przechadzką usiadła w altanie chińskiéj. Kapelusz położyła na stole i oparłszy się o poręcz wygodnéj kanapki, patrzyła.

Z prawéj strony widniała rzeka, u któréj zakrętu wznosiły się domki miasteczka. Ich dachy blaszane, jaskrawo-zielone lub czerwone, z kominami odrapanemi, ze ścianami żółto malowanemi, stanowiły ostry, niemiły ton w krajobrazie.

Odwróciła wzrok i spojrzała na olbrzymie łany pszenicy i żyta, szmaragdowe w téj chwili w promieniach słońca. Wzrok nie dosięgał ich granic, tonących w dali niebieszczejącéj.

Ten ton niebieskawy, odcinający się lekką linią od krańców powietrznego półkola, czynił złudzenie morza, które gdzieś tam uderzało rytmicznie o brzegi. Oczy Herty zmęczone zielenią, opromienioną słońcem, padły na tę dal siniejącą. Zbyt świéżo miała w pamięci obraz morza, by analogia nie wydała się jéj bliską. I oddała się marzeniom o błękitnych falach Adryatyku. Równocześnie przesuwały się obrazy z niedawnéj podróży, a wraz z niemi i spotykane osoby. I ten książę włoski ze skrzeczącym, bezdźwięcznym głosem; i hrabia niemiecki oszczędzający liry na przewoźnikach i ten Anglik wiecznie pledem okryty, przesunęli się jak w kalejdoskopie z wrażeniem niesmaku. Ci ludzie psuli jéj tylko widoki morza swemi frazesami i pochlebstwami. To wspomnienie obudziło cały szereg wrażeń pokrewnych. Tak, to ona, Herta Rugiwojska, była obwożona, pokazywana, zachwalana... Dreszcz wstrętu, jak gdyby dotknęła się istotnie czegoś obrzydliwego,

wstrząsnął nią i doznała takiéj fizycznéj przykrości, że chcąc jéj uniknąć wstała, by ruchem zagłuszyć wspomnienia niemiłe.

Idąc aleją grabową, spostrzegła Bola z nauczycielem. Ten siedział rozparty wygodnie na ławce, gdy chłopiec podpatrywał ptaki fruwające lub odpoczywające na drzewach. Spostrzegłszy Hertę, zerwał się, złożył głęboki ukłon i czekał przemówienia.

— Bolu! Proszę cię, nazbiéraj mi fijołków— rzekła Herta.

— Panna hrabianka jest amatorką kwiatów? — wypowiedział nauczyciel, kręcąc w ręku kapelusz. — Oto bukiecik, który uzbiérałem z Bolem rano, pozwoli pani sobie ofiarować?—to mówiąc, podał wydelikaconą, potniejącą ręką fijołki.

Herta czuła antypatyę do niego, a w téj chwili pomyślała z gniewem: ten człowiek obrzydzi mi nawet fijołki, ale mimo to przyjęła bukiecik.

— Dziękuję. Bolu! nie zrywaj, dość mam fijołków — i szła daléj ku pałacowi.

Nauczyciel patrzył na nią, dopóki widniała jéj biała sukienka wśród drzew. Pokazał w uśmiechu czarne, spróchniałe zęby, mlaskał językiem i zamruczał:

— Ładna!... hm... hm... Kto téż ją dostanie?

Wkrótce, rozległ się głos dzwonu, zwołujący na obiad.

VII.

Wraz z hrabią wszedł do salonu jadalnego p. Stanisław Wosiński, człowiek młody, przystojny, wysmukły. Ze śmiałością właściwą młodym ludziom, obawiającym się uchybić przeczuwanym formom towarzyskim: śmiałością, pokrywającą wielką niepewność, skłonił się zebranym, uścisnął kordyalnie rękę nauczyciela i Bola, i patrzył niespokojnie czarnemi, wyrazistemi oczyma.

Hrabia ruchem ręki wskazał mu krzesło i rozpoczął rozmowę z żoną. Po chwili zwrócił się do młodzieńca:

— Stanisławie, w Krakowie ciepło?

— Zupełna wiosna—odpowiedział dźwięcznym głosem.

— Jechałeś na Warszawę?

— Nie. Na Podwołoczyska.

Na tém skończyła się rozmowa. Młodzieniec miał dosyć czasu, by przypatrzyć się szczegółowo sali jadalnéj, oświeconéj dwoma oknami i parapetowemi drzwiami, wychodzącemi na werendę.

Wprost niego wisiał wielki zégar w szafce czworokątnéj, ozdobionéj płaskorzeźbami. Królował u szczytu Saturn, obok Gei i Jowisza. Niżéj zabawiały się Dyana, Afrodyta z nieodstępném bóstwem miłości, a z boku tuliła się Minerwa. Od gzymsu aż do wysokości zégara wisiały przy ścianie w kilku rzędach talérze porcelanowe sewrskie i staro-saskie. Pod ścianami stały cztery szafki, odkryte, ładnie rzeźbione z kolekcyą kielichów i roztruchanów kryształowych z grawirowanemi napisami. Przeważnie były to puhary weselne Rugiwojskich, jakkolwiek nie brakło między niemi kielichów pamiątkowych, z których piły osoby koronowane. Z sufitu, na którym wymalowany był Chrystus błogosławiący, zwieszał się piękny, bronzowy świecznik. Łańcuch przytrzymujący go, był ozdobiony jajami strusiemi, zwieszającemi się na jedwabnych sznurach w kształcie odwróconéj piramidy, szczytem ku dołowi, tak, że ozdoba ta tworzyła niejako harmonijne uzupełnienie wielkiego na dwanaście świéc kandelabra. Wprost drzwi parapetowych wisiał obraz, przedstawiający ucztę Bachusa w towarzystwie nimf i satyrów. Obraz stary, spękany, zatarty, nie odnawiany rozmyślnie przez hrabiego celem ukrycia śliskiéj treści, ale téż i nieusunięty przez poszanowanie tradycyi.

Kamerdyner Ernest, wielki, barczysty z długiemi bokobrodami stał poważnie za krzesłem hrabiego i tylko mruganiem oczu, lekkiém skinieniem głowy dawał rozporządzenia lokajom usługującym.

Zręczna, cicha usługa, wielki salon, którego każdy sprzęt mówił o przeszłości i zbytku, zadziwił p. Wosińskiego, jak sposób jedzenia potraw.

Tak był zapatrzony i zaciekawiony nowém otoczeniem, że dopiéro na powtórne zapytanie nauczyciela, zwrócone do niego, zdołał odpowiedzieć.

Po obiedzie hrabia z żoną i córką przeszedł do gabinetu na kawę i po chwili zapytał żony.

— Jak go znajdujesz?

— Młody, nieobyty. Wątpię, czy będzie co z niego — odpowiedziała obojętnie.

— Właśnie dobrze, że młody—mówił hrabia z żywością.—Tylko młodym, niedoświadczonym można zaufać. Co zobaczy, to powié. Zręcznie pytany, wyśpiéwa wszystko.

— Może—odpowiedziała niedbale. — Zresztą zobaczysz, sprobujesz. On ma jedną dobrą stronę.

— Jaką?

Hrabina, uśmiéchając się dobrotliwie, rzekła:

— Że cię interesuje i bawi.

— Interesuje mnie rzeczywiście, jako nasz wychowaniec, i chciałbym, by u nas przebył praktykę gospodarczą i wykierował się na dobrego oficyalistę.

— Trochę ostrożności nie zawadzi—dorzuciła hrabina.

— O! naturalnie, będę go kontrolował wszędzie.

— Jeśli ojciec konno pojedzie, to weźmie i mnie — odezwała się Herta.

Hrabia chciał już surowo odmówić, ale gdy spojrzał na córkę, wydała mu się tak wykwintną damą, że z galanteryą odpowiedział:

— Bardzo chętnie, byle pogoda sprzyjała.

Matkę podrażnił ton i ustępstwo, uśmiéchnęła się z politowaniem i rzekła:

— Całe życie nie jest zabawą. Wczoraj łódką, dziś powozem, jutro konno. Psujesz ją.

— Chyba nie ja bywam z nią na balach, koncertach, rautach — odparł wesoło—one psują, nie koń.

— Więc jutro pojedziemy, dobrze?—nalegała Herta.

— Jutro? — mówił z namysłem — Jutro?... A dobrze, każę mu skontrolować folwark Krasne.

Dalsza rozmowa dotyczyła wyboru konia i godziny wyjazdu.

Po dwóch tygodniach próbnych, pan Wosiński, został przeniesiony na stały etat. Na folwarkach zaczęto się obawiać „panicza", wglądającego sumiennie w gospodarkę tokową i polową. Hrabia był kontent ze swego wyboru, głośno go chwalił i wyraźnie zaznaczał różnicę pomiędzy nim a innymi oficyalistami. Hrabina z małemi zastrzeżeniami zgadzała się z mężem, ujął ją bowiem p. Wosiński sumienną pracą i unikaniem ich towarzystwa, spotykając się jedynie przy stole. Herta zrazu nie zwróciła nań uwagi, późniéj bawiło ją widoczne jego zażenowanie, ilekroć zwróciła się do niego lub spotkała w kurytarzu albo parku. Ta jego lękliwość wywoływała tém większą pewność siebie u Herty, uważającéj się i tak już za starszą wobec młodzika dwudziestoczterο-letniego.

Doktór, widząc rosnące względy hrabiostwa dla p. Wosińskiego, słysząc częsty tytuł „wychowanka", powodowany polityką zgody, postanowił zaprzyjaźnić się z młodzieńcem, który osamotniony, pożądał również towarzystwa.

— Widziałeś pan kościół pałacowy? — zapytał doktór p. Wosińskiego, wyszedłszy z nim po śniadaniu do parku.

— Dotychczas nie.

— A więc chodźmy.

Z głównéj cienistéj alei skręcili na lewo w szeroką ulicę ze strzyżonym żywopłotem grabowym. W głębi na odsłoniętym placyku widniał kościołek, kryty czerwoną dachówką.

— Hrabia — mówił doktór — jest rozmiłowany w budownictwie i zna się na tém. Dawniéj była tu mała kaplica, dziś stoi kościołek stylowy.

Gdy stanęli przed kościołem, doktór szerokim ruchem ręki wskazał budynek i rzekł:

— Prawda, jaki ładny.

Kościołek biały, z czerwonym dachem, odskakiwał od tła zielonych, starych drzew, których wierzchołki skąpane w słońcu przewyższały go znacznie. Długi, prostokątny, z niewielką wieżyczką, był podobny do gąsienicy jaskrawéj wśród wspaniałéj, liściastéj zieleni. Główne drzwi wchodowe, ujęte w pilastry żłobkowane z kapitelami, przeciążonemi ornamentyką barokową i suto zdobionym gzymsem, czyniły kościołek ciężkim, niezgrabnym, płaskim. W szczytowéj ścianie jaśniał herb Rugiwojskich: złota lwica na łódce i napis: „O Panie! Przed twym kościołem przyjdę uderzyć pokornie czołem.”

Doktór i pan Wosiński nie spostrzegali, sądząc po słowach zachwytu, żadnéj wady, kościołek podobał im się bardzo. Zdawałoby się, że duch hrabiego, promieniejący z tarczy herbowéj, otoczył to swoje dzieło czcią i opieką, i nie dozwalał na żadną krytykę ludzi związanych z pałacem.

Doktór oprowadzał towarzysza dokoła kościołka po placyku, zdobnym w kosze kwiatów i wskazując ulicę krętą, wysadzoną bukszpanami, mówił:

— Ta ulica prowadzi do altany chińskiéj, bardzo ładnéj. Jest ona miejscem ulubionéni hrabiny. Możemy przejść tędy... — A po chwili dodał: — Kościół kosztował dużo, ale stajnie i przebudowa skrzydła pałacowego dwa razy tyle. Na te budynki wydał hrabia około 20,000 rubli.

— Dwadzieścia tysięcy! — zdziwił się p. Wosińskt. — Ależ to ogromna suma!

Doktór przystanął na chwilę, zapalając papiérosa i zaśmiał się:

— Dla nas! Zapewne. Ale dla hrabiego drobnostka.

— Ileż dobrego możnaby za te piéniądze zrobić!—mówił zwolna młodzieniec.

— Dobrego? Dla siebie czy dla drugich? — zapytał, patrząc w oczy.

— Dla siebie? — tonem lekkiego oburzenia odpowiedział p. Wo-

siński. — Nie jestem przyzwyczajony do wygód i nie potrzebuję ich. Miałem na myśli lud.

— I coby pan zrobił?—pytał doktór, złośliwie się uśmiéchając.— Jałmużny? zapomogi? szkoły?

— Nie! Stworzyłbym fermę wzorową, chłopską... i miałbym również środki, by pomódz i zachęcić sąsiadów.

— Ideały! — zaśmiał się doktór lekceważąco. — Ma pan tu sposobność zrobienia fermy wzorowéj dla obywateli, spróbój pan.

— Przedewszystkiém nie wolno mi i nie mogę bawić się w eksperymenta, gdyż jestem tylko dozorcą ekonomów — kończył z lekką goryczą.

— Może być, że dozorowanie nie jest bardzo miłe, ale opłaca się łaską hrabiego—odezwał się doktór uspokajająco.

— Istotnie hrabia jest dla mnie dobry, ale...

— Chcesz pan powiedziéć, że służba to rzecz ciężka. Jest nią w istocie, jeśli się robi bez przekonania, że się jest pożytecznym.

— Ja tego nie czuję dotychczas—odpowiedział chmurno.

Doktór spojrzał bacznie, leciutko się uśmiechnął i mówił tonem zwierzenia:

— To źle. Tu, widzi pan, zbiegają się nici tysiąca interesów, setek ludzi, trzeba się zoryentować i pomagać potrzebującym. Jedno objaśnienie, rada, dobre słowo dużo robią, bo hrabia nie może znać wszystkich ludzi.

— Ale ci, któremi się otoczył, nie należą do wyborowych — odrzekł ironicznie.

— Nie są ideałami, ale to porządni ludzie—bronił doktór.

— Porządni?!—zawołał zdziwiony i stanął na środku ulicy.—Już nie mówię o służbie pałacowéj, niewolniczéj wobec hrabiego i tych, których on darzy łaskami, a brutalnéj i bezczelnéj dla reszty; ale ci inni. Pani Turowska wyczekująca skinienia; nauczyciel przymilający i łaszący się jak pies przy zastawionym stole; i cała ta rzesza podwładnych, którzy są wniebowzięci, gdy uśmiechnie się hrabia. To nie ludzie, ale... niewolnicy.

— Jaki pan młody! — zaśmiał się doktór i szedł spokojnie daléj.—Jaki młody! Pałac hrabiowski działa na ludzi zawsze upajająco i tylko silni, rozumni, nie ulegają bałwochwalstwu. Jestem tu dłużéj, wiem więcéj, a jednak nie gorszę się tymi ludźmi; chociaż wyznaję, że gdyby mię raz tak potraktowano, wiedziałbym co zrobić...

— Porzuciłby pan pałac—przerwał ostro p. Wosiński.

— Porzuciłbym, chociaż z żalem. Bo widzi pan, gdy hrabia odziedziczy miliony wuja, wiem, że część spadku przeznaczy na cele

ogólne. I wówczas trzeba zagrać, by dał na kasę naukową, na stypendya, wydawnictwa, szkoły. Gdy ktoś dostaje dziesiątek lub więcéj milionów bez pracy i zachodu, łatwiéj go namówić na ofiarę znaczniejszą.

— Czy hrabia mówił co o tém?—zapytał p. Wosiński, zatrzymując doktora.

— Wyraźnie nie mówił, ale pomyśl pan, niech tylko piętnaście milionów odziedziczy, czy jest taki człowiek na świecie, nie mówię o skąpcach, by nie dał cokolwiek na cele zacne i uczciwe.

— Tak, ma pan słuszność... Hrabia jest dobry i nie taki dumny, jak hrabina i córka.

Doktór popatrzył uważnie na mówiącego i stanąwszy tuż przed koszem rozkwitłych heliotropów, zaczął tonem serdecznym:

— Stosunkowo są one dla pana jeszcze bardzo uprzejme. Pan nie zna tego świata. Pani Rugiwojska i jéj córka widzą tylko swoje towarzystwo i po za niém nie chcą i nie wolno im znać, widziéć, słyszéć kogokolwiek.

— To już chyba przesada—zaprzeczył zagadnięty—nie są przecież królewnemi zaklętemi, ani ich trzymają pod kluczem. Żyją, podróżują, czytają i wiedzą, że na hrabiach nie kończy się świat.

— Tak pan sądzi?—drwił lekko doktór, zapalając papiérosa. — Ja biorę rzecz praktycznie. Zgodzi się pan, że ten park otaczający pałac jest zarazem granicą piękna w swym rodzaju, po za nim praca, kłopoty, proza życia. Takim parkiem, złożonym z ludzi majętnych i utytułowanych, są zawsze otoczone i hrabina i hrabianka. A pan chce, by one opuszczały go dobrowolnie?

— Ależ to zasklepienie, zamurowanie się żywcem—mówił p. Wosiński, zrywając machinalnie liście z pobliskiego kasztana i mnąc je w ręku.

— Wszak znasz pan nasze miasteczko? — zapytał doktór i nie czekając odpowiedzi, mówił daléj: — Prawda, jakie brudne, nędzne, cuchnące, a spojrzyj pan, jak *tu* ładnie! I pan chcesz, by ktoś rzucał park dla miasteczka? Ten piękny park, pełen drzew i kwiatów!

I zrobił ręką ruch, wskazując otaczający ich krajobraz.

Na chwilę umilkli, rozglądając się wokoło. Wiosna była w pełnym rozwoju. Po obu stronach wysypanéj piaskiem ulicy, za żywopłotem niskim, bukszpanowym, rozciągały się trawniki, równe, świéże, porosłe wiotką, delikatną trawą, wśród któréj osiadły gniazdami ciemniejsze liście fijołków i ich wonne kwiaty, jak wyspy w morzu zieleni. Niskie stokrotki z rozchylonemi białemi płatkami patrzały ciekawie

w jasny błękit nieba, a z małych, mokrych zagłębień, pod osłoną gęstszego cienia wysyłały wytworną woń drobne dzwoneczki konwalii. Kwiaty żółte mniszka, samotne na swéj łodydze wydrążonéj chyliły się zadumane i wraz z jastrunami, jaskrami i sasankami dzierzgały złotem świéżą zieleń trawników. Czeremcha, rozkwitła gdzieś w oddali, przysyłała swój zapach przenikliwy, który się mieszał z ostrą wonią rozwijających się liści, z balsamicznym oddechem jodeł, świérków, sosen i modrzewi. Ptastwo rozśpiéwane nawoływało się po gałęziach liśćmi okrytych, a roje owadów i motyli zjawiały się w promieniach słonecznych, by niknąć w słodkich kielichach kwiatów.

Pan Wosiński, patrząc, myślał o odpowiedzi, nie chciał tak łatwo pogodzić się z tém wyodrębnieniem zupełném rodziny Rugiwojskich, wreszcie przerwał milczenie:

— To tylko porównanie, ale nie dowód. Ludzie są sobie równi.

— Ha, ha, ha!—śmiał się doktór—to dobre tylko w teoryi. Równi?... Więc dobrze, osadź pan tę samą, piękną Hertę w domostwie małém, brudném; zmień suknię jéj białą na perkal pstry i brudny; czy podobałaby się panu?

— Byłaby zawsze piękną—odpowiedział szczerze.

— No, nie dla mnie!—mówił doktór spokojniéj. — Ja wolę ją na tle tego parku. Gdy widzę ją wśród kwiatów, drzew, krzewów, zachwycam się, jak pięknym obrazem.

I zwolna, w milczeniu szli ku altanie chińskiéj. Słowa doktora poruszyły głęboko p. Wosińskiego. Bawiąc się zerwanym heliotropem rozmyślał o swym stosunku do pałacu. Wzmianka doktora o miasteczku nasunęła mu wspomnienia lat szkolnych. Było to życie bardzo skromne, urozmaicone niedostatkiem dłuższym lub krótszym. I nagle, z chwilą przybycia do Wieszar zmieniło się niemal w zbytkowne. Pałac, usługa, konie wyjazdowe, poczucie pewnéj siły i znaczenia, niskie ukłony podwładnych, nietylko umożliwiały, ale i podniecały go w kierunku marzycielsko-uczuciowym.

Pierwszy raz w życiu spotykał codziennie kobiétę młodą, piękną i wykwintną. Początkowo zachwycał się bezinteresownie wdziękiem, postacią, melodyjnym głosem Herty; w krótkim czasie podziw ten wytworzył miłość młodzieńczą. Tego rodzaju miłość ubiéra ukochaną osobę tak, jak malarz manekina, stosownie do nastroju ducha, uczucia i potrzeby. Zazwyczaj bywają to szaty wspaniałe; od słońca pożycza się blasków, od kwiatów woni, od lilii czystości, od świętych cnót, a wszystko bywa opromienione i przepojone miłością. Pan Wosiński był nadto młody i entuzyastyczny, by wśród tego życia pałacowego,

przy nieuniknioném spotykaniu się z Hertą, nie wytworzył z niéj sobie ideału miłości, który wprawdzie miał mało wspólnego z rzeczywistością, ale tém piękniéj i wspanialéj żył w jego wyobraźni. Zwolna pozwolił sobie w swych marzeniach nietylko na dotknięcie jéj ręki, ale na wyznanie swéj miłości w słowach gorących.

Herta, jakkolwiek spostrzegła to uwielbienie, nawet nie przeczuwała jego miłości. On był dla niéj czémś tak małém, nikłém, drobném, że zaledwie przez wzgląd na ojca mogła go spostrzedz. Pan Wosiński, jeśli jasno nie zdawał sobie sprawy z tego stosunku, odczuwał go jednak w przykry sposób i to mu podyktowało słowa o jéj dumie.

Doktór, nucąc z cicha jakąś piosenkę, patrzył na swego towarzysza z uśmiéchem wyższości gracza, posiadającego w ręku wszystkie atuty; a gdy na skręcie ukazała się altana, zatrzymał się, mówiąc:

— Patrz pan!

Na tle rozłożystych buków rysowały się wyraźnie niezwykłe kształty budynku. Dach płaski, odwinięty, ozdobiony w narożnikach fantazyjnemi postaciami smoków i płazów, błyszczącemi w słońcu lakierowaniem jaskrawém, osłaniał ośmiokątną altanę z ruchomemi ścianami. Słupy i stałe ramy skrzyły się dziwacznemi obrazkami chińskiemi: mandaryni, wojownicy, kobiéty, dzieci, widoki miast, ulic, rzek spławnych, drzew i kwiatów nieznanych mieszały się z karykaturami humorystyki chińskiéj, robiącemi wrażenie widziadeł gorączkowych. Wewnątrz, wzdłuż ścian altany były ustawione niskie, szerokie kanapki wyścielane, z oparciami poduszkowemi, kryte materyą półjedwabną, zdobną w rysunek poplątany arabesek chińskich.

Liczne wokoło altany, kosze kwiatów: pierwiosnków chińskich, heliotropów, gladiolusów, białych narcyzów przesycały swą wonią zmieszaną powietrze, a wysokie i gęste drzewa osłaniały i wyodrębniały z całości parku tę wygnankę z dalekiego wschodu Azyi.

— Siądźmy tu na chwilę—rzekł doktór.—Dobrze jest pomarzyć czasem.

Pan Wosiński spojrzał trochę zdziwiony i zapytał:

— Więc i pan marzy?

— Lubię fantazyę, jak czarną kawę po obiedzie. Zwłaszcza podoba mi się ta chińszczyzna. Gdybym był bogaty...

— Miałby pan taką altanę — przerwał z uśmiechem pan Wosiński.

— I kochankę młodą, piękną, ponętną—mówił doktór daléj, wyciągając się na kanapie.

— Wierzę, że będzie pan bogatym, więc jako człowiek praktyczny, chyba pan już ją upatrzył.

— Może.

Umilkli. Cisza parku przerywana jedynie śpiewem ptaków, brzęczeniem owadów; upajający zapach, zaciszna altana, usposabiały do marzeń i wynurzeń.

Doktór myślał w téj chwili o pięknéj Jani. Przypominał sobie jéj spojrzenia, zgrabne ruchy, wygięcia kibici. Gdyby tylko zapragnął, zostałaby jego żoną...

Pan Wosiński, zapatrzony w kwiaty ułożone umiejętnie przez ogrodnika, odtwarzał w swéj wyobraźni twarz, ruchy, postawę, głos Herty. Marzył o jakimś czynie bohatérskim, o sławie, o spadku olbrzymim, któryby umożliwił zbliżenie się do hrabianki.

— Widziałeś pan pannę Janinę?—mówił doktór zcicha.

— Raz tylko, przypadkiem.

— Podobała się panu?—pytał ciekawie.

— Ładna—odpowiedział obojętnie.

— To mało. Ona jest bardzo ładna — ożywiał się doktór. — Posiada cały urok młodości i ma temperament. Czasem miewa omdlałość marzycielską, ale częściéj takie błyski w oczach, takie ruchy ożywione, nerwowe, że czuć w niéj wulkan, nie krew w niéj płynie, lecz lawa gorąca. To nie te sztywne, zimne panny — kończył z uśmiechem ironicznym.

— Ja wolę usposobienia ciche, spokojne, głębokie. Rwące strumienie giną i rozpływają się bez śladu, a wody głębokie płyną cicho, poważnie, bezpiecznie...—mówił rozmarzony.

Doktór, oparłszy głowę na ręku, przerwał te słowa, udając ten sam ton marzycielski.

— I tylko przelotnie odbijają cień przechodnia, zawsze błękitny lub zielonawy, zawsze zimny.—Porzucając zaś udanie, mówił żywo: — Na głębokie wody nawet łódką wypłynąć niebezpiecznie, a potok... zaledwie nogi mi zamoczy.

— Wolę utonąć, aniżeli nabawić się kataru — odpowiedział z uśmiechem pan Wosiński.

— Tylko nie zapominaj pan, że katar łatwo przechodzi, a żyć warto... I pomyśléć, że tylko trochę pieniędzy, a możnaby się urządzić tak dobrze, tak wygodnie...

— Czyż teraz źle panu? Altana, cisza, zapach kwiatów...

W téj chwili wszedł pośpiesznie lokaj do altany i przemówił:

— Pan hrabia czeka na panów w ujeżdżalni.

Przebudzenie z marzeń było dość niespodziane. Doktór wstał, przeciągnął się i krzywiąc się rzekł:

— A co, panie Wosiński, czy mi i teraz dobrze?

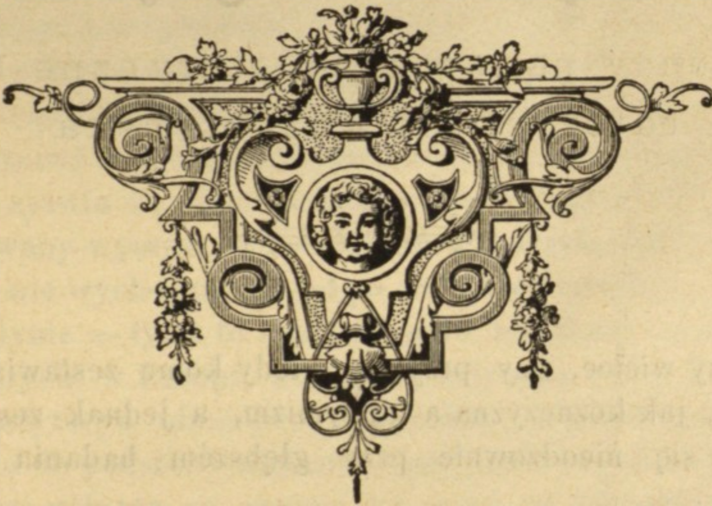
Po krótkiéj chwili zwrócił się do lokaja:

— Czy w ujeżdżalni jest sam pan hrabia?

— Wszyscy z pałacu. Dziś będzie przegląd koni — odrzekł lokaj.

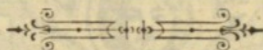
— Idź naprzód—rozkazał doktór—powiédz, że idziemy.

(*D. c. n.*) *Artur Gruszecki.*



Kozaczyzna a Legitymizm.

Dwie legendy polityczno-historyczne Ukrainy: batoryańska i baturyńska.



Wątpimy wielce, czy przyszło kiedy komu zestawiać tak obce sobie pojęcia, jak kozaczyzna a legitymizm, a jednak zestawienie takie nasuwa się nieodzownie przy głębszém badaniu przeszłości Ukrainy.

Względnie do innych warstw społeczeństwa, kozaczyzna, która niepostrzeżenie prawie stała się w połowie wieku XVII-go jéj wielowładną panią, była wytworem zbyt nowym, zbyt świéżym, powstała niby w biały dzień historyi, w jéj oczach niby— nie osłonięta mgłą starożytności, bez tradycyi, bez legendy.

Leży to przecie, widać, w naturze ludzkiéj powszechnie — jednostek, rodów, plemion i narodów, a nawet doszłych do wszechwładzy lub tylko dobijających się o takową warstw społecznych — odsuwać swój rodowód, ile można, daléj w głąb' czasów, stwarzać sobie fikcyjną przeszłość poważną, czepiając się lada pozoru jakiegoś podobieństwa. Odbywa się to widomie do dziś dnia, a słabość ta nie daje się niczém powstrzymać, nawet śmiesznością, wywoływaną wszelakim zakusem wpojenia innym własnych, świadomie zmyślonych, przywidzeń.

Lecz co więcéj, łączy się z tém częstokroć, zwykle nawet, jakiś rzeczywisty interes, jakaś praktyczna potrzeba. Tém zaś bezwzględniéj wysuwana naprzód, o ile podsycana, niemylną rachubą, że wszelakie zmyślenie, byle tylko uporczywém powtarzaniem jakkolwiek ustalić się dało, stać się może z czasem, przy sprzyjających okolicznościach, naprawdę wcale nie wątłą podstawą poważnego wyzysku. Bezsilne tu pospolicie protesta, głośne nawet, świadomych istoty rzeczy. Doświadczenie bowiem wieków, jak i napewno każdego z żyjących, namacalnie uczy, iż z fikcyą wytwarzaną, mimo śmiesznych nawet niejednéj z nich początków, powoli świat się oswaja i przyjmuje ją na seryo ostatecznie. Mniejsza już — u nas np. o tak liczne fikcyjne szlacheckie rodowody, mniejsza o tylu obecnie hrabiów „polskich" nawet; ale uznajemy dziś jeszcze Habsburgów po ich wygaśnięciu, Prusaków po tych wytępieniu, królestwo Saksonii — po za obrębem dziedzin Sasów. Uznajemy — konwenansowo niejako — tyle innych fikcyi poważnych oraz luźnych przywidzeń.

Że zaś z takowemi łączy się pospolicie pretensya też do pewnych praw rzeczywistych, nadających im znaczenie istotne, o co też w fikcyach legitymistycznych np. głównie chodzi, ile razy więc potrzeba tego się okazuje, zjawia się odpowiadający takowéj, mniéj czy więcéj udatnie upozorowany wymysł (w rodzaju np. Fryderykowego).

Stąd—nie wychodząc nawet po za zakres instytucyi i warstw społecznych jedynie — tyleż to znanych jako zmyślone nadań i przywilejów, do których w Europie wogóle odwoływały się w swych walkach przeróżne instytucye (duchowne i świeckie), różne warstwy (szlachta, miasta), jako do podstawy niewzruszonéj praw swych nietykalnych.

Nie pozostali też za innymi kozacy na Ukrainie! Oczywiście rozumiemy tu t. zw. z czasem „rejestrowych" — stale osiadłych, bo o tych tylko w zakresie kwestyi prawowitości poważna może być mowa.

Ciemna jest wprawdzie, mimo wszystkiego, geneza ukraińskiego kozactwa, tyle się wié przecież (p. „Źródła dziej.", t. XXII), że to nam na razie wystarczy.

Kozactwo ukraińskie, niżowe, nazwą zaporozkiego z czasem się szczycące, warstwa kozacka, społeczeństwo kozackie na Ukrainie, powstało i rozwijało się zupełnie samorzutnie. Mniejsza o pierwotny zaczyn onego; turski, tatarski, o obce w niém żywioły, podobnie jak wśród kozactwa północno-litewskiego i podobnie jak tamto, do służby wojennéj pod posłuszeństwem zamku, za prawo używalności pewnych działków ziemi czy „wchodów" myśliwskich, u kolébki swéj, zapewne zobowiązane. Nabrało ono przecie mocy dzięki sprzyjającym mu, na

południu w. księstwa litewskiego okolicznościom—bez urzędowego poparcia lub wyraźnéj sankcyi jakiéjkolwiekbądź władzy zwierzchniczéj, jeśli nie z Wilna, to z Kijowa, a choćby z Czerkas przynajmniéj. Wprawdzie już za Zygmunta I-go, starosta hospodarski czerkaski, p. Ostafi Daszkowicz, radził uorganizować je porządniéj militarnie, w myśl czego nakazywano je nawet (po raz pierwszy w r. 1541 „sprawcy" wwdztwa kijow. kn. Andrz. Koszyrskiemu) „rejestrować"; ale wiadomo, jak to tam na owém „ugraniczu" Rzpltéj wszelkie zamierzenie dalekiém było od wykonania. I „kozactwo", które to miano tatarskie przybrało powoli bez sromu, ba, następnie z dumą nawet, cała warstwa „wolnego", wojennego, siedzącego na swych „chutorach" po włościach hospodarskich, ludu, jaka się była w ciągu wieku XVI-go wytworzyła na Ukrainie—naprawdę spotężniało, dzięki własnéj przedewszystkiém, wśród sprzyjających warunków, samorzutności.

Zdawałoby się tedy, iż zdobywszy moc faktyczną, jaką kozactwo ukrainne już nawet w epoce unii lubelskiéj w znacznéj mierze posiadało, mogło ono, w dalszym swym pochodzie ku zdobyciu urzędowego uznania pełni praw obywatelskich, ziemiańskich, szlacheckich, poprzestać na odwoływaniu się do téj mocy swéj własnéj jedynie, nie uciekając się do żadnych fikcyi jakichś praw swych „starodawnych". Bo faktycznie zdobyło ono sobie tylko — i dopiéro przy pierwszéj jego „ordynacyi", już po unii 1572 r., nakazanéj hetmanowi koronnemu Jerz. Jazłowieckiemu, przyznanie wolnego wyboru swego „starszego", zależnego od hetmana kor., oraz samorządu i samosądu w swém własném kole; poczém w lat kilka nadał mu król Stefan na siedzibę główną etc. Trechtymirów, bliżéj Kijowa—i już nic nadto.

Nie uciekało się też kozactwo długo do żadnych fikcyi prawnych, tém bardziéj, o ile że, nie mocą wcale nadań i przywilejów powstałe i wzrosłe, było ono po wszystkie czasy, z zasady niemal, wrogiem otwartym wszelkiego aktykowanego legalizmu i niszczyło wszelkie piśmienne ślady (nawet obojętnych dla siebie) nadań, przy każdéj okoliczności, poczynając, ile pamiętamy, od zniszczenia dokumentów i nadań królewskich monasteru meżyhorskiego, podczas swawolnego na to miejsce czczone najazdu w r. 1591.

Podobnie też pierwszy groźniejszy wybuch kozactwa pod p. Krzysztofem Kosińskim w r. 1593 rozpoczął się, jak wiadomo, od zniszczenia (przezeń) urzędowych aktów, przy niespodzianym napadzie na Białącerkiew. Całe też przytém zachowanie się kozaków świadczyło, iż występując do walki z kniaziami, a przez nich pośrednio i z władzą najwyższą, w poczuciu niedostateczności sił własnych z jednéj strony, a przy zuchwale śmiałym na swój czas zamyśle uorganizowania wo-

jenno-kozackiego Ukrainy pod przysądem władzy zwierzchniczéj wojska zaporozkiego—ze strony drugiej, gotowi oni byli wejść w sojusz z Krymem i odwołać się o poparcie do Moskwy, zresztą rzucili się, nie czekając, do broni; ale—i w czasie układów następnych z kniaziami—jeszcze do swych domniemanych „praw starożytnych" i czegoś podobnego nie odwoływali się zgoła.

Nie odwoływali się też do takowych ani Łoboda, ani Nalewajko 1596 r., których hetman Żółkiewski zmuszony był ścigać aż w dzikich polach dalekiego Zadnieprza — za Sułą, na Sołonicy. Nie podnoszono przedmiotu tego podobnież na „komisyi" olszanieckiéj w roku 1617-ym.

Dopiéro po raz pierwszy chyba na komisyi rastawieckiéj, w roku 1619 występują kozacy z odwoływaniem się do jakichś „wolności", zapewnionych im (jakoby) przywilejami „najjaśn. królów, ich ś. p. panów" i od jakich królów, tego oni dowodniéj nie wykazywali, a zapewnie i komisarze, nie biorąc tego na seryo, nie dopytywali też o to.

Poczém na komisyi kurukowskiéj z Koniecpolskim w 1625 roku nie wspominano chyba „praw starożytnych", jak i na perejasławskiéj w r. 1630.

Niebawem jednak odwoływanie się do praw owych przybrało wyraźniejszy charakter. Przypisać zaś to niewątpliwie należy wzmagającemu się wśród kozaków wpływowi duchowieństwa błahoczestywego, które, szukając w nich poparcia w walce z przeciwnikami, zapomniawszy dawnych krzywd własnych, od Niżowców tak dotkliwie doznawanych, gotowe im było gorliwie służyć teraz, wskazówkami kazuistyki, w jakowéj zawsze kler wszelkich wyznań tyle celował.

To też w uniwersale Pawluka, którym ten wybraniec niżowych malkontentów wzywa (po polsku) w r. 1637, z Zaporoża do wzięcia się za broń nawet spokojnych rejestrowców, uderza już, występująca niemal w całéj pełni, tyle rozpasana niebawem, śmiałość kłamstwa konwencyjnego—co się zowie, w żywe oczy. Uprowadziwszy podstępnie na Zaporoże, stojącą w Czerkasach, wojska niżowego „armatę", odwołuje się on najprzód w owym uniwersale do wspomnienia „starynnych dobrych mołojców", że tak miało być zawsze za ich „sławnéj pamięci przodków kozackich", iż armata stała tam właśnie, i stamtąd a nie z włości wychodzili oni na krwawą służbę króla i Rzpltéj, „nigdy nie leżąc na włościach i nie robiąc krzywdy poddanym królewskim, jak i w dobrach szlacheckich". Więc słuszna, że armatę wrócono tam, gdzie ona stać powinna i gdzie przebywali i zawsze przebywać winni z wojskiem hetmani jkr. mci zaporozcy. Co więcéj, w pamięci każdego przecie (zostaje) kurukowska komisya, podług któréj

„panowie żołnierze" nie mieli ani nogą przekraczać, po za Kijów i Białącerkiew, a tymczasem wskazano jednak na utrzymanie armaty, tylko Czerkasy, Czehryn i Kryłów, gdzie nie było z kogo brać zasiłku, a zresztą i tego potém wojsko zapor. pozbawiono etc. Co wszystko, wobec znanych surowych nakazów kurukowskiéj komisyi, było grubém zmyśleniem tylko, było fałszem wierutnym. Po takim przecie wstępie, wkroczywszy już na „włoście", uniwersałem swym z Moszen rozsyłanym, wzywał Pawluk bracią do walki już nietylko za „złote wolności kozackie", lecz nawet (co występuje po raz pierwszy i pod tchnieniem nawianém kozactwu oczywiście ze strony) „za chrześciańską wiarę".

Odzywał się też i Hunia z za okopów na Starcu (u ujścia Suły) w r. 1638, w piśmie do hetmana Mikołaja Potockiego, że mimo wszystko nie przestaną kozacy dochodzić „praw i wolności nadanych im zdawna przez ś. p. królów polskich".

Naprawdę przecież, hasło „prawa dawne" — „starożytne" mogło nabrać faktycznego znaczenia od czasu, jak po wzięciu ostatecznem w kluby kozaków, nadaremnie usiłujących postawić na swojém pod Kumejkami (Borowicą), Żowninem i na Starcu w r. 1637—39, odebrane im zostało nawet to, co oni dotąd faktycznie, istotnie, nie zaś fikcyjnie tylko, posiadali. Co byli zdobyli sobie mocą samorzutnego rozpotężnienia i ulegalizowali, jeśli tak powiedziéć wolno, jako rzecz i sprawę własną, przez używalność dłuższą bardziéj, niż przez jakieś wyraźne królewskie, nie już nadania, lecz przyzwolenia (milczące) choćby. Kiedy odebrano im swobodę organizacyi własnéj, ze starszyzną wybieralną etc. i skrępowano na dobre wszystkiém tém, co im komisya na Masłowym stawie 1639 r. była narzuciła. Otóż teraz dopiéro po raz pierwszy naprawdę, podnoszone na nowo, hasło przywrócenia „praw dawnych", t. j. faktycznie już posiadanych, a objętych swobód, wyrażało treść bardziéj dotykalnie określoną. Zresztą, mniéj już mogło chodzić o udowodnienie prawowitości źródła tych praw: wołano o przywrócenie faktycznie posiadanych. Takie też tylko rozumiano napewno, dając, wśród tajemnych przygotowań się do wojny tureckiéj w r. 1647-ym, posłom wojska niżowego (między którymi miał być i Chmielnicki) sekretne, w imieniu samego Władysława IV-go, przyrzeczenie (jeśli tylko ono miało istotnie miejsce) przywrócenia praw dawnych.

Chmielnicki, który w walce swéj z ukrainnymi panami, a przez nich i z całą Rzpltą następnie, chwytał się wszelkich możliwych do wyzyskania dróg i środków, nie pomijał téż, w charakterze „kozackiego bat'ka", jako znany zresztą mistrz obłudy i wybiegów swego rodzaju legitymizmu. W pierwszym swym uniwersale, zaraz po Żółtych Wo-

dach, znanym p. t. „Rejestr krzywd kozackich" — jeśli to nie falsyfikat oczywiście, dotyka on wprawdzie jeszcze tylko krzywd swych osobistych. Lecz już po zadanéj hetmanom pod Korsuniem klęsce, w instrukcyi posłom swym na sejm, po roztoczeniu wszelkich zażaleń i skarg, zamyka je pokorną prośbą od wojska zaporozkiego, by mu zostawiono (przywrócono) „wszystkie wojskowe wolności przez ś. p. królów polskich nadane i przywilejami stwierdzone" etc. Co to zaś za przywileje być miały, owe „wolności" stwierdzające — tego, jak naturalnie, instrukcya nie wskazywała. Jak naturalnie, powiadamy, bo też nie wyszło się w tym zakresie z ogólników i w t. zw. „Przywileju ruskiego narodu", jaki został wydanym 1649 r. w następstwie układów zborowskich. Zaznaczono tam jedynie, że „jkr. mć, przychylając się do prośby wojska zaporozkiego, wszystkie dawne przywileje, których gdziekolwiek w księgach *extant munimenta*, przywraca i dawne wolności, w tych przywilejach nadane wojsku zaporozkiemu, przyznaje i potwierdza". Musiała przecie formułka ta wystarczyć, gdy samych tych „*munimentów*" nikt napewno „w księgach" i za żadną cenę by nie wyśledził!

Rzecz zrozumiała bowiem: gdy nie było faktycznie, po za zapewnieniem w swoim czasie wojskowego samorządu i darem Trechtymirowa, żadnych szczególnych, wyraźnych nadań królewskich, wypadało z konieczności poprzestawać tak w petycyach wojska zaporozkiego, jak i w aktach komisyi wyznaczanych dla spraw kozackich, na gołosłownych jedynie orzeczeniach swobód, praw starożytnych etc.

A pamiętajmy przytém, że Rzplta z zasady już nie była skorą do wiązania się jakiemiś formalnemi aktami względem kozaków, robiąc im ustępstwa prędzéj co do istoty rzeczy, niż co do trybu onych aktykowania. Oto nawet znane artykuły zborowskie, wymuszone na niéj grozą okoliczności i zawierające już określone, faktyczne ustępstwa kozakom, donioślejsze od wszelkich gołosłownych odwoływań się do starożytnych wolności etc., przyobleczone w urzędowy tytuł „Deklaracyi łaski (jedynie) wojsku zaporozkiemu". Tak władze Rzpltéj, w rozpaczliwéj nawet sytuacyi, mocno stoją przy utrzymaniu pozoru (choćby) swéj powagi, nie dozwalającéj krępowania się, co do formy (przedewszystkiém), przymusowém zobowiązaniem.

W ostatecznym czego wyniku, wszelkie opiéranie praw kozactwa o jakiéś wyraźne przywileje władz Rzpltéj, nie miało podstawy rzeczywistéj.

Wobec władzy najwyższéj występowali kozacy ukraińscy, rejestrowi, w całym przeciągu pozostawania pod zwierzchnictwem Rzpltéj, jako jéj poddani: jako klasa społeczna, używająca pewnych praw

i swobód odrębnych, drogą samorzutnego przedewszystkiém wzmagania się nabytych, lecz nie posiadająca téj pełni praw obywatelskich, jaką zapewniały szlachcie *pacta conventa*. Usiłowali oni odrębne owe swobody, wolności swoje rozszerzyć choćby z uszczerbkiem praw klas innych, a nawet z wyraźną szkodą Rzpltéj, co wywoływało nieustanne starcia i niepokoje. Ale chociaż często chwytali za broń, probując zerwać więzy krępujące ich ruchy, korzyli się zawsze przed majestatem królewskim, nie podając nigdy w wątpliwość jego przyrodzonéj nad sobą władzy. Rzplta zaś, zabiegając swawoli, wyznaczała komisye swe rozjemcze, wcale nie dla układania jakichś paktów z kozakami, lecz dla ich dalszéj „ordynacyi" — dla rozejrzenia słuszności ich zażaleń i nakreślenia wskazówek, jakich nadal w swém postępowaniu trzymać się mieli. O żadnych tu paktach wiążących zobopólnie obiedwie strony mowy być nie mogło. Wśród ewolucyi wewnętrznego życia Rzpltéj, występowała niejednokrotnie a poważnie sprawa „narodu ruskiego", ale za przedstawicieli onego prawowitych uważano kniaziów i ziemian jedynie, oraz wyższe duchowieństwo, bez różnicy—zuniowane czy nie, zresztą mieszczan nawet, ale kozaków nigdy. Było to wojsko — i tyle; jako takie tylko było pociągane do przysięgi wierności i jako takiemu tylko poręczono przysięgą komisarzy dotrzymanie przyznawanych im swobód. Ależ i kozacy sami nie mieli do tego uroszczeń: obchodziły ich sprawy ich wojskowe, a nie sprawa ruska: religijna czy narodowa. Dopiéro przyciśnięte ostatecznie, kując dla siebie broń wszędy gdzie się dało, poślubiło kozactwo sprawę narodowo-religijną, nie wzdragając się jednocześnie sojuszu i pobratymstwa z Tatarami. Dopiéro też po raz pierwszy ustępstwa zrobione w Zborowie kozakom otrzymały tytuł „Przywileju narodu ruskiego". Chmielnicki pierwszy począł marzyć o dostojeństwie „księcia ruskiego", księcia odrębnéj Ukrainy, a syn jego został istotnie utytułowanym przez sułtana „księciem Sarmacyi". Przedstawicielstwo, jeśli nie całego „narodu ruskiego", nie całéj nawet Rusi południowéj, to Ukrainy szerokiéj, przypadło odtąd dopiéro wyłączniéj kozactwu, zawisło nadal od jego prowodyrów. Oni też decydują już nietylko o sprawie niżowego wojska, lecz i o autonomii całéj byłego księstwa kijowskiego krainy.

Stąd też i stawienie się kozaczyzny („Czerkasów") względem Moskwy, w chwili poddania się pod jéj zwierzchnictwo, mogło być i było wcale inném, niż względem Rzpltéj do tego czasu. Podnosząc w przewodniczącym zastępie swoim, w kole starszyzny, okrzyk „wolimy cara wostocznego", niezależnie wcale od zmiennych widoków samego „bat'ka Chmiela", wyzwoliwszy się z pod przemocy „lachów" własnych

i Lachów wogóle, poddawała się ona carowi z całą Ukrainą, w rozumieniu własném, dobrowolnie; zatém nie bezwarunkowo, lecz na mocy wzajemnych zobowiązań, przyjętych obustronnie paktów.

Wręcz przeciwne temu zapatrywanie się drugiéj strony, rzeczy tu jeszcze nie przesądza. Zresztą sam przebieg faktyczny procesu poddania się pod nowe zwierzchnictwo uzasadnieniu przekonania, czy choćby domniemania tylko, poddających się—ujmy nie robi.

Wprawdzie w Perejasławiu przy akcie poddania się w r. 1654 posłowie carscy (Buturlin) zręcznie wywinęli się od przysięgi na razie, a zatwierdzenia artykułów ułożonych następnie w Moskwie przez posłów kozackich (Teterę) z djakami „Poselskiego prykazu" ma formę „ukazową", ale cały szereg aktów ubocznych, a niemniejszego znaczenia, jak pisma carskie do Chmielnickiego i starszyzny etc., upoważniał kozaczyznę do przekonania, iż związała się ona z carem wzajemnemi paktami.

Tém niemniéj owo poddanie się Moskwie, dokonane w warunkach przez masę kozaczyzny nieprzewidzianych, przy niejasności, niestanowczości określenia wzajemnego nadal stosunku stron, nie mogło nie ukrywać w sobie zarzewia poważnych nadal nieporozumień. W Moskwie, w istocie rzeczy, chciano uważać poddanie się to za całkowite i bezwarunkowe — przysięgę w Perejasławiu przyjęto, nie związawszy się jako żywo żadném, w imieniu cara, upragnionych swobód kozackich zaprzysiężeniem, nawet artykułami (perejasławsko-moskiewskiemi), jakie następnie kozakom przyznane zostały (14 + 18 = 32). Ci zaś rozumieli, iż to warunki umowy, wynikające wprost z dobrowolnego carowi poddania się; a które to warunki usiłowali oni podać jako odwiecznie im należące, przez najwyższą władzę Rzpltéj zaprzysięgane, a potém niesłusznie potargane swobody i prawa. Rozumieli zaś, w swém przekonaniu, z tém większém uzasadnieniem, ile że poddawano tu nietylko wojsko, lecz całe społeczeństwo ukrainne, Ukrainę całą. Wśród poddającéj ją zaś starszyzny kozackiéj, jeśli nie część znaczniejsza, to bardzo znaczna była to szlachta, przesiąknięta, jako taka, od kolébki ideałami, których wyrazem była elekcya i *pacta conventa*, a które to ideały podzielali niewątpliwie i wychowańcy szkół mohylańskich z warstw nienobilitowanych.

Zwrot ponowny tedy ku Rzpltéj w kole przewodniczącém był prawie do przewidzenia—i w 4 lata po perejasławskiéj zawartą została w r. 1658 ugoda hadziacka, wynosząca Ukrainę na odrębne w łonie Rzpltéj, równe litewskiemu „w. księstwo ruskie". Wprawdzie, nie dała się wcielić w życie owa kombinacya polityczna, lecz przybyły z nią legityzmowi kozackiemu nowe podstawy: warunki téj ugody

chciano też mićć potém za obowiązujące do pewnego stopnia, albo raczéj w odnośnym zakresie i carską władzę zwierzchniczą.

Burza kozacka rozkołysała na południu wszystkie żywioły, porywając je zarazem w stronę wspólnego, całą już Ukrainą, wyodrębnienia się. Okazało się też wprędce, że interesa, że hasła kozactwa były tylko dźwignią wstępną powszechnego wybuchu. Rewolucya ukrainna, rozpasana przez Chmielnickiego, sięgła głębiéj i szerzéj niż dotychczasowe aspiracye kozactwa, jako wojenno-społecznego Ukrainy stanu. Mniejsza już o, w niwecz obrócone, osobiste, z późniejszéj daty, widoki samego „bat'ka” Bohdana; omyliła ona rachuby szlacheckiego zastępu jego bliższego otoczenia, co niby szczerze był poślubił kozacką sprawę i pociągnął ku sobie starszyznę na razie, powstałą z pomiędzy ludzi „pospolitych”. Roztopiła ona „starynne” niżowe kozactwo w niedającéj się ograniczyć liczebnie masie czerni i przybłędów wszelkiego rodzaju, która to masa, okozaczona doraźnie, wzięła niebawem górę nadewszystkiém i siłą swą żywiołową, pchnęła sprawę Ukrainy tam, kędy zawrócić ani się śniło, początkowo starszyznie z bat'kiem.

Nie dla tłumów przecie wziął się on za broń ze swymi przyjaciołmi, nie dla tłumów szlachta przystawała do kozactwa, nie dla tłumów też walczyła starszyzna wogóle. Ale z drugiéj strony, nie można też zaprzeczyć spoczywającéj, nietylko bezwiednie, na dnie ruchu rewolucyjnego, myśli wyodrębnienia Ukrainy. Wyraziła się więc ona w akcie perejasławskim, bardziéj jeszcze świadomie w układzie chadziackim.

Przy warunkach owego układu rozwój życia nowopowstającego, wobec Korony i Litwy, równego im we wszystkiém, „ruskiego” w. księstwa prowadził kozactwo w ostatecznym wyniku do takiéj ewolucyi, przez jaką przechodziło bojarstwo dawne przy zamkach sąsiednich Barze czy Chmielniku, a nawet Owruczu. Hierarchia błahoczestywa wracała do swego dominującego stanowiska; ale też i „pany” do swych zajętych przez kozactwo dóbr. A to ostatnie wytrącało mu z rąk całą zdobycz krwawą, więc zawrócono mocniéj jeszcze ku północy.

Ideały przecie unii hadziackiéj, tak szeroce zakreślone przez najświatlejszych przedstawicieli owoczesnéj inteligencyi Ukrainy — szlachtę, w obozie kozackim i duchowieństwo greckie niezjednoczone, wcale się nie rozwiały; owszem, ze sfer wyższych przenikały powoli coraz głębiéj.

Rozejm andrusowski, którym zakończyły się w r. 1667-ym 13-letnie zapasy z Moskwą o Ukrainę, ograniczył terytoryum kozactwa (podd. carowi) jedynie do Zadnieprza. Zadnieprze jedynie stało się

dziedziną wojska j. car. wieliczestwa, które przybrało odtąd nazwę „małorosyjskiego”, gdy dziedzina ta jego, wobec wielkiego carstwa moskiewskiego, co już mianem Rosyi szczycić się poczyna, zostaje Małą Rosyą, „Małorosyą”. Autonomia, jaką zakreślały układy hadziackie dla całéj Ukrainy razem z Zaporożem, zacieśnia się teraz do lewobrzeżnéj względem Dniepru jéj połaci, z wyłączeniem działu zaporozkiego. Choć autonomia—na wstępie—faktyczna, istotna: organizacya kraju ściśle wojskowa, naczelna władza hetmanów (niby) wybieralna, statut litewski etc. Wojsko, kozactwo, spotężniałe liczebnie — instytucya na wskroś demokratyczna — ma zostać wyłącznym panem i gospodarzem kraju, starszyzna onego trzymać tylko czasowo urzędy od wyborów zależne, razem z przywiązanemi do nich dobrami rangowemi etc.

I zdawało się narazie za Dnieprem, iż nie napróżno przecie wylane zostały owe, nie już potoki, lecz powodzie krwi w zapasach z „lachami” o wolę kozacką, nie napróżno przestwory całe kraju okrył całun „ruiny”, nie próżném było zerwanie z tradycyą, pobratymstwo tatarskie etc. Wykwitła z popielisk staréj Ukrainy autonomiczna Małorosya wszystko to opłacała.

Stąd i cały legitymizm kozacki zastrząg odtąd na Zadnieprzu wyłączniéj. Tém mocniéj zaś ugruntował się w przeświadczeniu, ile że szybko i niedostrzeżenie prawie przybrał on cechę, nie przeważniéj społeczną jak dotąd, lecz do pewnego stopnia odrębnie nacyonalną niejako—z „zaporozkiego” (obydwóch brzegów Dniepru) stał się „małorosyjskim”.

Prowadziła ku temu skądinąd i zmieniająca się na Zadnieprzu postać rzeczy wogóle.

Po uciszeniu się burz wojennych rozpoczął się tam zwrot jakby ku tym samym porządkom społecznym, w walce z któremi tyle krwi przelano. Wyzbyto się wprawdzie Lachów, lecz ich miejsce zastąpiła niebawem warstwa, klasa nowych „panów”, kontyngensu dla któréj dostarczyła, oprócz ocalałéj za Dnieprem dawnéj szlachty, wszelakiego pochodzenia starszyzna, wzbogacona różnemi drogami kosztem wojska. Starszyznie owéj i jéj rodom szlacheckim czy nobilitowanym faktycznie, pozostawiony przy życiu statut litewski, zapewniał też same prawa szlachty polskiéj, przeciw którym niby kozactwo z przed „ruiny” tak się było srożyło, tyle żądne w istocie rzeczy onych zdobycia. Tak usadowiona, upewniona w utrzymaniu swego nabytku, starszyzna wojska j. car. w. małorosyjskiego, nie żądała początkowo już nic więcéj, jak tylko zachowania nadal bez ujmy tego, do posia-

dania czego już była przyszła. To była główna sprężyna jéj małorosyjskiéj prawomyślności, jéj poważnego legitymizmu.

Z innéj strony wszakże—oderwane od reszty Ukrainy, pozostałéj przy Rptéj, Zadnieprze stawszy się Małą Rosyą, poddaném zostało tém łatwiéj teraz procesowi asymilacyi z ogniskowém jądrem moskiewskiego carstwa — Rosyi Wielkiéj, które wprędce silną dłonią Piotra I-go na wszech rosyjskie cesarstwo przetworzone zostało. Proces zaś ów asymilacyi, prowadził też za sobą coraz to ściślejsze ograniczanie, jeśli nie zaprzysięganéj to faktycznéj w założeniu autonomii.

Że w nacisku podobnego procesu asymilacyjnego widziała starszyzna małorosyjska łamanie paktów — było rzeczą naturalną. Nie było w zapatrywaniu się co do tego różnicy, między wychowańcami szkół jezuickich czy aryańskich a uczniami mohylańskiéj akademii — ideały wszystkich wykształceńszych śród kozactwa, całéj ukrainnéj inteligencyi były republikańskie, szlachecko-polskie.

Poczęły się ożywiać przypomnienia ponętnych dla starszyzny warunków ugody hadziackiéj—równe Koronie i Litwie a odrębne w. księstwo ruskie całą już Ukrainę obejmujące i przedstawiające malkontentom widoki szersze niż zacieśniona do Zadnieprza Małorosya, razem z tém — niezawisła po dawnemu kijowska metropolia etc. etc. I zatęskniono ku powrotowi w objęcia Rpltéj. Tém zaś bezpieczniéj, że teraz już, wydziedziczona całkowicie, po rozejmie andrusowskim, szlachta polska o dawne swe dobra upominać by się nie chciała, nie mogła.

Dla osiągnięcia tego celu najpewniejszą drogą dla społeczeństwa wojennego była droga zbrojnego czynu. Mazepa przecież z wojskową, sobie oddaną starszyzną, gotując się do otwartego ostatecznie wystąpienia z bronią w ręku, potrzebowali oczywiście, dla tém pewniejszego skutku swych zamierzeń, wpoić w umysły i tłumu też kozaczego wogóle, że łamane prawa wojska małorosyjskiego, zagwarantowane umową perejasławską, tém więcej winny być przez całe wojsko strzeżone, i że to zabytek święty starożytnych towarzystwa zaporozkiego swobód, przez przychylnych kozakom ś. p. królów polskich nadanych. Przy dawnych wybuchach przeciw panom i Rpltéj, poprzestawano, jakieśmy to widzieli, na odwoływaniu się gołosowném; nikt bowiem najprzód nie brał tego na seryo, a potém—wystarczało motywów żywych, doraźnych względnie Lachów. Ale teraz—nie dosyć tego: dla dodania motywom podobnym, rzeczywistym, większéj mocy, uważano za środek najskuteczniejszy—bardziéj nieskrępowane wysunięcie w grę motywów fikcyjnych, mających pozór uzasadnienia naprawdę dziejowego.

Przy powszechnéj zaś ciemnocie ówczesnego społeczeństwa kozackiego i braku historycznego wykształcenia, nie było to nawet trudném. Żywioły pożądanéj fikcyi unosiły się jakby w powietrzu, do dawnych przybywały nowe, wypadało je tylko skupić i stworzony w ten sposób *epos* kazuistyczny przyoblec poważną szatą legitymizmu.

Punkt oparcia sam się nastręczał—leżał pod ręką. Przedstawiała takowy stolica sama (od r. 1670) Małorosyi—Baturyn, nazwa któréj przypominała, czczonego tyle przez kozaków, króla-bohatera, a co więcéj—tak groźnego przeciwnika Moskwy.. I poczęła się tedy jakby mimowoli, niepostrzeżenie osnuwać koło tego miasta przędza, z któréj utkano następnie całą legendę polityczno-historyczną, dwoistą nawet, baturyńsko-batoryańską, splatającą się daléj nierozerwalnie ze szczerą wiarą w obowiązującą powagę artykułów perejasławskich.

Obrócenie w niwecz, skutkiem Piotrowego zwycięstwa 1709 r. pod Połtawą, zamierzeń stronników Mazepy oraz zaszłe w następstwie tego przeobrażenie porządków małorosyjskich, nie unicestwiły przecież wcale legendy owéj zasiewu. Przeciwnie. Zmuszona do zamilknięcia, znalazła tém gościnniejsze przyjęcie w latopisach opiewaczy „starożytnéj sławy kozackiéj", gdzie stała się teraz ona główną podwaliną jakby całego rusztowania, na którém miała spocząć, robiona *ad usum* bałamuconego tłumu hramotnego, historya kozactwa i Ukrainy. Rozwijała się zaś legenda owa dwoista i ustalała tém bardziéj, ile że po utracie wszelkich nadziei dochodzenia zbrojnego, mogła się ona stać, przy okoliczności (fikcyjną) podstawą upominań się, czy przypominań się tylko, na drodze legalnéj. Zresztą potrzebna ona była może — dla podniesienia poczucia prawowitości niewygasłych aspiracyi etc. w obliczu stopniowego łamania i łamania się dawnych porządków.

Nie odrazu przecie i w kroniczkach małorosyjskich zjawia się legenda owa, baturyńsko-batoryańska w całéj swéj pełni.

Najprzód dostrzegać się daje faktycznie strona jéj wyłączniéj batorowska, batoryańska. Zrozumiałe to wielce. Jeszcze w czasie początkowych swych walk zawziętych z kniaziami i panami, kozacy, odwołując się do „ś. p. królów polskich, ich panów", co mieli wojsko nizowe obdarzyć kwestyonowanemi przez tamtych wolnościami, kogoż bardziéj mogli miéć na myśli jeśli nie króla Stefana? Nie Zygmuntów Jagielonów przecie; choć pierwszy z nich nakazał „zregestrowanie" wstępne a drugi zalecił porządniejszą „ordynacyę." Stefan zaś Batory, sam wojownik w wielkich planach politycznych, których wykonanie wymagało poprzedniego podniesienia wogóle sił militarnych, ocenił

głębiéj dopiéro znaczenie i możliwą użyteczność kozaków i dla podniesienia istotnego ich wojska, chcąc je, jak powiada Piasecki, w tryb porządniejszy wprowadzić, nadał mu zamek Trechtymirów z przyległościami... gdzieby obrad swoich i rządu wojskowego stolicę oraz arsenał i skład wojennych rynsztunków założyć mogło... co zapewniając mu urzędownie stałą, niejako ostoję, uwalniało je zarazem nadal z pod krępującéj faktycznéj kontroli starostów (w rodzaju Ost. Daszkowicza etc.) czerkaskich. Był to rzeczywiście punkt zwrotny w historyi rozwoju kozactwa. Po śmierci też sprężystego monarchy, kozacy tak szybko urośli w groźną siłę, że już potrafili z bronią w ręku mierzyć się ze swymi kniaziami-starostami, osłaniającymi widoki swe własne dobrem Rpltéj. A gdy, nie poprzestając na doraźnéj sile faktycznéj, przychodziło legitymować samą prawowitość tych praw domniemanych, za podeptanie których niby chwytano za oręż, przychodziło powoływać się na jakieś sankcye królewskie—do kogoż łatwiéj było odwołać się jak nie do Batorego? On nadał istotnie Trechtymirów— dla czegożby nie mógł zrobić innych obdarowań? Nie dość na tém, czyjegoż imienia pamięć mogła być głębiéj, szczerzéj, mimo wszystko, czczoną przez lud wojenny, jeśli nie króla-wojownika, króla-bohatera? A panom samym—jakiém że imieniem można było więcéj imponować, jak Batorego! On więc to sam, mówiono, nie kto inny, wielki król, dał „braci zaporozkiéj" ową organizacyę wojenną, jaką posiadali faktycznie; obdarzył ich temi prawami, których nie podobna było już im odjąć; uposażył w te chutory, któremi byli już zawładnęli etc. etc. — jedném słowem, on dźwignął kozactwo! Daléj, zwątpiwszy o możności zdobycia sobie przyznania pełni praw obywatelskich, przeciw legitymizmowi szlacheckiemu wystawia się już tedy własny legitymizm kozacki; a im zawzięciéj niszczy się, przy każdéj okoliczności, pargaminy ziemian etc., tém śmieléj o swoich przywilejach starożytnych się głosi. Mniejsza iż przywilejów tych wcale nie okazywano, samo głoszenie tego stronie zainteresowanéj (*cui prodest*) wystarcza. Owo też gołosłowne, anonimowe odwoływanie się do ś. p. królów polskich stosuje się widocznie do Batorego przedewszystkiém. I powoli, niepostrzeżenie, osnuwa się na tém, z biegiem czasu cała legenda batoryańska. Była ona w umysłach gotową już zupełnie chyba, zanim pan setnik czehryński, podjąwszy 1648 na panów ziem ruskich, nie tylko kozactwo lecz i całe masy ludu ukrainnego, zaczął w swych znanych uniwersałach po swojemu komentować dzieje kozackie. Oczywiście nie ma na to wszystko, t. j. co do genezy saméj legendy batoryańskiéj, dowodów dotykalnych, lecz przestaje to ulegać wątpliwości przy poglądzie wstecznym na przeszłość.

Zdaje się też wielce prawdopodobném, iż legenda ta, nie brana na seryo przez szlachtę nie kozakującą, nabrała dopiéro poważniejszego znaczenia, gdy przyszło „braci zaporozkiéj” traktować z diakami carskimi o wieczny sojusz—jak sobie pochlebiała — z państwem moskiewskiém. Stawili też, pewnie na oczy dyplomaci kozaccy zaciętym diakom, nie umiejącym się otrząść od zakorzenionego na Moskwie zapatrywania się na Nizowców wogóle, że to zawsze tylko „zbóje Czerkasy” — iż mają przecie do czynienia z narodem, posiadającym swe prawa i przywileje „starożytne,” zapewnione im przez sławnych królów, takich nawet jak Batory. Była to oczywiście gra dyplomatyczna ale obustronnie uznawana za potrzebną — przed i po przysiędze nawet perejasławskiéj 1654 r. I téj taktyki trzymali się daléj i późniejsi też autonomiści małorosyjscy.

Na wyosobnioném Zadnieprzu przecie, legenda batoryańska przedstawiała się nie dosyć, widać, ugruntowaną jeszcze, co do saméj zasady. Wypadło ją tedy z biegiem czasu wesprzéć inną, pomocniczą. Gdy tedy po zawarciu traktatu andrusowskiego został r. 1669, z woli carskiéj przeznaczonym na stałą odtąd stolicę hetmanów małorosyjskich Baturyn, wyrasta naraz legenda „baturyńska”. Już to nie wystarcza, że sławny król Stefan pierwszy kozaków polityczno-wojennie uorganizował, że usamowolniony przezeń mądrze naród kozacki osypał przywilejami, nadaniami etc. etc. On to właśnie, przezorny dyplomata, a sam bohater, otwarty czciciel bohaterów nizowych, kazał zaraz w pierwszym roku panowania swego wznieść nad Sejmem osobną dla ich hetmanów rezydencyę, a co więcéj, w dowód wysokiego uznania, udzielił jéj własnéj swéj nazwy. Nie mocą też jakiegoś nowego nakazu, lecz w myśl wielkiego planu wielkiego króla, Baturyn jest Małéj Rosyi stolicą: na stolicę narodu kozackiego został on od wieku przeznaczonym; tu miał być też i trybunał najwyższy odrębny!

Kto był inicyatorem téj legendy, pytać próżno: najprędzéj scholastyczni wychowańcy mohylańskiéj w Kijowie akademii, a może i sam—hetman z czasem, (od 1687) p. Jan Mazepa Koledyński, który właśnie w Baturynie knuł i swoje, daleko sięgające plany. Wobec ogólnéj legendy batoryańskiéj, unoszącéj się niby w powietrzu ponad Ukrainą, Baturyn nasuwał się, jakby na dopełnienie jéj, powszechnie widać, kiedy już Kochowski (w Climact. III) królowi Stefanowi przypisuje jego założenie.

Po zburzeniu Baturyna etc. legenda owa z nim związana i tém silniéj jeszcze spleciona z batoryańską, przeszła, jakieśmy to już natrącali, z życia samego w dziedzinę rocznikarską latopisów miejscowych.

Splecione tak z sobą legendy owe nie odrazu przecie występują w kroniczkach małorosyjskich w całéj swéj pełni. Tak „Samowidec," wydany przez Kulisza nie wiele jeszcze co dodaje do Piaseckiego, powiadając, że „przy Stef. Batorym kozacy w lepszy porządek zostali wdrożeni... Dał on im, oprócz ich starodawnego składowego grodu Czehryna (który nb. za jego czasów nie istniał jako miasto) jeszcze Trechtymirów z monasterem, dla zimowych leży..." O Baturynie wcale nie ma mowy. „J. R. Latopisiec" Bielozerskiego wprawdzie dopełnia już podanie powyższe, dodając: „...a dla rezydencyi hetmańskiéj wzniósł (król Stefan), nad rz. Sejmem miasto nowe, i nazwał je od swego przezwiska Batoryn, który dziś zowie się Baturynem..."; ale powiedziawszy to, cofa się niejako jeszcze, robiąc omówienie, że „miasto to (właściwie) nie dla rezydencyi hetmańskiéj założone, lecz król dla siebie je osadził, jako swą majętność, ponieważ w owym czasie w Małorosyi, na téj stronie Dniepru, jeszcze nie było kozaków, ani hetmana, a ono (m. Baturyn) stało się rezydencyą hetmańską tylko... w 1670 r." Dopiéro (długo zagadkowy) autor, tyle rozgłośnéj w swoim czasie „Historyi Rusów", nieśmiałe owe natrącenia rozwinął w całéj pełni.

Były to już czasy Ces. Katarzyny II-éj, czasy pamiętnéj pod jéj imieniem „komisyi" reorganizacyjnéj, (od 1767) która pom. in. miała téż za zadanie przystosować i do Małorosyi, gdzie już władza hetmańska została zniesiona, ogólno-państwowe porządki rosyjskie. Że wobec tego autonomiści małorosyjscy, nie tylko stronnicy ukryci separatyzmu ze szkoły Mazepy, lecz i najprawomyślniejsi, pragnęli, usiłowali ratować z dawnych porządków ile się tylko dało—rzecz zrozumiała. Chodziło tu o zbyt ważne interesa, przedewszystkiém zaś o utrzymanie nietykalne polityczno-społecznego stanowiska, jakie sobie, w ciągu zwierzchnictwa już rosyjskiego, zdobył zastęp rodów starszyzny kozackiéj—(warstwa, klasa, klika), który to zastęp stanowił teraz miejscową arystokracyę ziemiańską—szlachtę niby, „dworzaństwo". Stanowisko to zachować by się pewniéj dało w razie utrzymania przy życiu ile można więcéj z dotychczasowéj autonomii. Bronić się zaś było podobnem jedynie tylko na drodze otwartéj, legalnéj, odwołując się do prawowitości; co już prowadziło wprost do posługującéj się historyą kazuistyki. W komisyi owéj „katarzyńskiéj" zasiadali i delegaci małorosyjscy (G. A. Poletyka); na nich więc zaciężył obowiązek ujmowania się za swoje, szermując historycznym legitymizmem kozackim. Gdzie brakło tedy faktów, uciekano się widać do zmyśleń, nie miało to praktycznego skutku, ale pozostał obfity materyał do historycznéj fantasmagoryi, która z czasem przybrała postać, wspomnianéj już „Historyi Rusów".

Utwór ten fantazyjno-historyczny z charakterem politycznego pamfletu, długo wydawany (dla większéj powagi) za dzieło arcyb. Jerzego Koniskiego, powstał właśnie, zdaniem obecnych badaczy przeszłości Zadnieprza (Łazarewskiego, Horlenka i Wasylenka po nich) w domu Poletyków. Z tych ojciec G. A., delegat wspominanéj komisyi za ces. Katarzyny, najenergiczniejszy w niéj obrońca autonomii Małorosyi i najświatlejszy człowiek wśród swoich, zmarły 1784 r. miał przygotować materyał; syn zaś W. G. najprawdopodobniéj nadał dziełu, jako „Historyi Rusów,” postać ostateczną (p. „Kij. Star.” z 1894 r. n-ra 11 i 12 — „Do dziejów małoruskiéj historyografii”). Utwór to nawskroś politycznéj natury. Gdy autonomia Małorosyi została faktycznie zniesiona, pozostawało tedy wpoić w umysły przyszłych pokoleń żywsze przeświadczenie przynajmniéj, tak o minionéj chwale „sławnego” wojska zaporoskiego i wogóle całego narodu Rusów (nie Małorosyan), jak tém więcéj jeszcze może o uzasadnieniu jego praw i aspiracyi na ciągłości historycznéj opartém. Wcale też tu pomysłowo wzniesione widzimy zawiłe rusztowanie ciągłości owéj. Domniemany układ perejasławski i wszystko, co z niego bezpośrednio i pośrednio wypływało, oparte tu na wspaniałéj substrukcyi, do dźwignięcia któréj dostarczyły budulcu, nie tylko przewodnicza myśl paktów hadziackich, przesunięta fikcyjnie w głębszą przeszłość, lecz splecione z nią bardziéj jeszcze dowolnie legendy batoryańska z baturyńską. Występują one w „Historyi Rusów” na tle fantastycznego pierwotnych dziejów Rusi południowéj eposu (szczegółów którego nie mamy potrzeby tu dotykać), w poważnéj szacie pozytywnych faktów, na wyraźnych dokumentach opartych, a przyświadczających, że król Stefan ostatecznie obdarował kozaków formalnym aktem nadawczym, w którym zaznaczywszy najprzód zasadniczą „jedność i równość” szlachty ruskiéj ze szlachtą polską i litewską, nakazuje „odprawować sprawy według przystojności” takowych „trybunałowi ruskiemu” — w nowozałożoném mieście naszém (król.) Baturynie, a jak potrzeba wskaże, to i w Czerkasach; też i hetmanowi ruskiemu rezydować w tém mieście, a w Cerkasach mieć namiestnika swego...” Jedném słowem on już (król Stefan) zapewnił Ukrainie, w zasadzie to, co jéj miała przynieść z czasem umowa hadziacka dopiéro. Wobec czego, wobec owéj niewzruszonéj ostoi historycznéj legitymizmu kozackiego, małorosyjskiego *resp.*, całe następne dzieje Ukrainy i „Rusów”, w autonomii swéj upewnionych, były już tylko tyle dyplomatyczném ile orężném, prawowaniem się o nietykalność owéj autonomii — najprzód z Polską, a po zerwaniu z nią i z Litwą troistego od czasów Jagiełowych jeszcze sojuszu i przy-

jęciu dobrowolném paktów perejasławskich — z carstwem moskiewskiem i cesarską Rosyą.

Nie był to przecie, jak wyrokuje o owéj „Historyi Rusów" p. Karpow w polemice swéj z Kuliszem, „najzłośliwszy paszkwil polityczny," chociaż zgodzimy się z nim chętnie, „iż utwór ten wysoce publicystyczny" obliczony był na zupełne nieuctwo publiczności i literatury rosyjskiéj." Do czegobyśmy ze swéj strony dodali jeszcze, że dla tém łatwiejszego zapewnienia sobie, iż tak powiemy, *veniam legendi* — bardziéj niż dla podtrzymania małorosyjskiego animuszu, nastrzępiono pamflet ten wszelkiemi rekryminacyami i przeciw Lachom wysuwając naprzód, wśród faktów rzeczywistych, wszystkie też bajdy, niedorzeczne a krwawe, wymyślone, ukute jako broń w czasie walk namiętnych, co poprzedziły „ruinę." I istotnie, mimo charakter swój publicystyczny a może dla tego właśnie charakteru, „Historya" ta, jako domniemany upominek narodowi arcyb. Koniskiego, wplatając wszystko — i bajdy i legendy — w misternie wyfantazyowany epos „sławnéj" przeszłości kozackiéj i małorosyjskiego legitymizmu, stała się nie tylko dla prostaczego na Zadnieprzu społeczeństwa ostatniéj ćwierci w. XVIII-go źródłem polityczno-dziejowéj onego świadomości. Podstawy legitymizmu owego, razem z batoryańską legendą, znalazły wiarę i daléj.

Pomysły też i wymysły „Historyi Rusów" stały się następnie i w pierwszéj połowie bież. już wieku treścią zasadniczą ożywczą wszystkich dalszych opracowań historycznych za Dnieprem, przeszłości Ukrainy dotyczących. Najmniéj może jeszcze dał się niémi unieść Bantysz Kamieński w swéj „Historyi Małéj Rosyi" (1822—30 r.); lecz tyle popularna długo, co i utwór Poletyków, „Hist. Małorosyi" N. Markiewicza (1842—43 r.) jest w istocie swéj powtórzeniem prawie tylko treści tamtego.

Niezależnie też od stopnia akcentowania faktycznych podstaw legitymizmu, czy to kozackiego wogóle czy małorosyjskiego wyłączniéj, legendy same, batoryańska z baturyńską, przechodzą koleją, bez żadnéj już krytyki, na podstawie jedynie owego zmyślonego nadania króla Stefana z dzieła do dzieła — nawet do poważnych wydawnictw. Arcyb. Filaret (Humilewski) w swym „Opis. Czernich. epar." legendy owe nawet daléj rozwinął i szczegółami własnego pomysłu przyozdobił. Baturyn, powiada on, został założony w r. 1576 na gruncie należącym do króla; „dla zasiedlenia nowego miasta swego, Batory wywoływał ochotników i dawał na urządzenie się po kożuchu i dukacie". Szczegół zresztą wzięty z „J. R. Latopisu" (Błzr.) i przystosowany tu do-

wolnie, gdy tam mowa o pospolitym (wtedy jakoby) żołdzie kozackim jedynie.

Co zaś do samego Baturyna, faktycznie, tyle tylko możemy powiedzieć nakoniec, że nic go z królem Batorym, oprócz przypadkowéj współbrzmienności nazw, nie wiąże. Przedewszystkiém Baturyn za Batorego, jako miasto, nie istniał wcale! Za panowania króla tego cała Czerniehowszczyzna z Posejmiem należała już oddawna, już od czasów Kazimierza Jagielończyka do carstwa moskiewskiego; rozległy zaś przestwor rozciągający się na wschód osadzonych już rubieży starostwa ostrzskiego (do województwa kijowskiego należącego) ku utraconemu podobnież Putywlowi, pomiędzy Desną i Sejmem a wierzchowiskami Supoju i Suły, chociaż uznawany nominalnie za dziedzinę Rpltéj, był jeszcze wciąż jedném wielkiem „polem jałowém", w całém znaczeniu pustynią. „Uchodnicy" chyba tylko, „sewrucy" siewierscy „brodzili" po niéj, nikt zaś osiadać tam się nie ważył. Jedynym punktem obronnym Rpltéj był tu Ostrz, bliższy Kijowa, gdy na przeciwległym krańcu pustyni rozsiadły Putywl na Sejmie i strzegący moskiewskiéj tam granicy, nie dopuszczał sadowienia się osad kijowskich w pobliżu. Baturyn tedy, bliższy Putywla niż Ostrza, mógł powstać dopiéro po przywróceniu Czerniehowszczyzny, a więc za Zygmunta III-go, po rozejmie dywilińskim 1619 dopiéro, sama zaś nazwa Baturyn, jako miano uroczyska, mogła istnieć (i istniała najpewniéj) jeszcze przed Batorym; nadana owéj miejscowości, choćby od jakiegoś Batura — uchodnika, sewruka, krwi turańskiéj, jakich nie brakowało na Zadnieprzu (p. „Etniczna postać Ukrainy" etc. w Kwart. hist. z 1893). Miano też owo turańskie dość pospolite i prawdopodobnie pokrewnego nazwie „Batory" pochodzenia. Jako osada (miasteczko) powstał zaś Baturyn dopiéro 1625 r., założony „z polecenia króli" przez Macieja Stachórskiego, osadcy Aleks. Piasoczyńskiego, starosty nowogrodzkiego, do którego z urzędu należało osadnictwo nowozdobytych pustyń, (p. Edw. Rul. „Jan Stach." w Dzien. Warsz. 1855 nr 257—262). W czasie wojny z Moskwą 1633 r. Baturyn, już obwarowany widocznie, został zdobytym przez Szeina i zwrócony dopiéro mocą traktatu polanowskiego (Pietrusz. Swod. Let. I — 476 — 481). Zburzono go wtedy niewątpliwie, bo oto (u Swdz.): Wład. IV r. 1634, 30 maja, w obozie pod Szemlowem (między Białą a Polanówką w Smoleńszczyźnie), jakby ponownie „pozwala" Aleks. Piasoczyńskiemu, kaszt. kamien. ułanow. i nowogrodz. stscie, pomiędzy innemi spustoszałemi miejscami w nowogr. ststwie, założyć osadę i „na uroczysku i horodyszczu Baturynie, nad rz. Siemią, w powiecie nowogrodzkim, które zdawna do tego zamku nowogrodzkiego należało..." W r. 1647 Baturyn razem z są-

siednim Konotopem należy już do kanclerza J. Ossolińskiego, który nawet korzysta z pretekstu odwiedzenia nowonabytych dóbr, dla swéj wycieczki dyplomatycznéj na Ukrainę. Po jego zaś śmierci w 1650 r., ogarnięty już wylewem kozackim, przypadł on z prawa, z ręką jednéj z jego córek, na rzecz Lubomirskich. Po odpadnięciu faktycznem od Rptléj Zadnieprza, choć wśród walk jeszcze o nie, miasto to, leżące jakby pośrodku między głównemi połaciami — czerniehowską i kijowską (resp. perejasławską) a tak bliskie zarazem carskiéj (putywlskiéj) granicy, zyskało odrazu na znaczeniu. W r. 1663 tu właśnie ponawiają kozacy układy swe z posłami moskiewskimi. Po zawarciu zaś w r. 1667 traktatu andrusowskiego, niebawem, bo 1669 już roku, zostaje ono zatwierdzoném przez cara Aleksego Michajłowicza na rezydencyę hetmanów małorosyjskich, o czém autor „Historyi Rusów," przypisujący to Batoremu, razem ze swymi naśladowcami, lepiéj pewnie wiedzieli od nas.

Nie dziwimy się przecież, że podobna roztoczonéj w owéj „Historyi Rusów" etc. fantasmagorya historyczna, mogła zapanować na czas w społeczeństwie i piśmiennictwie małorosyjskiém, ale co nie do uwierzenia prawie, że u nas, w biały dzień, przy jasném świetle faktów źródłowo znanych a trzeźwém wypowiadaniu się badaczy poważniejszych, poczęto ją z czasem również przyjmować na seryo, co gorzéj — nie uwolniono się od zanieconego przez nią obłędu całkowicie jeszcze do dziś dnia niemal. Nie stosujemy tego oczywiście do dwóch owych legend, batoryańskiéj z baturyńską, jedynie; lecz do całokształtu, gdyby tak powiedziéć było można, tak zw. „historyi"—Kozaków Zaporoża, Ukrainy, Małorosyi — mniejsza już zresztą o chwiejne same przez się jéj tytuły. Naprawdę, byłoby to nawet nie do uwierzenia zupełnie, gdybyśmy zapomnieli wziąć w rachubę tego, jak sentymentalnie nastroił nas romantyzm, porywając z jednéj strony ku pustym, pod tchnieniem poetyckiéj „szkoły ukraińskiéj," ekstazom, z drugiéj zaś — nastrajając do jakiegoś biernego, naiwnego pokutnictwa za błędy przodków. Co razem wzięte, przy braku trzeźwéj historycznéj krytyki w przeważnéj masie wykształconego społeczeństwa, prowadziło nieświadomie prawie do dobrodusznego poddawania się obcym przywidzeniom!

Odbiło się to nawet i na specyalnych, dotyczących Ukrainy wyłącznie, jeśli nie pracach, bo to nazwa za poważna, to przeróbkach historycznych u nas, jeszcze i na początku drugiéj połowy bież. stulecia. Wtedy, kiedy to powszechniéj niby poczuto potrzebę bardziéj trzeźwego zrozumienia istoty ukrainnych w oddalonéj przeszłości stosunków; lecz zamiast wzięcia się do samodzielnego zbadania krytycznego

odnośnych źródeł — co robiło niewielu tylko badaczy poważniejszych, zaczęto lekkomyślnie przejmować cudze bajdy tendencyjne.

Pierwszy co się dopuścił, w najlepszéj wierze, podobnéj naiwności był Michał Gliszczyński. Najprzód, dla wskazania niby urzędowéj podstawy praw kozaczyzny i wypływającego stąd jéj legitymizmu, podał on w r. 1851 w „Bibl. Warsz.", najpoważniéj w świecie, domniemane (apokryficzne) akta nadawcze Zygm. I-go, Zyg. Aug. i Stef. Batorego, „któremi przyznali (oni) kozakom zaporozkim na własność ziemie, jakie w chwili wydanych przywilejów posiadali." Następnie zaś w r. 1852 wydał i dzieło osobne pod tyt. „Znaczenie i wewnętrzne życie Zaporoża" (podług Skalkowskiego) oraz „Hetmani małorosyjscy i kozacy do czasów unii."

Dzieło to samo przez się, jako echo jedynie cudzych pomysłów i przywidzeń, nie zasługuje właściwie na traktowanie na seryo. Ale dlatego też właśnie dotknięcie bliższe powtarzanych przezeń bałamutnych pojęć i zmyślonych faktów, tém żywiéj oświetlić może, co do samych szczegółów, bardziéj ogólnie tylko potrącany przez nas dotąd, zakres i charakter historycznych podstaw mniemanego legitymizmu kozaczyzny. Co więcéj, wskazać może jedną z dróg, jakiemi wkradały się i pomiędzy nas zdawkowe, zdrowego nieraz zmysłu pozbawione pojęcia i sądy o własnéj przeszłości, do dziś może wśród nas pokutujące.

Otóż z dwóch działów zaznaczonych w tytule powyżéj wymienionego dzieła Gliszczyńskiego, pierwszy obszerniejszy, lecz ubocznego dla nas znaczenia, przedstawia zapożyczone u Skalkowskiego („Hist. Nowéj Siczy"—1846) zapatrywanie się na Zaporoże, w epoce (właściwie) po wyosobnieniu się onego z łona Ukrainy, po traktacie andrusowskim etc.; mniejsza już iż sam Skal. charakterystykę owéj epoki rad rozciąga na całą przeszłość kozactwa ukraińskiego wogóle. Chociaż i tu już, we wstępie zaznacza Glisz. pryzmat i własnego do pewnego stopnia rzeczy widzenia. Spotykamy więc oto jakby jego własne tezy:

„Początkiem i pierwowzorem wszystkich kozaków byli zaporozcy kozacy... Z Zaporoża wypłynęła emanacya na Ukrainę, Don, potém Dunaj, Wołgę, Ural i t. d., a jako już emanacya, musiała jakiś typ metropolii zachować..." Zaporoże było samo w sobie oddzielną i niezależną jednostką, przyznającą zwierzchnictwo Polski, a potém Rosyi, ale zawsze na własnych prawach stojącą. „Ukraińscy kozacy byli prawda emanacyą z Zaporoża, ale z różnym już charakterem i widocznym na ich urządzenia wpływem i zależnością od Polski. Zaporoże przeciwnie miało wszystko swoje rodzime..." Nie właściwie (téż)

p. Maciejowski w „Hist. Praw. Słow.” (t. II, 313) wyraża się — hetmani zaporozcy, — bo takich hetmanów nigdy nie było... jak i hetmanów kozackich... Nazwisko i godność hetmana rozciągały się więcej do Małorosyi niż do kozactwa i więcéj do kozaków ukraińskich, a wcale nie do zaporozkich; bo tam najwyższym dowódcą, niezależnym od nikogo i rządcą ziem zaporozkich był ataman koszowy... Oczywiście, ziem zajętych przez właściwych, różnych od rejestrowych i ukraińskich wogóle, „kozaków zaporozkich, na Zaporożu w Siczy siedzących i zachowujących w czystości obyczaje i zwyczaje kozackie.” Polacy XVI i XVII wieku znali bardzo dobrze (nie tak jak późniejsi historycy rosyjscy) różnicę (między zaporozcami a ukraińcami), kiedy zaporozców przezwali kozakami czyli niżowcami, a Małorosyą wojskiem ukraińskiém, a z pogardą chłopstwem ukrainném”. Towarzystwo zaporozkie było właściwie — któżby o tém wątpił — podobnymże wojennym zakonem, jak znane zachodnie, mającym za główne zadanie walkę rycerską z wrogami krzyża św. etc. Wiadomo też, iż „Kazimierz W., zawładnąwszy Czerwoną Rusią, zrównał zaraz tamtejszych Greko-Rosyan z katolikami we wszystkich prawach i przywilejach”. Nie uchroniło to przecież kozaków, w dalszym czasie od ucisku religijnego, jakiego dopuszczali się Jezuici — upewnia nas autor — wyższy, jak daje nam zrozumiéć, nad „jezuicki sposób widzenia”. I t. p. i t. p. plątanina luźna, dowolna, rzeczy i czasów już wszędy!

Ale to wszystko nic, w porównaniu z treścią drugiego działu powyższéj M. Gliszczyńskiego pracy, noszącego tytuł „Hetmani małorosyjscy i kozacy do czasów unii”. Tu już w samym tytule co wyraz prawie to *curiosum*: przed unią, czy to polityczną 1569 r., czy religijną 1595 r. małorosyjscy hetmani! Zresztą mniejsza o tytuł. Całe roztoczenie przedmiotu jest tylko niewolniczym do niewytłómaczenia odgłosem aspiracyi znanego pisarzy małorosyjskich historycznego legitymizmu, tyle niewolniczym co naiwnym.

Dowiaduje się tu czytelnik nasz, chyba po raz pierwszy, wielu, wielu bardzo ciekawych rzeczy. Najprzód oto np. że kiedy Jagiełło połączył Litwę i oczywiście „Małorosyę” z Polską, wtedy ustanowiono dla każdego z trzech połączonych narodów oddzielnego hetmana: koronnego, litewskiego i małorosyjskiego. Ten ostatni z prawem namiestnika królewskiego mieszkał w Czerkasach na Dnieprze. Tym sposobem wyróżniły się w tym związku trzy różne pierwiastki: polski, litewski i małorosyjski, każdy z inną mową, obyczajami i zwyczajami”. Co zarazem daje i samemu też autorowi powód do sentymentalnego wylewu swych uczuć i myśli podniosłych na temat, że jednak *fatum* historyczne chciało, iż tak mądre założenie zostało w biegu cza-

su zniweczoném. Gdy nadto wzmocnił to był jeszcze przywiléj zasadniczy dla Małorosyi, zapewniający jéj równe prawa z Litwą i Polską, nadany 1409 r. 13 kwiet. przez Jagiełłę za zasługi hetmana Wencesława Swiętoldowicza, który z 37,000 wojska odznaczył się pod Dynaburgiem i Grunwaldem, a potém za 43,000 Małorosyan brał udział w wojnie warneńskiéj. Przywiléj zatwierdzony r. 1435 d. 7 marca przez Władysława Warneńczyka, a następnie zaprzysiężony przez Kaz. Jag. i jego synów. Kazimierz Jagiellończyk przecie nadwerężył prawa i przywileje Małorosyi, usuwając Olelkowiczów i wytwarzając w niéj wwdztwa: ruskie, bełzkie, podolskie, kijowskie etc.

Dzieje pierwotne saméj kozaczyzny podane u Gliszczyńskiego, podług recepty małorosyjskiéj podobnież. Pierwszym tedy hetmanem małorosyjskim (pomijając owego Swiętoldowicza za Jagiełły) jest Przecław Lanckoroński (do 1512 r.), a pierwszym koszowym na Zaporożu Eustachy Daszkowicz (nb. znani nam dobrze ststowie zamków królewskich: jeden koronny, a drugi litewski). Po których, jak naturalna, idzie nieprzerwany chronologicznie szereg następujących po sobie „hetmanów". Z pomiędzy nich kn. Dymitr Wiśniowiecki (1512—1514) „cały poświęcił się urządzeniu wewnętrznemu Małorosyi i odbudował miasta, zamki...", uczczony stąd mianem „ojca ojczyzny". Kn. Eustachy Rożyński (1514 — 34) uorganizował wojsko małorosyjskie: ustanowił 20 pułków, każdy po 2,000 ludzi etc. Wszyscy wpisani w rejestr i pobiérający w czasie wojny żołd ze „skarbu" małorosyjskiego etc. Nadto 5 pułków „ochoczo-konnych", zwanych „hultaje". Co wszystko zatwierdził Zygmunt I-szy. Tak zorganizowane w „hetmańszczyznie" wojsko dało niebawem, podczas najazdów tatarskich, dowody swéj waleczności. W następstwie czego „widząc i poważając (ową) waleczność Małorosyan, skłonność ich do wojen, wielu odtąd Polaków zaczęło zaciągać się do małorosyjskich pułków i z dumą nazywać się kozakami". Za hetmaństwa Wężyka Chmielnickiego (1534—1569) występuje 1556 r. na Chortycy, niby koszowy (tylko), ponownie kn. Dymitr Wiśniowiecki (nb. który już przed r. 1514 został był „ojcem ojczyzny"). Ów to hetman wyrobił na sejmie warszawskim w roku 1563 przywiléj Zygmunta Augusta, mocą którego szlachta litewska i ruska porównane zostały w prawach z polską. Za jegoż hetmaństwa, na sejmie w Lublinie 1569 r. połączono nazawsze „Małorosyę" z Polską. Po śmierci Wężyka 1566 r. „wybrano z wojewodów" ks. Michała Wiśniowieckiego, po którego ustąpieniu został hetmanem 1570 r. Grz. Swirgowski. Za jego następcy Teodora Bohdana (1575 — 79) były złote czasy dla Małorosyi, jak „mówi (świadczy się autor) arcyprzewie-

lebny Koniski"; on też z Batorym „rozpoczynają drugi okres Małorosyi i kozactwa.

Z imieniem Batorego związana też oczywiście znana legenda. Zygmunt III-ci zaś „zaczął swe rządy od prześladowania kozaków". „Aby przeszkodzić zaporozkim i małorosyjskim kozakom" w niepokojeniu Turków, poddano ich 1589 r. pod władzę hetmanów koronnych etc. „Ale to było tylko początkiem nieszczęść Małorosyi i kozaków"; rozsrożyły się one bardziéj skutkiem „rozdwojenia religijnego". Co razem wzięte, sprowadzając dotkliwy ucisk, popchnęło kozaków do buntów, szereg których rozpoczął Kosiński.

A przeplecione to wszystko u Gliszczyńskiego całym zastępem jeszcze bajd i zmyśleń podobnie niedorzecznych, odniesionych do „Małorosyi" i „małorosyjskich" kozaków głównie, o istnieniu których nikt w owéj epoce jeszcze się nie domyślał, późniejszych nowotworów nie przeczuwał.

Ale widocznie nie było nam tego jeszcze dosyć: w parę lat po Gliszczyńskim wystąpił 1854 r. Jan Nepomucen Czarnowski z dwutomowém nawet dziełem p. t. „Ukraina i Zaporoże, czyli historya kozaków od pojawienia się ich w dziejach do czasu ostatecznego przyłączenia ich do Rosyi". Stanowi ono jakby dopełnienie tylko, a zarazem szersze rozwinięcie przeróbki tamtego i podobnież nie zawiera w sobie żadnego samoistnego poglądu. Za źródła tu służą jedynie „znakomite", jak autor nas wtajemnicza, prace Bantysza-Kamieńskiego, Markiewicza i Skalkowskiego. Z góry tedy już wiemy, po tém wszystkiém czegośmy już wyżéj dotykali, jaką mogła być myśl przewodnia i jakie być mogło na podobnych podstawach osnute, samo roztoczenie przedmiotu w tego rodzaju kompilacyjnéj elukubracyi.

Jest też to istotnie tenże sam, znany nam już dobrze, pseudo-historyczny epos, wymarzony przez legistów czy legitymistów kozakofilstwa przedostatniéj doby, ogarniający już i całą epokę „sławy kozackiéj" po unii. Ale wielce by się zawiódł, ktoby przypuszczał, że to wiązanka rycerskich, a choćby nawet pirackich, hajdamackich, rapsodów tylko. Pomiędzy podstawowe, zasadnicze legendy kozackiego, małorosyjskiego legitymizmu, naiwny w swéj poczciwości autor, idąc za przykładem swych wzorów, wplótł zarazem nietylko wszelkie wymysły bałamutne, lecz nikomu nic nieszkodzące, niewinne! Powtórzył on niemniéj tendencyjne wszystkie kłamstwa umyślne, krwawéj, podżegawczéj natury, sięgające swym początkiem epoki domowych na Ukrainie walk rozpasanych. Nie tu miejsce na dotykanie szczegółów, zbyt ich zresztą wiele. „Przejęty podziwem", jak na wstępie oświadcza, dla sławnych czynów niżowego rycerstwa—z jednéj strony, z dru-

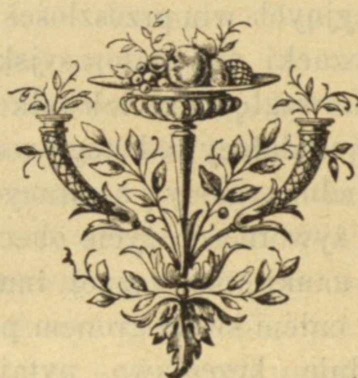
giéj zaś — bezwzględném zaufaniem do „znakomitych” powag, od których brał treść i natchnienie, nie zdobył się Czarnowski na nic trzeźwiejszego ponad automatyczne powtarzanie wzorów. Nieuniknioném nawet to było, ile że pozbawiony zupełnie zmysłu krytycznego, nie był on w stanie oryentowania się wśród owych wymyślnych bajań, przetykanych, jakby tylko dla niepoznaki, wątkiem faktów prawdziwych. Brak ten zmysłu krytycznego potęgowała w nim jeszcze całkowita nieznajomość, tak rozważanego kraju, jak i dziejów ogólnych Rzpltéj. Stąd plątanina pojęć najprymitywniejszych nawet: np. Ukraina — tyle co Ruś, jedno i drugie — tyle co Małorosya, ta ostatnia, jak i u Gliszczyńskiego, zaznaczona wtedy, kiedy o nazwie téj w dziejach wcale jeszcze nie słychać; kozacy — tyle co Rusini i odwrotnie i t. d. Stąd podobnież nie do pojęcia łatwe przyjmowanie najniedorzeczniejszych zmyśleń na wiarę, „na kwitek”, jak mówią na Ukrainie, tak iż nieraz się zdaje, iż majaczy on jak w gorączce, plecie trzy po trzy — jak na mękach! Co przykrzejsze nad to: pod wpływem dogasającego romantyzmu, truchleje on sentymentalnie pod brzemieniem, nie istotnych — co byłoby słuszném, lecz fikcyjnych win przeszłości i korzy się przed ideałami, przez legitymizm kozacki czy małorosyjski, wytworzonemi, nie zdolny zrozumiéć należycie względnego ich tylko znaczenia.

Ale jakżeśmy dziś już dalecy od tego wszystkiego. Ideały kozackiego legitymizmu zupełnie zgasły, aspiracye małorosyjskie, jako takie, straciły dawną swą żywotność, życie obecne ku innym zadaniom zmierza. W zakresie też nauki historycznéj inny powiew, inny zwrot. Nowsi badacze małoruscy całém swém gronem prawie, pomijając dawne rekryminacye powszednie, bezcelowe, pytają bardziéj o prawdę, rozważają przeszłość coraz trzeźwiéj, coraz głębiéj, przedstawiają takową coraz obiektywniéj. U nas podobnież badania samodzielne się ożywiają, krytyka historyczna niepomiernie spotężniała. Takie dzieła, jak powyższe, któremi obdarzono piśmiennictwo nasze, już na początku drugiéj połowy bieżącego wieku, wyglądają dziś jako liche partactwo, świadczące jedynie o psychopatycznym nastroju chyba społeczeństwa, co wbrew bardziéj wytrawnemu sądowi poważniejszych ówcześnie badaczy własnych, mogło jednak zarazem nietylko je tolerować, ale nawet dać się niém bałamucić.

Tak, odbiegliśmy daleko od czasu, kiedy jeszcze podobne bałamuctwa były w dobréj wierze przez przeciętnego czytelnika przyjmowane. Ale nie łudźmy się tém, jakobyśmy już zupełnie wolni byli od resztek owych niedorzecznych, niezdrowych naleciałości, wolni od śladów nawet obłędu. Pokutuje jeszcze w umysłach naszych niejedno wyobrażenie, przekonanie z epoki romantyzmu datujące, a których

trzeba się pozbyć ostatecznie. Tém bardziéj, że nawet dotąd powtarzana bywa najspokojniéj w świecie, w poważnych pracach i wydawnictwach, i nie jedna też z fikcyjnych tez podstawowych kozackiego legitymizmu; pomiędzy innemi zaś sławne legendy batoryańska z baturyńską. Przecież jeszcze nasz stateczny „Słownik geograficzny" podaje wyraźnie: „Baturyn założony w r. 1576-ym przez Batorego i naznaczony na miejsce pobytu hetmanów zaporozkich". A czasby już bajki „pomiędzy bajki włożyć", dopytując się tém silniéj prawdy istotnéj.

Aleksander Jabłonowski.



O PRZESYŁANIU MYŚLI.

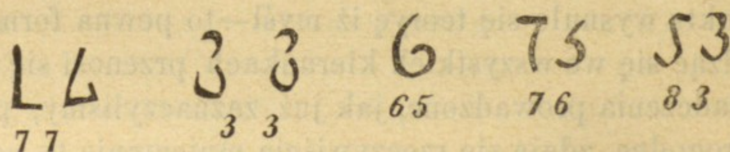
(Według pracy doświadczalnéj Lehmana i Hensena [1]).

Medyumizm, spirytyzm i t. d. są ciągle jeszcze kwestyami interesującemi żywo nie tylko jednostki, lecz i większość ogółu inteligentnego. Obok szarlatanów spekulujących na łatwowierność, spotykamy ludzi naukowo wykształconych, poświęcających czas i wysiłek na zbadanie tych „tajemniczych zjawisk." W wielu też wypadkach badania takie uwieńczone są corocznie pomyślnym skutkiem i przyczyniają się do rozszerzania wiary w siły nieznane i zjawiska nadprzyrodzone. Jedną z takich kwestyi jest tak zwane „przesyłanie myśli." Badania wykonane przez osoby wiarogodne zdają się potwierdzać fakt iż myśl może być przeniesiona na inną osobę, że wyobrażenie powstałe w umyśle jednego udziela się innemu w téjże saméj formie. Dla objaśnienia tego faktu wysnuło się teoryę iż myśl—to pewna forma *fluidum*, które rozchodząc się we wszystkich kierunkach przenosi się z osoby na osobę. Doświadczenia prowadzone, jak już zaznaczyliśmy, przez osoby zupełnie wiarogodne, zdają się rzeczywiście mniemanie to potwierdzać. Psychologia doświadczalna trzyma się dotychczas od wszystkich takich i tym podobnych kwestyi zdaleka. Przyczyną tego będą zapewne znane przykłady, gdzie uczeni tacy jak Wundt, Zölner etc. zostali oszukani, narażając swą sławę naukową. Znanym jest przykład ze

[1]) Philosophische Studie: Tom XI. Zeszyt IV.

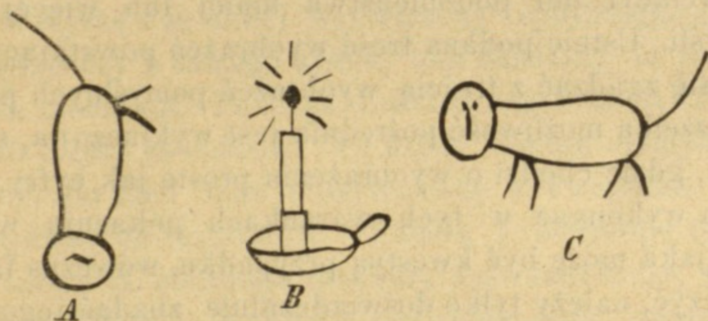
słynnym niegdyś Sladem, nie obcym i Warszawie, przykład z E. Palladino, którą potém zdemaskowano w Anglii. Jest więc to objawem odwagi, jeżeli psycholog eksperymentator z zawodu, zajmie się pytaniem, wątpliwéj wartości. Kwestyą przesyłania myśli zajął się A. Lehman badacz duński znany już w nauce i Hensen. Rezultaty badania są tak ciekawe, iż zasługują na zapoznanie z niemi polskich czytelników.

Myśl—to *fluidum* rozchodzące się na podobieństwo fal, które mogą być odbite przy pomocy zwierciadeł. Oto punkt wyjścia teoryi spirytystycznych. Jeżeli zwierciadła są wklęsle, wówczas fale te musząześrodkowywać się w ognisku, przez co działanie ich zostaje spotęgowaném. W badaniach nad przenoszeniem myśli używano też dwóch zwierciadeł wklęsłych, w ogniskach których znajdują się głowy osób. Jedna z nich jest czynną (agent), druga poddaje się działaniu (recypient). Zadaniem agenta było silne patrzenie na cyfrę lub przedmiot, ewentualnie myślenie o cyfrze lub przedmiocie, recypient powinien był siedzieć możliwie bezmyślnie, oczekując aż w świadomości jego pojawi się jakikolwiek obraz. Obraz ten powinien on był o ile się da dokładnie odrysować, starając się o podobieństwo rysunku do obrazu zjawionego w jego wyobraźni. W ten sposób, powiada Lehman, wykonaliśmy 15 doświadczeń nad przenoszeniem wyobrażeń cyfr i przedmiotów na które jeden z nas (agent) ze skupioną uwagą patrzył, a drugi był recypientem. Rezultat doświadczeń — początkowo przynajmniéj — wysoce nas zastanowił, gdyż zdawał się potwierdzać mniemanie zwolenników teoryi fluidu. Wkrótce jednak okazało się, że zgodność była złudzeniem. Fig. 1 przedstawia doświadczenia pomyślne. Szereg górny podaje rysunki wykonane przez recypienta, szereg dolny cyfry na które patrzył agent. Porównanie obydwu szeregów pokazuje iż obrazy powstałe w wyobraźni recypienta posiadają formę bardzo nieokreśloną; tylko dobra wola pozwala większość rysunków rozpatrywać jako cyfry. Często też recypient zupełnie inaczéj pojmował



rysunek, aniżeli tego wymagało pozorne podobieństwo. Tak np. cyfrę pierwszą czytał Lehman jako 16, powinna ona była przedstawiać 77. Podobieństwo jéj do 77 staje się dopiéro widoczniejszém, gdy obrócimy rysunek. Doświadczenie to było pierwsze, które uważaliśmy za pomyślne. Zagłębiliśmy się też w rozmyślaniach nad przyczynami jakie

mogły wpłynąć na odwrócenie obrazu. Zdawało nam się początkowo, iż jest to wpływ zwierciadeł, dopiéro dalsze doświadczenia przekonały nas, iż zwierciadła nie grają tutaj żadnéj roli i że decydującą jest chęć nadania rysunkowi pożądanego znaczenia, ponieważ figury narysowane są zwykle niedokładne, więc też nietrudno jest znaleść podobieństwo tam gdzie podobieństwa tego właściwie nie ma. To mimowolne łudzenie się jest szczególniéj widoczne w następującém doświadczeniu. Chodziło o przesłanie rysunku. Osoba czynna wpatrywała się w rysunek przedstawiający lichtarz ze świécą. Osoba bierna odrysowała po pewnym czasie obraz jaki stanął w jéj wyobraźni. Recypientem był Lehman który narysował figurę 2 *A* i podał ją Hensenowi. Ten odnalazł zaraz żądane podobieństwo pomiędzy rysunkiem agenta i oryginałem fig. 2, *B*. Rzeczywiście podobieństwo pewne, szczególniéj przy dobréj woli można znaleść. Rysując jednak figurę Lehman miał na myśli kota narysowanego tak, jak go rysują dzieci. Podobieństwo



rysunku do rysunku kota staje się widoczniejszém jeżeli fig. *A* nadamy formę *C*. Przykład ten jest ważnym, jeżeli uwzględnimy, że doświadczenia tego rodzaju wprowadziły w błąd uczonego francuskiego Richet'a. Nie ulega jednak wątpliwości, iż takaż sama różnica pomiędzy znaczeniem, jakie nadaje rysunkowi recypient, a znaczeniem, jakie otrzymuje przez porównanie z oryginałem, istnieje w przeważającéj ilości badań tego rodzaju. Ponieważ jednak za recypientów służą przeważnie osoby histeryczne, łatwo podlegające suggestyi i słabéj woli, przeto fakt ten zaciera się. Osoby histeryczne dają sobie łatwo wmówić, iż nadawały rysunkowi znaczenie, jakiego wymaga udanie się doświadczenia.

Porównanie rysunków jakie podaje Richet popiéra to twierdzenie w wysokim stopniu. Rezultaty doświadczeń wykonanych w powyżéj opisany sposób, dają się więc zupełnie naturalnie objaśnić. W przeważnéj liczbie wypadków, przy których znaleziono podobieństwo, podobieństwo to jest uludne. W stosunkowo nieznacznéj tylko ilości

wypadków, oryginał i rysunek reprodukowany są rzeczywiście zgodne. Zdarza się to jednak tak rzadko, iż słusznie należy to uważać za rzecz przypadkową. Rachunek prawdopodobieństwa poucza, iż przypadek taki nie jest niemożliwym. Przeważna ilość z rezultatów zgodnych jest tylko złudzeniem. Przy dobréj woli można znaleść podobieństwo pomiędzy rysunkiem i oryginałem tam, gdzie bez znajomości oryginału niemożliwém jest odgadnąć co rysunek przedstawiać powinien. Gdy zaś uwzględnimy, że recypient pojmuje wogóle rysunek swój inaczéj od tych, którzy rysunek ten następnie porównywają z oryginałem, to należy wyprowadzić wniosek, iż przenoszenie myśli w powyższéj formie nie zostało przez nikogo dowiedzioném doświadczalnie. Objaśnienie to nie da się jednak stosować tam, gdzie warunki doświadczenia wykluczają wszelką dowolną interpretacyę. Dzieje się to wówczas, gdy agent zamiast patrzéć na rysunek lub cyfrę, myśli o cyfrze tylko, koncentrując na nią całą swą uwagę i gdy recypient wyraża słowami wyobrażenie powstałe w jego umyśle, tutaj nie może już być mowy o dowolnéj interpretacyi lub podobieństwa mniéj lub więcéj zbliżoném, przesłanéj myśli. Ustnie podana treść wyobrażeń powstających u recypienta, może się zgadzać z treścią wyobrażeń pomyślnych przez agenta lub też nie, wszelka możliwość pośrednia jest wykluczona, szczególniéj w wypadkach, gdzie chodzi o wyobrażenia proste jak cyfry. Gdy więc doświadczenia wykonane w tych warunkach pokazują większą zgodność od téj, jaka może być kwestyą przypadku, wówczas fakt sam nie da się zaprzeczyć, należy tylko doświadczalnie zbadać jego przyczynę.

Przyczyn takich może być kilka. Jedną z nich jest umyślne oszustwo przy pomocy znaków dla otoczenia niedostrzegalnych, agent i recypient mogą porozumiewać się pomimo ścisłéj nawet kontroli. Znanym jest przykład sióstr Creesy, które przez długi czas z powodzeniem prowadziły swe rzemiosło. Nie zawsze jednak objaśnienie takie wystarcza, tak np. oszustwo jest wykluczone w wypadkach, gdzie osobom biorącym udział w doświadczeniu nie zależy na ich udaniu lub nieudaniu się. Doświadczenia takie podejmowane były także przez osoby zupełnie wiarogodne, gdzie samo nazwisko badaczy usuwa wszelkie podejrzenie. Gdy więc i w takim razie rezultaty pokazują znaczną ilość doświadczeń pomyślnych, wówczas należy szukać innéj przyczyny. Do takich badań zaliczyć należy badania prof. Sidgwick, który operując z cyframi 1-go otrzymywał do 30% wypadków zgodnych. Według rachunku prawdopodobieństwa przypadek mógł by dopuścić tylko 1 — 2%. Badania też Sigdwicka powtórzyli Lehman i Hensen. Zaraz na początku doświadczeń zwrócili oni uwagę na fakt, nie nowy zresztą w psychologii, iż koncentrowanie myśli na jakiekol-

wiek cyfry, pociąga za sobą mimowolną innerwacyę mięśni krtani, czego rezultatem jest wypowiedzenie nazwy cyfry, zjawisko to znane ogólnie pod nazwą „mowy wewnętrznéj", która towarzyszy każdemu myśleniu. Mamy tutaj do czynienia z faktem ogólnym, iż koncentrowanie myśli na ruchu pewnym pociąga za sobą mimowolny słaby popęd do wykonania ruchu.

Spostrzeżony fakt nasunął Lehmanowi natychmiast myśl, iż ten właśnie „szept mimowolny" jest właściwą przyczyną przesyłania myśli. Mniemanie to zostało zupełnie potwierdzone doświadczalnie. Przytłumienie „mowy wewnętrznéj" robiło wszelkie przesyłanie myśli niemożliwém. Pozostawało więc tylko zbadać jakie wyniki dadzą doświadczenia bez przytłumienia mimowolnego szeptu i porównać rezultaty te z wynikami otrzymanemi przez zwolenników teoryi fluidyzmu. Zgodność rezultatów pozwala wnioskować o zgodności przyczyn, jeżeli warunki doświadczenia pozostają bez zmiany. Dodać należy przytém, iż ten szept mimowolny jest tak cichy, iż osoby obecne przy doświadczeniu nic nie słyszą i że mniéj wyćwiczony spostrzegacz z łatwością zjawisko to przeoczy u samego siebie, tém bardziéj, iż jest ono niedostrzegalne dla otoczenia. Podczas doświadczeń swoich Lehman i Hensen zapraszali często świadków. Ci nigdy się nie domyślali prawdziwéj przyczyny, dla nich fakt obserwowany był zupełnie niezrozumiałym. — Przejdźmy do rezultatów. Tabela I obejmuje ilość wyników zgodnych. Litera H. obejmuje rezultaty doświadczenia, gdzie Hensen był recypientem, litera L. rezultaty doświadczenia, gdzie Lehman był recypientem; podana jest absolutna suma dobrze podanych cyfr i stosunek procentowy do ogólnéj liczby cyfr „przesłanych", ponieważ zaś pomyślanemi były zwykle cyfry dwuznakowe, podajemy więc osobno wyniki gdzie cała liczba była dobrze odgadnięta i wyniki, gdzie tylko jedna cyfra była odgadnięta.

Tabela I.

Recypient	H.		L.	
	ilość razy	% w stosunku do ogólnéj ilości cyfr	ilość razy	% w stosunku do ogólnéj ilości
Cała liczba została dobrze odgadnięta	86	34	80	32
Jedna cyfra została dobrze odgadnięta	99	40	107	43
Cała liczba była fałszywa	65	26	63	25

Rezultaty zestawione w tabeli pierwszéj pokazują, jak tego należało się spodziéwać, znaczniejszy procent zgodności, aniżeli to mógł uskutecznić przypadek. Objaśnienie faktu tego podaliśmy. Szept mimowolny, niedosłyszalny dla otoczenia, przenikał do ucha recypienta i był powodem, iż nasuwająca się mu na myśl cyfra, była cyfrą pomyślaną. Zrozumiałém także jest, dlaczego szept ten słyszany był przez recypienta. Głowa agenta i głowa recypienta znajdowały się w ognisku zwierciadeł wklęsłych. Szmer najlżejszy, wychodzący z jednego ogniska, skupiał sięześrodkowany w drugiém. Widzimy téż, iż ogólny procent wypadków zgodnych, jaki otrzymano w badaniach duńskich zgadza się z rezultatami badań angielskich. Dla udowodnienia dokładnego, jednak, iż rzeczywiście szept był jedyną przyczyną, należy bliżéj rozpatrzéć ogół rezultatów. Szczególniéj ważnemi muszą być popełniane błędy, jeżeli przekonamy się, iż rodzaj błędów jest uwarunkowany niedokładném zrozumieniem szeptu, wówczas fakt spostrzeżony staje się pewnym. Tabela II-ga podaje wyniki, otrzymane przez Hansena jako recypienta; tabela III wyniki otrzymane przez Lehmana; tabela IV ogólną sumę. Tabele te pokazują, jakiemi cyframi cyfra dana najczęściéj zastąpiona była:

Tabela II-ga. Recypient H.

Cyfra pomyślana	Cyfrę pomyślaną zgadnięto następującą ilość razy, jako: 1	2	3	4	5	6	7	8	9	0	Suma
1	26	2	3	4	7	—	4	3	1	1	51
2	—	22	2	4	2	1	6	5	1	1	44
3	—	—	38	2	7	2	3	2	1	1	56
4	3	1	3	35	10	—	1	4	2	—	59
5	1	2	2	4	37	1	4	—	1	—	52
6	1	2	3	1	8	17	17	2	2	—	53
7	2	5	2	6	9	2	29	3	—	1	59
8	3	1	7	2	2	1	3	41	2	1	63
9	1	5	2	5	4	1	4	3	19	2	46
0	2	—	2	1	1	—	2	1	—	8	17
Suma	39	40	64	64	87	25	73	64	29	15	500

Tabela III-cia. Recypient L.

Cyfra pomyślana	Cyfrę pomyślaną zgadnięto następującą ilość razy, jako: 1	2	3	4	5	6	7	8	9	0	Suma
1	22	3	1	2	5	1	—	—	6	—	40
2	—	38	11	2	4	3	1	6	5	—	70
3	—	2	43	1	1	2	1	2	—	1	53
4	3	5	2	36	7	—	4	1	1	1	60
5	2	4	3	2	37	6	3	1	—	—	58

6	1	—	7	5	12	21	3	1	1	—	51
7	6	4	5	5	6	6	15	1	5	—	53
8	1	4	5	1	1	2	2	30	2	—	48
9	4	1	6	4	2	4	—	4	19	—	44
0	1	—	1	—	5	2	3	2	—	9	23
Suma	40	61	84	58	80	47	32	48	39	11	500

Tabela IV-ta. H. + L.

Cyfra pomyślana	Cyfrę pomyślaną zgadnięto następującą ilość razy, jako: 1	2	3	4	5	6	7	8	9	0	Suma
1	48	5	4	6	12	1	4	3	7	1	91
2	—	60	13	6	6	4	7	11	6	1	114
3	—	2	81	3	8	4	4	4	1	2	109
4	6	6	5	71	17	—	5	5	3	1	119
5	3	6	5	6	74	7	7	1	1	—	110
6	2	2	10	6	20	38	20	3	3	—	104
7	8	9	7	11	15	8	44	4	5	1	112
8	4	5	12	3	3	3	5	71	4	1	111
9	5	6	8	9	6	5	4	7	38	2	90
0	3	--	3	1	6	2	5	3	—	17	40
Suma	79	101	148	122	167	72	105	112	60	26	1.000

Dla łatwiejszego zrozumienia rezultatów, musimy podać nazwy cyfr duńskich. Ponieważ zaś rezultaty badań Lehmana muszą być porównane z pracą angielską, dołączamy jednocześnie nazwy angielskie. Nazwy te są: jeden—*one, en*; dwa—*two, to*; trzy—*three, tre*; cztery — *four, fire*; pięć—*five, fem*; sześć—*six, sex*; siedm—*seven, syv*; ośm — *eight, otte*; dziewięć—*nine, ni*; dziesięć—*ten, ti*. Wymowa cyfr duńskich jest bardzo zbliżona do wymowy cyfr angielskich, różnica w pisowni zaciéra się do pewnego stopnia w mówieniu. Wzgląd ten pozwala bezpośrednio porównywać rezultaty badań duńskich i angielskich. Gdy więc porównanie to wykaże, iż tak ilość wypadków zgodnych, jak i charakter błędów, wykazują ten sam stosunek, wówczas uprawnionym będzie wniosek, iż przyczyny rezultatów były w obudwu razach też same. Przyczynę tę odkrył Lehman, jest nią mimowolny szept.

Rozpatrzmy szczegółowiéj wyniki badań Lehmana. Przedewszystkiém należy zaznaczyć wielką ilość cyfr odgadniętych dobrze. Podana przyczyna objaśnia fakt ten dostatecznie. Że jednak przyczyna ta rzeczywiście działała, pouczają nas błędy. Okazuje się, iż przyczyną błędu było podobieństwo spółgłosek w wyrazach szeptanych. Tak np. zarówno Lehman, jak i Hansen, popełniali najczęściéj błąd zamieniając cyfry cztery (*fire*) i pięć (*fem*), cyfrę ośm (*otte*) i trzy (*tre*)

i t. d. Łatwo także można zauważyć pewną indywidualną skłonność L. zamienieniem łatwo jeden (*en*) i dziewięć (*ni*), H. znów jeden (*en*) i pięć (*fem*). Pokazuje się także, iż przy szeptaniu powstają błędy niemożliwe przy głośném wypowiadaniu cyfr. Tak np. podczas szeptu zastępują się często *s* i *f* w wyrazach *fire*, *fem*, *se* i t. d.

Na zasadzie powyższych przyczyn musimy przyjąć za pewnik, iż w badaniach duńskich szept mimowolny był jedyną przyczyną podobieństwa cyfr pomyślanych i odgadniętych. Nie myśl została przesłana z agenta na recypienta, lecz dźwięk, wprawdzie tak słaby, iż dla najbliżéj stojących niedosłyszalny. Pozostaje daléj tylko wykazać, iż badania angielskie, które według badaczy dowodzą przesyłania myśli, wykazują też same cechy, co i badania duńskie. W tym celu zestawiamy rezultaty badań angielskich:

Tabela V-ta (badania angielskie).

Cyfra pomyślana	Cyfrę pomyślaną zgadnięto następującą ilość razy, jako: 1	2	3	4	5	6	7	8	9	0	Suma
1	43	18	20	17	22	13	10	13	6	2	168
2	10	54	21	12	8	9	6	8	8	4	140
3	14	24	54	11	15	13	11	7	9	5	160
4	21	16	22	52	13	10	11	6	9	3	169
5	7	9	12	16	35	19	7	8	7	3	128
6	12	11	12	12	11	46	14	13	3	3	140
7	13	21	13	11	15	16	40	8	4	2	145
8	11	7	26	13	13	12	14	34	7	5	147
9	4	5	11	2	6	3	5	6	19	9	71
0	7	6	10	8	9	7	8	2	16	19	82
Suma	142	171	201	154	147	148	126	105	78	55	1,356

Porównajmy rezultaty zestawione w tabeli IV i V-éj. Jak już zaznaczyliśmy, pomiędzy nazwami cyfr angielskich i duńskich istnieje wielkie podobieństwo. Jeżeli więc zestawimy błędy popełniane w badaniach angielskich i duńskich, odnajdziemy, iż posiadają one jednakowy charakter, wówczas prawdopodobieństwo, iż rezultaty angielskie są wynikiem tychże przyczyn, staje się bardzo wielkiém. Tabela VI-ta podaje w zestawieniu, przez jakie cyfry cyfra w nagłówku była najczęściéj zastąpioną. Błędy wspólne obu grupom są podane czcionkami grubszemi. Szereg górny przedstawia rezultaty z pracy angielskiéj, szereg dolny — z pracy duńskiéj. Cyfry następują po sobie według stosunku ilościowego, w jakim popełniane były błędy.

Tabela VI-ta.

Następujące cyfry były najczęściéj zamieniane:	1	2	3	4	5
w badaniach angielskich	5324	3416	2516	3125	6432
„ duńskich	5942	3874	5678	5123	6742
Następujące cyfry były najczęściéj zamieniane:	6	7	8	9	0
w badaniach angielskich	7834	2651	3745	3085	3547
„ duńskich	7534	5421	3721	4385	5738

Widzimy, iż w pracy angielskiéj jeden zastąpione było najczęściéj przez pięć, następnie trzy, dwa, cztery; w pracy duńskiéj przez pięć, dziewięć, cztery, dwa. Z ogólnéj sumy czterdziestu rodzajów zamian, 28 jest wspólnych obudwu pracom. Obok tego pięć razy zgadzają się ze sobą cyfry wyrażające błędy najczęściéj popełniane. W obudwu badaniach 1 było najczęściéj zamieniane przez 5; 2 przez 3; 5 przez 6; 6 przez 7; 8 przez 3. Jeżeli więc uwzględnimy z jednéj strony istnienie pewnéj indywidualnéj skłonności do pewnych błędów, z drugiéj znów, iż badania prowadzone były w językach różnych, chociaż do siebie zbliżonych, wówczas możemy powiedzieć, iż zupełnie będzie uprawnionym wniosek, iż w obudwu badaniach przyczyna zgodności rezultatów była wspólną i że badania angielskie, przedstawiające rezulaty przenoszenia myśli, przedstawiają także wynik mimowolnego szeptu, który zauważyli badacze duńscy.

Badacze angielscy przypuszczają, iż nieznane dotychczas *fluidum*, przenosząc się na recypienta, jest powodem zgodności rezultatów. Potwierdza według nich przypuszczenie to fakt, iż popełniane błędy są tegoż samego rodzaju, co i błędy popełniane przy określaniu nazwy cyfry nadzwyczaj krótko, a więc niedokładnie widzianéj. *Fluidum* przenosiłoby więc obraz cyfry pomyślanéj na recypienta i powodowało u tegoż wrażenie niedokładnie widzianéj cyfry. Aby ocenić wartość tego przypuszczenia, badacze duńscy postanowili zbadać rodzaj błędów, popełnianych przy określaniu cyfr nadzwyczaj krótko widzianych. Przy pomocy odpowiednio urządzonego przyrządu, który pozwalał daną cyfrę widzieć przez krótką tylko chwilę, zrobiono 1,500 doświadczeń, których wyniki zestawiamy w tabeli VII-éj.

Tabela VII. H. i L.

Cyfra widziana	Cyfra widziana odczytaną została jako: 1	2	3	4	5	6	7	8	9	0	Suma
1	90	9	9	15	5	8	12	5	3	3	159
2	8	85	7	11	5	10	9	6	6	8	155

3	1	18	61	9	12	17	5	18	17	2	166
4	17	7	7	80	8	7	10	8	9	5	158
5	6	9	14	9	77	9	10	7	13	2	156
6	3	9	10	10	7	76	8	12	10	8	153
7	7	4	3	18	5	8	101	5	8	5	164
8	6	6	15	19	8	21	10	59	16	—	160
9	2	9	14	11	7	17	9	8	68	15	160
0	6	—	5	8	1	1	3	1	6	44	75
Suma	146	156	145	190	135	174	177	129	156	91	1,500

Tabela ta potwierdza wynik *a priori* słuszny, iż powodem błędów popełnianych jest tutaj forma cyfr. 1 zostaje najczęściéj zamienione przez 4, 7 i t. d. Jeżeli teraz porównamy rezultaty zestawione w téj tabeli z rezultatami pracy angielskiéj i porównamy znów ilość i jakość błędów (Tabela III), wówczas otrzymamy wyniki odmienne aniżeli na tab. VI.

Tabela VIII.

Następujące cyfry były najczęściéj zamieniane	1 przez	2 przez	3 przez	4 przez	5 przez
w badaniach angielskich	5 3 2 4	3 4 1 6	2 5 1 6	3 1 2 5	6 4 3 2
w badaniach zestawionych w tabl. VII	4 7 2 3	4 6 0 7	2 8 6 9	1 7 9 5	3 9 7 6
Następujące cyfry były najczęściéj zamieniane	6	7	8	9	0
w badaniach angielskich	7 8 3 4	2 6 5 1	3 7 4 5	3 0 8 5	3 5 4 7
w badaniach zestawionych w tabl. VII	8 9 3 4	4 6 9 1	6 4 9 3	6 0 3 4	4 9 1 3

Ilość błędów jednakowych wynosi tutaj tylko 22. Poprzednio gdzie rezultaty angielskie porównywano z rezultatami otrzymanemi przy pomocy szeptu mimowolnego, ilość błędów jednakowych wynosiła 28. Raz jeden tylko zgadzają się przytém błędy najczęstsze, cyfra 3 najczęściéj zamienianą była przez 2.

Nie będziemy streszczali tutaj wyliczeń opartych na rachunku prawdopodobieństwa, popierających rozumowanie, iż przyczyną zgodności rezultatów pracy angielskiéj i duńskiéj musi być szept mimowolny. Kilka słów tylko poświęcimy pytaniu, dla czego szept nie jest dosłyszany przez otoczenie. Pytanie to poddał Lehman także starannemu badaniu i potwierdził zresztą *a priori* słuszne przypuszczenie, że przyczyny téj szukać należy w warunkach rozchodzenia się fal głosu. Badania nad przesyłaniem myśli udają się tylko wtenczas, gdy sprzyjają temu warunki przy jakich rozchodzi się dźwięk. Warunki takie istnia-

ły przy doświadczeniu, ponieważ używano zwierciadeł. Ogólnie biorąc doświadczenia takie, udają się też tylko w pewném miejscu danego pokoju, i są zależne od formy tegoż. Miejsce to jest miejscem, do którego fale najłatwiéj wchodzą. Lehman i Hensen poddali warunki te starannemu badaniu, którego tutaj nie powtarzamy. Ażeby doświadczenie swoje oprzéć na zupełnie ścisłéj podstawie dołączają oni do nich studyum nad mimowolnym szeptem i jego formami. Ciekawych musimy odesłać do oryginału.

Dr. W. H.



TEORYA HANDLU.

Pomimo że często słyszy się i czyta o „pracy twórczéj”, myliłby się ten, ktoby chciał brać wyrażenie to w dosłownéin znaczeniu, gdyż praca twórcza ma zwykle oznaczać jedynie pracę produkcyjną, jakkolwiek i to ostatnie określenie rzadko bywa używane z należytém zrozumieniem. Pamiętajmy jednak o tém, że człowiek nic stworzyć nie może, nie jest w stanie powiększyć ilości materyi planety, którą zamieszkuje, ani o jeden atom, może jedynie zmieniać układ części owéj materyi, modyfikować jéj własności, zwiększać użyteczność jéj dla siebie i ujarzmiać siły przyrody; w tym tylko ściśle ograniczonym zakresie można posługiwać się wyrażeniem: praca twórcza. Wynika z tego, że pracą wogóle należy nazywać wszelką modyfikacyę materyi i sił przyrody, mającą na celu zaspakajanie materyalnych lub moralnych potrzeb ludzkich; jest to określenie pracy, któremu współczesna nauka przyznała pierwszeństwo przed innemi pod względem jasności i ścisłości.

I.

Istotą i zasadniczą czynnością handlu jest zamiana, znajduje się téż ona na dnie wszystkich, na pozór najbardziéj złożonych operacyi finansowych. W pierwotnéj fazie życia ekonomicznego występowała w prostéj, właściwéj sobie, formie zamiany przedmiotów na przedmioty, z biegiem czasu jednak, pod wpływem wzrostu podziału pracy,

a tém samém ruchu handlowego, potrzeba szybkiego i łatwego obiegu skłoniła do zastąpienia pierwotnéj, prostéj zamiany, podwójną czynnością kupna i sprzedaży pewnego, ogólnie poszukiwanego towaru, zwanego monetą, który służy do upraszczania i ułatwiania stosunków handlowych tam, gdzie producentów i konsumentów oddziela mniéj lub więcéj znaczna przestrzeń lub téż zróżniczkowanie zajęć. Moneta oddaje jeszcze tę ważną usługę, że bywa używana za wspólną miarę wartości zamiennéj wszystkich towarów, będących w handlu, przy jéj pomocy człowiek potrzebuje jedynie znać stosunek jéj wartości do wartości zamiennéj towarów, z któremi ma do czynienia, kiedy bez niéj potrzebowałby znać stosunki wartości zamiennéj wszystkich owych towarów pomiędzy sobą, co przedstawiałoby w praktyce nieprzezwyciężone trudności i przeszkody, paraliżujące wszelki ruch handlowy.

Moneta oraz wielce skomplikowany, nowoczesny mechanizm kredytowy zakryły niemal zupełnie przed oczami ogółu zasadniczą funkcyę handlu i stały się przyczyną wielu błędnych i szkodliwych o nim sądów. Chcąc zrozumiéć dokładnie, czém jest handel i jakie posiada znaczenie społeczne, należy przedewszystkiém zapomniéć na chwilę o monecie, kredycie i wszystkich drugorzędnych zjawiskach i okolicznościach ekonomicznych, jakie mu zwykle towarzyszą, a miéć jedynie na uwadze zamianę samą w sobie i dobrze rozważyć nietylko jéj skutki bezpośrednie, lecz i dalsze mniéj widoczne konsekwencye.

Handel jest koniecznym wynikiem podziału pracy i towarzyszy wszędzie wzrostowi jéj produkcyjności; dopóki każdy produkował to tylko, czego mógł sam potrzebować i w tak małéj ilości, że wszystko sam zużytkował, wszelka zamiana była nietylko zbyteczna, lecz niemożliwa, gdyż producent i konsument mieścili się w jednéj osobie. Jakkolwiek dziś trudno nam wyobrazić sobie stan społeczny, w którym każdy mógłby zaspakajać sam wszystkie swe potrzeby, niemniéj istniał on kiedyś niezaprzeczenie; wielkie niezaludnione przestrzenie oddzielały wówczas od siebie pojedyńcze plemiona i rodziny, pośród których przemysł zaledwie począł się ukazywać, stosunki zamienne nie istniały, a przechodzenie bogactw z rąk do rąk odbywało się jedynie drogą rabunku i grabieży.

Pojawienie się zamiany i handlu każą przypuszczać wysoki względnie stopień rozwoju społecznego; aby módz zamieniać swe bogactwa na bogactwa sąsiada, musiał człowiek przedewszystkiém produkować tyle, aby po zaopatrzeniu siebie i rodziny część bogactw pozostawała mu bez użytku, a nadto, musiał znaléźć kogoś będącego w tém samém położeniu, lecz zarazem w posiadaniu innego zbywającego produktu; prócz tego, trzeba było, aby zbytnie oddalenie nie stawa-

ło zamianie na przeszkodzie, gdyż pierwotne środki komunikacyi, polegające przeważnie na spławie rzecznym, musiały zakréślać stosunkom zamiennym granice bardzo ciasne.

Niedogodności te zostały usunięte w znacznéj mierze przez wprowadzenie monety; potrzeba towaru pośredniego, będącego miarą wartości wszystkich innych towarów, dawała się czuć wszędzie w pewnym okresie handlu zamiennego; zanim przybrała formę drogich kruszców, jaką posiada obecnie, ukazywała się pod najrozmaitszemi postaciami, zależnie od miejscowych warunków, będąc zawsze i wszędzie towarem pewnego zbytu i ogólnego zapotrzebowania. U ludów, stojących na niskim stopniu cywilizacyi tak w starożytności, jak i nam współczesnych, funkcyę monety spełniają skóry, zboże, kawałki soli, ryby suszone, różne ozdoby, broń, narzędzia, jedném słowem wszystko, co odpowiada wyżéj wzmiankowanym warunkom; gdy przyszła koléj na kruszce, poczęto używać bronzu, miedzi, a wreszcie złota i srebra. Tak więc złota lub srebrna moneta, jak dowodzi jéj pochodzenie, jest towarem jak każdy inny, drogie kruszce zaś dlatego zostały ostatecznie przyjęte za narzędzie zamiany, że posiadają w najwyższym stopniu wymagane od monety warunki: we względnie małéj objętości mieszczą wysoką wartość, nie ulegają zniszczeniu, i z łatwością przenoszone bywają z miejsca na miejsce, wreszcie, co najważniejsza, wszędzie są chętnie przyjmowane. To też należy pamiętać, że moneta nie posiada żadnych specyalnych własności i nie jest, jak sądzi nieukształcony ogół, bogactwem *par excellence*, lecz jedynie towarem pośrednim, narzędziem zamiany i niczém więcéj; pomimo pozorów, mogących łatwo wprowadzić w błąd, w rzeczywistości odgrywa ona w handlu rolę drugorzędną, nie jest celem, lecz środkiem, — nie na to sprzedajemy, aby miéć piéniądze, lecz na to, aby za owe piéniądze módz się zaopatrzyć w potrzebne nam przedmioty, albo użyć ich w inny sposób, stosownie do naszéj woli.

Panuje wielce rozpowszechnione przekonanie, że handel nie jest pracą produkcyjną, że nic nie wytwarza; lecz jest zjawiskiem ekonomicznem, zbytecznem, bez którego społeczeństwa obejść się mogą i powinny; zwłaszcza handlujący nie cieszą się uznaniem i sympatyą ogółu, uważani byli zawsze za pasorzytów, wyzyskujących łatwowiernych, rekrutowali się dawniéj wyłącznie z niższych, pogardzanych warstw społecznych, handel zaś uważany był za zajęcie poniżające, hańbiące nawet, niegodne człowieka uczciwego i dobrego urodzenia, jak o tém świadczą prawodawstwa starożytne i średniowieczne, zakazujące wprost wyższym warstwom zajmować się handlem, a których duch przetrwał aż do naszych czasów pod postacią odnośnych przesądów.

Potrzeba było bezstronnéj i subtelnéj analizy nauki współczesnéj, aby dokładnie określić miejsce i znaczenie handlu w życiu ekonomicznem społeczeństw; błędne i sprzeczne ze sobą zdania, panujące w téj kwestyi, nie prędko ustąpią przed odkryciami nauki, jednak i wpośrod pospolitego ogółu daje się zauważyć zwrot ku bardziéj sprawiedliwemu ocenianiu ważnéj roli, jaką zwłaszcza w nowożytnych społeczeństwach cywilizowanych odgrywają pośrednicy.

Wniknąwszy głębiéj w istotę handlu, nie trudno dostrzedz, że odpowiada on w zupełności określeniu pracy powyżéj podanemu przez nas; handel wymaga ze strony człowieka zabiegów i wysiłków myśli i woli, jest zajęciem produkcyjném, gdyż zarówno jak rolnictwo i przemysł rękodzielniczy, zwiększa wartość produktów, a często wytwarza nawet całą ich użyteczność. Jakkolwiek nie zmienia on układu części materyi i wzajemnego ich stosunku, zmienia jednak własności materyi w stosunku do człowieka, pozwalając producentowi pozbywać się przedmiotów, które mu są zbyteczne, a tém samém nie mają dlań żadnéj wartości, aby je przenieść tam, gdzie będą one mogły zadowolnić jakieś racyonalne potrzeby ludzkie; czyli, że, zmieniając miejsce i posiadacza, handel nadaje przedmiotom właściwe przeznaczenie i stwarza nietylko wartość zamienną towarów, ale i ich użyteczność względnie do konsumentów, czyli wartość społeczną, gdyż dostarcza konsumentom tego, czego im potrzeba, a bez czego byliby narażeni na brak i cierpienia. Tak więc wartość zamienna i użyteczność przedmiotów, zarówno jak i ogólny dobrobyt w ścisłéj znajdują się zależności od stopnia rozwoju i ożywienia, w jakim znajduje się handel w danéj chwili; bez niego stosunki ekonomiczne pomiędzy jednostkami nie istnieją. Powiększając użyteczność, jaką bogactwa mogą mieć dla człowieka, handel pomnaża wielokrotnie rezultaty jego pracy, dlatego też w klasyfikacyi zajęć ludzkich został pomieszczony tuż obok rolnictwa i przemysłu rękodzielniczego, pod nazwą przemysłu zamiennego.

Gdyby, jak to pospolicie utrzymują, przy wszelkiéj zamianie jedna ze stron oszukiwała drugą i dostawała mniéj, aniżeli daje, albo chociażby tylko taką samą ilość i jakość bogactw, zamiana w saméj rzeczy byłaby szkodliwa, a przynajmniéj zbyteczna, a handel pracą nieprodukcyjną; łatwo się jednak przekonać, że tak nie jest i że przy każdéj zamianie zrobionéj w normalnych warunkach obiedwie strony tylko zyskać mogą. Zbyteczném wydaje nam się zastrzeżenie, że, rozpatrując teoryę handlu, nie będziemy zajmować się sprzedażą przymusową pod licznemi jéj postaciami, która się odbywa wbrew prawom ekonomicznym i wbrew woli jednéj ze stron; możemy tu mówić jedynie o zamianie zwykłéj, normalnéj, wynikającéj z obopólnéj zgody bez

żadnego zewnętrznego nacisku i obcéj interwencyi. Nie ulega wątpliwości, że w takich warunkach jedynie korzyść stron kieruje dokonywanemi tranzakcyami, nikt nie kupuje tego, z czego nie miałby użytku, ani nie pozbywa się rzeczy, które mu są potrzebne, czyli że przy każdéj tranzakcyi przedmiot, zmieniając właściciela, zyskuje tém samém na użyteczności, ma jéj więcéj dla kupujących, aniżeli miał dla sprzedającego. Błędne jest też twierdzenie, jakoby zamieniano jedynie przedmioty równéj wartości, gdyby tak było, cóżby komu przyszło z zamiany? Każdy pozostawałby przy swojém. Wyprodukowawszy, dzięki podziałowi pracy i ulepszeniom technicznym, znacznie więcéj, aniżeli może skosumować, człowiek zamienia zbywające mu, a tém samém bezużyteczne, przedmioty na inne użyteczne i w tym to fakcie, że bogactwa zyskują na wartości, przez to samo, że przechodzą z rąk sprzedającego do rąk kupującego, streszcza się właśnie ekonomiczne znaczenie handlu i cała jego filozofia. Ów przyrost wartości przedmiotów, pochodzący z zamiany, sprawia, że coraz większa ilość potrzeb może być zaspokojona, można więc rzec z całą ścisłością naukową, że handel powiększa ilość wyprodukowanych bogactw, gdyż bogactwem nazywamy to wszystko, co może zaspokoić racyonalne potrzeby ludzkie.

Tak istnienie handlu jak i wszelkie dodatnie jego rezultaty zawdzięczamy pośrednikom, oni to są łącznikami pomiędzy producentami i konsumentami, których często oddzielają morza i oceany; bez interwencyi pośredników, którzy ich zbliżają, byliby oni dla siebie równie obcy, jak gdyby zamieszkiwali różne planety, a większość produktów codziennego użytku nie istniałaby dla nas wcale: „Czy kawa istnieje dla paryżanina, jeżeli mu jéj nie przywiozą? — zapytuje Maurycy Block. — Przecież nie mógłby posyłać co dzień rano kucharki do Brazylii!"

Jeżeli działalność kupców i pośredników, czyli tych wszystkich, którzy ułatwiają zamianę i nią kierują, jest pracą produkcyjną, jakeśmy się to starali dowieść, słusznie należy im się za ich pracę, rozwinięte przy niéj zdolności, oraz niezbędne wiadomości praktyczne, wynagrodzenie w stosunku do usług, jakie oddają, a określone prawem popytu i podaży. W skład wynagrodzenia tego wchodzą jeszcze koszta przewozu towarów, premia asekuracyi od nieodłącznego ryzyka, procent od włożonego kapitału, jego amortyzacya, koszta sprzedaży detalicznéj, oraz przeróżne opłaty; wszystkie te pozycye muszą wpływać na wzrost cen, pośrednik sprzedaje drożéj aniżeli kupuje, należy jednak pamiętać, że zaledwie małą część owéj różnicy zyskuje on dla siebie. Ci, którzy nie zdają sobie sprawy ze szczegółów operacyi handlowych, a z których składa się tak zwany ogół, sądzą, że kupcy robią wszyscy

złote interesy, że nakładają na towary ceny dowolne i tak producentów, jak konsumentów, trzymają w swych rękach; stąd przeróżne zarzuty, niechęć, a często nienawiść i prześladowanie. W rzeczywistości systematyczne wyzyskiwanie producentów i konsumentów przez pośredników rzadko się zdarza, gdyż trzeba na to wyjątkowych okoliczności, warunków, o które coraz trudniéj, przy ulepszeniach wprowadzonych do środków komunikacyi; trzeba na to, aby usunięta była wszelka konkurencya i aby mógł się wytworzyć faktyczny monopol handlowy. Dlatego też wszelkie środki legalnéj interwencyi, mające na celu ochronę przed wyzyskiem pośredników, zawsze wprost przeciwny odnoszą skutek, gdyż ubezwładniając ich działalność i utrudniając istnienie, zmniejszają tém samém ich liczbę i zamiast usuwać monopol, sami sztucznie go wytwarzają. Jedynie swobodna i ożywiona konkurencya zdolna jest regulować normalnie stosunki handlowe.

II.

Z praw natury, które rządzą pracą ludzką, najdonioślejsze znaczenie, ze względu na stopień produkcyjności, jaki może ona osiągnąć, posiada prawo ekonomii sił, objawiające się stałém dążeniem każdego do wyprodukowania jaknajwiększéj ilości bogactw, kosztem jaknajmniejszego wysiłku i trudu; z dążenia tego wypływa w znacznéj mierze postęp ekonomiczny i wzrost dobrobytu, prawo ekonomii sił nie przestaje działać ani na chwilę, ukazuje się zawsze z równą siłą i stanowczością; nie ma ludzi, którzyby mu nie podlegali, najpracowitsi nawet starają się o to, aby ich wysiłki były wynagradzane jaknájwiększym rezultatem, ci zaś, którzy nie mają celu tego na względzie i lubią wysiłek dla samego wysiłku, niezależnie od tego, co on im przynieść może, nie oddają się pracy lecz zabawie; są to sportsmeni, którzy nie kierują się zasadą użyteczności, lecz zadawalniają tak zwane potrzeby sztuczne (*faux besoins*), ktore pochłaniają w społeczeństwach cywilizowanych niezmierne ilości bogactw materyalnych i moralnych. Są to jednak wyjątki, z któremi nie potrzebujemy się liczyć. Można więc śmiało twierdzić, że pracą produkcyjną, a nawet produkcyą fałszywych bogactw, zadawalniających owe sztuczne potrzeby, rządzi wyłącznie prawo ekonomii sił i że człowiek w zwykłych warunkach stara się zawsze wyciągnąć ze swéj pracy jaknajwiększe korzyści. Zbytecznėm byłoby dowodzić sprawiedliwości i słuszności tego dążenia, zarówno jak i wysokiéj doniosłości jego znaczenia społecznego; wszyscy wiemy, że każdy stracony wysiłek jest stratą nigdy niepowetowaną nietylko dla je-

dnostki, lecz i dla społeczeństwa. („*What's done, cannot be undone.*" Macbeth). Co się zrobi, odrobić się nie da, to też od chwili zniesienia niewolnictwa nikt w zasadzie nie ma prawa wymagać od drugich, aby pracowali napróżno, a praca syzyfowa uchodzi dotąd za jedną z najcięższych kar, jakie podobało się kiedykolwiek bogom zesłać na ludzi.

Inną zasadą sprawiedliwości społecznéj, równie racyonalną i słuszną, a pozostającą w ścisłym związku z zastosowaniem bez ograniczeń prawa ekonomii sił, jest dowolne rozporządzanie przez jednostki posiadanemi przez się bogactwami, czyli prawo własności. Innémi słowy, w zwykłych warunkach normalnych, każdy powinien mieć zupełną swobodę, gdy chodzi o sposób w jaki ma konsumować swe bogactwa, o określenie użytku jaki ma zrobić z rezultatów swéj pracy, gdyż doświadczenie uczy, że ze wszystkich decydujących powag i władz, jakie w podobnych razach mogą być używane, interes osobisty każdego jest najpewniejszym i najmniéj omylnym sędzią. Jeżeli przy teoretycznem rozpatrywaniu powyższéj kwestyi nie wszyscy zgodzą się na zupełną swobodę indywidualną wydatków, w praktyce wydaje się ona oczywistą i bezwzględną; w każdym szczególnym wypadku właściciel jest i powinien być zawsze jedyną decydującą instancyą, gdy chodzi o nadanie przeznaczenia bogactwom będącym w jego posiadaniu i nikomu nie przyjdzie na myśl stosować się w takich razach do woli swego sąsiada.

A jednak tak prawo ekonomii sił jak i prawo własności bywają nieuznawane i nieopatrznie podporządkowywane panującym przesądom w jednym z najważniejszych procesów życia społecznego, mianowicie w handlu; ludzie skądinąd rozsądni i uczciwi, którzy nie wątpią ani na chwilę o słuszności i użyteczności prawa własności i przyznają każdéj jednostce zupełne prawo do powiększania stopnia produkcyjności swéj pracy, nie spostrzegają doniosłéj roli, jaką dwie te zasady sprawiedliwości odgrywają w handlu i w praktyce, gwałcąc je bez wahania, zadają produkcyi bogactw dotkliwe ciosy, tamują najżywsze i najobfitsze jéj źródła i narażają społeczeństwa na nieobliczone straty i cierpienia.

Zgodnie z dwoma powyższemi zasadami, nie może ulegać wątpliwości, że człowiek, jeżeli mu się podoba zamienić jakiś przedmiot będący w jego posiadaniu, na inny, który wydaje mu się potrzebniejszym, ma prawo to uczynić w sposób i na warunkach, jakie mu się wydają najdogodniejsze, byleby uszanował równe prawa drugiéj strony; może sobie wybrać przedmiot który będzie odpowiadał najlepiéj jego interesom, gustowi, potrzebom, nikt lepiéj od niego samego uczynić tego nie może, a gdyby nawet mógł, to nie ma do tego żadnéj racyi,

żadnéj zasady, żadnego prawa, gdyż podobne mieszanie się w cudze sprawy byłoby oczywistém pogwałceniem prawa własności, sprzeciwiałoby się nie tylko zasadom racyonalnéj, wyrozumowanéj sprawiedliwości, ale nawet pospolitego tak zwanego zdrowego rozsądku. To téż każdy, gdy chodzi o zamianę tak wyprodukowanych jak wogóle posiadanych przez siebie bogactw, powinien miéć pozostawioną zupełną swobodę działania, powinien módz zbywać i nabywać to co chce, gdzie chce i kiedy chce.

Niestety zasada ta bywa bardzo często puszczana w zapomnienie. w praktyce; obok zobopólnéj zgody stron, która powinna być w handlu jedynym decydującym czynnikiem, występują czynniki, względy obce, których celem jest stawać zgodzie téj na przeszkodzie, a mające swój wyraz we wszelkiego rodzaju ograniczeniach, jakim handel prawie wszędzie podlega.

Istniała niegdyś teorya, obecnie porzucona przez naukę, głosząca, że najważniejszym warunkiem dobrobytu społeczeństwa jest aby w handlu zewnętrznym wywóz przewyższał przywóz, gdy tym jedynie sposobem można sprowadzać do kraju i gromadzić złoto, które było wówczas uważano za bogactwo *par excellence*. Teorya ta, znana w nauce pod nazwą równowagi handlowéj, bezzasadna i fałszywa, opanowawszy sfery rządzące, w zastosowaniach swych okazała się zgubną, zwłaszcza dla Hiszpanii, która pomimo olbrzymich ilości złota, jakie czerpała ze swych nowych posiadłości amerykańskich, z powodu złéj polityki ekonomicznéj już od Karola V-go poczyna się chylić do upadku. Dziś wiemy, a historya Hiszpanii jest najwymowniejszym tego dowodem, że złoto nie jest jedyném bogactwem, że względnie do ludzkich potrzeb wartość jego jest nieznaczna, na nazwę zaś bogactwa zasługuje o tyle o ile w handlu odgrywa rolę towaru pośredniczącego czyli monety; ilość złota powinna być ograniczona i odpowiadać ściśle potrzebom obiegu, gdyż skoro go jest za wiele, jak każdy towar spada w cenie, będąc zaś samo miarą wartości, podnosi tém samém ceny wszystkich innych towarów i wprawia przemysł i handel w ruch sztucznéj, gorączkowéj działalności, po którym przychodzi epoka depresyi i apatyi, znana pod nazwą kryzysu lub stagnacyi. Stan taki przechodzimy i odczuwamy właśnie w téj chwili, jest on reakcyą po sztuczném podniesieniu cen i co za tém idzie, gwałtownym wzroście produkcyi spowodowanym odkryciem kalifornijskich kopalni złota w pierwszéj połowie naszego wieku. Złota napłynęło wtedy dużo, ilość monety wzrosła, cena jéj spadła a więc ceny produktów wzrosły. Późniéj stało się przeciwnie, w miarę jak poczęło złota ubywać, szło ono w górę a ceny pro-

duktów spadały, stąd stagnacya. Tak więc złota i wogóle monety nie powinno być ani za wiele, ani za mało.

Jakkolwiek merkantylizm przestał już istniéć a współczesnéj polityce ekonomicznéj nie chodzi jedynie o wyławianie cudzego złota i gromadzenie go u siebie, szczątki i ślady dawnéj teoryi dziś jeszcze są widoczne w ograniczeniach, jakim podlega handel międzynarodowy: przywozić jaknajmniéj, wywozić jaknajwięcéj, starać się aby wywóz przewyższał przywóz, oto ideał, do którego dążą w handlu zewnętrznym ci wszyscy, którym obce są dotąd najcenniejsze zdobycze naszéj nauki. A jednak już blisko sto lat jak dowiedzieliśmy się od Say'a że przywóz musi zawsze prędzéj czy późniéj zrównać się z wywozem: — „*Les produits se payent en produits*" — powiada on, bo czyż przy zamianie produktów dwóch danych krajów można przypuścić, aby którykolwiek z nich chciał oddawać produkta swe za darmo, nie odbierając nic wzamian? Kraj, któryby stale wywoził więcéj aniżeli przywozi, zubożałby w krótkim czasie, jeżeli zaś statystyki komór celnych zdają się dowodzić czego innego, to jedynie dzięki temu, że są nie ścisłe, gdyż nie mogą skontrolować wywozu i przywozu pod wszystkiemi, rozlicznemi ich postaciami. W rzeczywistości statystyki celne pokazują że w krajach bogatych, które przodują innym na polu produkcyi, jak naprzykład Anglia i Francya, przywóz roczny bywa stale większy od wywozu, gdyż kraje te posiadają znaczne ilości kapitału lokowanego za granicą, od którego odsetki pod postacią towarów lub papierów międzynarodowego obiegu powracają do właścicieli. Prócz tego należy pamiętać, że handel z zagranicą wtedy tylko może być korzystny, jeżeli importowane towary przewyższają swą wartością towary eksportowane. Dowody, jakie dają dane statystyczne Anglii i Francyi, zgadzają się w zupełności ze zdaniem Say'a w tym przedmiocie, który powiada: — „*Plus le commerce qu' on fait avec l'étranger est lucratif, plus la somme des importations doit excéder celle des exportations*" — oraz ze zdaniem Bastiata, który dodaje: „*La vérité est qu'il faudrait prendre la balance du commerce au rebours et calculer le profit national dans le commerce extérieur par l'excédent des importations et des exportations.*"

III.

Istnieje jeszcze inna szkodliwa teorya polityczno-ekonomiczna, ograniczająca handel ze względów źle zrozumianego patryotyzmu, a jest nią protekcyonizm, którego zwolennicy starają się stawiać zapory handlowi zewnętrznemu pod pozorem opieki nad miejscowym przemy-

słem lub rolnictwem; w tym celu wywierają oni nacisk na władze publiczne, aby te za pomocą gry taryf celnych przeszkadzały przywozowi tych produktów zagranicznych, które robią konkurencyę produktom miejscowym.

Taryfy celne dzielą się na dwie kategorye, jedne mają znaczenie fiskalne, służą za źródło podatkowe i przyczyniają się do powiększenia dochodów publicznych, drugie są protekcyjne, mają jedynie na celu, podnosząc ceny importowanych produktów, utrudniać ich zbyt na rynkach wewnętrznych, a bywają często tak wysokie, że wprost uniemożliwiają import niektórych produktów i noszą wtedy nazwę ceł zakazowych (*Droits prohibitifs*). Pomiędzy zwykłemi taryfami celnemi a taryfami protekcyjnemi istnieje zasadnicza różnica, pierwszym nic nie można zarzucić, stosują się one do potrzeb budżetowych, jest to podatek, wprawdzie nie zbyt wygodny, ale podatek i nic więcéj; charakter ten jest powodem, że cła podatkowe nigdy zbyt wysokie nie bywają, gdyż nie mają bynajmniéj na celu zmniejszania ilości importowanych towarów; przeciwnie, ponieważ chodzi o to, aby źródło owego podatku nie wysychało lecz było jaknajobfitsze, cła podatkowe bywają normowane w ten sposób, aby nie tamowały handlu zewnętrznego; dla tego téż bywają one zwykle nieznaczne, gdyż inaczéj chybiałyby zupełnie, swego celu.

Inne, wprost przeciwne są pobudki, kierujące stronnikami ceł ochronnych, nie chodzi im bynajmniéj o korzyści, jakie owe cła mogą przynieść skarbowi, lecz o to aby o ile można utrudniły towarom zagranicznym dostanie się na rynki krajowe; stosują się one zwykle do produktów, których przemysł krajowy dostarcza, lecz po cenie wyższéj, aniżeli przemysł zagraniczny; ostatecznym więc celem ceł ochronnych jest zniesienie konkurencyi zagranicznéj i stworzenie sztucznego monopolu dla producentów krajowych, a to w celu zapewnienia wysokich zysków téj lub owéj specyalnie interesującéj gałęzi przemysłu. Zdawałoby się, że taki stan rzeczy nie pozostawia nic do życzenia i musi zadowolnić każdego: dzięki opiece celnéj, konkurencya zagraniczna zostaje usuniętą, przemysł krajowy może spokojnie się rozwijać, ma zapewnione rynki zbytu, a pieniądze... (echo dawnego merkantylizmu) nie są wywożone za granicę lecz pozostają w kraju.

Tak byłoby w istocie, gdyby nie to, że wszelka opieka kosztuje... i to kosztuje kogoś i że chcąc ochraniać i faworyzować pod jakiemikolwiekbądź względami jednych, można to robić jedynie kosztem drugich. Musi się znaleść ktoś, kto płaci koszta monopolu, jaki wytwarzają wszelkie cła ochronne, nadwyżka cen, jaką dostają producenci krajowi, wolni od konkurenci zagranicznéj, musi być brana z czyjéjś

kieszeni, z kieszeni jakichś filantropów mimowolnych a są nimi konsumenci. Zdawałoby się, że zgodnie z prawem roporządzania swą własnością, każdy może zaopatrywać się w potrzebne mu produkta tam, gdzie może ich dostać jaknajtaniéj, czyli największą ilość, gdyż w ten sposób podnosi stopień produkcyjności swéj własnéj pracy, któréj rezultat musi wzamian ofiarować; protekcyoniści są jednak innego zdania, ustanawiają oni cła ochronne, aby zmusić konsumenta do kupowania tam, gdzie im się podoba, to jest tam, gdzie drożéj, czyli, że przy każdéj tranzakcyi wyjmują kupującym z kieszeni pewną sumę, aby ją włożyć do kieszeni faworyzowanych producentów. Oto co powiada w tym przedmiocie Herbert Spencer: „Wszakże nie da się zaprzeczyć, że jeżeli dla utrzymania dochodów *A.* zabrania się *B.* kupować od *C.*, lub jeżeli nakłada się nań karę pieniężną w postaci cła wchodowego w wypadkach kiedy kupuje od *C*, że wtedy dokonywa się grabież na *B* w celu ochrony *A*. Co więcéj protekcyoniści zasługują podwójnie na miano grabieżców, gdyż dla przysporzenia dochodów jednemu producentowi nakładają haracz na dziesięciu spożywców.”

Naturalnie że popełniając czyn, będący w tak rażącéj sprzeczności z zasadą sprawiedliwości, muszą protekcyoniści starać się go uzasadnić, muszą mieć jakieś pozory słuszności. Oto są argumenty, jakiemi się zwykle posługują, rozpoczynając swą kampanię. Jeżeli znajdzie się w kraju pewna gałąż przemysłu, która nie może wytrzymać konkurencyi z takimże przemysłem zagranicznym, albo musi się z tą konkurencyą liczyć z powodu, że koszta odnośnéj produkcyi są w kraju wyższe aniżeli za granicą, protekcyoniści alarmują społeczeństwo, dowodząc, że ów przemysł jest zagrożony w swym bycie, że konkurencya zagraniczna grozi mu zagładą, że należy go podtrzymać i podźwignąć za jakąbądź cenę, gdyż praca i byt tysięcy rodzin od istnienia jego zależą. Pominąwszy to, że filantropia powinna być dobrowolną i że wszelka dobroczynność przymusowa jest niesprawiedliwą, szkodliwą i wysoce demoralizującą, przekonano się że protekcyonizm nie przynosi społeczeństwom, które go stosują, oczekiwanych korzyści, lecz że przeciwnie naraża je na odwet ze strony sąsiadów i wojny celne, o których słusznie powiedziano: że jakkolwiek bezkrwawe, sprowadzają równie wielkie klęski i zniszczenie; chociaż i bez reakcyi zewnętrznéj i wojen taryfowych, przynoszą cła ochronne, same w sobie, karę za to, że usiłują stawać w poprzek działaniu naturalnych praw ekonomicznych.

Cła ochronne nie bywają nigdy nakładane na produkta, których mogą dostarczyć główne gałęzie przemysłu krajowego, gdyż te opieki nie potrzebują, rozwijają się dzięki sprzyjającym naturalnym warun-

kom i są dość silne aby bez niczyjéj pomocy i przymusowych ofiar, nie tylko wytrzymać na rynkach wewnętrznych konkurencyę zagraniczną, lecz aby za granicą wytrzymać konkurencyę z tamtejszemi produktami. Zboże rosyjskie, wino francuskie, maszyny angielskie nie potrzebują opieki władz publicznych, warunki ekonomiczne i koszta produkcyi sprawiają, że są one głównemi artykułami handlu zewnętrznego owych państw, opuszczają swe ojczyzny, aby iść zaspakajać potrzeby obcych, są przez nich pożądane i konsumowane, pozwalając w zamian swym ojczyznom zaopatrywać się w produkta obce, których nie posiadają.

Do opieki władz państwowych odwołują się inne gałęzie przemysłu, te mianowicie, które wykwitłe na niewłaściwym sobie gruncie, wywołane sztucznie, czy to chwilową potrzebą, czy manią naśladownictwa, czy jakiemiś błędnemi teoryami polityczno-ekonomicznemi, wegetują nędznie i są tak bezsilne, że lada prąd silniejszéj konkurencyi zagranicznéj zagraża ich istnieniu. Słyszymy wtedy o nich, że przechodzą kryzys, że się nie opłacają, że grożą upadkiem i że należy niezwłocznie przyjść im z pomocą a to w imię patryotyzmu, miłości bliźniego, dla dobra ogółu i t. d. Wtedy to, jak powiada Fr. Bastiat, przy pomocy zaciągniętego od obywateli podatku, najęci bywają ludzie, których przeznaczeniem i obowiązkiem jest stać u granic państwa, zwracać z drogi tychże obywateli ile razy będą oni mieli ochotę przekroczyć te granice, aby się zaopatrzyć u sąsiadów w produkt jakiego protegowanego przemysłu miejscowego, czyli kupić taniéj i w lepszym gatunku to, co u siebie muszą przepłacać a brać co im dają.

Dochodzimy tu do jądra naszéj kwestyi, panuje przekonanie, że przemysł który się n i e o p ł a c a właścicielowi, czyli naraża go na straty, skoro za pomocą ceł ochronnych zostanie sztucznie podtrzymany, czyli skoro straty swe zacznie płacić społeczeństwo, o p ł a c i s i ę społeczeństwu, że ogół zyska na takiéj manipulacyi, że bogactwo narodowe wzrośnie. Otóż tak nie jest, gdyż przekładając z jednéj kieszeni do drugiéj, nic się nie zyskuje a traci się czas oraz wszystko to, co jednostka albo społeczeństwo w przeciągu tego czasu konsumuje; nie należy zapominać, że społeczeństwo żadnego bytu osobistego, indywidualnego, nie posiada, że byt jego składa się z bytów składających go jednostek, że zmuszając konsumentów to jest ogół do kupowania drożéj niż mogą, odbiéra się im części ich własności, aby ją oddać małéj, nieznacznéj liczbie protegowanych przemysłowców; że przemysłowcy ci są podtrzymywani i utrzymywani nie kosztem mieszkańców księżyca, lecz kosztem swych własnych współobywateli, że pochłaniają systematycznie części bogactw narodowych a témsamém ubożą, nie zaś

wzbogacają swe społeczeństwo i że wreszcie zupełna ich zagłada stokroć korzystniéj oddziała na dobrobyt ogółu, aniżeli owe sztuczne istnienie anemiczne, otrzymywane kosztem ciągłéj transfuzyi kapitału, owéj krwi ekonomicznego życia, z jednostek zdrowych i silnych w organizmy skazane prędzéj czy późniéj na zagładę i których byt zależy jedynie od łaski i fantazyi prawodawczéj.

Pozostaje nam jeszcze do rozpatrzenia najsilniejszy argument, którym przeciwnicy nasi obałamucają opinię publiczną—obrona pracy narodowéj i przemysłu miejscowego. Cóż się stanie — pytają oni — z owemi tysiącami robotników, których wolność handlu pozbawia pracy? z upadkiem i zagładą gałęzi przemysłu, wymagających ceł ochronnych, zostaną oni i ich rodziny bez zarobku, bez chleba, w niedostatku i nędzy! Tak byłoby w istocie, lecz i to nie na długo, gdyby nagły zwrot w polityce ekonomicznéj i raptowne zniesienie ceł ochronnych zabiły równocześnie wszystkie sztucznie podtrzymywane przedsiębiorstwa; jeżeliby jednak podobna reforma taryf rozłożona została na kilka lub kilkanaście lat, gdyby przystąpiono do niéj oględnie i ostrożnie, dałaby się ona przeprowadzić stopniowo, bez gwałtownych wstrząśnień i zmian w warunkach pracy. W saméj rzeczy ci, którzy pracują w protegowanych przedsiębiorstwach, z ich zwinięciem zostaliby zmuszeni szukać zarobku gdzieindziéj; lecz równocześnie otwiérałyby się dla nich inne, nowe pola produkcyjnéj pracy, nowe, stokroć obfitsze źródła zarobku, wypływające ze wzrostu kapitału, który zacząłby się niezwłocznie gromadzić w następujący sposób.

Wraz ze zniesieniem monopolu i obniżką cen, w rękach konsumentów (pamiętajmy, że oni to składają ogół) pozostaje ta część bogactw, którą przedtém zmuszeni byli oddawać pod postacią nadwyżki cen właścicielom protegowanych przedsiębiorstw. Zważywszy, że protekcya obciąża **każdy** bez wyjątku monopolizowany produkt, że przy **każdém** bez wyjątku kupnie konsument musi płacić większą lub mniejszą daninę, nie trudno przyjść do wniosku, że ze zniesieniem monopolu z tych okruchów, które dla pospolitego oka są niewidzialne lub zaledwie dające się dostrzedz, w rzeczywistości tworzą się olbrzymie sumy, które przechodziły do kieszeni monopolistów i tonęły w nich nieprodukcyjnie pod postacią zbytecznie zużytych kapitałów i ludzkiéj pracy, gdy tymczasem pod systemem wolnego handlu kapitały te pozostają w społeczeństwie, są do jego rozporządzenia, pomimo że społeczeństwo zaopatrzyło się w równą ilość produktów i mogło zaspokoić równą ilość swych potrzeb.

Cóż się dzieje z owemi pozostającemi, zaoszczędzonemi kapitałami, do których należy jeszcze dodać to wszystko, co pozostaje z likwi-

dacyi zwiniętych przedsiębiorstw? Jak wiadomo, kapitał pozostawiony bezczynnie nie procentuje, aby przynosił dochód czyli odsetki, trzeba go ulokować, to jest nadać mu jakieś produkcyjne przeznaczenie, użyć go w ten sposób, aby służył do wytworzenia nowych bogactw; lecz w tym celu trzeba przedewszystkiém szukać głów i rąk, któreby go mogły i umiały użyć i oto nasi pracownicy bez zajęcia znajdują nowe przedsiębiorstwa, rozporządzające większemi kapitałami, aniżeli poprzednie, rozwijające się na podstawach pewnych, na gruncie naturalnym, nie sztucznym, nie będące w zależności od téj lub owéj polityki celnéj, od tego lub owego traktatu handlowego, ale które mogą istniéć same przez się, czerpiąc swój byt z miejscowych naturalnych bogactw, potrzeb mieszkańców i warunków ekonomicznych. Widzimy więc, że ochrona pracy narodowéj jest w istocie pustym, pięknie brzmiącym frazesem, służącym do wprowadzenia w błąd tych wszystkich, którym słowa zakrywają istotę rzeczy; nie chodzi wcale o to, aby pracę narodową zwiększać i kazać społeczeństwu przelewać z pustego w próżne, taki wysiłek nie jest pracą, lecz niszczeniem; przeciwnie, powinno chodzić o to, aby zgodnie z prawem ekonomii sił, produkować jaknajwięcéj, lecz jaknajmniejszym kosztem i jeżeli zagranica może dostarczyć taniéj jakiegoś produktu, t. j. żądać od konsumenta wzamian mniejszą ilość jego pracy, to wystarcza w tym wypadku zwykły rozsądek, aby wiedziéć, że lepiéj jest kupić taniéj i resztę schować do kieszeni, aniżeli przepłacać i wyrzucać piéniądze, to jest marnować swoją pracę. Staraliśmy się dowiéść, że protekcyonizm nietylko przynosi szkodę jednostkom, ale jest chroniczną chorobą ekonomiczną całego społeczeństwa, robimy tu jednak powtórne zastrzeżenie, że szkoda jednostek i nieodłączna, wymuszona, filantropia legalna wystarczają zupełnie, aby go potępić; wbrew modnéj dziś teoryi interwencyi władz publicznych w prywatne sprawy jednostek, twierdzimy, że uszanowanie w nich indywidualnych cech, dążeń i zapatrywań jest podstawą zasadniczą sprawiedliwości społecznéj, a teoretycy wszelkiéj przymusowéj filantropii, czy to będą socyaliści, czy protekcyoniści, czy inni jacy uczuciowi przyjaciele ludzkości są w błędzie; uczucie panuje w nich nad rozumem, gdyż chcąc leczyć przemijające i konieczne cierpienia, zadają oni społeczeństwom rany śmiertelne. Zwłaszcza zmiany i ograniczenia, jakie wprowadzają do prawa własności, oddziaływają zgubnie, paraliżując produkcyę bogactw, a pobudzając konsumcyę; własność nie winna swego istnienia woli prawodawców, rozwijała się ona bez nich, a często nawet wbrew ich woli, nie oni modyfikują ją i urabiają, lecz warunki ekonomiczne i potrzeby ży-

cia społecznego, jakeśmy to starali się dowieść („Teorya własności"— „Ateneum", marzec r. b.).

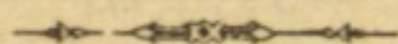
Dodatni wpływ podziału pracy pomiędzy jednostki ogólnie jest rozumiany, oceniany właściwie i nie podlega już dyskusyi, czemu więc podział pracy pomiędzy społeczeństwa, który jest niczém innéin, jak tylko dalszym ciągiem, ewolucyą pierwszego, tak dużo liczy przeciwników? Społeczeństwa, zarówno jak i jednostki, mają w produkcyi swoje specyalności, zdolności, zamiłowania, tradycye, dlaczego stawiać przeszkody temu różniczkowaniu się pracy, skoro ono wydaje jaknajlepsze rezultaty? Wszak ulepszenia komunikacyi nie mają innego celu, innéj racyi bytu jak tylko ułatwianie owego podziału pracy i zamiany jéj produktów, stworzenie jednego międzynarodowego rynku, na który każdy, bez względu na narodowość, przynosiłby to, co produkuje najlepiéj i najtaniéj. „Robicie tunel, który łączy ze sobą dwa narody — powiada Emil Laveleye — wydajecie na niego kilkadziesiąt milionów, a gdy jest gotowy, stawiacie na każdym jego końcu celnika, którego zadaniem jest niszczenie wszelkich korzyści, jakie ów tunel przynieść wam może. Czyż to nie rażąca niekonsekwencya?"

W. Domański.



POKUSA I POKUTA.

NOWELA.



Tego wieczora Alfred Ellis czuł się bardzo przygnębionym. Odbiegła go pogoda umysłu, ta pogoda niby wieczornego nieba, co ze spełnienia obowiązków i wyczerpania sił płynie. Dziś rozpostarła się na jego czole chmurka, zaciemniająca jego widnokrąg. Ale bo też wydarzył mu się niebywały wypadek. On, który przez lat ośm pełnił funkcye sekretarza w biurze Williama Pillsa i z dumą mógł powiedzieć, że, duszą i ciałem sprawom firmy oddany, pełnił je beznagannie — zapomniał wręczyć zwierzchnikowi ważną depeszę. Było to niesłychaném, fatalném.

A w ciągu całéj doby wyczekiwał téj telegraficznéj odpowiedzi! Tymczasem gdy ją otrzymał, przeczytał papiér pobieżnie i, zajęty korespondencyą, odłożył go na bok, nie wspominając o nim ani słówkiem. Niepojęta rzecz! Na domiar drżał na myśl, jak przyjmie to pan Pills, który, wszelkie ludzkie uczucia pozostawiając przed progiem kantoru, rządził w biurze według kodeksu drakońskiego. A miał on sposób objawiania swego niezadowolnienia spokojny i pełen godności, lecz stokroć dotkliwszy od głośnych nagan. Podnosił zimne źrenice i topił je w podwładnym z wyrazem politowania i, co gorsza, podejrzenia, jakby chciał powiedzieć:

— Albo jesteś idyotą albo pragnąłeś wyrządzić mi krzywdę. — Gadaj!...

Alfred nie łudził się nadzieją, aby miał go ominąć ten pocisk oczu, przed któremi drżeli urzędnicy.

Wogóle, kantor nie był rajem, ale w oczach Alfreda środkiem i osią świata, którego słońcem była twarz pryncypała. Sekretarz zżył się z nią i jaknajbieglejszy meteorolog wróżył z niéj chmury, słotę lub pogodę. Nie skarżył się. Na cóż miał się skarżyć? Był przecież urzędnikiem jednego z najstarszych domów handlowych w City Londynu, zaufanym pana Pillsa kantorzystą, pobierającym już tak znaczną pensyą jak biegły w swym zawodzie rękodzielnik. A na Nowy-rok dochód jego miał wzrość do czterech funtów tygodniowo.

Było to właśnie tyle, ile potrzebował, aby módz się ożenić. Wprawdzie gdyby od niego było zależało, byłby dawno stanął przed ołtarzem, ale Mary, z którą był zaręczony od lat czterech, zapowiedziała mu, iż wprzódy za niego nie wyjdzie, aż będzie w możności przyjąć kucharkę. Sama bowiem, jako wnuczka pastora, nie myślała trawić dni w kuchni lub na uprzątaniu domu. I narzeczony racye jéj pojmował, nie życząc sobie bynajmniéj, aby panna tak dobrego rodu pracowała jak sługa.

Najchętniéj po obiedzie byłby podążył do niéj, ale czuł, że nie będzie zdolny mówić o niczém, jak tylko o swém zmartwieniu. Tymczasem zaś sprawy biurowe nie przedstawiały dla Mary żadnego interesu. Zaledwie przeto wstał od stołu, wsiadł w omnibus, który wysadził go na ożywionéj arteryi. Było mu potrzeba ruchu, powietrza, rozrywki, zapomnienia.

Zatopiony w wirze ulicznym, odzyskał cząstkę spokoju wewnętrznego, wmieszał się w falę przechodniów i szedł z nią bez celu, aż wpadły mu w oko trzy kuliste lampiony elektryczne, przyczepione wysoko na domu, w którym mieścił się ogród zimowy. Wstąpił do marmurowego przedsionka i olbrzymiéj, białéj sali rotundowej, gdzie pochwyciły go w ramiona gwar stłumionych głosów, roje rzęsistych świateł i tony muzyki, z poza ustronnego bukietu egzotycznych roślin płynące.

Odżył, acz zarazem poczuł się obcym w téj świątecznéj atmosferze, z którą nie miał nic wspólnego. Tu życie zdało się nieustanną ucztą; pierzchły od niéj daleko wspomnienia pracy. Onieśmielony przepychem otoczenia i damskich tualet, które zaściełały środek sali, ujęty w wieniec z kolumn i zieleni, szukał krzesła na uboczu. Jednakże nawet wzdłuż muru biegnące stoły szczelnie były zajęte i dopiéro obok gęstego lasu krzewów, po za którym kryła się kapela, dostrzegł wolny stolik pod ścianą. Zająwszy tu miejsce, rozglądał się z podziwem.

Zaiste nie spodziewał się spotkać znajomego w gronie osób, wśród których postać jego, ze wszystkiemi znamionami pospolitości, komiczne na innych czynić musiała wrażenie. Czuł to instynktownie, bo niejednokrotnie zwracały się ku niemu oczy gości, w których czytał niepochlebne dla siebie zdziwienie. Mianowicie podstarzały mężczyzna, który zajmował miejsce niedaleko, spoglądał raz po raz ku niemu, jakby zastanawiając się, gdzie widział tego intruza. Alfred poznał w nim odrazu pana Jamesona, klienta domu Pills and Company. Nie kusił się jednak o zbadanie innych godzących weń spojrzeń. Szczególnie zaś unikał dwojga bezczelnie utkwionych w siebie źrenic kędzierzawego mężczyzny, który rozmawiał z dwoma towarzyszami przy sąsiednim stole. Tamci byli plecami do Alfreda zwróceni, on sam, zajmując krzesło naprzeciwko nich, miał ciągle przed sobą niekształtny cylinder i obwisłe, płowe wąsy kantorzysty.

Niebawem jednak Alfred zapomniał o jego obecności, bo przykuła jego uwagę młoda para, obiadująca przy udekorowanym kwiatami stole. Przystojny i czerstwy mężczyzna, z różyczką u fraka, pochylał się z uśmiechem co chwila do swéj towarzyszki, zapewne żony, która w świetnéj, brylantami ozdobionéj tualecie wydała się Alfredowi cudnéj urody istotą ze sfery obłocznéj. Jakże oni byli piękni, weseli i szczęśliwi!...

I któżby przypuszczał, że z tym wytwornym dżentelmenem on siedział na jednéj ławie szkolnéj? Poznał go natychmiast, ale pytanie, czy Dżek przypomniał by go sobie... Wówczas byli sobie równi, dziś dzieliła ich przepaść. Dżek bogaty, swobodny, z piękną damą przy boku, czerpał pełną ręką z uciech światowych, a on, biedny kantorzysta, zmuszony liczyć się z każdym szylingiem, siedział tu samotny na uboczu, jak intruz, jak wyrzutek, obarczony całym nawałem obcych, biurowych trosk i kłopotów, odsunięty od zysków i radości. Wolno mu było jedynie jako przygodnemu widzowi zachwycać się szczęściem dawnego kolegi! Gdyby to Dżek był górował nad nim zdolnościami i sprytem, pojąłby różnicę w ich położeniu, ale był on w szkole bodaj najograniczeńszym z chłopców, dla których stawał się często pośmiewiskiem.

Jakże niepojęte, niesprawiedliwe było to zrządzenie losu! Ha! Widocznie świat był urządzony na zasadzie jakiéjś bezsensownéj anarchii, w któréj każdy mógł dopatrzéć się wygodnego dla siebie systematu, ale nikt nie odnalazł klucza do rozwiązania całości zagadki. Bo światowego systematu jądrem jest bezsystematyczność...

Gdy myśli jego, przekroczywszy granice swego ciasnego widnokręgu, poniosły go daleko, zbliżył się do stołu wysoki dżentelmen,

około czterdziestu lat liczący, we fraku, osłoniętym czarnym płaszczem z peleryną. Na palcach jego lśniły brylantowe pierścienie. Rozpiąwszy zarzutkę, rozsiadł się wygodnie, oddychając ciężko, jakby był po sutym obiedzie, przy którym przebrał miarę. A twarz jego, z cerą mieszkańca wsi zdradzającą, wyrażała zupełne zadowolenie zwierzęce. Muzyka działała nań usypiająco, bo przymknęły mu się powieki i papieros przygasł w ustach. Lecz wnet ocknął się, wypił kawę i, wydobywszy z kieszeni gazetę, zabrał się do czytania. Wkrótce jednak, skinąwszy na garsona, sięgnął w zanadrze po pugilares. Wręczył mu banknot. Długo trwało zanim służący wrócił od kasy. Tymczasem zaś gościowi śpieszyło się. Gdy nareszcie ujrzał garsona, powstał zniecierpliwiony, rzucił gazetę na stół i, wsypawszy piéniądze w kieszeń, oddalił się krokiem pospiesznym.

Godzina robiła się późna, lecz Alfred nie poruszył się z miejsca, bo, lubo nie opuszczało go głuche poczucie krzywdy i goryczy, czuł się jakby zahypnotyzowany tym gwarem ludzkiego mrowiska, upojony harmonią tonów. I owładnęło nim miłe uczucie wypoczynku, usypiające wszelki popęd do działania i ruchu, przygłuszające troskę.

Aby wyrwać się z koła bezprzedmiotowych rozmyślań, podjął gazetę, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy ujrzał pod nią pugilares.

W pierwszéj chwili chciał się podniéść, biedz za nieznajomym przywołać służbę, ale coś go trzymało na uwięzi. Rozejrzał się wkoło; żadnego ze służących nie było w pobliżu, goście, zajęci wyłącznie sobą, na niego nie zwracali uwagi. I zapatrzył się na wyładowany, czarny pugilares osłupiałym wzrokiem...

Gorączkowy rumieniec wystąpił mu na lica, oczy zaszkliły się, wyrażając skupienie myśli...

Z tego pugilaresu nieznajomy wydobył banknot... Porzucona gazeta ukryła go przed wzrokiem otoczenia... Teraz właściciel musiał być daleko, bo upłynęło kilkanaście minut od jego wyjścia... Zapewne był już w domu i zrana dopiéro zauważy brak pugilaresu... Za dziesięć godzin...

Otóż spoczywała przed nim fortuna!... Los, chcąc nagrodzić mu krzywdy, podsunął mu ją i dość wyciągnąć rękę, aby być bogatym...

Czuł, że ogarnia go szalona fala życia, budzi się w nim pragnienie swobody, drży nieznany nerw wielkiéj uciechy...

Ale to byłoby kradzieżą... Czyliż jednak źle się dzieje zgrabnym, szczęśliwym złodziejom? O to jedynie chodzi, by się nie dać pochwycić ni zdemaskować. Świat należy do śmiałych. Czy nie słyszał o kasyerze, który latami pokrywał niedobór własnéj kieszeni z kasy ban-

kowéj? Czy nie znał sam ojca, który okradł własnego syna z majątku zapisanego mu przez matkę!... Ha! Któż dochodzi, skąd biorą piéniądze? Dość, że je mają, a miéć piéniądze, to znaczy posiadać wszystko.

Złoto daje swobodę, ono wraca i zapewnia zdrowie, ono karki ludzkie do ziemi ugina, kupuje przyjaźń, zdobywa miłość, wyświetla zalety, wady w blasku swym topi. Ono jest nawet cnotą i talentem; wszystko na świecie jest kwestyą piéniędzy. To największy, wszechmocny bóg ludzkości! Dla niego wznoszą się ołtarze, do monstrancyi, do gwiazd złotych, do tego świetnego słońca wyciągają się ramiona błagalnie. O cobądź ludzie się modlą, każdy przedewszystkiém woła i prosi: daj mi złota... Najbardziéj hardzi w proch padają przed niém, bo potęga jego, która trony nawet obala, aż do głębi czaszek i serc ludzkich przenika. I potępion, na męki i katusze skazany ten, kto temu bogu nie złoży hołdu, kto inne przed nim wyznaje i wielbi bóstwa...

Z tym pugilaresem w kieszeni jakże innym człowiekiem byłby Alfred Ellis? Czy ktobądź wyśmiewałby się z jego wyglądu lub śmiał go traktować jak niewolnika? Czy kobiéty nie odnalazłyby w nim stu zalet serca i umysłu? Czy Mary nie kochałaby go czule? Jutro tak jak szczęśliwy Dżek, siedząc przy wspaniałéj uczcie, mógłby przebiérać w uciechach, radować się życiem, kochać, być panem, być sobą..

Zadrżała mu ręka i... przesunął dłonią spotniałe czoło, wzrok zatopiwszy w świetlanéj przestrzeni...

Było to wszystko snem niezdrowym... Nie, przenigdy! Alfred Ellis jest uczciwym czło..... uczciwym urzędnikiem firmy Pills and Company.

Wtém przesunął się przed nim służący i spojrzał w jego stronę, jakby oczekując nowego zamówienia. Lecz te dwoje źrenic rzuciło w niego dziwny niepokój, przeniknęło go dreszczem aż do szpiku kości, ciężki wyrzut budząc w jego duszy.

Nie śmiał podnieść oczu, bo zdało mu się, iż każdy wyczyta z nich chwilową słabość, odgadnie całą sromotę. I porwał się z miejsca, nie wiedząc dlaczego, rzuciwszy gazetę na pugilares. Wręczył garsonowi dwa szylingi i podążył ku wyjściu, nie żądając nawet wydania sobie reszty.

Wkrótce potém podniosły się z swych siedzeń trzy osoby, które sąsiadowały z Alfredem. Pozostał tylko za nimi przez chwilę kędzierzawy mężczyzna, próżno szukając swego parasola. Wreszcie przypomniał sobie, iż oparł go o ścianę tuż obok krzesła Alfreda. Prze-

chyliwszy się przez stolik, wyciągnął rękę po niego, drugą wspiérając na stole, na gazecie i... zwolna poszedł za towarzyszami.

Gdy nazajutrz pan Pills zauważył niedbałość sekretarza, poczęstował go tylko enigmatycznêm „hm..." Nowy ten sposób wyrażania nagany byłby niezawodnie dał urzędnikom dużo do myślenia, lecz dzień ten przyniósł ważniejsze zdarzenie.

Z południa bowiem przybył do biura nieznany mężczyzna a wpuszczony do prywatnego gabinetu pana Pillsa, spędził z nim kilka minut na rozmowie, poczém w otwartych drzwiach ukazała się poważna twarz przełożonego.

— Kto z was był wczoraj wieczorem w zimowym ogrodzie? — spytał.

Krew zbiegła z twarzy Alfreda.

— Ja — odparł głośno, jak żołnierz, który w obliczu nieprzyjaciela widząc, że spotkanie jest nieunikniona, a ucieczka niepodobna, stara się wmówić w siebie odwagę.

Wszedłszy za przełożonym do gabinetu, posłyszał z ust dyrygenta zimowego ogrodu, że był posądzony o przywłaszczenie sobie pugilaresu.

— Krótko po wyjściu tego... pana — mówił przybysz, wskazując na Alfreda — dżentelman powrócił po pugilares, pozostawiony pod gazetą, lecz szukaliśmy go napróżno. Nikt inny w ciągu wieczora nie zajmował miejsca przy tym stole prócz tego pana... Pan Jameson, który jest z panem w stosunkach handlowych, będąc podówczas w zimowym ogrodzie, spostrzegł go i rozpoznał w nim pańskiego urzędnika. Téj okoliczności zawdzięczamy adres biura.

— Dlaczego nie oddałeś pan pugilaresu służbie?—zapytał obcesowo pan Pills, mierząc Alfreda, mierząc wzrokiem pełnym pogardy i gniewu.

— Nie... widziałem wcale pugilaresu—wyrzekł sekretarz.

— Jakto? — wtrącił przybyły. — Przecież biorąc w rękę gazetę, musiał pan spostrzedz pugilares. Według zeznania garsona odejście pana wyglądało na ucieczkę, bo nie czekał pan wydania sobie reszty, lecz zmieszany odszedł z dziwnym pośpiechem...

Badawczy wzrok pana Pillsa nie schodził z twarzy Alfreda.

— Nie dostrzegłem pugilaresu...

— Odpowie pan za to przed sądem.

To rzekłszy, dyrygent począł notować sobie nazwisko i adres Alfreda.

Gdy drzwi się za nim zamknęły pan Pills zatrzymał sekretarza w gabinecie i, siadłszy w swój fotel, pogrążył się w milczeniu.

Chwila ta zdała się Alfredowi wiecznością. Jakby uderzony obuchem, stracił czucie; uleciało z niego wszystkie życie.

— Sprawa sądowa wykaże—rzekł nareszcie pan Pills — czy podejrzenie to jest usprawiedliwionem. Jeżeli nie, to tém lepiéj dla pana. W każdym razie jednakże, nie życzę sobie, aby wymieniano w gazetach moją firmę w styczności z imieniem człowieka o kradzież posądzonego. Widzę się przeto zniewolonym uwolnić pana niezwłocznie od obowiązków. Zresztą, w ostatnich czasach zauważyłem wielkie roztargnienie z pańskiéj strony, które muszę kłaść na karb żywego zajęcia się Bóg wié jakiemi sprawami... Możesz pan wziąć od kasyera pensyę za przyszły miesiąc i biuro opuścić zaraz...

Poszedł.

Skończyło się... Gdy znikł mu z przed oczu pulpit, przy którym strawił ośm lat życia, rozdarło się w nim serce. Nie był już urzędnikiem domu Pills and Company...

W kilka godzin późniéj przyaresztowano go.

Niebawem wszakże wypuszczono go na wolność w braku dowodów, lubo pozory przemawiające przeciwko niemu, przyczepiły doń niezmazalne podejrzenie, napiętnowały go stygmatem hańby.

I udał się do domu wolny, lecz o dziesięć lat starszy. A tu czekał go list od narzeczonéj, w którym żegnała go na zawsze w pełnych żalu słowach. Przeczytał go bez zdziwienia, przyjął z pokorą jako nową karę za słabość, z jaką dał przystęp zbrodniczéj myśli. I schował na piersi ostatni zadatek miłości, westchnieniem żegnając ciche nadzieje szczęścia...

Życie jego było złamane; droga do innego domu handlowego zagrodzona raz na zawsze plamą podejrzenia. Wsiadł przeto na okręt idący do Australii z nieodstępnym towarzyszem—głębokiém poczuciem występku, którego nie popełnił...

Pugilaresu nie znaleziono nigdy...

Maciéj Wierzbiński.



Studya z dziedziny antropologii.

I.

Nasz typ narodowy w świetle antropologii.

Badania dotyczące człowieka przedhistorycznego wskazują, że w ciągu długiego okresu jego istnienia na ziemi odbywała się ewolucya ras.

Dla badacza dzisiejszego, odgrzebującego szczątki tych ras w różnych warstwach ziemi, zjawisko to przedstawia się jako pokłady, które możnaby nazwać historyczno-geologicznemi.

Najwyraźniéj może zjawisko to występuje w Ameryce. Z badań dokonanych w téj części świata okazuje się, że rasa Indyan jest czwartą, a dzisiejsza europejska będzie z kolei piątym pokładem rasowym.

W Ameryce zjawisko to występuje wyraźnie przynajmniéj w części, z powodu właściwości geograficznych téj części świata: olbrzymie przestrzenie tak północnéj, jak i południowéj Ameryki, są to równiny, na których nie ma przeszkód naturalnych. Jak tylko zjawiała się rasa nowa, wojownicza, z łatwością mogła rozszerzyć swoje panowanie.

Na starym lądzie panuje większa rozmaitość pod względem klimatu i innych warunków geograficznych, wskutek tego powstała większa rozmaitość ras i ograniczenie ich do pewnych miejscowości. Po-

mimo to jednak i w Europie można stwierdzić to samo zjawisko: znikanie starszych i zjawianie się nowych ras.

W rzadkich przypadkach tylko rasa późniejsza wytępiała poprzednią. Najczęściéj następował podbój i powolne następcze mieszanie się ras. Wskutek tego, wszystkie społeczeństwa dzisiejsze są mieszaniną ras, a najczęściéj są nawet zlepkiem rozmaitych mieszanin. Antropologia wskazała metody analizowania dzisiejszych społeczeństw: rozkładania ich na pierwiastki, na szczególne rasy.

Analiza ta prowadzi przedewszystkiém do poznania danego społeczeństwa pod względem antropologicznym, t. j. do poznania typu fizycznego. Lecz i władze duchowe człowieka są w ścisłym związku z rasą. Dlatego też badania te podwójnie są ciekawe.

W Europie można znaléść bardzo wielką ilość ras. Lecz nie wszystkie one mają jednakową wartość co do wpływu na rozwój dzisiejszéj kultury. Jeżeli będziemy mieli na względzie tylko te rasy, które stanowią tło dzisiejszych społeczeństw Europy, to wypadnie ograniczyć się tylko do poznania trzech głównych ras. A najprzód uwzględnimy tylko dwie z nich, zajmujące północną i środkową część Europy.

Pierwsza z nich, być może starożytniejsza, przynajmniéj w Europie, nosi nazwę jasnych długogłowców, druga — ciemnych krótkogłowców.

Pierwszy typ, oprócz głównéj cechy wyróżniającéj, t. j. podłużnéj czaszki, odznacza się jasną cerą skóry, jasno-blond włosami, niebieskiemi oczami i wysokim wzrostem.

O ile archeologia przedhistoryczna łącznie z antropologią zdołały oświécić ciemności, okrywające pierwsze społeczeństwa ludzkie Europy, wnosić należy, że ten typ zjawił się w północnéj części Europy wkrótce po ustąpieniu lodowców — w początkach epoki czwartorzędowéj, gdy klimat był łagodny, a Europę zaludniały zwierzęta, które obecnie tylko w klimacie podzwrotnikowym żyją, lub też całkiem wyginęły: jako to: mamut, słoń, kilka gatunków hipopotamów i inne.

Siedzibą téj rasy były kraje na południe półwyspu duńskiego położone. Przypuszczenie to opiéra się na tém, że tam właśnie znaleziono najdawniejsze i najliczniejsze szczątki téj rasy. Drugą i może ważniejszą wskazówkę stanowi ten fakt, że i dziś jeszcze typ ten jest najwyraźniejszy w krajach otaczających tę domniemaną kolébkę długogłowców, a mianowicie: w północnéj części Szkocyi, w Szwecyi i Norwegii, w Danii i w północnéj części Europy, zaczynając od Holandyi do Litwy, ponad brzegami morza Niemieckiego i Baltyku. Jest to typ, który można nazwać germano-normandzkim, jeżeli idzie o nazwę historyczną. Należy jednak pamiętać, że jest to typ przedhistoryczny,

że nie istnieje on dziś jako typ czysty, a nawet nie istniał już wówczas, gdy pojawiły się nazwy Germanów, Normandów, Anglo-Sasów i t. d. Bardziéj szczegółowy rysopis fizyczny tego typu jest następujący: wzrost wysoki (przechodzący 166 cent.), skóra cienka i biała, cera twarzy jasno-różowa, włosy jasno-blond, w wypadkach typowych prawie białe, co i dziś jeszcze można widziéć w wieku dziecięcym. Czaszka wydłużona z przodu ku tyłowi tak, że otwór ustny zewnętrzny wypada w środku, w równéj odległości pomiędzy przednim konturem głowy, t. j. czołem i tylnym t. j. potylicą; wymiar zaś poprzeczny głowy jest znacznie mniejszy w stosunku do długości, wskutek czego ich głowa wydaje się płaską. Cechę tę jednak głowy, można zauważyć tylko przy pewnéj wprawie i tylko u osób noszących włosy krótko ostrzyżone. Czoło długogłowców jest wysokie lecz wąskie, gdy nań patrzymy od przodu, nieco w tył podane; nos wąski, długi, garbaty, chociaż nie jest orlim, t. j. haczykowato niemal zagiętym na końcu, jak w typowych nosach semickich, np. Arabów. Nos długogłowców jest wysoki i wąski począwszy od nasady. Cała twarz jest również wąska i wyraźnie wydłużona. Podbródek jest szeroki, wyraźny.

Rasa ta przez długi czas swego istnienia nie znała rolnictwa, żyła wyłącznie z myśliwstwa. Liczne stada żubrów, zaludniające podówczas całą Europę, dostarczały głównego pożywienia.

Drugą główną część składową ludności Europy, górującą nad pierwszą pod względem liczebności, stanowi rasa krótkogłowców, średniego wzrostu, o ciemnych włosach i oczach. Czaszka krótsza, czoło szerokie, nos zadarty, o skrzydłach szerokich. Oczy nieco za głęboko osadzone. Twarz krótka, szeroka, o ostrych zarysach, wyraźnych kątach szczęki dolnéj, wskutek czego twarz nie robi wrażenia owalu, lecz raczéj kwadratu.

Rasa ta zjawia się w środkowéj Europie, dążąc od wschodu, od strony Małéj Azyi.

Od pierwszéj chwili osiedlenia się w Europie, rasa ta jest rolniczą, przywiązaną do ziemi. Zjawia się ona, że tak się wyrazimy, niewidocznie i rozszerzała się stopniowo coraz daléj, stale, niezmiennie, jak woda wsiąkająca w piasek, zwolna wyciskając bardziéj na północ rasę długogłowców. Prawdopodobnie przybyła ona z Azyi mniejszéj na półwysep Bałkański, szerząc się daléj ku zachodowi wzdłuż Dunaju, aż do środkowéj wyżyny dzisiejszéj Francyi. Rasa krótkogłowców stanowi dzisiaj w Europie główną masę ludności Francyi, północnych Włoch, południowych Niemiec i całéj Słowiańszczyzny, sięgając daleko na wschód Europy, a przez Małą Azyę aż do Pamiru są ślady téj rasy.

Dwie te rasy od pierwszego zetknięcia się zaczęły się mieszać ze sobą. Ażeby jednak zrozumieć sposób mieszania się tych dwóch ras, należy choć w ogólnych zarysach poznać ich charakter moralny. Rasa długogłowców, zajmująca północną część Europy, jak już wspomnieliśmy, nigdy nie była osiadłą: główném jéj zajęciem było myśliwstwo w okresie pierwotnym. Ludność wówczas była nieliczna, a przestrzenie leśne, zaludnione żubrami, były dość obszerne dla jéj wyżywienia. Z czasem, gdy ludność zwiększać się zaczęła, gdy z południa Europy rozradzające się szczepy krótkogłowców, posuwały się coraz bardziéj na północ ku środkowéj Europie, długogłowcy organizują się w wojownicze zastępy, przebiegają Europę we wszystkich kierunkach i przechodzą nawet do Azyi. Nie mając zamiłowania do życia osiadłego, dążą oni do zdobywania, do podboju spokojnych siedzib krótkogłowców; lecz i sam podbój ich nie zadawala, dążą daléj i daléj, jak gdyby wędrówka wojownicza była jedynym celem ich życia.

Główną cechą długogłowca jest wybitna indywidualność, przedsiębiorczość, niemożność pozostawania na długo na tém samém stanowisku, w owych więc czasach pierwotnych wyrażała się ona ustawicznemi wędrówkami w celu podboju.

Tłem, na któróm rozpościerały się harce wojowniczych hord długogłowców, była masa krótkogłowców, obdarzonych wręcz przeciwnemi cechami charakteru. Główna ich cecha: przywiązanie do ziemi rodzinnéj, to też rasa ta jest ludem osiadłym, rolniczym od czasów najdawniejszych. Możnaby bez przesady powiedziéć, że dwie te rasy obdarzone zostały wręcz przeciwnemi charakterami i zdolnościami ducha. Pierwszy stopień organizacyi społecznéj u długogłowców, tworzenie zastępów wojowniczych w celu podboju; u krótkogłowców zaś ten pierwszy stopień wyraża się dążeniem do gminowładztwa. Duch zachowawczy, życie zbiorowe, jak się wyraża jeden z antropologów francuskich: duch stada panuje w społeczeństwie krótkogłowców. U długogłowców widzieliśmy silnie rozwiniętą indywidualność, energię i przedsiębiorczość, jednocześnie zaś bierne poddanie się wspólnym celom, prawie zawsze mającym na widoku podbój i stąd wypływające zdolności rządzenia, organizacyi. U krótkogłowców, pomimo stałych i niewzruszonych zasad zachowawczych, prowadzących do jednostajnéj organizacyi gminnéj, daje się zauważyć pewna bujność i poetyczność myśli, przewaga bogatéj fantazyi, stąd pomimo owéj spójni w istnieniu towarzyskiém — istnieje pewna rozmaitość w zapatrywaniach indywidualnych, brak karności i organizacyi, gdy idzie o jakiekolwiek wspólne przedsięwzięcie.

Dwa te pierwiastki rasowe w najodleglejszych czasach historyi człowieka w Europie, istniały w pierwotnéj czystości typu. Dziś zaledwie nieznaczne szczątki krótkogłowców, jako rasa czysta przechowały się na szczytach Alpejskich gór i Tatrów. Pierwotny typ długogłowca znikł zupełnie, a przyczyną tego faktu jest owa nadmierna ruchliwość, prowadząca go do ciągłego mieszania się z krótkogłowcem.

Jako świadectwo tego ciągłego mieszania się dwóch ras, pozostały szczątki ludzkie, głównie czaszki, znajdowane w różnych grobowcach, mogiłach i cmentarzyskach. Przestrzeń, na któréj znajdują się najgęściéj szczątki długogłowców jest przedewszystkiém północna część środkowéj Europy. Do najpóźniejszych przedhistorycznych zabytków téj rasy należą tak zwane groby rzędowe, należące do szczepów germańskich.

Na wschodzie Europy, jak wykazały niestrudzone badania uczonego archeologa i antropologa Bogdanowa, profesora uniwersytetu moskiewskiego, cała przestrzeń środkowéj Europy, dokoła Moskwy sięgając na zachód do Smoleńska i Mińska, a na południe do Kijowa i Charkowa, była siedzibą długoglowców, których czaszki doskonale się przechowały w tak zwanych kurhanach scytyjskich, rozsianych na wielkiéj płaszczyznie Europy wschodniéj.

Jak na wschodzie Europy, tak i na zachodzie badania dotychczasowe wykazują zgodnie następujące prawo: im cmentarzysko należy do epoki odleglejszéj, tém typ długogłowy występuje wyraźniéj, wolny od wszelkich domieszek; z postępem czasu zwolna i stopniowo, obok czystego typu zjawia się mieszany, a nawet i czysty typ krótkogłowca; w epoce późniejszéj — widzimy stopniowe zwiększanie się odsetki przypadającéj na krótkogłowców, w końcu czysty typ długogłowy znika zupełnie.

Fakt ten stwierdziły liczne prace antropologów we Francyi i Niemczech, u nas i daléj na wschód.

Fakty powyższe, chociaż są pewne, nie dają jednak możności wyrobienia dokładnego pojęcia o tém zjawisku historycznéni, o które nam głównie idzie, mieszania się dwóch typów. Pragnąc dać czytelnikowi możność samemu ocenić naturę tego zjawiska, musimy podać niektóre dane bardziéj szczegółowe. Weźmiemy cechę zasadniczą, najważniejszą, mianowicie formę czaszki i postaramy się, o ile można, treściwie rzecz tę przedstawić.

Czaszka ludzka, t. j. ta część głowy, która zawiéra w sobie mózg, ma formę jaja, od spodu tylko jest nieco spłaszczona. Najlepszy sposób określenia formy czaszki jest zmierzenie jéj największéj długości

i największéj szerokości. Czaszki wszystkich znanych ras, począwszy od najwyższych do najniższych, są do siebie bardzo podobne, a główna różnica polega na różnicy długości i szerokości. Różnice te chociaż są nieznaczne, lecz są stałe dla rozmaitych ras i one to właśnie stanowią jedną z najważniejszych cech rasowych. Pamiętać potrzeba jednak, że w naukach przyrodniczych jedna cecha nie może być podstawą klasyfikacyi. I w tym wypadku forma czaszki nie może służyć za cechę dostateczną dla rozróżniania ras. Ponieważ jest jednak jedną z najważniejszych, zajmiemy się więc nią bardziéj szczegółowo, gdyż ona jedna dostatecznie nam wyświetli pytanie, które nas zajmuje, mianowicie będzie dostateczną ilustracyą mieszania się dwóch ras europejskich.

Otóż, powiedzieliśmy, że formę czaszki charakteryzują dostatecznie dwa jéj wymiary: największa długość i największa szerokość poprzeczna.

Dla jasności i łatwości oryentowania się, zamiast dwóch liczb wyrażających dwa wymiary, bierze się stosunek szerokości do długości, przyczém ta ostatnia bierze się za sto i tym sposobem otrzymuje się tak zwany w antropologii wskaźnik czaszkowy. Objaśnimy to na przykładzie.

Mierzymy długość danéj czaszki za pomocą cyrkla odpowiednio zbudowanego, przyczém jedno ramię opiéramy między brwiami na czole, a drugie na stronie przeciwległéj, na kości potylicowéj, szukając punktu, w którym okaże się największa rozwartość cyrkla, otrzymujemy 186 milimetrów—jest to największa długość téj czaszki. Następnie stawiamy końce cyrkla na cal nad ustami i posuwając zwolna końce cyrkla z przodu ku tyłowi i z dołu ku górze, patrząc na podziałkę cyrkla, łatwo odnajdziemy miejsca, gdzie podziałka wskaże największą rozwartość ramion cyrkla, będzie to szukana największa szerokość czaszki, przypuśćmy, że otrzymaliśmy 149 milimetrów.

Chcąc uzmysłowić stosunek dwóch tych wymiarów, obliczamy wskaźnik, t. j. wyrażamy szerokość w setnych częściach długości, czyli szerokość 149 mnożymy przez sto, a iloczyn dzielimy przez długość czyli przez 186, otrzymujemy liczbę 80, która jest szukanym wskaźnikiem i która nam mówi, że u danego osobnika, jeżeli długość czaszki jest sto, to szerokość jest 80 — czyli stosunek szerokości do długości jest jak 80 do 100. Tym sposobem wskaźnik odrazu daje nam pojęcie dokładne o formie czaszki. Wszystkie rasy ludzkie, istniejące na kuli ziemskiéj, mieszczą się pomiędzy wskaźnikami 66—86, t. j. że ludy najbardziéj długogłowe mają szerokość czaszki 66, gdy długość równa sto, a najbardziéj krótkogłowe 86.

Wyżéj wskazane granice dla długogłowych i krótkogłowych oznaczają przeciętne dla pewnych grup etnicznych. Różnice indywidnalne sięgają daléj w obu kierunkach: I tak czaszka najbardziéj długa jednego Australczyka wykazała wskaźnik 53. Najkrótsza czaszka jednego Tatara 98. W pierwszéj długość jest prawie dwa razy większa od szerokości, w drugiéj oba wymiary są prawie równe sobie. Są to jednak przykłady wymiarów skrajnych, wybranych ze wszystkich zbiorów antropologicznych.

Po tych wstępnych objaśnieniach co do wskaźnika czaszkowego, przystępujemy do naszego przedmiotu.

Wskaźnik czaszkowy dla długogłowca północnéj Europy wynosi 74 przeciętnie, t. j. otrzymany z pewnéj ilości czaszek należących do téj rasy, znajdowanych w tak zwanych grobach rzędowych, najliczniéj znajdujących się w granicach zajmowanych dziś przez Germanów. W owym czasie rasa długogłowców nie była rasą czystą, gdyż tylko przeciętna wynosi 74, skrajne zaś wskaźnika są 68 i 84; ten ostatni należy już niewątpliwie do krótkogłowców. Lecz nie idzie nam tu o bardzo skomplikowaną kwestyę czystości rasy, bierzemy więc ogólnie wskaźnik dla długogłowców jako 74.

Co do krótkogłowców, to do dnia dzisiejszego pozostałe szczątki rasy celtyckiéj w górach Alpejskich przechowały się w swéj czystości rasowéj, a ich wskaźnik czaszkowy wynosi 86 przeciętnie.

Dwie te rasy, mieszając się ze sobą, dają potomstwo, którego wskaźnik czaszkowy jest pośrednim. Cała Europa środkowa i północna zaludniona jest właśnie takimi mieszańcami. Ażeby zaś ocenić bliżéj właściwości téj mieszaniny, weźmiemy dla przykładu trzy linie, idące ze środkowéj Europy ku północy i zobaczymy, jak się układają wskaźniki na tych liniach.

Pierwszą linię bierzemy od zachodnich Alp, w kierunku północnym.

Otóż Sabaudczycy mają wskaźnik 86. Posuwając się na północ ku granicy Belgii, wskaźnik stopniowo się zniża, dochodząc na granicy Belgii do 80, w Belgii południowéj, zaludnionéj przez Wallonów, wskaźnik zniża się do 79, jeszcze więcéj, t. j. w północnéj części Belgii, zaludnionéj przez Flamandów, wskaźnik spada do 78, a daléj w Holandyi jeszcze niżéj.

Jeżeli weźmiemy drugą linię, równoległą od pierwszéj w środkowéj Europie i poprowadzimy ją z południowych Niemiec ku Danii, otrzymamy analogiczne stopniowanie wskaźników czaszkowych, z tą tylko różnicą, że na szczytach Alp zachował się niemal czysty typ krótkogłowca, gdy w południowych Niemczech wskaźnik będzie około 84;

lecz stopniowe zmniejszanie się ku północy zachowuje ten sam charakter.

Jeżeli posuniemy się daléj ku wschodowi i weźmiemy jeszcze jednę linię mniéj więcéj równoległą do poprzednich, mianowicie od Zakopanego w Tatrach do środka Litwy, otrzymamy rezultat analogiczny. Chociaż u nas przedmiot ten mniéj szczegółowo jest opracowany, kilka liczb, które podamy, wykażą dostatecznie, że i tu panuje to samo prawo.

I tak wskaźnik u górali tatrzańskich jest 85, na stokach gór około 84, w Lubelskiém 83, w Łomżyńskiém około 82, a na Żmudzi spada niżéj 80.

Co do téj trzeciéj linii musimy zrobić zastrzeżenie, że powyższe wskaźniki otrzymane są na osobnikach żyjących. Jest pewna różnica pomiędzy wskaźnikiem czaszki szkieletowanéj a wskaźnikiem na ludziach żywych otrzymanym; ponieważ jednak nie idzie nam tu wcale o ścisłość matematyczną pod tym względem, pomijamy tę okoliczność, gdyż nie ma ona żadnego znaczenia dla ogólnego prawa, o potwierdzenie którego w najogólniejszych tylko zarysach chodzi nam obecnie, t. j. o potwierdzenie powyższego prawa na wschodzie Europy.

Jedném słowem, jeżeli połączymy linią prostą Tatry i Alpy, to wszystkie linie prostopadłe, skierowane ku północy od téj linii, te będą nam przedstawiały kierunki stopniowego zmniejszania się wskaźnika czaszkowego. Nie należy jednak sądzić, że to zmniejszanie się jest wszędzie jednostajne i jest podobne do jakiegoś szeregu arytmetycznego. Jest ono takiém tylko w ogólnym zarysie, w szczegółach są pewne zboczenia, wynikające z natury rzeczy. Mianowicie zależne są od tego, że długogłowcy wybierali zawsze pewne drogi naturalne dla swych zwycięskich pochodów, najczęściéj doliny większych rzek, z drugiéj strony — krótkogłowcy jako element raczéj bierny, chronili się w góry, do miejscowości trudniéj dostępnych.

Ten stan rzeczy można dziś jeszcze odczytać właśnie ze szczegółów w rozkładzie wskaźników w sąsiadujących ze sobą miejscowościach i stąd właśnie wynika okoliczność, że w miejscowościach blisko siebie położonych, wskaźnik czaszkowy różni się o jedną i więcéj jednostek. Dla tychże samych powodów przedstawiciele czystéj rasy krótkogłowców przechowali się tylko na niedostępnych szczytach najwyższych gór.

We wschodniéj części środkowéj Europy, mianowicie na równinie rozciągającéj się na północ od gór Karpackich, zmniejszanie się wskaźnika czaszkowego jest bardzo regularne z powodu, że na całéj téj przestrzeni nie ma znaczniejszych przeszkód naturalnych.

Dotąd mieliśmy na względzie jedną tylko cechę odróżniającą dwie główne rasy Europy. Wiemy już, że rasy te różnią się i innemi jeszcze cechami, mianowicie kolorem włosów, oczu, cerą twarzy i skóry, wzrostem i t. d. Otóż i te cechy świadczą w tym samym stopniu o dokonaném zmieszaniu się dwóch różnych pierwiastków.

Weźmy pod uwagę kolor włosów, kolor właściwy dla rasy krótkogłowców jest ciemny, dla długogłowców jasno-blond. Wszystkie barwy pośrednie są wynikiem zmieszania, a liczba tych barw pośrednich jest bardzo wielka. Pospolicie odróżniają: jasno-blond, blond, ciemno-blond, jasny szatyn, szatyn, ciemny szatyn. Liczbę tych odmian należałoby właściwie znacznie powiększyć, by dokładnie określić wszystkie możliwe odcienia; można ułożyć obok siebie setkę próbek włosów ludzkich, począwszy od jasnych, prawie białych włosów, aż do najciemniejszych szatynowych, przyczém pomiędzy dwiema sąsiedniemi próbkami oko prawie nie wykrywa różnicy, tak drobne są stopniowania.

Kolor więc włosów ludności Europy, tak samo jak jéj wskaźniki czaszkowe, wykazują fakt zmieszania się dwóch pierwiastków rasowych.

Co do barwy oczu, to i tu można wykazać zasadniczy fakt, o którym mówimy—lecz zjawisko to jest więcéj złożone. Przy krzyżowaniu się dwóch ras europejskich, barwa ciemna oczu krótkogłowców staje się jaśniejszą; a ciemno-piwna staje się jasno-piwną; ta ostatnia przy dalszym dodatku niebieskiéj przechodzi w zieloną lub siwą. Wytwarza się tym sposobem znana nam rozmaitość barwy tęczówki, dochodząca do tego, że zdarzają się wypadki, że dany osobnik ma inną barwę na każdém oko, lub tylko niewielkie np. ciemniejsze plamki na tle jaśniejszém.

Ścisłe obliczanie barw oczu na pewnéj przestrzeni, wykazuje to samo prawo zmieszania się dwóch pierwiastków rasowych. I tak, jeżeli weźmiemy znaną nam już linię od Tatrów do środka Litwy i obliczymy procentowo ilość oczu niebieskich, to otrzymamy następujący rezultat: u górali tatrzańskich oczy niebieskie około 15%, w gub. Lubelskiéj przeszło 30%, w północnéj części gub. Łomżyńskiéj około 60%, a na Żmudzi do 80%.

Przykłady podobne wykazują dostatecznie, w jakim stopniu istnieje zmieszanie tych dwóch ras.

Widzieliśmy przy opisie dwóch naszych typów, że różnią się one również wyraźnie i pod względem budowy twarzy, formy nosa, cery i wzrostu. I pod tym względem mieszanie się odwieczne dało ten sam

rezultat, t. j. powstały niezliczone kombinacye dwóch pierwotnych typów.

I tak co do nosa, badanie szczegółowe wykazuje w Europie znakomity procent nosów prostych, którą to formę uważać należy jako pośrednią pomiędzy dwoma typami.

Zupełnie jednak prosty nos zdarza się rzadko; częściéj się zdarza nos falisty, t. j. zbliżony do prostego. W tym wypadku na środku nosa, t. j. tam, gdzie się kończy część kostna, gdzie najwięcéj uwydatnia się wypukłość nosa garbatego, powstaje wyraźne wzniesienie, lecz część chrzęstna nie zniża się, lecz wznosi się nieco ku górze, jak u typowych krótkogłowców. Jest to więc kombinacya, w któréj część kostna, szkielet nosa należy do długogłowca, część niższa chrzęstna—do krótkogłowców, czyli możnaby tę formę za pośrednią uważać, jako typ rasy mieszańców.

Forma twarzy ulega temu samemu prawu, t. j. zbliża się mniéj lub więcéj do swego prototypu, jest wąską lub szeroką o wyraźnych konturach.

Dotąd mówiliśmy o pojedyńczych cechach, o pojedyńczych organach lub barwach. Koniecznym rzeczy porządkiem nasuwa się myśl, czy też nie ma tu jakiegoś ogólnego prawa co do całości; czy dwa typy pierwotne, mieszając się ze sobą, dążą do wytworzenia typu pośredniego, jednego lub może kilku, czy też jeden z dwóch pierwotnych ma mieć przewagę, o ile i pod jakim względem; czy z téj mieszaniny mają się odrodzić oba pierwotne typy, a może tylko jeden. Zaiste, są to bardzo ciekawe pytania, lecz nauka nie daje dotąd odpowiedzi decydującéj.

Niemal jedyną ogólniejszéj natury uwagę można zrobić, mianowicie tę, że przy krzyżowaniu dwóch tych ras, rasa długogłowców z większą siłą przekazuje barwę oczu, rasa krótkogłowców barwę włosów i kształt czaszki.

Garstka Wandalów, która przed wiekami osiadła na północnym brzegu Afryki i zmieszała się z ludnością o oczach ciemnych, do dziś dnia pozostawiła ślady po sobie — w niebieskich oczach tak obcych tamtejszéj ludności. Dla téjże przyczyny i u nas tak wielka jest liczba oczu niebieskich i to nietylko u blondynów, lecz dość często zdarzają u szatynów, a nawet u brunetów, gdy tymczasem oczy ciemne u blondynów należą do rzadkości.

Oprócz powyższéj obserwacyi co do udzielania potomstwu barwy oczu i włosów, badania dotychczasowe nie doprowadziły do żadnych ogólniejszych wniosków co do przyszłych rezultatów obecnego stanu rzeczy.

Każdodzienne doświadczenie wskazuje nam, że zamiast typów mamy mieszaninę doprowadzoną do nieskończoności. Jeżeli weźmiemy pod uwagę tylko cechy ważniejsze jak barwę włosów, oczów, ogólną formę twarzy, czaszki, nosa i jeżeli będziemy pamiętali, że każda powyższa cecha może należéć do jednego z dwóch pierwotnych typów, lub téż może odpowiadać formie pośredniéj, to otrzymamy tak wielką liczbę odmian, że można z nich otrzymać niezliczoną ilość kombinacyi; i w rzeczywistości, ta niezliczona ilość kombinacyi istnieje wśród ras. Stąd wnosiéby nawet należało, że zmieszanie dwóch typów nie prowadzi do wytworzenia nowego typu—pośredniego, gdyż dotąd go nie wytworzyło, pomimo długiego już szeregu wieków, jak to mieszanie się odbywa. Dziś jeszcze na każdym niemal kroku spotykamy najprzeróżniejsze, najbardziéj chaotyczne zlepki pojedyńczych cech. Można widziéć krótką, szeroką czaszkę przy twarzy wąskiéj, wydłużonéj i odwrotnie, można spotkać długą i wąską czaszkę przy twarzy szerokiéj, wówczas kości licowe i łuki jarzmowe są mocno zarysowane prawie wyrastające, jak u typu mongolskiego, jednocześnie oba te typy mogą być: blondynem, szatynem lub brunetem; każdy znowu z tych typów może miéć oczy jasne, pośrednie lub ciemne; bardzo często można spotkać krótkogłowca, o twarzy krótkiéj, szerokiéj, posiadającego nos orli, cienki i wysoki—nos taki od pierwszego wejrzenia wydaje się organem niewłaściwym, obcym dla téj twarzy, jak równie uderzy niewłaściwością nos zadarty przy wąskiéj, długiéj twarzy. Dziwne téż wrażenie robi brunet o jasnych, siwych oczach — typ ten jednak jest może najrzadszy. Również spotkać można blondyna, a szczególniéj blondynki, o ciemnych brwiach i oczach, a ta kombinacya nie robi nawet wrażenia ujemnego.

Taki jest rzeczywisty stan rzeczy: zamiast twarzy typowych, rasowych w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, spotykamy zawsze mieszańców.

Jaka jest przyszłość obecnego stanu rzeczy? Na pytanie to można dać odpowiedź w formie hypotezy i tylko co do formy czaszki.

Spostrzeżenia poczynione w całéj Europie środkowéj, t. j. we Francyi, Niemczech i u nas dostatecznie przekonywają, że typ krótkogłowy przeważa stanowczo, a dowodem tego przeciętne wskaźniki czaszkowe. Typ długogłowca o przeciętnym wskaźniku 74, znajdowany w licznych grobach rzędowych, znikł zupełnie, lub istnieje jako rzadki wyjątek. Ogromna większość typów jasnych środkowéj Europy, to jest blondynów z niebieskiemi lub wogóle jasnemi oczami, należy do krótkogłowców lub co najmniéj do pośredniogłowych o wskaźniku 78 — 79.

To znikanie typu długogłowego ujawnia się bardzo wyraźnie już w czasach przedhistorycznych, a gdy weźmieny na uwagę fakt wielce prawdopodobny, że typ ten jest starożytniejszy, a przynajmniéj że w pewnym okresie on jeden zaludniał środkową i zachodnią część Europy, że typ krótkogłowy zjawia się późniéj, że walka dwóch tych typów rozpoczęła się niewątpliwie przy pierwszém ich zetknięciu się—to fakt przewagi krótkogłowców staje się niewątpliwym. Dla wyjaśnienia tego stanu rzeczy wielu uczonych przyjmuje hypotezę, że czaszka długa zmienia się na krótką, że pierwotna długogłowa rasa europejska zmienia się z czasem w ten sposób, że jéj wymiar poprzeczny czaszki stopniowo się zwiększa.

Ażeby bliżéj ocenić ten fakt na naszym gruncie, przyjrzyjmy się niektórym liczbom otrzymanym dla ludności okolic Lublina. Przytém trzeba miéć na względzie, że Lublin zajmuje miejsce pośrednie pomiędzy północną a południową strefą naszego społeczeństwa, więc te dane mogą być poniekąd przyjęte za pośrednie dla naszego typu.

Otóż przedewszystkiém zaznaczyć należy, że ludność okolic Lublina jest krótkogłową, gdyż wskaźnik czaszkowy (na żywych) wynosi około 83. Wskaźnik czaszkowy uważać należy za cechę zasadniczą, wystarczającą do oznaczenia typu.

Przyjrzyjmy się innym szczegółom dostępnym badaniu bezpośredniemu okiem.

Weźmy cechę najłatwiéj dającą się spostrzedz z pierwszego wejrzenia — np. kształt nosa.

U ludu wiejskiego znajdziemy u mężczyzn około 59 procent nosów prostych, około 32 zadartych i około 7 garbatych; u kobiét prawie w równéj ilości proste i zadarte około 46 procent i 5 — 6 procent garbatych.

Pragnąc ocenić, który z tych kształtów uważać należy za typowy należy miéć na względzie, że nos prosty oznacza mieszaninę, jest wynikiem kombinacyi dwóch typów; nie należy więc go uwzględniać, lecz brać w rachunek wzajemny do siebie stosunek kształtów typowych, a więc wypadnie np. dla kobiét stosunek zadartych do garbatych jak 46 do 5, czyli w stosunku procentowym otrzymamy dla nosów garbatych około 10 tylko, gdy dla zadartych około 90.

Co do barwy włosów i oczu, wiemy już, że potomkowie dwóch ras, o których mowa, dziedziczą barwę oczów po długogłowcach, a barwę włosów po krótkogłowcach, czyli że będą przeważać oczy jasne, a włosy ciemne.

Szczegółowe badania w okolicy Lublina wykazują: oczów piwnych około 30%, gdy barwy jasne dosięgają 70%. Co do włosów rzecz

się ma odwrotnie: włosy blond sięgają do 26% — reszta przypada na szatynowe i ciemniejsze.

Jeżeli do tego dodamy, że lud wiejski, a szczególniéj kobiety mają twarze przeważnie krótkie, okrągłe—to typ naszego ludu zarysowuje się wyraźnie—jest to typ krótkogłowy, w którym przeważają cechy rasy celto-słowiańskiéj.

Twierdzenie to nasze jest zupełnie słuszne, prawdziwe, gdyż poparte liczbami otrzymanemi przez nas na naszym gruncie, ażeby jednak dokładnie uwydatnić rzeczywistość, jednocześnie dodać należy że typ zupełnie czysty prawie nie istnieje w rzeczywistości, w naturze. I tak: jeżeli weźmiemy tylko cechy odnoszące się do cery twarzy, barwy włosów i oczu, to zarówno typów czysto-jasnych jak i typów czysto-ciemnych znajdziemy zaledwie około 8—10 procent. A jeżeli wśród tych dziesięciu osobników, chcielibyśmy znaleźć odpowiednią formę twarzy i czaszki, t. j. znaleźć typ zupełnie jasny o twarzy długiéj i czaszce podłużnéj a typ ciemny o twarzy krótkiéj i czaszce krótkiéj, to na kilkaset zebranych pomiarów antropologicznych zaledwie znajdziemy parę osobników. Gdybyśmy daléj chcieli znaleźć typ jasny lub ciemny, któryby jeszcze miał i odpowiedni nos — bo poszukiwania nasze dają już napewno rezultat ujemny. Jednem słowem, połączenie 5—6 cech charakterystycznych typu czystéj rasy nie istnieje. Jest to właśnie wynik mieszania się dwóch ras od czasów bardzo dawnych, bo sięgających co najmniéj środkowych epoki krzemiennéj, dlatego téż, pomimo znakomitéj przewagi, że tak powiemy pojedyńczych cech typu celto-słowiańskiego u nas, typ czysty nie istnieje.

Dotąd mówiliśmy tylko o dwóch niewątpliwie głównych typach, nadających ogólny charakter społeczeństwu.

Drogę tę obraliśmy dla tego, ażeby przedstawić zasadnicze zjawisko mieszania się ras w obrazie możliwie najmniéj skomplikowanym.

Obecnie wypada nam pomówić o innych rasach wchodzących do znanéj nam już mieszaniny.

Pierwszą z kolei o któréj mówić wypada, jest rasa śródziemnomorska.

Nazwę swą otrzymała ona z tego powodu, że w czasach przedhistorycznych zajmowała brzegi morza Śródziemnego tak w Europie jak w Afryce a nawet i w Azyi, a także wyspy leżące na tém morzu. Rasa ta należy do szczepu semickiego.

Cechy jéj fizyczne są następujące:

Wzrost niżéj średniego, włosy czarne, gładkie i miękkie, cera twarzy śniada, oczy ciemno-piwne.

Co się tyczy kształtu czaszki — rasa ta należy do długogłowych, twarz jest wązka, podłużna, nos garbaty a nawet orli.

Rasa ta jest prawie tak samo zmieszana z krótkogłowcem środkowéj Europy, z rasą celto-słowiańską na południu Europy — jak ta ostatnia na północy Europy z rasą długogłowca blondyna. Chociaż tylko na półwyspie włoskim analogia jest zupełna, gdyż tak samo jak od północnych stoków Alp, wskaźnik czaszkowy zniża się stopniowo ku północy, tak samo od południowych stoków do końca półwyspu Apenińskiego.

Mianowicie w północnych Włoszech wskaźnik czaszkowy dochodzi do 86 a nawet wyżéj—ku południowi stopniowo się zniża i dochodzi w Kalabryi i Sycylii do 78—a na Sardynii nawet do 76. Stopniowy ten i dość regularny szereg liczb dowodzi—tak samo jak i na północy, bardzo powolnego w ciągu długich wieków mieszania się dwóch różnych elementów rasowych.

Na półwyspie Bałkańskim stosunek elementów rasowych jest mniéj więcéj taki sam jak i we Włoszech, lecz nie ma tu widocznego stopniowania. Elementy rasowe są niejako chaotycznie zmieszane — co zależy, w pewnéj przynajmniéj części, od zarysów półwyspu, kierunku gór i rzek. Względy te wpływają bowiem na kierunek wędrówek ludów — czy to szybkich wskutek wejścia zdobywców, czy téż powolnych wskutek naturalnego rozrastania się danéj ludności.

Rasa śródziemnomorska dochodzi nie tylko do siedzib krótkogłowców w środkowéj Europie, lecz wyraźne jéj ślady sięgają znacznie daléj ku północy. Na zachodzie Europy dosięga ona do dzisiejszéj Anglii. W środkowéj Europie przechodzi poza linię Alpy—Tatry. Na wschodzie Europy są również wyraźne jéj ślady.

Dzisiejsi Rumunowie—są nawet dość czystymi przedstawicielami téj rasy—a granice jéj są znacznie szersze od dzisiejszych granic Rumunii.

Jest ona jeszcze bardzo wyraźną w Bessarabii a sięga jeszcze wyżéj ku północy; daje się wyśledzić na lewym brzegu Dniepru a także i we wschodniéj Galicyi.

Na północy od Karpat typ ten spotyka się coraz rzadziéj. W Galicyi, na północnych stokach Karpat można widziéć osobniki dość jeszcze charakterystyczne. Daléj na północ dają się widziéć tylko pojedyńcze cechy tego typu, lecz i na Litwie można znaléźć wyraźne jego ślady.

Rzecz prosta, że typ ten u nas nie jest czysty, a przedewszystkiém z formy czaszki jest już krótkogłowcem — lecz czarne, często nawet kruczo-czarne włosy, garbaty wązki nos przy podłużnéj wązkiéj twa-

rzy składają całość dość jeszcze charakterystyczną, szczególniéj gdy w dodatku oko jest ciemne. U szlachty typ ten a przynajmniéj jego główniejsze cechy są częstsze aniżeli u włościan. Powszechnie znany portret króla Jana Sobieskiego jest dość charakterystycznym dla tego typu.

W niektórych rodzinach szlacheckich, typ ten przechowuje się uporczywie—naturalnie nie u wszystkich członków rodziny. Można spotkać rodziny jednego nazwiska oddawna rozdzielone—których jedynym śladem powinowactwa jest ten sam herb, zachowujące jednakże cechy typu tak wyraźnie, że niepodobna wątpić o ich wspólném pochodzeniu.

Owe typy ciemne rasy śródziemnomorskiéj łatwo wyróżniają się pośród jaśniejszéj większości naszego społeczeństwa.

Rozpatrując proces mieszania się krótkogłowca celto-sławiańskiéj rasy z długogłowcem jasnym, zauważyliśmy, że typ czysty żadnéj z tych ras nie istnieje, że bardzo trudno znaléźć jednostki u których cztery—pięć zasadniczych cech do jednéj z tych ras można widziéć wyraźnie—a przyczyną tego jest ciągłe mieszanie się od wieków bardzo odległych, przedhistorycznych. Toż samo zjawisko ma miejsce i co do domieszki rasy śródziemnomorskiéj. Jakkolwiek o epoce, w któréj nastąpiło zetknięcie się tych dwóch pierwiastków rasowych, nic dokładnego, powiedziéć nie można, to jednak z wszelką pewnością twierdzić wolno, że zetknięcie to miało miejsce w czasach przedhistorycznych, a w każdym razie przed okresem greckim i rzymskim.

Z tego właśnie powodu, jak na północy istnieją obecnie wszelkie możliwe kombinacye i stopnie zmieszania krótkogłowca środkowéj Europy z jasnym blondynem północy — tak podobneż kombinacye i stopniowanie istnieje na południu, ze zmieszania się tegoż krótkogłowca z śródziemnomorcem. Lecz nie dość na tém, obie rasy długogłowe nie tylko dosięgały do środkowéj Europy do strefy krótkogłowców—lecz posuwały się znacznie daléj — lecz że rasa śródziemnomorska wkracza nawet w sferę jasnego blondyna północy i odwrotnie ten ostatni wkracza do krajów, gdzie już się zaczyna element rasowy śródziemnomorca.

Dla uproszczenia analizy elementów rasowych naszego społeczeństwa opisaliśmy początkowo tylko fakt mieszania się dwóch ras, krótkogłowca środkowéj Europy z jasnym długogłowcem północy a podając wskaźniki czaszkowe na linii idącéj od Tatr ku Litwie daliśmy wskazówkę główną do oznaczenia stosunku wzajemnego dwóch tych elementów.

Obecnie wskazaliśmy trzeci element, jego geograficzne położenie i w ogólnych zarysach jego stosunek do dwóch powyższych elementów. Łatwo więc teraz przedstawić sobie jaki wpływ wywarł ten trzeci dodatek i w jaki sposób ukazuje się on w naszém społeczeństwie.

Nie chodzi nam tu o dokładne badanie roli historycznéj lub oznaczenia ilościowéj domieszki tego elementu — gdyż do tego potrzebaby miéć dokładne dane, zebrane przynajmniéj z setki osobników w każdym powiecie—wskażemy tylko na niektóre szczegóły.

W powiatach południowych guberni Lubelskiéj spotkać można typy zachowujące wiele rysów śródziemnomorca: wzrost średni, włosy czarne, miękie, cera śniadawa, nos orli wązki przy twarzy także wązkiéj. W miejscowościach, gdzie typ śródziemnomorca jest wyraźniejszy—i typy jasne zachowują pewne właściwości. Często można spotkać szatynów lub nawet blondynów, u których brwi i rzęsy są zupełnie czarne a rumieniec na twarzy jest nieco ciemniejszy, aniżeli rumieniec zwykłych naszych typów jasnych i szczególniéj w młodym wieku ta odmiana jest bardzo wyraźną i mimowoli zwraca na siebie uwagę badacza.

Wśród ludności, gdzie większa jest domieszka rasy śródziemnomorskiéj, niebieski kolor oka przybiéra odcień ciemniejszy, taki jaki można widziéć na obrazie Madonny Murilla.

Przyczyną tego zjawiska jest większa ilość ciemnego barwnika, tęczówki oka—tak samo jak ciemniejszy rumieniec jest skutkiem ciemniejszego barwnika w skórze.

Obok żywiołu śródziemnomorskiego wspomniéć wypada o Ormianach, których pewna część przebywa wśród naszego społeczeństwa a pewna część bardzo zresztą nieznaczna weszła do jego składu.

Ormianie należą do krótkogłowców Małéj Azyi, którzy stanowią dalszy ciąg rasy krótkogłowców środkowéj Europy.

Ormianie nie są rasą czystą—tak samo jak i krótkogłowcy środkowéj Europy.

Sąsiadując przez długie wieki z rasą semicką od południa a nawet często będąc pod jéj panowaniem—mieszali się z nimi.

Ponieważ Semici należą do téjże saméj rodziny co i śródziemnomorcy—więc też i Ormianie co do swego składu rasowego zbliżeni są znacznie do ludności półwyspu Bałkańskiego np. do Albańczyków. Czyli mówiąc inaczéj Ormianin i ta część śródziemnomorców, która weszła w skład naszego społeczeństwa, mają mniéj więcéj jednakową ilość krwi krótkogłowca i ciemnego długogłowca. Jednakże chociaż rasa środziemnomorska i Semicka są sobie pokrewne — to jednakże są między niemi pewne różnice; dla tego téż i typ ormiański nie jest iden-

tyczny z typem śródziemnomorca europejskiego; zachował on pewne szczegóły właściwe wschodowi. W dalszym ciągu wypada nam słów parę powiedzieć o Żydach — chociaż domieszka tego elementu do naszéj rasy jest bardzo nieznaczna.

Żydzi są Semitami – lecz zanim do nas przyszli przewędrowali naprzód na południe Europy, następnie — dążąc za postępem oręża rzymskiego ku północy dostali się do środkowéj Europy. Rzecz bardzo naturalna, że po drodze musieli ulegać mieszaniu się z temi rasami, wśród których przebywali. Domieszka jednak śródziemnomorskiéj — jako pokrewnéj mało wpływała na zmianę właściwego typu. Dopiéro w środkowéj Europie, w pośród ludów germańskich następuje silne mieszanie się z elementem niemieckim.—Wiemy jak znaczny procent naszych Żydów wykazuje pierwiastki elementu blondynowego, jest to właśnie domieszka z czasów pobytu Żydów w Niemczech. Domieszka zupełnie obca względem elementu semickiego. Co jednak jest rzeczą ważną i godną zanotowania, to mianowicie to, że Żydzi już w Azyi mniejszéj nie są czystym typem semickim. Jest w nich domieszka elementu czarnego—rasy negrytosów. Dziś jeszcze resztki téj zagadkowéj dotąd w historyi rasy są widocznie na brzegach zatoki Perskiéj.

Rasa ta w epoce poprzedzającéj panowanie Semitów w Azyi mniejszéj, mianowicie Asyryjczyków i Żydów, była dość liczna i odegrywała pewną rolę historyczną — mało dotąd jednak wyświetloną. W końcu wspomnieć należy i o rasie pochodzenia środkowo-azyatyckiego, czyli jak ją dziś najwłaściwiéj nazywają o rasie Uralo-Altajskiéj.

Główne cechy téj rasy są następujące: wzrost średni, głowa duża, czaszka zbliża się do okrągłéj — twarz szeroka, płaska z powodu szerokich i wystających na zewnątrz kości licowych i spłaszczonego nosa, oczy małe, ukośne, włosy czarne, skóra żółta.

Rasa więc europejska czyli biała różni się znacznie od rasy Uralo-Altajskiéj. Przy mieszaniu się jednak tych dwóch ras, szczególniéj gdy do mieszaniny wejdzie osobnik z rasy Europejskiéj, bardziéj krótkogłowy — produkt mieszania się traci szybko wyłączne swe cechy. Skośność oczu znika dość szybko. Najtrwaléj utrzymuje się charakterystyczna cecha w budowie kości licowych, dla badania poglądowego. Lecz cechą najbardziéj charakterystyczną jest wskaźnik nosowy, na osobach żywych, t. j. stosunek szerokości do długości nosa. Cechę tę można nazwać odczynnikiem elementów rasowych. Żadna inna cecha nie dzieli całéj ludzkości tak dokładnie na trzy najwyraźniejsze i najbardziéj naturalne działy: na rasę białą, żółtą i czarną. Ta ostatnia ma najszersze nosy, żółta średnie a biała najwęższe.

Co do udziału rasy Uralo-Ałtajskiéj w naszém społeczeństwie, to już z badań poglądowych można nabrać przekonania że pomiędzy Renem a Wisłą zdarzają się osobniki o wydatnych kościach licowych i szerokich twarzach; daléj ku wschodowi typy te są coraz częstsze.

Badania nasze nad wskaźnikiem nosowym stwierdzają powyższy fakt. Wskaźnik nosowy dla ludności powiatu Sandomierskiego jest niższy w porównaniu z ludnością gubernii lubelskiéj. Domieszka ta elementu Uralo-Ałtajskiego miała miejsce niewątpliwie w czasach przedhistorycznych.

Niewielka domieszka z czasów historycznych — z ostatnich dziejów Tatarów nie pozostawiła takich śladów, któreby dały się wykazać za pomocą cyrkla antropologa.

Gdyśmy na początku rozważali mieszanie się w ciągu długiego czasu dwóch tylko elementów rasowych, przyszliśmy do przekonania, że w rezultacie powstało bardzo dużo odmian mieszańców.

Gdy więc do nich dołączyły się nowe elementy rasowe, o których dopiéro co mówiliśmy, musiała ta mieszanina skomplikować się jeszcze bardziéj. O typie więc w ścisłém znaczeniu antropologiczném nie może być mowy w naszém społeczeństwie — bo nie ma dziś przedstawicieli czystéj rasy.

Z tém wszystkiém jednak, wśród téj mieszaniny nie tylko pojedyńcze cechy każdéj rasy, lecz nawet dwie, trzy a nawet i cztery złączone razem w jednym osobniku dają się spostrzegać od czasu do czasu. Ta właśnie okoliczność pozwala mówić o typach, zawsze z tém zastrzeżeniem, że nie są to prawdziwe typy rasowe. Szczególniéj te cechy, które wpadają w oko od pierwszego wejrzenia, mianowicie barwa włosów, barwa oczu, kształt nosa, owal twarzy, wzrost, przy pewném ugrupowaniu daje możność mniéj lub więcéj dokładnego określenia, przynajmniéj przewagi jednéj ze składających dane indywiduum ras.

Z tego punktu widzenia można naszkicować pewne typy.

Najbardziéj zbliżony do typu głównego elementu rasy celto-słowiańskiéj—jest typ blondyna lub szatyna średniego, lub nawet nizkiego wzrostu o twarzy szerokiéj w młodym wieku, szczególniéj u kobiet okrągłéj, z nosem wklęsłym czyli zadartym, o barwie oka jasnéj, najczęściéj niebieskiéj.

Mówiliśmy już, że typ ten w okolicach Lublina jest najczęstszy, jak wykazały szczegółowe badania.

Kościuszko jest przedstawicielem typu krótkogłowca — szczególniéj co do formy nosa, posuwając się na północ, staje się on rzadszym.

Częściéj występują nosy faliste lub proste przy twarzy węższéj, podłużnéj, a oczy niebieskie stają się częstszemi. Jeszcze daléj na

północ np. w gubernii Kowieńskiéj, przewaga pierwiastku blondynowego uwydatnia się coraz bardziéj. Można tu już napotkać typy przypominające czyste typy jasnego długogłowca północy: jasne włosy, jasno-niebieskie oczy, nos garbaty, twarz wązka i długa.

Ku południowi domieszka ciemnego śródziemnomorca staje się wyraźną.

W gubernii Lubelskiéj w powiecie Krasnostawskim, można spotkać osobniki, u których typ ten zarysowuje się wybitnie: czarne włosy, oczy ciemne, nos przypominający prawdziwy nos orli, śniadawa cera.

Wspominaliśmy już, że typ ten u szlachty zdarza się częściéj aniżeli u ludu. Przy bliższém badaniu tego typu można odnaleźć dwie jego odmiany, które możnaby nazwać rzymską i grecką. Obie odmiany są sobie pokrewne — powstały z pierwiastków rasowych pokrewnych. Pokrewieństwo to można sprawdzić i dziś jeszcze — nawet wśród naszego społeczeństwa. U nas można napotkać rodziny o wyraźnych cechach śródziemnomorca, w których są osobniki przedstawiające odmianę typu rzymskiego i osobniki typu greckiego.

Pierwszy odznacza się głównie formą nosa — uważaną pospolicie za typową pod nazwą nosa rzymskiego — Cezar na znanym powszechnie obrazie „Śmierć Cezara", ma taki właśnie typowy nos rzymski. Typ ten lepiéj jest uwydatniony u mężczyzn. Twarz zazwyczaj jest wyraźnie wązka i sucha.

Odmiana grecka, cechuje się głównie czołem prostopadle się wznoszącém ku górze, przy naturalnéj pozycyi głowy, przejście linii czoła w linię nosa, w profilu jest nieznaczne, a nos jest prosty lub lekko tylko garbaty.

Typ ten, wśród naszego społeczeństwa jest wyraźniejszy u kobiét, gdyż wogóle powyżéj opisana linia czoła jest właściwszą czaszce kobiecej.

W strefie południowéj, typ krótkogłowca jest bardziéj zbliżony do swego pierwowzoru rasowego, gdyż obok cech któreśmy powyżéj opisali, zdarzają się osobniki o ciemnych oczach i włosach, lecz osobniki takie należą do rzadkości, nie jest on tak liczny, jak jasny krótkogłowiec.

Te są główne typy zdarzające się pośród naszego społeczeństwa. Domieszka elementu ormiańskiego wogóle jest nieznaczna — spotyka się wyjątkowo, dla tego też o typie ormiańskim u nas nie może być mowy.

Co do zmiany przeciętnego naszego typu, przy domieszce pierwiastku Uralo-altajskiego, to mówiliśmy już, że typ ten wyróżnia się przedewszystkiém szerokością i wydatnością kości licowych; wgięcie

pomiędzy czołem i nosem jest wyraźne; nos prosty, szeroki, nie wysoki a często nawet nieco spłaszczony, czaszka zbliża się do formy kulistéj. Typy takie są zazwyczaj ciemne t. j. mają włosy czarne, oczy ciemno-piwne, cerę śniadą; zdarzają się jednak i typy jasne odznaczające się bardzo wyraźnemi cechami rasy Uralo-ałtajskiéj; często bardzo także typy jasne odznaczają się jeszcze bardzo wyraźnym prognatyzmem zębowym, zęby są postawione ukośnie z wyraźném pochyleniem ku przodowi.

Ten jasny typ noszący wyraźne cechy rasy uralo-ałtajskiéj — odnieść należy do Finów—mianowicie do Finów jasnych zachodnich. Zdaje się, że Jadźwingowie byli pochodzenia fińskiego—i jako resztki téj rasy pozostały opisane typy głównie na Podlasiu.

Przechodzimy do podobnéj analizy typów żydowskich.

Zasadniczym pierwiastkiem rasowym Żydów, jest typ semicki — lecz typ ten pomiędzy żydami północnéj i środkowéj Europy jest bardzo rzadki. Typ ten, jak wiadomo, odznacza się przedewszystkiém pewną regularnością rysów i czystością linii: czoło pięknie zarysowane, nos orli, usta o delikatnym konturze; oprawa oczu wyraźna, oko duże, ciemne. Typ ten, pospolicie wschodnim zwany, należy jednak do rzadkości wśród naszych Żydów, a nawet pojedyńcze cechy tego typu rzadko się napotykają.

Drugim typem również rzadkim, lecz dającym niekiedy spostrzegać się wśród naszych Żydów—jest typ który można by nazwać asyryjskim, dobrze znanym z licznych płaskorzeźb, pochodzących ze starożytnego państwa Asyryjskiego. Typ ten odznacza się przedewszystkiém garbatym, grubym, mięsistym nosem i grubemi wargami. Włosy czarne kędzierzawe i takaż broda. Trzecim typem jest ów zagadkowy typ suzański, w którym już wyraźna domieszka typu negrytów. Odznacza się on przedewszystkiém kędzierzawemi włosami; kędziory bywają czasem tak drobne i mocno zwinięte że przypominają zupełnie włosy negrów. Cera przytém bywa bardzo ciemna, usta grube a nawet nos przypomina rasę negrytów, bywa szeroki i nie wysoki.

Powtarzamy jeszcze raz, że typy powyższe jako takie, nie istnieją wśród dzisiejszych Żydów; najczęściéj dają się zauważyć pojedyńcze cechy, rzadko dwie, trzy cechy danego typu istnieją u jednego osobnika. Gdyż, może żaden inny naród nie przedstawia takich rozmaitości, takiéj mieszaniny różnych elementów rasowych, szczególniéj jeśli uwzględnimy i typy jasne, blondynowe, które są dodatkiem z czasów pobytu Żydów w środkowéj i północnéj Europie. Te typy blondynowe przedstawiają jeszcze większą rozmaitość, a najwłaściwszą ich cha-

rakterystyką jest to, że można o nich bez przesady powiedzieć, iż nie mają wcale typu, że każdy osobnik stanowi typ odrębny.

Żydzi stanowią niewielką część naszéj ludności—nad analizą typów żydowskich zastanawialiśmy się dlatego, że jest to przykład najbardziéj pouczający, najwyraźniéj przekonywający, z jakiéj mieszaniny, z jak różnych pierwiastków powstają wyraźne jednostki społeczne.

II.

Antropologia i sztuka

Obecnie po zbadaniu odmian typów naszego społeczeństwa, należałoby zastanowić się nad pytaniem, jaki jest cel podobnego badania typu nosowego. Otóż głównym celem tego badania jest ścisłe poznanie człowieka—cel czysto naukowy, taki jaki ma badacz natury w badaniu każdéj żywéj istoty. Nad szczegółowym rozbiorem tego zagadnienia nie mamy zamiaru tu się zastanawiać. Wskażemy tylko na niektóre wyniki tych badań.

Znajomość typu może być bardzo użyteczną w archeologii i w badaniach epoki przedhistorycznéj wogóle. Następujące przykłady dają nam tego dowód.

W jednéj z licznych grot znajdujących się w okolicy Krakowa, mianowicie, w grocie zwanéj na Na-Łopiankach blisko Mnikowa, pomiędzy innemi zabytkami człowieka przedhistorycznego, znaleziono wycięty z blaszki kostnéj profil ludzkiéj twarzy.

Zabytek ten znaleziono w najniższéj a zatém w najdawniejszéj warstwie mułu, którym dno groty zostało wypełnione. W warstwie téj znalezione liczne narzędzia krzemienne bez śladu metali. Kości jelenia, daniela, niedźwiedzia szarego, określają zresztą dokładnie epokę téj najgłębszéj warstwy namuliska.

Ludzie zamieszkujący podówczas okolice Krakowa, palili ciała swoich umarłych—odnalezienie więc szkieletów, tych najważniejszych dokumentów do badań przedhistorycznych jest mało prawdopodobne. Dlatego też ów profil wycięty na tabliczce kostnéj staje się bardzo cennym zabytkiem. Pomimo to, że zabytek ten nosi na sobie cechy artyzmu bardzo pierwotnego, że został wykonany z żebra wołu, przy pomocy jedynie nożyka krzemiennego, linia nosa jest o tyle dokładnie wykonana, że twierdzić można z wszelką pewnością, że wzorem do tego rysunku był typ rasy celto-słowiańskiéj.

Nie miejsce tu wchodzić w bliższe roztrząsanie pytania o ile zabytek taki znaleziony w namulisku groty, może być uważany za doku-

ment historyczny, w każdym razie jest on wskazówką pożądaną w braku innych.

Można wskazać inne przykłady wykazujące jeszcze wyraźniéj znaczenie typu, w poszukiwaniach odnoszących się do odległych epok historycznych. Wiadomo jak ważne wskazówki dają dla historyi ras ludzkich figury wykute na pomnikach starożytnego Egiptu a szczególniéj figury ludzkie malowane odpowiedniemi barwami na papyrusach.

Malowidła wyjęte z grobowców etruskich często są bardzo wymowne. Typy nosowe na niektórych z tych malowideł są tak wyraźne, że obrazy te stają się poprostu dokumentami historycznemi.

Na jedném z większych i doskonale przechowaném malowidle etruskiém, znajdującém się w muzeum Watykanu, artysta przedstawia następującą scenę: po jednéj stronie obrazu widzimy barkę przybijającą do brzegu morskiego — ludzie wychodzący z téj barki są wyraźnie przedstawicielami rasy śródziemnomorskiéj — po drugiéj stronie obraz przedstawia ogród, w którym rosną drzewa owocowe, a ludność zajęta zbieraniem owoców przedstawia typ wyraźnie jasny, taki jaki i dziś bardzo jest liczny w północnych Włoszech

Dotychczas sądzono, że jasne typy włoskie pochodzą z czasów wędrówek ludów germańskich; mianowicie Longobardowie, od których imienia znaczna część północnych Włoch swą dzisiejszą nazwę otrzymała, uważani są za ów element, od którego pochodzą dzisiejsze typy blondynowe.

Malowidła Etrusków dają dowód bezwzględnie pewny, że typy jasne są dawniejsze od najdawniejszych wędrówek germańskich.

W dziedzinie sztuki nowożytnéj studya antropologiczne zajmą poważne stanowisko.

W całéj naturze człowiek jest niewątpliwie najważniejszym tematem dla sztuki.

Antropologia, w obszerniejszém znaczeniu téj nauki, badając człowieka i pod względem formy i pod względem psychologicznym dać może poważne wskazówki i w dziedzinie sztuki plastycznéj i w dziedzinie najsubtelniejszych studyów w dziedzinie ducha ludzkiego.

Istota sztuki polega niewątpliwie na zręczności i zdolności wyrażenia pewnéj idei i na wrażeniu, jakie artysta wywołuje w widzu; lecz jednocześnie istotą sztuki musi być prawda, bez tego warunku nie może być oddziaływania.

Gdzież jest ta niezbędna prawda? Odpowiedź jedyna — w naturze i tylko w naturze.

Jeżeli z dziedziny tych ogólników przejdziemy do pojęć bardziéj szczegółowych, jeżeli będziemy mówić tylko o sztuce plastycznéj i jeżeli wrócimy do przedmiotu, który tu nas zajmuje specyalnie, do człowieka i do kształtów jego ciała, to owa szukana prawda znajduje się w harmonii części z całością a harmonia polega na matematycznym stosunku części do całości.

Otóż ten stosunek części do całości, niezbędny dla artysty, podać i należycie określić może tylko ścisła, dokładna nauka, tylko anatomia łącznie z antropometryą. Historya sztuki wskazuje, że od czasów najdawniejszych istniało poczucie potrzeby pewnych stałych danych co do rozmiarów ciała ludzkiego.

Dyodor Sycylijski mówi wyraźnie, że Egipcyanie tworzyli swoje rzeźby podług stałego kanonu. Szczegóły tego kanonu zostały odszukane w nowszych czasach z dzieł sztuki egipskiéj. Jest to tak zwany kanon Lepsiusa, dla którego jednostką miary jest długość palca średniego.

Grecy mieli również kanon ściśle określony przez Polykleta, żyjącego w epoce rozkwitu sztuki greckiéj — w epoce Fidyasza. Rozmiary jednak tego modelu zostały zatracone.

Pierwsze zasady modelowania z czasów starożytnych, które doszły do nas, przypisują Vitruviuszowi — z epoki rzymskiéj, z czasów upadku sztuki greckiéj. Polega on na podziale głowy na cztery równe części; głowa stanowi ósmą część całego ciała i t. d.

W epoce odrodzenia sztuk pięknych w wiekach średnich, artyści idąc śladami wzorów starożytnych, nie zaniedbywali studyów anatomicznych. Najwięksi artyści: Rafael, Michał Anioł, Leonardo da Vinci poświęcali długie lata studyom anatomicznym i wymagali, ażeby artysta znał doskonale kształty ciała ludzkiego i tylko temu, kto je znał dokładnie, wolno było robić drobne odstępstwa dla uwydatnienia pewnych szczegółów lub téż dla konieczności wymaganych przez technikę samą—odpowiednio do własności fizycznych materyału i t. p.

Dziś jednak owe świetne tradycye ścisłego badania kształtów ciała ludzkiego, prawie zupełnie zostały zaniechane.

W szkołach sztuk pięknych nie ma wzoru obowiązującego. Żaden z profesorów nowoczesnych nie posługuje się przy swoich utworach jakimś stałym modelem. Żywy model jest wszystkiém dla nowożytnego artysty. Często jako środek pomocniczy służy ciemnia optyczna i fotografia. Metoda ta pozornie tylko odpowiada wymaganiom.

Ponieważ dzieło sztuki powinno być prawdziwém — a prawda leży tylko w naturze, więc łatwy wniosek, że najlepszym modelem jest model żywy. Rozumowanie logiczne, lecz rodzi się pytanie, czy w na-

turze istnieje gotowy, doskonały model żywy i czy oko nawet najlepszego artysty nie potrzebuje pomocy innych zmysłów, czy poprzednia znajomość dokładna rozmiarów ścisłych nie jest ułatwieniem a często kontrolą niezbędną.

Prawdziwy chaos istnieje w naturze z powodu zmieszania się ras. Widzieliśmy, że czyste typy rasowe nie istnieją w naturze. Prosta obserwacya, studyowanie tylko za pomocą oka nawet setek żywych modeli nie może prowadzić do poznania typu rasowego.

Ażeby wniknąć w istotę rzeczy, potrzeba naturę badać z całą ścisłością naukową. Owa niedostateczność samego oka dla artysty uwydatnia się doskonale w teoryi sztuki.

Jeżeli weźmiemy do ręki opracowania teoryi sztuki, pozostawione nam przez najznakomitszych jéj znawców sztuki znajdziemy mniéj więcéj takie określenie owéj upragnionéj prawdy w dziele sztuki.

Wszyscy się zgadzają, że dla najrealistyczniejszéj nawet sztuki prawda pozostaje zawsze tylko ideałem i to ideałem niedościgłym, do którego tylko częściowo zbliżać się może, lecz nie istotnie i nie w rzeczywistości.

Ten idealny charakter prawdy w sztuce, znajduje swój wyraz widzialny, dotykalny w tak zwanym typie. Lecz co to jest typ? Czy w rzeczywistości natura składa się z typów? Czy wogóle typ w znaczeniu estetyczném jest pojęciem przedmiotowém. Estytycy odpowiadają, że nikt nie odważy się dać odpowiedzi twierdzącéj na postawione pytanie, ponieważ typ jest wytworem wyobraźni, jest on zbiorem w jednéj postaci takich własności i rysów, które w rzeczywistości są rozrzucone po wielkiéj liczbie szczegółowych objawów.

To rozumowanie estetyków-teoretyków jest najzupełniéj słuszne, lecz wynika ono z obserwacyi powierzchownéj tylko, z oceniania owych pojedyńczych objawów na oko tylko.

Zobaczmy teraz jak rozumiéć należy typ w znaczeniu ścisłém, naukowém.

Dla antropologa pojęcie typu łączy się z pojęciem rasy. Poszukiwanie typu odbywa się za pomocą określania wymiarów przeciętnych.

Jeżeli w danéj miejscowości zrobimy pomiary kilku setek ludzi, to przeciętna każdego wymiaru w każdéj setce wypadnie jednakowa, gdyż setka wymiarów wystarcza dla zatarcia różnic indywidualnych; tym sposobem otrzymujemy wymiary przeciętne które są wzorem danego typu.

Jeżeli w innéj miejscowości powtórzymy te same wymiary i znowu w każdéj setce otrzymamy rezultat jednakowy i stale różny od re-

zultatów w poprzedniéj miejscowości otrzymanych, to otrzymamy wymiary drugiego typu.

Jeżeli obok stałych różnic, w pewnych wymiarach istnieją jednocześnie różnice w barwie cery, włosów, oczu, to rzecz prosta, mamy prawo mówić o dwu różnych typach ludzkich.

Te typy nie są już pojęciem abstrakcyjném, idealném — są to typy rzeczywiście istniejące w naturze. Ta okoliczność, że typ skończony we wszystkich szczegółach, nie istnieje prawie w naturze, z powodu ciągłego mieszania ras, nie zmniejsza wcale doniosłości powyższego faktu. — Istnienie typów jest odrębném zupełnie zjawiskiem a mieszanie się tych typów, jest nowém zjawiskiem, lecz niezależném od pierwszego. Pewna odmiana człowieka powstając w jednych warunkach fizyczno-geograficznych, wytwarza mniéj lub więcéj jednolitą rasę — rzecz prosta w ciągu długich epok. Następnie, gdy wśród téj gromady powstaje organizacya, gdy gromada się rozmnaża i rozlewa się dokoła, następuje mieszanie się sąsiednich odmian. Sztuka nie uwzględniała nigdy istnienia tych odmian typu ludzkiego. Wszyscy, którzy dotąd w dziedzinie sztuki traktowali o kształtach ciała ludzkiego, nie zajmowali się wcale rasami ludzkiemi zasadniczo. Artyści byli zawsze monogenistami, przed tém zanim powstało nawet pytanie czy człowiek pochodzi od jednéj pary, czy téż powstał na różnych punktach kuli ziemskiéj, pod postacią zupełnie różnych typów.

Dla artysty istnieje tylko człowiek, kształty ciała ludzkiego. Oko artysty pozwoliło wybrać te kształty, które dają największe zadowolnienie estetyczne, i powstał pewien typ idealny. Dla Greków — był to typ idealny Greka—dla dzisiejszego artysty, jest idealny typ rasy europejskiéj.

Czy tak pojęty typ ludzi jest zgodny z naturą? z ową konieczną dla sztuki prawdą?

Historya sztuki daje możność poznać stopniowy rozwój naszych pojęć estetycznych, szczególniéj co się tyczy kształtów ciała ludzkiego.

W Grecyi sztuka dosięgła do tak wysokiego stopnia, że dzieła stworzone przez artystów greckich stały się wzorem dla następnych wieków i dziś zajmują bezspornie to samo od wieków uprzywilejowane stanowisko. Sztuka grecka kształciła wszystkie następne pokolenia artystów i stała się mistrzynią naszych pojęć estetycznych. Według przyjętego określenia, piękno jest to uczucie wrodzone, które posiada każdy człowiek, jest to jednak wyrażenie zbyt ogólne i abstrakcyjne. Ściślejsze określenie, podał Camper, jako naturalista, będąc jednakże sam niepoślednim artystą: przyczém określenie jego ma głównie na

względzie piękno fizyczne, piękno kształtów. Określenie jego jest następujące:

Poczucie piękna wytwarza się przez oglądanie pewnych dzieł, wychowanie, przyzwyczajenie, a nadewszystko poczucie to wytwarza się pod wpływem powagi niewielkiéj liczby wielkich artystów, którzy określili zasady piękna.

Określenie to jest jaśniejsze, lecz podług wymagań współczesnéj fizyologii, należałoby zmienić to określenie w ten sposób:

Piękno jest utrwaleniem na drodze dziedzicznéj przez liczne pokolenia pewnych idei, wyznawanych najprzód przez jednostki, następnie przez szkoły.

I tak jest w rzeczywistości.

Wzory greckie, kształcąc przez tyle pokoleń smak artystyczny, stały się trwałym ideałem — do tego stopnia, że wyrażenie: klasyczny, klasycznie piękny, znaczy tyle, co idealny, idealnie piękny.

Nietylko w szkołach sztuk pięknych, lecz we wszystkich szkołach, pierwszym modelem zawsze jest głowa klasyczna typu greckiego.

Otóż taki stan rzeczy nie może nie wpływać na wyrobienie pojęcia piękna w pewnym jednostronnym kierunku.

Wskazaliśmy wyżéj, że Europejczyk jest mieszańcem, że trzy główne składniki rasowe są tak od siebie różne, iż niepodobna ich zespolić w jednym typie. Wskazaliśmy daléj, że antropometrya przy pomocy metody pozytywnéj, niemal matematycznie pewnéj, dała możność dokładnego określenia każdego typu. Każdy z tych typów jest typem realnym, jest wytworem natury, każdy typ jest cząstką prawdy rozlanéj w naturze.

Na tém nie kończy się badanie typu rasowego; typy te różnią się pomiędzy sobą nietylko cechami fizycznemi, nietylko wzrostem, wymiarami czaszki, formą twarzy lub nosa, barwą włosów i oczu, lecz te typy może najwięcéj różnią się pomiędzy sobą swą treścią duchową. Te nowe pojęcia o człowieku, zdobyte przez nowożytną naukę, znajdą niewątpliwie swój wyraz w sztuce.

Wundt w swéj psychologii fizyologicznéj, autor, co niewątpliwie najgłębiéj przeniknął i najlepiéj określić potrafił tajemnicze procesy naszéj istoty duchowéj, w taki sposób określa wrażenie estetyczne:

Dopiéro ożywienie form zmysłowych treścią naszych pojęć wywołuje zupełne wrażenie estetyczne.

Jest to prawda niezaprzeczona: same linie, same kształty nie mogą wystarczyć nawet w architekturze — i tu musi być zachowany pewien styl, który jest wyrazem pewnéj myśli, pewnych naszych pojęć. Gdy zaś idzie o odtworzenie kształtów żywych, a szczególniéj człowie-

ka, same kształty témbardziéj nie mogą wystarczać. Rasa jest tém dla kształtów ludzkich, czém styl dla architektury. Artysta, tworzący postać ludzką, musi miéć na względzie nietylko kształty, lecz musi uwydatnić i treść wewnętrzną.

Myśl tę dosadnie wyraził Bolesław Prus w jednéj ze swoich kronik, zdając sprawozdanie z wystawy sztuk pięknych.

„Coś mi się zdaje, nie wiem czy słusznie, że dobry portret jest takim wstępem do wielkiego malarstwa jak gamy do kompozycyi muzycznéj. Portrecista musi w obrazie swego kundmana pokazać nietylko jego rysy, ale i duszę. Gdy zaś malarz zaczyna szukać duszy w osobach, rzeczach i sytuacyach, już jest na drodze do wielkości.”

Bolesław Prus, chociaż sztuka malarska nie jest jego specyalnością, za pomocą właściwéj sobie logiki i zdolności spostrzegawczéj, w kilku wierszach kroniki dokładnie scharakteryzował zadanie malarstwa nowożytnego. Nam się zdaje, że pojęcie to jest zupełnie słuszne; należy je rozwinąć i zastosować do wyników dzisiejszéj nauki, do pojęcia typu w znaczeniu antropologicznéın, nie poprzestając na badaniu różnicy, dotyczącéj samych kształtów tylko.

Historya sztuki, jeżeli zwrócimy uwagę na chrakterystykę sztuki w epokach odległych od siebie, przekonywa nas dowodnie, że charakter sztuki zależy głównie od pojęcia, od idei panującéj w danéj epoce, od rozwoju umysłowości człowieka.

W czasie, gdy się rozwijała sztuka grecka, mało zwracano uwagi na duszę. Artysta grecki cały swój geniusz wysilił w kierunku odtwarzania ciała. To téż artyści greccy stworzyli arcydzieła kształtów ludzkich.

Lecz sztuka nie poprzestała na tym stopniu twórczości, nie zadowoliła się wytworzeniem idealnych kształtów ciała.

W wiekach średnich sztuka była pod wpływem idei chrześciańskiej; rodzi się malarstwo religijne i stwarza nieznane dotąd ideały. Madonny mistrzów malarstwa religijnego stanowią odrębną, charakterystyczną epokę w dziejach sztuki. Artyści, którzy w tym kierunku stworzyli arcydzieła, mieli w duszy ideę Boga-Człowieka i Jego Świętéj Rodzicielki. Kształty ciała pozostały w sztuce jako niezbędny jéj element, lecz nie stanowiły jedynéj jéj treści.

Doba dzisiejsza jest epoką ścisłego badania. Badanie człowieka staje się jednéın z najgłówniejszych zadań dzisiejszéj nauki. Etnografia w najobszerniejszém znaczeniu, antropologia, psychologia oparta na naukach, staje się przedmiotem badań wybitnych uczonych najnowszych czasów.

Kierunek ten zaznacza się wyraźnie nawet w dziedzinie poezyi. Powieść, a mianowicie powieść psychologiczna staje się panującą — i tu można bez przesady powiedzieć, że najdzielniejsze umysły, pracujące w dziedzinie poezyi, ukazują się tylko na niwie powieści.

Malarstwo musi podążać tą samą drogą. Musi odtwarzać człowieka tak, jak go dziś rozumie nauka. Musi zwrócić uwagę na charakterykę ras.

Ażeby dać jeszcze jeden przykład konieczności zespolenia nauki i sztuki, wracamy do historyi sztuki greckiéj.

Jest cała zupełnie odrębna grupa dzieł sztuki greckiéj, znanych pod nazwą posągów Hermafrodyta. Są to posągi mężczyzn o kształtach ciała kobiécego. Bardzo wiele z pomiędzy tych posągów są cennemi dziełami sztuki wogóle i niepoślednią ozdobą pierwszorzędnych zbiorów zabytków sztuki greckiéj.

Że przedmiot ten nie był wybrykiem jakichś spaczonych pojęć jednego z artystów lub téż pewnéj szkoły, dowodzi tego przedewszystkiém stosunkowo wielka ilość tego rodzaju posągów, a oprócz tego w mitologii greckiéj istnieją luźne baśnie, świadczące, że ówczesne umysły żywo zajmowały się tym przedmiotem.

Nowożytni krytycy sztuki wypowiedzieli najrozmaitsze zdania o tych utworach artystów greckich. Jedni powoływali się na zdania niektórych filozofów greckich, którzy przypuszczali możność stworzenia ideału człowieka, w którym kształty męskie i kobiéce zléwały się zupełnie. Inni widzieli w tém tylko zwyrodnienie smaku artystycznego i odnosili utwory tego rodzaju do epoki rzymskiéj, w któréj właściwa sztuka grecka chyliła się do upadku. Zdanie to jest niesłuszne już dlatego, że pierwszy posąg tego rodzaju był wykonany w III-im wieku przed Chrystusem przez Polyklesa Młodszego, jak o tém świadczy Pliniusz.

Winckelmann w swéj historyi sztuki tak się wyraża o tym przedmiocie: „Artyści pragnęli stworzyć zupełnie nowy obraz, łączący w sobie cechy i kobiéce i męskie. Stworzyli więc nowy organizm sprzeczny z danemi natury, posiadający tylko pozory prawdopodobieństwa przez zjednoczenie elementów piękna, wziętych z arcydzieł sztuki, lecz nie przedstawiającego żadnego typu istniejącego w naturze."

Zboczenie organizmu, wyobrażone przez posągi Hermafrodyta, istnieje niewątpliwie w naturze i znaném było w starożytności, lecz nikt nie może zrobić na seryo przypuszczenia, żeby typ tak rzadki i anormalny mógł być prawdziwym wzorem dla dzieł sztuki.

I rzeczywiście, z punktu widzenia sztuki niepodobna było przyjść do innego przekonania. Grecy dali tyle dowodów wyczerpania wszel-

kich zasobów ducha do wytworzenia idealnéj harmonii kształtów ciała ludzkiego, że prawie niepodobna przypuścić, ażeby jakaś wstrętna wada rozwojowa mogła pociągać ich duszę artystyczną, żądną przedewszystkiém harmonii.

Dopiéro ścisłe badanie naukowe morfologii i rozwoju ciała ludzkiego pozwoliło rozwiązać tę zagadkę sztuki starożytnéj.

Liczne już dziś spostrzeżenia kliniczne dowiodły, że istnieje pewwne zboczenie rozwojowe ciała ludzkiego, będące następstwem zaburzeń w ośrodkach odżywczych systematu nerwowego, których następstwem jest nieprawidłowy rozwój organizmu: organizm męski przybiéra kształty kobiéce i odwrotnie, organizm kobiéty w dalszym swoim rozwoju przybiéra cechy organizacyi męskiéj. Przykłady pierwszéj odmiany są zupełniejsze. Przemiana następuje zupełna i dotyczy szkieletu, układu mięśniowego, rozwoju odpowiedniego tkanki łączno-tłuszczowéj podskórnéj, a nawet i systematu nerwowego, wskutek tego osobniki takie mają gust i usposobienie kobiéty.

Niektórzy z tych przeobrażonych mężczyzn, posiadają organizm o klasycznie pięknych kształtach ciała kobiecego – i taki przykład był niewątpliwie modelem przy tworzeniu Hermafrodyta przez Polyklesa. Dziś gdy zjawisko to zostało zbadane naukowo i zapisane do licznego szeregu zwyrodnień systematu nerwowego, nie budzi wrażeń sensacyjnych—lecz w starożytnéj Grecyi dało początek luźnym baśniom mitologicznym i wytworzyło cały dział sztuki, który przez długie wieki był zagadką. Zagadka ta témbardziéj zajmowała umysły krytyków sztuki, że bogata fantazya artystów greckich, nie poprzestała na typie klasycznym stworzonym przez Polyklesa, lecz w epoce późniejszéj powstawały mniéj lub więcéj zmienione.

Tworzono mnóstwo posągów dwupłciowych lub téż o płci niewyraźnéj; powstało bardzo dużo Bachusów, Erosów, Ganimedów zagadkowych, a nawet sam Apollo był brany za temat do tego rodzaju kreacyi.

Przykład ten daje podwójną naukę: dla artysty jest nauką, że prosta obserwacya natury, bez zbadania istoty rzeczy, prowadzi sztukę na bezdroża; dla krytyka sztuki jest bezwzględną wskazówką, że w wielu wypadkach, a może i we wszystkich, tylko ścisłe badanie przedmiotu może doprowadzić do właściwego rozwiązania zagadnień sztuki.

Rzecz ta zresztą nie jest nowa.

Bardzo dokładnie określił stosunek sztuki i nauki H. Taine

w swéj filozofii sztuki [1]). Powinowactwo łączące sztukę i naukę jest szczęściem wzajemném. Należy poczytać za chwałę dla nauki, że ofiarowuje piękności główne podwaliny; należy poczytać za chwałę dla sztuki, że opiéra swe najwznioślejsze budowle na prawdzie.

Zasada ta nie jest nowa; jest ona nawet tak stara, jak sama sztuka i nauka, lecz należy ją odnawiać z każdym postępem nauki, z postępem naszych pojęć i rozwojem idei. Takiém odnowieniem téj fundamentalnéj zasady sztuki w dziedzinie malarstwa i rzeźbiastwa, odnośnie do kształtów ciała ludzkiego, w dobie dzisiejszéj powinno być pojęcie ras ludzkich.

W naturze nie ma człowieka o kształtach idealnych, któryby mógł być wzorem dla sztuki, w naturze istnieją rasy niezmienne, stałe cechy tych ras.

Rasa jest wyobrażeniem prawa natury, jest następstwem niecofnioném całego szeregu zjawisk wiążących się ze sobą od pierwszych dni stworzenia, a których najogólniejszém pojęciem jest pojęcie ewolucyi. Rasy ludzkie taką odgrywają rolę w dziedzinie jestestw organicznych, jak systemy krystalograficzne w dziedzinie jestestw nieorganicznych.

Dana substancya chemiczna krystalizuje się stale w ten sam system krystalograficzny. A jeżeli zachodzą zmiany drugorzędne w krysztale, jeżeli nastąpi ścięcie kątów i krawędzi—zmienia się forma kryształu nie do poznania, lecz zmiana ta nie zmyli badacza: badając zasadnicze prawo rozkładu osi, odnajdzie on łatwo właściwy system krystalograficzny.

Zupełna analogia panuje w świecie organicznym, że tak powiemy, w budowie ras. Rasa jest wynikiem koniecznym pewnego kierunku sił natury — i ten kierunek niezmienny dąży bez wytchnienia do wytwarzania typu. Przyczyny uboczne mogą zmienić ten kierunek, mogą przeszkodzić wytworzeniu harmonijnego typu; zamiast typu może powstać chaos cech, może powstać karykatura typu, lecz kto zna zasadniczą harmonię typu ten i w karykaturze odnajdzie łatwo jego elementy. W dziedzinie ras ludzkich zjednoczenie nauki i sztuki jest podwójnie pożądane, bo nauka wskazała istnienie typu, lecz wykończenia i ostatecznego wycieniowania typu sama nauka oczekuje od sztuki.

Antropolog najchętniéj mierzy czaszkę szkieletową, bo tu znajduje niezmienne i pewne punkty dla oparcia cyrkla.

---

[1]) H. Taine, „Philosophie de l'Art“, t. II, str. 275.

Pomiary na osobach żywych, jakkolwiek dają rezultaty zadawalniające, lecz nie wyczerpują przedmiotu. Są kształty tak zarysowane, że się nie dają mierzyć.

Oprawa oka, kształt nosa, szczególniéj jego skrzydeł—linia i wyraz ust, zaokrąglenie policzka są to rzeczy, których ani cyrkiel, ani liczba określić nie potrafi. Tylko oko artysty, jeśli zechce je przestudyować, i jego pendzel lub dłuto mogą oddać te szczegóły wiernie, podług wzorów natury.

Przykład może najlepiéj uwydatni potrzebę bliższego poznania typów rasowych.

Bierzemy pod uwagę obraz jednego z mistrzów nowoczesnych, przedstawiającego polowanie na niedźwiedzia. Z głębi ciemnego boru kilku ludzi dźwiga świéżo upolowanego niedźwiedzia. Ów ciemny bór, ubiory ludzi wskazują nam odrazu, że jesteśmy w głębi puszczy litewskiéj. Lecz przypatrując się twarzom, nie widzimy ani jednego Litwina. Twarze, które tu widzimy nie mają wcale typu. Autor obrazu odrysowałby niewątpliwie te same twarze, gdyby polowanie miało miejsce w Karpatach, tylko ci ludzie byliby w strojach huculskich.

Drugi przykład. Obraz zatytułowany: „Godzenie robotników". Widzimy kilka postaci z ludu wiejskiego z kosami na ramieniu, przed nimi ekonom. Ekonom jest dostatecznie scharakteryzowany, chociaż widać tylko jego plecy, bo jego taratatka i harapnik o grubéj rękojeści wystarczają do charakterystyki. Co do ludu, gdyby autor nie ubrał jednego z ludzi w wysoki kapelusz z pawiem piórem — nie można byłoby powiedziéć, że rzecz się dzieje w Krakowskiém, a nie na Mazurach.

Rzecz dziwna, gdy artysta zamierza wykonać obraz historyczny, zbiéra odpowiednie ubiory, zbroje; najdrobniejsze, prawie nic nieznaczące ozdoby pragnie widziéć w naturze własnemi oczyma, ażeby przyszły obraz jego był wierném odbiciem prawdy, o typach ludzi prawie, że się nie mówi.

Krytyka z wielkiém uznaniem mówi o obrazie batalisty, gdy traktując przedmiot historyczny, stosownie do rzeczywistéj potrzeby, dobrze uwydatnił rozmaite rasy koni, które w danéj bitwie brały udział; co do typów ludzkich, krytyka nie ma wymagań, wystarczą przeciętne sylwetki europejczyka.

Walka Krzyżaków z Litwinami stanowi treść bardzo wielu obrazów naszych malarzy; można tam widziéć dowody sumiennych i drobiazgowych studyów zbroi krzyżackiéj i ubiorów Litwinów, a charakterystyka twarzy jest żadna; najwyżéj, dla charakterystyki krzyżaka maluje się go z jaskrawą, rudą brodą.

Czy jest w tém wina artysty? Odpowiedź nasza będzie raczéj przecząca.

Artysta nie jest winien, bo on z całą prawdą odtwarza na swych obrazach typ człowieka, ów przeciętny, klasyczny typ człowieka. Sztuka rozwija się i postępuje. Potrzeba zawsze pamiętać, że dzieło sztuki powinno wyrażać ideę, a opiérać się na prawdzie.

Otóż prawda — nie we wszystkich epokach jest jednakowo pojmowana. Nauka z biegiem czasu coraz jaśniéj ją oświéca i artysta o tyle jest winien, o ile nie dąży za nauką, za nowém oświetleniem idei. Grek miał przed oczyma tylko swój własny naród; ludy sąsiednie byli to barbarzyńcy, nie ludzie. Grek nie przeczuwał nawet istnienia duszy. Artysta grecki miał tylko ideę ciała i dlatego téż stworzył ideał kształtów ludzkich, daléj nie sięgał.

Rafael miał w duszy swojéj ideał Bogarodzicy, dlatego téż stworzył Madonnę.

Jakiż ideał ma miéć sztuka dzisiejsza? W jaki sposób nowy ma traktować człowieka.

Chwila dzisiejsza w malarstwie i rzeźbiarstwie jest chwilą wahania. Ludzie, co mają delikatniejsze poczucie estetyczne, twierdzą, że kierunek klasyczny nie wystarcza, nie zadawala uczucia estetycznego dzisiejszego krytyka i przepowiadają, że znajdzie się artysta, który stworzy nowy kierunek i zadowoli te wymagania przyszłości.

Czy można dziś odgadnąć ten kierunek przyszłości?

Sądzimy, że w dobie ścisłéj analizy ducha należy przynajmniéj robić próby. Sądzimy, że artysta-malarz lub rzeźbiarz nie torują drogi; artysta musi miéć gotową ideę, by ją odtworzyć na płótnie lub w marmurze. Sądzimy, że myśl toruje drogę.

Zdaje się, że ludzkość z gorączkowym pośpiechem dąży do zbadania wnętrza duszy ludzkiéj. Nawet poezya porzuca ulubione dawniéj sfery, stała się badawczą, przeszła w dziedzinę powieści psychologicznéj. Otóż nam się zdaje, że przyszły kierunek malarstwa będzie w takim stosunku do przeszłości, jak powieść Sienkiewicza do powieści Kraszewskiego.

Kraszewski w swoim czasie zadawalał czytelnika i krytyka nie miała nic do zarzucenia; typy swoje brał on z natury, z tego samego społeczeństwa, z którego czerpie dziś Sienkiewicz. Zdawało się, że Kraszewski tak wyczerpał typy, że ich zabraknie następcom, bo nietylko malował współczesnych, lecz sięgał i w bliższą i dalszą przeszłość.

Cóż nowego daje Sienkiewicz? Wszak daje typy z tegoż społeczeństwa i z téjże saméj przeszłości. Różnica polega tylko na wyrazi-

stości obrazów. Kraszewski podawał ludzi namalowanych blademi kolorami. Malował ludzi dobrych, złych, chciwych i rozrzutnych, cnotliwych i przewrotnych, odważnych i tchórzliwych, lecz nie pokazywał tego szeregu uczuć, dla których ten człowiek był takim a nie innym.

Dawniejsza powieść jest suchą kroniką życia ludzkiego, pisaną tak, jak pisali mnisi w ciszy klasztoru — dzieje obcéj im narodowości. Dzisiejsza powieść jest historyą żyjącego człowieka z uwydatnieniem każdego drgnienia jego duszy.

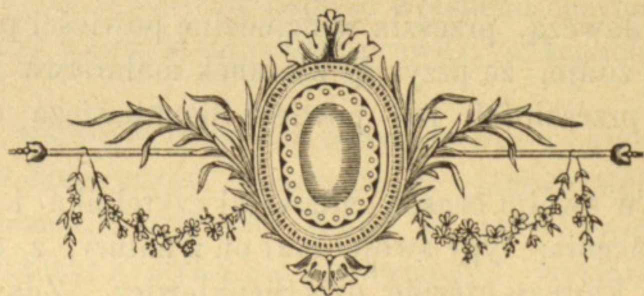
Po przeczytaniu powieści Kraszewskiego pozostaje wrażenie, że się słuchało powieści z czasów dawno ubiegłych; po przeczytaniu powieści Sienkiewicza, nawet z czasów Nerona, zdaje się, że przed chwilą stali przed oczyma prawdziwi, żywi Rzymianie, przysięgający szczerze lub nieszczerze, lecz na swoich własnych, rzymskich bogów, mordujący w uniesieniu niewolników, nie rozumiejąc, że popełniają zabójstwo, umiérający spokojnie, bez cienia trwogi, tak jak prawdziwy rzymski stoik umrzéć potrafił.

Malarstwo i rzeźbiarstwo muszą iść tą samą drogą.

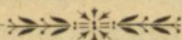
W każdéj postaci ludzkiéj, a człowiek na zawsze pozostanie głównym tematem, malarz odtworzyć musi jego indywidualność, wszystkie tajniki jego duszy. Każda więc postać musi być wzięta z natury, z „żywego modelu", każda twarz musi być portretem, a w każdym portrecie muszą być uchwycone elementy rasowe, bo każda rasa ma inną duszę.

Lublin, 1 kwietnia 1896 r.

W. Olechnowicz.



W BAŁKANACH.



Iwan Wazow. „Pod jarzmem tureckiém." Powieść osnuta na tle walki Bułgarów z Turkami w r. 1876, za pozwoleniem autora przełożyła Helena Sopodźkowa. Kraków, skład główny w księgarni Spółki wydawniczéj, t. I, 1895, str. 240, t. II, 1896, str. 298.

Ostatni okres rozwoju Bulgaryi należy do bardzo ciekawych zjawisk historycznych XIX wieku. Po nieszczęśliwym wybuchu powstania 20 kwietnia 1876 r., zatopionego w potokach krwi i gwałtach, których widok wywołał nareszcie powszechne współczucie cywilizowanego świata, zdawać się mogło, że interwencya pobratymczego narodu rosyjskiego postawi na nogi już tylko jakieś na pół obumarłe, ohydnie sposoczone cielsko, z którego duch oddawna uleciał. Spasowicz innego wprawdzie był zdania. Zwiedzając nazajutrz po traktacie berlińskim te ścierniska podbałkańskie, wdeptane w błoto lub do cna wygorzałe, te cmentarze, od których „żywym ludziom ciasno pomiędzy umarłymi", te cerkiewki schowane niby kretowiska pod ziemię, te kupy rumowisk, wskazujące zaledwie miejsca, gdzie niegdyś wznosiły się stolice carstwa bulgarskiego, te samotnie w polu pracujące kobiéty z niemowlętami na plecach, te szkoły obrócone na szpitale, te gospody i domy zajezdne z powyrzucanemi drzwiami i poprutemi oknami, te nieprzebyte wśród szańców i rowów drogi, któremi jechać nie sposób, „tylko iść trzeba pieszo, niby z piętra na piętro", te niwy pożółkłe, „pełne poschłych traw i krzaków", te ogrody i sady owocowe zniszczone, opuszczone, owiane aromatem róż dziko porastających na pobojo-

wiskach, te niezliczone dokoła kurhany, na których tu i owdzie siedzi pastuch milczący, zadumany, i strzeże gromadki zachudzonych owiec,— podróżnik nasz twierdził pomimo to, wbrew oczywistości, że rozpaczać nie ma jeszcze powodu, że w Bulgaryi żyje przecież chłop, „skrzętny, gospodarny, bardzo pracowity i wytrwały, przytém rozważny wielce i rzetelny", że ciemiężca złupił z niego czupryne i świtę, ale nie dotknął ani jego wiary, ani pierwastków jego organizacyi społecznéj — gminnéj, administracyjnéj, sądowéj i szkolnéj, że na tych to podstawach,—„z dobrego końca", bo z dołu osnuty nowy porządek rzeczy, wcześniéj lub późniéj zjednoczy dwie rozdzielone przez traktat berliński połówki kraju, a jakikolwiek będzie układ urządzeń centralnych, w jakikolwiek sposób sporządzony zostanie regulamin władz naczelnych, „nowonarodzone państewko słowiańskie zadaniu swojemu podoła" i ze zgliszcz, z ruin, z upodlenia powstanie „społeczeństwo zdrowe i krzepkie, rozwijające się samodzielnie i swobodnie" („Pisma", t. VI, str. 61--65, 81). Tak utrzymywał Spasowicz na razie, w r. 1878, — ale, któż kiedy wierzył Spasowiczowi na słowo i przed czasem? — zwłaszcza, gdy prasa europejska wciąż powtarzała swoją tylko piosenkę. Dyplomaci, mężowie stanu, znakomici publicyści, nie przestawali głosić na wyścigi, że w téj bułgarskiéj, do „nie swojego bytu" powołanéj ekspresyi geograficznéj, tkwi jedynie nowy ciężar i kłopot dla przyszłości, że kraj ten powiększy tylko groźbę zawieszoną nad cywilizacyą, gdyż jest przytułkiem dzikich zwierząt i bandytów, nie mających najmniejszego wyobrażenia o samorządzie i warunkach istnienia państwowego, — gatunkiem miękkiego ciasta, przeznaczonego przybrać taką formę, jaką mu protektorowie nadać raczą...

I cóż powiécie? We dwanaście niespełna lat po Spasowiczu, temi samemi szlakami co i nasz pątnik, odwiedził te strony głośny publicysta rosyjski, ex-dyplomata S. S. Tatiszczew — i nie poznał już dawnéj ziemi mogił i krzyżów. Zmieniło się w niéj wszystko: i krajobraz, i ludzie, i bydlęta. W ciągu ostatnich lat kilku — pisał Tatiszczew—Bułgarya zrobiła postęp ogromny, zdumiewający w całéj ekonomice narodowéj, w handlu, przemyśle, szczególnie zaś w szkolnictwie, zastosowaném do głównéj gałęzi przedsiębierczości krajowéj, którą jest rolnictwo. W widokach zachęty i podniesienia ważnego tego działu gospodarstwa w Bulgaryi, pourządzane zostały stacye doświadczalne, instytuty rolnicze, kasy zapomóg wiejskich, szkółki stałe i przenośne. Nauczanie elementarne odbywa się w 3844 zakładach, do których uczęszcza 172,000 dziatwy pod okiem 5,000 bakałarzy. Towarzystw rolniczych pełno wszędzie; w jednym tylko roku 1889 powstało ich cztery. Nowo-zbudowana koléj od Jamboli do Burgas otwarła do-

stęp do morza bogatym prowincyom południowéj Bulgaryi i zetknęła kraj z ruchem handlowym i cywilizacyjnym Europy. W siedmiu głównych miastach kraju istnieją gimnazya męzkie, w czterech — żeńskie. Jest seminaryum nauczycielskie (w Kazanłyku), jest szkoła wojskowa, jest i uniwersytet (w Sofii). Spółek handlowych, wytwórczych, filantropijnych i artystycznych nie zliczyć. Finanse, pomimo stosunkowo olbrzymich wydatków na wojsko, dobrze utrzymane i uzbrojone, stoją doskonale, dług państwa nie wielki, administracya uczciwa i porządna. Dość rzucić okiem na Sofię, która od lat kilku ma wygląd zachodnio-europejski, ażeby módz powiedziéć, że od roku 1878 nie zmarnowano tu ani jednéj chwili, ani jednego szeląga.

Energia, rzeźkość, stanowczość, z jaką Bulgarya zadała kłam pesymistycznym wróżbom z lat 1877—79, widoczniéj jeszcze występują w literaturze. Obraz piśmiennictwa narodu z epoki bezpośrednio poprzedzającéj powstanie 1876 r. przeraża nicością swéj treści i skamienieniem swych kształtów zarodkowych, niemowlęcych. W latach od 1820 do 1840, zaliczonych do najpłodniejszych i najbardziéj ożywczych u wszystkich ludów słowiańskich, kiedy na widowni umysłowéj zajaśniały imiona Wuka Karadzicza u Serbów, Szafarzyka, Czelakowskiego, Kollara u Czechów, Puszkina, Lermontowa u Rosyan, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego u Polaków, zjawił się, co prawda, i u Bułgarów odnowiciel, w osobie węgierskiego rusina Jerzego Hucy (um. w r. 1839), który pod przybraném nazwiskiem Wenelina stał się „pierwszym sprawcą odrodzenia bułgarskiego w wieku XIX". Ale sile i rozciągłości tego ruchu najlepsze świadectwo wystawia ten fakt, że do r. 1840 cała literatura bułgarska składała się z czterdziestu książek. Po wojnie krymskiéj strumyk wezbrał do wysokości 800 dzieł, ale jakich! Drukowane to było we wszelkich możliwych alfabetach i pod pieczą najniemożliwszych nawet mecenasów oświaty narodowéj: w Wiedniu, Belgradzie, Atenach, Bukareszcie, Odesie, Konstantynopolu... Co do wewnętrznéj wartości tych skarbów, zależała ona wyłącznie od daty i miejsca pochodzenia tak foliału jak i ulotnego świstka. Zamiejscowe, nieupoważnione, zawierały wyłącznie frazesy rewolucyjne, wezwania do oporu, zachęty do odparcia gwałtu gwałtem, tudzież pożądane zawsze nowiny o bliskim upadku i rozkładzie barbarzyńskiéj potęgi wroga; miejscowe, w obieg puszczone, mówiły albo o sprawach kościelnych, albo téż—zgoła o niczém. Dziś, bez przesady rzec można, że „daleko sięgające" zamiary cywilizatorów nadbosforskich, spełniły się co do słowa, literalnie,—nie wpierw jednakże, aż wszelki ślad ich łask i mądrości zniknął, zatarł się wśród kwiecistych, wspaniale od przyrody uposażonych pobrzeży Jantry i Marycy. Na mocno osadzonych po-

dwalinach oświaty ludowéj, wzniósł się gmach wykształcenia narodowego, z którém do miary stanąćby nie sromało się żadne szkolnictwo stare, odwieczną tradycyą podparte i uwieńczone. Pod gorącém tchnieniem żądz, nadziei i swobód długo tłumionych, sponiewieranych, kilkuwiekowy odłóg umysłowości bulgarskiéj pokrył się od pierwszéj orki roślinnością tak bujną, różnorodną, jak gdyby na nią umiejętnie i z nieustającém wysileniem pracowały dziesiątki pokoleń. Literatura bulgarska najświeższéj doby, starannie ale doraźnie wypielęgnowana w tych inspektach pedagogicznych, sama przez to stała się może zanadto dydaktyczna, praktycznemi dążnościami przesiąknięta, ale taki jéj kierunek zdeterminowało położenie narodu, który, wygrawszy na loteryi życia największą stawkę, przedewszystkiém radzić sobie musiał z tém, ażeby otrząsnąć się z nędzy materyalnéj, oskrobać się ze skorup niedoli i nieudolności zewnętrznéj, pierwotnéj, fizycznéj. W ciągu niezliczonego szeregu lat Bulgar żył wyłącznie swoim domem—to była jedyna twierdza jego narodowości; nadzwyczaj mocne związki rodzinne, przy wielkiéj czystości obyczajów, ocaliły go od zagłady, ale zarazem opancerzyły łuskami takiego socyologicznego upośledzenia i zacofania, że zamknięty w téj zbroi niewolnik, stracił w końcu wszelką sposobność, a stąd i wszelką zdolność do karnéj akcyi zbiorowéj, do obywatelskiego obracania się w grupach i masach. Wytworzyć w Bulgarze zcalający ów kit towarzyskości, dorobić jednostkom niezbędne owe zmysły uspołecznionego istnienia—problemat ten jaskrawo zabarwił wszystkie działy współczesnego piśmiennictwa bulgarskiego: poezyę, dramat, romans, estetykę, krytykę, dziejopisarstwo — do geologii i astronomii włącznie.

W jakim stopniu powodzenie uwieńczyło jednomyślne te zabiegi celniejszych pisarzy zmartwychpowstałego narodu? — rozstrzygnięcie pytania spoczywa dotąd w ręku historyka, który obdarzy nas kiedyś nareszcie obrazem ogólnego ruchu umysłowości Słowian naddunajskich od r. 1844, na któréj to dacie Mickiewicz zamknął przedwcześnie swoje prelekcye paryskie; dziś, ciągle jeszcze pocieszać się tylko trzeba słowami wieszcza: ludy te mieszkają za daleko od nas — „na innym planecie"... Z odległości takiéj, naturalnie, dolatują do nas jedynie zjawiska najdobitniéj odskakujące od poziomu, ubocznie tylko przyczyniające się do charakterystyki powszednich trosk i widoków ludzi zamieszkałych na planecie „bratnim". Iwan Wazow, jako najznakomitszy dotąd poeta i powieściopisarz bulgarski i jego dwutomowy utwór „Pod jarzmem" *(Pod igo-to)*, spolszczony świéżo przez panią Helenę Sopodźkową, a od lat już kilku uważany przez Bulgarów za ich narodową epopeę w prozie, — nie wiele téż zapewne

nastręczy uwag, ułatwiających nam odpowiedź, czém jest bieżąca literatura bulgarska w rysach swych znamiennych, zasadniczych, wyraz całości zaznaczających. Bo i tę również osobliwość, najgłębiéj zresztą słowiańską, zaznaczyć trzeba, że epopea Wazowa dopiéro wtedy w Bulgaryi ogłoszona została za „narodową”, a jéj autor otrzymał miano „jednego z pierwszorzędnych żyjących mistrzów słowiańskich”, kiedy Anglicy po angielsku, Niemcy po niemiecku „Pod jarzmem” odczytali. Słuszność dodać każe, że Pypin już w r. 1880, niebawem po ukazaniu się celniejszych utworów poetyckich Wazowa, *Tągi-tie na Bągaria* (Bukareszt, 1877) i *Izbawlenie* (Bukareszt, 1878), dał się słyszéć z prognostykiem, że „jest to—jak się zdaje — największy z młodych wieszczów” (t. II, str. 1122). Wszakże, na widownię publiczną wystąpił on znacznie wcześniéj. Urodzony w r. 1850-ym w Sopocie, u podnóża Staréj Planiny, jednym z najbardziéj malowniczych zakątków południowéj Bulgaryi, otrzymał wykształcenie miejscowe, stosunkowo znaczne, gdyż ojciec jego, kupiec z zawodu, nie szczędził kosztów nawet na gimnazyum. Ale dusza młodociana nie rada pochylała się ku kantorkowi ojcowskiemu; nieporozumienie rodzinne, jakie się stąd wywiązało, pchnęło uwieńczonego już na ławach szkolnych śpiewaka „Sosny” (przypominającéj nieco naszą „Kalinę”) w wir życia dobrowolnie — tułaczego, wpierw nim skosztował gorzkiego chleba przymusowéj po r. 1876 wędrówki pośród obcych łanów. W robotach przygotowujących powstanie kwietniowe wziął udział żywy — i to się następnie najwyraźniéj odbiło w powieści „Pod jarzmem”, drgającéj wszędzie tętnem osobistych doświadczeń autora. Nie żałował ni pióra, ni natchnienia; te z jego utworów, które się przebiły przez mur czasopism bulgarskich, zginęły prawdopodobnie na zawsze dla potomności; inne, obrawszy drogę publikacyi ustnéj, gminnéj, dochowały się po dziśdzień, doczekały chwil szczęśliwych, kiedy ich melodye kapele wojskowe wygrywają na placach przedratuszowych w Sofii i Filipopolu... Spiskując na wygnaniu, po upadku ruchawki r. 1876-go, z późniejszym prezydentem ministrów Stefanem Stambułowem, Wazow dzielił téż następnie i tryumfy swego przyjaciela, gdy zwycięskie wojska rosyjskie sowicie pomściły srogą, nieludzką represyę rokoszu kwietniowego. Powołany na prezesa sądu okręgowego w Berkowicy, daléj na urząd prokuratorski w Widdyniu, poeta porzucił wkrótce służbę rządową i jako przewodniczący odnowionego w Filipopolu towarzystwa literackiego i redaktor jego organu „Nauka”, poświęcił się niepodzielnie umiłowanemu zawodowi pisarskiemu. Większéj, niż w dniach klęsk ojczystych dzielności i rzutkości, z siebie wydobyć nie zdołał, ale talent jego zmężniał, zrównoważył się, wyszkolił na do-

brych wzorach zagranicznych, głównie francuskich, i dał narodowi kilka rzeczy cennych, świetnych, dobrze przyjętych nawet na zawaloném bibułą targowisku zagraniczném, jak np. powieści i nowele: „Nie oddawna”, „Kątek w Staréj Płaninie”, „Czyczowcy”, — lub zbiorki utworów rymowanych: „Pieśń o zapomnianych”, „Pola i góry”, „Italia”, „W królestwie wieszczek” i t. p.

„Pod jarzmem” podoba się. Tłómacz polski próbował w przedmowie wyświetlić, na czém mianowicie polegają zalety dzieła; największéj z nich jednak, nie przewidzianéj przez estetykę w żadnym poszczególnym dziale, nie rozwinął należycie. Zasadza się ona na tém, że na czytelniku wykształceńszym, przesyconym sztucznemi dzisiejszemi wyrobami romansowemi, niewysłowiona prostota opisu i dokładność wysłowienia Wazowa wywierają to samo wrażenie, co kubek źródlanéj wody — na podróżnym w omdleniu lub na biesiadniku po przepiciu się. Siedzi rodzina bulgarska przy wieczerzy. Zupełnie zbyteczna jest tu rycina; najwyborniéj widzi się bez niéj kto mianowicie siedzi, jak siedzi, na czém siedzi, co jé, z czego jé, czém jé i czy mu jadło w smak idzie lub w niesmak. To nie pisane — to wyrąbane. Rozmowa: ojciec zapytuje syna, o czém dziś mówił nauczyciel w szkole. — „O wojnie z powodu dziedzictwa hiszpańskiego tronu...” „Dajże im pokój, tym Hiszpanom, — ot, opowiédz raczéj o tém, jak Bonaparte bił Prusaków”... — i malec tnie, że aż kark trzeszczy, a we łbie skry się sypią. Nagle, w głębi dziedzińca wszczął się hałas dziwny. Z dachu spadło z trzaskiem kilka cegieł, przestraszone kury zaczęły gdakać i trzepocąc skrzydłami rozbiegły się dokoła. Służąca, która właśnie zbiérała naczynia od wieczerzy, wrzasnęła przeraźliwie: hajducy! hajducy! W całym dworze powstał zamęt straszliwy. Kobiéty wybiegły z domu, dzieci ukryły się w kątach i stały jak oniemiałe, gospodarz wlepił chmurny wzrok w głąb dziedzińca, skąd dolatywała wrzawa. Po krótkim namyśle, poskoczywszy do swojéj izby, wypadł bocznemi drzwiami przylegającemi do stajni, trzymając w ręku parę pistoletów... Co w stajni znalazł — nie wiadomo. Dość, że gdy po niejakim czasie, który w domu wydał się długim jak wieczność, powrócił do izby, miał twarz całkiem spokojną, choć szedł szybko, jakby coś jeszcze było do zrobienia. Żonę i matkę zastał na wpół obumarłe z trwogi. Ujrzawszy go żywym i zdrowym, kobiéty wydały radosny okrzyk i schwyciły go za ręce, jak gdyby się bały, żeby znowu nie wyszedł. Gospodarz głosem równym najuroczyściéj je zapewnił, że nic na dziedzińcu nie znalazł. Prawdopodobnie kot lub pies przebiegł po dachu — dodał — a ta głupowata Pena (służąca) niepotrzebnie taki popłoch sprawiła... Nie kłamał. Na dziedzińcu istot-

nie nie było żywéj duszy, ale w stajni — zbieg był... Krył się przed pogonią. Swój zresztą, Iwanczo, syn dawnego dobrego znajomego, Manoła Kralicza. Umknął z turmy. Turcy już za nim, ledwie-że ich nie widać...

Nie znaczy to bynajmniéj, aby autorowi obcemi były głębsze tajemnice nowoczesnéj sztuki pisarskiéj i nieprzebrane zasoby jéj postaciowań i uwydatniań. Ale wszystko przychodzić u niego musi we właściwym czasie i na właściwém miejscu, a przytém najzgodniéj z odwieczną regułą wszelkiego logicznego nauczania, że rzeczy bardziéj złożone objaśniać należy z pomocą mniéj złożonych i do wielkości nieznanych trafiać za pośrednictwem drobiazgów znanych. Najpierw wypada nam szczegółowo zbadać, kim jest naprawdę ów zbieg Iwanczo i czy nim jest rzeczywiście. Syn Manoła Kralicza! — to łatwo wymówić: z Kraliczem nie widziało się wszak Bóg wié jak dawno, a oto właśnie wisus już drapnął ze stajni i jak się domyślać należy, akurat w chwili, gdy oddział żandarmeryi konnéj do wrót pałaszami załomotał. W nocy, powiadają, bito we wsi na trwogę, słyszano strzały — raz, drugi, trzeci, psy z za płotów ujadały i wyły jak wściekłe, na domiar zaś awantury, wiher zerwał się około północka szalony po dniu upalnym jak piekło... Skazaniec wywinął się tym razem pościgowi, dzięki zdwojonym ciemnościom nocy i zbliżającéj się nawałnicy. Biegł teraz coraz daléj i daléj, nie wiedząc dokąd; nogi uginały się pod nim ze znużenia, co chwila zdawało mu się, że padnie, by już nie wstać. Olśniewająca błyskawica naraz mrok rozdarła i ujrzał, że się znajduje za miastem; nikt za nim nie gonił. Runął wówczas pod najbliższe rozłożyste drzewo, aby choć trochę odpocząć. Wiatr rwący od strony gór, gwałtownie targał gałęziami, świst jego zléwał się ze szmerem liści i z głuchym odgłosem dalekiego grzmotu. Burza pędziła szybko, grom zahuczał nad samą głową uciekieniera, echem się rozlał w niezmierzonéj przestrzeni. Wobec nadciągającéj ulewy, młodzian puścił się w dalszą drogę, aby znaléść jakiekolwiek pewniejsze schronienie. Drzewa dokoła niego szumiały żałośnie, wysokie krzewy uginały się ku ziemi pod silnemi prądami powietrza, trawy i burzany kołysały się i szły jak fale wodne, przyroda, wstrząśniona do głębi, jęczała płaczliwie; tu i owdzie spadły pierwsze bujne krople dészczu, tętniąc na opoczystym gruncie jak kule...

Zawiązujący się wśród takich niepokojów atmosferycznych dramat, miałżeby być romansem w zwyczajném, pospolitém słowa znaczeniu? Wazow ustrzegł się dziwacznéj i nawet śmiesznéj maniery stowarzyszania (wtórującego lub kontrastowego) chórów niebieskich z powszedniemi i zazwyczaj marnemi objawami indywidualnych ludz-

kich bólów, zachwytów, cierpień, uniesień. Wié on, że nietylko niezbędny, istotny, lecz żaden widomy związek nie zachodzi między chybkiemi przypadłościami losów jednostek, a biegiem gwiazd i chmur. Maryonetka ludzka raz na słońcu płacze, drugi raz na śniegu skacze, tu obumiéra od przesytu na przednówku, owdzie rozmnaża się i panoszy od głodu pod jesień, — tam skwierczy, gdzieindziéj śpiéwa czy to w zimie, czy w lecie i t. d. Inaczéj podobno dzieje się na szerszą skalę, w dziedzinie zdarzeń dziejowych, w przelewnych i sypkich przeobrażeniach mas, gdzie owo uwzajemnienie człowieczego bytu ze środowiskiem przyrodzoném wyraźniéj spostrzegać się daje, jakkolwiek po licznych w naszych czasach omówieniach doktryny Herdera i Buckle'a, większe znaczenie zaczynamy przypisywać wpływom otoczeń drugorzędnych, pochodnych—antropologicznych, psychologicznych, historyozoficznych (dziedziczności, tradycyi, krzyżowaniu się ras, stosunkom politycznym, ekonomicznym etc.), niżli klimatowi, topografii i t. p. Autor „Pod jarzmem" za wielką rolę odegrał w gronie reformatorów i moralnych przywódców młodéj swéj społeczności, ażeby nie zapragnął dać jéj i na tym także terenie kilku lekcyi poglądowych, które jednakże--dodajmy to na jego pochwałę—bardzo szczęśliwie powiązały się z opisowością i obrazowością okolic, wypadków, przejść powstania kwietniowego, co w powieści historycznéj jest niewątpliwie na swojém miejscu. Góry, wąwozy, lasy, głuche zakątki bałkańskie, ich zadymki, śnieżyce, roztopy, spiekoty, ich flora i fauna, najdrobniejsze osobliwości i warunki ich geografii, statystyki i ekonomiki zaludnienia—toż to niemal cały determinizm, cała anatomia wykreślna ruchawki, cała racyonalna mechanika jéj zwrotów odpornych i zaczepnych. W obliczu niezmierzonéj téj matni przyczyn, powodów i niespodzianek twardych jak skała, nieubłaganych jak brak chleba wśród pustyni, nieuniknionych jak ostatni ładunek w ostępie osaczonym, — osobnik, choćby tak genialnym był jak Napoleon i tak zuchwałym, jak ten Iwanczo Kralicz, wracający z ucieczki i ukrycia do publicznéj działalności pod przybraném mianem i kostyumem Ognianowa, z konieczności schodzi na plan dalszy. Indywidualne jego zachcianki lub obliczenia, pomysły lub przekonania, — cóż te drzazgi obchodzić mogą ów huragan namiętności, który stopniowo zakradać się zaczyna do wszystkich głów i ogarniać najodleglejsze, najmniéj światu znane zaścianki i polanki bulgarskie, kędy zbieg nasz, szukając chwilowego przytułku i ocalenia, zatrzymuje się mniéj więcéj świadomie? Zasłonięta wzgórzem chata nad huczącym potokiem, gdzie mieszka młynarz z czternastoletnią swą córeczką w „krótkiéj czerwonéj spódniczce, o czarnych oczach z długiemi rzęsami" i gdzie zaczajony Kralicz-Ognianow,

w obronie ich czci i życia, głównie zaś we własnéj obronie, mimowolnie niemal zabija Emiksisza-Pehliwana, „najdzikszego, najokrutniejszego zbója tureckiego, którego imię napełniało trwogą powiat cały" (I, 22); stary monaster na rozległéj równinie, zasypanéj olbrzymiemi głazami i ocienionéj gąszczem odwiecznéj dąbrowy, gdzie mieszka młody dyakon Wincenty, wierzący w swą strzelbę tyleż przynajmniéj, co i w zastępy archanielskie śpieszące na odsiecz — i gdzie o świcie z zorzami rozhowor wiedzie stary maniak, jąkajło Munczo, który dopiéro ostatni, po skończoném powstaniu, zawiśnie na szubienicy tureckiéj (II, 278); jakaś zatłuszczona broszurka, „niewielkiéj wartości, nastrzępiona banalnemi frazesami patryotycznemi, z błędną ortografią, rozpaczliwemi okrzykami i obelgami na Turków, która smutnym stanem swych kartek zbrukanych i prawie na strzępy się rozpadających, wymownie o sobie świadczy, iż przeszła przez setki rąk i tysiące dusz napełniła płomiennym pokarmem" (I, 88); jakieś proroctwo ciemne, zagadkowe, niewiedziéć skąd pochodzące, a przecież najdowodniéj, bo z imienia „Turcyi" z liczebnego znaczenia liter tego wyrazu wykazujące, że państwo otomańskie nieodmiennie rozpaść się musi w r. 1876, wreszcie jakiś okrąglak dębowy, nasuwający się w stanowczéj chwili pod rękę, z którego dymisyonowany kapral wyciosać potrafi kształt armatki, przypominającéj jak dwie krople wody działa Kruppa z ilustrowanéj książki o wojnie 1870 r. (II, 97, 99), — alboż kwestye takie nie są stokroć donioślejsze od egotycznych pytań: jaka tam gdzieś sosna tęskniéj zaszumi i jakie dziewczę rzewniéj zapłacze nad mogiłą wodza, bohatéra?

Ale indywidualizm wcześniéj lub późniéj weźmie górę — w miłości. Miłość jest niewiędnącém kwieciem dusz ludzkich. Praw swych i przywilejów nie traci ona nigdy, czy się gaje kołyszą od pieśni słowiczych, czy wśród piorunów drżą lądów posady. Pieszczotliwego jéj głosu nie głuszy nawet wojna, która, kto wié, czy nie dla miłości właśnie kuje swe groty i swe żagwie rozpala... Do powieści Wazowa psychologia ta niewieścia wchodzi głównie pod postacią Radki, narzeczonéj Kralicza-Ognianowa, która umrzéć ma od kuli nieprzyjacielskiéj, pod okiem oblubieńca, przy nim, w ostatniéj scenie dramatu, zamykającéj opowiadanie.

Radka, było to wysokie, wysmukłe, ładne dziéwczę, z jasném, naiwném, niemal dziecięcém wejrzeniem i milutką twarzyczką, któréj białość śnieżną podnosił jeszcze bardziéj obowiązkowy strój czarny. Siérotą będąc od dzieciństwa, wychowała się ona pod pieczą przełożonéj monasteru żeńskiego w Sopocie, złośliwéj, oszczerstwami żyjącéj Hadży Roboamy; kazano jéj następnie, gdy podrosła, zostać „posłuszni-

cą" czyli nowicyuszką, wreszcie powierzono jéj dozorowanie pierwszéj klasy w szkółce żeńskiéj przy monasterze, z pensyą tysiąca piastrów rocznie. „Smutny jest los dziewcząt sierot! — powiada autor. Wcześnie pozbawione ojcowskiéj opieki i macierzyńskiéj tkliwości, rzucone na łaskę lub niełaskę obcych, rosną one i dojrzéwają, nie spotykając nigdy wśród obojętnych dla siebie osób życzliwego uśmiechu lub przyjaznego słowa, któreby ich tęskną duszę rozgrzało. Są to blade, nędznie w zimnym lochu zamiérające kwiaty, pozbawione koloru i aromatu, chybaby traf szczęśliwy wspaniałomyślnie rzucił na nie ożywczą smugę świateł... Ach, wówczas jakże się rozsłaniają cudownie!" Światłem dla Radki było przybycie do Sopotu Ognianowa, któremu współtowarzysze i współwyznawcy—celem upozorowania jego zjawienia się i zabezpieczenia pobytu — wyjednali jakąś posadę w szkółce. Kilka wytrawnie przez autora odmalowanych scen z życia klasztornego i bakałarskiego, zręczne ugrupowanie rozmaitych stronnictw — białych, czerwonych — zdrożnie i występnie wetujących wzajemne swe urazy na neutralném polu wychowania dziatwy, służą do zobrazowania warunków, w jakich się zbliżyły ku sobie dwie bratnie dusze. Wyrosłszy wśród duszącéj i zgniłéj atmosfery zakonnéj, pod opryskliwém i despotyczném kierownictwem plotkarki Roboamy,—Radka rzuciła się ku Ognianowowi niby ćma ku świécy, przylgnęła doń niby balsam do rany. Istna dalibóg zmowa, istne nieszczęście w czasach, kiedy samo dotknięcie do ust ukochanéj równa się zbrodni stanu, jest niemal zdradą ojczyzny. Małoż człek i bez tego ma roboty około chłopów, węglarzy, flisaków, po hutach, kuźniach, cegielniach?... Ale kiedy nie skutkowały ani udawane gniewy, ani szczerze powzięte zamiary obojętnego usunięcia się i umycia rąk od fatalnych następstw najlżejszéj bodaj z Radką poufałości koleżeńskiéj, Ognianów wziął się na sposoby. „Jest, widzisz pani, rzecz taka—ozwie się do niéj dnia pewnego prawie surowo—żyjemy w okolicznościach całkowicie wyjątkowych. Nikt za nic ręczyć nie może. Dziś tu, jutro tam. Nie rozporządzamy sobą, nie należymy do siebie. Nie sposób wytrzymać dłużéj. Kraj wymaga poświęceń, dużo poświęceń. Kraj potrzebuje obrońców—licznych, zahartowanych, dzielnych obrońców. ." Dziewczyna siedziała nieruchomie. Ogarnęła tylko Ognianowa wzrokiem jasnym, przejrzystym — i milczała. Mówił za nią, uśmiéch jéj cichy, błędnie dokoła warg obiegający. „Obrońców?... dzielnych, zahartowanych?... ależ właśnie, ależ właśnie..." Bo i prawda. Któż, jeżeli nie kobiéta da ich krajowi? kto, jeżeli nie ona wraz z paciérzem wpoi w nich poczucie honoru i obowiązku? kto czujnością matczyną piersi im uzbroi na niedolę, na niesnaski, na krzywdy istnienia?.. Ognianow się żachnął. Wstał, okręcił się po

pokoju i wybiegł, trzasnąwszy za sobą drzwiami. Ale, tak czy inaczéj, trzeba było z tém skończyć. Im wcześniéj i radykalniéj, tém lepiéj. Nie ma rady, wypadnie wprost rzeczy nazwać po imieniu, nie w bawełnę nie obwijać... I skorzystawszy z najbliższéj sposobności, rzekł o ile mógł szorstko: „Proszę pani, nie mam prawa okrywać się dłużéj półcieniem. Zniewalasz mię do wyznania... Niech że raz na zawsze wiadomém będzie, że jestem...” Radka podniosła oczy. „Tak jest, niech pani sobie wybije z głowy — znikły dla mnie nadziei promienie—jestem galernik, tułacz, zbrodniarz”... Ciemna chmura okryła jéj czoło... „Kajdaniarz, fałszerz, zbój, morderca”... Drgnął. Wydało się mu naraz, że w téj chmurze, nad szeroko rozwartemi źrenicami ubóstwianéj dziewczyny, dojrzał błyskawicę, kreślącą najwyraźniéj, najdobitniéj roziskrzone słowa: „Chwałaż Tobie, o wielki Boże!.. A więc, po co zwlekać? Uciekajmy! czémrychléj uciekajmy w kąt jaki zapadły, w otchłań bezdenną, pod ziemię bodaj, byle tylko jak najdaléj, byle tylko jak najgłębiéj”... — „Nie łudź się, pani, to się na nic nie przyda, to nie pospolite jakieś przestępstwo, dla którego może być kiedyś łaska, przebaczenie... Czy wiész pani, ilu Turków zgładziłem ze świata... i jakich? Najpierw, głośnego Emeksisza Pehliwana, niechcący,—późniéj, w zasadzce w kilku, czterech... Co pani jest?... z czego tu być zadowolonym?... Sądzisz może że na tém koniec?—Napadliśmy niedawno na konwój z piętnastu zaptiów”... Radka jak szalona skoczyła na szyję Ognianowa. Oczywiście, — co tu i gadać długo! Im mniéj będzie tureckiego tego tałałajstwa na ziemi, tém więcéj niemowlęta będą mieć chleba, tém przestronniejsze łany pług oświaty zaorze, tém spokojniéj odetchnie pracownik w winnicy Pańskiéj (I, 73, 86, 232 i inne).

Sielanki z istoty swéj nie są trwałe. Jak w mglistą noc świętojańską gorejące stosy sobótki zaledwie tu i owdzie nikłemi odblaskami muskają bliższe i wynioślejsze wzgórz stoki, drzew wierzchołki, domostw szczyty, tak i erotyzm Wazowa filigranowemi nitkami swych złoceń wije się jedynie po przez wydatniejsze momenty obrazu, którego głębie nie przestają nurzać się w cieniach gęstych,—niekiedy ponurych, grottgerowskich. Historyozoficzny pogląd autora na wypadki kwietniowe zdradza się z cierpieniem jakiémś wewnętrznem, tajonem, w którém czuć trawiącą gorycz upokorzenia — nie tyle może z powodu niezmiernych strat przegranéj—zatartych późniejszym tryumfem — ile właśnie z powodu owego tryumfu, niezapracowanego, odniesionego nie o własnéj sile... „W ciągu dni kilku powstanie wszędzie zostało przytłumione. Walka zakończyła się okropnie, zamieniwszy się w trwogę bezmyślną. Dzieje dają nam przykłady walk również świętych a nie-

szczęśliwych, ale okrytych nie tak tragiczną niesławą. Powstanie kwietniowe było dziecięciem poczętém pod wpływem upojenia najognistszą miłością i uduszonem przez matkę z trwogi w chwili powicia... Nieszczęsna ta rewolucya nie miała nawet swéj historyi, gdyż trwała tak krótko, jak ogień ze słomy. Złote nadzieje, wiara głęboka, olbrzymia siła moralna i zapał, cały kapitał osiągnięty z kilkowiekowego cierpienia wszystko to zmarnowało się w dniu jednym, — w noc jedną!... Straszne przebudzenie! A ilu męczenników! ile ofiar! ile śmierci i upadków!... Tak, bezwątpienia — ale i bohaterstwa trochę, i jakiego bohaterstwa!.. (II, 211—212).

W szczegółowych rzutach półświateł na powyższe tło powieściowe, godną zastanowienia jest męzka, przed niczém nie cofająca się odwaga, z jaką Wazow karci organiczne wady charakteru narodowego i niektóre cięższe zboczenia niedojrzałości politycznéj. Nie szczędzi on razów ani krańcowym zachowawcom bulgarskim, którzy woleliby „raczéj zgnić niż się bić”, ani niecierpliwym postępowcom, którzy wywiesili hasło: „trzeba natychmiast umrzéć, żeby się kiedyś wyswobodzić.” Wstrętną jest dlań zarówno zaciętość pierwszych w godzeniu się na najbardziéj upadlające wymagania zwycięzców, jak i zagorzała, w środkach nieprzebierająca, nożem skrytobójczym, kradzieżą wdowiego grosza, najbezczelniejszym nawet podstępem nie pogardzająca nienawiść obcego panowania. Najdotkliwiéj boli go—jak się zdaje — nieoględność, nieroztropność, zarozumiałość, pyszałkostwo narodu, który rozbudziwszy w sobie ducha do pewnéj wysokości, nie umiał, nie chciał, nie zdążył powstrzymać się na nich, by zejść w porę na niziny, by zlać na nie dobrodziejstwa błogiego ocknięcia się z drzémki śmiertelnéj. „Wiosna wcześniéj niż zwykle rozwinęła się w całéj pełni i zamieniła Tracyę w prześliczny rajski ogród; pola zasadzone różami kwitły nadzwyczaj obficie, niwy obiecywały bogate plony, a zżąć ich nie sądzono było nikomu... W dni kilka — co rzadko się zdarza na świecie — tajemnie wzrósł naród o całe stulecie” (II, 109). Gdyby w stanowczéj téj dobie opamiętano się naraz, powiedziano sobie: basta! Ale cóż, historya nie zna, znać nie chce żadnego „gdyby”, pomimo, że w danym wypadku przypuszczenie tak blizko graniczyło, zlewało się niemal z aktualnością realną, dotykalnie możliwą, wobec bierności władz tureckich, które częścią straciły głowę, częścią nadrabiały swą niezaradność lekceważeniem „hałasów zajęczych,” częścią zaś najszczerzéj po wschodniemu spuszczały się na Allacha. Miłe, ujmujące też czyni wrażenie zimna krew autora, jego ludzkość i wyrozumiałość w traktowaniu wczorajszych zaklętych wrogów, zepchniętych dziś na stanowisko mniéj więcéj przyzwoitych sąsiadów.

I. T. H.

FRANCUZI I ANGLICY.

Porównanie.

Są wyrazy tak utarte, tak powszednie, że się ich istotne znaczenie gubi i zaciéra, jak się zaciéra na zdawkowéj, w ciągłym obiegu będącéj monecie, znamię mennicy. W ich rzędzie wymienić można wyrazy: Zachód, cywilizacya zachodnia i t. d. Nie ma wątpliwości, iż obejmują one pojęcie dwóch społeczeństw, dwóch państw górujących na zachodnim stoku Europy—Francyi i Anglii. Ale gdy się je sprowadza do jednego mianownika, spuszcza się zazwyczaj z uwagi, że są to czynniki nie tylko odmiennéj, lecz pod wielu względami nawet wręcz przeciwnéj sobie natury. I przewidziéć téż łatwo, że się stąd wysnuwają wnioski całkiem fałszywe albo przynajmniéj niedokładne.

Fizyologia atoli organizmów zbiorowych, tak samo jak pojedyńczych, czyni postępy, dzięki zastosowaniu metody porównawczéj. O świecie zachodnim nabierze się jasnego pojęcia wtedy dopiéro, gdy w każdéj sferze ustroju towarzyskiego, pod względem zwyczajów, obyczajów, trybu życia, i t. d. odróżni się Francuzów od Anglików i jednych drugim przeciwstawi. Prawda że postęp czasu, wspólność bytu i interesów znoszą coraz bardziéj i niweczą dawniejsze różnice plemienne pomiędzy narodami i niwelują je w jednym powszechnym prądzie cywilizacyjnym. Ale jednolitość ta ślizga się nie raz tylko na powierzchni. Zstąpiwszy do głębokich warstw wewnętrznych, wnet

spostrzeżemy, że położenie geograficzne, przebieg historyczny, tradycye, religia, instytucye publiczne, ustawy, prawa, moralność, piśmiennictwo, sztuka, wyrobiły u sąsiadujących z sobą społeczności odmienne środowiska zbiorowe, że inny jest ich duchowy horyzont, inne ideały, inne *criterium* moralne i inna akcya prywatna i publiczna.

Jeżeli dla nas, postronnych, różnice pomiędzy dwoma społeczeństwami Zachodu mniéj są namacalne aniżeli ich gatunkowa jednolitość, to inaczéj rzecz się ma we własném ich wzajemném na siebie zapatrywaniu. Są oni świadomi przedewszystkiém tamtych. Ten wąski kanał, co dwa kraje dzieli, mógłby być tysiącomilowym oceanem a nie powiększyłoby to istniejącego pomiędzy niemi rozróżnienia. Przez trzy wieki, od Filipa-Augusta, Anglicy byli dziedzicznym wrogiem, najezdnikiem i zdobywcą Francyi. Nawet gdy ta wielowiekowa walka straciła na energii, nie zaginęła jéj pamięć. Dziś oba narody mogą zawrzéć z sobą przymierza polityczne: nie może to miéć wpływu na ich ustrój wewnętrzny. Francuz i Anglik tak mało są jeden do drugiego podobni, że możnaby ich uważać za mieszkańców dwóch różnych planet. Podróżują, przebywają całemi latami jedni u drugich, tłumaczą swe książki, zawierają indywidualne przyjaźni, ale pomimo tego dobrze wiedzą, że dzielą ich całe światy.

Ażeby wewnętrzną ich naturę zrozumiéć, nie ma tedy lepszego sposobu, jak posłuchać co Francuzi mówią o Anglikach, a Anglicy o Francuzach. Wydając sąd o sąsiadach, wydają jednocześnie o sobie samych, robią malowidło, o którego podobieństwie do oryginału nie może być najmniejszego wątpienia.

Źródeł do takiego studyum jest nieprzebrana obfitość, szczególnie ze strony angielskiéj. Nawet w oddalonych czasach Anglicy studyowali Francyę i Francuzów skrupulatnie i mniéj nimi pogardzali aniżeli innymi cudzoziemcami. Duch kosmopolityczny, który umieją pogodzić z wygórowaném poczuciem swéj własnéj wartości, pozwolił im wniknąć w jądro natury Francuzów. Nie tylko wykształcone warstwy społeczeństwa angielskiego są doskonale, gruntownie i wszechstronnie poinformowane o wszystkich objawach życia francuskiego, ale nawet nieraz w szerokich, podkładowych warstwach napotkać można taką znajomość. Trzeba też przyznać, że krańcowa centralizacya francuska,ześrodkowanie życia narodowego w jego stolicy, Paryżu, czyni obserwacyę łatwiejszą, jeżeli nie zawsze sprawiedliwą.

Ze strony Francuzów mniéj było pohopu do poznajomienia się z Anglikami. Naprzód stawała temu na przeszkodzie zarozumiałość i pycha. Uważając się za „najpierwszy z narodów" lekceważyli resztę świata. Następnie, za dobrze było im na swojéj własnéj grzędzie, ażeby

lubili podróżować, osiedlać się za granicą. Nieznajomość języka i literatury przyczyniała się także do ujemnych rezultatów. Z wyjątkiem Monteskiusza, ani jeden z przewodnich umysłów francuskich dawniejszych czasów nie rozumiał Anglików. Ci nawet, którzy, jak Voltaire, obdarzeni byli wyjątkową bystrością spostrzegawczą, mogli gościć i przebywać w Anglii a nie zdawać sobie jasno sprawy z ich cywilizacyi.

Dziś rzeczy się zmieniły radykalnie. Jeżeli „Historya literatury angielskiéj" Hipolita Taine'a dała sygnał do rozbudzenia we Francyi interesu do umysłowéj twórczości sąsiedniego społeczeństwa, to przełomową chwilą był rok 1871 i katastrofa wojny niemieckiéj. W świetle jéj tragiczném ujrzeli dopiéro Francuzi niewynagrodzoną szkodę, jaką im przyniosło pogardliwe lekceważenie obcych narodów; zrzuciwszy pychę z serca zaczęli badać naprzód Niemców, potém Anglików. Trzeba przyznać, że dokonali pod tym względem cudów. Nie ma pola działalności angielskiéj, któraby nie stała się we współczesnéj Francyi przedmiotem badań i dociekań. Ze Szkoły Nauk Politycznych p. Emila Boutmy wyszły już całe pokolenia publicystów, ekonomistów, którzy studyują organizm publiczny Wielkiéj Brytanii. W dziedzinie literatury, sztuki i t. d na tuziny liczyć się już dają prace oryginalne nad angielską twórczością umysłową. Są pomiędzy niemi takie, jak te, co wychodzą z pod pióra p. Juliana J. Jusserand, które w Anglii, w krótkim przeciągu czasu stały się klasycznemi. Opinie i sądy Francuzów o Anglikach wyjaśniają się, prostują a coraz rzadszemi stają, te potworne niedorzeczności, które przed jaką ćwiercią wieku jeszcze wygłaszane tam bywały.

Ale nie chodzi nam wyłącznie o wiedzę, o piśmiennictwo, o sztukę. Na tém polu, i w téj sferze, że tak powiemy abstrakcyjnéj i idealnéj, istniała i dawniéj już znajomość, byli ludzie dobréj woli i dobréj wiary, którzy zapuszczali sondę i notowali każdy symptom wybitniejszy. Lecz można znać przeciętnie piśmiennictwo jakiego narodu a o nim samym nie posiadać wyobrażenia. „*Wer den Dichter will verstehen, Muss in Dichters Lande gehen*" powiedział słusznie poeta. Tego niedostawało Francuzom. Nie żyjąc wśród Anglików, stroniąc od nich, nie rozumieli ich zwyczajów, ich trybu życia, ich sposobu myślenia. Dopiéro obecnie łuska spadać im z oczów zaczyna. Gdy coraz szersze kręgi społeczności francuskiéj będą przebywać wśród środowiska i otoczenia angielskiego, posiądą tę samą znajomość ich natury i bytu, jaką często posiadają o nich Anglicy. Sprawozdania doraźne dziennikarzy i reporterów, studya nad rozmaitemi stronami społeczeństwa takie, jakie wychodzą raz po raz z pod pióra pisarzy jak: Daryl, Filon,

Mourcy, Mile, Brada i wielu innych, przyczyniają się wielce do wtajemniczenia Francuzów w niezrozumiały dla nich uprzednio świat brytański. Ciekawość co do téj obyczajowéj strony jest widocznie rozbudzona już na dobre. Jako przykład przytoczyć można bajeczne powodzenie, jakie znalazły książki Pawła Blouet, piszącego pod pseudonymem Max'a O'Rella. *John Bull et son Ile* doczekał się już 61-go wydania, *Les Illes de John Bull* 52-go, a dwa późniejsze, *Les chers Voisins!* i *La Maison John Bull et C-o* 22-go i 10-go. Dalecy jesteśmy od pisania się wszędzie i zawsze na sąd wydany o Anglikach przez tego pisarza. Brakuje mu w wysokim stopniu gruntowniejszego wykształcenia, a tam gdzie się znajduje wobec głębszego jakiego zagadnienia, nieraz wywija się konceptem. Ale pomimo téj powierzchowności jego monografii, z pośród których, używając francuskiego wyrażenia, *il faut en prendre et en laisser*, są cennym nabytkiem dla téj porównawczéj fizyologii społecznéj, która jedynie doprowadzić jest w stanie do zbliżenia narodów, do ujednostajnienia ich poziomu i wytworzenia pomiędzy niemi solidarności umysłowéj i moralnéj, więcéj jeszcze aniżeli materyalnéj.

Porównywając w dalszym ciągu niniejszéj pracy Francuzów z Anglikami, nieraz przyjdzie nam powoływać się na sąd Maxa O'Rella właśnie dla tego, że jest on wyrazem przeciętnéj opinii Francuza, co wyrwawszy się z wielu śmiesznych a ciasnych uprzedzeń, jakie kołaczą się jeszcze u jego rodaków, nie wynarodowił się i jest niezaprzeczenie żywą gałązką co z pnia francuskiego wystrzeliła. Możnaby ze strony angielskiéj przeciwstawić jego pracom tuziny książek, ale nie łatwo by znaleść pomiędzy niemi bezstronne. W każdym razie nie można jako ich wzór i typ wymienić najpoczytniejszych w chwili obecnéj, a są niemi wspomnienia kapitana D. A. Bingham i szkice p. Alberta Vandano [1]). Można się dziwić, że dziennikarz angielski, od wielu lat osiadły w Paryżu, może pisać takie banialuki i ze swych przelotnych efemeryd wybierać tak niedokładne, przestarzałe i płytkie szkice do grubéj i o trwałe miejsce pretendującéj książki. Za najlepszą, najgruntowniejszą pracę zajmującego nas tutaj działu, uważać jeszcze należy książkę z przed lat siedmiu, któréj autorem jest p. Filip Gilbert Hamerton [2]). Artysta malarz z zawodu, przemieszkiwał on przez wiele lat nie w Paryżu tylko ale i na prowincyi we Francyi, zapoznał się gruntownie z jéj życiem domowém a posiadając umysł bystry, pióro

---

[1]) French Men and grand Manners—Od chapten and sketches, London, Chapman, 1895.

[2]) French and English. A comparisiou. London, Macmillan. 1889

łatwe, uposażony, co główna, w obiektywną bezstronność, nie ubiegając się o popularność u swoich przez satyrę na obce społeczeństwo, autor ten w wyżéj wymienionéj pracy i wielu innych przedstawił z godną szacunku powagą i obustronną sympatyą obraz dwóch społeczeństw zarówno na punktach gdzie się stykają, jak na tych gdzie się rozchodzą. Nie podobna obrać sobie lepszego odeń przewodnika, tém bardziéj że jest systematyczniejszy w metodzie pisania od większéj części swych rodaków.

Ażeby zrozumiéć człowieka trzeba zacząć od dziecka, od jego wychowania. Już od pierwszych jego lat inaczéj kierują niém rodzice we Francyi a w Anglii. We Francyi jest dziecię pieszczochem, a niebawem tyranem domu. Matka jest jego piastunką, jakby go chciała wynagrodzić za to, że mu swego mléka nie dawała. Od najmłodszych lat dziecko we Francyi siada do stołu z rodzicami, spotkać je można w salonie mieszające się do rozmowy dorosłych, jego uwagi, spostrzeżenia mają znaczenie. Wyrabia to wprawdzie zazwyczaj pomiędzy matką a synami ten ścisły związek, to przywiązanie nieograniczone, które jest przedmiotem podziwu Anglików, ale rozpieszcza nieraz naturę chłopców, pozbawia ich męzkiego hartu i energii. Pozostawanie dzieci wśród grona starszych wyzuwa je także z dziecinnéj naiwności i prostoty i daje wcześnie narowy późniejszego wieku, sceptycyzm, ironię, prozaiczne zapatrywania.

W Anglii matka daje zwykle pierś swemu dziecięciu, ale następnie oddaje go w ręce piastunki. Ta ostatnia zajmuje się liczną czeredą dzieci, zwykłą w rodzinach angielskich. Dzieci mają swoje sypialnie, a salon i szkoła, oraz pokój jadalny, mieści się w *nursery*. Ten pokój jest sferą, w któréj spokojnie wzrasta i rozwija się dziatwa. Tylko przy drugiém śniadaniu — *lunch*, który jest obiadem dla dzieci, zasiadają one z matką do stołu; ojca widują tylko w przelocie, albo gdy potrzeba jego dyscyplinarnéj interwencyi. Nikomu w Anglii na myśl nie przychodzi wprowadzać dzieci do salonu, gdzie rodzice i goście się znajdują. Pod dozorem piastunek, a potém bon i guwernantki wzrastają w cielesnym rygorze, hartowani przez zimne kąpiele, gry na świeżém powietrzu. Dzieci przestają z dziećmi: zachowuje to im długo młodocianą świéżość umysłu i charakteru. Nic rozkoszniejszego, jak widok dziatwy angielskiéj w klasach średnich: świéże, wesołe, hałaśliwe, ale nie zepsute, znające rygor i uszanowanie dla starszych, wzrastają jak kwiaty, co z czasem w owoc przerodzić się mają. Nie ma tu owéj cieplarnianéj sztuczności i przesadnéj troskliwości, jaka panuje we Francyi.

Umysłowo dzieci francuskie daleko wcześniéj zaczynają pracować. W Anglii rozwijają ich organizm fizyczny i hart, naukę zostawiają szkole. Pod jednym względem w pierwszém wychowaniu zachodzi jaskrawa różnica. Od lat najmłodszych codzień niańka, a potém nauczycielka czyta angielskim dzieciom rozdział Biblii: stąd pochodzi ich gruntowna znajomość Pisma ś-go, któréj ślady napotkać się dają przez cały ciąg życia w cytatach i napomknieniach. Nie mogą Anglicy zrozumiéć owéj nieświadomości francuskiéj pod tym względem: Francuskie dziecko zna *Histoire Sainte* z powiastek i anegdot dla nich przygotowanych; Anglicy karmią się dzień po dniu w *nursery*, w szkole, w zawodowém życiu następném tekstem Biblii.

Zaraz od pierwszych lat uwidocznia się odmienny ideał, przewodniczący rodzinom w wychowaniu młodego pokolenia. We Francyi ideał jest estetyczny, artystyczny, a wytworność form, sposób prowadzenia rozmowy, wysławiania się nigdy z uwagi nie schodzi. W Anglii ideał jest moralny i idzie o wyrobienie w młodzieńcu hartu duchowego, wstrętu do kłamstwa, niezależności charakteru. Francuz jest gadatliwy, szczebioce jak szczygieł, wypowiada swe uczucia i zapatrywania; Anglik jest zamknięty w sobie, tłumi swe wrażenia, uczuć swych nie pokazuje na zewnątrz, a nie przywykły do rozmowy czuje mniéj do niéj pociągu. Anglicy czują pogardliwą litość dla Francuzów, co płaczą, co objawiają swe uczucia bez żadnych zastrzeżeń; ściśnięcie ręki jest u nich wystarczarczającym znakiem sympatyi. Nikt w Anglii nie wymienia całusów: uchodzi to tylko kochankom zaręczonym; u innych jest nieprzyzwoitością i rodzice z dziećmi nawet, gdy już wychodzą po za progi *nursery*, ograniczają się do *shakehand*.

Ten rygor, w którym trzymana jest manifestacya zewnętrzna uczuć, oddziaływa na stosunki rodzinne. We Francyi są one utrzymywane i przestrzegane. Zgromadzenia peryodyczne rozstrzelonych członków rodziny, wizyty noworoczne, regularna wymiana listów, daje Francuzowi poczucie związków rodzinnych. Daleko mniejsze jest ono w Anglii. Rozproszeni po koloniach bracia i siostry stają się zupełnie dla siebie obcymi i nie widzą potrzeby najmniejszéj troszczenia się o dalszych członków rodziny. Nawet gdy mieszkają pod jednym dachem, trzymają się od siebie zdala. Wybór przyjaciół jest dowolny, ale rodzina jest obowiązkową: znajdują tedy, że w razie gdy obowiązek ten ciąży, nie ma powodu brać go na siebie. Piszący nie może zapomniéć zdziwienia, jakie w nim wywołało, w początku jego pobytu w Anglii, stronienie od siebie członków rodziny, w któréj panowała harmonia i zgoda: syn na ślub swój nie zaprosił własnéj swéj matki, mieszkającéj w téj saméj dzielnicy i z pomiędzy swych braci i sióstr wybrał

jednych, a pominął drugich. Nie dziwi to w Anglii nikogo, gdzie nie zadają sobie troski o wyrabianie uczuciowéj strony życia.

Byłoby niesłusznèm wnioskować stąd o oschłości serca u Anglików. Ciepło wewnętrzne nie manifestuje się tyle w słowach, ale w czynach spotkać je można na każdym kroku. Solidarność członków społeczeństwa i ewangeliczne miłosierdzie jest rozwinięte wysoce i obejmuje cały naród w jedną, gęstą sieć pomocniczych instytucyi. W etacie domowym każdéj, nawet względnie tylko zamożnéj rodziny, jest oddzielna rubryka na subskrypcye publiczne i wsparcia; około każdéj bogatszéj grupuje się w promieniu uboższa klientela. Nie zamykają się Anglicy w zimném, abstrakcyjném, że tak powiemy, przesłaniu swéj rocznéj subskrypcyi na szpital, dom przytułku, ochronkę, czytelnię i t. d., ale sami działają, sami przykładają rękę do filantropijnego dzieła. Troska o dobrobyt bliźnich nie ogranicza się do materyalnéj sfery, ale rozciąga się do uprzyjemnienia życia nieszczęśliwych i upośledzonych. W szpitalach urządzane są regularnie koncerty, odczyty, zabawy dla rozrywki chorych, starców, kalek; dla szkółek elementarnych organizowane bywają wycieczki wiejskie, przejażdżki, dla panien sklepowych, dla wszystkich oficyalistów, pomocników, dla robotników, czeladników, dla służby urządzane są kluby, miejsca do towarzyskich zebrań, zabawy i rozrywki. Wprawdzie narodowe bogactwo, wyższe w Anglii, aniżeli w innych krajach, jest w stanie umożebnić tego rodzaju zakłady i organizacye, ale rezultatem systematycznego i wszechstronnego działania w tym kierunku, było zbliżenie się klas jednych do drugich, przeniknięcie się pieczą o zrobienie im życia znośniejszém i przyjemniejszém. Nie może być wątpienia, że stało się ono dla warstw majątkowo upośledzonych daleko łatwiejszém i barwniejszém w Anglii, aniżeli we Francyi.

Uwagi powyższe zastosować się także mogą do służby domowéj. Jest to, jak wiadomo, czynnik pierwszorzędny familijnego bytu i niesłusznie zostawiany odłogiem przez spostrzegaczy społecznych. W Anglii, gdzie bogactwo jest większe i ostentacya większa, więcéj służby jest w domach prywatnych, aniżeli we Francyi. Wygląd jéj jest także inny i daleko lepszy. Każdy świéżo przybywający ze stałego lądu dziwi się owéj świeżéj sukni płóciennéj i czépeczkowi, które służące noszą rano, w popołudniowych godzinach wszystkie zmieniają te suknie na czarną, przystrojoną w muślinowe, białe, ozdobne fartuszki i takież ubranie na głowie. Służba kobiéca wygląda w niezamożnych nawet rodzinach nietylko przyzwoicie, ale wytwornie, i różni się całkiem od owéj brudnéj, niechlujnéj i spoufalonéj bony francuskiéj. Łatwo zrozumiéć można ujemny charakter tych ostatnich, gdy się wié, że

w ciasnych mieszkaniach francuskich, służące są w ciągłém zetknięciu się z rodziną, w któréj służą, a że własne ich pokoje na ostatniém piętrze kamienicy są teatrem rozwiązłego życia i wszelkiego rodzaju nadużyć. Inaczéj w Anglii. Służba ma ściśle zakréślone sobie obowiązki, ale traktowana jest przyzwoicie. W osobnym pokoju, obok kuchni, w suterenach jest ich jadalnia i salon z kobiercami, kwiatami, rycinami, biblioteką. Tam w godzinach po za obowiązkowych te istoty ludzkie używają poczucia swéj ludzkości. I w Anglii są głośne skargi na złą służbę, ale gdy się ją porówna do francuskiéj, trzeba przyznać, że stoi na wyższym szczeblu uspołecznienia. W domach bogatych w Anglii jest więcéj służby stosunkowo: trzymana jest nietylko dla swéj użyteczności, jak we Fracyi, ale do ostentacyi, dla pompy, o którą Anglikom bardzo idzie.

Wkroczyliśmy tu w dziedzinę domowego komfortu. I wyraz, i rzecz jest *par excellence* angielska. Nie potrzeba przypominać, że w skromnych nawet domach angielskich jest on rozwinięty i posunięty do stopnia, o jakim nie marzą znajdujący się na równéj stopie towarzyskiéj i majątkowéj, Francuzi. Uczynić dom swój zdrowym, wygodnym, zaopatrzonym we wszystkie potrzeby, jest w Anglii niezbędnym warunkiem bytu rodzinnego. Pierwszym warunkiem jest hygiena. Dbając o nią, Anglicy przekładają oddzielne domy dla każdéj rodziny, aniżeli apartamenta w kamienicach-koszarach: domy w Londynie, z ogródkiem, łazienką, kuchnią w suterenach, pokojami bawialnemi, jadalnią, biblioteką i odpowiednią liczbą pokojów sypialnych są mimo tego o połowę tańsze, aniżeli ciasne i nie wygodne apartamenta paryskie. Zauważyć należy, że w każdym domu angielskim jest co najmniéj jeden pokój gościnny, rzecz nie znana i nie odpowiadająca pojęciom francuskim. Kanalizacya jest przedmiotem nietylko municypalnego dozoru, ale ciągłą troską mieszkańców. Woda jest dostarczana bez kontroli i najmniejszego ograniczenia do każdego domu. Oprócz łazienki, która i w najpodrzędniejszych domkach istnieje, rury doprowadzają wodę ciepłą i zimną do pokojów sypialnych i gabinetów toaletowych: zimny *tub* jest instytucyą, któréj rasa zawdzięcza swą czerstwość i wygląd fizyczny. Ponieważ idzie Anglikom o jaknajwiększą ilość świéżego powietrza, zatém nietylko zimą nawet okna na roścież są przez kilka godzin otwierane, ale w pokojach sypialnych nie ma żadnych niepotrzebnych mebli i ozdób. U Francuzów pokój sypialny jest często rodzajem salonu, do którego wchodzą obce osoby, sama myśl ta wydaje się Anglikom nieprzyzwoitością i można gościć długo i poufale, w jakim domu nieraz, a nie przestąpić nigdy progu pokojów sypialnych rodziny.

Po dbałości i pieczy o zdrowie, komfort angielski polega na wygodzie, oszczędzaniu czasu i fatygi. Służba jest punktualna, cicha i szybka; meble wygodne, kobierce grube, biblioteki niskie, dostępne, światło gazowe lub elektryczne pod ręką. Zastawa stołowa posiada ulepszenia, specyalizacyę, że tak powiemy, o któréj Francuzi nie mają pojęcia. Tak jak nikt nie siada, do stołu, na którego białym obrusie nie byłoby świeżych kwiatów, błyszczącego srebra, przejrzystych kryształów, kolorowéj porcelany, tak żaden Anglik nie przypuszcza, żeby można było kłaść gorące potrawy na zimne talérze, albo nie zmieniać noża i widelca do każdéj potrawy. Dla Anglika obiad nie jest tylko funkcyą fizyczną, ale ceremonią towarzyską. Nie może on zrozumiéć Francuza, co jé na ceracie zamiast na obrusie, któremu nie chodzi o wykwintną zastawę stołu i który pozwala członkom rodziny zasiąść do obiadu w szlafroku, albo rannéj sukni. W Anglii dzień w dzień, czy są goście, czy ich nie ma, państwo domu i wszyscy domownicy przebierają się do obiadu. Pod względem gastronomicznym, mimo olbrzymich postępów, jakie uczynili Anglicy, zostają oni daleko po za Francuzami i codzienny obiad ich zostawia wiele do życzenia. Ale jest on centralnym punktem i uwieńczeniem dnia. Zajęcia zawodowe męża, a gospodarskie lub macierzyńskie żony, ustępują miejsca towarzyskiemu obcowaniu, które przybrane jest w najwytworniejsze formy. Nie podobna nie przyznać, że takie obyczaje, które przeszły w krew Anglików, uczyniły ich średnią klasę daleko bardziéj wyrafinowaną, aniżeli na stałym lądzie. Mieszkańcy Francyi pojąć nie mogą, dlaczego Anglicy utaić nie są wstanie swojéj dla nich pogardy; zagadka to przecież niezbyt trudna. Gdy Anglik spostrzega, iż Francuzi np. nie biorą rano zimnéj kąpieli, że nie przebierają się do obiadu, że zachowują przy obiedzie formy, które w jego oczach uchodzą za nieprzyzwoite i grubiańskie i t. d. dochodzi on do wniosku, iż nie są gentlemanami, to znaczy, że nie są dobrze wychowanymi ludźmi.

Smak artystyczny i ozdoby dekoracyjne stanowią ostatni szczebel komfortu. Nie ma wątpienia, że pod tym względem Francuzi prym trzymają. Synowie południa mają smak dobry, przekazany sobie drogą atawizmu może od Greków jeszcze, i posiadają zmysł plastyczny form i barw wysoce wykształcony. Wprawdzie pomiędzy Paryżem a Francyą istnieje różnica ogromna, ale bądź co bądź Anglicy są upośledzeni pod tym względem. Są nieraz w ich domach sprzęty, ozdoby, fraszki i cacka straszne, potworne, a obok jakiego obrazu wielkiego mistrza, obok jakiego egzotycznego wyrobu, wysoce ciekawego, mieszczą się przedmioty i graciki szpetne. Nie ma harmonii w układzie, nie ma myśli artystycznéj, a panuje zwykle chaotyczne przeładowanie.

Jest to prawda, ale prawda raczéj wczorajsza, aniżeli dzisiejsza. Pod względem estetycznego wykształcenia, Anglicy uczynili w ostatniéj ćwierci wieku olbrzymie, nieprawdopodobne postępy. Otworzyły się im oczy na wiele form i objawów piękna, które dawniéj były im niezrozumiałe. Pracują nad wyrobieniem u siebie oryginalnego stylu. Za renesansem Elżbiety i odżyciem nowo-gotycyzmu w budownictwie, który zastąpił sztywny i nieodpowiadający klimatymatycznym warunkom klasycyzm, poszło przeprowadzenie tego samego stylu w sprzętach i ozdobach. Wyśmiewano i wyszydzano estetyzm, będący odroślą pre-rafaelizmu i nie ulega wątpliwości, że jego przesada i jednostajność stały się nużącemi. Ale przyczyniły się do wytworzenia w angielskich domach atmosfery artystycznéj, któréj tam przedtém brakło.

Atoli charakter i cechy wybitne domowości nie polegają wyłącznie na sprzętach, na służbie, na organizacyi trybu codziennego, daleko więcéj ujawniają się w ożywiającym ją duchu. Cześć, jaką Anglik otacza swój *home*, jest ugruntowana na całym jego poglądzie na życie. Oddając się gorliwie swym zawodowym zajęciom i sprawom publicznym, które go trzymają po za domem, pragnie on, gdy doń powraca znaleźć tam wypoczynek, wygodę, rozrywkę, przyjemności. Dom Anglika jest, jak narodowy aksyomat opiewa, jego fortecą: może się w nim zamknąć, używać wszelkiéj swobody w jego ścianach, być panem i władzcą. Pierwszym do tego warunkiem jest nie przypuszczać doń pierwszego lepszego znajomego. Dla tego też trzymają w urzędowém oddaleniu wszystkich, których nie znają gruntownie. Anglik przyjmuje nieraz i ugaszcza swoich fachowych kolegów, klientów i znajomych w swoim klubie albo restauracyach, ale na myśl mu nie przyjdzie zaprosić ich do siebie, albo nawet dać im adres swego prywatnego mieszkania. Trzeba posiadać tytuły, ażeby się doń przedostać, ale gdy się tam raz wstęp pozyskało, podwoje są na roścież otwarte. Gościnność Anglików jest szeroką, szczerą, wylaną, pełną naturalności. Gość czuje się pod dachem tym, jak u siebie, czuje, że nie zawadza nikomu i że nikt nie myśli ograniczać jego swobody indywidualnéj pod pretekstem przesadnéj uprzejmości. Zaproszenie na obiad jest nieuniknioném, gdy się jest poleconym lub przedstawionym przez wspólnego znajomego; do pozamiejskich domów jest się zaproszonym zazwyczaj na dni parę. Francuski sposób zapraszania gości na poufały wieczór, ograniczając się do uraczenia ich szklanką wody z cukrem, nie znajduje naśladowców w Anglii i nie odpowiada ich bardziéj materyalnemu pojęciu gościnności. Tołstoj zauważył, że im bardziéj społeczeństwo jest barbarzyńskie, tém bardziéj

z ideą towarzyskiego zebrania łączy się idea jadła i napitku. Trzebaby tedy przyznać, że Anglicy są jeszcze zagrzęźli w barbarzyństwie, bo wydaje im się konieczném nakarmić i napoić tych, co do nich w odwiedziny przybywają. W salonie francuskim rozmowa idzie żywiéj jest bardziéj błyszcząca i urozmaicona, muzyka i śpiew doskonalsze; Anglicy nie posiadają ani daru, ani łatwości rozmowy, a obowiązkowe nieledwie popisywanie się z muzycznemi zdolnościami jest nieraz męczarnią dla wykształconego pod tym względem przychodnia. Znając swe niedostatki towarzyskie, wynagradzają je przynajmniéj Anglicy szczodrobliwą gościnnością.

Trzeba na tém miejscu zauważyć, że na dnie téj manifestacyi odmiennych obyczajów narodowych, leżą także odmienne stosunki ekonomiczne i inne pojęcie gospodarstwa indywidualnego. Anglik jest bogatszy i szczodrobliwy, Francuz jest uboższy, ale nawet, gdy nim nie jest, jest zawsze oszczędny, a nieraz skąpy, brudno, ohydnie skąpy. Inaczéj organizują swe życie. Obaj pracują skrzętnie. Gdy są w możności ufundowania rodziny i domowości, inaczéj zaspakajają codzienne potrzeby. Anglik zabezpieeza swe życie na korzyść żony, daje kosztowne i wszechstronne wykształcenie dzieciom, ale nie troszczy się o kapitalizowanie swych dochodów. Wydaje je ochotnie i w ciągu całego swego życia żyje dostatnio, wygodnie, przyjemnie. Po śmierci jego, wdowa może zazwyczaj utrzymać się w tém samém środowisku towarzyskiém dzięki ubezpieczeniu; dzieci wzrastają w przekonaniu, że nie otrzymają posągów i że każde z nich winno zdobyć sobie stanowisko w społeczeństwie. Zdawna nagromadzona zamożność w klasie średniéj ułatwia wprawdzie wielce taki tryb życia, ale jest widoczném, że egzystencya domowa jest uprzyjemniona i że można otwiérać na rościeź podwoje swego domu, skąd są zazwyczaj wygnane troski i kłopoty materyalne.

Inaczéj postępuje sobie klasa średnia — jedyna, którą się tutaj zajmujemy — we Francyi. Umiarkowany, nieraz szczupły dochód swój zawodowy, Francuz dzieli i wydając jedną jego cząstkę, drugą oszczędza, kapitalizuje, ażeby sobie zapewnić spokojną i bezpieczną starość i ażeby wyposażyć córki, które inaczéj zamąż-by nie wyszły, i dać materyalną podstawę synom, bez któréj także nie zdołają sobie usłać gniazda. Oszczędza więc Francuz całe życie, biedzi się, odmawia sobie wygód i przyjemności, zasklepia się jak żółw w swéj skorupie, ścieśnia dobrowolnie i systematycznie swój horyzont. Gość nie jest w takich domach, gdzie każdy szeląg ma swe przeznaczenie, pożądanym, bo pociąga za sobą wydatek nadzwyczajny. Ściślejsze są stosunki rodzinne, gdyż się przed swoimi nie ma potrzeby ukrywać,

ale stosunki towarzyskie sprowadzają się do najszczuplejszych, nieuniknionych tylko rozmiarów. Ponieważ jednak potrzeby i instynkty towarzyskie są u Francuzów silniejsze, aniżeli u innych narodów, ponieważ próżność jest sprężyną zawsze czynną w ich zbiorowym i indywidualnym organizmie, więc wynagradzają, a raczéj okupują sobie ciągłe i systematyczne wysiłki wiązania końca z końcem przez wydawanie wyjątkowych przyjęć i recepcyi. Czém one są, jakie pociągają za sobą kłopoty, niewygody, do jakiego stopnia dezorganizują skromne gospodarstwa rodzin francuskich, to opisał Taine w przedziwny sposób satyryczném piórem Graindorge'a.

Jeżeli pod względem materyalnym *home* angielski jest nieposzlakowany i przewyższa bardzo wszystko, co pod tym względem znaléść można na stałym lądzie wogóle, nawet i we Francyi, to przesadzonemi znacznie wydają się nam pochwały, oddane angielskiemu życiu rodzinnemu często przez tych, którzy znają je nader powierzchownie. Z głębokiém przekonaniem wypowiadamy przekonanie, że stoi ono wyżéj we Francyi, a pochodzi to z wyższości duchowéj i uczuciowéj kobiéty francuskiéj nad angielską. Przekonanie to zadziwi tych, którzy, znając kobiéty francuskie z Paryżanek, a Paryżanki z typów spotykanych około północy na bulwarach, dopełniają swe osobiste wrażenia typami wziętemi z powieści i teatru, oddających się bez najmniejszego wyjątku cudzolóstwu i lekceważących węzły rodzinne. Na szczęście, dla Francyi, rzeczywistość jest zupełnie inna. Nie potrzeba podnosić praktycznego zmysłu kobiéty francuskiéj: jest ona doskonałą gospodynią i potrafi szczupłemi funduszami dać swéj rodzinie dobrobyt, do którego Anglicy dochodzą przy wydatkach daleko znaczniejszych; interesuje się ona fachowém zatrudnieniem swego męża, bierze udział w jego interesach, prowadzi jego buchalteryę i kasowość, gdy ma męża kupcem i jest wogóle jego pomocnicą i wspólniczką w najszerszém słowa tego znaczeniu; w Anglii zaś żona zazwyczaj nie wié jakie są interesa męża, nie miesza się do nich, do biura jego nie uczęszcza i ogranicza się do żądania regularnego wypłacania jéj tygodniowéj sumy na utrzymanie domu. Daleko większa zażyłość, wzajemna ufność, zespolenie akcyi istnieje pomiędzy mężem a żoną we Francyi, a ów indywidualizm, który stanowi zasadniczy rys charakteru i istoty angielskiéj nie abdykuje u nich swych praw nawet w małżeństwie.

Bardziéj jeszcze różnica pomiędzy kobietą francuską a angielską pokazuje się w stosunku matki do dzieci. Ci którzy sądzą, że francuska tylko o strojach i zabawach myśli, wykazują najzupełniejszą nieznajomość francuskiego życia rodzinnego. Matka jest tam niewolnicą dzieci, ich piastunką, dozorczynią, nauczycielką. Z osobistego

doświadczenia przypomina sobie piszący, matkę francuskę, ubraną w suknię balową, poprawiającą w ostatniéj chwili ćwiczenia syna, napisane na dzień następny do liceum. Kto żył we Francyi, ten musiał widziéć nie raz, ale sto, matki prowadzące swe córki z jednego kursu na drugi, towarzyszące im bez przerwy, nie spuszczające ich z oka. Jest to umożliwione skutkiem mniejszéj zazwyczaj ilości dzieci, a konieczne ze względu na oszczędność i większe oglądanie się na wydatki. W Anglii matka nie troszczy się tyle o swą dziatwę. Wié, że im nic nie brakuje w ich *nursery* i zdaje pieczę naprzód na piastunkę, potém na bonę i guwernantkę. Tylko przy obiedzie dzieci, który jest jéj *lunch*'em prezyduje i widzi dłużéj swe dzieci, przez resztę dnia rozwijają się one po za jéj bezpośrednim nadzorem i wpływem. Gdy podrosną, natychmiast synowie, tak samo jak córki, przesiedleni są do szkół i rodzice widują ich tylko w porach wakacyjnych.

Wynikiem tak odmiennéj organizacyi rodzinnéj, są inne stosunki dzieci do rodziców. We Francyi wyradzają one serdeczność, poufałość, mającą jako ujemną stronę, brak rygoru i karności, w Anglii odosobnienie, dochodzące często, jak to już wyżéj powiedziano, do zniweczenia jedności rodzinnéj. Młody Anglik nie ma tego bezwzlędnego uwielbienia dla swojéj matki, które u Francuza jest uczuciem normalném, a ojca swego nazywa w potocznym języku: *Governor*, t. j. zwierzchnikiem. Owa dziatwa a następnie młodzież, wychowując się jak na to ich temperamenta pozwalają, dobierają sobie przyjaciół nieraz nieznanych rodzicom. Młoda panienka angielska udaje się w odwiedziny do domów, gdzie jéj rodzice nie są zapraszani, sama chodzi na kursa, lekcye, do kościołów, muzeów, na gry i spacery. Nie dziwi to nikogo i istotnie na żadne niebezpieczeństwo jéj to nie wystawia. Wyrabia to w niéj wcześnie indywidualność ale naturalnie kosztem rodzinnego węzła. Ów czujny dozór macierzyński francuski, tulący swe dziewcze pod skrzydła matki i zamieniający rygor klasztorny, nie odpowiada pojęciom angielskim, tak samo jak nie odpowiada im wybór narzeczonego przez rodziców. Młodzież angielska płci obojéj wié, że sama przygotowuje sobie przyszłość i wybiera téż sobie sama towarzysza życia. Przychodzi im to tém łatwiéj, że nie żądają od rodziców posagu i że same zdobywają sobie niezależność. Stosunki te zmieniają się stopniowo w obu krajach, to prawda, ale przeciętnie są jeszcze takie w klasie średniéj. Wśród arystokracyi angielskiéj małżeństwo z konwenansów, polujące na tytuł lub fortunę, było zawsze powszechne i przenika widocznie do klas mniéj uprzywilejowanych.

Jeżeli kobiéta w stosunku rodzinnym zajmuje w Anglii mniéj doniosłą rolę, mniéj wpływową aniżeli we Francyi i jeżeli w następstwie

tego życie rodzinne nie posiada owego ciepła i wylania, którego wysławiać nie przestawają obserwatorowie z drugiéj ręki, to natomiast jest więcéj obywatelką i ma szerszy horyzont umysłowy. Nie będąc tak zasklepioną w gospodarstwie domowém i w swych obowiązkach macierzyńskich, ma ona więcéj czasu do czytania, do kształcenia się i do działania w téj lub owéj sferze przez się obranéj. Kobiety angielskie biorą żywy udział w politycznym rozwoju swego narodu, są członkami wielkich lig i federacyi zachowawczych lub liberalnych, a w miejscowości, którą zamieszkują, zajmują się sprawami municypalnemi, kościelnemi, szkolnemi, instytucyami dobroczynnemi i t. d. Nie tylko że w epokach wyborczych rozwijają żywą działalność, nie wahają się przemawiać z platform publicznych, zbierać głosy, oddawać się propagandzie idei stronnictwa któremu służą, ale w zwykłych, spokojnych czasach, biorą do serca rozwój instytucyi. Są one już znaczniéj i lepiéj przygotowane do odgrywania roli czynnéj w polityce niż jéj siostry stałego lądu. Kobieta jest w Anglii istotnie wyemancypowana, posiada swą indywidualność i przestała być echem swego męża. Posiada ona także wogóle jaką specyalność, jaką gałąź literatury, nauki lub sztuki, którą się interesuje, któréj postępy śledzi. Wielka liczba starych panien zapełnia w ten sposób próżne godziny swego życia, ale nie tylko one okazują poważny nastrój ducha. Jest on znamienną cechą współczesnéj kobiéty angielskiéj. Nie posiada ona tego daru rozmowy, który pozwolił Francusce stworzyć salony skrzące się dowcipem i umysłowym polorem, nie jest taką mistrzynią w korespondencyi, ale posiada gruntowne zalety, często obszerne wiadomości i towarzystwo jéj dla tych, co się do niej zbliżyć potrafią i przebiją opory zewnętrznéj sztywności, nabiéra istotnéj wartości.

Od umysłowéj strony do moralnéj przejście jest łatwe, ale do traktowania o wiele trudniejsze, gdyż synteza jest tam prawie niemożliwą, a sfera moralna jest przedewszystkiém indywidualną. Istnieje wprawdzie moralność społeczna, ogólna, ale jest najeżona tylu wyjątkami i tylu zastrzeżeniami, że zuchwalcem byłby ten, kto by się poważył wyciągnąć z niéj wyrok potępiający lub usprawiedliwiający hurtem, nie powiemy całe społeczeństwo ale tę choćby lub owę jego klasę.. Szukając punktów wspólnych albo odmiennych pomiędzy dwoma narodami Zachodu, lepiéj będzie w dziedzinie moralnéj wystrzegać się wszelkiego uogalniania a przeciwstawiać jednę po drugiéj zasady lub i sposób gruntowania na nich życia.

A naprzód religia. Nie podobna orzec, które z dwóch społeczeństw jest bardziéj religijne, ale trzeba się ograniczyć do wykazania stosunku w jakim się znajdują do swych kościołów i jak zachowują

formy religijne. W Anglii kościół jest instytucyą narodową i społeczeństwo zapatruje się nań jako na jedną z form bytu państwowego. O dogmaty kościelne, wyjątkowe tylko osobistości się troszczą; dla ogółu społeczeństwa kościół anglikański jest wyrazem prawd spirytualnych, w które jeżeli nie koniecznie wierzyć to przynajmniéj przestrzegać potrzeba. Krytycy obconarodowi naigrawają się z hipokryzyi angielskiéj, która nakazuje uczęszczać regularnie raz przynajmniéj co niedziela na nabożeństwo do kościoła, zachowywać się tam z pozorną przykładnością a w gruncie być obojętnym, a często nawet nieprzyjaźnie dla kościoła usposobionym agnostykiem, ba, ateuszem. Dalecy jesteśmy od stawania w obronie téj hipokryzyi, któréj istnienia nie zaprzeczamy w wielu razach. Ale jest w niéj coś więcéj nad przestrzegania *decorum*, coś więcéj nad dążenie do zachowania *respectability*— jest to poczucie narodowego, wspólnego organizmu. Skoro się jest Anglikiem, skoro się korzysta z instytucyi krajowych, ma się moralny obowiązek zaświadczenia swojéj solidarności z kościołem państwowym, tradycyjnie reprezentującym całokształt spirytualistyczny. Znika fanatyzm purytański, ale kościół anglikański nie stracił jeszcze swego waloru w oczach większości narodu. Klasy wyższe identyfikują się z nim jako reprezentującym interesa zachowawcze, klasy niższe spoglądają nań jako na jałmużnika i opiekuna materyalnego. Nie powiadamy, ażeby było w tym zewnętrznym szacunku okazywanym kościołowi państwowemu wiele zapału i entuzyazmu, ale jest w nim coś więcéj nad utylitaryzm prozaiczny: jest powtarzamy poczucie narodowości. Szerzenie się sekt w łonie anglikańskiego kościoła z jednéj strony, a z drugiéj silne i coraz widoczniejsze prądy ku katolicyzmowi, wpłyną prawdopodobnie w przyszłości na zmianę tego usposobienia. Obecnie uważane jest za towarzyski obowiązek dobrze wychowanych ludzi zachowywać wobec kościoła państwowego co najmniéj chłodną neutralność i poddawać się jego formalizmowi. Jeżeli w intelektualnie wyemancypowanym świecie londyńskim agnostycyzm wywalczył sobie prawa obywatelstwa, to nawet tam obserwowane są ceremonie kościelne: na prowincyi nie podobna się od nich uchylić pod grozą utraty położenia towarzyskiego.

Francya katolicka ma inny temperament religijny. Nie przestała się uważać za starszą córkę kościoła, i kościoła uniwersalnego, wszechświatowego. Wiara manifestuje się tam nie tylko w niezliczonéj liczbie instytucyi, stowarzyszeń i korporacyi zależących od kościoła ale i w przykładach indywidualnego entuzyazmu. Z drugiéj strony brak węzła obowiązkowego pomiędzy kościołem a państwem wyswobodził z zależności od pierwszego wszystkich tych, co nie mają już

wiary. Gorliwość uczestników kościoła i burzliwa nieprzyjaźń jego przeciwników dają religijnemu życiu Francyi życie wewnętrzne i fer- wor, które w Anglii są daleko mniéj uwydatnione.

Teoretycznie nie ma różnicy pomiędzy Francuzami a Anglikami w ich zapatrywaniu się na zasady moralności i jednakowo wysławiają prawdę, sprawiedliwość, czystość, wstrzemięźliwość, odwagę, i t. d., ale w praktyce każdego społeczeństwa wnet się pokazuje, że ich za- patrywania, ich skłonności są nieraz odmienne. Za daleko by nas za- prowadziło rozszerzać się nad niemi wszyskiemi po szczególe. Główne jednak rysy podnieść nie zawadzi.

Pierwszą zasadą, jaka wpajana bywa w Anglika, jest cześć dla prawdy. Słynny pedagog, dr. Arnold z Rugby, przebaczał wszystkie przestępstwa i grzechy swych wychowańców, ale był nieubłaganym dla kłamstwa. Zgroza, jaką samo podejrzenie o kłamstwo wywołuje w Angliku, jest w oczach Francuza nacechowana przesadą. Nie ma większéj obelgi w Anglii jak nazwać kogo kłamcą. Z pojęciem nieza- leżności osobistéj, godności człowieczéj, łączy się cześć dla prawdy, wyjawienie swych opinii, przyznanie się do popełnionéj winy lub omył- ki. Jest tchórzem w ich oczach ten, co prawdę wykręca lub zasłania. Następstwem tego jest wyrobienie w Angliku odwagi cywilnéj, któréj Francuzowi do tak wysokiego stopnia brakuje, jest ugruntowanie pry- watnéj uczciwości, jest nakoniec daleko powszechniejsze zerwanie z konwencyonalizmem, z utartemi sądami i zapatrywaniami. Piszący obawia się, aby na tym punkcie nie był posądzony o stronność wzglę- dem Anglików. Czytelnicy lepiéj obznajmieni ze społeczeństwem fran- cuskiém muszą przyznać, że rzadkie są u niego objawy odwagi cywil- néj. Burzliwi, rewolucyjni Francuzi w życiu publiczném, są w domo- wém powstrzymywani obawą śmieszności, od wszelkiego wyróżniania się od otaczającego ich środowiska i nie ośmielają się manifestować swéj niezależności od swego stronnictwa, swych przywódzców. Naj- znakomitsze osobistości wśród narodu zostały skruszone, sparaliżowa- ne we Francyi w swéj zbawczéj dla ogółu działalności, dla tego po prostu, że ludzie uczciwi i rozumni nie odważyli się stanąć po ich stro- nie i z nimi się solidaryzować. Z drugiéj strony są tam ludzie, którymi każdy indywidualnie pogardza, ale przeciw którym nikt jawnie i otwarcie wystąpić się nie poważa. Co do uczciwości osobistéj jako praktycznego zastosowania zasady prawdy, to Anglicy wyrazili ją w aksyomacie dobrze znanym: *honesty is the best policy*. W świecie ku- pieckim, handlowym i przemysłowym ta uczciwość zdobyła Anglikom stanowisko niezwalczone. Co do niezależności prywatnych opinii, zer- wania z konwencyonalizmem, są one w Anglii cechą umysłową i pod-

stawą życia. Francuz powtarza oklepanki, ogólniki o ludziach i pisarzach takie, jakie mu były przekazane, i raz ustanowionéj klasyfikacyi nie zmienia. Anglik nie dba o to, czy go uważać będą za nieuka lub profana, i gdy się na sąd istniejący nie zgadza, kruszy przeciwko niemu kopie. Ośmiela się porywać z motyką na słońce, ośmiela się myśléć oryginalnie. Nie potrzeba przypominać, że Anglia jest krajem oryginałów. John Stuart Mill widział w ich liczbie świadectwo, że społeczeństwo jest na wskroś przeniknięte zasadą swobody.

Sprawiedliwość, ten kwiat sumienia — jak powiedział poeta — manifestuje się w społecznym bycie, przedewszystkiém w bezstronności i tolerancyi, w przyznaniu słuszności nawet swym przeciwnikom. Takie jéj pojęcie nie pozwala przypuszczać, ażeby mogła ona istniéć w krwi i sokach współczesnych społeczeństw. Królowanie sprawiedliwości będzie znamieniem cywilizacyi wyższéj aniżeli naszéj, dzisiejszéj, spaczonéj i zakłóconéj upartą walką i szermierką indywidualnych interesów jednych z drugimi. Trzeba jednak przyznać, że w życiu publiczném częściéj spotykać można poczucie sprawiedliwości w Anglii, gdzie swobody polityczne oddawna ugruntowane i rozwinięte zbliżyły do siebie rywalów, przeciwników. Kiedy Francuzi gorący, zapamiętali, wrażliwi, mieszają zwykle swoich antagonistów z błotem, spotwarzają ich i przedstawiają jako potwory moralne, chłodniejsi Anglicy usiłują nawet w przeciwniku odróżnić dobre strony od ujemnych, nie przypisują różnicy opinii ohydnych motywów prywaty i umieją uszanować człowieka, gdy ten na szacunek zasługuje.

Kwestya czystości, płciowéj moralności, związków nieprawych, cudzołóstwa i prostytucyi jest zbyt wielkiéj wagi i zbyt głęboko dotyka całéj istoty społecznego ustroju, ażeby ją się miało traktować tutaj pobieżnie. Właściwsze jéj miejsce będzie w drugiéj części naszéj pracy.

(Dok. nast.) *N. T.*



JÓZEF MAKOWEJ.

Dzionek jesienny, słotny. Smugi dészczu zwilżyły ziemię, słońce ukryte w chmurach, od lasku wiatr przynosi coraz nowe zeschłe listki. Ściernisko spasione, już nawet drobny, czerwony maczek, ani żółta gorczyczka nie pstrzą jego obszaru. Trawa zżółkniała, kilka badyli suchych sterczy u miedzy, wdali kobiéty z płachtami zarzuconemi na głowę kopią kartofle. Dészcz znowu jął kropić, drobny, przenikliwy, zimny.

Smutno wkoło, aż płakać chce się, dlaczego? Że wszystko zamiéra? Cisza, nawet wróbel nie zaświegoce, a od kartoflisk głosu nie słychać. Lecz od czasu do czasu jakiś okrzyk przecina powietrze, okrzyk dobywający się z silnych piersi, męskich i mocnych, jakby okrzyk oracza.

Tak, to oracz za dąbrową nawoływa na swe konie. Potrzeba okrążyć lasek, by go zobaczyć zupełnie. Wysoki, w siermiędze, stąpa obok chudoby, niewrażliwy na dészcz, niepogodę. Para koni z wysiłkiem ciągnie pług, co chwila tężeją ich biodra, wypręża się szyja, z sierści para idzie. Lemiesz ostry, jak nóż, kroi glebę, odwalają się czarne skiby. Pług zwolna posuwa się linią prostą, prościutką, u końca zagonu oracz i zaprząg stają na chwilę, potém obrót w stronę przeciwną i daléj orka. Znowu wysiłki koni, stąpanie oracza. Dészcz siecze, zimno przenika, lecz praca trwa. Cóż, że chłodno, że słotno, że nieprzyjemnie. Potrzeba grunt gotować pod ziarno, w bruzdę zasiew rzucać. Przyjdzie nareszcie wiosna, owieje oziminę skrzydełkami wiatru, napoi

dészczykiem i strzeli zieleń w górę, kłos się na niéj zawiąże, nowe ziarnko urodzi.

Do téj niwy jesienią i do tego oracza wydają mi się podobnemi niektóre piśmiennictwa i ci, co nad niemi pracują. Trudzą się w słotę, ziębną, na poły skostniałą ręką sieją zboże. Ale grzeje ich wiara w przyszłość, ociepla nadzieja wiosny. Dążą śmiało, krok za krokiem, naprzód.

Poeta rusiński, którego wiersze pełne uczucia i talentu są istotnie podobne do ziaren, skąd zazieleni się nie jedno źdźbło pszenicy, Józef Makowej, jest człowiekiem dobiegającym prawie trzydziestki. Pierwsze jego poezye, przekłady z Owidyusza i Heinego drukowane były ośm lat temu, każdy rok następny przynosił coś nowego. Ale w warunkach jego piśmiennictwa niemal dziesięć lat potrzeba było czekać, aby ukazał się wreszcie zbiorek utworów. I to zbiorek nieduży, stotrzydzieści stron szesnastki.

I.

Koniec téj niwie, koniec
Będziemy splatać wieniec.
Zwiążemy żyto w snopy
Złożymy zboże w kopy.
Pójdziem do gospodyni
Damy wianeczek ninie

Przyjmij wianeczek z żyta
Z niwy, co gradem zbita
Malutka była niwa,
Malutkie z niéj też żniwa.
Da Bóg w rok przyszły urodzi,
Brak wszelki wynagrodzi.

Czy można serdeczniéj przemówić do czytelnika, bo pierwszą to z „dumek i obrazków", otwiérających książeczkę, przytoczyłem w dosłownym przekładzie. I czy nie podbija go zupełnie podobny „zaśpiew"? Ile tu bezpretensyonalności, zarazem ile wdzięku. Poeta wniknął w pieśń ludową, ot, zda się, widzisz tę gromadkę dziewcząt wiejskich w wianuszkach i wstążkach barwnych, w białych koszulach i czystych kolorowych spódniczkach, niosącą wianek gospodyni, rozśpiéwaną i wesołą po skończonéj pracy. Pieśń jéj odbija się o wybielone chatki włościańskie, o drzewa przydrożne, leci aż ku progom domu, kędy zdążają...

Malutka niwa, nieduże żniwo, ale bogate.

Część liryczna, zajmująca jedną trzecią „Poezyi", posiada wiele różnorodności. „*Semper idem*" i „Drużki" są cyklami w rodzaju Heinego: „Angieliki", „Hortenzyi", „Dyany" i in. Nie posiadają ani cynizmu, ani ciętości piewcy niemieckiego, są swojskie, ale w ugrupowaniu objawiają wiele podobieństwa. Oderwane wierszyki liryczne dają przebieg całéj historyi miłosnéj, w „*Semper idem*" zakończonéj dumaniami na temat bliskiego ślubu kochanki z innym, w „Druchnie",

przypomnieniem sobie starosty, który w pierwszy dzień poznania się obojga, gdy byli na weselu znajomego drużbą i druchną, pił ich zdrowie, życząc sobie za rok być na ich godach. „Dzielny mówca, biegły w swataniu, będę wnet do niego miał prośbę...”

Chociaż z innemi utworami lirycznemi pieśni miłosne Makoweja nie wytrzymują porównania, jednak w „Druchnie”, od „*Semper idem*” o wiele doskonalszéj, znajdują się miłe utworki. „Do mojéj chatki samotnéj — głosi jedna piosnka — zaleciała z pola pszczółka, uderzyła w okno skrzydełkami i głośno zabrzęczała. Brzęczy malutka, przypomina mi wiosnę, niesie myśli daleko w zielone pole i dąbrowę. To słowo, któreś mi raz powiedziała, tak bardzo rozweseliło me serce. Dźwięczy mi teraz wszędzie, gdzie stąpię, mile, rozkosznie. Niesie me myśli daleko w przyszłość i widzę gościnną, cichą chatkę, w niéj zadowolonego męża z lubą, szczęśliwą towarzyszką.”

Jeden z następnych wierszyków jeszcze piękniejszy. Jak dzisiaj, widzę czereśnie w sadach, odziane biało, jak na ślub we kwiaty. Ty chodzisz lekko po pulchnych grzędach, kwiatuszki trzymasz w malutkich rękach i sadzisz je rzędami. Wietrzyk zbyteczuik cicho nadleciał, po białych trześni gałązkach wionął, i dészczem kwiecia ciebie pokropił, ścieżynę całą z sadu do domu, listkami wonnemi usiał.

Mój wietrze, czemu sypałeś jéj kwiaty, czy i tobie ona tak miła? Ja radbym ukwiecić jéj wszystkie dróżki, gdzie tylko stąpią jéj drobne nóżki, aby po kwiatach wciąż chodziła.

Do lekkiego wpływu Heinego, który w „*Semper idem*” nawet w poszczególnych wierszach nieco przebija się, i potroszę kilka miejsc poematu „Nowicyusz” barwi, dodałbym zależność od wierszowanych „Galicyjskich obrazków” Iwana Franki w utworku „Widać lipy rozkwitłe”. Gdzie lipy kwitną, żyła niegdyś rodzina włościańska. Lecz pająk lichwy wyssał z niéj soki, matka zmarła w niedoli, ojciec w świat poszedł, dzieci dobrzy ludzie rozebrali. Teraz tam żydziaki igrają, a stary żyd cieniem się rozkoszuje. Obrazek serdeczny, jednak wykonanie dość bezbarwne. Nie żeby autorowi brak było w tym kierunku talentu, ale zanadto w pierwszéj swéj młodości (data utworu 1886 r.) zapatrzył się na lichy wzór. Jak Iwan Franko, zestawił chłodno przy sobie fakty i żadnego prawie uczucia w nie nie tchnął.

W poemacie „Moloch” ukrycie przez króla córki i oddanie zamiast niéj na ofiarę strasznemu bogu fenickiemu niewolnicy, przypomina mi zbytnio „Salambo” Flauberta, gdzie jeden z sufetów kartagińskich w podobnym wypadku kryje syna i miasto niego wysyła na spalenie młodego niewolnika. Na tém ograniczają się reminiscencye, jakie mogłem zauważyć w utworach Makoweja. Jeśli idzie o zaznaczenie

wpływów, znawcy poezyi ludowéj odrazu zauważyli w pieśni wstępnéj wżycie się w formę liryki gminnéj, w pierwszym z dwóch przytoczonych wierszy miłosnych zrozumienie paralelizmu, cechującego śpiewy ludowe. Poeta z ludu, daje najpierw obraz z przyrody, rozwija go i wypełnia, potém następuje część właściwie liryczna, mogąca w znacznym stopniu być podstawioną w szczegóły obrazu poprzedzającego. Istotnie tyle skarbów zawiera poezya ludowa, a tak mało poetów ku nim pochylało się, że zwrócenie w ich stronę wzroku przez młodego piewcę należy zaliczyć do objawów jaknajsympatyczniejszych.

Jako student uniwersytetu, Makowej odbył jednoroczną służbę wojskową i w wyczerpującém a smutném życiu koszar, znalazł nowe źródło twórczości. Trzydzieści kilka lat temu, to samo życie natchnęło gienialnego poetę Jerzego Fed'kowicza do szeregu arcydzieł uczucia. W tym względzie obrazek Makoweja, przedstawiający śmierć rekruta w dalekiém mieście, nie dorównywa porywającym utworom Jerzego. Ale młody poeta zaprawia najczęściéj motywy wojskowe kroplą satyry. Wznosił się niegdyś klasztor, w nim mnisi pełni bojaźni bożéj z grzechem walczyli. Teraz świéce nie płoną w ich celkach, pył okleił ściany, klasztor przemieniony został na arsenał, a izdebki wypełniły skrzynie. W skrzyniach proch, kule armatnie, naboje. „Tym znakiem zdobędziesz świat, nie krzyżem na proporcu..." Przegląd wojska odbywa się, dziesięć tysięcy różnobarwnie odzianych żołnierzy zaległo plac. Widzowie lornetują armię. Panieneczko—zwraca się poeta do jednéj z ciekawych — przyjechałaś na nas popatrzéć, wiédz, że niczém twoje czary wobec naszéj armaty. Widzisz tę górę wielką? zniesiemy ją w dół, te pola zdepcemy w godzinę. Owo wielkie miasto w jednym dniu zrujnujemy. A widzisz tam pastuszka w dali? My go nie nakarmimy...

Albo: włościanin patrzy przez okno na ucztę oficerów. Przed chwilą krowę sprzedał, by podatek zapłacić. Lecz o Boże, ci tam rozbawieni w jednéj minucie może z szampanem tę krowę puścili.

Najudatniejszym w téj grupie jest satyryczny wiersz: „Hugo Schwert von Feuerstein". Hugo Schwert von Feuerstein, rycerz z rodu Räuberhain, któż to, kto to tak się zwie? To porucznik młody! We wszystkich kalendarzach znajdziesz jego ród, stary jak świat. Pra-pra-pra-pra-pradziad był w Palestynie z krzyżowcami, potomek jego setkę dam podbił. Co za elegancki rycerz, jak dzielnie tańce prowadzi. Z paniami jaki szarmancki, a jak dumnie stąpa. Kontredanse, kotyliony, wyścigi, jego żywioł. Odzież, włosy pachną, na ręku bransoletka, a gdy wyjdzie wszystka moneta — przyjdzie żyd i będzie nowa. Hugo Schwert jak chart wychudły, ma ucho nadcięte — w pojedynku

o damę, któréj mimo to nie dostał. „O, wielki Hugonie Schwercie, straciłeś wtedy k r e d y t i postanowiłeś nagle zginąć, by nie żyć w biedzie (pobudki miłości). Gdy rewolwer obejrzałeś i naboje założyłeś, jak Herakles stanąłeś niepewny i—sprzedałeś go żydom."

Jednak środek ciężkości liryki naszego poety leży w historyi stosunku jego duszy do życia i do bytu. Dziesięć utworków kreślących ją stanowi najpiękniejszą grupę w książeczce. Dziesięć lat przesuwa się przed nami, jedne poezye sięgają roku 1885-go, drugie pochodzą z roku 1894-go, na wszystkich wyryta pieczęć prawdy, istotnego odczucia, rzeczywistości. Nigdzie indziéj talent nie skrystalizował się piękniéj.

One też najlepiéj służą do wyrobienia sobie pojęcia o temperamencie poety. Jest on spokojny, odporny na wrażenia przykre, zdrowy. Nie rozstrojony, ani pełen smutku. Lekko skłonny do ironii. Dlatego nie lśni w poezyi erotycznéj, dlatego także odczuwa mocno widoki przyrody, w których rozléwa się spokój. Niestety, czas i ten mur wyszczerbia...

Czy nie jest to piękny obraz ciszy wiejskiéj, czy nie wnika ona w duszę naszą, gdy czytamy wierszyk najwcześniejszy w zbiorku, z roku 1885-go.

Wokoło, wkoło szerokie pole, niziutko chylą się żyta, nigdzie nikogo wkrąg, spokój jak w grobie, samotność.

Nad polem, na błękitném sklepieniu, wiekuisty świecznik lśni wciąż, wspaniała cisza w przyrodzie, tylko dzwonów głos niesie wietrzyk.

W téj świątyni, Stwórco, ja z szacunkiem, z żytami głowę pochylę i pieśnią razem z skowronkiem, Twe imię uwielbię.

Wiersz z r. 1887-go:

„Nademną liście wszędzie zielone, słońce w cień leśny pada promieniami, dokoła drzewa rozłożyste, osłonięte w dole gęsto krzewami. Zefir cichy, ledwie słyszysz, jak dyszé, w cieniu kwiaty pochylają główki, ptaszek frunie, liśćmi zakołysze, gdzieś daleko skowronki dzwonią. Sójka czasem krzyknie niespokojna, dziki gołąb grucha na dębie, w świetle muszki igrają rojem, roznosząc ciche, miłe dźwięki. Między krzakami w cieniu, przy potoczku wijącym się zwolna po trawach, siedzę, myśląc i rozkoszując się samotnością. Jak niepostrzeżenie mijają chwile wśród twéj zieleni, o dąbrowo! Czuję, jak duch mój rośnie w siły, jak tu ożywa. Strony ojczyste, wspaniałe, nie zastąpi was żadna obczyzna, świat mię wabi na téj murawie i przyszłość dla mnie ponętna. Duch mój podwójnie do życia ochoczy, spokojem,

który wchłaniam teraz, rozweselę ciężkie godziny; tak brylant świeci wśród nocy blaskiem słońca nabranym we dnie."

Zagadnienia życiowe nie niepokoją go, goryczy nie zakosztował. Do losu zwraca się z prośbą: „nie chciałbym znać przykrych chwil, jeśli na ziemi prócz piekła jest raj; dajesz poznać dolo świat codzień, dajże go użyć choć raz!" Duszy sprawiedliwego, który żyje w raju, wkłada w usta prośbę o puszczenie go do piekieł, aby na chwilę przynajmniéj doznał cierpienia. A kiedy żali się na dolegliwości społeczne, to w sposób humorystyczny. Bodajże ciebie (1886) pani matko Ewo za twą ciekawość. Po co ruszałaś jablko w raju, kiedy tak dobrze było żyć. A teraz patrz: jak ty i twój Adam, my wszyscy ciekawi tego, czego nam zabraniają dotykać. Jeszcze wam nic się nie stało, ziemia cała w koło była waszą, nam za ciekawość na tym świecie czasem kącika nie można znaleść.

Tylko w takim nastroju mógł powstać wiersz podobny do kwiatu, wyrosłego w ustroniu: „W drogę, w drogę". W ustroniu, gdyż człowiek, który zetknął się z życiem, tego optymizmu nie objawi.

W drogę, w drogę, idę ma dolo, czy po kwiatach pójdę, czy ciernie pokole, czy pewnie tam zajdę, czy szczęście tam znajdę, idę gdzie ujrzałem cel.

Nie wrócę się z drogi, choć dręczy mię trwoga, czy istotnie ku szczęściu prowadzi ta droga; czy warto męczarni, rozpaczy i boju, to szczęście, którego ja czekam.

Gdy znajdę już ciebie, gdy zrównam się z celem, o wszystkich cierpieniach zapomnę za chwile spokoju. Przeżywszy te chwile, na wieki w mogile, rad cicho spocznę.

Naraz urywa się dział spowiedzi, od roku 1888 do 1893 nie wprowadza nas w wewnętrzne swe życie poeta. W części epicznéj, jak przekonamy się, znalazło ono wyraz. Rok zaś 1893 i 4-ty, to hale, z odmienną już niż poprzednie, florą.

„Ludzi, ludzi mi dajcie, chcę rozweselić się, chcę widzieć, że świat szczęśliwy. Dziś dwie godziny (określenie ilościowe razi nieco) rozmyślałem nad tém, po co żyjemy na świecie, czemu tak boimy się chwili śmierci. Czy żyć mamy dla próby, czy dla drobniutkich tych uciech i trosk, czy też, aby groby wypełniać? Nie mogłem odpowiedzieć na zagadki, z izby wyszedłem, bo smutno mi tam, jak w trumnie. Hej w świat, tam porzucę smutek, spotkam wesołych ludzi i zapomnę o celu życia...

Rok 1894 daje utworek jeszcze dojrzalszy.

W pogoni za prawdą wieczną, dopędzasz proroka w rozpaczy. On stanął nad złowrogą przepaścią i mówi ci smutno: nie wiem.

I za szczęściem ziemskiém się błąkając, pytasz o drogę do raju. Podróżny konając szepnie ci cicho: szukałem, nie znam.

I w przestworza wieczności dziwnéj wyślesz myśl by poszukała kwiatu. Wraca wnet bez gałązki oliwnéj i konając mówi: nie wiem.

Więc bezsilny, rozbity nirwaną, czujesz tylko tęsknotę bezbrzeżną. Czyż istotnie niczém jak *fata morgana* nie są drogi do prawdy i raju?

Przypomnijmy sobie „W drogę".

Pośród takich myśli wyrastasz na odludka, cofasz się ku samotności, coś dzielić cię zaczyna, i bardzo od ludzi. I ta faza znalazła wyraz w wierszach Makoweja.

II.

Z przytoczonych wyjątków można wywnioskować, że Makowéj jest to talent obiecujący wiele. Forma jego przedstawia niekiedy drobne usterki: użycie blisko siebie dwóch tych samych słów, wtrącenie wyrazu beztreściowego dla utrzymania rytmu, lecz od tego niewątpliwie uwolni się. Natomiast z treści, ze sposobu przedstawienia wygląda umysł niezawisły i samodzielny — zadatek najwięcéj rokujący.

Z biegiem czasu społeczeństwa tak się zmieniają, że skoro pewna jednostka, zwłaszcza w literaturze, wyodrębni się, dzięki danéj ilości cech, od innych, napewno można powiedzieć, że i do pokrewnych sobie osób z przeszłości nie zupełnie będzie podobna. Tak i Makowej. Różni się on od rówieśników i od dawniejszych poetów. Prawdziwie jego własnością w teraźniejszém pokoleniu piewczém jest s z c z e r y smutek. Przebija się on w ostatnich wierszach lirycznych i w epice. Ależ smutek stanowi cechę rusińskiéj poezyi ludowéj, utworów Szewczenki i Fed'kowicza, wierszy Marcyana i Włodzimierza Szaszkiewiczów Tak, tylko że u każdego wskutek innych warunków życiowych innego nabrał odcienia. Szewczenkę zaprzątało położenie polityczne i niedola ludu, Fed'kowicza życie żołnierskie, Szaszkiewiczów bóle zwane osobistemi, chociaż i poprzednie tę samą nazwę nosić winny. Makowej dojrzawszy, stał się przedstawicielem jednostek dręczonych problematami, znużonych przedwcześnie życiem, spowinowaconych z Płoszowskim.

Nim przejdziemy do „Nowicyusza" i „Misyonarza", rzućmy okiem na trzy inne poemaciki opowiadające. „Czartowska skała" ani „Dziecko" nie przedstawiają nic wybitniejszego. Pierwszéj motywem niewierność dziewczyny, drugiéj choroba kilkoletniéj Halusi na błoni-

cę. „Moloch" stanowi jedyną bodaj próbę kruszenia kopii w obronie myśli liberalnych. W Balbeku dżuma szerzy postrach, by ją usunąć uchwalają kapłani ofiarę Molochowi. Ginie w rozżarzonéj paszczy bożka zastęp dziewcząt, lecz choroba nie znika. Kochanek jednéj ze spalonych, Hiram, który już podczas mordowania ofiar założył czynny protest zabiciem z łuku kilku kapłanów, podburza po tygodniu mieszkańców miasta i wspólnie obalają żelazny bałwan. Z saméj treści widać tendencyjność, to téż główną część poematu stanowią dwa (chłodne) przemówienia Hirama, jedno przeciw królom (jak wspomniałem król ukrył swą córkę), drugie przeciw bogom. Strona uczuciowa słabo uwzględniona.

Otóż i jesteśmy u najwybitniejszéj grupy. Wiersz „Misyonarz" i poemat „Nowicyusz" są istotnie spokrewnione. W obudwóch ludzie zmęczeni, i tu i tam nastrój przygnębiony, a to przygnębienie i zmęczenie są takie, że *veto* które wciąż chcą rzucać w oblicze swéj doli, nigdy głośnym nie zabrzmi okrzykiem.

Już wieżnik pomodlił się z minaretu, do Allacha i proroka Mahometa, i księżyc już wyjrzał z za chmur, kiedy od chorego chrześcianina, wracał powolnym krokiem staruszek bezsilny, zgarbiony misyonarz. Wracał samotny z darami świętemi, pustemi ulicami kamiennemi.

Nie wesołe myśli, jak stado kruków, obsiadły teraz jego duszę. Bez rodziny, na dalekiéj obczyźnie, samotny niby palma w pustyni, kończył ciężki żywot. I śmierć okrutna już szła z kosą za jego posępną starością.

Mój dobry Boże, myślał, gdzie to ja wyrosłem, gdzie żyłem szczęśliwie chłopięciem, a gdzie wypadło umierać! Na północy wiek dziecinny, najszczęśliwszy, reszta życia w skwarach Arabii. I nikt po mnie tu nie zaplacze.

Stąpa siwy, w tém słyszy: ktoś tak ciężko łka i jęczy, że aż ulice od smutnych ech drżą. Nie jeden jakiś człowiek, ale cała rodzina, po kim, gdzie?

To po ojcu dzieci i żona po mężu wylewały łzy, najęte płaczki łączyły głosy swe do ich głosów, nawet pies podwórzowy zadarłszy pysk wył przeciągle.

Ach, jak w téj chwili życzył sobie misyonarz śmierci, tych łez które zrosiły ciało Araba, tego płaczu głośnego. Zdawało mu się, że lekko umiérać, kiedy miało się kogo w życiu kochać i samemu znajdowało się miłość u ludzi. Kiedy czuje się, że się nie ginie bez śladu, jak pył unoszony przez wiatr pustyni.

Na chwilę zamilkł tęskny płacz i starca doleciała pobożna pieśń Muzułmanina, stróża nocnego. „O, żywy królu, co wszystkie myśli

znasz, który nie śpisz nigdy i nie umierasz, o panie nasz odwieczny, cześć Tobie."

Misyonarz okryty cieniem stał w tém samém miejscu i zastanawiał się chwilę, czy nie pokrzepić pociechą chrześciańską rodzinę zmarłego. Ale śpiéw słyszany osłabił w niem siłę wiary. „Czyż raj ich nie pocieszy ich w potrzebie, czyż im tam gorzéj, niż nam w naszém niebie?"

„Nie wesołe myśli obsiadły umysł, jak kruki czarne kracząc. Zmąciły spokój duszy starca pobożnego, który samotny w dalekiéj obczyźnie, niby palma na suchéj pustyni, kończył żywot. I smutniejszy jeszcze z darami świętemi wracał pustemi ulicami kamiennemi."

Smutne myśli trafiają tu na rolę wyrobioną, istniejącą. Są jak duży ciemno fioletowy ametyst zawieszony na żałobnéj sukni. Nie wesoło wogóle w duszy misyonarza, chwile jak dzisiejsza były snać u niego i będą jeszcze. Uraza do życia, strata ufności w siebie, nawet wiary religijnéj, która tyle sił musiała dodawać pracującemu nad jéj krzewieniem, co za smutny i bolesny stan.

Jak zaś wyrabiają się podobne nastroje, co stwarza i użyźnia tego rodzaju podścieliska pokazuje „Nowicyusz." Tu bohater zaczyna od śmiałego wstąpienia w życie, kończy zaś fazą „Misyonarza".

Była raz mieszczanka, uboga wdowa
I syna miała Iwana.
Jedyny synalek, i tego oddała,
Do szkół by się uczył na pana.

Ciężko było rozłączać się matce z dzieckiem, niechętnie może zmieniała stan syna . Ale dała go do szkół, by lepszéj doli, niż ona doznał.

Mijają dwa lata, uczy się Iwaś, poszły na naukę dwie niwy. Mija rok trzeci i czwarty, oboje jak syn, tak i matka szczęśliwi.

Wdowa sprzedaje zboże i bydło, od ust ujmuje strawy, by pomódz synowi. Synek idzie naprzód i naprzód, za kilka lat pociechę rodzicielce przyniesie. Ale piątego roku nie miała już co posyłać. Została jéj tylko jedna niwka i ściany staréj chaty, a tymczasem Iwaś coraz smutniejsze przysyłał wieści. „Nie umiał sobie rady dawać w świecie, żołądek zaś pokarmu domagał się." Nareszcie zimą zaziębił się i ciężko zachorował. Przyjechała matula. I tak płakała biedna, że aż serce mu więdło z bólu, krwawiło się młode, gdy patrzył jak zmizerniała i zgarbiła się, a z pracy ręce popękały.

I wstawszy z łoża znikł. Bo „zobaczył przyszłość i przeląkł się zajrzawszy w oczy niedoli." Darmo matka jeździła i pytała się po okolicy, wieści o Iwasiu nie dochodziły.

I rzewnie płakała uboga wdowa,
Oj synu, rodzony mój synu.
I gdzieś ty się podział, i któż mi cię zabrał,
Któż ciebie, pociechę jedyną.

Czegoś ty się przeląkł najdroższy, czemu nie wróciłeś raczéj do domu. Bylibyśmy razem cierpieli i w biédzie żyli, po co było iść między obcych?

W tém posłyszała od pątników, że Iwaś w Pięknym Łęgu w klasztorze. Zdziwiła się, milczała cały dzień, pod wieczór pomodliwszy się związała węzełek i ruszyła w drogę.

W miasteczku podgórskiém Pięknym Łęgu, klasztor był stary, na dachu brzózka rosła, a mury stulecia szczerniły. Wysokie lipy podnosiły się nad nie, okalając wieżę z zegarem wydzwaniającym godziny mnichom. Obok zaś mieszkania ciągnął się ogród. Las prawie, stare sosny rozlewały tam zapach, ich stopy mył srebrzysty, szemrzący potoczek. Miła ustroń z słowikami w lecie, zimą poważna, otoczona szmerem sennych, otulonych śniegiem drzew.

Gromadka młodzieńców nie związanych jeszcze ślubami przechadzała się nieraz po tym lesie, wtajemnicząc się w przepisy kościelne, ucząc życia samotnego. I Iwaś należał do niéj i nie czuł się źle. Przyszedłem do was, mówił spowiednikowi, dobrze mi tu, chociaż nie mam swobody. Ale cóż mi po niéj, na swobodzie chce się wygód, a tych nigdy nie miałem. Zawsze nędza, zawsze biéda, w jéj więzach rzucałem się, jak ptaszek w klatce. Były i porywy u mnie, pałały nawet jasnym płomieniem, lecz niedola polała je wodą i dymiły się już tylko przy końcu. Po tém wszystkiém pomyślałem sobie, że kto biédny i nieszczęsny, ten nim zawsze zostanie. Jeśli nawet dobije się pozornie czegoś, będzie w istocie niewolnikiem bogatszych, wyrobnikiem we fraku...

Gdy zaś spowiednik myśli w nim budzące się życzliwie powitał, oddał się im zupełnie i począł żyć spokojnie, trybem roślinnym. Do matki bał się pisać, aby przybywszy nie usiłowała wyprowadzić go między ludzi.

W kościele modlitwa, pobożni mnisi wywodzą przy ołtarzu tak czule, że łzy cisną się do oczu. Lud klęczy, bije się w piersi i całuje posadzkę, w ławeczce jakaś panienka siedzi i modli się z książki. Pośród tłumów kobiéta stara, zgarbiona wzdycha, zasyła prośby do Boga, to znowu milczy roztkliwiona śpiewem. W chórze śpiewaków słyszy jeden głos taki miły, taki pełny i zasłuchana weń zapomina o modłach i żal ciężki napełnia jéj pierś.

Długo trwa msza, kobiecina zabiera się ku wyjściu. Siada na schodach kamiennych prowadzących z świątyni i czeka. Otóż koniec. Wychodzą mnisi w czarnych sutannach, posępni, okryci kapturami, za

nimi panienka i ludzie. I widzi panna: staruszka patrzy wszystkim mnichom w oczy, szuka kogoś i nie może znaleść. Naraz jak podskoczy, jak chwyci jednego za szatę, jak pocznie płakać i śmiać się przez łzy, aż wszyscy stanęli i dreszcz każdgo przebiegł.

A matka nie zważając na ludzi wołała: Iwasiu synku mój, znalazłam cię! Tyś porzucił mię, zapomniał o mnie staruszcze. Czekaj, niech ci się przyjrzę, nie uciekaj, ja przecież matka rodzona. I jak ty się zmieniłeś, spoważniałeś!..., ale nie dobrze ci w tym kapturze. Poczekaj niech cię pocałuję, sokole mój złoty!

Syn zaczerwienił się i począł prosić matkę, by go puściła. Sam przeor przystąpił do niéj tłómacząc, że syn jéj wnet skończy próbę i będzie świątobliwym „ojcem". Lecz te słowa mało przemawiały do serca nieszczęsnéj, poszła za Iwasiem do parlatoryum i po chwili wyszła smutna, jak przybyła, z zaczerwienionemi oczyma.

Panience spłynęły dwie jasne łzy po twarzy, gdy patrzyła na tę scenę. A kiedy wkrótce spostrzegła znowu kobiecinę, podeszła do niéj i spytała skąd jest. Opowiedziała jéj biédna swe dzieje, dwadzieścia mil pieszo szła na podobne przywitanie. Nie chciała wracać, „niech dom mi się zapadnie, póki syn mój w tych murach, nie ustąpię z pod nich."

Zbliżyły się do plebanii, dziewczyna zaprosiła podróżną do siebie. Była córką księdza miejscowego, sierotą bez matki, zarządzającą domem. Kilka chwil rozmowy i razem z ojcem oboje uradzili, że staruszka zostanie u nich na służbie.

Jasna nocka, miesiączek blady zagląda do celi, słowik śpiéwa w zaroślach, drugi w klatce przypiętéj do muru. I wietrzyk lekki i zapach wchodzą przez otwarte okno do Iwasia. Czemu on nie może zasnąć, choć inni sąsiedzi śpią oddawna. Obraca się z boku na bok, zegar dwunastą wydzwonił, już ranek blisko, kilka jaskółek zaświegotało. On wciąż widzi matkę swą patrzącą mu w oczy, spłakaną, smutną, panienkę, któréj łzy padają ze źrenic i ludzi w koło.

Odtąd myśli jego, jak bluszcz około kolumny, owinęły się około dwóch tych osób. Matka odwiédza go, opowiada mu o dobréj Oli. Porywy niejasne budzą się w młodzieńcu, jego dusza jak ziemia na wiosnę rozmarza i pulchnieje. Pada w nią kilka nasionek, lecz czy zakiełkują i czy się zazielenią?

W kilka dni po pierwszém widzeniu się z matką przechadza się po ogrodzie. Słowik śpiéwa w klatce, dali mu jeść, jednak taki smutny. Może ma inne jeszcze życzenia, może za wolnością tęskni? Czy nie wypuścić by go? O, tak. Wszak to brak serca więzić kogoś, by słyszéć jego pieśni. Pieśń, jeśli ma cieszyć ludzi, niech będzie bez

więzów, niech z wolnych piersi płynie, niehamowana jak fala morska... I cicho podchodzi do klatki, otwiéra drzwiczki, słowik nie wierzy swemu wzrokowi, zeskakuje trwożnie na spód, ogląda się, potém zatrzepotał skrzydełkami i już na drzewie...

„Iwaś zaś podszedł powoli do domu, ale głęboko się zamyślił. Słowika puścił na wolność, a sam został w niewoli."

Położył się spać i we śnie zdaje mu się, chodzi po lesie, wesoły, szczęśliwy, prowadząc pod rękę dziewczynę. Ona śpiéwa i patrzy mu w oczy. Potém pyta się: czemu tak surowo sądzisz świat, przecieżeś ty młody, żyj, starcem — nie będziesz mógł życia używać. Patrz, czy ziemia nie piękna, nie hoża, czemu zamykasz się w ponuréj jaskini?

On odpowiada, że świat zawody gotuje, za chwilę szczęścia trzeba latami cierpiéć, biéda tylko i ciężka praca odwiedzają na nim człowieka. Lecz dziewczyna całuje go, tuli głowę do jego piersi, a on milczy, potém sam ją uścisnął i w oczy jéj spojrzał...

Tkanka snu rozdarła się, wzrok zbudzonego otoczyła ciemność. W celi było cicho i samotnie.

Przecież brakło mu energii, by zbliżyć do siebie dwa ostrza nożyc i przeciąć niemi sznurek, którym uwiązał nogę do pustelni.

Więdła matusia, chyliła głowę, jak georginia, która przekwitła i z któréj za każdém poruszeniem wiatru, kilka listków na ziemię spada. Co stało się z jéj synem? Nie skutkowały namowy, ani prośby, trwał w zamiarze i zraniona w uczuciu kobiéta postanowiła wrócić do domu.

Jeszcze ostatniego środka chwyciła się Ola. W dzień odpustu zaprosił ojciec na jéj żądanie wraz z innymi mnichami i Iwasia. Staruszka leżała chora w ogrodzie, syn skierował kroki ku niéj. W tém u wejścia do altany, gdzie spoczywała, spostrzegł córkę księdza. Matka pańska śpi, rzekła, a ja korzystam z tego by pomówić z panem chwilę.

I poczęła go nakłaniać, aby uległ woli rodzicielki, aby staruszce poświęcił się, nie klasztorowi. Dobra to matka i warto żyć dla niéj. O, gdyby moja matusia żyła.

W nadmiarze żalu objęła Iwana, jak rodzona siostrzyczka i zapłakała.

Nowicyusz osłupiał. Myśli mu poplątały się, gdy wnet potém witał matkę w obecności Oli, nie śmiał na nią spojrzéć. Jéj obraz oddawna leżał na dnie jego duszy.

Pochylił się ku bezsilnéj ręce matki, począł ją całować, potém przerwał nagle, chwycił się za głowę obiema rękami i znowu przypadłszy do staruszki jął gorzko płakać i wołać: mamo, mamo, mamo! Wdo-

wa podniosła się z swego łoża, objęła go jak dziecko i szeptała coś cicho. Nie płynęły jéj łzy, tylko w piersiach klekotało, zakaszlała się, puściła go z objęć i opadła na poduszkę. Wzrok błąkał się wkoło, nareszcie rzekła spokojnie:

„Synu, żegnaj mi! Już nie sprzeciwię się twemu pobożnemu żądaniu. Gdy przyjdę nieco do sił, wstanę i wrócę do domu."

Lecz kiedy odszedł, przycisnęła panienkę do siebie, wsparła się na jéj łonie i płakała bez przerwy.

Na tém koniec. Jak ptaszyna, którą widok jastrzębia tak przestraszy, że chociaż drapieżnik nie dostrzegł jéj i dawno już w inną stronę poleciał, ona siedzi na gałązce pół martwa, wola Iwasia była sparaliżowana widmem ciężkiéj przyszłości. Nie wystąpił z klasztoru. Matka zgasła wnet w staréj chatce, tego samego dnia, kiedy miasteczko rozbrzmiewało dźwiękami kapeli grającéj na ślubie Oli z narzeczonym, przeor wręczył Iwasiowi telegram o zgonie matki.

Stanowczo poemat „Nowicyusz" należy do rzeczy najlepszych, jakie posiada literatura rusińska. Jak trzeźwo i zarazem sympatycznie są przedstawione postaci dwóch kobiét. Ile wdzięku i uczucia w Oli. Typ Iwasia nie idealizowany, może wielu rysów wolałby był autor nie wprowadzać w jego charakter, ale chciał zawrzéć w swym bohatérze liczne spostrzeżenia czynione na sobie i na innych. Nasze czasy sprzyjają takim łamaniom się woli, wśród obecnych warunków muszą wyrastać podobne jednostki.

Nadewszystkiém zaś góruje ta matka, ta biédna matka, któréj życie wydziéra osłodę starości, pociechę dni ostatnich. Dla swego serca i swych cierpień godna stanąć w peristylu, w którym stoją „Najemnica" i „Katarzyna" Szewczenki.

Włodzimierz Bugiel.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Jules Payot. „De la croyance". Paris Alcan 1896.

„Przyszłość należy do ludzi wiary — nie wiary teoretycznéj i abstrakcyjnéj, lecz żywéj, młodéj, zawsze gotowéj do czynu i poświęcenia się".

Pod tém hasłem rozpoczyna autor studyum swoje, powstając przeciwko jednostronności panującego dziś intelektualizmu. „Przywracamy, mówi autor, inteligencyi jéj właściwe miejsce: nie jest nam dana na to by p o z n a w a ć, lecz by o ś w i e t l a ć c z y n y." Myśliciele nowocześni, powiada on, zapatrzeni w jednę stronę doktryny Kartezyusza nie uwzględnili doniosłości jego „Traktatu o namiętnościach", a całe wychowanie współczesne ogranicza się do wykształcenia umysłu, pomijając (z niewielkim wyjątkiem seminaryów katolickich) zupełnie w y c h o w a n i e w o l i — przedmiot opracowany przez tegoż autora w osobném dziele [1]).

„Czas jest, powiada on, uwieńczyć nasz systemat wykształcenia wychowaniem dobrze zrozumianém woli i wiary, a wynik naszéj pracy ten, że w y c h o w a n i e w i a r y j e s t m o ż l i w e. Można używając środków odpowiednich wyrobić w sobie, a tém bardziéj w dzieciach przekonania (*des croyances*), moralne siły.

„Wyzwolenie się z brutalnych suggestyi ustawicznie buntowniczéj zwierzęcości, posunięcie do najwyższéj skrupulatności poszanowa-

---

[1]) Payot, „Education de la volonté."

nia dla osoby bliźniego; przesiąknięcie tak głębokie myśli naszéj poczuciem solidarności społecznéj, aby postępowanie nasze zostało całkowicie przekształcone; przejęcie się poszanowaniem należném dla pracy a wreszcie postanowienie stanowcze a w prostocie serca podjęte współpracownictwa z wolą boską, objawiającą się coraz wyraźniéj tym, którzy za nią idą — takie są istotne dogmata w téj religii, któréj nauczaniu rzeczpospolita powinna poświęcić siły swoje pod grozą rozbicia się w walce bezwstydnéj o interesa materyalne i o zbytek?

Takie są szlachetne pobudki autora do poświęcenia się badaniom nad wytwarzaniem się wierzeń i przekonań; a oto na jakiém rozumowaniu opiéra on wiarę w płodność dla życia tych prac teoretycznych. „Potrójny upadek: pozytywizmu, metafizyki i dogmatów przekonały o niemożliwości oparcia obowiązku na pewności bezwzględnéj."

„Oczywista rzecz wszakże, iż wszelkie postępowanie moralne lub niemoralne przypuszcza wybór metafizyczny, twierdzenie lub przeczenie, przekraczające granice doświadczenia i sięgające w dziedzinę niepoznawalnego. Ulises, gdyby był w posiadaniu najsubtelniejszych wywodów naszéj metafizyki, nie zdołał by przekonać dowodnie towarzyszów swoich zmienionych w wieprze, że nie mają słuszności przekładając swoje nowe położenie nad dawne; moralność polega na wyborze rozumnym między hypotezami dotyczącemi znaczenia życia ludzkiego, lecz gdy raz wybór został zrobiony, mamy władzę przekształcenia go na przekonanie nieprzezwyciężonéj siły."

„Do wszystkich tych, którzy dbają o jutro, należy szerzenie słowem, piórem, przykładem swego życia a w razie konieczności aktami energii zasad życia moralnego bardzo czystego. Potrzeba, aby każdy w swoim zakresie, w miarę sił swoich; bez gorączki i nienawiści, ze spokojem, który przystoi tym, co pracują nad dziełem wiecznem, umiał stłumić wszelkie objawy egoizmu, dumy, gniewliwości i zmysłowości zwierzęcia pierwotnego, zobaczymy jak — wobec téj nowego rodzaju inkwizycyi—wytworzą się pojęcia moralne, które przekształcą obecny ustrój społeczny. Przyszłość należy do ludzi wiary—nie wiary teoretycznéj i abstrakcyjnéj, lecz wiary żywéj, młodéj zawsze, gotowéj do czynu i ofiary z siebie."

Wykazawszy w rozdziale wstępnym, że „pewność jest tylko gatunkiem rodzaju—prawdopodobieństwa," autor snuje daléj na podstawach psycho-fizyologii współczesnéj, pewną oryginalną teoryę poznania redukującą się do tego, że całe nasze poznanie jest niejako haftem, utworzonym przez nasze wrażenia wzrokowe, słuchowe, dotykowe i t. d. na osnowie wrażeń muskularnych, stale obecnych i koniecznych dla nas, a stanowiących podstawę mocną i trwałą pojęcia

przedmiotowości... Całe poznanie, zaczynając od wrażeń elementarnych a kończąc na najrozleglejszych hypotezach naukowych, jest tylko pewném zorganizowaniem (przy pomocy klas, t. j. idei abstrakcyjnych) stosunków stałych pomiędzy danemi zmysłowemi a muskularnemi.

„Wyobrażenie to nie jest ani prawdziwe ani błędne samo przez się: prawda lub błąd powstają dopiéro wtedy, gdy twierdzę, że moje wyobrażenie odpowiada rzeczywistości. Ale ta rzeczywistość, jakeśmy widzieli, umyka w miarę tego jak ją gonimy: wszelkie ujęcie jest już zubożeniem rzeczywistości i stanowi część idei ogólnéj. Do najelementarniejszych wrażeń naszych wchodzi spora doza wnioskowań a nasz świat zewnętrzny utworzony jest z naszych wyobrażeń.” (Str. 110).

Część druga i trzecia poświęcone są istocie wiary i jéj mechanizmowi. Wyjaśnia w nich autor zależność od wiary, od naszego postanowienia, możność oddziaływania na siebie i innych w znaczeniu wytworzenia pewnych wierzeń oraz rozmaite wpływy na nie: wychowania, otoczenia, powagi, prześladownictwa. Wnioski praktyczne ztąd: obowiązek dla społeczeństwa wychowania tych wierzeń w swoich członkach a zwłaszcza zaszczepienie ich w młodém pokoleniu.

„Czas już zorganizować przy pomocy wszystkich tych środków, które psychologia daje w ręce wychowawców, wychowanie publiczne, oparte na silnéj kulturze moralnéj; jest to dla demokracyi kwestyą życia i śmierci. Przeobrażenia w ośrodku ekonomicznym zostaną bezowocne i obfite w zawody, jeśli ich nie poprzedzi lub nie będzie im towarzyszyć energiczna reforma moralna.”

„Ponieważ zaś potęga nasza tworzenia wierzeń jest prawie bezgraniczna, gdy je popiéra świadomość etyczna, sądzimy, iż wychowanie stanie się główną czynnością państwa i najwyższym przedmiotem ambicyi jednostek W ten sposób jedynie demokracya będzie w stanie wznieść się stopniowo, według pewnego sławnego orzeczenia, do wysokości „stronnictwa religijnego.” *W. M. Kozłowski.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Tadeusz Miciński.* **Nauczycielka.** Nowela odznaczona drugą nagrodą na konkursie literackim. Kraków, 1896, str. 87. — Zubożała panna musiała się zająć nauczycielstwem. Z początku szum, hałas oszałamia ją,.. denerwuje. W dzienniku zapisuje objawy tego stanu słowami afektowanemi nieco: „Nie mogę uwierzyć, żeby na dworze

panował jasny dzień wrześniowy! Zegar mojéj duszy pośpieszył się i wydzwania wichrem listopadowym żałobne pieśni, targa gałęźmi obnażonych drzew, szumi liśćmi — to moje zwiędłe pragnienia. Gotowabym się śmiać do rozpuku, gdybym miała przed sobą widzów i gdyby ci widze mnie obchodzili...” Dramatyzuje tedy swe życie; przygnębia ją wspomnienie pierwszéj miłości; rozkochał ją Konrad i ożenił się z inną. Zapomniéć o nim nie może. A jedno zdarzenie na pensyi z uczennicą, która napisała, że dzieci nie mają za co kochać rodziców, nastroiło ją jeszcze pesymistyczniéj w zapatrywaniu się na stosunki rodzinne, na ustrój świata; buntownicze myśli zaczęły ją napastować. W tém Konrad przyjechał, skarżył się na to, że w związku z Halszką nie znalazł szczęścia, prosił Amelię o powrócenie mu uczucia, a gdy mu nauczycielka przypomniała zaciągnięte w względem żony obowiązki, poszedłszy do hotelu postrzelił się z rewolweru. Dowiedziała się o tém Amelia z gazet i nie zważając na konwenanse, poszła go pielęgnować. Konrad wyzdrowiał, uczucia swoje najgorętsze zwracał do Amelii, sądząc, że skompromitowana, będzie powolną na jego zaklęcia; ale gdy nauczycielka zaproponowała rozwód, tłomaczył się obowiązkami. Amelia napisała do Halszki, która była jéj przyjaciółką, o wszystkiém szczerze, dodając, że byłoby nieszlachetnie, gdyby nie przebaczyła Konradowi. Halszka przyjechała, zrozumiała szlachetność przyjaciółki, była dla niéj jaknajserdeczniejszą: przebaczyła mężowi i odjechali w zgodzie. Nauczycielka wróciła na pensyę, czując zadowolenie z tego, co było jéj dziełem: miała kilka przejść bolesnych z powodu plotek, ale znalazła opiekunkę w przełożonéj, a szczerego przyjaciela w jednym z nauczycieli, bardzo gorzko zresztą usposobionym. Nabrała zamiłowania do zawodu nauczycielskiego; potrzeba oddziaływania na dusze młode i wrażliwe, kształcące się wśród niepomyślnych warunków, widok dobrego wyniku jéj postępowania z ową uczennicą, co o potrzebie wdzięczności dla rodziców wątpiła, podziałały na nią pokrzepiająco; uczuła się doświadczeńszą, a jednak młodszą (więcéj młodą, jak mówi autor z cudzoziemska), silniejszą, a mniéj złożoną; wiele z tego, co dawniéj odczuwała tylko, dziś rozumiała. Prawdopodobnie wyjdzie za owego zgorzkniałego, lecz szczerego i serdecznego nauczyciela. P. Miciński pierwszą, zdaje się, nowelę wydrukował; świadczy ona o pogłębieniu myśli i panowaniu nad mową; obserwacya jego i psychologia mniéj zadawalnia; przedmiot owego opowiadania wziął raczéj z wyobraźni niż z życia; niektóre w niém jego szczegóły były podpatrzone; największą też wartość mają nie nikłe dosyć obrazki, lecz refleksye nad życiem i stosun-

kami ludzkiemi, stawianie sobie zawiłych zagadnień i zastanawianie się nad niemi.

NEKROLOGIA.

† **Kajetan Kraszewski**, najmłodszy brat Józefa Ignacego, urodzony 11 marca 1827 r. w Dołhem, odbył nauki gimnazyalne w Świsłoczy, poczém pod kierunkiem astronoma Jana Baranowskiego oddał się studyom fizyczno-matematycznym. Objąwszy dziedziczny majątek, Romanów na Podlasiu, zebrał tu znaczną bibliotekę, archiwum i galeryę portretów historycznych, i znacznym nakładem założył obserwatoryum astronomiczno-meteorologiczne, prowadził spostrzeżenia dotyczące stanu pogody, a wnioski na nich oparte ogłaszał w czasopismach. Na równi ze słynnym swym bratem miał wielkie zamiłowanie do sztuk pięknych, próbował sił w kompozycyi muzycznéj, rysunku i modelował portrety w medalionach. Na polu literackiém występował nie bez powodzenia, drukując płody swego pióra w „Bibliotece Warszawskiéj”, „Echu”, „Kłosach”, „Kronice Rodzinnéj”, „Kuryerze Warszawskim”, „Słowie”, „Świecie”, „Tygodniku ilustrowanym”, był nadto spółpracownikiem „Encyklopedyi” S. Orgelbranda. Osobno ogłoszone zostały następujące utwory Kajetana: „Koniuszyc brzeski” (1876), „Chełmiamianie” (1878), „Opowiadania mniejsze”, „*Votum*”, „Co się dzieje na księżycu”, „Białonóżka pana majora”, „Trzewiczek”, „Skarb stolnikowicza” (1879), „Od szkolnéj ławy” (1880), „Pod wyrokiem” (1883), „Bartochowski” (1889), „Z podań i szpargałów” (1892), „Tradycye koleżeńskie” (1893), „Urywki ze wspomnień nowogrodzkiego szlachcica” (t. r.), „Z dziejów naszéj rodziny” (1894), „Poturczeńcy” (1895) i „Pamiętnik kasztelanica” (1896). Do życiorysu autora „Maryi” ważnym jest przyczynkiem monografia K. Kraszewskiego p. t. „Generał Hauman i rodzina Malczewskich”, zasługuje téż na wzmiankę rzecz „O Szczerbcu”. Jedna z komedyi ś. p. Kajetana odznaczona była na konkursie lwowskim imienia Fredry. Pozostały jeszcze w rękopisach utwory wierszem i prozą, a między niemi dwa tomy pamiętników. Zmarł w majątku swym Kuplinie 1 lipca r. b., pochowany w Wisznicach, powiecie włodawskim.

† **Józef Rogosz**, urodzony 1844 r. w Baligrodzie w Sanockiém kształcił się w Stanisławowie, Lwowie i Bolonii. Już ze szkolnéj ławy przesyłał do pism lwowskich drobne utwory rymowane, a powróciwszy z Włoch oddał się publicystyce, do któréj go i temperament gorący i rodzaj talentu powoływały. Najprzód objął redakcyę „Dziennika Pol-

skiego"; w r. 1874 założył nowe pismo „Tydzień, które zdobyło sobie niezwykłą tam poczytność. W tymże czasie ogłosił poezye: „Olga", „Z pola i z obozu" oraz prace z dziedziny estetyki. W r. 1876—1878 ukazała się w druku powieść „Choroby Galicyi". Po przeniesieniu się na wieś, napisał Rogosz powieści: „Wojewodzic", „Pokuta", „Złamane serca", „Marzyciele", „Dla idei", „Ostatni karmazyn", „Ryszard Gozdawa", „Kalejdoskop", „Dzisiejsi bohaterowie", „Motory życia", „W śmiertelnych zapasach", „Strzaskane kolumny", „W ustroniu", „Ciche tragedye", „Na dziejowym przełomie", „Karyerowicz", „Grabarze" i wreszcie przerwany wskutek nagłego zgonu „Król borów i lasów". Prócz tych utworów beletrystycznych, ogłosił Rogosz „Wspomnienia z podróży na Wschód", „Wspomnienia z Włoch", „Wspomnienia pruskiego oficera" i t. d., oraz wielką ilość prac rozmaitéj treści, pomieszczonych w czasopismach. Zasługuje na szczególną wzmiankę studyum porównawcze o Matejce i Grotgerze. Czytelnicy „Ateneum" pamiętają bezwątpienia szereg zajmujących jego „Listów z Galicyi", drukowanych przed laty. Józef Rogosz zmarł nagle na anewryzm serca 25 lipca r. b. w Maryenbadzie.

† **Franciszek Dobrowolski**, publicysta i dyrektor teatru poznańskiego, po długiéj i ciężkiéj chorobie zakończył pracowity żywot w Poznaniu.

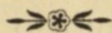
† **Emeryk hrabia Czapski**, urodzony 5 listopada 1828 r. w Stańkowie, w gubernii Mińskiéj, studya uniwersyteckie odbywał w Moskwie, które ukończył ze stopniem magistra nauk przyrodniczych; poczém wstąpił do służby rządowéj, a opuścił ją w r. 1879 i osiadł w gnieździe rodzinném. Tu gorliwie gromadził piśmiennicze i artystyczne zabytki przeszłości. Ze szczególném zamiłowaniem oddawał się studyom numizmatycznym, których owocem był naprzód katalog rozumowany monet dawnéj Rusi z epoki wielkoksiążęcéj, rzecz pierwszorzędnéj powagi w téj dziedzinie badań, a następnie „*Catalogue de la collection des médailles et monnaies polonaises*", wielkie dzieło w czterech tomach, ozdobione mnóstwem pięknych rycin, które jest obecnie najdokładniejszym opisem naszych dawnych monet i medali. W ostatnich czasach zajęty był budową w Krakowie muzeum dla pomieszczenia swych bogatych zbiorów, które na użytek publiczny przeznaczył. Zgon przedwczesny w nocy z 22 na 23 lipca r. b. nie dozwolił mu oglądać ukończonéj budowy, a medal wybity na cześć jego, który zamierzano mu wręczyć na obchodzie uroczystym, złożono na trumnie zmarłego.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Іюля 1896 г. — Druk Jana Cotty.



Adolf Pawiński.



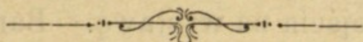
Z nielicznego grona badaczów przeszłości ubył nam jeden z najdzielniejszych pracowników. Złożony ciężką chorobą, zgasł 24 sierpnia r. b. w Grodzisku ś. p. Adolf Pawiński, profesor historyi w uniwersytecie tutejszym, a współwydawca naszego czasopisma. Zanim podamy obraz naukowych zasług zmarłego, zaznaczamy tymczasowowo, że urodził się w r. 1840 w Zgierzu, nauki gimnazyalne kończył w Piotrkowie, a studya uniwersyteckie odbywał w Petersburgu, Jurjewie (Dorpacie) i Getyndze. Zamiłowany w swym przedmiocie, sumienny w wykonywaniu przyjętych obowiązków a obdarzony niezwykłą zdolnością zużytkowania każdej chwili życia, ś. p. Adolf Pawiński rozwinął czynność niezwykłą i wielce

płodną. Groźna choroba wytrąciła mu pióro z ręki w końcu r. 1894, kiedy się czuł w całej sile męskiej dojrzałości, kiedy mógł sobie rokować całe jeszcze dziesiątki lat użytecznej pracy. Zaledwie podniosła go z łoża boleści umiejętność lekarska, Pawiński, jakkolwiek liczyć się musiał z jej przestrogami, rąk nie opuścił i zabrał się znowu do pracy, której zakres i wielostronność tylko bliższym znajomym mogła być wiadomą. Wiosną roku bieżącego, choroba wznowiła się w daleko groźniejszych objawach i zakończyła przedwczesną śmiercią.

Smutek, w jaki nas pogrążyła wieść o zgonie naszego współpracownika, głęboki żal nad utratą, jaką społeczeństwo poniosło, nie pozwala nam obecnie na chłodną ocenę doniosłości prac jego w sferze naukowej i poza jej dziedziną. Chwalcze, ogólnikowe frazesy byłyby tu niestosowne, powiedzieć wszakże wolno, że nazwisko Adolfa Pawińskiego zapisało się zaszczytnie w rocznikach naszego współczesnego życia.



O ZDROWIE LUDU.



Dr. Józef Tchórznicki. „Dla zdrowia ludu.“ Warsz. 1896. „Zdrowie“ — zeszyt pamiątkowy z powodu wystawy hygienicznéj.

Zwykły to objaw, że ludzie najmniéj się troszczą o rzeczy najważniejsze, skoro rzeczy te nie są ani tak widoczne, ani tak natarczywie się przypominają jak rozmaite drobnostki życia.

Już na początku naszego stulecia uderzyła twórcę pozytywizmu okoliczność, że człowiek stosując wymagania rozumu do wszystkich niemal dziedzin teoretycznych i praktycznych, zaniedbał uczynić tego względem społeczeństwa jako całości i myśl ta stała się podstawą całéj działalności naukowo-publicystycznéj Comtea; któréj owocem był systemat polityki pozytywnéj.

Toż samo dzieje się i w poszczególnych gałęziach życia zbiorowego. Od niepamiętnych czasów istnieją lekarze i znachorzy, którzy jako-tako usiłują naprawiać zachwiane zdrowie jednostek; ale dopiéro od wczoraj niemal zaczęto myśléć o tém, że główną przyczyną tych chorób jednostek są wadliwe urządzenia całego społeczeństwa; a jakże daleko jeszcze od myśli do czynu!

Jak wielu jest łekarzy — a jakże mało wśród nich hygienistów. Katedry hygieny nie wszędzie są obsadzone, wykłady jéj nie dość gorliwie uczęszczane, bo student przeciętny wié, że łatwiejszém jest napisanie recepty niż walka z przesądami i opieszałością ogółu. A chociaż w tak krótkim czasie olbrzymie poczyniła postępy owa młoda

gałąź wiedzy lekarskiéj, zostają one przeważnie tylko zdobyczami teoretycznemi.

Otwarta obecnie w Warszawie wystawa hygieniczna—jakkolwiek złośliwi robią uwagę że zawiera wszystko, prócz hygieny, jakkolwiek podobnie do wszelkich innych wystaw służy za środek reklamy dla jednych, za miejsce do spaceru dla innych, jakkolwiek mieści w sobie wytwory, które już dla saméj jéj nazwy powinny być z niéj stanowczo wyrugowane jako antyhygieniczne — mam tu głównie na myśli tytoń i spirytualia — pomimo tych wszystkich ułomności wystawa hygieniczna powinna się niezawodnie przyczynić do tego, aby poruszyć myśl ogółu w tym kierunku, a za jeden z objawów tego uważać winniśmy szereg wydawnictw propagujących doniosłe idee hygieniczne, lub budzących pod tym względem świadomość ogółu.

Wypowiedzmy najprzód uznanie zarządowi wystawy za piękną myśl rozdawania broszury p. t. „Myślmy o zdrowiu,” którą otrzymuje każdy kupujący bilet wejścia na wystawę. Bardzo wielu niezawodnie nie zajrzy nawet do niéj; wielu rzuci ją na ulicy, lub do kąta w mieszkaniu. Ale jak ziarno chociaż od niechcenia rzucone może zakiełkować, skoro padnie na grunt podatny, tak i broszura rzucona przez jednego może być podniesiona i przeczytana przez innych, i może właśnie takich, którzy nie mogą jéj kupić, a którym najwięcéj się przydadzą zawarte w niéj myśli.

Prócz tego wyszło parę książek i broszur, których ogłoszenie zostaje w związku z wystawą. Do takich należą praca d-ra Tchórznickiego i zeszyt wyjątkowy „Zdrowia” (128—130).

Trudno chyba znaléźć wśród narodów ucywilizowanych lud, któryby rzadziéj posługiwał się wodą do mycia od naszego. Sprzyjają temu po części warunki hydrograficzne — ubóstwo wód płynących w pewnych częściach kraju, a przynajmniéj brak większych rzek; śmiało jednak twierdzić można, że w przeważnym stopniu wina spoczywa w braku odpowiedniego wychowania, które osiąga się przez wytworzenie ułatwionych i przystępnych dla każdego i w każdéj porze roku kąpieli. Tylko w tych warunkach czystość ciała — ta kardynalna podstawa zdrowia staje się początkowo przyzwyczajeniem, następnie potrzebą.

Książka wydana przez p. Tchórznickiego w połowie swojéj poświęcona jest kwestyi kąpieli ludowych, gorąco popieranych już od lat paru zarówno przez jéj autora jako téż przez innych w sekcyi chemicznéj Tow. pop. przemysłu i na zjeździe lekarzy we Lwowie.

Prócz artykułów samego autora (kąpiele ludowe, projekt łaźni ludowéj) i jego przemówienia (na zjeździe lwowskim) znajdujemy

w tym dziale „Opis łazienek dla robotników przy kopalni węgla Kazimierz" przez p. Góreckiego, „Ludowe kąpiele natryskowe podług projektu Grovego" przez p. Sokala, „W sprawie kąpieli przy stacyi filtrów w Warszawie," „Posiedzenie sekcyi chemicznéj" poświęcone kąpielom ludowym.

Polecając gorąco całość wszystkim tym, którym leży na sercu sprawa zdrowia ludu, pozwolę sobie przytoczyć tu ustęp z artykułu p. Lindleya świadczący o tém, jak wiele bogactwa traci się napróżno i jak z tego przy rozumném korzystaniu i nie atomistycznych jak dzisiejsze, urządzeniach społecznych skorzystać by można z małym zachodem a wielką korzyścią dla ogółu. „Jak wiadomo, powiada autor, na Koszykach dla zgęszczenia pary spotrzebowuje się ogromną ilość wody, która wpuszczaną jest do kanałów i służy do przepłukiwania takowych.

„Woda posiada wysoką temperaturę i płynie przezroczystym strumieniem, nie różniąc się prawie niczém od nieprzerwanie wypływającego ciepłego źródła.

„Otóż gdyby na przestrzeni między miejscem wypływu wody kondensacyjnéj a wpuszczenia jéj do kanałów zbudować basen, lub innémi słowy, wodę po wyjściu z maszyn przeprowadzić za pomocą rur do miejsca odpowiednio wybranego na urządzenie takiego basenu, w takim razie taż sama woda, prócz spożytkowania jéj dla dwóch wiadomych już celów, obsługiwała by również i zakłady kąpielowe. W ten sposób stanie się zadość naglącéj potrzebie wielkiego miasta, które niemal bez żadnych wydatków (koszta bowiem sprowadzenia i ogrzewania wody zupełnie prawie znikają) znajdzie się w posiadaniu naszkicowanego powyżéj zakładu niezmiernéj donioslości, którego urządzenie w wielu innych miastach wielkie za sobą koszta pociągało" (str. 27).

I pomyśléć, że od napisania tych wierszy społeczeństwo ucywilizowane i inteligentne nic jeszcze nie uczyniło dla wyzyskania téj złotodajnéj żyły! A gdyby była podana wiadomość o znalezieniu kilku ułamków marnego metalu gdzieś na drugiéj półkuli, tysiące awanturników płynęło by przez ocean szukać szczęścia i wydzierać go sobie wzajemnie.

Druga część książki poświęcona jest kwestyi nie mniéj ważnéj, nie mniéj blisko każdego obchodzącéj — kwestyi urządzeń sanitarnych w osadach i wsiach, postawionéj na porządku dziennym przez ostatnią epidemię cholery. Każdemu kto bywał na prowincyi, wiadomo jak niedbale urządzane są u nas miejsca w których na-

gromadzają się nieczystości wszelkiego rodzaju; nie wszyscy może wiedzą, że są wsie i osady, gdzie miejsc takich wcale nie ma, lecz całe podwórza i omal nie ulice stają się jedną wielką kloaką. A jednak i tu mamy skarb dla rolników, który przy odpowiednich urządzeniach nie tylko z korzyścią dla zdrowia może być usunięty z niewłaściwego miejsca, ale i zużytkowany dla zwiększenia płodów ziemi. Nie zatrzymując się nad tą kwestyą i odsyłając czytelnika w tym przedmiocie do słynnego rozdziału o kloakach paryskich w „Nędznikach" Wiktora Hugo, zauważymy tylko, że dr. Tchórznicki zajmuje się oczywiście tylko pierwszą stroną kwestyi obok innych urządzeń sanitarnych, mających na celu zabezpieczenie nas od rozszerzenia wszelkiego rodzaju zarazy.

„Z dumą rzec możemy, że hygiena to nauka o podstawach szczęścia na ziemi, a działy jéj to nauka o czystości, mocy ciała i sile ducha"—tak powiada autor w przedmowie.

Dziś, w chwili apatyi duchowéj i przygnębienia, w chwili upadku zainteresowania do wszelkich szerszych poglądów i śmielszych planów, w chwili gdy postęp dziejowy zdaje się nie tylko że robi przystanek, ale nawet krok wsteczny — jakże miło powitać entuzyastów chociaż w jednym a tak ważnym zakątku życia społecznego, jak hygiena mas.

Dziwne jest zaiste zaślepienie tych, którzy opływając w dostatek i wygody, mając na zawołanie lekarza i apteki mniemają się bezpiecznymi, kiedy tuż pod nimi, w suterynach tych samych kamienic, których zajmują pierwsze piętra gnieździ się brud i zaraza — nieodłączne towarzyszki nędzy.

Zachowanie zdrowia wszystkich warstw społecznych jest równie ważne dla biednych i bogatych, powiada Latham. Dla bogatych ważném jest, aby biedni byli zdrowi, albowiem wpływ zarażenia raz powstałego u mieszkańców biednych sięga daleko, nie wyróżniając stanowiska osób. Dla biednych zaś zdrowie nadto stanowi kapitał, i, dodajmy, stanowi go nie tylko dla nich, ale dla całego społeczeństwa.

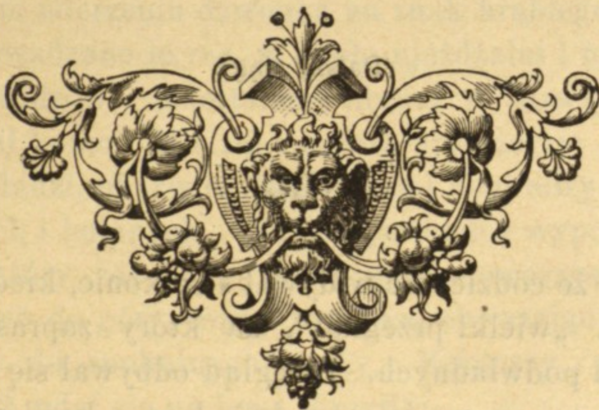
Czyż nie zdarza się, że dziecko właściciela kamienicy umiéra na dyfteryt lub szkarlatynę przyniesioną od dzieci stróża, któremu ten sam właściciel dał niehygieniczne mieszkanie? Ale ilekroć częściéj się zdarza, że ta zemsta logiki faktów nad niedołęstwem i niedbalstwem ogółu dosięga osoby najmniéj tego winne!

I w zeszycie „Zdrowia" znajdujemy cały szereg artykułów hygienicznych dotyczących najrozmaitszych kwestyi zaczynając od „karmienia niemowląt" (p. Kramsztyka) a kończąc na „budowie domów" (p. Goldberg) i „szkół" (p. Rudakowski), „kanalizacyi miast mniej-

szych" (p. Sokal), „zabawek" (panna Szyc) i wielu innych. Prócz tego omówione są rozmaite instytucye, związane z hygieną fizyczną i moralną społeczeństwa jak ochronki (p. Konopczyński), domy sierot (p. Połkotycki), zakłady dla ociemniałych (p. Nowicki), domy moralnie zaniedbanych dzieci (p. Moldenhawer), wyniki pomiarów antropologicznych (p. Strzelbickiego) i t. d.

Oby jak najszerzéj rozpowszechniały się wśród ogółu naszego te myśli, a książki takie jak tu wymienione nie były głosem wołającego na puszczy; pamiętać bowiem należy to, co według Ksenofonta powiedzieć miał Kambizes do Cyrusa że „lekarze nie są niczém więcéj jak łataczami zdolnymi naprawiać suknie znoszone; albowiem praca ich odnosi się tylko do ciała okaleczonego nie zaś zdrowego; o wiele więcéj możecie okazać opieki wojskom waszym, jeżeli starać się będziecie o zapobieganie chorobom i przeszkadzanie ich rozpowszechnieniu wśród wojska."

W. M. K.



RUGIWOJSCY.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Hrabia, mimo że codziennie widywał swe konie, kiedyniekiedy urządzał t. zw. „wielki przegląd", na który zapraszał żonę, córkę i poważniejszych podwładnych. Przegląd odbywał się w wielkiéj ujeżdżalni, mającéj tuż u wejścia po dwie loże z każdéj strony. Konie wyprowadzano kolejno, następnie powozowe składano w czwórki i szóstki; wierzchowce prezentowano pod siodłem męskiém i damskiém; daléj szły matki, reproduktory, wreszcie młodzież. Hrabia z zégarkiem w ręku badał rączość koni. Powozowe przepędzano na lince, wierzchowce dosiadane przez masztalerzy obiegały rajtszulę. Porządek widowiska układał sam hrabia, a pilnował koniuszy, weterynarz, człowiek niemłody, ciężki w ruchach i łatwo męczący się.

Wśród dwudziestu czterech koni stajennych było dwa reproduktory, jeden złoto-gniady anglo-arab, nazwany „Cook"; drugi skaro-gniady „Szpiegelberg", świéżo sprowadzony, koń mało ujeżdżony, nieledwie surowy. Pomiędzy tymi dwoma końmi wybuchła wkrótce

nienawiść, tak że nawet w rżeniach wzajemnych dały się odróżnić tony gniewu zajadłego. Szpigelberg wyższy, młodszy, gorętszy, był w swéj klatce względnie łagodny, lecz skoro przeprowadzano obok Cooka, rzucał się i zamknięty gryzł słupy i drzwi. Czy koniom tym szło o jedynowładztwo, jak tłómaczył koniuszy, czy też były to wybuchy zazdrości i rywalizacyi, jak mówił hrabia, dość, że nienawiść istniała, niepodzielana zresztą ani przez piękne, ani brzydkie klacze, obojętne na różnicę nazwisk.

Regulamin dzisiejszego przeglądu nakazywał wyprowadzenie ze stajni wszystkich koni wyjazdowych i wierzchowych, następnie powrót do stajni z pozostawieniem w ujeżdżalni czwórki gniadéj. Późniéj szły przepisy co do dalszych produkcyi.

W pierwszéj loży, na prawo, zasiadł hrabia z Hertą i Bolem, hrabina wymówiła się od uczestniczenia bólem głowy. Lożę sąsiednią zajęli: doktór, nauczyciel, rządca i p. Wosiński. Dwie loże z lewéj strony były również zajęte.

Na odgłos dzwonka wyprowadzono pierwszego Cooka, koń piękny, dumny, spokojny. Słońce popołudniowe grało w jego barwie złotogniadéj. Ujrzawszy się na wolném powietrzu zarżał, rozdął chrapy, odpowiedziały mu inne ze stajni.

Po każdém uderzeniu dzwonka na znak hrabiego, okazywano nowe konie, oprowadzano je raz w około ujeżdżalni i ustawiano w jeden rząd łbami do widzów. Masztalerze ubrani w barwy żółte i błękitne pysznili się temi końmi. Milcząca i szara ujeżdżalnia napełniła się odgłosami koni i ludzi, ubarwiła się kolorami koni siwych, karych, gniadych, wilczatych i bułanych. Na samym końcu wyprowadził koniuszy Szpigelberga, który, zobaczywszy tak liczne towarzystwo, zarżał radośnie, podniósł łeb do góry, rozdął nozdrza, chwytając miłe mu zapachy i szczerzył zęby do spokojnych klaczy. Koniuszy, przeprowadziwszy go przed lożami, udał się na lewe skrzydło.

Po krótkiéj chwili hrabia dał znak wyprowadzenia koni, prócz czwórki gniadéj, przeznaczonéj do popisu pierwszego.

Odprowadzono do stajni dziesięć koni. Nie podobało się to Szpigelbergowi, który niecierpliwiąc się to rżał, to znów bił gwałtownie kopytami o ziemię. Koniuszy zmęczony trzymaniem, ruszył wbrew porządkowi, w téj saméj chwili z za skrzydła przeciwnego wysunął się Cook. Poznali się rywale. Dreszcz wstrętu wstrząsnął Szpigelbergiem, wyprostował szyję, nastroszył grzywę, wrył się kopytami w ziemię, błysnęły mu oczy i wyszczerzył zęby. Koniuszy chciał się cofnąć, ale koń podniecony, spiął się, szarpnął i wyrwał się z ręki i pomknął w kierunku Cooka. I w tym zawrzał gniéw, potrząsł grzywą i próbował się wyrwać, lecz wstrzymała go silna ręka masztalerza.

— Wyprowadzać konie—krzyknął hrabia.

Szybko i porządnie ruszyli masztalerze, a wziąwszy Cooka w środek, ochronili przed napaścią Szpigelberga. Ten poczuwszy swobodę, podrzucał głową kształtną, odsadził ogon i w skokach dzikich objawiał swe zwycięstwo, gniéw i radość. Koniuszy chciał go pochwycić, lecz uderzony w nogę, kulejąc, wycofywał się ze środka ujeżdżalni. Przybiegli dwaj masztalerze i zbliżali się ostrożnie, z widoczną obawą do rozjuszonego konia. Ta obawa czyniła ich niezgrabnymi, tak, że będąc blisko, nie zdołali pochwycił wiszących cugli i stanęli bezradnie.

Hrabia wbrew przepisom sportsmeńskim krzyknął:

— Bałwany! — i zniecierpliwiony, niespokojny wstał, wpijając palce swe w balustradę loży.

Koniuszy stękając zawołał o sznury, by pochwycić konia.

Tymczasem Szpigelberg, ośmielony powodzeniem, wyprawiał harce dzikie po ujeżdżalni i była usprawiedliwiona obawa, że albo zaplącze się w cugle wiszące, albo zrobi skok nieopatrzny, albo wymknie się z ogrodzenia i przyprawi siebie o kaléctwo, hrabiego o znaczną stratę. Hrabia, przewidując możliwe nieszczęście, krzyknął:

— Ach, tchórze! Czyż nikt się nie znajdzie!?

W téj krytycznéj chwili p. Wosiński skoczył lekko z loży do ujeżdżalni i zbliżył się do Szpigelberga szalejącego. Koń umykał głowę, wyszczerzając zęby, wspinając się dęba, wreszcie udało się p. Wosińskiemu pochwycić cugle z lewéj strony i przesunąć szybkim ruchem rękę ku szczęce. Koń bronił się zajadle, a czując silną rękę, porwał się do biegu, aby się pozbyć napastnika. Kilka sekund trwała walka, wreszcie p. Wosiński zarzuciwszy cugle na kark koniowi, mimo że był z lewéj strony, skokiem zwinnym dosiadł Szpigelberga i pozwolił mu w susach szalonych przebiedz ujeżdżalnię. Koń zmęczony poprzedniém hasaniem, ściśnięty kolanami, powstrzymywany wędzidłem, uspokajał się zwolna. P. Wosiński, objechawszy kłusem kilka razy ujeżdżalnię, skłonił się przed lożą hrabiego i wyjechał ku stajni.

Ta odwaga i zgrabność podobała się nietylko hrabiemu i zebranym widzom, ale wywołała niemal podziw u Herty. Gdy p. Wosiński pochwycił cugle, obawiała się nerwowo o uderzenie przedniemi kopytami, gdy koń ciągnął go za sobą, przypuszczała nieszczęście; tém większéj ulgi doznała na widok poskromionego zwierzęcia.

P. Wosiński został powitany aplauzem przez obecnych, Herta spojrzała nań uważniéj i w wyrazie jego twarzy znalazla coś znanego, co ją zdziwiło. Gdy usiadł w loży, hrabia, ściskając jego rękę, rzekł wesoło.

— Dziękuję, Stanisławie, uratowałeś mi Szpigelberga. Chyba w cyrku nauczyłeś się dosiadać konia.

— Byłem ochotnikiem w kawaleryi i z konieczności nauczyłem się téj sztuki.

Hrabia, spostrzegłszy pytający wzrok córki, objaśniał wypadek:

— Bo uważasz, Herto, siąść z lewéj strony jednym skokiem, to sztuka! Widziałaś?

— Tak, to trudno — mówiła Herta, usiłując sobie przypomnieć, gdzie widziała postać podobną do p. Wosińskiego.

— Ty mówisz: trudno, i to tak obojętnie — zapalał się hrabia — to nietylko trudno, ale nadzwyczajnie.

— Jest to zręczność, którą nabywa się częstą praktyką — dorzucił wesoło p. Wosiński.

— Kiedy to zręczność zwykła—wmieszał się doktór—pokaż nam pan jeszcze tę sztukę.

— I owszem, byle był wierzchowiec.

— Hej! Sułtana!—krzyknął hrabia.

Wprowadzono konia karego, osiodłanego. P. Wosiński dosiadał go w biegu to z prawéj, to z lewéj strony jednym rzutem ciała, nie dotykając strzemion.

Koniuszy, masztalerze, oficyaliści patrzyli z podziwem zazdrosnym na bohatéra dnia tego, który z prostotą odpowiadał na pochwały rozliczne.

Tego samego dnia Herta, przechodząc po powrocie z ujeżdżalni przez salon, zatrzymała się nagle przed portretem Stefana Rugiwojskiego, młodego bohatéra, zaginionego bez wieści w krwawéj bitwie na stepach.

— Już wiem—szepnęła po chwili.

Odnalazła bowiem podobieństwo. P. Wosiński przypominał jéj w wyrazie twarzy i oczu tego pięknego młodzieńca.

Hrabina, wysłuchawszy przy obiedzie opowiadania szczegółowego o wypadku ze Szpigelbergiem, oświadczyła uprzejmie chęć widzenia téj sztuki w dosiadaniu koni.

IX.

W upalne dni lipcowe podawano obiad późniéj i całe towarzystwo, z wyjątkiem Bola i p. Turowskiéj, często przechodziło na górny taras pałacu, korzystając z chłodu orzeźwiającego.

Wieczory były bezksiężycowe, tém wspanialéj błyszczały gwiazdy w przejrzystéj atmosferze.

W taki cichy, pogodny wieczór hrabiostwo z córką, doktór, nauczyciel i p. Wosiński usiedli na tarasie, popijając herbatę.

Park pogrążony w głębokich cieniach rysował się w mglistych konturach, tylko wierzchołki drzew dalszych wyraźniéj się zaznaczały na wyiskrzoném niebie. Czasami lekki powiew wiatru przynosił tchnienia gorące ziemi ostygającéj po dniu skwarnym, zapachy silne kwiatów ogrodowych, szum niewyraźny rzeki, klekot młyna dalekiego i piski ptaków nocnych. Ćmy różnokolorowe, zwabione światłem w oknach, zbliżały się lotem cichym, uderzały głucho o szyby, wzlatywały i znęcone suknią białą Herty, krążyły około niéj.

Hrabina podniósłszy oczy w górę, rzekła:

— Jak też dziś gwiazdy migocą!

Wszyscy spojrzeli na niebo. Na zenicie jaśniała Wega Liry, obok Smoka i Herkulesa.

— Będzie dészcz—odezwał się p. Wosiński.

— Dészcz, w taką pogodę?—powątpiewał hrabia.

— Nie widziałem dziś barometru—mówił nauczyciel—ale czuję, że dészcz jest niemożliwy.

— Jest to obserwacya ludu—objaśniał p. Wosiński, podkréślając słowo lud — sprawdzona przez naukę, że silne migotanie gwiazd zapowiada dészcz.

— Migotanie gwiazd a dészcz, coś nie wydaje mi się słusznem — rzekł poważnie nauczyciel.—W takim razie dészcz byłby codziennie, bo gwiazdy mrugają codziennie.

Ta uwaga podrażniła Wosińskiego i zwracając się bezpośrednio do nauczyciela, mówił:

— Planety naszego systemu świécą spokojnie, ale słońca innych systemów, jak np. Wega w Lirze—tu wskazał na zenit—migocą w naszém oku z kilku przyczyn, wśród których nasza atmosfera odgrywa ważną rolę, jeśli jest przesycona parą wodną.

— Słońca?—odezwała się Herta.

— Słońca — powtórzył spokojnie — oto u zenitu Wega, obok ta piękna gwiazda Herkulesa, daléj gwiazda polarna, na zachodzie Arktur. Są słońca białe, purpurowe, żółte.

— Gdyby też być na gwiazdach!—zamarzyła Herta głośno.

— To trochę trudno — zaśmiał się p. Wosiński — bo najbliższa ziemi gwiazda, Centaur, jest oddalona o dziesięć trylionów mil.

— Uczyłeś się astronomii?—zapytał flegmatycznie hrabia.

— Chodziłem przygodnie na wykłady i do obserwatoryum.

— I co?—rzucił hrabia.

— Nie znam nic wspanialszego nad gwiaździste niebo.

— I znasz się na gwiazdach?

— Trochę.

— A cóż to za gwiazda?—pytał, wskazując palcem na zenit.

— To gwiazdozbiór Herkulesa... i w nim nasza przyszłość. Słońce idzie w tym kierunku i tam zginie wraz z nami, jeśli przedtém nie zagaśnie.

— Gdzie ten Herkules?—zapytała hrabina.

— Okiem nieuzbrojoném nie widać dokładnie całéj konstelacyi ale wystarczyłaby lornetka teatralna.

— Ja przyniosę—zawołał usłużny nauczyciel.

— Tam mają podwójne słońce, jedno pomarańczowe, drugie zielono-błękitnawe.

— To piękna nauka ta astronomia—rzekł zamyślony doktór.

— Jeśli pan masz dobry wzrok, panie doktorze—mówił rozmowny dzisiaj młodzieniec — spojrz pan na wschód. W Lirze są również dwa słońca: błękitne i żółte.

— Jak tam musi być dziwnie i pięknie — odezwała się Herta — chciałabym tam być...

— Myślą można być wszędzie i posiadać wszystko, ale fizycznie...

— Gdyby na promieniu wzlecieć.

— I to zadługoby trwało, bo promień najbliższéj gwiazdy dochodzi do nas w cztery lata i 128 dni.

Po przyniesieniu szkieł oglądano gwiazdy, aż wreszcie hrabia zapytał żartobliwie:

— Powiédz, uczony astronomie, gdzie nasza gwiazda?

— Gwiazda Rugiwojskich?—odpowiedział wesoło—chyba w tarczy Sobieskiego, bo to konstelacya polska.

— Dobrze powiedziałeś—mówiła poważnie hrabina — bo w nas i krew Sobieskich płynie.

— A tak — potwierdził hrabia — wnuczka Jana była za Rugiwojskim.

— A może w gwiazdobiorze Poniatowskich?—zaśmiał się p. Wosiński.

— Poniatowscy?!—powtórzył z namysłem hrabia.—Czyż i oni są na niebie?

— Ich herb, ciołka, umieścił astronom polski Poczobut.

— To dziwne! Taka świéża rodzina! — rozmyślał hrabia głośno.

— Nie bierze zasłużony, ale szczęśliwy—odezwał się sentencyonalnie nauczyciel.

— To prawda—dodała hrabina.

— A gdzież moja gwiazda?—zapytała Herta.

— Chyba wśród białych słońc Syryusza, Wegi, Andromedy, Regulusa, Altaira wybierze pani.

— Nie chcę być słońcem, wolę być samotną.

— Oderwanych gwiazd nie ma, chyba zbłąkane.

— W takim razie wolę się błąkać wśród fal eteru, aniżeli być zależną.

— Wolność lub niewola jest w nas samych—odpowiedział z naciskiem p. Wosiński.

Wiadomości te, niemal elementarne, wydawały się zebranym czémś szczególném. Nauczyciela zwłaszcza niecierpliwiła ta rozmowa i drażniła, gdyż nie znał astronomii, odezwał się też z przekąsem:

— Powiedziałeś pan: słońce zginie, ziemia zginie, a co będzie z gwiazdami.

— W każdém życiu jest śmierć, więc i one zginą.

— A potém?

— Nie wiem.

— To nie jest rozwiązanie, to zaprzeczenie — prawił nauczyciel.—Bóg przecież rządzi gwiazdami i nie pozwoli zniszczéć temu, co sam stworzył. Wogóle, nie lubię nauk wątpliwych.

— Ja zgadzam się z panem — przemówił doktór. — Lubię fakta i formuły matematyczne. Wiem, gdzie idę, wiem, czego chcę.

Robiąc tę aluzyę do uczuć p. Wosińskiego, uśmiéchał się doktór, patrząc mu w oczy.

— Pozwól, doktorze, młodym na marzenia. Im się zdaje, że świat zdobędą—odezwał się hrabia spokojnie.

— I po zwycięstwie trzymają łupinę—dodał doktór ironicznie.

— Pozytywizm pana doktora mrozi chłodem—rzekła Herta.

— Chłód faktów dobry jest na gorączkę marzeń — odpowiedział doktór. — I w téj chwili byliśmy z gwiazdami, a komary korzystały z tego.

— To prawda—odezwała się hrabina — trzeba się liczyć z faktami i komarami, chodźmy.

Herta źle spała téj nocy. Miała sny niespokojne, męczące. Szła schodami zepsutemi na wieżę olbrzymią, by zobaczyć gwiazdy i nagle załamały się schody. Leciała w przepaść czarną i straszną. Nagle obudziła się. Przypomniała sobie dzisiejszy wieczór, rozmowę o gwiazdach; uśmiéchnęła się ze swego przerażenia, a nie mogąc usnąć, przy-

pominała sobie dzisiejszy wieczór i w pólsennėm marzeniu zobaczyła p. Wosińskiego dosiadającego konia, rozmarzonego gwiazdami, mieniącego się pod jéj wzrokiem i odczuwała sympatyę dla niego, twarz jego stawała się coraz to podobniejszą do portretu Stefana Rugiwojskiego, tak, że wreszcie nie mogła dobrze odróżnić, który z nich jest żywy, a który sportretowany. I pod tém wrażeniem usnęła.

X.

Na drugi dzień od rana zaczął mżyć dészcz, który wzmagał się stopniowo, aż pod wieczór przy wietrze zachodnim rozlały się strugi. Dzień ten dżdżysty, smutny dla gospodarzy zajętych żniwami, był wesoło obchodzony w pałacu, jako rocznica urodzin Bola.

Dziecko starannie ubrane poszło kolejno do ojca i matki, którzy obok życzeń obdarowali chłopca prezentami. Matka dała mu strój huzarski z szabelką i ostrogami, któremi Bolo nie mógł się dość nacieszyć. Ojciec dał małą bryczkę i uprząż odpowiednią dla muca. Herta wstała rano, uściskała brata w łóżeczku obdarowawszy go muszlą morską oddawna pożądaną.

Wieczorem na uczczenie dnia tego zaproszono zwykłe towarzystwo obiadowe do mniejszego salonu. Dziecko zmęczone wrażeniami dnia siedziało ciche, niemal senne na fotelu, przeglądając książkę z rycinami.

— Bolu, chcesz spać?—zapytała Herta.

— Wcale a wcale—odpowiedział żywo, patrząc z żalem na strój swój huzarski, z którym musiałby się rozstać.

— Jesteś już senny—rzekł nauczyciel.

— Ależ ja nie chcę spać!—zawołał Bolo ze smutkiem.

— Nie chcesz?—mówił ojciec uśmiéchnięty. — Gdyby ci Herta zaśpiéwała kołysankę twoją, zaraz uśniesz.

— Jaką to kołysankę?—zapytał doktór.

— Urodziny i kołysanka mamki Bola, mazurki z pod Warszawy, to najważniejsze dotychczas epoki w życiu jego — rzekła hrabina, uśmiéchając się łagodnie do dziecka.

— Zaśpiéwaj mu, Herto! — radził ojciec. — Bolo namyśli się, że czas mu spać, a ja lubię czasem piosnki ludowe.

Herta zbliżyła się do fortepianu, uderzyła kilka akordów i akompaniując sobie zaśpiéwała:

„Śpij dziecino pańska,
Wiozą ci zabawki,
Z Krakowa i Gdańską
I z naszéj Warszawki.

Z norymberskich sklepów
Sukienkę ci dadzą,
A z podolskich stepów
Konika sprowadzą.

Gdy urośniesz duży
Wśród wojen hałasu,
Pod szopą sejmową
Spać nie będzie czasu.

Melodya, jakkolwiek jednostajna, miała w sobie wdzięk i zacięcie brawurowe mazurów, a odśpiéwana świéżym, melodyjnym głosem podobała się wszystkim, a zachwyciła p. Wosińskiego. Nietylko dlatego, że Herta ją śpiéwała, ale że była, jak sądził, piosnką ludową. Tak dalece się zamyślił i zasłuchał we własne uczucia, że obudziło go dopiéro pytanie hrabiego:

— Cóżeś taki zamyślony, Stanisławie?

— Rozmarzyła mnie ta piosnka ludowa — odpowiedział zmieszany.

— Czy ludowa? wątpię—rzekł doktór — w każdym razie ładna.

— Sądzi pan—mówił żywo p. Wosiński — że jest za piękna, jak na ludową.

— Może—odparł spokojnie.

— Ależ lud posiada prawdziwe skarby melodyi — zapalał się młody.—Tylko lud jest źródłem ożywczém literatury i sztuki.

— Może pan powiész nauki i filozofii—dodał doktór z uśmiechem pobłażania.

— Ależ naturalnie.

— I ja byłem kiedyś młodym — odparł doktór ironicznie—wierzyłem w lud, ale sparzyło mnie życie.

— Co to jest lud?—wmieszał się hrabia. — Lud, to utopia. Bez naczelników, szlachty, inteligencyi, jest to tłum owczy, bezrozumny, nic więcéj.

Płomienie uderzyły na twarz młodzieńca i pozwalając się unieść, mówił głośniéj:

— Lud sam w sobie jest całością skończoną, posiada swoją filozofię, prawo, ustrój społeczny, swoją poezyę i muzykę. Szlachta i inteligencya wyrosła z niego i nim żyje, i jeszcze uważa się za coś lepszego!

Popatrzono na niego ze zdziwieniem i niesmakiem. Umilkli. Po chwili odezwała się hrabina tonem suchym:

— Zapatrywania na świat są różne, najlepiéj zostawić każdemu własne.

— Nie wiedziałem, żeś jakobinem — zaśmiał się ironicznie hrabia.—Zobaczymy, jaki będzie koniec.

— Młodzież—przemówił nauczyciel — sama nie wié, czego chce i dokąd idzie. Podsyca ogień, aby świat zadziwić.

— Idzie mi o zasady, a nie o podziw pana—odpowiedział hardo p. Wosiński.

— Zasady?!—rzekł hrabia. — Zapewne są takie i takie. Co do mnie, wolę być w okopach św. Trójcy, jak pisze Krasiński, aniżeli iść z Pankracym.

— I ja z ojcem! — zawołała Herta, śledząca z zainteresowaniem rozmowę. — Ten lud, o ile biédny i nieszczęśliwy, zasługuje na litość, ale gdy chce się burzyć, jest wstrętny.

P. Wosiński chciał odpowiedziéć, uprzedziła go hrabina:

— Dyskusya zamknięta.

W téj chwili weszła p. Turowska i zabrała sennego Bola.

Rozmowa o pogodzie, żniwach, ciągnęła się leniwo, ożywiła się dopiéro, gdy doktór zapytał:

— Słyszał pan hrabia o agitacyi w naszéj okolicy?

— Jakiéj?

— Myślą postawić wielką fabrykę, młyn czy cukrownię.

— Kto?

— Okoliczni właściciele. I jak mi mówiono, mają prosić pana hrabiego o pomoc i udział.

— Nie rozumiem.

— Najlepszy i najsilniejszy spadek wody jest w Wieszarach; następnie pan hrabia ma las, który może dać opał; wreszcie najlepsze folwarki, więc bez pana hrabiego obejść się nie mogą i chcą prosić o współudział.

— Nie lubię spółek—rzekł zimno hrabia. — Co mam zrobić, sam zrobię.

— Jeżeli zapłacą za motor—tłómaczyła hrabina—za ziemię pod budynki, dadzą dobre i pewne warunki, nie rozumiem, dlaczego miałbyś odmówić?

— Fabryka wpłynęłaby na podniesienie miasteczka — odezwał się nieśmiało p. Wosiński—i bezrolni mieliby stały zarobek.

— To właśnie jest złą stroną fabryki. Dziś robotnik się prosi

i ciśnie, a gdy będzie miał dochód poboczny, ucierpi na tém gospodarstwo folwarczne.

— Tak źle, panie hrabio, nie będzie—mówił doktór—kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu ludzi uszczerbku nie przyniosą.

Hrabia podniósł zwolna spuszczoną głowę, spojrzał na doktora i rzekł spokojnie:

— Sam nosiłem się z myślą zużytkowania téj wody, ale... my nie stworzeni do przemysłu i handlu. Ziemia, rolnictwo—to jedynie rzecz dobra dla nas.

— Lecz gdy oni ponoszą całe ryzyko ..—zaczął doktór.

— I sami się proszą—przerwała hrabina—sami zbudują...

Hrabia popatrzył na żonę i ożywiając się powiedział tonem stanowczym:

— Jeśli zobaczysz kogo, doktorze, powiédz, by mi plan podano na piśmie. Przestudyuję, obliczę i zobaczymy.

— Kto się głównie tém zajmuje?—zapytała hrabina.

— Jakiś wielki przemysłowiec. On podał projekt i prawie wszyscy się zgodzili.

— Nie ja!—rzekł zimno hrabia.

Doktór, widząc poparcie hrabiny, nie dał za wygranę i mówił goręcéj:

— Istnienie fabryki zależy tylko od pana hrabiego. W innych, pobliskich wsiach są różne braki i przeszkody, to nie ma dojazdu, to znów pola włościańskie przeszkadzają lub niedostępne brzegi, a rzecz najważniejsza to dobry spadek wód.

— Zobaczymy, zobaczymy — odpowiedział znudzonym głosem hrabia i spojrzał na zégarek.

Wkrótce salon opustoszał.

W oknach p. Wosińskiego paliło się światło do późna téj nocy. Niespokojny chodził po swym pokoju

Drażnił go chłód wyniosły hrabiny, dotykała niemiła ironia hrabiego, gniéwały słowa nauczyciela, a bolało odezwanie się Herty.

Rugiwojscy w jego oczach byli powołani do stworzenia nowéj ery w rozwoju społecznym. Ich lekceważenie, niemal wzgardliwe dla utytułowanéj i nieutytułowanéj szlachty, zrodziły w nim przekonanie, że dla nich lud jest tą wielką, pierwotną siłą, którą pragną i mogą podźwignąć i uszlachetnić.

Tymczasem dziś zimne słowa hrabiego: „o tłumie owczym, bezrozumnym" rozwiały te ułudy. I gdyby przynajmniéj Herta nie zazna-

czyła tak wyraźnie swych przekonań! — skarżył się p. Wosiński — gdyby nie potępiła tak życia ludowego! Ona chce być tylko wielką jałmużniczką! Nie chce rozumiéć, że ten lud żyje, cierpi, kocha, że może pragnąć i dążyć do celów innych. Czuł się w tym pałacu samotny, opuszczony, zgnębiony.

Jeśli ludzie chorzy umysłowo miewają przebłyski zdrowego rozumu, zdarza się to i zakochanym, mimo że zmysły ich i rozum są zamglone przez uczucie dla osoby ukochanéj.

Tego rodzaju przebłysku krytyki logicznéj doświadczył chwilowo i p. Wosiński; wkrótce jednak obrazy Herty pięknéj, łagodnéj, rozumnéj; jéj ruchy, spojrzenia, ton mowy przypłynęły falą powtórną tak silnie, że znikły poprzednie rozumowania. Wreszcie wyłoniła się myśl że słowa Herty były najlepsze, najdoskonalsze, najsprawiedliwsze: bo przecież ten lud cierpi, a ona chce mu pomódz, nieść ulgę i pociechę. Opuściły go troski i obawy, Herta w jego oczach nabrała nowych blasków i zalet, dziś bowiem miał już fakta, jéj własne słowa, gdy dotychczas tylko przeczuwał ten nowy klejnot w koronie jéj doskonałości.

XI.

Od dłuższego czasu pisma i dzienniki pomieszczały korespondencye dorywcze o emigracyi chłopów do Brazylii. Stopniowo ton tych artykułów stawał się goretszy, omawiano przyczyny i następstwa tego wychodźtwa, opisywano nędzę tych ludzi w kraju, następnie w Hamburgu i Bremie.

Wiadomości te odczytywane w Wieszarach wywoływały grymas znudzenia u hr. Rugarda, zaledwie raz przeczytał do końca artykuł zatytułowany: „Upadek wielkich gospodarstw", lecz gdy w liczbie majątków pogranicznych nie znalazł znanych sobie, gdy ani on, ani jego rodzina nie posiadała dóbr w téj stronie, omijał tego rodzaju artykuły, jako nudne i bezcelowe.

Odmienne wrażenie wywoływały te opisy u doktora i p. Wosińskiego. Pierwszy patrzał optymistycznie na cały ten ruch, jako na objaw samodzielności. Tego rodzaju optymizm dogadzał jego życiu obecnemu, harmonizował z usposobieniem, skłonném do używania, nie mącił spokoju i ciszy umysłu, nie poruszał popiołów marzeń już dziś przebrzmiałych. Drugi nietylko gorączkowo odczytywał tego rodzaju artykuły, tak w pismach krajowych, jak i zagranicznych, ale, o ile na

to pozwalała biblioteka hrabiego, studyował Brazylię i kolonizacyę wogóle. Na pierwsze wezwanie do składek dla emigrantów posłał całą swą skromną pensyę, wypłacaną kwartalnie.

Słowa doktora, że służąc trzeba i można być pożytecznym, gdyż hrabia może nie wiedzieć o biédnych i potrzebujących, utkwiły mu w umyśle i osądził, że teraz nadeszła chwila działania w tym kierunku.

Materyały nagromadzone w gazetach, broszury ulotne o bezrolnych, wyjaśnienia ekonomicznego stanu chłopów, przejmujące opisy nędzy, wszystko to stanowiło bodziec zbyt silny dla jego wyobraźni wrażliwéj i podnieconéj, by nie skorzystał ze swego stanowiska w pałacu; wyczekiwał tylko stosownéj chwili, nie wątpiąc o świetnym rezultacie swego wezwania i obrony.

W tym czasie złożyli wizytę hr. Rugiwojskim sąsiedzi dalecy i kuzyni, książę i księżna Korycińscy i hrabia Talniański, którzy świéżo powrócili z zagranicy.

Księstwo niemłodzi, bezdzietni, używali harmonijnie przyjemności bogatych ludzi. Obszerne majątki, puszczone w dzierżawę, dostarczały funduszów na pobyt w stolicach europejskich. Mimo pogłosek złośliwych, małżeństwo żyło zgodnie i nie było zabawy głośniejszéj w Europie, aby oboje nie brali w niéj udziału czynnego.

Hrabia Talniański, wysoki, szczupły, z zarostem rzadkim na brzydkiéj twarzy, z wystającą górną szczęką, wierzył w siłę niepokonaną tytułu, pieniędzy i w dobre konie. Po za tém i świat i ludzie byli mu obojętni i służyli znudzonemu do rozrywki.

Podczas obiadu, podanego nader wystawnie, gdy stół uginał się pod ciężarem sreber starożytnych, postanowił p. Wosiński poruszyć sprawę emigracyi brazylijskiéj.

Obecni reprezentowali milionowe fortuny, nie mieli prawie obowiązków rodzinnych, a byli tak grzeczni, tak uprzejmi, tak dobrzy, że, jak mu się zdawało, dość było kilku słów, aby ich kasy się otworzyły i z nich spłynęła pociecha i pomoc.

— Pan dawno z zagranicy?—zapytała hr. Talniańskiego hrabina Rugardowa z uśmiechem uprzejmym.

— Przed dziesięciu dniami; jednak dopiéro onegdaj byłem w domu, tydzień bawiłem w Warszawie.

— Cały tydzień? — dziwił się książę, spoglądając spłowiałemi oczami.

— Cóż w Warszawie?—pytał hr. Rugard.

— Było jakieś *corso* kwiatowe. Nędza, ale oni tém się bawią— i wydął wzgardliwie wargę górną i tak już wystającą.

— O tak, Warszawa lubi się bawić—dorzuciła księżna.

— Jeśli Bruksellę — zaczął z ironią hr. Talniański — nazywają fałszywie Paryżem małym, to Warszawa jest karykaturą *d'un faubourg de Paris.* Nudne, płaskie zabawy, bez cienia wykwintu i humoru.

— Muszę stanąć w obronie Warszawy — odezwała się Herta — bawią się jak mogą i umieją.

— I téj zabawy jest za dużo — przemówił p. Wosiński z szarego końca.

Obecni spojrzeli zaciekawieni w tę stronę, ponieważ jednak pan Wosiński był przedstawiony, nie zdradzili niczém swego ździwienia, przeciwnie hr. Talniański podjął rozmowę i nie patrząc, zapytał obojętnie:

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Zabawa dobra jest dla szczęśliwych — odpowiedział z wahaniem zapytany—ale wobec nieszczęścia emigracyi ludu, gdy tylu ginie w Brazylii, zabawa jest ironią.

— A tak, coś słyszałem o téj emigracyi—rzekł książę.

— Czytałem i ja — przemówił hr. Rugard — ale *au fond* jest to pęd owczy tłumu, który z czasem ustanie.

— Mówiono o tém w klubie—odezwał się hr. Talniański—i jak się jeden z moich znajomych wyraził, jest to lekarstwo dawne i dobre na gorączkę.

— Jest w tém trochę prawdy—dodał książę — emigrują żywioły niespokojne i burzliwe. To uspokaja kraj.

— Jakże śmiesznie brzmią dzisiaj — rzekł hr. Rugard—te deklamacye poetów o miłości ludu do ziemi rodzinnéj!

— A tak dużo o niéj mówiono i pisano — dodała hr. Rugardowa.

Te frazesy jątrzyły młodzieńczą krewkość p. Wosińskiego, odezwał się też głucho:

— Głód zwycięża miłość!

— Głód?—podjął książę.—Dla chłopa w Królestwie dość kartofli, ale im zawszé w głowie „lasy i pastwiska", jak mówił jakiś poseł w Galicyi.

— *A propos* Galicyi. Książę Leon zaręczony z hrabianką Eulenburg, słyszała o tém księżna?—zapytał hr. Talniański.

— Poznałam go w Wiedniu, miły i dowcipny.

I daléj toczyła się rozmowa o znajomościach spotykanych w Austryi, Niemczech i we Włoszech z określeniami tak subtelnemi i oso-

bistemi, że prócz grona gości i gospodarzy nikt nie mógł wziąć w niéj udziału.

Po obiedzie, że czas był pogodny, całe towarzystwo przeniosło się na werandę. Panie utworzyły jedną grupę, panowie pijąc kawę drugą. Pan Wosiński i doktór znaleźli się pomiędzy temi dwoma grupami, tak, że uszu ich dochodziły frazesy głośniejsze pań i słowa panów.

Księżna opowiadała o przyjęciu u ambasadora angielskiego w Paryżu, którego żona miała na sobie suknię z koronek brukselskich.

Wszczęła się rozmowa ożywiona o piękności koronek belgijskich i tegorocznych modach.

— Moda w stylu Henryka III potrwa jeszcze długo, jak zapewniają krawcy paryscy, chociaż spostrzegłam lekkie nachylenie się ku dworowi Elżbiety—mówiła z namaszczeniem księżna.

— W derby wygrał koń francuski—zawołał książę dość głośno.

— Francuski?—akcentował hr. Rugard.

— Zdawało się, że Paryż oszaleje, tak wielką była radość — dorzucił hr. Talniański.

— Nie rozumiem tego antagonizmu pomiędzy Francyą a Anglią—rzekł poważnie hr. Rugard.

— A cóż? Konkurencya! — odpowiedział książę, wzruszając ramionami i zajął się słodzeniem kawy i próbą likieru.

— Pojmuję—mówił hrabia Rugard zwolna—że burżuazya i kupcy mogą konkurować w handlu, zresztą o kolonie, rybołóstwo, wpływy piéniężne... ale w sporcie? o konie?

— Gdzież nie wciskają się oni dzisiaj? — powiedział z miną pogardliwą hr. Talniański.

— Dla mnie — rozpoczął hr. Rugard, puszczając miarowo dym z cygara—wszystko jedno jaki koń, angielski, francuski, czy niemiecki, byle dobry i ładny, o nic więcéj nie pytam.

— Hrabia mówi, jak *a true sportsman,* ale ten ogół, ta masa szara musi miéć jakiś pieprzyk i oto wynaleziono konkurencyę narodową. Tak dobra zabawka, jak inna — kończył książę tonem wyrozumiałości człowieka, który przeżył i zbadał wszystko.

— Te waśnie i zawiści narodowościowe przypominają wzajemne grymasy małp—kończył hr. Rugard, otrzepując popiół z cygara.

— To prawda, lecz ubliża to témbardziéj wyścigom—oburzał się hr. Talniański. — Idzie o stajnie, a nie o narodowość. Lord, markiz czy graf, to rzecz obojętna, byle ród konia był dobry i czysty.

— Małpiarstwo gawiedzi jest istotnie przykre — westchnął książę, kończąc kawę i lekko ziewnął, zmrużywszy zmęczone oczy.

— Cała pociecha, że sport kosztuje drogo i nie dla wszystkich jest dostępny—pocieszał hr. Rugard.

— Gdyby to było przynajmniéj zamiłowanie do sportu — mówił zgryźliwie hr. Talniański—ale nie, idzie o grę, o stawkę...

— Ależ, hrabio! — przerwał książę — za dobre mniemanie masz o ogóle. Psy rzucają się na kości, nie na ostrygi!

Zaśmiali się głośniéj panowie. Lokaj zabiérał filiżanki i kieliszki po likierze, hrabia tedy zaproponował zwiedzenie stajni końskiéj.

Wraz z gośćmi wyszedł doktór i p. Wosiński, ostatni umyślnie się opóźniał, by módz opuścić towarzystwo niepostrzeżenie. Zapragnął samotności, by pozostać sam ze swoim wstydem i upokorzeniem. Po wysłuchaniu rozmowy panów przy czarnéj kawie, czuł całą niewłaściwość swego odezwania się.

Gdy uprzytomnił sobie spojrzenia, półuśmiechy i ruchy gości, gdy rozważył ich słowa, pobladł z gniewu i oburzenia. Z przedobiedniego optymizmu wpadł w drugą ostateczność, widział wszystkich i wszystko w barwach czarnych. Zwolna postać Herty bielała, a gdy przypomniał sobie jéj odezwanie się o Warszawie, wyłączył ją zupełnie z grona potępionych; następnie wyszukał zalety i okoliczności łagodzące dla hrabiny i hrabiego Rugiwojskich, i tych wyłączył, czarnymi pozostali książę i hr. Talniański, których ujemne strony sprawiały mu nawet przyjemność. Rozumował bowiem, że jeśli ci dwaj panowie reprezentują istotnie arystokracyę, w takim razie Herta nie wyjdzie za arystokratę, ani rodzice jéj nie pozwolą, a wówczas, wówczas... i nie śmiał na razie sam przed sobą wyznać, że on połączy się z Hertą ślubnym węzłem.

Tą drogą rozumowania doszedł p. Wosiński do harmonii, spokoju i nadziei lepszéj przyszłości.

Logika w miłości jest tak zbyteczną, jak pogrzéb na weselu. Czasami zdarza się i jedno i drugie, lecz w téjże chwili rzuca się na niemiłych gości zasłonę tak nieprzejrzystą, że widoczną pozostaje jedynie miłość i wesele.

I p. Wosiński postanowił czekać wyjazdu gości i poruszyć jeszcze raz sprawę pomocy dla emigracyi chłopskiéj w stosownéj chwili, nie wątpiąc o wspaniałym rezultacie swego pośrednictwa i swéj wymowy.

XII.

Nazajutrz przy drugiém śniadaniu zasiadło to samo towarzystwo, prócz doktora zajętego chorymi. Księżna zachwycała się sznurami pereł pięknych zdobiących szyję Herty. Panowie chwalili konie i porządki stajenne hrabiego, co go wprowadziło w dobry humor.

— Każ, hrabio, sportretować Szpigelberga, on zasłużył na to — mówił hr. Talniański.

— Lichego malarza nie chcę, a dobry tak się droży ze swą wizytą, że nie opłaci się sprowadzać—odpowiedział hr. Rugard.

— Hrabia ma słuszność zupełną—potwierdził książę.—Chciałem miéć portret żony w balowéj sukni. Posyłałem, chodziłem sam, prosiłem i malarz nie skończył na czas oznaczony. To światło złe, to znów usposobienie, to się obraził, dość, że zdaje się im, iż robią łaskę biorąc sutą zapłatę.

— Popsuli ich handlarze bogaci i przemysłowcy, którym dogadza pochwała dzienników, wydymających sławę takiego malarza—dodał hr. Talniański.

— Każdy kroi na artystę, a zapominają, że Rafael i Michał Anioł służyli i słuchali—rzekł hr. Rugard z dumnym uśmiechem.

— Ja lubię jednak artystów — odezwała się księżna. — Ich bal ostatni w Wiedniu był wspaniały.

— Są artyści i malarze — wypowiedział z powagą hr. Talniański—taki Makart maluje wspaniale, ale reszta...

Hrabina Rugardowa oczekiwała z niepokojem przyjemnym nazwisk malarzy polskich, którzy w swych obrazach sportretowali dawnych Rugiwojskich; usłyszawszy nazwisko Makarta, rzekła tonem lekkiéj krytyki:

— Zapomina pan o dwóch polskich artystach, jest przecież Kossak i Matejko.

— No tak, zapewne... — odpowiedział hr. Talniański, gdy inni skinęli potakująco.

— Oni są i dla mnie artystami—mówił hr. Rugard—od banalności ratuje ich treść obrazów.

— Hrabia ma zupełną słuszność — potwierdziła uprzejmie księżna.

— Gdyby im odjąć treść zaczerpniętą z dawnych dziejów, zostałaby im tylko zręczność malowania koni i krajobrazu — dodała hr. Rugardowa.

— To téż malarze i pisarze uganiają się za przeszłością, bo wiedzą, że ich czeka sława i poczytność—kończył hr. Rugard.

— Co do powieści historycznéj, nie znam lepszéj aniżeli „Trzech Muszkieterów" starego Dumasa...

— Jakto, książę czytuje jeszcze powieści?—zapytał hr. Talniański z uśmiechem.—Dla mnie wystarczają dzienniki, a już w ostateczności biorę romans do ręki.

— Nie mówię dziś—bronił się książę--ale dawniéj, z nudów...

— Siedząc na wsi—rzekł hr. Rugard — przeglądam czasem nadsyłane do biblioteki nowości, ale wolę dzienniki...

— Ja zaś lubię powieści — mówiła księżna, uśmiechając się często, by pokazać rząd ząbków białych — ale dobre, zaciekawiające do ostatniéj kartki, by można zapomnieć nawet o bólu głowy.

— I ja lubię przeczytać czasem takiego Cherbuliez'a, Theuriet'a, Feuillet'a lub Ohnet'a—odezwała się z pobłażliwością hr. Rugardowa.

— A pani?—spytał Hertę hr. Talniański.

— Lubię Walterskotta i Malot'a.

— Nie lubię polskich powieści—rzekł książę—zawsze jakieś jęki, nauki, stróżowanie. Nie czytam ich, gdyż powieść powinna tylko bawić.

— Istotnie ten ich świat miejski i szlachecki jest nudny — potwierdziła hr. Rugardowa.

— Trzeba jednak przyznać, że powieści polskie są moralne — odezwał się hr. Rugard.

— Co do mnie, wolę występek wesoły, aniżeli cnotę nudną—dodał książę, popijając wino.

Prócz Herty uśmiechnęli się wszyscy z uznaniem.

— Gyp byłaby niezłą— mówił hr. Talniański—gdyby nie zawiele tych fałszywych tytułów.

Ponieważ nikt nie podjął rozmowy, nauczyciel uznał za stosowne zapytać głosem słodkim:

— O jakich tytułach pan hrabia mówi?

Hrabia Talniański, bawiąc się układaniem serwety, mówił od niechcenia:

— Te księżne, markizy, hrabiny są maskaradowe. Czasem na ślepo wyjdzie prawda i to zakulisowa.

— Bronię Gyp—zawołała księżna—sądzę, że opisuje świat tytułów napoleońskich, a oni są tacy!

Zdawało się księciu, że słowa te nie są dość jasne, więc pośpieszył z objaśnieniem:

— Stara arystokracya francuska jest inną, ale marszałek z żołnierza będzie zawsze trącił żołnierzem.

— To samo możnaby powiedzieć — odezwała się hr. Rugardowa z delikatnym uśmiechem ironii—o hrabiach niemieckich i książętach włoskich.

— To prawda! Zagranica roi się niemi, chociaż i wśród Polaków ich nie braknie—mówił złośliwie hr. Talniański.

— Mam i ja takiego sąsiada. Każe się tytułować hrabią, chociaż nie wiem, czy przywłaszczył sobie ten tytuł, czy kupił?

— Słyszałem—zawołał ze śmiechem książę — że hrabia go przechrzcił.

— Zabawnym wydał mi się ten tytuł — ciągnął rozweselony hr. Rugard, dumny ze swego dowcipu—zmieniłem tylko litery i zrobił się Chlewański.

Uśmiechnęli się wszyscy; nauczyciel ośmielony wystąpieniem poprzedniém, rzucił cytatę:

— *Littera docet, littera nocet*—i śmiał się głośno.

I ten dowcip przyjęto łaskawie, tylko hrabina zachmurzyła się trochę na wmieszanie się niestosowne nauczyciela.

— Nie jestem zwolennikiem kastowości — rzekł książę, odsuwając lekkim ruchem półmisek podany przez lokaja — ale czasami przydałaby się.

— Jest w tém trochę i naszéj winy—odezwała się hrabina wzdychając—balotujemy zbyt łagodnie.

— Wina w tém zmieszaniu nie nasza, ale pieniędzy — rzuciła księżna.

— To prawda—potwierdzlł hr. Talniański—za pieniądze naśladują wszystko: nasz strój, nasze zabawy, nawet nasz sport!

— Nie smuć się, hrabio!—zawołał książę wesoło.—Naśladują, to prawda, ale też mamy widowisko bezpłatne!

— Istotnie zabawném jest pozowanie tych bankierów i szlachty —dodała z uśmiechem księżna, poprawiając bransoletkę na swéj ładnéj, białéj ręce.

— Ja nie lubię ani tych ludzi, ani ich pretensyi.

To odezwanie się hr. Rugardowéj tchnęło krytyką zdań gości, więc mąż pośpieszył:

— Zdaje się, że nikt z nas tego nie lubi. Poprzestanie na losie naznaczonym od Boga, jest prawdziwą zasługą.

— Lecz dzisiejsi demokraci przeczą wszystkiemu — mówił hr. Talniański, krzywiąc swą brzydką twarz i pokazując wielkie przednie

zęby — radziby w gruzy obrócić wszystko, aby uniknąć drogi pracy i zasługi.

— Silniejszą od nich była rewolucya francuska, a jednak zginęła — pocieszał go książę.

— Dla mnie człowiek bez religii, nie jest człowiekiem — rzekła sentencyonalnie hrabina. Panie westchnęły, mężczyźni skinęli głową z uznaniem. — Byłam w Rzymie z Hertą téj Wielkanocy. Ojciec święty raczył pobłogosławić dla nas obraz.

Obecni zdawali się zaciekawieni. I hrabina miała możność opowiedzenia nie tylko o uroczystościach w Rzymie, ale i o zdrowiu, wyglądzie, humorze ojca świętego z drobnemi szczegółikami.

W czasie tego długiego śniadania p. Wosiński słuchał w milczeniu całéj rozmowy i zdawało mu się, że pomiędzy nim siedzącym w jednym końcu zastawionego stołu, a pomiędzy nimi powstaje z chwilą każdą większy przedział. Czuł się obcym, niepotrzebnym, zawadzającym. Zupełne pominięcie jego osoby, przekonań i zasad drażniło jego ambicyą. Spoglądał często na Hertę.

Ludzie tworzą bogów na podobieństwo swoje, więc i Herta, jako ideał i bóstwo p. Wosińskiego miała umysł i uczucia podobne do niego. Jéj ożywienie i zainteresowanie kładł na karb względów dla gości rodziców, ale ona, jego zdaniem, musiała odczuwać w głębi duszy całą płytkość rozmowy, jéj duch wzniosły spozierał z litością i niesmakiem na tę arystokracyę, i ona nigdyby się nie zniżyła do poślubienia którego z nich, gdyż na samą myśl wzdrygnęłaby się jéj dusza wzniosła i czysta. To przekonanie zupełnie uspokoiło i pocieszyło pana Wosińskiego.

Gdy w jakiś czas po śniadaniu wyjeżdżali goście, hr. Rugard wraz z p. Wosińskim zostali chwilowo sami na tarasie. Właśnie odjeżdżał hr. Talniański, którego stangret i strzelec byli ubrani z węgierska, a na drzwiczkach powozu pod koroną hrabiowską widniała tarcza herbowa z krzyżem i podkową.

Hr. Rugard patrząc na herb ten rzekł z uśmiechem ironicznym:

— Nawet podkowy z końmi pchają się gwałtem do naszéj łodzi!

— Nie wejdą, raczéj potoną! — odpowiedział młody człowiek rad z siebie, z ludzi, ze świata.

— Masz słuszność — dodał hrabia — przerazi ich lwica!

XIII.

Jeśli szczęściem nazywa się harmonia egoizmu z otoczeniem, w takim razie p. Wosiński był szczęśliwy.

Kilka łagodnych spojrzeń Herty wystarczyło, by w zakochanym wzbudzić najśmielsze nadzieje pozyskania jéj wzajemności. Pragnienie wzbudza obrazy oaz, źródeł i chłodu nie tylko na pustyni, częściéj jeszcze przytrafiają się one w życiu uczuciowém. Miłość na równi z wiarą znosi góry, wypełnia przepaście i ściele drogę różaną. Tém łatwiejsze zwycięstwo odniosła miłość w tym razie, gdyż p. Wosiński czuł się godnym Herty. Był przekonany, że nikt, nigdy nie kochał tak, jak on, i że chwila ich połączenia będzie zarazem uszczęśliwieniem tysięcy. Już dziś nie fermy wzorowe były celem jego marzeń, ale obok nich istniały w każdéj wiosce kasy zapomogowe, oszczędnościowe, ubezpieczające: budynki, inwentarz i posiewy. Z dobrobytem materyalnym rósł dobrobyt moralny w stosunku geometrycznym. Karczmy stały się klubami, szkoły, ochrony, szpitale były świetnie uposażone. A wszystkie te cuda zrobiła Herta i on. Marząc o tém, témbardziéj ją kochał i uwielbiał.

Fałszywą nutą tego solowego śpiewu była niezałatwiona sprawa emigracyi brazylijskiéj, przypominająca się nieustannie przez dzienniki.

Kilka dni zwlekał oczekując sposobności przyjaznéj i usposobienia dobrego hrabiostwa, lecz te obawy wydały mu się zbyt ostrożne, postanowił działać.

— Dzisiejsze dzienniki przyniosły smutną wiadomość — przemówił hrabia—księżniczka Marya Rymwidówna umarła.

— Czyż możliwe? — zdziwiła się hrabina.

— Są depesze z Włoch.

— Szkoda jéj! — zawołała Herta. — Gdyśmy ją spotkały z mamą, wydawała się zdrowszą, była taka dobra, piękna.

— To dziwne — rzekła hrabina. — W rodzinie nie ma dziedzicznych suchot, a ona umarła na suchoty!

— Była jedynaczką — zaczął hrabia po chwili — więc majątek przejdzie na brata księcia Rymwida.

— Majątki napewno — mówiła żona z namysłem — ale czy i kapitały? wątpię. Rymwidowa nie lubi brata, pewno zapisze gotówkę na cele dobroczynne.

— Czemuż nie jestem jéj doradcą? — odezwał się p. Wosiński.

— Skądże to pragnienie? — zapytał hrabia.

— Pani hrabina powiedziała, że księżna zapisze fundusze na cele dobroczynne; gdybym był doradcą, prosiłbym i błagał, by część majątku użyła na pomoc chłopom w Brazylii.

— Dobrze, — rzekł hrabia — ale do czego to doprowadzi? Jeśli idzie o koszta powrotne do kraju, stracone pieniądze, bo nowi emigranci napłyną.

— O nie! — zawołał młodzieniec — nie myślę o powrocie. Dziś już liczą tam dziesiątki tysięcy chłopów; ziemia w Brazylii tania, można zakupić olbrzymie obszary, całą prowincyę i tam osadzić chłopów. Czemuż nie jestem bogaty?—kończył ze skargą w głosie.

To wydało się tak zabawném hrabinie, że zapytała:

— I cóż byś zrobił?

— Poświęciłbym wszystko dla tego nowego kraju, któryby powstał bez więzów tradycyi.

Hrabia uśmiéchnął się sceptycznie i rzekł:

— Mój kochany, każdy kraj powstał z kolonizacyi, i Rugiwojscy sami kolonizowali olbrzymie przestrzenie, a co się stało? jaki koniec?

— Ależ tam inne warunki — bronił z zapałem p. Wosiński — ludność pierwotna licha i wymierająca, tam „nie pługiem i mieczem" ale pracą chłopską zdobywa się ziemię.

— Gdybym była bogatą — odezwała się Herta — nie żałowałabym piéniędzy na cel taki. Tylu ludziom zapewnić szczęście, dobrobyt i spokój, to dosyć!

— Marzysz o Ikaryi? — dodała hrabina z ironią.

— Nie łudzę się mamo, ale pomódz nieszczęśliwym jest przecież obowiązkiem.

— Pani hrabino, tu niema złudzeń — mówił p. Wosiński. W Ameryce, jak poucza historya, prowincye i miasta rosną szybko, a cóż dopiéro przy napływie tylu emigrantów! Powstanie miasto, szkoły, uniwersytet, marynarka...

— Zostań poetą! — zaśmiał się hrabia.

— I cóż daléj z tą Brazylią? — zapytała pani kończąc potrawę.

— Dzienniki opisują straszną nędzę emigrantów i wzywają do składek.

— A prawda! — zawołał hrabia, zwracając się do żony — widziałem w książce kasowéj wysyłkę pensyi Stanisława na składkę dla emigrantów.

Herta wiedząc o jego skromnéj pensyi spojrzała ździwiona.

— Posłałem, ile mogłem.

Te słowa podziałały na hrabinę, która spojrzała wymownie na męża. Ten skinął głową i odpowiedział z cicha:

— Dobrze. Zrobi się.

Herta usłyszawszy te słowa, zwróciła się do ojca:

— I ja mam trochę zaoszczędzonych piéniędzy, ojciec je weźmie?

— A dobrze.

Ten rezultat ucieszył bardzo p. Wosińskiego, widział w nim bowiem i zapowiedź powodzenia osobistego.

Przy czarnéj kawie na werendzie poruszyła Herta znów kwestyę emigracyi:

— Ojciec nie wierzy w kolonizacyę?

Hrabia milczał zapalając cygaro, po chwili odpowiedział:

— Kolonizacya jest możliwą, ale już w drugiém pokoleniu chłopi będą hiszpanami.

— Nigdy! — oburzył się p. Wosiński. — Chłop nie rzuca swéj narodowości, dla niego to nie rękawiczka, ale ręka.

Hrabia uśmiechnął się ironicznie:

— A Rzym? A Grecya? I tam byli chłopi.

— To były państwa, nie narody.

— Niech i tak będzie — zaczął hrabia obojętnie. — Dla mnie idea narodowości to przesąd chwilowy, chociaż jak nie zmieniłbym barwy herbu, tak nie zmienię narodowości. Jest w niéj pewna odrębność tradycyjna. Jestem zresztą konserwatystą, bo mam co konserwować, ale chłop?!

— O i chłopi są konserwatystami, weźmy np. Czechy...

— I tam są rody dobre, stare, — odezwała się hrabina. — Poznałam kilku magnatów czeskich w Wiedniu, bardzo przyjemni ludzie.

— Czy widziałaś teraz starego Weissenburga? — zapytał hrabia zainteresowany.

— Był na balu u ministra, prawie się nie zmienił. Poznałam też... — tu wymieniła kilka nazwisk.

Rozmowę żywą o znajomościach wiedeńskich przerwało wejście lokaja meldującego przyjście rządcy.

— Stało się coś niezwykłego, — rzekł hrabia wstając — chodźmy Stanisławie.

Hrabia wysoki, z pochyloną głową, podniesionemi ramionami, prawie chudy, wydawał się sztywnym i starszym przy młodym p. Wosińskim.

Wcale nie porównywała ich hrabina, ale zauważyła wzrost i przyjemne ruchy młodego człowieka i rzekła półgłosem:

— Może się i wyrobi!

— Kto? Mamo!

— Ten Wosiński.

— Zdaje mi się, że już skorzystał — mówiła poważnie Herta, zauważyła bowiem, iż od pewnego czasu opuściła go sztywność i nieśmiałość.

— Jeszcze surowy materyał; nadto egzaltowany.

— Poprawi się w towarzystwie ojca.

— Ojciec jest nadto pobłażliwy. Pozwala mu mówić o jego demagogii, emigracyi... z takimi trzeba być na ostrożności i trzymać zdaleka.

— Tak mamo.

Lekki chłód wieczoru powiał od rzeki, hrabina wstała:

— Nie zimno ci Herto?

— Nie mamo.

— Idę do pokoju. Zostajesz?

— Jeszcze chwilę.

Słońce zachodziło pokryte lekkiemi chmurami. Od barwy purpurowéj do lekko różowéj, od fioletu do jasnego seledynu drgał cały zachód, rzucając ostrzejsze blaski promienne na falującą powierzchnię przepływającéj rzeki.

Na razie przyrównywała Herta ten widok do palety malarskiéj, ale silna purpura tarczy nasunęła jéj przypomnienie słońc, przyświecających purpurowo innym nieznanym ziemiom. Ta myśl nasunęła jéj p. Wosińskiego, opowiadającego o niebie gwiaździstém.

Niwelujące prądy wieku przenikają mimo najbardziéj zapobiegawczych przeszkód, więc i Herta, jakkolwiek wychowana w wyrafinowanéj klauzurze rodowéj, pozwalała sobie w samotności na porównywanie p. Wosińskiego z młodzieżą arystokratyczną.

Z tych porównań wychodził on prawie zwycięsko, miał wprawdzie wady wychowania zaniedbanego; nie był zawsze równy w układzie; używał słów i zwrotów niewłaściwych; ale był jeszcze tak młody i gdyby żył w innych warunkach... Szkoda że on jest tylko sekretarzem jéj ojca...

Gdy po zachodzie słońca szła do pokoju, sformułowała sobie jasno swe przekonanie, że jednak ten pan Wosiński jest inny, aniżeli bywają ludzie z jego sfery!

XIV.

W gabinecie przechadzał się hr. Rugard wielkiemi krokami, rzucając od czasu do czasu pytania rządcy, stojącemu niedaleko drzwi, gdy p. Wosiński czytał z zajęciem papiery.

— Kto dał p. Dołsunowskiemu papiéry i projekta fabryczne? — zapytał po raz wtóry.

— Plenipotent hr. Chowańskiego — odpowiedział skromnie rządca.

— I co powiedział?—badał hrabia wstając.

— Trzech obywateli przyjechało do doktora wraz z plenipotentem, który oddał mi papiery z prośbą wręczenia panu hrabiemu.

— Dobrze. Któż przyjechał do doktora?

— Plenipotent powiedział mi nazwiska, ale zapomniałem.

— Przychodząc z raportem do mnie, trzeba wiedzieć z czém i od kogo się przychodzi — mówił twardo hrabia, rozpoczynając swój spacer na nowo.

Rządca milczał wpatrzony w posadzkę wzorzystą.

P. Wosiński odłożył papiéry i spojrzał na hrabiego. Ten stanął przed biurkiem i zapytał:

— Jaki projekt?

— Zostawiają panu hrabiemu do wyboru albo młyn, albo cukrownię. Do postawienia i urządzenia młyna trzeba 200,000 rs.; téj saméj sumy trzeba na cukrownię, prócz gruntu, motoru i zobowiązań co do rodzaju ilości produktów.

— I proponują?

— Większość jest za młynem, ale czynią to zależném od decyzyi pana hrabiego. Gotowi płacić za ziemię pod budynki.

— Dobrze. A za motor?

— O motorze nie ma wzmianki.

— Żadnéj?

— Nic.

— Może źle przeczytałeś?

— Nie ma.

— Niechże mi dadzą spokój ze swémi fabrykami. Jeśli tak głównéj rzeczy nie rozumieją, to i mówić nie warto.

— Pan hrabia ma zupełną słuszność — ośmielił się powiedzieć rządca.

Hrabia spojrzał lekceważąco w stronę głosu i odwracając głowę ku oknu mruknął dość głośno:

— Także uznanie! — i skrzywił usta do uśmiechu ironicznego.

W téj chwili drzwi się uchyliły i kamerdyner anonsował:

— Pan doktór!?

— Niech wejdzie — i zwracając się do wchodzącego zapytał — cóż doktorze?

— Stosownie do polecenia p. hrabiego kazałem złożyć projekta u p. Dołsunowskiego; widzę, że są już w ręku.

— A są — rzekł hrabia ze skrzywieniem.

— Powiedziałem projektodawcom, że odpowiédź otrzymają późniéj.

— Mogą dostać i zaraz — mówił hrabia lekceważąco.

— Jakto? dlaczego? — pytał doktór, patrząc po obecnych.

— Przeczytaj doktorze projekt, dowiész się dlaczego — odpowiedział hrabia głosem znużonym i usiadł wygodnie na fotelu.

Doktór czytał uważnie, przejrzał kosztorys i rzekł:

— Wszystko w projekcie zależy od woli p. hrabiego, a wiem, że nie będą się spierali ani o sumę dzierżawną za ziemię, ani też o inne warunki.

— A motor? — zapytał hrabia, zapalając cygaro.

— Motor? Motor? — powtórzył doktór.

— O nim nie ma wzmianki — pozwolił sobie powiedziéć rządca.

— To prawda, ale można przecież postawić w warunkach p. hrabiego. Za wszystko chcą i będą płacili.

— Skądże ta pewność doktorze?—wycedził z ironią hrabia.

— Mówili mi ci panowie, że znając p. hrabiego piszą się z góry na wszystkie warunki.

— A więc? — zapytał hrabia.

— Za ziemię pod budynki i drogi będą płacili roczną dzierżawę. Chcą wprawdzie kupić, ale uprzedziłem że p. hrabia się nie zgodzi na sprzedaż.

Hrabia kiwał głową potakująco, gdyż zapał doktora podziałał i na niego, ożywiły się oczy i wyrazem twarzy zachęcał mówiącego.

— Sądzę, że 50 rubli za morgę rocznie, można będzie postawić...

— A motor? — zapytał hrabia z uporem.

— Motor? Nie wiem na razie jaką ma wartość, ale widzę z projektu, że paliwo kosztowałoby około 20,000 rs. rocznie; więc za motor można zażądać połowę, czyli 10,000 rubli.

— No tak, zapewne — mówił weselszym tonem hrabia — za ziemię i drogi 2,000 rubli, za motor 10,000 rubli razem 12,000 rub., ładny dochód! Tylko żadnych spółek, niech biorą w dzierżawę i koniec. O warunkach prawnych pomówi mój adwokat.

— Więc mogę tych panów zapewnić, że p. hrabia zgadza się na projekt?

— Na 12,000 rub. rocznéj dzierżawy zgadzam się — mówił hrabia, jak gdyby ulegał prośbom.

— Panowie ci proponują zjazd celem omówienia warunków.

— Zjazd? Przecież nie u mnie, ani u nich?

— W mieście, grunt neutralny.

— Wybadaj doktorze, czy się zgodzą na moje warunki, a wówczas zobaczymy.

Doktór wahał się chwilę, popatrzył na rządcę milczącego, na pana Wosińskiego rozpatrującego projekt, i jak gdyby nieruchoma twarz hrabiego go natchnęła, zaczął mówić:

— Panie hrabio! Sądzę, że pojawienie się osobiste, kilka słów, podziała najskuteczniéj, usłuchają bez dyskusyi. Dla dobra całéj okolicy niech pan hrabia poniesie ten trud.

— Za gorąco przemawiasz doktorze!

— Bo taki młyn podniesie nie tylko cenę zbytu zboża, ale przyczyni się do bogactwa majątku i prowincyi.

Milczący dotychczas p. Wosiński odezwał się:

— Pan doktór słusznie podnosi znaczenie przerobu surowych produktów; podniesie się majątek i miasteczko.

— Od moich warunków nie ustąpię — rzekł hrabia zwolna.

— Warunki zależą od wspólnéj umowy — odpowiedział młody człowiek.

— Oni mogą się wspólnie umawiać, nic mi to nie szkodzi; ale moje warunki, ja dyktuję — powiedział hrabia stanowczym tonem.

— Ależ naturalnie! — zawołał doktór. — Byle pan hrabia zechciał osobiście poprowadzić sprawę. Oni proszą o termin.

— Termin? hm... Kiedyż?

— Możeby tak w przyszły wtorek? — radził doktór.

— Wtorek? Niech będzie i wtorek. Męczy mnie już ta historya i te propozycye.

Na te słowa poruszyli się obecni i składając ukłony pożegnalne, wyszli.

Doktór pospieszył do domu, gdyż delegaci czekali na odpowiédź. Powiedział im o dniu zjazdu, wspomniał głucho o cenie dzierżawnéj ziemi i motoru, ale bliższych szczegółów unikał, rachując na wpływ osobistego zjawienia się hrabiego wśród sąsiadów i na możność obniżenia warunków do dnia zjazdu.

Dotychczas działał doktór powodowany próżnością. Pochlebiało mu, że obywatele okoliczni użyli jego pośrednictwa do hrabiego, uzyskał też żądany przez nich termin zjazdu, i nie wątpił, że sprawa młyna postawi go lepiéj w opinii hrabiego i hrabiny.

A gdy delegaci, zadowoleni ze swéj misyi, nie szczędzili mu słów słodkich, obietnic i wyrazili przekonanie, że tylko takiego plenipotenta powinien miéć hrabia, doktór bez walki wewnętrznéj przyszedł do przekonania, że istotnie stanowisko administratora byłoby dogodniejsze i ważniejsze, aniżeli służba lekarza w pałacu.

Pożądając miejsca administratora, łatwo znalazł przyczyny i dowody popierające jego życzenie.

Wszak to on zrobił p. Dołsunowskiego rządcą; on kieruje sprawą młyna; jego zdanie decyduje często w sprawach domowych hrabiostwa, i gdyby nie było Wosińskiego stałby się nieodzownym... Ale tego jakoś się usunie, jest za młody, za gorący i zbyt zakochany, prędzéj czy późniéj powinie mu się noga...

I uśmiechnął się do marzenia swego: zostania plenipotentem hrabiego. Na razie majątek nie jest tak wielki, ale gdy umrze wuj hr. Jasmund, gdy im dostaną się w udziale dobra, fabryki, kapitały... wówczas on wypłynie.

Za tyle lat pracy i nauki, cóż mu daje medycyna? Zaledwie średnie utrzymanie, a ile niepokoju i przykrości i w dzień i w nocy! A tu, jedna, druga sprawa poprowadzona pomyślnie, i w jednéj chwili z nizin wstępuje w świat bogactwa, używania, wpływu!

Tegoż dnia obmyślił plan działania. Przedewszystkiém podniesie i rozdmucha sprawę młyna, bo kto wié, czy nie ta droga doprowadzi go do celu. Bez zwłoki dowié się u techników potrzebnych szczegółów; przez hrabinę wpłynie na ustępstwa możliwe hrabiego; następnie będzie pilnie obserwował stan gospodarki i musi się stać niezbędnym.

Na drugi dzień raniutko wyjechał po informacye do miasta i tegoż dnia zjawił się w pałacu na wizycie zwykłéj, lekarskiéj.

XV.

Karzeł Paweł z uśmiechem łaskawie ironicznym na twarzy staréj i zmęczonéj szepnął doktorowi w przedpokoju swym bezdźwięcznym głosem:

— Przyjechał dziś hrabicz Jasmund.

— Przyjechał? — powtórzył doktór zdziwiony, gdyż wiedział, że syn hr. Rugarda miał bawić jeszcze tydzień u swego dziadka.

— Niespodziewanie. Końmi najętemi — dorzucił cicho Paweł.

Meldujący kamerdyner wskazał doktorowi górną werendę. Hrabia Rugard kołysząc się w amerykańskim fotelu palił cygaro słuchając syna. Matka zarzucała go pytaniami. Młody hr. Jasmund, wysoki, szczupły blondyn posiadał rysy twarzy dziedziczne, nos orli, delikatny, spuszczony na ładne usta ocienione blond wąsikami, czoło z kątami silnie zaznaczonemi, brwi ostro zarysowane i ręce białe, wypieszczone, wąskie, które trzymał to bezwładnie na kolanach, to w kie-

szeniach bonżurki. Oczy niebieskie, zmęczone patrzyły badawczo, ale spokojnie.

Z doktorem przywitał się uprzejmie z odcieniem serdeczności.

— Widzisz doktorze, jaka niespodzianka — zaśmiał się cicho hr. Rugard.

— Tak miłéj nie spodziewałem się.

— Jasmund miał zabawić jeszcze dni kilka u dziadka — przemówiła hrabina — ale zatęsknił i przyjechał do nas. Około ust syna przewinął się uśmiéch i rzekł patrząc na doktora:

— Po klauzuli naukowéj wpadłem w klauzulę szpitalną, chciałem nareszcie odetchnąć w domu.

— Jasmundzie! — odezwała się hrabina z wymówką — cóż to za studenckie frazesa, mówisz o dziadku.

— Młodość! Młodość! — uśmiechał się doktór przyjemnie.

— Życie nasze jest obowiązkiem, nie zabawą — przestrzegała hrabina poważnie.

— O tak! — odezwał się hrabia, patrząc na syna. — Jak tylko wypoczniesz, pojedziemy na objazd majątku, musisz przywyknąć do pracy obowiązkowéj.

Syn przyjął spokojnie naukę rodziców, a zwracając się do ojca, zapytał tonem zaciekawienia:

— Podobno ojciec ma nowych oficyalistów?

— A tak, nowy rządca protegowany doktora, i Wosiński, młody chłopak, ale zdolny.

— Wosiński! — przypominał sobie hr. Jasmund.

— Nasz stypendysta dawniejszy, a dziś słaba strona twego ojca — dodała z ironią matka.

— Słaba strona, to nie; ale porządny, uczciwy, pracowity, chociaż jeszcze gorączka.

— Pan hrabia zbyt dobry, a to psuje chłopca — dorzucił doktór politycznie.

— Zapomina doktór — uśmiechnęła się drwiąco hrabina — że Wosiński jeździ konno, doskonale.

Hrabia udał, że nie rozumié złośliwéj uwagi i huśtając się szybciéj na fotelu mówił do syna:

— Wiész, że lubię jazdę konną i znam się na niéj i powiadam ci, zresztą zobaczysz sam przy pierwszéj sposobności, że on umié dosiadać koni i siedzi jak ulany, ani drgnie.

Syn popatrzył porozumiewawczo na matkę i z uśmiechem rzekł:

— Dobra konna jazda, jest zapewne jedną zaletą więcéj dla gospodarza, ale...

— Chciałbym, abyś ty tak jeździł — przerwał mu ojciec poważnie.

I na odgłos dzwonka poszli do sali jadalnéj.

Pan Wosiński przedstawiony przez hrabiego, powitał hr. Jasmunda z wylaną serdecznością, nie tylko jako brata Herty, ale kierowany bezwiedném uczuciem związku młodego z młodym.

— Jak to dobrze, że pan przyjechał! — mówił ściskając podaną rękę.

Na spokojnéj twarzy hr. Jasmunda przesunął się uśmiéch, który zarówno mógł oznaczać łaskawość, jak i żdziwienie z téj niespodziewanéj serdeczności.

Przy obiedzie odezwania się p. Wosińskiego przyjmował hrabicz zimno, patrząc porozumiewawczo na matkę, natomiast okazywał szczególną sympatyę doktorowi.

Hertę żdziwiło postępowanie brata, a ulegając bezwiednie atmosferze niechętnéj dla p. Wosińskiego i ona stała się chłodniejszą, bardziéj dumną, aniżeli zwykle.

Po skończonym obiedzie hrabicz zaproponował doktorowi przechadzkę w parku, zapalili papiérosy i młody rzekł:

— Ten Wosiński, istotnie zabawny!

— Psuje go łaska hrabiego, byłby zresztą niezły.

— I cały rok tak żyjecie, jak dzisiaj? — zapytał hr. Jasmund z westchnieniem.

— Prawie zawsze, chyba że czasem, ale to bardzo rzadko przyjadą goście.

— Życie ostryg! — mruknął niechętnie.

— Konserwujemy się — zażartował doktór.

— To dobre dla rodzieów, ale Herta, ja...

— I to minie — pocieszał doktór.

— Macie co nowego w sąsiedztwie?

— Jest kilka ładnych panien — objaśniał zapytany.

— Szlachcianeczki! O nie! Za dużo dumy, za mało rozumu, a w karty grywacie?

— Marne partyjki; czasem zjadą się do mnie, ale grają licho i tanio.

— Co za kraj!? — westchnął młody—ani kobiet, ani gry. Więc co robicie?

— Wegetujemy.

Mówiąc tak ze sobą doszli do wjazdowéj bramy w chwili gdy drogą przejeżdżała bryczka a na niéj pani Dołsunowska z córką.

Doktór ukłonił się, odbierając uśmiechy przyjacielskie.

— A to kto? — zapytał młody.

— Żona rządcy Dołsunowskiego z córką.

— Ładna dziewczyna.

— Bardzo ładna — potwierdził doktór — ale młoda i naiwna.

— Tém lepiéj. Bywa kto u nich?

— Z okolicy nikt, a z naszych Wosiński...

— Dobry ma gust. I nikt więcéj.

— Czasem i ja zachodzę.

— Także raniony? — zaśmiał się młody hrabia.

— O nie! — zaprzeczył szybko — lubię ją, jako twarz ładną.

— Nie wierzę w platonizm dla żywéj kobiety.

— Ja też nie mówiłem o platonizmie — zaśmiał się doktór.

— A reszta oficyalistów, uposażeni także w ładne żony, córki?

— Nie. Prócz Jani, nie ma żadnéj.

— Jak na imię? jak?

— Jania, zdrobniałe od Janina.

— Słyszałeś pan, że ojciec chce bym się zajął zarządem, dobrze. Najpierw skontroluję rządcę i jego córeczkę.

— Słusznie i sprawiedliwie — zaśmiał się doktór głośno, chociaż cyniczny ton słów hr. Jasmunda o Jani na razie go zabolał, ale pomyślał, że dla takiéj fraszki nie może narażać swéj przyszłości świéżo uplanowanéj.

Rozmawiając o koniach, zbliżyli się do pałacu. Na schodach oczekiwał ich hr. Rugard:

— A co słychać, doktorze, w mieście podobno byłeś?

— Byłem w interesie młyna przyszłego.

— Jaki młyn? — zapytał hr. Jasmund.

— A to historya długa—odrzekł ojciec—opowiédz mu doktorze.

W téj chwili wyszła hrabina z Hertą z pałacu i połączywszy się z panami, szli wszyscy w głąb parku. Doktór spoglądając często na hrabinę, szukając wrażenia swych słów, opowiadał szczegółowo o młynie, o informacyach zasięgniętych u techników i kończył zjazdem zapowiedzianym na wtorek.

— Plan bardzo dobry — pochwalał młody — za liche nieużytki i nieczynny motor 12,000 rubli. Interes świetny i jeśli doktór przeprowadzi go do końca, nazwę sztuką metternichowską.

— Wszystko zależy od pana hrabiego, — objaśnił doktór daléj, — gdy pan hrabia zechce osobiście stanąć na zjeździe i przemówi, ręczę za rezultat.

— Dla czegóż nie miałby hrabia pojechać?—zapytała z lekkiém żdziwieniem hrabina zwracając się do doktora.

— Tak dawno nie widziałem téj polskiéj szlachty — zawołał młody — że zazdroszczę ojcu wrażeń!

— Pojedź ze mną — rzekł hr. Rugard. — Nie wypada nawet, byś się odsuwał od służby publicznéj.

— Naturalnie, naturalnie — zachęcał doktór.

Po twarzy młodéj i ładnéj hrabicza przemknął uśmiéch ironiczny:

— Jeśli ojciec sobie życzy, pojadę.

— A co mówisz o młynie? — zapytała matka.

— Zdaje mi się, że motor jest za drogo obliczony...

— Co do motoru — podchwycił doktór — technicy sądzą, że ceną najsprawiedliwszą i najdogodniejszą, byłaby opłata od korca zmełtego zboża.

— Jakto? — pytał hrabia.

— Młyn, dajmy na to, przerabia dziennie 100 korcy, za każdy korzec płacą panu hrabiemu 20 kop. czy 30 kop. Przy zwiększonéj pracy, zwiększa się i dochód. *Minimum* przemełcia można zastrzédz umową, a taki motor podoła i 300 korcom.

— Ładny dochód — szepnął młody.

— Wolę jednak pewne 10,000 rubli — upiérał się hrabia.

— Akcyonarysze, panie hrabio, mogą stawiać zastrzeżenia przy mrozach, powodziach, i mieliby słuszność. Przestraszy ich zresztą suma roczna 10,000 rubli. Ale 20,000 rubli, byle kopiejkami nie zwróci ich uwagi. — uśmiechał się doktór — to naszéj szlachty logika i psychologia.

— Pan doktór ma zupełną słuszność — wmieszała się hrabina.— Opłata od korca zboża jest sprawiedliwą; motor zmełł, za motor się płaci.

— Zobaczymy, zobaczymy — mruczał hrabia.

— Przywiozłem szczegóły techniczne — mówił doktór — i jeśli pan hrabia pozwoli, przedstawię je w gabinecie.

— Dobrze. Ale późniéj, późniéj — odpowiedział obojętnie.

— Interesuje mnie ta sprawa — mówił młody — przejrzymy ojcze razem.

— W każdym razie Wosiński mógłby wygotować referat o młynie, bo to już sobota — nalegał doktór.

— Każę mu wygotować — powiedział machinalnie.

— Wobec zebranych przezemnie materyałów będzie miał lekką pracę — dorzucił doktór.

— Gdzież ten młyn zbudują? — zapytała Herta milcząca dotychczas, gdyż była zajęta układaniem bukiecika.

— Za miasteczkiem ma stanąć, tam gdzie stoi stary młyn — objaśnił doktór.

— Jak to dobrze, że nie pod parkiem — mówiła Herta.

— Nie pozwoliłbym na to — odezwał się ojciec.

— A co się stanie ze starym? — zapytał młody.

— Stary? — powtórzył ojciec zakłopotany.

— Może zostać — pospieszył z odpowiedzą doktór. — Nowy mełłby tylko pszenicę, a żyto i mlewo chłopskie przerabiałby stary młyn.

— A tak, to dobrze — odrzekł hrabia zadowolniony

— I mnie cieszy, że młyn stary zostanie, przyzwyczaiłam się do jego widoku, gdy jedziemy w tę stronę.

— Uprawiasz Herto, jak widzę, sztuki piękne — zadrwił brat — nawet z młynami staremi.

— A ty? — powiedziała zarumieniona, nie znajdując na razie stosownéj odpowiedzi.

— Nie myślę o poezyi. Wolę dochód ładny, aniżeli klekot stary.

Hrabina słysząc ten spór, zwróciła się do doktora:

— Jeśli młyn się uda, to tylko zasługa p. doktora.

— Złoży pan dowód nielada dyplomacyi — dodał przyjaźnie młody — bo zdobył pan nie tylko akcyonaryuszów, ale co trudniejsze chyba było, ojca.

Doktór spuścił skromnie oczy i odpowiedział:

— Z majątku, mojem zdaniem, należy wyciągnąć możliwe korzyści, w przeciwnym razie staje się on nieprodukcyjnym.

— Ekonomiczna zasada zachodu, — rzekł młody — ale u nas po staremu.

— Czy źle idzie, poznasz po zbadaniu majątku — odezwał się hrabia z goryczą lekką. — Kiedy zaczniesz objazd?

— Chociażby jutro. Proszę tylko o wyznaczenie koni.

— To rzecz najmniejsza. Chodźmy do stajni, dam rozporządzenie koniuszemu.

— I ja z ojcem — zawołała weseléj Herta.

— Może i mama pójdzie? —zapytał syn miękkim głosem.

— Idziecie wszyscy, pójdę i ja — odpowiedziała z uśmiechem.

Wprost z parku, przez ujeżdżalnię szli ku budynkom stajennym. Z chwilą wstąpienia do stajni twarz i ruchy hr. Rugarda uległy widocznéj zmianie. Znudzony i zmęczony w parku, stał się rześkim, zabłysły oczy, głos był dźwięczniejszy, ruchy elastyczniejsze. Po krótkiém wahaniu wybrał konie i kazał je przeprowadzić, korzystając z obecności rzadkich świadków.

Nie skończył się przegląd, gdy nadjechał konno p. Wosiński.

— W sam czas przyjechałeś! — zawołał hrabia. — Pokażesz Jasmundowi swoją sztukę.

Zagadnięty zawahał się z odpowiedzią; odczuł bowiem teatralność widowiska i szukając wymówki rzekł:

— Koń bardzo zmęczony, może innym razem.

Doktór chcąc się przypodobać, zawołał:

— Cóż się pan tak wzdraga?

Pan Wosiński niezadowolniony, odpowiedział chmurząc się:

— Bo nie chcę.

Ta odmowa podrażniła hrabiego i rzekł:

— Lecz jeśli ja cię proszę?

Prośba brzmiała wprost jak rozkaz. Pan Wosiński zmieszany popatrzył na obecnych. Jedna Herta czuła surowość wymagania, gdy hrabina i hrabicz śledzili z uśmiechem ironicznym przebieg rozmowy.

P. Wosiński skłonił się i rzekł głucho:

— Jeśli p. hrabia żąda, niechże mi podadzą innego konia.

I te słowa nie podziałały na hrabiego, który przejęty końmi, stajnią, nawet nie przypuszczał, że robi przykrość swém żądaniem.

— Zobaczy pan —zwrócił się doktór do hr. Jasmunda — jakich to my mamy kawalerzystów!

— Ciekaw jestem — odparł obojętnie.

Wyprowadzono Szpigelberga na arenę. I pan Wosiński dosiadł go w biegu z prawéj strony.

— Jeszcze z lewéj!—zapalał się hrabia, i zwracając się do syna zapytał: — A co wieziałeś?

— W cyrku widziałem lepszych woltyżerów, ale to dobra sztuczka.

W téj chwili p. Wosiński trzymając lekko lejce, gotował się do skoku; lecz czy źle obliczył bieg konia, czy téż był zmęczony jazdą całodzienną, dość że zamiast skoczyć na siodło, usiadł na zadzie konia. Szpigelberg wierzgnął gwałtownie i p. Wosiński spadł, otrzymawszy uderzenie kopytem tylném.

Hr. Rugard krzyknął na masztalerzy, by schwytali konia i czekał podniesienia się p. Wosińskiego z ziemi. Ten podźwignął się z trudnością i byłby upadł, gdyby nie stajenny, który go podtrzymał.

Herta pobladła, ale widząc zwrócone na siebie oczy brata uśmiechnęła się z przymusem. Hrabina nachmurzona rzekła z cicha po angielsku do męża:

— Ładny koniec, jeszcze złamał nogę!

Hrabia chciał właśnie wysłać doktora, gdy ten nie czekając wezwania podszedł spiesznie do pana Wosińskiego, idącego z wysiłkiem wielkim przez ujeżdżalnię ku stajni, z któréj dochodziły rżenia. Hrabia widząc chorego pod opieką doktora, poszedł pospiesznie do stajni.

Pani hrabina z wyrazem współczucia zrobiła kilka kroków na spotkanie kulejącego, mówiąc tonem serdecznym:

— Co za nieszczęście! Jakże się czujesz?

— Drobnostka! Stłukłem nogę.

Ta odpowiédź wywołała leciutki uśmiéch ironii u hrabiny i syna, ale nie zmieniając tonu, zwróciła się do doktora:

— A co sądzi pan doktór?

— Muszę obejrzéć nogę — a usłyszawszy bolesne syknięcie rzekł do ludzi podtrzymujących chorego: — Ostrożniéj! Może są nosze lub krzesło podajcie i przenieście p. Wosińskiego do jego pokoju! — następnie zwrócił się do hrabiny stojącéj z córką i synem: — Po opatrzeniu dam znać pani hrabinie — i skłoniwszy się poszedł za chorym.

Hrabina z rodziną poszła ku pałacowi.

Gdy pan Wosiński podtrzymywany z obu stron przechodził obok stajni, wyszedł hr. Rugard, popatrzył na twarz jego bladą i cierpiącą, i rzekł:

— Cóż stłukłeś się trochę?... Jaka szkoda, że ci się nie udało!? Jednak ten Szpigelberg łagodny, inny byłby cię stratował.

Pana Wosińskiego wniesiono na rękach do jego pokoju. Doktór opatrzył nogę, prócz wywichnięcia w kolanie miał obrażoną kość uderzeniem. Doktór rozporządził potrzebne środki opatrunkowe, oddał chorego opiece lokaja, i poszedł do hrabiego, nie tylko, by powiedziéć o stanie chorego, ale by zarazem przeprowadzić sprawę młyna według swego planu.

Idąc kurytarzem, spotkał Hertę, która zatrzymała go pytaniem:

— Co się dzieje z panem Wosińskim?

— Nic nadzwyczajnego. Zwykłe wywichnięcie i stłuczenie, za dziesięć, dwanaście dni będzie zdrów.

Herta uśmiechnęła się, obawiała się bowiem złamania nogi i raczéj z ciekawości, aniżeli z współczucia, zapytała:

— Czy on bardzo cierpi?

— Ból jest dotkliwy, to szczęście, że koń nie skruszył kości, lecz uderzył bokiem. Sam sobie winien, bo kto czém wojuje, od tego ginie.

Herta spojrzała z niechęcią dumną na doktora, przypomniawszy sobie jego rolę w téj niedobrowolnéj produkcyi. Skinęła głową na pożegnanie i poszła ku schodom wiodącym na piętro.

Gdy doktór wszedł do gabinetu hrabiego i uwiadomił o czasie przypuszczalnego leczenia, rzekł hrabia niezadowolony:

— Szkoda! Także wybrał się z tą nogą w czasie żniw.

— Jedyna pora, w któréj naprawdę jest potrzebny—dorzucił doktór.—Referat o młynie zrobię sam.

Doktór z hrabią Jasmundem omówili tegoż wieczora wszystkie warunki, dotyczące młyna, i sam doktór podjął się napisania umowy tymczasowéj.

Gdy nazajutrz przy śniadaniu zawiadomił hrabiego o rezultacie konferencyi, przypisał całą zasługe młodemu hrabiemu, który pokazał w tym wypadku dokładną znajomość stosunków technicznych, ekonomicznych i prawnych.

Matka uwierzyła słowom doktora bezwarunkowo; ojciec z lekkiém wzdraganiem, co umożliwiło doktorowi wypowiedzenie pochwał rozmaitych. Jeden tylko hrabia Jasmund słuchał ze sceptycznym uśmiechem słów doktora, przyszedł wszakże do przekonania, że doktór jest zręczny, gładki, uprzejmy i byłby powiernikiem doskonałym, wreszcie i on pozwolił się przekonać wymowie doktora.

Jedna tylko Herta nie brała udziału w rozmowie. Puste krzesło p. Wosińskiego i rozmowa, nudna dla niéj, o młynie, o akcyonaryuszach i warunkach nie wypełniła braku oczu pełnych zachwytu dla niéj.

XVI.

W oznaczony wtorek sala restauracyjna hotelu miejskiego, zmieniona na salę posiedzeń, przedstawiała obraz ożywiony. Okoliczna szlachta zjechała się cała niemal. Przeważały twarze opalone, z czołami odcinającemi się ostro swą białością, ocienione zarostem, uśmiechnięte, zadowolone ze spotkania. Zgromadzeni w ubraniach odświętnych, w rękawiczkach nowych, w butach połyskujących, roztrącali krzesła i sąsiadów ruchami szerokiemi, zastosowanemi do pól szerokich. Spiekota dnia parnego, wyziewy kuchenne, któremi była przesiąknięta sala, mieszały się z perfumami salonu fryzyerskiego, z którego wyszła niedawno większość obecnych.

Wśród nich uwijał się doktór, agitując żywo na rzecz młyna. Od czasu do czasu szedł śpiesznie do stolika przy oknie, u którego siedział reprezentat firmy projektującéj budowę młyna, właściwy inicyator całego planu. Człowiek niski, szatyn siwiejący, patrzał spokojnie po zebranych, układając z drobnostkową systematycznością papiéry, cenniki, broszury.

Do sali wszedł hrabia Chowański, gruby, średniego wzrostu, z wąsami siwemi, sumiastemi. Twarz pospolita, z oczami piwnemi, zbyt wypukłemi, oszpecona nosem wielkim, mięsistym. Kilku bliższych otoczyło go kołem. Spostrzegł przybyłego doktór i natychmiast poskoczył, składając ukłon głęboki.

— Kiedyż zaczynamy? — zapytał hrabia Chowański głosem grubym.

— Sesya naznaczona na pierwszą godzinę, jeszcze pięć minut — odpowiedział jeden z bliższych.

— Ależ gorąco!—mówił hrabia ociérając czoło i sapiąc głośno.

— Sam dobry czas na żniwa—pochwycił ktoś z boku.

— Zatém budujemy młyn, a fundusze skąd?—zapytał hrabia, patrząc w stronę doktora.

— Spółka da—odpowiedział tenże.

— Może dwóch, trzech da, a reszta?—i zaśmiał się grubo.

— Spółka poręczająca otworzy sobie kredyt w banku — mówił niezmieszany doktór.

— Kredyt łatwy, ale kto zapłaci w banku? — dopytywał się hrabia Chowański.

— Młyn zapłaci.

— Jakież są warunki pana Rugiwojskiego? — zapytał głośniéj, podkreślając słowo „pan" i siadając ciężko na krześle.

— Wydzierżawia rocznie ziemię pod budynki, drogi i motor — mówił doktór spokojnie.

— Za jaki motor? Cóż on go kosztuje?—obruszył się hrabia Chowański, gdy bliżsi potakująco kłonili głowy.

— Ziemia z obu stron wody należy do hrabiego Rugiwojskiego, więc i woda jest jego i użytek z niéj.

— Hm... hm...—drwił hr. Chowański — a to spekulacya doskoła z daru bożego. I ileż akcyi liczy sobie za bożą wodę?

— Żadnéj akcyi tylko umówioną cenę od zmełcia korca — rzekł doktór śmiało.

— Tylko tyle!?—zaśmiał się głośno hrabia.

Około rozmawiających utworzyła się grupa, która przycinki hrabiego przyjmowała z zadowoleniem hałaśliwém i doktór czuł, że odparcie zwycięskie uwag hrabiego Chowańskiego decyduje o losie młyna; więc z brawurą podniósłszy głos mówił:

— Za każdy motor płacić trzeba i należy, to rzecz jasna i zrozumiała dla każdego technika. A gdy hrabia Rugiwojski oddaje motor, ziemię i możliwe korzyści, żądanie zapłaty jest słuszne i sprawiedliwe.

Szlachta potakiwała nieśmiało, ale hrabia Chowański odezwał się z ironią:

— Jeśli motor taki dobry i drogi, dlaczegóż u was stoi klekot stary zamiast młyna? Na stajnie i cugi macie, a jak do młyna, to do nas w prośby.

— Nie pierwszy hrabia Rugiwojski proponował budowę młyna, o nic nie prosi, lecz daje i ziemię i motor.

— No, no, wysłucham ja warunków pana Rugiwojskiego, już ja się nie złapię na ofiary wasze!

Zaledwie dokończył tych słów, gdy w drzwiach szeroko otworzonych stanął hr. Rugard z synem. Sala uciszyła się i oczy wszystkich zwróciły się na wchodzących. Obecni ulegli, jak zwykle, urokowi nazwiska i tytułu, a wysoka, lekko pochylona postać hrabiego Rugarda, jego zmęczona podróżą i upałem twarz, oczy szkliste, patrzące przed siebie nie widząc, wydały się zebranym uosobieniem elegancyi i rodu znakomitego w historyi.

Hrabia, podobnież jak syn, był ubrany w strój zwykły, podróżny, który odbijał swą powszedniością na tle tużurków czarnych.

Nieznużony doktór był już przy hrabi Rudgardzie i prowadził go do pierwszego rzędu, tuż przed stolikiem przewodniczącego.

Od chwili wejścia hr. Rudgarda reprezentant firmy stał przed swym stolikiem. Doktór uważny na wszystko spostrzegł to, objaśnił hrabiego, który leniwo spojrzał i na głęboki ukłon skinął niedbale głową. Reprezentant firmy usiadł.

W sali rozpoczęły się suwania, szmery, szepty przechodzące zwolna w głośniejszą rozmowę. Wreszcie głosy niecierpliwsze odezwały się: „zaczynajmy"; inni wołali: „przewodniczący!"; ktoś krzyknął: „prosimy hrabiego!", a nawet z drugiego końca rzucono pytanie: „A którego?" Rozległy się śmiechy. Większość mówiła wyraźnie: Rugiwojski!", ale byli i tacy, którzy wołali „Chowański!"

Wśród tych przygotowań do posiedzenia twarz hrabiego Rugarda spochmurniała, drażniło go zestawienie jego nazwiska z innem; wstał więc zwolna i obracając się do zebranych przemówił:

— Panowie! Według przyjętego zwyczaju proponuję na przewodniczącego najstarszego wiekiem. — Tu powiódł okiem po zgromadzeniu, a widząc staruszka znanego mu z kościoła parafialnego kończył: — Sądzę, że pan Wiśniewski jest chyba najstarszy wśród nas i zechce przyjąć wybór!

To przemówienie hrabiego, pamięć nazwiska starca, zwłaszcza uległość dla tradycyi usposobiły zgromadzonych przyjaźnie dla hrabiego Rugarda.

Staruszek po sakramentalnych słowach zagajenia, wezwał do zabrania głosu. Gdy nikt z obecnych obywateli się nie zgłaszał, reprezentant firmy poprosił o głos. I w długiéj mowie wyliczał korzyści młyna, łatwość kredytu, taniość i bezpieczeństwo firmy budującéj...

Z początku słuchali obecni z uwagą, lecz gdy mówca dotknął szczegółów technicznych wszczęły się w głębi sali ciche szepty i ruchy. Tylko pierwszy rząd krzeseł słuchał poważnie uczonych wywodów. Siedzieli tam z jednéj strony ojciec i syn hrabiowie Rugiwojscy, z drugiéj hrabia Chowański przedzieleni kilku krzesłami zajętemi przez obywateli starszych wiekiem.

Strój hrabiów Rugiwojskich, układ ciała, spokój niezmącony, rysy twarzy delikatne a wyraźne i zdecydowane odbijały niemal rażąco na tle zgromadzenia. Szlachta bowiem wiejska zamieszkując dwory oddzielne, czując swą przewagę ekonomiczną i patryarchalną na wsi, posiada piętno odrębne. Jest w niéj pewna śmiałość, pewność siebie, poczucie swobody i samodzielności, które na zewnątrz ujawniają się w wyrazie twarzy i w ruchach.

Formy wykwintne i odmierzone stolicy i salonów, w które chętnie w liczniejszém zgromadzeniu lubią się ubierać, są dla nich za ciasne i za krępujące; są zbyt wiotkie i delikatne, by wytrzymały nawet lekki napór objawów uczucia i temperamentu.

Uścisk ręki i pocałunek, te liczmany towarzyskie, przechodzą u nich w objaw szczery uczuć przyjaźni lub niechęci. Głos rozlegający się na przestrzeniach wiejskich zastosowuje się z trudnością do akustyki pokoju zamkniętego i sam zmysł słuchu staje się mniéj wrażliwym na tony cichsze. Wzrok nawykły do barw zdecydowanych w świetle słońca nie zadawalnia się półtonami, szarzyzną umyślną stroju, lecz szuka kontrastów, dorzuca krawat jaskrawy, spinkę błyszczącą, rękawiczkę jasną, buciki świecące. Ruchy wiejskie, śmiałe, szerokie, gdzie nikt nie trąca łokcia łokciem, nikt nie następuje na nagniotek przeniesione do salonu wyróżniają ostro mieszkańca wsi, nawet w chwili spokoju przez bezwiedne rozpieranie rąk i nóg, przez wygodę zaniedbaną całego korpusu.

I na tém tle, wśród tego otoczenia Rugiwojscy wyglądali istotnie jak ludzie innéj sfery, innéj rasy, innego świata.

Tę różnicę odczuwała szlachta bezwiednie, a dzięki nazwisku, bogactwu i tradycyi Rugiwojskich patrzała na nich nie tylko z szacunkiem, ale z pewną czcią i uległością.

Reprezentant firmy zwracał uwagę zgromadzonych: na wyzwolenie się z rąk pośredników żydowskich przez budowę młyna, kończył zaś mowę zwracając się bezpośrednio do hrabiego Rugarda, w którego

ręku spoczywa rozwiązanie sprawy, nie tylko pokoleń obecnych, nie tylko okolicy, ale szczęście przyszłości, kraju, narodu!

Hrabia Rugard czuł na sobie wzrok obecnych, a po tém niemal formalném wezwaniu wstał, poprosił o głos i przemówił:

— Panowie! Całe moje życie spędziłem tu w kraju, pracując ciężko około roli, widzieliście to wszyscy i znacie to wszyscy. Nie skrzywdziłem nigdy nikogo, i tego żądam od drugich. Nie chcę i nie żądam jakichkolwiek ustępstw, względów ubocznych, byle nikt nie chciał méj krzywdy, byle nikt nie poczynał ze mną podstępnie. Wezwany przez panów, widząc w tém nowém przedsięwzięciu korzyść ogólną, przyjechałem tu wraz z synem. Zgadzam się na budowę młyna wspólnemi siłami panów, oddaję w dzierżawę długoletnią i ziemię i motor. Czynię wszystko, co uznają za dobre i potrzebne zarówno w interesie waszym, jak i moim, pod jednym warunkiem dobréj wiary i zaufania, że sprawa ta nie sprowadzi nieporozumień i złych skutków. Napad kaszlu przerwał tę mowę, korzystał z tego hrabia Chowański i rzekł dość głośno:

— Za kogoż on nas ma?

Hrabia nawet nie spojrzał w tę stronę i tonem równym, spokojnym kończył:

— Szczegółowe wyjaśnienia da pan doktór, ja czując się słabym, wychodzę, co może i na dobre wyjdzie, gdyż nie będę nikogo krępował swoją osobą.

Odezwały się oklaski i liczne głosy: „bardzo dobrze!" „zgadzamy się!"

Hrabia kłaniając się zgromadzonym opuścił wraz z synem salę, odprowadzony do drzwi przez doktora. Po wyjściu hrabiego wszczął się gwar rozmowy, dopiéro dzwonek przewodniczącego i głos donośny hr. Chowańskiego, krytykującego znalezienie się i projekta hrabiego Rugarda, uspokoiły obecnych.

Po gorących rozprawach uchwalili obecni: zawrzéć spółkę rejentalną; część pieniędzy złożyć jesienią na ręce wybranego skarbnika; resztę funduszów pokryć kredytem w banku; i wreszcie na wiosnę przystąpić do budowy młyna.

Jak doktór przewidział, tak się téż stało. Obecność hrabiego podziałała na zebranych, również kopiejki od korca zmełtego zboża wciągnięto do warunków dzierżawy motora.

Dumny ze swego powodzenia, rojąc o przyszłości świetnéj, wraca doktór z miasta. Wprawdzie podpisani wspólnicy nie złożyli pieniędzy, tylko stwierdzili podpisami swe przystąpienie warunkowe, ale plan budowy młyna z dziedziny marzeń przechodził w rzeczywistość.

Nastręczające się wątpliwości usuwał doktór aureolą nazwiska hrabiego Rugiwojskiego, swémi zabiegami i ujawnieniem publiczném w gazetach. Liczył na przywiązanie zaściankowe i ambicyę powiatową uczestników zgromadzenia, gdy stanie się głośnym fakt budowy młyna doniosły w następstwa ekonomiczne i jaśniejący solidarnością obywatelską.

Postanowił też napisać do dziennika najpoczytniejszego korespondencyę, którąby podnieciła zapał obywatelski, co też uskutecznił natychmiast po powrocie.

Na drugi dzień, zdając przy czarnéj kawie sprawę z przebiegu posiedzenia w obecności rodziny hrabiów, podnosił słowami swéj korespondencyi zasługi hrabiego Rugiwojskiego, zachwycał się jego wymową, opisywał barwnie wpływ zjawienia się ojca i syna hrabiów Rugiwojskich na zgromadzeniu, pozwolił sobie na zrobienie kilku uwag złośliwych o hr. Chowańskim; i jego skromność, przemilczenie o swéj osobie, zręczne pochlebstwo odniosły tryumf zupełny.

Pierwsza hrabina, podniecona powodzeniem syna i męża, pragnąc okazać doktorowi swe zadowolnienie, rzekła:

— Z pana byłby administrator doskonały, jaka szkoda, że poświęcił się pan medycynie.

— Medycyna pani hrabino uczy psychologii, która jest kluczem wszystkich spraw -- odpowiedział doktór uradowany.

Hrabiemu Rugardowi podobała się oryginalność przypadku, by doktór medycyny został administratorem majątku, lubił zresztą doktora za jego zamiłowanie do koni, znoszenie wiadomości, pochwały zręczne, i uśmiechając się dobrotliwie mówił:

— Nauka nigdy nie przeszkadza, i gdyby istotnie doktór się zdecydował rzucić medycynę, a został administratorem, byłbym rad z tego.

Zaświeciły się oczy ciemne doktora, uśmiéch rozjaśnił twarz pulchną i gdyby był uległ swym pożądaniom, przyjąłby był natychmiast posadę ofiarowaną, lecz powstrzymał się, przesunął rękę białą po wyniosłem czole i postanowił iść pewniejszą drogą skromności.

— Nigdy nie marzyłem o takiéj godności i zaufaniu hrabiostwa... Łaskawa propozycya zaskoczyła mnie tak niespodziewanie, że wpiérw muszę sam siebie zbadać, czy podołam zadaniu zaszczytnemu, gdyż obowiązki moje zwykłem pełnić sumiennie.

Ton jego głosu był jednak tak radosny, że hrabina uśmiechając się powiedziała:

Liczymy na doktora prędzéj czy późniéj, uważam sprawę prawie za załatwioną.

— Doktór jesteś dość sprytny, by poznać w krótkim czasie tajemnice administracyi—dodał hrabia.

Doktór w milczeniu kłaniał się to hrabinie, to hrabiemu i spojrzał na hr. Jasmunda, uśmiechniętego zagadkowo, który rzekł:

— Obaj mamy się wtajemniczać w arkana gospodarcze, więc razem będziemy jeździli do ekonomów i rządcy, i ja liczę na pomoc pańską.

Podkréślenie słów o rządcy i pomocy rozumiał tylko doktór, którego kilkakrotnie młody hrabia wypytywał o Janię, był jednak tak uradowany powodzeniem niespodziéwaném, że odpowiedział z uśmiechem:

— Wobec pana, ja będę tylko Telemakiem!

Frazes ten podobał się ogólnie, był bowiem wyraźną zapowiedzią, kto będzie mistrzem i panem.

W kilka dni późniéj hrabia przeglądając dzienniki, zobaczył wydrukowane czcionkami grubszemi „Wieszary", zaciekawiony tém odczytał dwukrotnie korespondencyę. Prócz pochwał jego pracowitości, poświęcenia się roli, troskliwości o dobro podwładnych i sąsiadów, była zręczna cytata z jego mowy, projekt budowy młyna i kilka docinków do ludzi niechętnych, nadętych jak pęcherze, z pretensyami do tytułów bez zasług i zalet, którzy, wyżéj stawiając swą próżność aniżeli dobro powszechne, opuścili zgromadzenie akcyonaryuszów. O tym szczególe postępowania hr. Chowańskiego doktór przemilczał rozmyślnie, zachowując go jako kąsek smaczny, na chwilę odczytania korespondencyi.

Hrabia zaniósł sam ten dziennik do żony, a gdy podniecony rozmawiał o młynie, odezwała się:

— Należałoby pomyśléć o wynagrodzeniu doktora.

— Zostanie przecież administratorem — odparł bez wahania hrabia.

— Wiem o tém i cieszę się z tego, bo ci administratorzy z powołania są zanadto biegli w rachunkach podwójnych... On będzie jakiś czas przynajmniéj uczciwy.

— I ja tak myślę—potwierdził mąż.

— Możeby go jednak czémś zobowiązać dla nas — mówiła z namysłem. — Na takich ludzi łatwo oddziałać... Możeby mu dać prezent jaki.

— Ale jaki?

— Parę koni do wyjazdu — odpowiedziała, a widząc spochmurnienie męża, dodała: — Tym sposobem zaoszczędziłbyś swoją stajnię, bo przecież on musi jeździć po folwarkach i za interesami.

— Hm... to prawda. Niech i tak będzie... Mam na folwarku parę koni młodych, dam mu je, byle tylko szanował i nie sprzedawał.

— Wiész przecież — uśmiechała się hrabina — jak on naśladuje twą pasyę do koni, będzie im lepiéj u niego, aniżeli na folwarku.

— Może masz słuszność.

Gdy doktór ujeżdżał otrzymane w darze konie, oddzielnie wizytując p. Wosińskiego słabego, oddzielnie pałac; wszyscy podwładni patrzali z podziwem i zazdrością na wybrańca łaski pańskiéj.

XVII.

P. Wosiński od dziesięciu dni leżał w swym pokoju, nie mogąc poruszyć nogą obandażowaną.

Z początku słabości, w czasie jego gorączki, przysyłała pani hrabina kilkakrotnie dowiadywać się o jego zdrowiu i zapytywała przeznaczonego do usługi lokaja, czy nie brakuje czego choremu. Otrzymawszy zadawalniającą odpowiedź, czuła, że spełniła obowiązek chrześciański litości i współczucia. Hrabia Rugard polecił zaraz pierwszego dnia wypadku z koniem swemu kamerdynerowi Ernestowi, by codziennie chodził do chorego i zdawał mu sprawę. Kamerdyner każdego rana otwiérał cicho drzwi pokoju p. Wosińskiego, patrzał z ciekawością na twarz chorego i chyląc lekko głowę, mówił głosem spokojnym, jednostajnym:

— Jaśnie pan hrabia pyta dziś o zdrowie pana, co mam odpowiedzieć?

Te odwiedziny, regularne jak febra, zapytania monotonne służbisty, drażniły tylko chorego, ale krzywiąc usta do uśmiechu przyjemnego, odpowiadał codziennie:

— Proszę podziękować panu hrabiemu za pamięć o mnie, jest mi lepiéj.

Kamerdyner schylał głowę potakująco i oddalał się bez szelestu, zadowolony ze spełnienia rozkazów.

Te dowody współczucia ze strony hrabiostwa nie wpłynęłyby tak dalece na staranność opieki płatnéj nad chorym, gdyby nie lokaj Jan, przychylny dla p. Wosińskiego przez wdzięczność, że wskutek protekcyi młodego kontrolera, jego ojciec otrzymał wygodne i popłatne miejsce leśnika.

Odwiedziny codzienne doktora stanowiły rozrywkę jedyną i prawdziwą. Doktór bywał chętnie, gdyż p. Wosiński złożony chorobą, nie mógł w niczém pokrzyżować planów jego, a czując swą prze-

wagę moralną i materyalną nad chorym, chciał wywołać podziw dla siebie, swéj inteligencyi i powodzenia.

Próżność stawia sobie zawsze i wszędzie ołtarze i każdy chociażby najmarniejszy i najlichszy wyznawca i czciciel bywa chętnie widziany i przyjmowany. Wrodzona próżność doktora zwiększyła się powodzeniem pałacowém i mimo różnicy poglądów zapragnął miéć w p. Wosińskim czciciela.

— Powiem panu dobrą nowinę—mówił doktór po opatrzeniu rany, siadając na krześle obok łóżka.

— Najlepszą dla mnie byłoby moje wyzdrowienie — powiedział chory ze smutkiem.

— Cóż za nastrój eligejny!? Przyjdzie i zdrowie, tylko bez melancholii—mówił doktór tonem pociechy zdawkowéj.

— Dobrze panu mówić, będąc zdrowym.

— Czyż panu tu źle? Masz pan osobny pokój, dozór lekarski i opiekę—tłómaczył doktór, zapalając papiérosa.

— Mimo tych dobrodziejstw—odpowiedział chory z ironią—czuję się obcym, zawadzającym, ciężarem niepotrzebnym.

— Nerwy! Nerwy!

— Czy i to nerwy, że jestem na ich łasce?

Doktór spojrzał na rozdrażnioną twarz chorego, uśmiechnął się i puszczając kłąb dymu, rzekł spokojnie.

— Rozumujesz pan fałszywie. Hrabia płaci tylko za swą fantazyę... Widzi pan, w życiu za wszystko trzeba płacić i brać zapłatę. Za miłość, stanowisko, rozum i siłę płacić musi.

— I pan płaci?—zapytał p. Wosiński z niedowierzaniem.

— Jeśli ja nie płacę, to inni mnie płacą. Nie daję i nie dam darmo mojéj energii, rozumu, przebiegłości, ktoś musi zapłacić. Epoka ofiar bezpłatnych dawno minęła.

— Gdybym wierzył w szczerość słów pana, bolałoby mnie jak każdy egoizm niski.

Doktór wstał i przechadzając się po pokoju mówił:

— Prawda życia zawsze boli, a prawdą jest, że życiem rządzi egoizm. Weźmy przykład bliski. Czy sądzi pan, że znalazłby się ktokolwiek, coby bezinteresownie starał się o postawienie młyna w Wieszarach? Jeśli jeździłem, namawiałem, badałem, to miałem w tém mój interes egoistyczny: chciałem wypróbować moje siły i wygimnastykować mózg w tym kierunku.

— Zapomniałem zapytać się pana, kiedy stawiają młyn?

— Postawią lub nie, to rzecz obojętna dla mnie; wystarcza mi, że doprowadziłem robotę do tego punktu, do którego sam chciałem.

Umilkli. Doktór zastanawiał się, czy nie powiedział za dużo i po chwili rozpoczął znów rozmowę.

— Mówię z panem szczerze i otwarcie. Jeśli dałem przykład z młyna, to w zaufaniu i dlatego, by pana wyleczyć z idealizmu. W życiu, jak w każdéj walce, nie wolno robić żadnych ustępstw, wahań, czułości, a przedewszystkiém czułości!

P. Wosiński wodził oczyma za doktorem, słuchając go z wielkiém zajęciem, a gdy doktór umilkł, rzekł z uśmiechem:

— A jednak nie wierzę. W pierwszéj naszéj rozmowie mówił pan, że obowiązki lekarza pałacowego przyjął pan i pełni je, gdyż może pan być pożyteczny i pomocny innym ludziom, a nawet obiecywał pan sobie uzyskanie większych sum na stypendya, naukę, wydawnictwa.

— No, z zastrzeżeniem czasu, gdy hrabia otrzyma spadek po wuju.

— Zgoda na warunek, ale jak pogodzić dawniéjsze słowa z dzisiejszemi?

— Bardzo łatwo — odparł doktór, stając przed łóżkiem. — Dziś mówiłem o środkach, a wówczas o celach. Przedewszystkiém sam muszę stanąć pewnie, niewzruszenie u hrabiego. Pan pomieszał jedno z drugiém i stąd cała sprzeczność.

— Pomieszałem może środki, ale cel ma pan przecież jeden, służyć społeczeństwu, a ten cel wyklucza egoizm i bezwzględność środków.

Doktór wzruszył ramionami, uśmiechnął się i rozpocząwszy swój spacer, mówił tonem przepowiedni:

— Tacy ludzie, jak pan, muszą zginąć. Polecą w przepaść, bo zaślepią ich: urojone cele, uczucia, fantazye.

Słowa te dotknęły p. Wosińskiego, odpowiedział też cierpko:

— Złote okulary nie uchronią też od śmierci.

— Nie gniéwaj się pan, obrazić nie chciałem; tylko widzi pan, życie trzeba brać takiém, jak jest. Naprzykład weźmy przyjazd pana do pałacu, czy wiedziałeś do kogo i po co przybywasz?

— Wiedziałem... Na służbę.

— Dziecińeach! Na służbę przyjeżdża lokaj, panu należało najpierw zbadać teren... Odpowié mi pan szczerze na trzy pytania?

— Odpowiem.

— Więc co pan mówi czy myśli o osobie hrabiego?

— Człowiek dobry, ale chwiejny.

— Dobrze. A hrabina?

— Dumna, ale matka i żona wzorowa.

— Jeszcze trzecie pytanie. hrabianka?

— Bardzo piękna i dobra.

Doktór zaśmiał się głośno i mówił:

— Wiedziałem naprzód, co pan odpowié... ha, ha, ha... i tak pan zbadałeś teren?... ha, ha, ha...

Śmiech ten drażnił chorego, więc odezwał się chmurnie:

— Odpowiedziałem panu szczerze, skądże ten śmiech?

— Pozwól mi pan śmiać się... Gdybym nie widział wąsów pana, sądziłbym, że albo dziecko odpowiada, albo człowiek chytry. Ani jednèm, ani drugim pan nie jesteś, i za szczerość odpłacę szczerością, chcesz pan wiedziéć moje zdanie?

— Ależ proszę, serdecznie proszę.

— Na pierwsze pytanie odpowiadam: Hrabia ma pasyę do rodu swego, do koni swoich, do budownictwa swego i do przyzwyczajeń swoich. Hrabina ma pasyę do znaczenia, wielkości, zamążpójścia córki i doskonałości syna. Hrabianka nie wié jeszcze, do czego ma pasyę, zdecyduje to dopiéro mąż i życie. Taki był teren. Jako agronom powinien pan był wpierw poznać glebę, rośliny jéj właściwe i zużytkować umiejętnie swą wiedzę. A pan?

Zapytany milczał. Doktór spojrzał na zégarek, wziął kapelusz i podając rękę powiedział:

— Myśléć pozwalam, ile pan zechce, ale ruszyć się z łóżka nie wolno.

Chory zostawał sam ze swemi myślami i książkami, których czytanie go męczyło. Przykuty do łóżka, cierpiący, szarpany obawą kalectwa mimo upewnień doktora, patrzał na okres ostatni, pałacowy swego życia krytycznie, z pesymizmem egoizmu właściwego chorym. Hrabiostwo z wysokości cnót i zalet, niegdyś przez niego tak uznawanych, zeszli do poziomu ludzi dumnych, przyjmujących usługi ludzi, za które płacili piéniędzmi i tylko piéniędzmi.

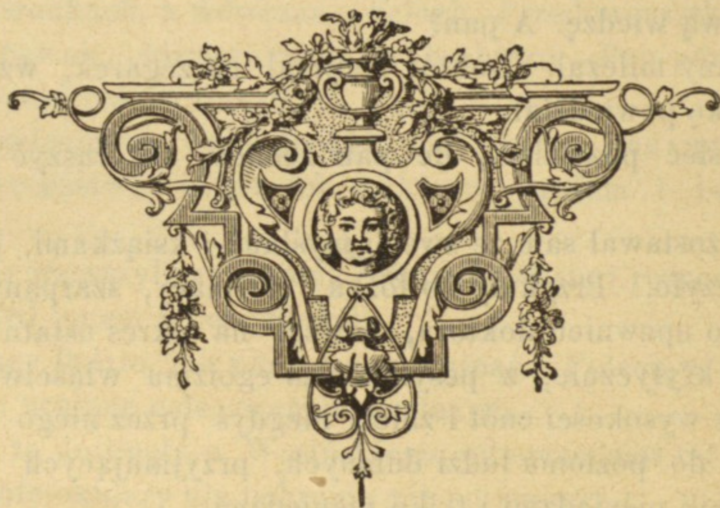
Trudniéj mu przyszło przyjść do zgody ze sobą w osądzeniu Herty. W pierwszych dniach swéj niemocy oczekiwał, jeśli nie zjawienia się jéj, to pamięci, dowodu, znaku jakiegokolwiek jéj współczucia i przychylności. Każde poruszenie klamką, ruch na kurytarzu pobudzał jego oczekiwanie. Patrzał na twarz i ręce wchodzącéj służby pragnąc uporczywie zobaczyć czy posłyszéć coś, co byłoby dowodem jéj pamięci, kwiat, książka, zapytanie — ale służba spełniała milcząco swój obowiązek, a jego pytania zbywała odpowiedzią obojętną. Wyrzekł się wreszcie swych nadziei, przezwyciężył niecierpliwość, ale Herty z swych marzeń nie mógł usunąć.

Zwolna jednak nie widząc jéj oczu, postaci i wdzięku, wyzwalał

się z pod jego uroku. Przepaść dzieląca go od jéj rodziców, z któréj zdawał już sobie sprawę, oddalała i Hertę. I ona usuwała się tak daleko, tak traciła wyrazistość swéj fizycznéj postaci, tak robiła się mglistą, niedoścignioną, że dziwił się sam projektom swym dawniejszym pozyskania jéj.

Zdrowie wracało dzięki siłom młodości, a mózg wypoczęty zaroił się planami. Postanowił opuścić tę kołyskę opiumową, jak nazywał pałac, a jąć się pracy twardéj, ciężkiéj, którąby zadawalniała jego ideały społeczne. Oczekiwał niecierpliwie chwili wyzdrowienia, będąc przekonany, że znajdzie dość siły i woli, by swe plany przeprowadzić. Doktór nie wspomniał panu Wosińskiemu ani o swych projektach administratorskich, ani téż o hr. Jasmundzie, zajętym kontrolą gospodarstwa.

(*D. n.*) *Artur Gruszecki.*



Z dziejów polskiego różnowierstwa.

ARYANIE.

II [1]).

Na początki aryańsťwa polskiego złożyły się były prądy włoskie a niemieckie, badania dogmatów o Trójcy św., o przedwiecznėm bóstwie i pośrednictwie Chrystusa, a mrzonki o przekształceniu samych społeczeństw wedle norm ewanielii, racyonalizm wytrawnych dyalektyków podciągający wszystko pod sznur rozumu a entuzyazm zapaleńców gardzący rozwagą i miarą.

Sprzeczność zarodków jak i wyników, do których dochodziła krytyka dogmatów i sakramentów (chrztu), wzbudzały zacięte spory, rozbijały „zbór mniejszy" (aryański) na nowe wzajemnie się zwalczające odłamy, przerzucały niezadowolonych z miejsca na miejsce, torowały wreszcie drogę, jak wszelakim, nieraz najdziwaczniejszym, skrajnościom, tak i rychłym odstępstwom; zaciérały się w sporach i walkach spólne cechy i podstawy wiary a miejsce ich zajmowały gorszące waśni, wzajemne przezywania się i wyklinania nietolerancyi religijnéj. Mimo to, spory i walki nie dyskredytowały saméj sprawy w oczach

[1]) Patrz „Ateneum" 1896, kwiecień, str. 1—31.

wyznawców: podobne towarzyszyły przecież początkom reformacyi, kiedy się to po raz pierwszy „ze sideł antychrysta” gmatwano, w rzeczach mniejszéj wagi, w obrazach, mszy, wieczerzy Pańskiéj i innych; takież niepokoiły już kościół pierwotny; i samemu Chrystusowi nie wierzono; wedle słów Jego, zgorszenia muszą być; byłyć to zawady, jakiemi drogę do jedynéj, zbawiennéj prawdy żywota zakładał antychryst, wabiący wiernych napowrót do fałesznéj jedności i zgody „wszetecznego Babilonu”, właśnie za łaską Pańską porzuconego.

Wobec odosobnienia i nieliczności gromadek, przeciwnicy — a najzawziętszymi byli Kalwini, bo z ich łona wyszli Aryanie — nie mogli ani chcieli śledzić wszystko, co między nowowiernikami kotłowało; aby ich jednak w oczach ogółu potępić i zohydzić, aby wzniecać prześladowania przez prawowitą władzę czy przez podburzane systematycznie tłumy, wystarczało oskarżać i Aryan, o co od wieków sekciarzy, przed trybunałem czy przed motłochem, zawsze posądzano; wystarczało zarzucać i im bluźnierstwa lub ateizm; rozpasanie na orgie lub zbrodnie; przeczenie samych podstaw społecznego porządku, małżeństwa, rodziny, własności; uchylanie się od wymagań państwowych, od służby w wojsku i sądzie, mieniem i życiem; podsuwać im wreszcie zamachy i spiski przeciw całości i bezpieczeństwu kraju. Doświadczonéj téj broni kłamstwa i nienawiści używano przeciw polskim Aryanom stale przez całe stulecie, choć nie zawsze z równém powodzeniem. Kilka razy jednak fanatyzm aryański sam grzeszył wybrykami, uchodzącemi płazem w wieku szesnastym, karanemi nieludzko w następnym; dawał więc sam powód do skarg i utyskiwań.

Z widoczném zadowoleniem opowiada historyk aryaństwa, Lubieniecki, o owych szczęśliwych czasach, kiedy to np. podczas procesyi Bożego Ciała w Lublinie r. 1564 młody Erazm Otwinowski, podniecony słowami swego ministra, Stanisława Paklepki, wybiegł ze zboru, opadł księdza i po krótkiéj dyskusyi monstrancyą na ziemi podeptał a mimo wszelkich gróźb i skarg kary żadnéj nie odniósł [1]. Spółcześnie w Wilnie dworzanin królewski, oskarżony o gorsze jeszcze zbeszczeszczenie procesyi majowéj, niestawiennictwem drewnianego boga i niezostawieniem należytego pełnomocnictwa dla skarżących skargę odbił. Ale w tém samem Wilnie, r. 1611, (kalwin) Włoch Franco, gdy podbudzony znowu kazaniem ministra, tłumy w procesyi od

---

[1]) Czy właśnie Rey przed sądem sejmowym obżałowanego żartami i drwinami obronił, o tém wolno powątpiewać. Katolicy świętokradztwa tego nie zapomnieli, jeszcze w r. 1597 Żebrowski, mówiąc o Otwinowskim (Recepta na plastr Czechowica i t. d.), wspomina i o owym zamachu „starego wyrwy“, jakiemu niby baby przeszkodzić umiały.

„bałwochwalstwa" odwodził, zginął okrutną śmiercią z ręki kata. Czasy mieniały się szybko: w r. 1564, pisze Uchański, nie chciano wcale odbierać po sądach przysięgi na krucyfiks ani w imię Trójcy św. — gdy zaś w r. 1611 mieszczanin bielski, (aryanin) Jan Tyszkowic, ani na krucyfiks ani w imię Trójcy (nie wiedząc o niéj, męskiego-li czy żeńskiego rodzaju) tylko w imię Boga samego przysięgać chciał, skazanemu zato na śmierć w Warszawie, wywleczono język, odcięto rękę i nogę (jakiemi miał krucyfiks deptać), ścięto go a trupa spalono, jako kacerza. Także Lublinianie r. 1627 a Rakowianie 1638 r. drobne winy przypłacili zniesieniem zborów, szkół, drukarni. Żyjąc nienagannie, wyjątkowo chyba dopuszczały się garstki aryańskie jakichś wybryków; osławiano zaś i prześladowano ich tylko dla saméj wiary: czyny lub zamysły, jakie im podsuwano, służyły za pokrywkę, pod którą na wiarę godzono.

Jedno z najwcześniejszych podobnych posądzań a zarazem i świadectw o wewnętrznym stanie „mniejszego zboru", powtórzył ksiądz Benedykt Herbest w relacyi swéj o podróży na Ruś, dla lwowskiego kasztelana Herburta spisanéj. Bawiąc nawiosnę 1566 r. w Krakowie, wydostał on list łaciński, kalwina wileńskiego uwiadamiającego spółwyznawców krakowskich o nowokrzczeńskich i aryańskich zakusach ministrów wileńskich, pomawiającego ich w gruncie o propagandę monasterskich zbrodni, chociaż o samym Monasterze, Tomaszu Münzerze i t. d. nie wspomniał, co inni wtedy nieraz czynili, mimo energicznych protestów strony obżałowanéj. List ten tak charakterystyczny, że przytaczamy go w skróconym przekładzie Herbesta (z dzieła p. t. „Chrześcijańska porządna odpowiédź" i t. d., Kraków 1567 r.):

„Pisany jest do niejakiego Simona (Zacyusza?) u Nowowierników przy Krakowie ministra, o sprawach i o wierze nowéj ministrów litewskich. Ci wileńscy ministrowie, Wędrogovius, Coscinius, Kurnicianus, Kuterlanus, więcéj już niż przez trzy lata trzymają z Aryany i z Nowokrzczeńcy. Prawdziwą naukę o ś. Trójcy każą; niezgodne swe i fałszywe konfesye wydając, inne potępiają; pamiątkę Chrystusa Zbawiciela chcąc zniszczyć, osobliwe święta (jako Narodzenia jego, Zmartwychwstania, Świątki, wespołek z innymi) wymietują; żadnego artykułu wiary chrześciańskiéj, gdy tego czas jest, nie wykładają; imiona pewnych czasów, świąt i dni wygładzić chcą. Na swym tu koncyliabulum krzest małych dziatek kusili się wyrzucić. Wieczerzą Pańską i nieuczciwie i bardzo rzadko, jakoby rzecz niepotrzebną, czynią; miasto kazania, obyczajem Nowokrzczeńców prorokują t. j. swoje sny i widzenia t. j. straszliwe bluźnierstwa, wiele żon mianie, dobra naszego społeczności, wzgar-

dę urzędu, sądów i każdego stanu, wnoszą. Do zniszczenia krztu dziatek małych rzecz tocząc, na 16 niedziel i dalej krzest odwłaczają a rodziców i kmotrów nie przypuszczają. Gotowanie ku Wieczerzy Pańskiéj za niepożyteczną rzecz i prawie za śmiech u siebie mają. Poddani, panom i urzędowi pisząc, tytułu braterskiego używają; do zrównania stanów i do wzgardy urzędu wszystkę rzecz wiodą. Przy Wieczerzy na jednem miejscu pan z chłopem siedzą; ludzie prości a nieuczeni rzeczy święte sprawują; według swéj myśli dekreta czynią i na przeciw urzędowi wiele się ważą. Tu w Wilnie gadano o tém, mają-li być przypuszczeni do Wieczerzy pańskiéj, którzy niewolniki swe wolnymi nie czynią? W kościele niemasz nic, tylko stół szynkowny wpośród kościoła; o groby nie dbają; z małżeństwa, z pogrzebów, z wszystkich rzeczy świętych wielkie idą zgorszenia i wzgarda religiéj. Mnie (powiada ów pisarz listu z Wilna) nad wolą nieboszczyka Pana Radziwiła (Czarnego, um. r. 1565) nigdy ani do rady ani do kazania nie przypuścili i jeśli tu będą ci dłużéj rządzić, nie tylko błędów będzie pełno, ale też trzeba się bać na koniec sedyciéj. Atoż masz, W. M. miłościwy Panie Lwowski, pewne nowiny litewskie, z których katolicy i smęcą się i cieszą i t. d."

W relacyi téj nazwiska ministrów przytoczone wiernie, lecz nie zaznaczono, że właśnie Wilnianie, Mikołaj Wędrogowski, Kuterla i Karnicki gorąco przeciw Czechowicowi i jego chrztowi dorosłych walczyli. Sprawę o chrzcie dorosłych wierzących i kających się, „przeciw chrztu niemowląt" wzruszyli w polskich zborach Piotr z Goniądza r. 1558, który i list o tém r. 1562 do ministra Wawrzyńca Krzyżkowskiego napisał, Hieronim Piekarski, pierwszy Piotra poplecznik, trójczak Maciéj Albinus, minister Iwanowicki, Stanisław Paklepka i inni; wydał przeciw nim napróżno konfesyą zboru kalwińskiego ów Szymon Zacyusz r. 1559, wtedy minister wileński; spory trwały daléj i dla zagodzenia ich zwoływano osobne synody w Brzezinach i Węgrowie w ciągu r. 1565. Zamiast zamierzonéj zgody z ministrami kalwińskimi nastąpiło stanowcze rozdwojenie: naukę Piotra z Goniądza, Czechowica i innych przyjęli wszyscy Aryanie, usunięto chrzest niemowląt, wprowadzono ów ewanieliczny, odradzający do nowego życia, dorosłych, przy całkowitem ponurzaniu w stawie lub rzece. Stąd pogardliwie nazywano Aryan „nurkami" i znęcano się nad nimi z tego powodu, tak np. kazał jeden z Łaszczów „nurka" Piotra Pulchranina (niemca, rektora szkoły bychawskiéj) wrzucić do stawu, gdzie cudem życie ocalił. Wobec niebezieczeństwa, jakiém Aryanom publiczne „ponurzenie" groziło, prosił Mikołaj Paruta, zbieg włoski, przebywający długi czas na Morawach, wedle świadectwa Budnego jeden z inicyatorów czystéj

(aryańskiéj) nauki, żeby wolno było ponurzenie odbywać w obrębie samego zboru (prostem omyciem katechumena), lecz superintendent Lutomirski na to ustępstwo nie przyzwolił, nie chcąc nikomu stałych, poniewolnych form narzucać. Przeciwnicy wymyślali różne cuda, ażeby ponurzenie potępiały; tak opowiada ks. Mik. Cichowiusz (Pogrom dyabła arryańskiego i t. d., r. 1659), że w Rakowie, w tym roku kiedy „*crucifix* potłukli", zebrali się na nurzanie, lecz gdy minister w wodę wstąpił „grobla się na caliźnie z trzaskiem wielkim rozerwała" i woda uszła, tak że bez nurzania do domów wrócić musieli. Inni szydzili z samych obrzędów nurzania, np. autor „Peregrynacyi dziadowskiéj" (r. 1612); żebracy jego wybierają się w rozmaite strony, nawet między Lutrów i Żydów, jeden z nich Kubrak, mówi:

Więc poydę do Lusławic, choć do Aryanów,
Nieźle téż tam musi być, bo tam dosyć panów,
Małoć téż tam od żydów coś trochę trzymaią;

drugi, Choroba, wtrąca:

Maiąć y tey y owéy wiary po kawalcu
Aleć to nastrasznieysza, że się chrzczą w Dunaycu.
Tak się chrzczą: kto przyimnie wiarę u nich nową,
Wrazi go pod Dunaiec pospołu y z głową,
To go trochę potrzyma, aż modlitwę zmowi,
A potym go za włosy porwie ku wierzchowi,
I tak mu będzie czynił do trzeciego razu.
Nie ma on tam agendy ani téż obrazu.
A co gorsza, kiedy się przytrafi chrzcić w zimie,
I puł roka poleży, nim go febra minie.
Ode chrztu nic nie biorą, krzyżmo u nich tanie,
Chrzcielnica dobrze głębsza, niżeli w Jordanie.
Post nawiętszy w niedzielę, w piątek wszystko iedzą.

Skoro w Rakowie (po r. 1570) ponurzenie za główny sakrament na zawsze uznano, spiérano się daléj, czy ponowienie chrztu uznawać za niezbędny warunek przypuszczania „kropionych" t. j. chrzczonych w niemowlęctwie, do zboru „chrystyańskiego" czy téż zostawiać to do woli każdego. Czechowic gardłował za pierwszém, pismem, mową i czynem; z jego rąk przyjął był chrzest Jan Niemojewski; przed tym nurzali się Jan Siekierzyński, kaznodzieja znakomitéj wymowy i pobożności, ów Piotr Pulchranin—późniéj Jerzy Szoman z rodziną żony, Lubienieccy i inni;—ostatni może „nurzał się" Krzysztof Wyszkowski, podczaszy bielski, niegdyś zagorzały kalwin, w Robkowie w r. 1653. Jednak innych odstręczał ów mus i w końcu zwyciężyło przeciwne zdanie Socyna, do którego przyłączyli się Lubienieccy; były minister

krakowski, następca Grzegorza Pawła, Wojciech z Kościana (Coscenius relacyi Herbesta) i in. I inne szczegóły relacyi owéj prawdziwe po części: Tak np. tytułowanie braćmi panów i urzędu nigdy nie ustawało, choć się na brak szczerości w téj mierze w piętnaście lat późniéj Budny uskarżał: „naydziesz dziś takiéj wyniosłéj myśli pany, rzkomo Chrystyany, którzy acz, czusto (to jest) o tytuły i o rewerencye, nie dbają, a przedsię, gdy którego bratem napiszesz, pod pokrywką z tego, jakom sam doznał, szydzą; także też rozmów braterskich przed sługami i przed bałwochwalcami umyślnie — by sobie w czém nie dać ubliżyć — uchodzą a czasem się i brat minister przed bratnim pokojem nastać musi, albo nic nie sprawiwszy odyść—samem był przytym, kiedy dwaj ministrowie przedniejszy przed drzwiami pana brata kilka godzin, pókiby je puszczono, czekali, a skoro żydowin, który się czarnoksięstwem bawił, zakołatał, zarazem go puszczono." Nie zawadzi wspomniéć, że tytułowanie się polskiéj szlachty bracią uchodziło, np. w siedmnastym wieku, za prerogatywę, obcą innym narodom, i za jakiś węzeł religijno-mistyczny, spajający naród szlachecki.

Również słusznie zarzuca Aryanom ów list obojętność przeciw pogrzebom i grobom; — obojętność tę stwierdzali oni zawsze, czynem i pismem, np. jeszcze Wacław Potocki w końcu następnego wieku, chociaż już katolik,—godziła się też zupełnie z wiarą ich w życie zagrobowe, w któréj dla wskrzeszenia c i a ł zmarłych miejsca nie było. Za to inne szczegóły zakrawają na potwarz, chociaż je już wtedy stale powtarzano; tak musieli w liście z 20 lutego 1566 r. odpiérać w Brześciu Lutomirski i inni ministrowie zarzuty wileńskich ministrów o ich mniemane dwużeństwo, niedozwalanie trzymania własności ziemskiéj, wywyższanie się przez nowy chrzest (ponurzenie) w liczbę wybrańców Bożych wolnych od grzechu i błędu. I w druku nawet miały wychodzić podobne nauki, wspomina np. wójt wileński Rotundus w liście do Hozyusza (13 września 1567), że czytał w Grodnie drukowane książki polskie, przeczące powadze urzędu, głoszące komunizm i zrównanie stanów; lecz książek tych, o których i wileńscy ministrowie w liście do Brześcian, zdaje się, wspominają, ani z tytułu nie znamy; inni wspominają nawet o jakiémś kazaniu wydaném po polsku w Krakowie r. 1564, domagającém się zniesienia duchowieństwa i zbezczeszczenia kościołów (!), chociaż należy się z tém wstrzymać aż do nabrania odpowiedniéj siły. Zarzut o propagandę wielożeństwa dotyczył głównie Ochina, twierdzono, jakoby zbieg sędziwy w Krakowie na kazaniach wielożeństwo zalecał (już Eustachy Knobelsdorf w liście do Hozyusza z 1 lipca 1564), o co jednak, dodawała późniéjsza tradycya, przed pięściami przekupek krakowskich uchodzić musiał — ale to wszystko po-

twarz, zaczepiająca tylko o argumentacyą jednego z dyalogów Ochina; Herbest wpomina o pobycie Ochina w Polsce, który niedawno w Krakowie dwóch cudzołożników męczennikami poczynił.

Tak samo pomawiano Aryan o inne sprosności cielesne, mieszając ich z jakimi Adamitami, z jaką dawną sektą panteistyczną, uznającą w zlewaniu się człowieka z przyrodą i Bogiem cel doskonałości, do czego przeszkadzało by wszystko, co człowieka z ogółu wyróżnia, więc nie tylko stan, własność, ale i małżeństwo wydzielające poszczególne pary — przecząc je wyprawiano orgie na schadzkach; podobna sekta wyłoniła się i między Taborytami czeskimi r. 1420, lecz ją rychło stłumiono. Kanonik Hieronim Powodowski w dziele p. t. Wędzidło na sprosne błędy a bluźnierstwa nowych Aryanów (r. 1582) twierdzi, że słychać o nich, jakoby śluby małżeńskie zawierali nago w łaźniach lub ogrodach, co Aryanin Jan Niemojewski (Obrona i t. d., 1583 r.) jako marną plotkę odpiéra, lecz to samo twierdzono już dwadzieścia lat przedtém. Gdy bowiem r. 1566 Hieronim Filipowski, obok marszałka izby poselskiéj, Sienickiego, obok Lasockich, Cikowskich, Orzechowskich, Lasotów i innych, filar świecki wyznania aryańskiego w Koronie, w Piotrkowicach bratanicę za Gnoińskiego wydawał, w ten sam dzień ubolewał na kazaniu minister kalwiński krakowski, Szymon Zacyusz, że Filipowski nowozaślubionych pod świerkiem (w ogrodzie) nago wystawi. Włoch Prosper Provana, jeden z celniejszych aryan krakowskich, obecny na owém kazaniu, zawiadomił Filipowskiego przez posłańca, o co go Zacyusz pomówił: list odczytał Filipowski natychmiast wobec weselnych gości, zdziwionych bezczelném kłamstwem Zacyusza; mimo to szerzyła się potwarz i na dworze królewskim zapytał biskup Padniewski Budzyńskiego, szafarza owego wesela, czy zaszło tam coś takiego, dowiedziawszy się o wszystkiém zawołał biskup: otóż widzisz, Budzyński, że to twoi ewanielicy, nie moi katolicy, takie o was rzeczy prawią; jakżeż im wierzyć, kiedy ów, minister i starzec, tak skłamał.

O „sedycie”, spiski i bunty, pomawiano Aryan również. Na sejmie lubelskim 1566 r. wymagali od króla protestanccy senatorowie i posłowie, zastraszeni propagandą aryańską pod murami grodu, edyktu przeciw sekcie antypańskiej; podejrzliwy król dał się do tego łatwo nakłonić, mimo oporu Filipowskiego, aby nie zasądzano ludzi, nie wysłuchawszy ich wprzód, i oporu duchowieństwa, któremu takie wydalanie samych Aryan wydawało się potwierdzeniem innych sekt i wmieszywaniem świeckich w rzeczy sumienia i wiary. Edykt, zresztą nigdy nie wykonywany, brzmiał bardzo groźnie; wydalał wszystkich Aryan z kraju w ciągu dwóch tygodni, pojmanych potém zmu-

szał do odwołania a w razie przeciwnym nakładał karę śmierci. Gdy ctóż tym edyktem Filipowskiemu jako głównemu patronowi Aryan docierano a on zawołał: przyjdzie czas że inny król sądzić będzie, który zwolennikami swymi opiekiwać się będzie, myśląc o Bogu, wytłumaczono te słowa inaczéj: przed królem oskarżył go Jan Zamoyski, jakoby Janem siedmiogrodzkim, spółwiercą, się odgrażał. Obruszyło to niezmiernie nieufnego króla, podrażnionego przeciw Filipowskiemu i o inną rzecz; energiczne jednak wystąpienie ojca Zamoyskiego przeciw złéj wierze własnego syna i skora audyencya obżałowanego u króla sprawiły, że kryminał o zbrodnię stanu wyszedł na grzyby Miechowicine (na nic do rzeczy). Lecz podobne potwarze [1]) nie odstępywały Aryan na chwilę, od kolébki do grobu.

Że Aryan za bluźnierców miano, wynikało z samego pojęcia o ich wierze, widziano w nich przedewszystkiém wrogów bóstwa Chrystusowego; za próbkę, jak się o nich wyrażano, niech posłużą słowa ks. Powodowskiego w „Wędzidle": (Aryanie jak świnie tajemnice wiary chrześciańskiéj) „swym niegodnym pyskiem świekorą a pożyraią, ale téż, którego wyżréć nie mogą, porządne a ozdobne szczepienie jego (winnicy kościoła świętego), mnimaiąc by to swój nałożny barłog, pyszczą, szamocą i w gniazda plugawego legowiska swego obracają." Lecz niezadowalano się zarzutem bluźnierstwa; twierdzono, jeśli nie o wszystkich, to o poszczególnych, że dochodzili do ateizmu, wypierali się Boga, obowiązków i sumienia, stawali się Epikurami, obrzydłymi materyalistami, poganami. Gdy umarł Kacper Bekiesz, towarzysz Batorego, aryanin, pojawił się paszkwil wierszowany „Napis i wyznanie wiary na grobie zacnego p. Bekiesza hetmana węgierskiego w Grodnie zmarłego i w Wilnie na Łyséj górze 18 listopada 1579 r. pochowanego," gdzie między innemi Bekiesz o sobie mówi:

..... Wszystko z siebie mam: nie chcę Boga liczyć;
Nie pragnę jego nieba, piekła się nie boję,
Miłosierdzia nie proszę, o sąd nic nie stoję;
Grzechu nie znam, ani wiem, co bych komu winien.
Samem sobie zawsze żył i byłem się pilen.

---

[1]) Już to Filipowski miał do nich osobliwsze szczęście. Jeszcze gdy był kalwinem (w Chrzczęcicach jego był jeden z pierwszych zborów), pomawiano żonę (wdowę po Niemście), że porodziła strasznego potwora w smoczéj postawie; gdy zmarłą w połogu, chowano, rzucił się na orszak pogrzebowy w rynku krakowskim tłum żaków i gawiedzi a Urowiecki uderzył w twarz Filipowskiego — lecz ten się ani bronił ani przyjaciołom zniewagi mścić dozwolił. Syn, ów mniemany potwór, nie wstąpił w ślady ojca; ulubieniec króla Stefana porzucił aryaństwo.

Nie trwożę się o ciało, ani mniej o duszę:
Społem ze mną umarła, wyznać śmiele muszę;
Pracy onej nie będzie, którą inszy mają,
Szukając każdy swojej, gdy z grobu powstają....

Ktoby paszkwilowi wiary nie dawał, znajdzie inne nieposzlakowane świadectwa; Marcin Czechowic wspomina, nie wymieniając nazwisk, o ateuszach i poganach między swoimi; K. Wilkowski (1583 r.) nazywa Slesińskiego niewierzącym w nic; inni innych; lekarzowi Batorego, Simoniuszowi, zarzuca toż samo przeciwnik w broszurze o „religii" jego (1588 r.); St. Reszka opowiada, że na Litwie grobu przechrzty żydowskiego, Lewana, kalwina, potém ateusza, ziemią nie można było zasypać i t. d. Pojawianie się niezaprzeczone ateuszów między Aryanami stało właśnie w związku z ciężkiém przesileniem, jakie wyznanie ich między 1569 a 1573 rokiem przechodziło.

Stałego centrum i pewnéj organizacyi Aryanie w początkach nie posiadali. Prześladowania kalwińskie, np. Stanisława Myszkowskiego, nie dawały im się w Krakowie spokojnie osiedzieć; podobnie rugowano ich po śmierci Radziwiła (Mikołaja Czarnego) z Wilna; z Kujaw, gdzie Jana Niemojewskiego własny brat Jakób gorliwie zwalczał; w Poznaniu nie przypuszczono ich nawet do rozmów z lutrami lub między sobą; po przykrych doświadczeniach r. 1566 nie stawali więcéj ich ministrowie nawet i na sejmach, gdzie przedtém, w orszaku swych panów i wraz z nimi prozelitów gorliwie werbowali. Zakładał wtenczas Jan Siemieński, kasztelan żarnowski, późniéj wojewoda podolski, miasteczko w sandomierskiéj ziemi, zowąc je od herbu żony (Gnoińskiéj) Rakowem; tolerancya dziedzica, chociaż kalwina, ściągnęła tu niebawem wiele tułających się Aryan z Litwy, Kujaw i Krakowa; Raków, a w parę lat późniéj i Lublin z niedalekiemi Bełżycami i Piaskami, stają się odtąd głównemi koloniami aryańskiemi, choć dla oka bynajmniéj nie powabnemi, bo obfitującemi w piaski i bagna. Szydzono i z tego; Powodowski w „Wędzidle" np. nazywa Nowokrzczeńców antychrystami, ponieważ wedle Objawienia ś. Jana antychryst z dworem swym buduje na piasku, a Aryanie, opuszczając żyzne łany ojczyste, „przenoszą się na piasek na puszczę do Rakowa, skąd mowa ich, jako rak wrzód, ludzie zaraża, także pod wał Lubelski nad wodę, a prawie blisko trzciny, gdzie mistrz ich Lucyper przemieszkiwa" (wedle znanego przesądu o czartach w błocie); szydzi i daléj ze zborku, coby „na piędzi gdzie we trzcinie siedział", czego mu Czechowic nie przeczy („pod murem na wale, nad stawem mam mieszkanicz-ko"). W Rakowie, późniéj i w Lublinie, stawili się Jakób z Kalinówki z innymi Litwinami, między nimi i ów rajca wileński, Łukasz Mundius,

co do braci Morawskich jeździł; z Krakowa Jerzy Szoman, Grzegorz Paweł, ów Siekierzyński; z Kujaw Marcin Czechowic, Jan Niemojewski, po złożeniu sęstwa ziemskiego inowłocławskiego, z Brzezińskimi (Wojciechem i Walentym), Bielawskim, Siemianowskim, Plecem i innymi.

Z początku jednak i w Rakowie, gdzie przez parę lat porównywano, t. j. badano Pismo św. wspólnemi siłami, jakby na synodzie, nie zanosiło się na jakiekolwiek porozumienie i zgodę w zasadach wiary i życia; nie znalazłszy szukanych sprzymierzeńców—nawet bracia czescy (morawscy) Aryan dla dogmatów o Trójcy i Chrystusie się wypierali; nie licząc już między sobą więcéj lub znaczniejszéj szlachty, moderującéj zaślepieńców — drożdżami ludzkiemi zowie ich tak kalwin (późniéj brat czeski) Łasicki, jak katolik Powodowski („ci chłopi, tokarze, strugarze, wrzeciennicy, płóciennicy, kapuściarze i insze drożdże narodu ludzkiego" i t. d. „Wędzidło", str. 180), nie uznając niczyjéj wyższéj powagi nad własne widzimisię, swarząc i łając się wpadano z jednéj ostateczności w drugą. Głoszono spólność dóbr, przyczém bogaci, jak Jan Niemojewski, ubożeli a biedacy, jak Grzegorz Paweł i inni ministrowie, się panoszyli (pisze kalwin Trecy 21 stycznia 1570 roku, omawia to samo K. Wilkowski i jezuita Żebrowski w „Recepcie" z r. 1597); przeczono nieśmiertelności duszy lub nawet istnieniu jéj (Trecy w owym liście; Żebrowski twierdzi również, że „nurkowie" duszę uznawali tylko taką, jaka u zwierząt; na Litwie powołano na przeszłym trybunale wileńskim sędziego Łoweyka z Możeru o to, że nie wierzył w życie duszy po śmierci, w zmartwychwstanie, w sąd ostateczny, ani w stworzenie świata, który tak „od wieku" stoi). Uznając królem tylko tego, co dźwigał cierniową koronę, żądano od wyznawców, by światu wypowiedzieli wojnę; by nie dbali o ciało, o strój, ochędóstwo i wygody jego; by zrównali się we wszystkiém z prostaczkami, którym należy królestwo niebieskie. I porzucili ministrowie, w imię braterstwa i równości chrześciańskiéj, nawet urzędy swe; powoływano do przepowiadania we zborze nieuków-rzemieślników, obdarzonych darem Ducha św., z czego wszystkiego przeciwnicy szydzili. Dziwne też musiał sprawiać wrażenie np. taki Jan Niemojewski, okazujący się na sejmie lubelskim między barwnemi tłumami strojnéj szlachty w pokornéj postawie, bez oręża, bez służby i towarzystwa, w szaréj odzieży, z torbą na plecach — jeszcze w trzydzieści lat późniéj przypominał go sobie takim Stanisław Reszka (1596 r.). Inni znowu, zrażeni temi nowostkami, chwiejnościami i skrajnościami, wyłamywali się zupełnie z wszelkiego rządu, żyli „bez zboru i bez sakramentów leda jako"; jeszcze inni, skarży Czechowic w przedmowie do „Rozmów" 1575 r., nie chcąc

być poddani karności boskiego słowa „i nie mogąc wytrwać napominania zborowego, stateczności ścisłego żywota chrystyańskiego i odnowienia ducha umysłu nowego z nami nie chcąc naśladować, na zad się zaś ku światu i większej cielesney wolności wrócili", pierwsze wyznanie przyjęciem rzeczy, dawniéj opuszczonych, „jako omyte świnie błotem kału gęstego, znowu splugawili" i nas wszystkim hydzili. Jednćm słowem, w zborze rakowskim zapanował chaos, o jakim późniéj tylko niechętnie, półgębkiem, ze wstydem wspominano; czasy te nazywa Czechowic (tamże) „onym dziwnym zamieszaniem, trwogami i rozprószeniem pocztu wiary i wyznania naszego"; inni „konfuzyą" i t. d.

Najbardziéj trwożyło, że uciekający przed błędami „bałwochwalni trójczackich" porzucali nieraz grunt Nowego Testamentu i cofali się do Starego, do Mojżesza i do Proroków, lub tylko do Dwu tablic, które z naukami pogańskich filozofów łatwiéj pogodzić się dawały — ci „poganożydowie" z przedniejszym hersztem (Budnym?) szerzyli bardzo zaraźliwe a „potworne gadki", że Chrystus nie Mesyaszem, że nie z woli Bożéj za nas grzesznych umarł, że nie zmartwychwstał ani teraz panuje; nie zlewali się jednak zupełnie z żydami, gdyż „dla wygody" rozróżniali między koniecznemi a zbytecznemi przepisami: obchodzili więc soboty zamiast niedzieli, ale nie wiązali się do obrzezania, do kuczek, pożywania baranka, ofiarownictwa i t. d., np. Piekarski (Hieronim, niegdyś towarzysz Piotra z Goniądza w zwalczaniu chrztu niemowląt?). Dla zohydzenia Nowego Testamentu, zebrał „żydotrójczak" Daniel Bieliński stotrzydzieści i dziewięć sprzeczności między ewanielistami i niemało kosztowało pracy ministrów aryańskich, zarzuty jego odbijać: Czechowic, podejmując się tego w „Rozmowach", nie wymienia go z nazwiska, wspomina tylko o jednym „nieobrzezanym nowym poganożydowinie a wielkim odmieńcu", bo odmieniają się w wierze, „jak kur indyjski w grzebieniu swym". Duchem starozakonnym pałał szczególniéj Budny, żądający tępienia mieczem wszystkich, co się w wierze nie zgadzali. Lecz nowe „żydowstwo" i między Aryanami i między kalwinami (w Wilnie kilku z nich nie jadało świniny, dawało się obrzezywać nawet?), wyjątkowo liczyło zwolenników; szerzyło się ono głównie między siedmiogrodzkimi Aryanami, gdzie się za Franciszkiem Davidis Sabatyanie od nich oddzielili; jednym z najgorliwszych krzewicieli jego był Niemiec, Wegius—zwano go różnie, Maciejem Gliriusem, „póki tu w Polsce chodząc ministry, zbory i pany zwodził od tych ostatków chrześciaństwa i póki się był nie obrzezał — wiadomo jest, jako wiele ludzi ten bezecnik w Polsce i w Siedmiogrodzkiéj ziemi z swym discipułem Franciszkiem Dawidowiczem w żydostwo spro sne wwiódł" (K. Wilkowski, 1583 r.). Ów Daniel Bieleński, późniéj

minister kalwinów wileńskich, od żydowstwa nawet i do turectwa pomyślał, jak sam w swojéj „Rewokacyi" (nieznaném dziś dziele łacińskiém, cytowaném często np. przez ks. Powodowskiego) wyznał. Do Turcyi trafiali przedtém i późniéj niektórzy, np. Adam Neusner, uciekłszy z więzienia hejdelberskiego, na Szmigiel i Siedmiogród; Pawłowi Alcyatowi, piemontczykowi, co przed genewskiemi prześladowaniami do Moraw i Polski się uciekł, a w Gdańsku umarł [1]), zarzucano otwarcie, że przekładał islam nad chrześciaństwo; Wilkowski wspomina o nurku „Kuneycе, wygnanym do Turek i tam obrzezanym" i in.

Najwięcéj zwolenników znachodził chiliazm, kołatający się długo i upornie po głowach aryańskich, zapatrzonych, wobec prześladowań i wzgardy teraźniejszéj, w owo upragnione i oczekiwane z pewnością tysiącolecie Chrystusowe na ziemi, przed sądem ostatecznym, gdzie sprawiedliwi z Panem w doczesném Jeruzalem obfitować będą w spokój, dostatki i władzę, gdzie bez grzechu, choroby i śmierci tryumfu nad sługami antychrysta zażywać będą — mrzonki, wylęgłe w zrozpaczonych głowach żydowskich, a oparte późniéj na dosłownie pojętém miejscu apokalipsy, połączoném ze słowami Zbawiciela w ewangelii ś. Mateusza. Chiliastami byli np. Jan Niemojewski, przeciw któremu Socyn pisywał; Motowiło, którego książę Ostroski do odpowiedzi na pismo Skargi o jedności kościoła wzywał (o chiliazmie jego wiemy ze wzmianki w liście księcia Kurbskiego) i in.

Łódkę aryańską, grożącą zupełném rozbiciem, ocalili Marcin Czechowic, który jedyny wtedy urzędu ministrowskiego nie złożył; Szymon Ronenberk, zamożny aptekarz krakowski, mąż wielkiéj wymowy i powagi; Krowicki, Budzyński i kilku innych; otrzeźwiono się z szału neofitów, przestano spuszczać się na inspiracye prostaczków, wrócono do przewodnictwa zborowego — lecz nie wrócono zupełnie do świata, płacącego „wisielcom", pogardą a wzamian od nich „szubienicznikiem" zwanego. I nadal bowiem zabraniano „chrystyaninowi", w myśl nauki Zbawicielu o nieprzeciwianiu się złemu, nieprzysięganiu, miłości ku nieprzyjaciołom i prześladowcom, jakiegokolwiek sądu i walki, jakiegokolwiek używania a choćby noszenia tylko oręża; nie dozwalano chrystyanom nietylko przysięgać, dzierżéć urzędów z władzą nad życiem i śmiercią, ale nawet udawać się do nich w sprawie własnéj, jeśli tylko z szkodą (karą) obcą połączona by była. Równocześnie jednak, wedle słów o oddawaniu cesarzowi, co cesarskiego, wymagano od

---

[1]) Gdy go raz żacy krakowscy srodze turbowali, uszedł im, mieniąc się nie „Arianus" lecz „Marianus", bo wierzy, że Chrystus z Maryi zrodzony. W r. 1581 żył w Krakowie, w liście do Ronenberka kazał go Budny pozdrowić.

chrystyan najzupełniejszego i najwierniejszego poddawania się zwierzchności i jéj rozkazom—tak dalece, że nawet walkę o swobodę wyznaniową uważano za bunt, za szatańskie przeciwienie się prawowitéj władzy. Takim sposobem uchylano na zawsze jakąkolwiek solidarność (albo raczéj posądzanie o nią) z anabaptystami monasterskimi: wyraźnie zaznaczał to już list synodu węgrowskiego z 10 grudnia 1565 r. (....i wprzód będziemy się starać gorliwie i świadczyć słowem i czynem, wzywając łaskę Bożą nad zwierzchnością, nie dla strachu tylko, lecz i dla sumienia i t. d.). Na tém stanowisku, pełném niekonsekwencyi i wybiegów dotrwał aryanizm do końca, chociaż i z niego samego wyszli światli mężowie, jak Samuel Przypkowski, którzy tę sprzeczność między wymogami rozumu, a wiary godzić i usuwać umieli.

Lecz i w początkach aryanizmu nie obeszło się co do tego bez głębokich sporów, choć inną bronią walczono; argumentował Przypkowski rozumem, to czerpali dawniejsi obrońcy miecza i urzędu, doktór Jakób Paleolog (Grek, nauczyciel w Siedmiogrodzie, potém w Polsce i na Morawach żyjący, wydany Rzymowi i spalony na stosie), Szymon Budny i in., argumenta teologiczne ze starego testamentu; przebieg téj pierwszéj fazy owéj walki rzuca tyle światła na ludzi, ich słabostki i obłudę, że opowiemy go pokrótce wedle dzieła Budnego (O urzędzie miecza używaiącem wyznanie zboru Pana Chrystusowego, który w Litwie i t. d., 1583 r.).

Podlaszanin, Piotr Giedzek z Goniądza, jak wzniecił spory o dogmat Trójcy Św., o chrzest niemowląt, jak używał pierwszy terminu „chrystyanin" (boć Chrystusa nie zowiemy Chrzestusem), tak wzruszył pierwszy w książce o zwierzchności (łacińskiéj, dziś nieznanéj) i spór przeciw dzierżeniu urzędów; za nim poszli Grzegorz Paweł i niemal wszyscy bracia polscy; przyjęli odnośne kanony, ustanowione przez zbór Rakowski. A mianowicie: jako nie słuszna rzecz wiernemu, królem, książęciem, hetmanem, wojewodą, starostą, sędzią, podsędkiem, namiestnikiem, wójtem, burgmistrzem, setnikiem, żołnierzem, drabem i t. d. być; jako takiemu nie godzi się imienia, z któregoby wojnę służył, mieć, praw wszelakich, polskich, litewskich, niemieckich, ziemskich, grodzkich, mieśćskich i innych, gdzie mieczem karzą, albo wżdy przysięgi skazują, używać; naostatek, jako się nie godzi oręża wszelakiego i podróżnemu nosić albo wozić i rozbójnikom się bronić. Po śmierci Stanisława Paklepki (r. 1565, w powietrze) zastawiali się przeciw tym skrajnościom tylko Marcin Krowicki (niegdyś przyjaciel Orzechowskiego, sługa Kmity, żonaty pleban) i Stanisław Budzyński: ten pisał na synod lutomirski r. 1573 list na ręce Krowickiego, aby

takowéj srogości we zborze bożém nie używali, jak potąd, tak iż téż u kogo kord widzieli żelazny, zarazem potępiali i do piekła odsyłali. Złożony ustawiczną niemocą Krowicki odpisał tylko w dwa tygodnie przed śmiercią (z Piasków po ś. Szymonie 1573 r.) Budzyńskiemu. Zarzucał Rakowianom, że czynią wszelkich przełożonych tyranámi, podczas gdy i naszego wieku znaleźli się tacy, przez które P. Bóg rozszerzył ewangelię swoją, boby bez nich „było nas pognieciono jako gnidy"; daléj, że Boga takowym czynią, który brakuje między osobami ludzkiemi, stany wielkie odpycha od siebie precz, a którzy chodzą w siermięgach, w odrapaném i plugawém odzieniu, abo w kożuchach wszywych, miałby przyjmować w łaskę; że ścisnęli ewangielią, którą Chrystus kazał przepowiadać wszelkiemu stworzeniu, a oni wyłączają z niéj siedzących na urzędziech. Siła było naustawiano w Rakowie, co się wniwecz obróciło, z czego się Bogu hańba a ludziom śmiech uczynił, a we zborze bożém zgorszenie; zborem bożym najwięcéj rządzić chcą Rakowianie, już nie będąc ministrami, tylko tułaczami błędnymi (oni ministeria swoje spomiatywali, gdyż jich do tego nikt nie popychał — prosto była kaźń Boża). O tém więc teraz największe zatrzęsienie i zatrwożenie; brzemiona i jarzma ciężkie a nieznośne kładą na lud boży.

Paleolog, wezwany od Jakóba Kalinowskiego i Szymona (Ronenberka?), zdanie swe za urzędem i obronę tegoż po łacinie wypisał, lecz spis jego między bracią zborową nie rozszedł się i spór zdawał się uśmierzony. Wznowili go Litwini. R. 1578 gdy w Litwie, za pomocą Bożą a za częstemi i statecznemi namowami, umyśliliśmy w Łosku nas kilkonaście ś. ponurzenie przyjąć, zaczemby téż i drugi sakrament (Wieczerzy) doszedł i wszytekby porządek przywrócon był, tedyśmy byli niektórzy umyślili zaniedbać, jako miejsc sławnych, tak téż i osób ważnych; chcieliśmy tak między nami samymi szafarza tego sakramentu obrać i jemu tę sprawę zlecić. Lecz jeden z ministrów, w Polszce przedtém ponurzony, nikogo się z nas nie dołożywszy, tak wedle swego zdania starał się o to, jakoby tu do onéj sprawy ś. kilka bratów z Polski przybyć mogło, jakoż przybyli i przedsię wdzięcznie od nas wszystkich przyjeci. Krótko mówiąc, oni bracia a zwłaszcza dwa (Marcin Czechowic i Aleksander Witrelin) pilno się o wszytkiem, t. j. o nauce i o obyczajach, przed usługowaniem ponurzenia ś. przypytawali. Dowiedziawszy się, że z nas niektórzy mieli domki szlacheckie, pytali, jakobychmy do tego ś. sakramentu szli, mając takie domy? Powiedzieliśmy, że gotowiśmy te domy przedać lub nawet porzucić, skoroby to nam słowem bożém pokazano, że się ich trzymać nie godzi. Przestali na tém oni. Doszło ś. ponurzenie. Lecz ozwał się jeden szlachcic,

Basil Ciapiński (tłómacz i wydawca ewanielii małoruskich), a przy nim i innych kilka, że to nie jest przeciw nauce ewanielskiéj, urząd mieczowy, także imienie szlacheckie trzymać, na wojnę jachać, praw używać i t. d. Sparli się z nim bracia polscy, ale iż wieczór był, dali sobie pokój. Nazajutrz téż nic o tém więcéj nie mówiwszy, różno się rozjechali (Polacy na Żmódź). Wszakże ten kamyk u mnogich został w sercu.

Na końcu czerwca 1578 r. złożon był synod do Lucławic na Podgórzu, na który wysłano z Litwy Budnego i Fabiana Domanowskiego, z listem od szlachty, by się o téj „przy" statecznie rozmówiono i rozmowę na Litwę przysłano; lecz bracia polscy w nic takiego wdawać się nie chcieli, pan Jan Niemojewski np. odpowiedział, że to u nas już jest *ratum gratum et firmissimum*, że Chrystyanin nie może być urzędnikiem w rzeczypospolitéj żadnym; odpisali téż szlachcie litewskiéj krótko barzo, odsyłając ich do książki Czechowica (Dyalogi). Również nie użyczyli nam spisku Paleolowego ku przeczytaniu; wystarałem się oń z Krakowa, od Paleologa samego, który na ten czas w Morawie mieszkał; ten tak nam i panu memu, staroście zmódźkiemu (Kiszce), podobał, żeśmy go wraz z przeciwną censurą Grzegorza Pauli, dali tu w Łosku w sierpniu 1580 r. wydrukować. Tymczasem na synodzie lubelskim, w styczniu 1579 r., chciano uchwalić, że żaden nie ma nic wydawać, ażby drzewiej starszy przepatrzyli i uchwalili. Na synod Lewartowski w jesieni 1580 r. przyjechali z Litwy Budny i Tomasz Gardliński, ze spisem Paleologowym; synod ten, na którym miano dysputować z Trójczakami (kalwinami) o Bogu i o Synu Bożym, rozerwan, gdyż nie chcieliśmy im pozwolić, powoływać się prócz Pisma ś. na concylia i doktorów; jechaliśmy wszytcy do Lublina; polscy bracia dla wieczerze Pańskiéj, my, aby ich o śmierć Franciszka Dawidowica (żydowstwujący, jak Paleolog i Budny, umarł we więzieniu siedmiogrodzkim) strofować i owe księgi Paleologowe o wojnie i o urzędzie ofiarować. Lecz niemoc, którą tu w Litwie kostołomem zwali (czy nie influencya?), popadszy nas jeszcze w Lewartowie, przeszkodziła nam; wszak ozdrowiawszy nieco, przyszliśmy do jich pasterza (Czechowica) i o niesłuszném Franciszka osądzeniu mówili; oznajmiliśmy jim téż, że z nimi do wieczerze p. nie zasiądziemy. Nazajutrz tedy odprawowali wieczerzą, przy któréj nie byliśmy; wszakeśmy po obiedzie do jich gromady przyszli, gdzie pozdrowiwszy je od wszytkich litewskich bratów, podawaliśmy jim księgi Paleologowe z prośbą o ponowne względnienie w ten spór. Lecz naszy mili bracia, a zwłaszcza oni, którym najwięcéj przystała cichość i znaszanie, z trzaskiem się na nas puścili, ksiąg i do rąk wziąć niechcieli, odcięciem (*anatemą*) o zgwałcenie dyscypliny grozili:

czemuś ty, Budny, te księgi do druku, nam jich drzewiej na próbę nie dawszy, dać śmiał? Jam tak pytanie pytaniem odbił: moi łaskawi panowie bracia, gdybym był was spytał, jeśli je drukować, czy dozwolilibyście byli? Zamilczeli; gdym powtóre spytał: ale bracia, powiedźcie; odpowiedział przedniejszy senior, p. Niemojewski, nie dozwolilibyśmy byli; także i wszytcy, a było mężów o czterdzieści, krzyknęli: nie dopuścilibyśmy. A jam rzekł: a dlaczegożem tedy miał was o to pytać, com dobrze bez pytania wiedział? Lecz oni przedsię dyscypliną grozili: jam téż powiedział, żebyście pierwsze i więtsze staranie o samych siebie i o bliższych, niż o nas dalekich, daléj niż za siedmdziesiąt mil, mieli; bo acześmy tu u was nie dawno, jednak widzimy, że nas niewinne baczycie, a siebie nie raczycie. Widzimy, że z was jeden przedniejszy minister córkę swoję papieżnikowi w małżeństwo dał, tenże teraz syna swego do Włoch posyła, gdzie się nic dobrego nauczy, że co teraz ociec buduje, to syn jeśli się wróci, rozwalać będzie. Za tém oni dopiéro poczęli się pytać, któryby taki miedzy nimi był i dopytali się u swych, ale jeśli go potém strofowali, tego niewiem. Koniec ten był, że ksiąg nie wzięli, aż gdy już z miejsc swych powstali, przystąpił ku mnie niektóry mąż uczony, cudzoziemiec (Socyn), i prosił o egzemplarz, chcąc przeciw niemu pisać.

Takci nas na on czas ci bracia pocieszyli, tak nas odprawili i owszem przez nas do braciej (litewskiéj) pisali, odłączeniem grożąc i powagą swą i nie wiem jaką zwierzchnością strasząc. Lecz nie wiele wystraszyli, bo na synodzie loskim 6 stycznia 1581 r., gdy się wotować przyszło, wszytcy za pomocą Bożą, oprócz dwu, za urzędem, iż ma we zborze Chrystusowém miejsce, wotowali; wszakże tegoż czasu pisali do braciej polskiéj, napominając i prosząc, aby sobie nie ufali, z prawdą nie walczyli, a jeśli by to być mogło, aby się z nami na pewném miejscu uźrzeli i o tém się w miłości braterskiej przytomnie namówili.

Potém było z obu stron milczenie, aż w sierpniu (1581 r.) wyszedł spis łaciński przeciw Paleologowi onego cudzoziemca (Socyna), uczenie, ale więcéj przeciw samemu Paleologowi, niż przeciw jego sentencyi; na który Paleolog odpowiedziéć, jako chciał, nie mógł, gdyż niebawem dla prawdy Bożéj gdzieści we Włoszech męczennikiem został. Gdy przeto naszy polscy bracia onym odpisaniem zmocnieni byli i nie leda jako ufanie swe na niem zasadzili — jako się znaczy z listu niektórego z nich do jednego pana radnego tu w Litwie — pisali do nas, składając u nas w Litwie synod na 18 stycznia 1582 r. do Iwia. Chętnieśmy onego czasu ich czekali, lecz zamiast nich, przybyły nazajutrz listy do nas i do JMP. starosty żmódzskiego; w obu zatrudnienia swe

przekładali i nieprzybycie pilno omawiali. Nie po myśli to nam było wszytkim; mówili niektórzy, że to nie próżno, ale pewnie dlatego, aby tak słuchacze, niepotrzebnie się spracowawszy, drugim razem nie przybyli (i rzeczywiście, co ich pierwszym razem do kilkanaście było przyjachało, to potém — prócz p. starosty — ledwie jeden. P. starosta i my naznaczyliśmy braci lubelskiéj nowy termin, do Lubcza na 1-go marca.

Tam przyjachało polskich ministrów czterzej i kilka młodzieńców, t. j. Marcin Czechowic, Jan Niemojewski, Mikołaj Żytno, Piotr Domaniewski, Piotr Lubieniecski i t. d., a z naszéj strony mało co więcéj, chociaż tylko trzej rozmawiali. 5 marca dopiéro — prze niektóre pilne JMP. starosty zabawki—uczyniwszy modlitwę ku P. Bogu, zasiedliśmy, lecz polscy bracia do rozmowy o urzędzie mieczowym we zborze żadną miarą przystąpić nie chcieli, ażby pirwej o wzywaniu Pana Chrystusa rozmowa i zgoda albo niezgoda była. Dlugośmy się jim tego zbraniali, lecz oni gwałtem nas do téj rozmowy cisnęli; spodziewali się po nas tego, żebyśmy wszelkiego wzywania P. Chrystusa zapierali a iż widzieli niektóre przedniejsze słuchacze tém się obrażać, przeto naprzód nas tym obyczajem podejrzanymi uczynić chcieli. Musieliśmy więc na tę rozmowę zezwolić i po niemałym sporze zgodziliśmy się z nimi co do wzywania Chrystusa jako pośrednika, którego o przyczynę do Boga prosimy i wzywamy. Chociaż oni sami w téj rzeczy między sobą nie prawie zgodni, bo jeden z nich, gdy po kazaniu miał wedle obyczaju modlitwy czynić, pirwej ją do Chrystusa jako do samego Boga uczynił, na którą nie wszyscy amen rzekli. Czego nazajutrz drugi z nich przystojnie pociosał, gdy obyczajem chrystjańskim pirwej do Boga samego wiecznego modlitwę piękną uczynił, a potém Chrysta Pana jako pośrzednika o zalecenie i ofiarowanie onej modlitwy Bogu nabożnie wzywał; przeto też wszytcy statecznie rzekliśmy amen.

6 marca gdy się już o urzędzie mówienie zacząć miało, prosiła nasza strona, aby mogło być prawie porządne mówienie (t. j. z prezydentem i z wiernym spisywaniem wszelkich mów i zarzutów, bo to pospolicie bywa, że więc oni, którym wątku albo radszey prawdy nie zstawa, radzi się swych słów zapirają). Lecz nie mogliśmy tego otrzymać i musieliśmy pozwolić, tak na wiatr z nimi mówić, nawet i tego, by oni wprzód dowody swoje podawali.

Gdy się tedy tak na ten nierząd i na wszytko, co oni chcieli, pozwoliło, jeszcze i tego z wielkim usiłowaniem domówić się chcieli, abychmy propozycyą t. j. podanie o czém mówić, odmienili; zamiast naszéj chcieli mieć: jaki ma być żywot chrystyański; a to nie prze co inego uczynić chcieli, jedno żeby tego do nich żaden nie baczył, iż

urząd ganią, acz ji rzkomo wielce wysławiają, posłuszni mu są, Bogu się zań modlą i pobory chętnie płacą—lecz siedzących na urzędzie mają za niegodnych przyjęcia do zboru i sakramentów, t. j. za pogany ich poczytają. Idzie nam z nimi jacy (tylko) o to: że onemu każdemu, kto u nich sakrament chce przyjąć, jeśli ma na sobie jaki urząd, naprzód ji złożyć każą, a jeśliby nie złożył, tedy takiego do sakramentu nie przypuszczają. Acz ci się jakoś teraz w téj mierze trwożą. Jako gdym jednemu na tem synodzie zadał, coby uczynił gdyby do niego który wojewoda albo hetman z którejkolwie sekty przyszedł i kajał się a chcąc już wszytkie artykuły wiary z nami trzymać, prosiłby ponurzenia św., a województwaby albo hetmaństwa złożyć niechciał? Cobyś mówię uczynił? Czy przypuściłbyś takiego? Na to pytanie niewiedział, co miał odpowiedzieć, a prawie, jako mówią łacinnicy, wilka za uszy trzymał; bo się długo ramiony ściskał, aż gdy mu zewszą o to dogrzewano, przez zęby powiedział, przypuściłbym. Ale zaś nazajutrz, gdy go drugi o toż spytał, przeciwną rzecz odpowiedział. Zaś samiż powiedali tamże na synodzie, że jakiegoś chorążego do ponurzenia w Polszcze przypuścili — tedyby już z nami nie mieli o co mówić; lecz to nie bez fortelu, bo pewnie przy takiém przypuszczaniu będą takich obwięzować, aby na potem ono wszytko opuszczali, coby nie wedle słowa Bożego trzymali a potem będą jim rzkomo z pisma ukazować, że urząd jest przeciw powinności chrystyańskiéj, *ergo* chorąży porzuć chorąstwo, także i ty starosto i t. d.

Powiedziało się jim na jich propozycyą, że nam nie o to z wami idzie, jaki ma być chrystyanin albo jego żywot, gdyż tu jest zgoda, ale o to, jeśli ten chrystyanin, który ma być cichy, cierpliwy, miłosierny i t. d., może urząd mieczowy trzymać czy niemoże? Za tém musieli tę propozycyą przyjąć a przyjąwszy zarazem powiedzieli, że się chrystyaninowi nie godzi żadnego urzędu mieczowego trzymać; a chcieli to za jeden dzień odprawić, t. j. uczyniwszy kilka kazań miasto dowodów — bo taki obyczaj mają, że długo mówią — a naszych dowodów jeszcze ani słuchawszy, ani się o nich pytawszy, mieli za to, że już po wszytkiem, t. j. już zwycięstwo sobie przypisowali. Lecz sie barzo na tem omylili. Bo gdyśmy swoje dowody podawać poczęli, a wieczór już zachodził, żądali, abychmy jim one dowody spisać dopuścili, żeby tak gotowszy ku odpowiedaniu na przyszły dzień byli. A tak gdyśmy je dla spisania jim wyliczali, nalazło się wszytkich piętnaście dowodów, a wszytkie z pisma św. zamknione. Na które obiecali się nazajutrz odpowiedać. Lecz nazajutrz zasiadszy rano do samego wieczora wszemi siłami kilku dowodom odpirając, ni jednego odbić nie mogli. Jakośmy to dosyć potężnie pokazowali i jeszcze potężniej pokazać go-

towiśmy byli, ale iż słuchać niechcieli, nie lza było jedno dać pokój; dziesiąci lepak dowodów naszych ani ruszyli, ani ruszyć chcieli, wymawiając się wiosną i drogą dla rostoku niepewną. Czemubym jednak wierzyć musiał, gdyby byli tedyż albo nazajutrz wyjechali, ale iż aż do dnia trzeciego na mieścu zmieszkali, trudno ma temu kto wierzyć. Odciąwszy tedy 7 marca o urzędzie rozmowę, o swéj zwierzchności, którą oni przezwiskiem dyscypliny farbują, chcąc ją i tu w Litwie nad nami rościągnąć, mówić zaczynali, i owszem, co byli w nocy miedzy sobą uradzili, jako a gdzie którego z nas przesadzić, to na rozjeznem, skoroby byli zwierzchność otrzymali, opowiedzieć i roskazać wolą mieli, ale iż nie na taki aspekt trafili, tak po dawnemu z radami swemi do Polski się wrócili. Daj jim Panie Boże lepszą szczyrość i doskonalszą do nas i do wszytkich miłość.

I o tém synodzie należy więc rozumiéć, co spółczesny o „Nowokrzceńcach" napisał z tytułu niezgody wielkiéj, „która miedzy nimi panuje. Naprzód miedzy samymi ministry, których ledwo jest dziesiątek albo pułtora. . A mogę rzec, iż miedzy niektórymi z przednich jest nieprzyjacielska waśń; zwłaszcza na synodzikach, gdy się zjadą a zgodę jaką w naukach swych różnych i w wykładziech pisma ś. przeciwnych sklijić chcą. Czego nigdy nie sprawią. Bo ośm albo sześć dni naswarzywszy się, gdy się i słuchaczom i sobie uprzykrzą, do domu każdy z swą opinią jedzie i to jest konkluzya: każdy przy swym zostań" (K. Wilkowski).

Głowną część książki (od k. 18—96) poświęcił Budny wywodom o urzędzie; narabia on starym zakonem, przykładami o Abrahamie, Dawidzie i t. d., najobszerniéj zastanawia się nad słowami 5 rozdziału ś. Mateusza: Nie przeciwcie się złemu, ale jeśli cię kto uderzy w czeluść prawą, nawróć mu i drugiéj i t. d. — zastawia się z Paleologiem tym, że ponieważ Chrystus zakonu Mojżeszowego burzyć nie przyszedł, więc i te jego słowa nie przeciw zakonowi, lecz przeciw faryzejskiemu tłumaczeniu i złemu używaniu zakonu wymierzone są; że odnoszą się ku osobom prywatnym, nie ku urzędowi; że jak Chrystus nie zabrania sprzeciwiać się złemu u dzieci, czeladzi, poddanych (boć i przepowiadanie słowa bożego jest sprzeciwianie się złemu, również karność domowa—czyż i to zabronione?), tak téż nie zakazuje królom i urzędnikom ich urzędu wykonywać. Przedewszystkiém zaś bije na to, że nie ma jasnego słowa Bożego o tém, że się wiernemu nie godzi urzędu z mieczem trzymać; na takie zaś spory nie starczy konsekwencyjek nikczemnych, trzeba wyraźnego zakazu.

Wywody Budnego zbyli Rakowianie milczeniem; co przeciw nim powiedziéć mieli, wyłożył był już Socyn (przeciw Paleologowi). Nauka

Socyna, moderująca nieco skrajności Czechowica i Grzegorza Pawła, przeważyła u Aryan, którzy i nadal ani walczyli, ani sądzili; uchodziło to, póki Aryanie stanowili drobną garstkę i z życia publicznego się wyłączali; słuszne zarzuty, np. że nie pozwalali bronić ojczyzny nawet przeciw napadom nieprzyjacielskim, odpierali tém, że zawsze znajdzie się dosyć takich, co zamiast „chrystyan" walki się podejmą — i Jerozolimę ukarał przecież Bóg ręką pogan, Rzymian, między którymi żadnego chrześcianina nie było. W ostatecznym razie byli gotowi, wyruszać zbrojno, nawet wywijać orężem—byle nim nie krwawić! jak Bracia Czescy, którzy wchodząc w kompromis ze światem, i na wojnę szli, lecz sobie wymawiali, by ich tylko w straży tylnéj, lub w załogach gdzie ustawiano. Wyznawaniem takich zasad skazywało się aryaństwo zgóry na niepłodność, na brak szlachty w szeregach swoich wyznawców, zapełnianych głównie plebejami na coraz słabszą propagandę, dla samych tych zasad wielu, porzuciwszy katolicyzm, nie wstępowało do zboru: antagonizm przeciw papiestwu, przygodne odwiedzanie zboru, zastawianie się za nim w razie potrzeby, starczało już Aryanom, by tych obojętnych między swojich zaliczać (K. Wilkowski).

Nieliczne szeregi ich przerzedzała śmierć, rzadziéj odstępstwo, odczuwane o wiele boleśniéj, szczególniéj jeśli odstępca głoszeniem pobudek i wyjawianiem słabych stron zboru, wywoływał polemikę, występował w roli oskarżyciela, wywlekał brudy domowe. Takich faktów liczymy kilka w pierwszych dziesiątkach lat aryaństwa; najgłośniejszém było odstępstwo lekarza lubelskiego, Kaspra Wilkowskiego, ciekawe dla walk wewnętrznych i zewnętrznych, jakie Wilkowski przechodził, dla rozgłosu, jakiego w literaturze nabrało; z niego czerpali bowiem ciągle późniejsi polemiści, Reszka i inni; opowiemy wkrótce za autorem o walkach i trwogach sumienia jego — iluż to nie ulegało podobnym, w owe czasy apostazyi, przechodzenia od wiary do wiary, tęsknego, gorączkowego szukania prawdy wyznaniowéj; charakterystyka owych czasów niezupełna, jeśli jéj podobnych obrazów nie dostaje; wybieramy téż szczegóły nadzwyczaj ciekawe a pouczające, jakie autor o stosunkach i życiu w obrębie sekty, z któréj wyszedł, zapisał; czerpiemy zaś wszystko z dzieła p. t. „Przyczyny nawrocenia do wiary powszechney od sekt nowokrzczeńcow samosatenskich Kaspara Wilkowskiego, medyka lubelskiego" (Wilno, 1583 r., poświęcone w łacińskiéj przedmowie królowi Stefanowi). Opowiada zaś o sobie pan medyk, co następuje (w nawiasach dodajemy od siebie poprawki lub dopełnienia):

Za powodem Symona Ronenberka, aptekarza krakowskiego (jednego z wiernéj braci krakowskiéj), potym i za radą dwu zacnych tejże

sekty mężów, p. Stanisława Lutomierskiego (niegdyś, r. 1563, obranego superintendentem małopolskich Aryan) i Jana Mączyńskiego (autora „Słownika polskiego królewieckiego” z r. 1564) i za pozwolenim rodziców moich byłem we Włoszech — o czem sam ani myślałem i zrazu miałem to za rzecz sumieniu i żywotowi doczesnemu niebezpieczną. We Włoszech, folgując barziej zdrowiu a wiarując się niebezpieczeństwa, takem sumienie swoje daleko zawiódł, żem pewnej nadzieje o zbawieniu żadną miarą mieć niemógł. A nacięższy to był grzech, że ja, wierząc, iż msza jest iste od djabła przez antychrysta papieża rzymskiego wynalezione i wymyślone bałwochwalstwo a ciało prawdziwe pana Jezu Chrysta bałwanem i innymi strasznymi bluźnierskimi nazwiski nazywałem i tym być mocno trzymałem, jednak bywałem przy mszej i klękałem przed ciałem Bożym dla niebezpieczeństwa, choć to za bałwochwalstwo mając. Co jako mnię, dziwna rzecz, wróciwszy się do Polski trapiło, każdy, kto kiedy iskierki tego ognia w sobie czuł, dobrze rozumie. Na takim był barzo ciężki i wielce srogi bak z strony zbawienia mojego przyszedł, że było nielza, jedno zgoła wszytkę nadzieję postradawszy, pewnego zginienia oczekiwać. Krzepczyłem się w tym długo, przez dziesięć lat, i częstokroć zbyć móla i ognia tego być wolnym, rozmaitymi sposoby w tamtej sekcie usiłowałem, ale próżno. Do jakich dziwnych ciężkości i wątpliwości to przywodziło, a ztąd za wnętrzną trwogą i do częstego ze zborem, zwłaszcza z Ministry, niepokoju, co oni dobrze wiedzą, którym z nimi będąc kwestyami i sprzeczanim się z nimi ustawicznym o wielu rzeczach byłem przez ten czas dosyć *molestus*, nie skąd inąd ani z innej przyczyny, jedno że pokoju wewnątrz niebyło a u nich, czymby się ucieszyć i prawdziwie uspokojić, naleść się nic nie mogło. A choć się to podczas ukołysało, że zborem prawdziwym będąc, mają moc do rozwiązania i grzechów odpuszczenia, przedsię jednak wielkość grzechu przed oczyma tkwiała i to, że chociaż by tę moc dobrze mieli, jednak jeśli bym przeciwko Duchowi Św. zgrzeszył, jakom rozumiał, u nich będąc, że mi to odpuszczono, jednak być nie mogło. Owa zewsząd desperacja i trwoga, aż za łaską Bożą błogosławiona jutrzenka światłości i pociech niebieskich ukazować się i wschodzić w sercu moim poczęła.

Zmiękczył Pan Bóg serce moje, żem zdrowej i mądrej rady (ks. Zacheusza Pikarskiego, który w Lublinie będąc deputatem i pracy mojej w poratowaniu zdrowia swego używając, do tego mię pilno namawiał) usłuchał i naukom i postępkom kościoła powszechnego rzymskiego, rozmyślając i poczęści czytając, przypatrować się począł, Panu Bogu, ile ona bojaźń grzechu i sumnienie strwożone dopuszczało, modląc się. I baczyli (bracia téj sekty), żem do papiestwa mierzył.

Prawda, żem wiele rzeczy podawał, któremi pokazowałem im, iż próżno się chlubią szczerym być i własnym zborem apostolskim: wiele niedostawa, wiele zbywa, wiele inaczéj i przeciwko kościołowi apostolskiemu. Dawałem téż znać, że mowy ministrów ostre, potwarliwe i szyderskie przeciw kościołowi rzymskiemu nie barzo mi się podobały. Natrącałem i tego często, że się jego rzeczy i dowody nie cale proponują i słabo a barzo niedostatecznie rozwięzują. Książki moje, którem był o tym za papiestwem na on czas przed kilka lat napisał, o których tylko kilka z braci wiedziało, świadczą, do czegom był postąpił i jak bliski byłem prawdy. Jako się to zaniechało i zatłumiło aż do tego roku (1583), długoby o tym pisać a mało potrzebnie. Gdy zaś czas naznaczony od Pana Boga przychodził, około puł roka przed nawróceniim moim, począłem oziębléj i nie pilno do zboru chodzić, acz mało nie oziębléj drudzy. Na co gdy minister (Czechowic) często i ostrze narzekał, mówiąc: Papieżnicy nas osądzą, którzy na swe roraty, jutrznie, na msze, nieszpory i t. d. chodzić nieomieszkiwają, ważyłem się zatym, przyczynę niedbalstwa w pośrzodek podać, któréj była ta suma. Iż nie do końca pewniśmy tego, służbali to Boża a słowoli to Jego szczere i prawdziwe, które tu we zborze opowiadane bywa; o drugich, mnie w niedbalstwie podobnych, tego się domniemawam; ja sam wyznawam na się, iż o tym wątpię. Po których trwogach i sporach w tymem się im nawet odkrył, iż te wszytkie wątpliwości i *tumultuaciones* we mnie być muszą, póki móla, który mie gryzie, nie zbędę a w tych dwu rzeczach rozwiązan nie będę: pierwsza, który jest prawdziwy kościół, moc grzechów odpuszczania mający; wtóra, że mój grzech we Włoszech nie był ani jest grzechem przeciw Duchowi Ś., nie jest zaprzenie się dobrowolne prawdy, owszem jest służbą Bożą, a ono mnimanie i bałwochwalstwem z niewiadomości poczytanie mocą od P. Chrystusa daną może być odpuszczone.

A iżem u nich o tym rozwiązan być ani upewnion nie mógł, nielża tedy było, już tu nie mogąc żadnéj otuchy na sercu mieć, pociechy i ratunku w kościele rzymskim poszukać: próżno, o duszę szło, musiało się wszytko na stronę, co zawadzalo, odłożyć. Powiedziałem tedy p. Janowi Niemojewskiemu, że muszę z księdzem (Stanisławem) Warszawickim (jezuitą, szczerze kościoła rzymskiego broniącym, jak go mi p. Niemojewski sam zalecał) o tym się rozmówić. Jakoż nie bronił mi tego, tylko chciał, aby ta rozmowa moja z nim była przy świadkach. Ale to nie było grzeczy, bom ja radzić się o rzeczy mnie potrzebne, nie swarzyć się miał potrzebę; koniec P. Bogu oddawałem. Jakoż do tego z łaski jego przyszło. Za pracą ustną i podanim pewnych pism od ks. Warszewickiego i, po jego odjechaniu, od ks. Symona Wysockiego

i ich modlitwami za mną, żem wziął koniec w onych trwogach i wątpliwościach. Co za praca i w tym czasie była, nietylkom nauki kościoła ale i innych zborów i tego samego uważał, ale też osobno i samo pismo ś. pilno czytał i któremuby właśnie zgromadzeniu służyło, przypatrywał się, czego mogę każdemu, ktoby potrzebował, pewne znaki ukazać.

Niewidząc tedy nic w sekciech wszystkich, jedno drogę pewną na zginienie, wszystkie pokusy, przekazy i zawady wielkie i ciężkie zwyciężywszy a prawie wszystko podeptawszy, do kościoła ś. przystałem i w nim, jakom się za oną maluczką światłością spodziewał, co dzień więtsze a więtsze utwierdzenie, pociechę i oświecenie z łaski Bożéj biorę. Między owemi pokusami i zawadami wymienia Wilkowski długi i rzewny list, „który pan ociec mój miły do mnie pisał, chcąc mię w téj sekcie zadzierżéć: słowa w nim są takie, że adamantowe serce mogłyby zmiękczyć i od przedsięwzięcia odwiéść. A wiédzcie, dla czegom ja na mniéj zemdlić mu się nie dał. Czuję się, com rodzicom powinien i gdyby tylko o samę moję duszę szło, na taką pilną ojcowską prośbę, na takie groźby, jakie tam są, snaćbych był ustąpił. Ale o Boga stworzyciela i wybawiciela, potym i o jego prawdę idzie. Któremum się długo ociągał i nieszczęśliwym, że mię na to powoływał, długom się poczytal i narzekałem gorzko, bacząc te trudności, kłopoty, szacunki, które mię miały potkać i potykają a najwięcéj ten niezmierny frasunek ojcowski przed oczyma tkwiał. Ale trudno się przed Panem skryć...

Co z jakim mi przyszło utrapienim i com na sobie odniósł i odnosić muszę, wam tajno nie jest a najwięcéj, iż wam natrącę, żem się od was, prawie depcąc po namilszych rzeczach, do Chrystusa wydrzeć musiał: wszakeście frasunków i listów, twardszych niż kloza, mocniejszych niż łańcuch do zatrzymania u was, ostrszych do zabicia niż miecz, dobrze świadomi. O czyjich to liściech mówię, wiécie, mianować dla więtszego zająątrzenia nie trzeba i żal niedopuści. Ale nie tu koniec; baczyłem i teraz czuję, co mię za kłopoty i zelżywości oczekiwają. Na mię teraz pismy swojemi wszyscy waszy i inni gniewy swoje wyleją; sprawę tę i pracą moję dziwnie obramują i serce moje mięsnymi, ci co żelazne kordy porzucili, dobrze posiekają...

Wiem też jako waszy pragną, nawet i P. Boga proszą, oczekiwając nieszczęścia jakiego mojego a mianowicie grzechów jakich sprośnych, czymby się sami ucieszyli i katolikom mną urągali, mam ich o tym listy...

Rzeczecie drudzy, niechcemy z tobą sprawy mieć, boś zbieg i zmiennik, prawdyś się, Boga i Chrystusa zaprzał, dla zbogacenia

w papiestwie i abyć wolno było wszytko, tameś się udał; ktemu z zboru wyrzucony i szatanowi oddany jesteś, niegodzi się nam i pozdrowić cię i rękić nawet dać (co u was częste, co był niedawno minister Farnovius p. I. Niemojewskiemu zuchwale uczynił, że go ręki swéj i mówienia z nim przy wielu ludziach z wielką zelżywością nie godnym osądził)...

Gdym nie opatrznie wyrzekł o jednym, co też w kościele (katolickim) ze zboru lubelskiego począł był bywać, mówiąc, iżem nie sam, co za trwoga i frasunek był między wami, tak długo, ażem musiał, abych był od was za kłamce niepoczytan, onego mianować, coście tam potym z nim czynili i jakoście go przy sobie zatrzymali, ja już nie wiem...

Wiem, i wy to często wyznawacie, doświadczywszy, że wiele się po ponurzeniu gorszymi stawają, a wszyscy oziębléjszymi i leniwszymi do dobrego... Niech tak będzie, że łakomstwo i chciwość bogactw do papiestwa mię wwiodło od was, tym sposobem mało was wrychle zostanie. Bo zaprzéć tego nie możecie, że między wami chciwych bogactw jest więtsza część. Ale u katolików nie baczę, aby co za to dawano i bogacono, jam dotąd, coby w oko skryć, *eo nomine* nie wziął. Lecz czy wy nie dawacie i nie wspomagacie tych, co się do was przyłączają? Chcielibyście przeć tego, wasze niektórych majętnostki, tym potracone, to jawnie świadczą. Aza też wam jedni baczniejszy jawnie waszych podarków nie odsyłają? jako on ks. Jakub, kaznodzieja z Wieliczki, gdy od was, mało co z wami pobywszy, odjechał; drudzy zaś, oberwawszy, jawnie szydzą i śmieją się.

Powiadacie, od was zbieżałem, aby mi wolno było wszytko, a zwłaszcza lichwę brać. I cóż tak srogiego czynicie lichwiarzom, żem to ja dlatego od was musiał odstać? nic, ganią ją i na lichwiarze na kazaniu ministrowie wołają—barziéj i cięższéj katolicy. Cóż daléj czynią? podobno ze zboru wyrzucają, do wieczerzéj pańskiéj nie przypuszczają, szatanowi oddają lichwiarze, nie jedzą z nimi, ręki im nie dają i sprawy żadnéj z nimi nie mają? Bynajmniéj—chyba jeśli katolikiem został, choćby i lichwić przestał.

Rzeczecie jeszcze: nie dla naszegoś to dobrego napisał i podał, ale abyś nas zesromocił i na mięsne jatki wydał. Tego mniemania waszego o mnie pewien jestem z onych waszych słów i pism do mnie: ty naszym Judaszem będziesz, ty nas wydasz, ty na nas krzyż i wszytko złe przywiedziesz i t. d. Ale to tu tylko piszę, coście sami albo wodzowie waszy albo zbiegowie do was kosztem waszym napisali i na jawią wydali, co każdy z waszych ksiąg, których jest wielkie mnóstwo, wié albo wiedziéć może. Mów i spraw, któreby wam szkodzić miały,

albo o których rozumiem, żebyście ich jawnie pisać i mówić nieśmieli, pilno się strzegę wspominać...

Powiadam wam, żeście papiestwa nie świadomi, żeście lekkomyślnie je porzucili, albowiem ile was znać mogę, żywych i zmarłych, nieco zwłaszcza w sektach waszych mężniejszych, tedyście w dzieciństwie, w leciech waszych nierozsądnych, chowając się w onych szkołach niemieckich, w złe mniemanie o kościele rzymskim wprawieni. Rzeczecie, nie wszyscyśmy byli dziećmi albo młodzieńczyki, gdyśmy papiestwo porzucili, ukażcież mi, wielu z was było na ten czas dwadzieścia lat minęło? Ja żadnego nie znam. Lecz mógłby się podobno naléść który taki, jednak ten każdy laikiem, od prawnych swarów i świeckich spraw albo od pługu albo od warstatu do Luterstwa się porwał, w którym żadnym tak wiele rozsądku nie było tysiącznéj części, ile odmiana tak wielka potrzebuje...

Sadzicie się ustawicznie na szczere pismo, nic nie dodając ani odmiatując, tymczasem i odrzucacie, co tam rzetelnie rozkazano (np. mycie nóg jedni drugim), i ustawiacie, czego tam nie ma. Przytacza kanony i reguły, jakie sobie dowolnie ci papieże nowochrzeńscy ustanawiają, między niemi i ten że urząd jest przeciw powinności chrystyańskiéj więc chorąży porzuć chorąstwo; „ja dołożę, chorąży ponurzony będzie się wywodom ich sprzeciwiał i choręstwa, aż mu dano podkomorstwo, niepuścił—cierpią to ci papieże (tak Budny Czechowica zowie); tylko niektórzy, co téż jakie urzędy puścili, szemrzą, folgę tę widząc i wzgląd na osoby, także i ubodzy drudzy, któremuby żadnemu, gdyby wójtem albo pisarzem w miasteczku został, niecierpiano. Więc dekreta swoje jako chcą relaksują, wedle czasu i osób. Przypuszczają do wieczerzéj białegłowy, pytam gdzie *expresse* w piśmie ś. napisano o tym? I w innych wielu rzeczach sami się doma porachujcie i one wyrzućcie, dopiéro komu drugiemu pódźcie a źdźbło wyjmijcie t. j. pierwéj ministrów waszych kilkanaście i zborzyki od wynalazków oczyśćcie i zbór jeden bez wszelkich przydatków w nauce, postępkach i ceremoniach wybudujcie: ale tymczasem wiele wody upłynie i rychléj sobie oczy wyłupią i ostatki rozwalą budowania swego.

Niezgoda między nimi panuje, nie tylko między samymi ministrami, ale i jakaś skryta waśń dwuch stanów, ministrów z ubogimi a panów. Ministrom tkwi w głowie i w głos to mawiają: póki panowie we zborze, póty nie może być dobrze, nie może być rząd; przeto ich téż wielu z majętności i szlachectwa połupili i prostymi chłopy poczynili, na co teraz wiele ich obaczywszy się narzekają albo ich żony i dzieci płaczą Panowie zaś mówią: póki ci żacy we zborze rządzą, póty nie może być dobrze, i radziby zpośrzodku siebie ludzie proste i niewy-

krętne ministrami widzieli, powiadając, iż tacy byli w zborze apostolskim, nie szukano z szkół żaków, z pośrzodku siebie męże na to obierano. A owe jawne niezgody, częste odmiany, częste rewokacye ale bez przysięgi, bo znowu myślą od tego, do czego przystają, odpaść a wątpiąc, prawdali ono, co twierdzą, poprzysiąc tego nieśmieją.

Druga przyczyna, trwoga i wątpliwość, zwłaszcza, czy słusznie i z Boga nurzanie w zbór wprowadzili? latają już o tym książki i listy, i spory wielkie o tym między nimi, ale bez pospólstwa, bywają. Nie rozumiem samego Doliny, który z tym po świecie jeździ, u nich się ponurzywszy, ganiąc to nurzanie wodne i wieczerzą chlebową a ministry najemnikami, brzuchowymi sługi zowąc a siebie samego mężem i posłańcem Bożym; są inni mędrszy. Wiele się we zborze tą ich nauką potrwożyło; przedni nurzyciel o tém barzo wątpi, Siekierzyński. Pamiętacie, jakom się ja onymi jego dyskursami o nurzaniach obraził, gdy o tym jako nastały wywodził: jedno w nieznajomego Krystusa, Kujawskie; drugie w tego, co przed P. Maryą nie był, Rakowskie; trzecie w przed P. Maryą będącego, Podgórskie; czwarte, z mieczem, litewskie. A nazajutrz mówił: nie nurzać mię, ale uczyć Pan posłał; Czechowic, iż to przyniósł z Niemiec i najpierwéj w Polszcze nurzać począł, tego najbarziéj broni. Drugi zaś powiedział: gdybyśmy mieli poprzestać nurzać, zadławiliby nas ludzie, gniewając się, że się na swą sromotę dali nam namówić, gdybyśmy to zaś mieli ganić. Przeto też wiele się już do niego iść ociąga i nie tak się jako pierwéj spieszą; drudzy zgoła tą nauką przestrzeżeni nurzać się nie chcą. Bo ten, co to prowadzi (Socyn), jest uczony człowiek, ociec i autor nauki téj, w któréj się najbarziéj kochają, o Synu Bożym, dla tego go między sobą, choć tak wielki błąd prowadzi, uczciwie chowają i barzo miłują; on za nie łacińskim językiem odpisuje kss. Jezuitom, p. Wolanowi, Paleologowi i t. d.; będąc tak ostrego dowcipu, baczy to dobrze i wyznawa, że to nurzanie jest wielką przekazą a prawie chamulcem, dla czego się zbory niepomnażają i jego nauki o Bogu i Synu Bożym nie przyjmują, jedni nurzania się tego bojąc, drudzy sromając, trzeci niepotrzebnym i nie wedle słowa Bożego być rozumiejąc; i sam to wyznawa, iż dla tego się nie nurza i nurzanie gani [1]).

---

[1]) Co Wilkowski o czworakim chrzcie prawi a inni skwapliwie powtarzają, odnosi się nie do chrztu, lecz do odłamów i sekt w aryaństwie. Ponurzanie z mieczem, litewskie, to nauka Budnego, że miecz i urząd mieczowy Chrystyanom się godzą, przeciwna Rakowskiéj; trojakie inne ponurzenie, to różnice dogmatów o Chrystusie: rakowski dogmat uznawał człowieka, przejrzanego i wzbudzonego od Boga, wskrzeszonego ze zmarłych i królującego w chwale; podgórski zaś—Boga syna przedwiecznego. Pierwotnie bowiem, np. Piotr z Goniądza, zwalczając

Trzecia przyczyna, iż barzo w ludziach zbory te schodzą. Owi przedni panowie i znaczniejsza szlachta zmarli, na dwu albo trzech wszystek zbor wisi. Co się też tknie ministrów, przedniejszy oni, Krowiccy, Kalinowscy, Kościeńcy i t. d. pomarli, drudzy do żydostwa postąpili (Budny, Bieleński), trzeci do kalwinistów się wrócili (Bieleński), czwarci też doma siedzą nieznacznie albo za co się innego, porzuciwszy ministerya, wzięli (Grzegorz Paweł), młodzieńców, którzyby po nich mogli nastąpić, nie chowają ani w to wprawują, ojcowie syny swe do dworów i do szkół innéj wiary wolą dawać, sromając się tego szlachcic, gdyby syn jego miał się w tém ćwiczyć, jakoż nigdzie takiego niedbalstwa niemasz w ćwiczeniu albo wprawowaniu dzieci w religią swą ku pomnożeniu jéj, jako u Nowochrzczeńców, choć wolą sami słuchać ćwiczonych: pilniéj i nie tak tęskno słuchają Czechowica albo Aleksandra (Vitrelina), co w szkołach zrośli i doktorów świętych rozumieją i przywieść umieją w swych kazaniach, niż szlachcica od gospodarstwa, chłopa od pługa, mieszczanina od kopyta, albo od kramu albo od czopu: tęskno i nie smakuje, nie buduje, powiadają, jego mowa. O tym ćwiczeniu (młodzieży) gdy bywała zmianka, zwykli mówić, wypchnie P. Bóg (takich), wyuczy sam, i obdarzy Duchem ś. i umiejętno-

---

dogmat o Trójcy, bóstwu Syna nie przeczył; spory o to wzniecili w umysłach polskich Włosi, Paruta, Blandrata, Alciat, listami (z Moraw i Siedmiogrodu) i ustnie, Franciszek Dawidowicz, pisma starszego Socyna, jakie się do Polski przez sługę jego, Stanisława Kokoszkę, dostały. Grzegorz Paweł, Jerzy Szoman, Kalinowski, Budny, Krowicki i inni poszli za Włochami; Piotr z Goniądza, Stanisław Farnowski, Stanisław Wisniowski, z Czechowicem, Niemojewskim, Lutomirskim i innymi wyznawali przedwieczne bóstwo Syna. Debaty na zwoływanych umyślnie synodach w ciągu r. 1567, w Łańcucie Pileckich i w Skrzynnie, bardzo namiętne, sprawiły, że największa część ministrów poszła za Gzegorzem Pawłem, Włochami i Siedmiogrodzianami; Aryanie stają się unitaryuszami, wyznając jedyną osobę Boga; drobna ich garstka zostaje „dwójczakami“, „dwójbożanami“ (*ditheitae*), wyznając preeminencyą Boga Ojca i odwiecznego Boga Syna (jak i Serwet), wznawiając więc właściwą naukę Aryusza. Ci dwójczacy, przeciwników Samosatenami i Ebionitami przezywając, zwalczali ich ostro, chociaż i innym nie folgowali, stawiając Żydów i Turków nad chrześcian, uznając ich bliższymi Królestwa Bożego. Wódz ich, Piotr z Goniądza, rychło zmarł (r. 1570, w Węgrowie na Podlasiu, wedle świadectwa Budnego); zastąpił jego niepohamowany, wyniosły Stanisław Farnowski, który w głębokiéj starości, opuszczony przez wszystkich wyznawców, przesiedlających się do unitaryuszów, umarł (żył jeszcze r. 1614); osiadł był on na Podgórzu, w Sączu, u p. Mężyka, założył tu szkołę, zaczepiał pisemnie unitaryuszów (odpowiadał mu Czechowic), tłumaczenia Nowego Testamentu, jakie zamierzał, nie wydał; jedna z jego owieczek, pani Zabawska, zebrała modlitwy polskie (nie znamy ich). Od tego to Farnowskiego nazwano owo ponurzenie podgórskiém a zwolenników jego Farnowianami.

ścią. Pamiętacie, gdyście się byli na to spuścili i ministerya porzucili, czekając aby był P. Bóg godniejsze wypchnął, i jużeście przed sobą szewcom i krawcom dawali miejsce, pochwalając barzo ich naukę i dziwując się jéj i mówiąc, żeście się więcéj jednéj godziny, słuchając ich, nauczyli niż przez wszytek wiek z ksiąg, zaprzéć tego trudno. Lecz niemogąc się doczekać, znowu do ksiąg wrócić się musieliście a szewcom kazać milczéć i młynarzom. Boście baczyli, do czego ci mili dziwni prorocy wiedli i co za konfuzyą, któréj się po dziś dzień sromacie, prowadzili.

Po nas to, rzeczecie, P. Bóg uczyni. Dlaczegóż to po was? czyli wy zawadzacie? czyli zdołacie sami, ile was teraz jest, téj pracéj? bynajmniéj, aza mało miejsc, na które szlachta niektóra ministrów potrzebuje i u zboru waszego żąda, a nie macie, kogo im dać; czy to tak małe żniwo, że dosyć kilka robotników? Lecz niech tak będzie, że wynidą drudzy po was, ale tegożli uczyć będą? Ukażcie przodków waszych sukcesory, którzyby tegoż, na ich miejsce nastąpiwszy, uczyli: nie tykając daléj inszych stron, w Lublinie czy tego Czechowic uczy, czego uczył Paklepka? w Krakowie czy tego uczy Szoman, czego uczył Kalinowski? także i w inne stolice swe weyrzycie. Dożywotna to tedy wasza jako innych sektarzów nauka: pókiście żywi, póty trwa; z wami ginie i umiéra.

Rzeczecie, aza i za żywota naszego nie wypycha P. Bóg do nas ludzi uczonych na tę robotę? Wiem, iż przychodzą do was zbiegowie kościoła rzymskiego i by nie ci, dawnoby was było mniéj i nic byście nie mieli, czymbyście się zdobili i ktoby za was jakożkolwiek ozdobnie i uczenie odpisował albo wasze błędy udawał; przeto się w takich zbiegach kochacie, ważycie i im pomagacie. Lecz długoż waszéj radości i pociechy w nich? Aza potym prędko wami nie zamieszają i nie potrwożą was? Gdy wam, do was (nie do waszéj nauki) przyłączywszy się, swoje sny przynosić i za nową wam nieznajomą prawdę i dalsze oświecenie podawać poczną? W gorzkość się wam wielką wasze pociechy obracają. Gdzie wasz Ochin, gdzie Blandrata, Stankar, gdzie nowszy Prosper Turpio (pseudonim Socyna) — tak się czasem zowie, czasem zaś inaczéj—izali już, gdy was o ponurzeniu potrwożył, jego lekcyj słuchaćeście nie przestali? Izali gdy katechizmów poprawował i nową naukę o usprawiedliwieniu bez śmierci Chrystusowéj, mało co różno od Dawidowicza, między was podawał, długo się z nim próżno naswarzywszy i jego absurda haniebne, jako je był zebrał w jego piśmiech p. J. Niemojewski, obaczywszy, izaście go mowię niektórzy — bo zawsze każdy, z was kogo, do siebie urwie — niepogardzili? Lecz macie na to miejsce innego, Jezuitę (niemiec Franken, rektor szkoły

w Chmielniku, późniéj w Siedmiogrodzie). Ujrzymy, długoli będzie téj radości i pociechy i co wam jeszcze nowszego z starych błędów przyniesie; długo z wami być—ale długoż i sami z sobą będziecie? — jako i inni, nie może. Dla czego? Tacy zbiegowie są ludzie uczeni i dowcipów ostrych, wy nieukowie i grubi pojąć ich fantaziéj nie możecie. Oni, z niewoléj jako mówią, ale raczéj z rządu — wyszedszy, rządzić u was i po swemu wszytko miéć chcieliby; wy zaś tak też im barzo rządzić, ich hardości znieść nie mogąc, niedopuścicie i chcielibyście je miéć pod swym nierządnym jakim takim rządem. Czego oni nie wytrwają i myśli swych hardych wysoko i szeroko samopas rozpuszczanych, jako sami w poimanie ująć, tak i wam ich poimać dać nie chcą; stąd prędki rozbrat. P. Boże, wam daj wszytkim uznanie i odmianę w dobre, Amen.

Bardzo pouczająca relacya ta o wewnętrznym stanie zboru tchnie prawdą, mimo przesad, niedokładności i sprzeczności w jednym i drugim zarzucie dowodzi, jak trudno było pierwszéj generacyi polskich Aryan, połączyć się na gruncie jednego dogmatu i obrządku i obmyślić środki dla wychowania młodzieży a przygotowania ministrów. Lecz trudności te w końcu przezwyciężono; burze, wiry i męty pierwszego dwudziestolecia uspokoiły się i osiadły; przetrwawszy walki wewnętrzne, wystąpił zjednoczony aryanizm na pole walk religijnych z nowemi siłami, wyzywał znowu kalwinów i katolików na zwycięskie dysputy, propagował wiarę licznemi pismami łacińskiemi, urządził wzorowe szkoły dla kształcenia młodego pokolenia. Do pozyskania zaś jednolitéj podstawy, zabezpieczającéj późniejsze powodzenie, przyczynił się głównie znowu Włoch, ów młodszy Socyn, którego imię już w relacyach Budnego i Wilkowskiego znacząco występuje; z przekąsem uniewinnia się Budny (w przedmowie do Krzysztofa Lasoty, podczaszego lubelskiego, z Łoska 23 stycznia 1583 r.), że zabrał się do dzieła, do jakiego potrzeba by właściwie więcéj wykształconego skrybenta, więcéj wypolerowanego Polaka, „ale gdzież nam ty Włochy brać.”

A. Brückner.



WSPÓŁCZESNE AUTORKI.

ELIZA ORZESZKOWA.

STUDYUM LITERACKIE.

II.

Praca, jeżeli ma być owocną w swych skutkach, nie może ciążyć na jednéj tylko połowie ludzkości, musi i powinna zatrudniać cały ogół. Jeżeli mężczyzna staje do pracy, kobiéta nie powinna, nie może rąk zakładać bezczynnie, bo inaczéj zdarzy się niechybnie, że stanie się albo ciężarem, gdy praca mężczyzny nie wystarczy na zaspokojenie wspólnych potrzeb, lub padnie ofiarą, gdy zabraknie z jakichkolwiek przyczyn opiekuna i wyżywiciela.

Autorka, która przyjmuje z takim entuzyazmem nowe idee rozbrzmiewające w społeczeństwie, sprawę kobiét odrazu pojmuje we właściwém jéj znaczeniu, trzeźwość nie opuszcza jéj ani na chwilę, nie pozwala się ani razu unieść wezbranéj fali szumnych teoryi i frazesów; rozumié czego kobiéty mają prawo żądać, co im się słusznie należy, w czém tkwi złe ich położenie i jak mu zaradzić można. Emancypantki Orzeszkowej—jeżeli tu tego wyrażenia użyć można—nie marzą o doktorskich beretach, katedrach uniwersyteckich i zrównaniu się pod każdym względem z mężczyznami: są to jedynie wytrwałe i dziel-

ne pracownice, usiłujące pracą rąk lub głowy zapewnić sobie byt niezależny, lub stać się pomocą rodzinie. Z pewnym rodzajem smutnéj, lecz gryzącéj ironii autorka przedstawia figurycznie skład takiéj rodziny, w któréj ojciec sam jeden upada pod brzemieniem pracy, aby zapewnić utrzymanie wszystkim jéj członkom, jako grupę wyobrażającą karyatydę, która dźwiga na plecach i karku całą gromadę osób. Jeżeli obarczająca go rodzina składa się z istot drobnych, widok mniéj jest przykry, ale jeżeli to są ludzie dorośli, natenczas zdejmuje ochota zawołać na tych, którzy obsiedli kark i barki biédnego niewolnika:

„A zleźcież, niedołęgi, i pochodźcie choć trochę o własnych siłach! Niech ten, który tak długo dźwigał go na swoich barkach, wyprostuje się nakoniec, obejrzy się po świecie, spojrzy w górę i odetchnie swobodnie.”

Jeżeli ci, których dźwiga, miłością odpłacają mu trud ponoszony, w takim razie już nie oni, ale on zasługuje na srogi wyrzut. Należałoby go się zapytać:

„A dlaczegożeś, niedołęgo, nie nauczył ich chodzić na własnych nogach? — Snadź nie masz głowy, biédaku, albo woli, jeśli nazwyczaiłeś ich do tego, by jeździli sobie tak po bożym świecie bez trudu, a na twoich plecach. Teraz że za to cierp, dźwigaj i milcz” („Na dnie sumienia”).

Lecz właśnie ta trzeźwość, to zrozumienie istotnych warunków położenia sprawiły, że Orzeszkowa stała się rzeczywistą przewodniczką dążności kobiét, a wpływ jéj w tym kierunku stał się decydującym. Trudno zaprzeczyć, że środki, jakie wskazuje dla osiągnięcia celu, zastosowane w praktyce, nie ziściły pokładanych w nich nadziei, lecz to już nie jest winą autorki, tylko wynikiem ogólnych warunków pracy, których rozstrzygającą kwestyę stanowi prawo podaży i popytu; zasada pozostała słuszną.

Pierwszą obszerniejszą powieścią, w któréj autorka uwydatnia swe zapatrywania na dążenie kobiét do pracy samodzielnéj, są: „Pamiętniki Wacławy”.

Wacława jest panną zamożnego domu szlacheckiego. Jako młodziutkie dziewczę używa życia tak, jak to jest w jéj sferze przyjęte: taniec, zabawy, rozrywki towarzyskie stanowią główne jéj zajęcie. Ale w młodziutkiém dziewczęciu, pod wpływem doznanego zawodu, budzą się poważne myśli i uczucia. Zerwawszy z narzeczonym, który okazał się jéj niegodnym, gdy krewna jéj matki, która pragnęła tego połączenia, wydziedzicza ją, Wacława postanawia pracą własną zarabiać na utrzymanie swoje i matki, zostaje nauczycielką, zyskuje spokój i zadowolenie w poczuciu swéj użyteczności i godności własnéj. Towarzy-

szka jéj, Emilka, zostaje—introligatorką. W przeciwieństwie do tych dwóch dzielnych pracownic, z reszty ich towarzyszek, które nie miały w sobie dosyć sił, czy odwagi, szukać dla siebie dróg nowych, jedna umiéra na suchoty, druga, wydana za nienawistnego sobie człowieka, ucieka od męża i zostaje... przyjaciółką tego, którego pokochała pierwszą miłością.

Ćwierć wieku mniéj więcéj temu był czas, kiedy często słyszéć się dawało, że ta lub owa młoda panna bierze się do nauki introligatorstwa, szewstwa i tym podobnych profesyi wyzwolonych; co do mnie, mam głębokie przekonanie, że nie było pośród nich ani jednéj, którąby nie czytała „Pamiętników Wacławy".

Wogóle zaś nauczycielki, bądź-że są to pionierki pracy samodzielnéj, bądź-że są krzewicielkami oświaty, cieszą się największą sympatyą autorki; jako postaci niewieście mają jéj uznanie na równi z przyrodnikami, doktorami medycyny, prawnikami i przemysłowcami. Tak jak Wacława, również nauczycielką była Kamila w powieści „Pan Graba", Józia („Wesoła teorya a smutna praktyka"), Helunia („Rozstajne drogi"), Szyłłówna, a późniejsza pani Orchowska („Eli Makower"). Wszystkie one były kobiétami wyższego umysłu i serca. Nauczycielstwo—mówi autorka przez usta Wacławy — to powołanie i kapłaństwo, którego zadaniem jest rozbudzić w duszy człowieka drzemiącą prawdę, przyozdobić ją w piękność, która się nie zasadza na światowych połyskach, ale na wewnętrznéj wartości, ukazać mu życie w rzeczywistéj i szlachetnéj postaci, złożyć w jego duszy „te światłe pojęcia i wielkie zamiłowania, które zdwajają szczęście, odbiérają gorycz boleści, podpierają w trudach, chronią od manowców".

Jest to zadanie odpowiednie i godne kobiéty.

Ale po za wyższemi zagadnieniami życia lub obok nich istnieje kwestya chleba, która w braku odpowiedniego przygotowania staje się niekiedy kwestyą śmierci z głodu.

Tę kwestyę kobiécego: być albo nie być, wcieliła autorka w postać Marty.

Powieść ta, pod tym samym tytułem, wyszła w r. 1872. Stanowi ona, rzec można, punkt kulminacyjny kwestyi kobiecéj.

Marta, to kobiéta, jakich tysiące. Wychowana tak, jak mniéj więcéj wszystkie dotąd panny u nas były wychowywane, posiada niejakie wiadomości i talenta salonowe, ale gruntownie niczego jéj nie nauczono. — Spełniła ona zadanie, będące *alfą* i *omegą* istnienia kobiéty: została żoną i matką; w pożyciu z mężem była kochaną i szczęśliwą. Ale szczęście jéj skończyło się ze śmiercią męża. Pragnie zapracować na utrzymanie swoje i dziecka, ale usiłowania jéj rozbijają się o brak

gruntownego przygotowania. Próbuje zostać wszystkiém: nauczycielką przedmiotów ogólnych, języka francuskiego i muzyki, próbuje tłómaczyć do druku; wszędzie i na każdym kroku spotyka ją zawód lub upokarzająca jéj godność, litość ludzka. Obniżając coraz bardziéj i bardziéj skalę swych żądań, schodzi w końcu na szwaczkę w jakimś podejrzanym magazynie, gdzie, pracując od rana do nocy, zarabia tyle tylko, aby—nie zawsze miéć na suchy kawałek chleba; w téj nieustannéj pogoni za zarobkiem przechodzi męczarnie upokorzeń, otrzymuje oferty, które są dla niéj zniewagą, a kiedy w końcu, pragnąc ochronić godność swą, dochodzi do takiéj nędzy, że grozi jéj śmierć z głodu, kiedy dziecko jéj chore z wycieńczenia, a ona nie ma dla niego na lekarstwo: ta kobiéta czysta jak kryształ, która ucieka, jak z domu zarazy, z salonu dawnéj swéj przyjaciółki, którą życie zepchnęło w kałużę zepsucia, ta kobiéta kradnie w magazynie piéniądze i napiętnowana zostaje hańbiącém mianem złodziejki.

Pod względem artystycznego obrobienia powieść ta mogła przywieść do rozpaczy krytyków z powołania, poszukujących w utworach beletrystycznych symetryi, harmonii, układu: lecz śmiało twierdzić można, że żadna książka z tych, które się ukazały w ostatniéj ćwierci tego stulecia, nie sprawiły tak silnego wrażenia, nie wywołały tak żywego odgłosu wśród ogółu, jak ta ostatnia. Imię autorki, która pierwsza ukazała w całéj nagości nędzę kobiécego istnienia, znalazło się na ustach wszystkich tych, które cierpiały z powodów takich jak Marta, lub w głębi serc czuły potrzebę stanąć w szeregach bojownic pracy.

Trzeba albowiem uprzytomnić sobie chwilę i warunki, w jakich ukazała się powieść Orzeszkowej, aby zrozumiéć to wrażenie. Trzeba przypomniéć, że była to chwila, kiedy dla kobiét, równocześnie jak dla całego ogółu, warunki bytu uległy rdzennéj zmianie. Wyjście za mąż, już to z powodu braku młodych mężczyzn, już to z powodu trudności w zdobyciu bytu materyalnego, uniemożliwiających założenie rodziny, utrudnioném zostało; ze zmianą warunków pracy, które zaskoczyły ogół nieprzygotowany do tego, niedostatek dał się uczuwać tam, gdzie do téj pory panowała zamożność, a życie upływało wesoło i spokojnie.

A teraz proszę sobie wyobrazić w szlacheckim dworze rodzinę, złożoną z kilku córek. Gra na fortepianie, wyglądanie konkurenta, nie doprowadzi ich do niczego, niedostatek grozi, to siedzenie „na barkach i karku" ojca, którego praca nie może starczyć dla wszystkich, staje się coraz niedogodniejszém: jedna lub druga z tych dziewcząt zaczyna myśléć o sposobach wydobycia się z ciasnego koła, budzi się w niéj myśl o pracy samodzielnéj, czuje ją instynktowo, rozmawia

o tém ze swemi przyjaciółkami, roznamiętnia się; konserwatywne jéj otoczenie, złożone ze starszych osób, milczy w niepewności, zachowuje się sceptycznie względem nowych przekonań, lub walczy resztkami dawnych wyobrażeń, na mocy których praca zarobkowa uważana była za coś poniżającego dla córki szlacheckiego domu. — I oto w niepewności własnych uczuć i rozterce przekonań, młoda dziewczyna dostaje do rąk „Martę". Odczytuje ją chciwie, z zapartym oddechem, ze łzami w oczach i — już powzięła przekonanie: będzie walczyć tém śmieléj ze swojém otoczeniem, z „przesądami", ze zdaniem przeciwnych, bo czuje, że ma za sobą silne poparcie—w opinii autorki. — Jeżeli urocza, wykwintna postać Wacławy czyniła jéj ponętném „kapłaństwo" nauczania, wiedzy, to konsekwencye braku uzdolnienia do fachowéj pracy, przeprowadzone z całą ścisłością logiki, przeraża ją jako widmo groźnéj przeszłości.

Do całego tłumu młodych, pełnych sił i energii dziewcząt, dodajmy te kobiéty, które równie jak Marta spełniły swoje zadanie: zostały żonami i matkami i nagle—znalazły się bez dachu nad głową, lub kawałka chleba dla dzieci. A było takich dużo i przybywało ich coraz więcéj. Dodajmy daléj ten zastęp kobiét, w których duszy pod wpływem rozbudzonych idei i pojęć, zrodziło się rzeczywiście prawdziwe zamiłowanie nauki i wiedzy, a zrozumiemy, jakiemi szerokiemi kręgi roztoczył się wpływ autorki.

Nie poprzestając na przedstawieniu smutnego losu, będącego następstwem braku uzdolnienia do pracy, córki dworku szlacheckiego, jaką jest Marta, Orzeszkowa podejmuje ten sam przedmiot, z pewną monotonnością motywów, w losach młodéj dziewczyny z niższéj, urzędniczéj sfery.

Monika, ukochana jedynaczka, szczęśliwa narzeczona, traci na raz ojca i ukochanego, zostaje tak jak Marta sama, bez kawałka chleba i dachu nad głową; pragnie pracować, lecz nie posiadając żadnego uzdolnienia, schodzi na najniższego rzędu robotnicę.

Wstrząsającym jest obraz téj młodéj dziewczyny, kiedy, nie mając gdzie zwrócić swoich kroków, ani schronienia, gdzieby spocząć mogła, znękana daremném poszukiwaniem pracy, błąka się po ulicach ludnego miasta, powtarza do siebie, łamiąc ręce z rozpaczy:

— Nic nie umiem!

Autorka dodaje od siebie:

„Ileż na świecie młodych, wdzięcznych, dobrych dziewcząt staje tak każdego dnia na środku drogi ludnéj, z załamanemi rękoma patrzy na niebo, ziemię i otaczające domostwa, w których dla nich nie ma ani kąta, ani chleba! Niech o wielkiéj ilości dziewcząt, podobnie za-

łamujących ręce, myślą jak najczęściéj rodzice, których losy obdarzyły córkami, i—silni mężowie, dbali o świętą nienaruszalność słabości niewieściéj" („Na dnie sumienia").

W słowach tych, zwróconych bezpośrednio do obrońców dawnych tradycyi i dawnego porządku, ukazujących kobiécie jako jedyny i wyłączny cel ognisko domowe, czuć szyderstwo, ironię, tłumiony gniéw bojowniczki za sprawę niezależnéj pracy ogółu kobiét.

Podobnych zwrotów jest bardzo dużo rozsianych w dziełach autorki.

„Uczycie nas — mówi we wstępie do powieści „Marta" — że treścią naszego życia ma być miłość, zaparcie się siebie, macierzyństwo, wiara. Czémże się dzieje, że kobiéty wierzą, kochają, poświęcają się, hodują dzieci, a jednak jakoś źle się dzieje? Utrzymujecie, że kobiéty chorują moralnie i fizycznie, ponieważ brak im wielkiéj miłości? Nieba! czyż to sprawiedliwie? czyż całe życie kobiét nie jest nieustanną czcią, poświęconą bóżkowi Erosowi? Podlotkami marzymy o Adonisie, aby zstąpił z chmur i zaprowadził nas do ołtarza. Potém kochamy znowu—jeżeli nie kochamy, to kochać pragniemy, usychamy, suchot dostajemy, jędzami się stajemy z pragnienia kochania."

A z tego co mamy?

„Jedne z nas, otulone skrzydłami bożka miłości, przelatują przez całe życie uczciwie, cnotliwie i szczęśliwie; inne przecież liczniejsze, daleko liczniejsze, zakrwawionemi stopami chodzą po ziemi, walczą o chléb, o spokój, o cnotę, łzy lejąc obfite, cierpiąc straszliwie, grzesząc okrutnie, spadając w otchłanie wstydu, umiérając z głodu. — Recepta tedy, zamykająca się w słowie: kochajcie! nie na wszystkie służy choroby."

A zatém niech się kobiéty uczą nietylko kochać, ale i pracować.

Pracę kobiét zarobkową, jak już zaznaczyliśmy wyżéj, autorka pojmuje w znaczeniu praktycznem: nauczycielstwo i naukę rzemiosł. Wśród niewieścich kreacyi Orzeszkowej nie spotykamy się nigdzie z kobiétą uczoną, lub posiadającą dyplom uniwersytetu.

Jeżeli Wacława zostaje nauczycielką, Emilia zakłada warsztat introligatorski, to nie mniéj dzielną postacią jest Anna Sicińska, oddana gospodarskim domowym zajęciom, biegająca sama z koszykiem po zakupy do miasta, przygotowująca własnemi rękami obiad dla rodzeństwa; równie piękna jak młoda, poświęca się rodzinie i staje się wytrwałą pomocniczką brata w jego usiłowaniach wyprowadzenia na ludzi młodszego rodzeństwa („Rodzina Brochwiczów"). Natomiast uczona sawantka, któréj nie poznajemy nawet osobiście, tylko z opowiadania, pani Eufrozyna, która posiadała znajomość trzech umarłych języków,

studyowała astronomię, fizykę, geologię, chemię, fizyologię i dzieła encyklopedystów, nosiła czarną suknię, ciemne szkła na oczach, miała włosy krótko strzyżone i preparowała wątrobę z sowy, była dziwolągiem śmiesznym i cudacznym.

III.

Jak widzimy, dążnościom emancypacyjnym Orzeszkowej nie może nawet najskrajniejszy konserwatysta odmówić słuszności i umiarkowania. Skądże poszło, że od chwili wystąpienia jéj na arenę piśmiennictwa były głosy i to dość liczne, które wołały na alarm przeciwko jéj działalności autorskiéj, jako skrajnéj radykalistki, zmierzającéj do zburzenia nietykalnych podstaw, na których się opiéra społeczeństwo?

Niepokoju tego były rozliczne przyczyny.

Najpierw szmer niechęci dał się słyszéć wśród tych wszystkich spokojnych, a bezkrytycznych miłośników dawnych czasów, którzy nie zwykli zastanawiać się, co z przeszłości zachować należy na własność przyszłych pokoleń, a co odrzucić, jako nieodpowiednie do warunków i form wytworzonych rozwojem społecznym. Dla tych bezwzględnych konserwatystów, kobiéta wypowiadająca dążenia obce ogółowi do téj pory, stawala się tém samém zuchwałą nowatorką. Wprawdzie kobiety piszące trafiały się dawniéj, ale szły one zawsze za głosem tradycyi. Wprawdzie Żmichowska była podobno owiana duchem nowatorskim, ale ta pisała językiem tak poetycznym, że utwory jéj mało były dostępne szerszemu ogółowi, stąd wpływ ich dosyć ograniczony, mniéj szkodliwy. Inaczéj się rzecz miała z nową autorką, występującą w imię zasad postępu. Ta nie szuka w świecie fantazyi żywiołów dla swego natchnienia; bierze za przedmiot do powieści zdarzenia i fakty ze świata rzeczywistego, przedstawia ludzi i wypadki z codziennego życia, przemawia językiem zwyczajnym, w sposób dla każdego zrozumiały. Wszystkie kobiéty zacząwszy od dzierlatek, które ledwo pensye pokończyły i przestały nosić krótkie sukienki, wydzierają sobie jéj powieści i przejmując się głoszonemi w nich zasadami, stanowią żywioł niepokojący rodzinę i społeczeństwo.

A trzeba przyznać, że inne kwestye, które autorka poruszyla w swoich utworach, mogły bardziéj i z większą słusznością zaniepokoić umysły, przywykłe w każdéj nowości widziéć coś zatrważającego.

Młoda autorka w uwielbieniu swém dla wiedzy i prawdy, została tém samém wielbicielką nowéj filozofii, tak zwanéj pozytywnéj, któréj zasady głoszone na Zachodzie, upowszechniane były gorliwie wśród naszego społeczeństwa przez młodych adeptów i prasę postępową z „Przeglądem Tygodniowym" na czele. Postępowi, lub uczeni bohaterowie Orzeszkowéj czytają Moleschott'a, Büchnera, to jest wyobrazicieli kierunku, przeciwko którym, oprócz Darwina, zwracały się najsroższe groty obrońców dawnéj tradycyi i powagi. — Nawet ludzie zkądinąd światli, z niejakim niepokojem śledzili ten objaw w utworach wpływowéj autorki i stawali w rzędzie jéj przeciwników.

— Jakto kobiéta? Kobiéta występuje jako zwolenniczka myślicieli, szerzących ideje wręcz przeciwne tradycyom i podaniom uświęconym przez powagę kościoła?

Orzeszkowa nie staje wprawdzie jawnie i otwarcie w obronie tego kierunku, przeciwnie, zdawałoby się, że usiłuje ona wykazać możliwość pogodzenia wiary i wiedzy; dając w rękę jednemu z bohaterów dzieła wyklinanych filozofów, w tymże samym utworze wyprowadza na scenę księdza, postać zacną, prawdziwego kapłana, pełnego pobłażania, miłości ludzi i wyrozumiałości na ich usterki; przez jego usta wypowiada przekonanie, mogące być zarazem usprawiedliwieniem dla niéj.

Ksiądz Stanisław zastaje Lucyana nad Moleschottem. A kiedy doktór odzywa się żartobliwie, że całéj smoły piekielnéj mało jest na spalenie książki uczonego materyalisty, który wywodzi pochodzenie człowieka od kwasu węglowego, tlenu, wodoru i kilku kwasów ziemnych, odpowiada, że nikt nie zasługuje na potępienie, jakikolwiek jest kierunek jego umysłu, jeżeli tylko pracuje ze szczerém pragnieniem dobra i prawdy. („W klatce").

To zastawienie się zdaniem światłego kapłana nie zasłoniło autorki od niechęci ultra-klerykałów; spoglądano na nią z podejrzeniem, które trwało bardzo długo, spoglądano zaś tém gniewniéj, że w innych rzeczach tyczących się kultu, lub instytucyi kościoła, Orzeszkowa wypowiadała poglądy dosyć śmiało.

W powieści „Pan Graba" przedstawiając klasztor, który używał sławy wielkiéj świętobliwości u parafian, pyta:

„Jak żyli ludzie w murach tych zamknięci? nikt nie starał się badać. Mówiono, że modlili się ciągle i w istocie tak być musiało. Czy znali oni społeczność, od któréj dzieliła ich cisza grobowa? czy zdolni byli pojąć burze miotające ludźmi, sami bronili się zagrodą z murów? czy w sercach ich miłość dla bliźnich nie ustąpiła miejsca przed ekstatyczném uwielbieniem mieszkańców nieba?"

Rzeczywiście, kiedy kobiéta zbolała, oddana na pastwę wewnętrznéj rozterki uczuć, z powodu pożycia z człowiekiem najnikczemniejszym, udaje się po radę do o. Inocentego, którego głos ogólny uważa za świętego prawie, zamiast porady lub słów pociechy; ściąga na głowę swoją gromy za pychę i bunt przeciwko woli bożéj.

Powieść ta wyszła w 1869 roku.

Dziś odczytujemy podobne ustępy bez wrażenia, bo wydaje się nam, jak gdyby czasy i ludzie przedstawiane w téj powieści, istniały przed wiekami, ale proszę sobie wyobrazić wrażenie, jakie podobne zdania wywołać musiały w chwili, kiedy przybytki zakonne w świéżej jeszcze były pamięci, a wierni mieli sposobność przysłuchiwania się słowom takich ascetów jak o. Inocenty. Takie zdania, takie poglądy w przekonaniu pobożnych uchodziły za herezyę prawie.

W walce każdéj, a tém bardziéj prowadzonéj o zasady, nie bierze się w rachubę okoliczności, mogących wpłynąć łagodząco na wydanie wyroku potępiającego. Wiek przeciwnika, pobudki, wypływające z jego osobistych uczuć, rozdrażnienie stąd wynikające, które czyni go zapalczywym lub bezwzględnym, są uważane za nic. Opinia o Orzeszkowéj jako nowatorce i radykalistce zyskała jeden dowód więcéj, tém bardziéj że powieść, w któréj inkryminowane ustępy się znajdowały, z założenia swego godziła w zasadę, która do dnia dzisiejszego dzieli ogół na dwa obozy: jest to kwestya nierozerwalności małżeństwa.

Już w jednéj z poprzednich swoich powieści („Na prowincyi") przedstawia autorka losy młodziutkiego, wdzięcznego jak kwiatek dziewczęcia, które będąc ofiarą swego niedoświadczenia, zostaje żoną wypomadowanego lowelasa prowincyonalnego. Poznawszy swoją pomyłkę, że bożyszcze, które czciła na klęczkach, jest zwyczajnym klocem drzewa, opuszczona, zaniedbana, umiéra, umiéra ujrzawszy wielką miłość człowieka wyższego sercem i umysłem, który żyje cały poświęceniem dla niéj, a ona nie może mu odpłacić miłością za miłość, bo jest żoną innego. W chwili kiedy on patrzy na ukochaną kobietę konającą na jego rękach, mówi sobie z rozpaczą w duszy, że ona nie umarłaby i byłaby z nim szczęśliwą. „Ale kiedyś tam w kościele grały organy, i przed ołtarzem ksiądz wiązał stułą i czytał modlitwy."

W powieści „Pan Graba" kwestya nierozerwalności małżeństwa występuje na tle tragiczném i zdarzeń pełnych zgrozy. Autorka otoczyła kobietę będącą ofiarą niedobranego małżeństwa blaskiem takiéj wyższości moralnéj i umysłowéj, odmalowała tak żywo jéj cierpienie, walkę wewnętrzną, niezasłużone jéj poniżenie; tak czarnych farb użyła na odwzorowanie męża jéj, jako nikczemnika, szulera, łotra najgorszego gatunku, że sprzęgnięcie tych dwóch egzystencyj łańcuchem, który

śmierć tylko stargać może, wydaje się niesprawiedliwością, wołającą o pomstę do nieba.

Utwór ten był to nabój ciężkiego kalibru w walce nowatorek z konserwatystkami, dla których małżeństwo łączyło w sobie pojęcie nierozerwalnego związku, jako sakrament. Stronniczki zaś postępu coraz śmieléj występowały, jeżeli nie w czynie, to w utarczkach słownych i bądź co bądź umysły przyswajały sobie pojęcia, które wyłożone w formie poważnéj, nie byłyby przeniknęły do świadomości ogółu. Teraz autorka zaczęła już stanowczo uchodzić za skrajną radykalistkę, któréj, wobec głównéj winy, inne, mniejsze mogły być pominięte. Prawdopodobnie nie wzięto by jéj za złe przedstawiania w sposób tak ujemny, że aż zakrawały na karykaturę, postaci bigotek i pozornych świętoszek, co to z rękami złożonemi na piersiach, z oczami wzniesionemi w górę, z różańcem owiniętym na ręku, pozornie są zajęte tylko zbawieniem duszy, a w rzeczywistości czyhają pilnie na plotkę, roznoszenie skandalu i, szarpiąc bez litości sławę bliźniego, w gruncie posiadają przewrotną naturę, są kobietami najgorszemi, złemi żonami, niedbałemi gospodyniami domu i matkami, niewartemi własnych dzieci.

Typem takiéj świętoszki obłudnicy jest pani Kuderska w „Cnotliwych.” Ubrana czarno, słodka w mowie, mająca ciągle na ustach imię pańskie, aniołów i wszystkich świętych, dająca obfite jałmużny, gdy kto patrzy na nią, fukająca na ubogiego, gdy go spotka w cztéry oczy; zajęta nabożeństwem i zbawieniem duszy, nie dba o dom, ani rodzinę. Więc też dom staje się istném piekłem; mąż się rozpija z rozpaczy, z dzieci, synowie wychodzą na łobuzów i nicponiów, biją się między sobą, wykradają matce wino i wędliny, gdyż nie dbając o dzieci, które mrą z głodu, sama dba o siebie, zapija i zajada w sekrecie przed niemi, mówią o niéj stale „ona”, wygadują bez litości na własnych rodziców, a córka, dla uratowania w chorobie najmłodszego dziecka, żebrze litości u dobréj pani.

Taką samą obłudnicą jest piękna niegdyś hrabina Pompalińska („Pompalińscy”). Kierowana przez swego przewodnika duchownego, na ustach ma poddanie się woli bożéj, a w sercu pychę, dla któréj gotowa wszystko i wszystkich poświęcić, nawet młodszego syna, aby tylko wywyższyć ród Pompalińskich, z którymi połączenie uważa sobie za mezalians. Z zimną obojętnością depce serce syna, okazując przytém cały egoizm i cynizm swojéj natury, ale składa pobożnie ręce, wzdycha i ma minę ofiary cierpiącéj za grzechy świata.

W rzeczywistości Orzeszkowa występuje jako nieprzyjaciółka zewnętrznych form kultu, jeżeli ich nie ożywia duch miłości i zacnych czynów.

Pani Karliczowa, kokietka, kobiéta lekkich zasad, przybywała do kościoła, mając na ręku okręcony agatowy różaniec ze złotym krzyżem. W pokoju jéj stał klęcznik bogato rzeźbiony, wisiał obraz święty znakomitego pędzla, ustrojony w kwiaty i srebrne ozdoby; na szyi nosiła zawsze święcone skaplerze, nawet jadąc na bal, kładła je pod wygorsowaną suknię i kapelan co dzień odprawiał mszę w jéj ogrodowéj kaplicy; modliła się szczerze i z ekstazą do Matki Boskiéj i świętych, „ale modląc się do nich, potrzebowała koniecznie widziéć malowane ich twarze."

Postaci bigotek, świętoszek, fałszywych nabożniś nie były nowością w naszéj literaturze, wyprowadzali je w swoich utworach dawniejsi pisarze, kilka znakomitych tego rodzaju typów przekazał Kraszewski i Korzeniowski w swoich powieściach. Ale wypowiedzenie przez kobietę zdania tak bezwzględnego o „malowanych twarzach" świętych z obrazów musiało razić zbyt żarliwych ortodoksów, a jeden z nich woła zgorszony: „Dziwne to zjawisko piszącéj kobiety, w któréj utworach niewspomniane nawet imię Boga!"

Przeciwnie, jest Ono wspomniane, tylko w znaczeniu odmienném od przyjętego przez czcicielów formy: jest to Bóg, którego należy czcić miłością i czynem.

„Pamiętaj dziecię moje — mówi do przybranéj wnuczki sędziwa pani Starowolska, wzór matrony pełnéj poświęcenia i zaparcia siebie, która dla wspierania nieszczęśliwych i potrzebujących, spienięża rodzinne klejnoty—że najwyższém, wszystkie inne zamykającém w sobie przykazaniem Bożém, jest: Kochaj bliźniego twego i nie czyń mu krzywdy żadnéj, ani na sercu, ani na majątku, ani na sławie." („Cnotliwi").

Wiara pozbawiona dobrych uczynków i miłości, prowadzi zdaniem autorki albo do bezmyślnego praktykowania zewnętrznych form kultu, albo téż wiedzie do oschłego, wyziębiającego serce ascetyzmu.

Pani Orchowska, zatopiona w ascetyzmie, żyjąc dla nieba, przestała żyć dla ziemi i odczuwać uczucia ludzkie. Kiedy syn przybywa do niéj, zaklinając aby śpieszyła na ratunek córce, któréj grozi stoczenie się w przepaść hańby, ona znajduje dla niéj jedno tylko słowo: grzesznica!

„Przebaczajcie—woła z oburzeniem—przebaczajcie bluźniercom, niedowiarkom, jawnogrzesznikom! nurzajcie się wraz z nimi w otchłani złości i nieprawości, aż można prawica Pana ześle na was Swoje gromy, aż pod siarczystym deszczem Jéj pomsty spłonie, spopieleje obrzydły świat wasz, jak spłonęły niegdyś Sodoma i Gomora." („Eli Makower").

Gromami biblijnemi odpowiada na wezwanie o litość i przebaczenie dla córki; dla grzesznicy nie ma przebaczenia w tém wyziębłém przez ascetyzm sercu.

A zatém, jak widzimy, oprócz kwestyi prawa wolności do pracy kobiet, przychylność autorki dla kierunku filozofii pozytywnéj, pochodząca z jéj uwielbienia dla wiedzy i nauki, upowszechnienie przekonań o słuszności rozwodu, pewne uchybienia w rzeczach tyczących się zewnętrznych form kultu, zdecydowana niechęć przeciwko oschłemu ascetyzmowi: to były przyczyny, które zjednały autorce wśród pewnego odłamu społecznego imię nowatorki o skrajném odcieniu.

IV.

Lecz te są jedyne zarzuty, jakie przeciwnicy jéj uczynić mogą. W całym zresztą szeregu postulatów, jakie autorka przeprowadziła w swoich utworach, nie ma ani jednego, pod którymby się nie podpisał każdy z rozsądnych konserwatystów. Pierwszym z tych postulatów, na udowodnienie którego autorka użyła najwymowniejszych argumentów, jest konieczność podniesienia skali ogólnego wykształcenia kobiet.

Kobiéta powinna pracować nad wyrobieniem swoich zdolności umysłowych, usposobić się do życia czynnego z całą samowiedzą zadań społecznych i obowiązków obywatelskich, albowiem tylko taka kobieta potrafi sprostać działaniu męża-obywatela, jako dzielna, wytrwała jego pomocnica, tylko taka zaszczepi te myśli i uczucia w młode pokolenie, którego jest wychowawczynią.

Autorka ogromny wpływ przypisuje wychowaniu. Jest to według niéj jeden z najważniejszych czynników, działających na człowieka, decydujący najczęściéj o całéj jego przyszłości i wartości moralnéj.

Wszyscy bohaterowie, występujący w utworach Orzeszkowéj jako ludzie szlachetnych dążeń i obywatelskich czynów, mieli matki wyższego serca lub umysłu.

Hrabia Starski, zacny filantrop, mąż nauki, człowiek, którego całe życie jest poświęcone czynieniu jak najwięcéj dobrego drugim i pracy na niwie społecznéj, nadzwyczajną czcią otacza pamięć swéj matki i sam posiwiały, wspomina ze łzami imię téj, któréj zawdzięczał swe zasady i kierunek swego ducha. („Na dnie sumienia").

Natomiast lekkomyślność, próżniactwo, zdrożności najgorszego rodzaju są to prawie zawsze skutki złego wychowania, przykładów, jakie stawiano od dziecka człowiekowi, atmosfery domowéj, którą od-

dychał. Bo człowiek, według autorki, nie jest z natury złym; jeżeli zaś takim się staje, to winno temu głównie społeczeństwo, którego wytworem są sytuacye i położenia, gnębiące jednostkę, aby ją urobić nie na istotę myślącą, ale podług modły przyjętego zwyczaju i konwenansu; a potém stają się winnymi rodzice i wychowawcy, którzy nie starali się, lub nie umieli rozbudzić szlachetniejszych instynktów, jakie drzémią na dnie prawie każdéj duszy ludzkiéj, stawić przed oczy dziecka szerokich celów społecznych dać zamiłowania pracy; zagłuszyć tém co dobre, podniosłe, szlachetne, niskie i zwierzęce porywy natury człowieka.

Wielokrotnie wyprowadza autorka na scenę w utworach swoich ofiary zgubnego wychowania. W sposób przejmujący przedstawia ten ból, to szarpanie się wewnętrzne wobec obudzonéj samowiedzy celów życia z jego bezużytecznością.

Kalikst Graba, ten demon zepsucia i najczarniejszych instynktów, to, czém jest, zawdzięcza dawcom swego życia.

„Ojciec mój był magistrem prawdziwéj filozofii życia i użycia. Od lat szesnastu byłem towarzyszem rozrywek ojca, w które wtajemniczał mnie z rozkoszą"—mówi o swoim rodzicu. — Matka była kobieta lekkomyślna, elegantka i światowa; na wszystkie wybryki syna miała jedno tylko słowo: oj, ty figlarzu, figlarzu!

Brat Ryty, jedna z ofiar, które Kalikst Graba chwytał w swoje szpony, trawiony wyczerpaniem sił, szarpie się wobec widma grożącéj śmierci, myślą zmarnowanego bezcelowo życia. Chcąc go pokrzepić na duchu, siostra ukazuje mu cel pożytecznéj pracy. Na co odpowiada:

„Mówisz o pracy, a pomyśl co robił ojciec nasz? Bawił się przez całe życie. Co robi matka nasza? bawi się przez całe życie; jak chowano mnie? w ciągłéj zabawie. Co wkładano mi od dzieciństwa w serce? miłość blasku i próżności; do czego usposabiano moje siły? do próżniactwa."

Ale najwymowniejszą ilustracyą smutnych warunków domowego otoczenia to wstrząsający dramat, jaki się odegrał w losach młodego, bo niepełnoletniego Romana Kalińskiego. („Stracony").

Syn znanego domu szlacheckiego oskarżony zostaje o zabójstwo człowieka. Prawnik przybywa do celi więziennéj, aby go wybadać. Chłopak śmiały, pełen buty, zuchwały, szarpany jakąś walką wewnętrzną, jakimś bólem gwałtownym, który wybucha z niego już to nerwowemi porywami dobrego humoru, już przejmującym smutkiem, od razu budzi jego sympatyę. Doświadczone oko prawnika od razu przeniknęło całą tę naturę bujną, gorącą, w gruncie bardzo szlachetną, ale niepohamowaną, któréj nałożyć hamulca nie było komu ani czemu.

Ojciec jego nic nie robił, tylko jeździł i polował, matka nic nie robiła, tylko jeździła z wizytami szukać mężów dla dwóch swoich córek, brat szukał bogatéj żony. Wieść o grożącéj hańbie syna i brata budzi w nich gniéw przeciwko niemu, że ich skompromitował; nikt z rodziny, oprócz najmłodszéj siostry, która daje ukradkiem dla niego swoje oszczędności—nie chce go ani widziéć, ani uczynić jakichkolwiek starań w celu ocalenia go, i biédna ofiara smutnych stosunków domowych pozostaje skazańcem na całe życie, bo kara, która go czeka za zabójstwo, uczyni go tém, czém nie jest w gruncie rzeczy: występnym.

„Wielkie oburzenie człowieka i srogi gniew obywatela powstały we mnie—dodaje od siebie prawnik — ku tym bezrozumnym i występnym ludziom, którzy trawiąc cały czas swój na płochych igraszkach, zaślepieni przesądem, próżni wszelkiéj prawdziwéj wiedzy i wszelkiego wysokiego uczucia, nie potrafili zbadać i poznać natury syna swego, nie dali gruntu stopom jego, mocy sercu, światła umysłowi, hamulca i kierunku namiętnościom. Byli to bezwiedni zbrodniarze, bez woli i zamiaru zabijający człowieka, zdrajcy kraju, odbierający mu dzielnego może syna jego.” Ale jeżeli winna tutaj jest rodzina, nie mniejsza odpowiedzialność ciąży na społeczności. Bo skoro jednostki bezrozumne bywają i ułomne, dlaczego wielka, zbiorowa istota, społeczność, nie naprawia zrządzonych przezeń pobłądzeń i szkód, ale owszem utrwala je i unieśmiertelnia? Dlaczego w zastępstwie rodzicielskich domów, które nie potrafiły lub nie chciały stać się dla synów swych siłą kształcącą rozumnie i prawidłowo, społeczność nie wystawia dla okaleczonych członków swych miejsc napełnionych uzdrawiającą mocą oświaty, wzmacniającym i oczyszczającym zmysłem pracy i moralności? Dlaczego zamiast narzędzi poprawy i odtworzenia, ustawy i instytucye karne posługują się dotąd jeszcze narzędziami męczarni i unicestwienia?”

W zapatrywaniach tych młodéj wówczas autorki znać odbicie idei, które płynąc z Zachodu coraz daléj i daléj, przeniknęły nawet najwyższe, miarodajne sfery i spowodowały w następstwie cały szereg zmian w duchu humanitarnym w systemie więziennym i poprawczym.

Idea odpowiedzialności społecznéj za dobro moralne, a nawet materyalne jednostki utrzymuje się dotąd, a nawet zyskuje na sile wśród niektórych odłamów społecznych i politycznych, działających już to w duchu czysto religijnym, już to skrajno-postępowym: w naszém społeczeństwie nie mając wcale gruntu ni podstawy dla przybrania cech barwy stronniczéj lub politycznéj, występuje jedynie jako idea humanitarna i tém łacniéj ogarnia umysły szlachetne i rozentuzyazmowane.

Jeżeli złe, nieumiejętne lub zdrożne wychowanie czyni ofiarę z mężczyzny, łamie mu przyszłość lub życie: odbija się ono równie fatalnie na losach kobiéty. Owe dziewczęta chowane w niewoli konwenansu, ochraniane sztucznemi zaporami od świata i spraw jego, których poznanie mogłoby z ich duszy zetrzéć puszek dziewiczości, trzymane w nieświadomości warunków życia: przy zetknięciu z rzeczywistością padają ofiarą swego niedoświadczenia, a niekiedy staczają się bezwiednie w otchłań hańby.

Żaneta Brochwiczówna jest wychowywana przez matkę według wszelkich zasad dobrego tonu i anielskiéj niewinności. Wychowaniem tłumiono w niéj wszelki objaw woli, samodzielnéj myśli lub uczucia; wodzono ją jak dziecko na pasku, chroniąc od wszystkiego, co w zrozumieniu światowém nie wypada dla młodéj, dobrze urodzonéj panny. Więc uchodziła w przekonaniu otoczenia z salonu matki za anioła niewinności ze spuszczonemi oczami. — Tymczasem gwałcona jéj natura sztucznemi więzy konwenansu i formy, zemściła się, znajdując tajemne ujście dla instynktów, którym przez wychowanie nie nadano właściwego kierunku. Zmuszona kryć w sobie wszelkie myśli i uczucia, jako objawy nie odpowiadające przepisom konwenansu, trawiona tém silniéj wewnętrznym niepokojem i ciekawością, rozpala się wyobraźnią do miłosnych historyi staréj romansowéj czeczotki, nieświadoma rzeczywistych warunków życiowych, nie znając świata ni ludzi, pozwala się obałamucić wędrownemu artyście, noszącemu miano Roman Gotard Wąsikowski, lichéj, nędznéj karykaturze natchnionego mistrza, daje mu się wykraść, zostaje niewolnicą człowieka bez żadnéj wartości moralnéj i pozwala mu się tyranizować bez oporu. Oto patrzcie! — zdaje się mówić autorka — co znaczą te anioły, które trzymają spuszczone oczy, aby nie widziéć zdrożności tego świata. Tracą zdolność widzenia i nie zdołają odróżnić tego co złe od dobrego, najczęściéj biorą jedno za drugie.

Taką samą ofiarą nieświadomości i tłumionych sztucznie instynktów — jak w tym wypadku to suchym ascetyzmem matki — jest Lili Orchowska w „Elim Makowerze.” Jak Żaneta daje się obałamucić wielkością geniuszu Romana Gotarda Wąsikowskiego, tak Lili staje się ofiarą pięknych frazesów łotra najgorszego gatunku, ucieka od męża, oddaje się człowiekowi bez zasad i wartości, a kiedy traf w sposób brutalny odkrywa jéj całą moralną nicość człowieka, dla którego poświęciła wszystko, honor, godność kobiéty, ucieka od niego i umiéra w gorączce, na pół obłąkana w szpitalu.

Obiedwie one, tak Żaneta jak Lili, są ofiary, za które odpowie-

działnemi czynić należy matki, te kobiety nieuzdolnione do swego powołania odpowiedniém rozwinięciem uczuć i myśli.

Cały szereg tych kobiét, tych nieudolnych lub szkodliwych wychowawczyń pokolenia przeciąga w utworach Orzeszkowéj, przed oczami czytelnika, w postaciach nieco skarykaturowanych, tak tłumiony gniéw i oburzenie autorki odbija na nich. Więc na czele postępuje pani prezesowa, matka klasycznie pięknéj Kornelki, lalki salonowéj, która złamała serce zacnego, szlachetnego człowieka, doprowadziwszy go poprzednio do ołtarza powabem pięknéj swéj twarzy. Pani prezesowa bardzo wdzięczna, bardzo słodka staruszka, ma na ustach nieustannie: „luby aniołku", „luba kochaneczko". Miła, luba osoba w salonie, tylko niech nikt na nią nie patrzy, a jeszcze bardziéj niech jéj nikt nie słyszy, kiedy w watowanym, zatłuszczonym szlafroku, z rozwiązanemi końcami czépka, kłóci się zajadle z córką, wymawiając jéj, że nie umié ocenić jéj wysiłków, podjętych w celu ułatwienia jéj wyjścia za mąż. Uczucie, przywiązanie, to wszystko głupstwo: stanowisko przyszłego męża, wygody, jakie żonie może zapewnić, to grunt! („Wesoła teorya, a smutna praktyka").

Za panią prezesową podąża drobnym kroczkiem roztrzpiotanéj, wiecznie młodéj elegantki, pani szambelanowa z „Pana Graby." Bawić się, doznawać wrażeń estetycznych w sklepie galanteryi lub magazynie mód, to jedyne zadanie téj pełnéj czułości, światowéj damy, która wiecznie zajęta, wiecznie pełna wzruszenia, gubi po drodze wszystko: wykrzyki zachwytu, parasolki, zarękawki i chustki do nosa. A kiedy dowiadując się o utracie syna, woła z wybuchem spazmów: co się to stało? — Ryta odpowiada jéj tak samo, jak odpowiadała na pytanie o wszystkie jéj poprzednie zguby: *Vous l'avez perdu, maman.*—W tym ptasim mózgu wrażenie po stracie syna minie, nie pozostawiając głębszego śladu, aniżeli wrażenia wywoływane przez drobnostki i fatałaszki. („Pan Graba").

Poza temi dwiema biegnie z rozmachem szanowna pani Suszycowa, jejmość o tęgiéj pięści, donośnym głosie, cudackim koku na głowie, z piersią opancerzoną w kirys ze stalowemi guzikami. Usiłowaniem téj dzielnéj niewiasty jest złapać męża dla trzech cór swoich, które wychowuje na obraz i podobieństwo własne, to jest na próżniaczki zajęte od rana do nocy przystrajaniem, lub mówiąc właściwie, oszpecaniem swoich postaci, uklejaniem niemożliwych fryzur na głowach i kłótniami wzajemnemi, które napełniając cały dom, czynią z niego piekło.

Dosyć ich mamy, choć to dopiéro początek szeregu tych gorliwych matek o dobro rodziny. Jest ich wiele w powieściach Orzeszko-

wéj i są one w pewnych zasadniczych rysach bliźniaczo do siebie podobne. Wybraliśmy z nich główne, są to: albo płoche, lekkie kobiéty, nie mające pojęcia o obowiązkach, włożonych na nie przez macierzyństwo; albo kobiéty, u których utarte formułki, zwyczaj, konwenans zastępuje myśl samodzielną; lub też ograniczone umysłowo przekupki, bez względu na zajmowane stanowisko i położenie w świecie, ubiegające się o dobre sprzedanie na rynku małżeńskim wdzięków córek.

Sam instynkt serca, ślepe przywiązanie, nie rozjaśnione odblaskiem światłéj myśli, wyrobionego rozsądku, nie wystarcza do wychowania dziecka, przeciwnie, staje się powodem raczéj nieszczęścia lub zguby.

Taką ofiarą bezrozumnéj miłości macierzyńskiéj staje się pani Liska. Jest ona niewolnicą swego przywiązania dla syna. Znosi od niego najgorsze obejście, dręczy się jego złemi postępkami, zamartwia się, ale znajduje dla nich zawsze usprawiedliwienie. Moryś gra w szynkowni w bilard, matka dowiaduje się o tém, chce iść za nim, lecz nie śmié. „Rozgniewa się — szepcze do siebie — powié, że szpieguję go, dręczę, życie mu zatruwam. Biedne dziecko! smutne życie ma, to prawda! Lepiéj może jutro powiem... uklęknę przed nim... błagać będę”. („Sylwek Cmentarnik”).

Dowody poświęcenia, zaparcia się matki syn przyjmuje jako coś zupełnie naturalnego i należnego sobie. On, ofiara losu, ponieważ nie może tak używać jak bogacze świata. Tyranizuje matkę, obrzuca ją wyrzutami, nie daje jéj dobrego słowa, a ona znosi to wszystko w pokorze zaślepionéj miłości macierzyńskiéj. — Ta matka jest tak bezrozumna, tak niedołężna w swém przywiązaniu, iż nie budzi nawet współczucia dla siebie.

Wogóle smutno, bardzo smutno wygląda rodzina w powieściach Orzeszkowéj. Wbrew poprzedniczkom swoim w zawodzie autorskim, idealizującym zazwyczaj życie rodzinne, Orzeszkowa przedstawia życie to wszędzie prawie jako antytezę tego czém być powinno. — A nie wypływa to u niéj z pesymizmu, tego uczucia zniechęcenia, które każe człowiekowi widziéć wszędzie samo złe, nie dozwalając wierzyć, aby mogło być lepiéj. Przeciwnie, malując złe, autorka wskazuje jako przeciwdziałanie: udoskonalenie moralne i umysłowe przyszłych wychowawców pokolenia. Niech małżeństwo nie będzie targiem więcéj dającego, niech go nie kojarzy lekkomyślność, zmysłowość, próżność lub konwenans: niech będzie związkiem nie tylko dwóch serc ale dwóch dusz rozumiejących się wzajemnie, mających jednakowe cele, dążności, pojęcie obowiązków rodzinnych i społecznych.

Czy wielkiéj téj zasadzie można odmówić słuszności?

V.

Wykazawszy szkodliwy wpływ na rodzinę, a zatém pośrednio i na społeczeństwo matek, które nie mają wyrobionego poczucia doniosłości obowiązków rodzinnych i obywatelskich, autorka ukazuje na różnych stopniach położenia i stanowiska te kobiéty, w których za pomocą wychowania nie rozwinięto umysłu, dążnościom nie wskazano celów wyższych i szlachetniejszych, nie wpojono zamiłowania pracy. Dla zagłuszenia wewnętrznéj pustki jedne z nich rzucają się w wir zabaw, płochych, czczych, a niekiedy rujnujących rozrywek; inne szukają zaspokojenia w strojach, w bigoteryi, odurzają się chimerami własnéj wyobraźni, narkotykiem pożądań erotycznych, a nieświadome warunków rzeczywistego życia, stają się bez własnéj woli i chęci przyczyną niezliczonych nieszczęść.

Pani Klotylda Warska jest kobiétą niepospolitą; ma dobre, szlachetne porywy, ale naturę ognistą, która nieujęta w karby, unosi ją na manowce. Odczuwa ona całą pustkę i czczość życia, wzdryga się na swoje postępki, ale pod wrażeniem chwili rzuca się na oślep za tém, czém się niedawno brzydziła. Ta walka wewnętrzna nie daje jéj spokoju, łzy jéj z oczu wyciska, każe jéj tęsknić za dniami najwcześniejszéj młodości, kiedy serce jéj biło za tém, co dobre i szlachetne. Nie mając wyrobionych sił ani woli dla przeciwstawienia lepszych instynktów swéj natury prądowi, który ją unosi, gubi cudze szczęście i własne, stając się przyczyną śmierci szlachetnego człowieka, którego kochała. („W klatce").

Piękna Ewa Dembielińska, kobiéta, która wśród pokus świata umiała przejść czysta i nieskalana, odpycha od siebie mężczyznę, którego kocha, w obawie przed ubóstwem, bo przepych i komfort to warunki egzystencyi, bez których nie pojmuje życia, to jest nie pojmuje, że poza salonem wysłanym miękkiemi dywanami istnieje inne życie, i że mogą być w niém jakieś wyższe cele. Człowieka tego popycha pośrednio do popełnienia występku, obudziwszy w nim to przekonanie, że bez majątku nic nie znaczy praca i talent, sama zaś zostaje żoną hrabiego Horskiego, poważnego myśliciela, zacnego filantropa, a nie rozumiejąc jego celów ni zadań, zawodzi serce człowieka, który położył w niéj całą wiarę. („Na dnie sumienia").

Próżniactwo, brak zamiłowania do jakiejkolwiek użytecznéj pracy wytwarza znów inny typ kobiét: męczenniczek, niezrozumianych ofiar. Kobiéty te, których nie nauczono oceniać świat i życie według rzeczywistéj jego wartości, przebywają w jakiéjś urojonéj krainie, do

któréj wznoszenia dostarcza im materyału szkodliwa lektura niedorzecznych romansów. One czują się do czegoś wyższego stworzone, jakże mogą wyżyć w tym świecie pełnym brudnéj prozy? Więc na skrzydłach wyobraźni unoszą się w sfery estetyczne, nie dbając co się dzieje na ziemi.

Taką niezrozumianą ofiarą jest pani Helena Szarska („Sylwek Cmentarnik"). Rozegzaltowana, z nerwami rozstrojonemi, od rana do nocy zatapia się w czytaniu romansów.

Cała to moja przyjemność, całe to moje szczęście—spowiada się przed swoją znajomą—i cała pociecha w tém smutném życiu! Co ja bym nieszczęsna poczęła, gdybym jeszcze tych moich kochanych książek nie miała, gdybym się niemi nie upajała, gdyby mnie one w lepsze, promienniejsze światy nie unosiły. Nie uwierzysz, jakiéj rozkoszy doznaję, gdy imaginacyą przynajmniéj unoszę się w krainy miłości i zachwytów, w świat elegancyi, salonów, rycerzy, hrabiów i książąt".

Mąż, dzieci, jako przedmioty poziome, nie obchodzą téj eterycznéj istoty. Mąż zrozpaczony, nie mając żadnéj pociechy w domu, pije i przepędza całe dni w szynku, synowie, pociągnięci przykładem swych towarzyszów, uczą się kraść, córeczka, prześliczne pięcioletnie dziecko chowa się na śmietniku; pewnego dnia przyjaciel małéj, katarynkarz, przynosi ją uśpioną z szynku, gdzie włóczyła się za ojcem i gdzie ją spojono.

Duszą siostrzaną pani Heleny Szarskiéj jest pani Emilia Korczyńska („Nad Niemnem"). Mąż, aby utrzymać dla dzieci odziedziczoną ziemię, pracuje krwawo, wyrzekając się przyjemności, rozrywek nawet umysłowych, zamienia się w maszynę roboczą. Natomiast pani tworzy sobie świat własny. Za procent, który mąż jéj od posagowéj sumy wypłaca, utrzymuje atomsferę idealną w swoim buduarze, a kiedy on oblewa się potem w nadludzkich wysiłkach dla téj ziemi, do której przyrósł całém sercem, pani z cichém westchnieniem ofiary marzy o wyższych pięknościach życia. Cicha, łagodna, osłabiona, nieszczęśliwa, po całych dniach przysłuchuje się romansom, które każe sobie odczytywać Tereni, romantycznéj swojéj lektorce, zachwyca się opisami dalekich krajów, Egiptem i Eskimosami, i wzdycha do tych czasów, kiedy księżniczki kochały się w pięknych markizach, pełnych galanteryi, nie takich wołach roboczych, jakich okaz jéj mąż przedstawiał.

Pani Emma Żyrewiczowa gardzi również pospolitością, wzdycha do czegoś... czegoś... do braterstwa duszy, do miłości wielkiéj, niewysłowionéj. Uważa się także za ofiarę, grywa na fortepianie, śpiéwa sentymentalne piosenki, rumieni się za córkę, ordynarną naturę, mającą upodobanie w prostéj, grubéj pracy; natomiast rozczula się nad ku-

zynkiem, w którym odczuwa bratnią duszę, nie domyślając się, że uczucie jéj dla niego to namiętność podstarzałéj kobiéty do młodego mężczyzny. Powierza mu ostatni fundusz, będący zarazem posagiem jéj córki i niszczy szczęście téj biednéj dziewczyny, nie pozwalając jéj wyjść za człowieka uczciwego, ale rzekomo niższego od niéj położeniem społeczném i towarzyskiém („Zefirek").

Złe, jakie kobiéty ograniczone, sentymentalne a niepraktyczne wyrządzają, jest nieograniczone. Nie wierzcie w ich egzaltacye, ich sentymentalne frazesy, ich czułości i idealne aspiracye. Drapują się one w tę piękną zasłonę, utkaną z promieni słonecznych i pajęczyny, jak inne w modne okrycia od Wortha. — Tak czuło wzniosła pani Przyborska („Szara dola") usta ma pełne najpiękniejszych frazesów, ulatuje myślą w krainę duchów, zachwyca się szczęściem mieszkańców Jowisza, wykazuje bardzo tkliwe serce i — zupełną nieznajomość interesów. Ale to tkliwe serce pozwala jéj znieść, że taki biédny Żminda, którego podszedł jéj synek, wydzierając mu grosz ostatni, wychodzi o kiju żebraczym, bo czuła dama nie chce poświęcić dla ocalenia go ani kilkuset rubli, ani jednego z kosztownych przedmiotów, którego wartość ocaliłaby go od nędzy.

A ta dobra pani, ta czuła opiekunka siérot, przybrana mama biednéj dzieciny, któréj zachwycona wdziękiem, bierze ją od jéj opiekunów, ubogich stróżów. Pieści dziecko, stroi, uczy francuskiego szczebiotu, wyjeżdża z nią do Włoch, a w końcu znudzona rolą czułéj matki, odsyła ją do garderoby, następnie do dawnych jéj opiekunów. Biédne dziecko, które się przywiązało wszystkiemi siłami swéj młodéj duszyczki do „dobréj pani", nie może zrozumiéć, co się stało? Zamiéra powoli w atmosferze nędzy i brutalstwa, od którego odwykło, lecz ciągle oczekuje, ciągle się spodziéwa. Czyż uczyniło co złego, aby nie miało już nigdy ujrzeć swéj dawnéj, dobréj mamy? W końcu nie mogąc przezwyciężyć tęsknoty, biegnie pod okna jéj domu: może wróciła? może ją ujrzy przez szybę? i kona, jak wygnany pies, za oknem.

Patrzcie! oto wasze idealne anioły, z których nie uczyniliście ludzi, w których głowach nie ciąży ani odrobina niepotrzebnéj dla kobiét wiedzy; oto wasze tkliwe, czułe, pełne dobrego serca i idealnych aspiracyi kobiéty — zdaje się mówić do społeczeństwa autorka. Widzicie je w różnym wieku, w rozmaitych odmianach i na rozmaitych szczeblach drabiny społecznéj: czy czujecie się niemi bardzo zachwyceni?

VI.

Jeżeli Orzeszkowa tak dosadnemi rysami skréśliła sylwetki ujemne kobiét, że aż niekiedy przechodzą w karykaturę, należy zapytać: jaki jest typ dodatni kobiéty w jéj utworach?

Jest to typ, który, będąc wyrazem konkretnym zalet i przymiotów, jakie właściwości plemienne, rozwój społeczny i dziejowy, zarówno jak obyczaj wyrobiły w charakterze naszych kobiét, został obrobiony przez autorkę odpowiednio do pojęć, jakie pragnęła zaszczepić wśród ogółu.

Główną cechą bohatérek Orzeszkowej, to niestrudzona pracowitość w połączeniu z podniosłością umysłu lub serca.

Autorka tak nienawidzi próżniactwa, w jakiéjkolwiek przejawia się ono formie, czy to jako dyletantyzm artystyczny lub umysłowy, czy to jako czcze zabijanie czasu na pozorném zajęciu się fraszkami, — że bohatérki jéj są literalnie zapracowane. Żadnego rodzaju pracy nie uważają one za nieprzyjemny lub nieodpowiedni dla siebie. Krzątają się w domowém zajęciu, chodzą same do miasta po zakupy, pilnują śpiżarni, uczą dzieci, dają lekcye. Umysłem i sercem sięgają daleko, ale ręce ich są ciągle, nieustannie zajęte. Nie ma ani jednéj pośród nich, któraby nie pracowała mozolnie, a jeżeli w pierwszych utworach autorki niezbędnym pierwiastkiem, podnoszącym kobiétę, jest umysł wykształcony i myślący, to w późniejszych chociaż nie traci on nic ze swego znaczenia, nie staje się jednak warunkiem koniecznym.

W jednym z początkowych swoich utworów przedstawia Orzeszkowa kobiétę, u któréj troska i zachód około utrzymania bytu pochłania wyłącznie wszystkie władze duchowe, jako istotę małoduszną i upośledzoną. Pani Snopińska, któréj całe życie wypełniało zajęcie przy gospodarstwie, „nieokraszone ani jedną szczyptą poezyi, nieogrzane ani jednym promieniem szerszéj, ogólniejszéj myśli, na któréj twarzy séry, masło i mąka wypiętnowały prozaiczną i oschłą cechę, wyglądała w swoim wąskim, ciemnym szlafroku i swoim czépku na rudych włosach tak, jakby wnet zamienić się miała w długi, zardzewiały i zgrzytający w zamku klucz do śpiżarni" („Na prowincyi").

Jakże odmiennie przedstawia Orzeszkowa nieco późniéj w jednéj z najlepszych swoich powieści („Nad Niemnem") aż dwa typy: pannę Martę i panią Kirłłową, tych zapracowanych kobiét, których życie nie ozłocone było żadną szczyptą poezyi, żadną szerszą myślą, a schodziło na równie prozaicznych zachodach gospodarskich.

Kobiéty Orzeszkowej bardzo mało, lub wcale nic nie zajmują się sztukami pięknemi.

Jeżeli w jednym z początkowych swoich utworów przedstawiła bohatérkę, która z artyzmem uprawia grę na fortepianie, (Wanda w „Cnotliwych"), to — proszę ten rys zauważyć — jest to jeden jedyny typ z jéj powieści. Jeżeli bohatérki Orzeszkowej mają poczucie piękna, jeżeli poezya i sztuka budzi w duszy ich odpowiednie tony, to są to uczucia, na które—że tak powiem—pozwalają sobie w chwilach odświętnych, wolnych od zajęcia: codziennym trybem ich życia jest tylko praca.

Dla tych samych powodów, z poczucia szkodliwości, jaką dla rodziny, a względnie dla ogółu powoduje zamiłowanie w strojach: bohatérki Orzeszkowej odznaczają się nadzwyczajną prostotą i skromnością w swéj powierzchowności.

„Dobre, młode dziewczę — pomyślałem — (kréśli uczucia swoje prawnik odnośnie do téj, która sama jedna z całéj rodziny okazała przywiązanie dla nieszczęśliwego brata), serce twoje zasługuje na to, aby głowa nie nosiła na sobie fury siana, zlepionego pomadą... Serce twoje zasługuje na to, abyś z dwoma warkoczami, owiniętemi nad dziewiczém czołem, z myślą wzniesioną wysoko i okiem nieprzysłonioném niczém, szukała dla siebie po świecie trudnych dróg obowiązków i wzniosłych szczytów szlachetnego szczęścia. Niestety! zadziwiająca koafiura przytłoczy w głowie twojéj wszelką myśl, którąby powstać w niéj chciała" („Stracony").

Autorka nie ma dosyć sarkazmu dla przesadzonych strojów i fryzury. Wystrojone panny Suszycówny ze swoją matką wyglądają karykaturalnie śmiesznie.

Kobiétom Orzeszkowej jeżeli natura nie odmówiła wdzięku, to jednak największą siłę ich piękności stanowi piękno duszy, odbijające w spojrzeniu myśl leżącą na ich czole.

Namiętność jest im obcą zupełnie. Nie są one zdolne do żadnego z tych gwałtownych uniesień miłosnych, którą owładnięta kobiéta odważy się stargać wszelkie nałożone sobie więzy. One nawet nie przypuszczają myśli o możliwości takiego czynu. Jeżeli serce ich uderzy uczuciem wzbronioném, w walce z niém przywołują na pomoc obowiązek i wychodzą zawsze zwycięsko.

Typem kobiéty tego rodzaju jest Marya w powieści pod tym tytułem. Młodą dzieweczką pokochała przelotnie człowieka, z którym rozstać się niebawem musiała. Potém wyszła za mąż za człowieka zacnego, dla charakteru którego czuła szacunek, starszego znacznie od siebie, nierównego jéj wykształceniem, a w dodatku wdowca. Zosta-

wała jego żoną z mocném postanowieniem spełnienia swego obowiązku. I dotrzymała słowa. Dzieci jego przyjęła za swoje, pracowała nad rozwinięciem ich fizyczném i umysłowém, była dobrym duchem rodziny i domu swego męża, jéj wpływ dobroczynny rozciągał się na licznych pracowników, którym mąż jéj, jako przemysłowiec, dawał chléb i zatrudnienie. Wśród téj dobroczynnéj działalności zjawia się ten, którego dzieweczka kochała, człowiek, którego charakter, dążności, wyobrażenia stanowią z jéj własnemi zupełną harmonię. Z tych wspólnych dążności i celów wykwita kwiat najwspanialszy miłości. On poddaje się uczuciu, z którego czerpie niewypowiedziane szczęście: ona walczy, doznaje chwilami wahań, buntów, niepewności, w końcu zwycięża siebie i odrzuca miłość, którą on jéj ofiaruje, wymawiając słowo: rozwód. Nie, nie zawiedzie człowieka, który okazuje jéj zupełną ufność i wiarę, nie opuści dzieci, którym zastępuje matkę, nie porzuci domu, gdzie tyle ludzi za jéj staraniem znajduje nietylko chléb, ale kierunek moralny („Marya").

Wanda pokochała człowieka żonatego, przykutego do kobiéty staréj, złéj jak jędza i choréj, zniewolona jego wyższością duchową. A jednak stosunek ten — gdyż wyznają sobie wzajemną miłość — tak drastyczny ze swéj natury, autorka przedstawia tak idealnie, tak, rzec można, sielankowo, iż staje się aż—budującym („Cnotliwi").

Wogóle Orzeszkowa nie ma ani jednéj żywéj farby na swojéj palecie dla odmalowania uczucia miłości. Nadaremnie szukalibyśmy tutaj jakiegokolwiek żywszego poruszenia namiętności, które objawiłoby się samo przez się, przemówiło własnym językiem. Jeżeli w „*Bene Nati*" Salusia chce się topić, zawiedziona w miłości, to widzimy tylko historyę uczucia, języka namiętności nie słyszeliśmy wcale. Nie słyszeliśmy, bo go nie ma w żadnym utworze Orzeszkowej. U niéj kobiéty kochają sercem, nie zmysłami. „Przy słowie kochaj, powinno stać: myśl" — poucza autorka. Ale téż jeżeli kobiéta taka pokocha człowieka godnego jéj miłości, to trwale i na zawsze; staje się wierną przyjaciółką męża, wytrwale i mężnie stoi u jego boku, dzieli jego prace, dodaje męstwa i odwagi w przeciwnościach, ciosy, które uderzają w niego, pomaga mu znosić wspólnemi siłami; posiada ona wytrwałość, siłę i energię męską z dodatkiem tkliwości kobiecéj.

Taka Krystyna Dembielińska poślubia w więzieniu swego narzeczonego, który sam się oddał w ręce sprawiedliwości, aby odpokutować popełniony niegdyś występek („Na dnie sumienia").

Jeżeli Mieczysław Orchowski ocala majątek zachwiany, to zarówno w tém jego zasługa, jak jego żony, która przejęta wspólną z mę-

żem dążnością i zasadami, umiała w trudném położeniu wytrwać na stanowisku i zachęcić męża do wytrwałości.

Natomiast nic karykaturalniejszego, nic śmieszniejszego jak te romantyczne heroiny, dla których miłość stała się alfą i omegą żywota.

Klotylda, sentymentalna dziewica już nie pierwszéj młodości, ma serce tak gorące, iż gotowe ono pałać nieustająco gwałtownym jak wulkan płomieniem. Zakochała się w subiekcie ze sklepu swego brata, znacznie młodszym od siebie, i gotowa dla niego poświęcić wszystko. Napróżno jéj przekładają, że to człowiek małéj wartości, lichy, że żeni się z nią, aby złapać jéj posag i stracić go następnie. Wszystko to napróżno. Na wszystkie perswazye i przełożenia ma tylko jedną odpowiédź, kiedy ja go kocham! („Marya").

Ciocia Rózia znów w rodzinie Brochwiczów — to śmieszna, stara dzierlatka, z farbowanym warkoczykiem nad czołem, umalowanemi brwiami, młodzieńczym rumieńcem i wieczną fluksyą w twarzy, nieustannie szczebiocząca o swoich dawnych sukcesach, miłosnych awanturach i romantycznych przygodach. Bezmyślna papuga, skrzecząca na wszystkie tony i głosy: miłość! miłość! ograna katarynka, rzępoląca czułe arye aż do ckliwości.

Co za kontrast z tą sroką skrzeczącą bezustanku miłosne androny stanowi taka Marta, stara panna, uboga krewna, żyjąca rzekomo na łasce pana Benedykta Korczyńskiego, a która w rzeczywistości jest duchem ładu i porządku w jego domu i najdzielniejszą pracownicą. Wiecznie zajęta, wiecznie zapracowana, dręczona kaszlem, który w chwilach zmęczenia lub silniejszych wzruszeń tchu ją pozbawia, zaniedbana, w pantoflach, aby jéj było lżéj biegać, nie ma spoczynku jednéj minuty. Nikt jéj nie nagli, nikt od niéj nie wymaga tego wysiłku, który odbiéra jéj zdrowie, ona sama przyjęła ten ciężar na swoje barki i jeszcze jéj się zdaje, że robi za mało, że jest bezużytecznym gratem na świecie.

Podobnym typem i w téjże saméj powieści („Nad Niemnem"), a znakomicie odtworzonym z natury, jest pani Kirłłowa. Niegdyś panna z dobrego domu, otrzymała wychowanie jak większość córek obywatelskich, polegające na dobrych manierach, francuzczyznie i grze na fortepianie. Zaskoczona nagłą zmianą losu skutkiem wielkiéj burzy, stanęła do walki o kęs chleba dla dzieci i nie znajdując pomocy w mężu, przyjemnym hulace i wytwornym pieczeniarzu, któremu życie schodziło na włóczeniu się od kominka do kominka, wzięła na wątłe swoje barki cały ciężar zabiegów w walce o byt. Z wykwintnéj, eleganckiéj damy przemieniła się w gospodynię, klucznicę i szafarkę.

Biegając, doglądając, kłócąc się ze służbą, nabyła gminnego przyzwyczajenia podnoszenia głosu i przygrubszych manier, ale w duszy jest to kobiéta dziecięco naiwna i przejrzyście czysta. Gdy jéj przyjdzie z konieczności mówić o czémś, co w jéj pojęciu obraża skromność, rumieni się jak pensyonarka po same skronie. Nietylko nie uważa się za ofiarę, ale ten stan rzeczy, że ona pracuje, zabiega, kłopocze się z dziećmi, a mąż się ciągle bawi, uważa za coś zupełnie naturalnego i ani jéj przez myśl przejdzie winić go za to.

Ten typ pani Kirłłowej jest odtworzony po mistrzowsku, jest to ze wszystkich typów, jakie autorka przedtém nam ukazała najudatniejszy, bo prawdziwy, bo wzięty z natury, bo nie naciągany do jakiegoś pojęcia powziętego z góry.

Ani Marta, ani pani Kirłłowa nie działają pod wpływem umysłu oświeconego wyższą myślą, pod natchnieniem poczucia wyższych obowiązków obywatelskich, są one raczéj wcieleniem bezwiedném téj myśli i tych obowiązków.

Za to Seweryna Zdrojowska w „Dwóch biegunach" posiada przedewszystkiém poczucie powinności obywatelskich. Bardzo młoda, bardzo bogata i skutkiem zbiegu okoliczności nieograniczona pani swéj woli i swego majątku, dostaje się z pośród puszcz litewskich do wielkiego świata warszawskiego i tu zdumioném okiem spogląda na ludzi i wytworzone przez nich stosunki, mając zupełnie pod tym względem odmienne pojęcia. Sama budzi nie mniejsze zdumienie swoją powierzchownością, nie licującą z modnym światem ani prostotą stroju, ani skromnością fryzury. Wyższość jednak jéj charakteru, oryginalność umysłu, szlachetność duszy, imponuje bez jéj wiedzy i woli zblazowanym paniczom i budzi w jednym z nich gwałtowne uczucie, pod wpływem którego doznaje on gwałtownego przeobrażenia, nie czuje się atoli zdolnym do wyrzeczenia się tych wszystkich przyjemności i nawyknień wielkoświatowych, których czuje całą niedorzeczność, ale które stały się drugą jego naturą. — On nie wyżyłby wśród tych ciemnych puszcz, gdzie schodzi jéj życie, ani wśród tych warunków i abnegacyi swojéj natury na rzecz idei: ona zaś nie chce za cenę własnego szczęścia, za cenę jego miłości wyrzec się swych ideałów i celów, do których dążenie uważa za przekazany sobie obowiązek. Więc na jego gorące oświadczenia miłości, na jego prośby i zaklęcia, gwałcąc własne serce, odpowiada: nie! i pozostaje na stanowisku.

Podobną do Seweryny postacią jest Irena w „Australczyku". Jest to typ młodéj dziewczyny, któréj działalność nie mając tak obszernego pola jak pierwszéj, zamyka się wśród ścian domowych przybranéj rodziny, ale nie mniéj przez to wśród danych warunków i okoliczności

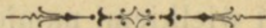
staje się skuteczną. Irena zamiata izbę, piecze chléb, uczy małą Bronię, lecz myślą obejmuje szerokie horyzonty. Jest o tyle szczęśliwszą od Seweryny, że człowiek, któremu serce oddała, przejmuje się jéj zasadami, wyrzeka się świetnéj karyery w dalekich stronach i zaprzęga do pracy dla dobra tych, którzy jemu i jéj są bliscy, chociaż nie krewni.

Oto główne, zasadnicze typy kobiét w znaczeniu dodatniém w powieściach Orzeszkowej. Pominąwszy pionierki niezależnéj pracy z pierwszego okresu jéj twórczości, o których wspominaliśmy w poprzednich rozdziałach, typ ten utrzymuje się niezmiennie w ciągu całéj działalności pisarskiéj autorki, tylko w różnéj formie. Jest to typ kobiéty nietylko pracującéj, ale zapracowanéj. Zakres działania jéj nie jest rozległy, stanowi go: dom, kuchnia, śpiżarnia, gospodarstwo, pokój dziecinny. Sztuka, artyzm, literatura nie mają wcale przedstawicielek w utworach powieściopisarki. Kobiéty jéj nie odznaczają się ani orlim polotem ducha, ani wielkiemi namiętnościami. Są to kobiéty zwyczajne, powiedzielibyśmy nawet bardzo pospolite, gdyby nie ożywiające je uczucie obowiązków obywatelskich, jest ono w nich świadome, lub nawet bezwiedne, ale tak zrosłe z ich naturą, tak przeszło w ich krew i soki, że nawet działając mechanicznie, są one posłuszne jego wewnętrznemu głosowi. Stoją one wiernie i wytrwale przy swoim obowiązku, a w walkach z sercem, zawsze refleksya i uczucie powinności odnoszą zwycięstwo. Są to wogóle kobiéty chłodnego temperamentu, rozsądne, pracowite, myślące, trzeźwe i trzymające się oburącz ziemi.

(D. n.) *E. Jerlicz.*



SYMFONIE.



III. Morze.

Płci pięknéj.

...Widnokrąg świata się zaciemnił, morze straciło wejrzenie swe szafirowe...

Barwa opalu, przeplatana niknącemi blaskami szmaragdu, usiłuje zapanować nad białością fal spienionych...

Fale te nawołują się coraz głośniéj, podniecają się coraz żywiéj, obejmują się coraz gwałtowniéj i rzucają się roznamiętnione w taniec szalony, wściekły, pełen wrzawy dzikiéj, wycia rozpaczliwego, jęku...

O toni morska, twój jęk bezwyrazowy całą swą rozpaczą wsącza się w moją duszę, bom dzieckiem twych pragnień, twéj głębi nieskończonéj!... Cała twa dusza, rozproszona w twych falach, skupia się we mnie...

Niepokonana jakaś siła ciągnie mnie ku tobie, ku twym falom rozszalałym... Porwij mnie w swe objęcia, bo tęsknię do ciebie; unicestwij mnie w swym uścisku, bo pragnę zjednoczyć się z tobą, z tobą szaléć i w tobie zginąć i nowém odżyć w tobie życiem!...

Zgaś we mnie tę gorączkę pragnienia, co mnie dręczy i pali i nie daje się niczém ugasić! Zgaś ten żar, jaki zapalają we mnie te cudowne harmonie kształtów niewieścich, te kwiaty wiosenne pełne woni upajającéj, te oczy błyskawiczne nocy burzliwych, te głosy czarujące

muzyką miłości i wszystko to razem, jednoczące się w jakąś siłę olbrzymią kobiécego uroku, trzymającą mnie w swéj mocy i niepozwalającą mi się z pod niéj wyłamać!...

Ileż to razy urok kobiécy, osłonięty swą tajemniczością, czarował mnie, upajał swą wonią, tonami rozkoszy zapełniał mi duszę i w najcudowniejsze barwy świat cały mi przystrajał. Nienasycone pragnienie moje chciało jednak więcéj jeszcze, chciało poić się nim zblizka; lecz w chwili, gdy zrywało z niego osłonę tajemniczą, spłoszony urok ulatywał bezpowrotnie w nieznaną jakąś stronę... Kwiat miłości tracił nagle czarujące swe barwy i zapach swój upajający, wiądł i liść po liściu poczynał z niego opadać... Trzymając w objęciach swą ukochaną, tęskniłem za urokiem, który uleciał gdzieś ku innéj, nieznanéj kobiécie...

Mam w pamięci chwilę bolesną, burzliwą, spędzoną w objęciach jednéj z tych kochanek nieszczęśliwych, które odpowiadały już na nawoływania miłości. Pragnienie rozkoszy jedynie pchnęło nas ku sobie, miłość jednak jak gość nieoczekiwany zjawiła się na uczcie naszych pocałunków. Była to miłość z całym swym orszakiem nadziei bezgranicznych, z wylewem słów z głębi duszy: „Do ciebie należéć będę zawsze, na zawsze!”

Błagała mnie, bym powtarzał jéj te słowa, lecz gdym je wymawiał, gdy z warg mych przenosiły się do jéj uszu, zamykała mi usta swą ręką i rzucała się we łzach, wołając: „Kłamiesz, ty mnie porzucisz, ty mnie niedługo kochać będziesz!”

Płakala nademną i nad sobą, nad zwodniczą nadzieją, któréj czczość znana jéj była zbyt dobrze. Przypomniała sobie, że te same słowa słyszała już dawniéj od innych. Lecz gdzież są serca świéże, bez pamięci, niewiedzące, że się kłamie, gdy się mówi: „Na zawsze!”

Gdybyż można było wszystkie kobiéty, warte miłości, streścić w jednéj, całą treść kobiécego uroku na jedne przelać usta i wypić ją w jednym pocałunku i ugasić swe pragnienia na zawsze i nie pragnąć już nigdy!...

. . . .

Morze kołysze się coraz słabiéj, coraz ciszéj huczą jego fale...

Niebo rozchmurza się, rozjaśnia...

Pośród ukazującego się błękitu lekkie już tylko płyną mgły, oblane słońca połyskiem...

Cichnące fale przewijają się zaledwie po niezmierzonéj wód płaszczyźnie, igrając z kąpiącym się w nich blaskiem słonecznym...

Ujęta wreszcie w przedwieczorną ciszę, szalejąca przed chwilą otchłań wodna pogrąża się w stan jakiéjś zadumy głębokiéj, w tęskne jakieś marzenie zapada...

Myśli me, płynąc po zwierciadlanéj jéj powierzchni, dobiegają złocącego się w słońcu widnokręgu a uniósłszy się w górne przestworza bezgraniczne, żeglują po coraz czystszym błękicie...

IV. Sfinks.

Filozofom.

Kolosy Dżyzeh strzegące doliny Nilu, ujęte w złocone słońcem ramy pustyni, stoją zadumane majestatycznie ponad morzem piasku, na zachodnim widnokręgu. Na południu niebieszczą się piramidy Sakkary, strzegące niegdyś Memfisu, a ku północy, po za sznurem piramid od Dżyzeh do Daszur, widnieją wśród ognistego pyłu piramidy Abusyru, oraz ruiny świątyni Izydy.

Olbrzymy te, zawsze gotowe do walki z huraganami pustyni, bronią od ich najścia białawą wstęgę Nilu, wijącą się po zielonym kobiercu doliny wśród cienistych lasków palm, baobabów, mimoz i kaktusów.

Morze piasku, okolone oślepiającą jasnością błękitu, zabarwia się w tony nieuchwytne, to różowe, to niebieskie, to złote, falujące w atmosferze pełnéj żaru przepalającego wszystko...

Ta muzyka barw, muzyka ognia promieni słonecznych znika wreszcie zupełnie. Rozpalona płaszczyzna, zalana słońcem, w jeden olbrzymi pożar się zamienia...

Cisza głęboka potęguje przestrach wobec wspaniałego tego spustoszenia...

Zabłąkana tutaj myśl ludzka plącze się chaotycznie wśród natłoku bezmiernego wrażeń potężnych i ugina pod ich ciężarem. Widma potworne, zagadkowe, męczą ją swą nieruchomością, gniotą swym ogromem, przerażają, oniemiają...

Olbrzymi Sfinks wlepia uparcie kamienne swe oczy w wieczność i nieskończoność, zdając się boléć nad znikomością i niepowrotnością chwil na zawsze minionych... Jakaś surowość majestatyczna wieje od niego, ściśnięte jego wargi zdają się kryć straszną jakąś tajemnicę...

Lecz nagle ciszę tę żałobne przerywa brzmienie...

Milczący od wieków Sfinks otwiéra ściśnięte swe wagi i, spragniony mowy, wytryska kaskadą słów, huczących echem rozkołysanych fal morskich...

„Myśli ludzka, zabłąkana w tych stronach, nie ośmielaj się podnosić zasłony tajemniczéj, ukrywającéj nagość wszechrzeczy, bo mściwe bogi, czyhające na twą zgubę, śmiercią za grzéch taki cię ukarzą!...

„Potęga niszczenia, w potworne ujęta formy, panuje tu samowładnie. Nieubłagany Tyfon z całą armią bogów okrutnych rzuca się rozszalały na wsze strony, siejąc wszędzie spustoszenie. Wszechpotężny Ozyrys nawet nie może się oprzéć jego sile. Olbrzymie mieszkania bogów opiekuńczych, strzeżone przez kolosy ludzkie i zwierzęce, rozsypują się pod niszczącym jego tchnieniem...

„I ja chciałem poznać niegdyś nagą Izydę. Rozum mój, nie zadawalając się gonieniem gwiazd po niebie marzeń, zapragnął zgłębić zagadkę życia, a męstwo moje czyniło mnie głuchym na groźby bogów...

„Widywałem nieraz Naiwność nagą, siedzącą w cieniu jabłoni i igrającą swobodnie, bez gorączki wzruszenia, z Naturą. Widywałem również wówczas zbliżającą się ku niéj Mahamaję i mową swą czarodziejską, rozkazującą jéj jeść owoc doświadczenia, owoc śmierci... Za każdym razem, gdy Naiwność łatwowierna spełniała rozkaz Mahamai, piękne jéj ciało stawało się wstrętném, cuchnącém, trupiém...

„Razu pewnego poczułem w sobie niepokonane pragnienie zobaczenia nagiéj Izydy, do któréj Mahamaja nie ma przystępu... Pomimo gróźb bogów, pomimo straży licznych potworów, wdarłem się do jéj świątyni, podbiegłem do niéj, podniosłem zasłonę okrywającą jéj nagość i... spostrzegłem..."

Kaskada słów Sfinksa urywa się nagle, błękit nieba ciemnieje, blask oślepiający słońca znika; przerażona myśl ludzka drętwieje, światło jéj gaśnie, życie w niéj zastyga...

Ten, co śmiał podnieść osłonę Izydy, co poznał nagą prawdę życia — kamienieje...

V. Nad Nilem.

Prometeuszom.

Kraj piasku i ruin, kraj smutku i rezygnacyi, kraj piramid zamienia się nagle, na dnia schyłku w kraj czarujący, rozkoszny, nadziemski...

Nad piaszczystą ruiną, ciągnącą się gdzieś w nieskończoność, zapala się obraz o barwach zmiennych, to różowych, to szkarłatnych, to ognistych, to złotych, to fioletowych, jakie rzuca na błękitne sklepienie nieba zachodzące słońce.

Wszystko obléwa się płomieniem, wszystko się pali...

Jakieś dzikie misteryum szatańskie, wyłonione z mroku starożytności, zdaje się odtwarzać w tym pożarze... Zamarłe od wieków legendy z całą swą treścią przerażającą zdają się budzić do nowego życia...

Stérczące ruiny, jak upiory przeszłości, nabiérają w ogniu tym jakiéjś grozy, jak gdyby tchnienie mściwych bogów, zamieszkujących je przed pół wiekiem wieków, nie zamarło w nich jeszcze... Zdają się one boléć nad tém, że strumień czasu nie uniósł ich razem z potężnymi władcami nieba i ziemi, lecz kazał im jak szkieletom przetrwać dłużéj od zapełniającéj je treści...

Rzym zapalony przez Nerona nie jaśniał tak przerażająco wspaniale, nie gorzał taką groźną purpurą ognistą, jak to miasto ruin, miasto kopuł i minaretów z zatkniętym na nich półksiężycem...

Cisza tęsknego smutku i zmęczenia ogarnia wszystko... Dusza ludzka, przygnieciona tą ciszą, śpi snem jakiegoś odrętwienia w tym kraju słonecznym, pośród tych ruin... Żadne gorączkowe porywy nie zakłócają jéj spokoju...

Palone ogniem mózgi i serca przyjmują w milczeniu niewolniczém wszystko, nawet uśmiechy przedsenne swego tyrana, wyczekując z pewną tęsknotą chwili wiecznego spoczynku, która ich wyzwoli z pod jego władzy okrutnéj...

Postaci kobiét, w czarne ujęte osłony, potęgują grobowy ten nastrój, przesuwając się jak cienie zmarłych wzdłuż murów pochylonych, zmęczonych również swém istnieniem i spragnionych spoczynku...

Gdzieniegdzie gwar jakiś rojem pszczół zabrzęczy i znowu cisza zalega w powietrzu, cisza smutku i rezygnacyi...

Ogień przepala tu i pożera wszystko, co stworzy. Nil tylko, Nil wielki i wspaniały nie lęka się tego wszechniszczenia i rozkoszuje się nawet w palącéj kąpieli słońca...

Szeroka jego wstęga przewija się dumnie wśród tych popiołów życia i pod nowy użyznia je zasiew... a razem z nią płynie czas... i unosi wszystko w bezpowrotną przeszłość...

. . . .

Na ciemniejącém tle nieba zapalają się migocące światełka gwiazd: czerwone, zielone, niebieskie... Która z nich oczarowała magów starożytnych, dała im przeczucie narodzin nowego świata i skierowała ich kroki w stronę miasta błogosławionego?... Czy nie ta sama, która pierwéj prowadziła Mojżesza i lud jego do ziemi obiecanéj?...

VI. Cmentarz.

Marzycielom.

Miasto umarłych, miasto pielgrzymów zaskoczonych w drodze do krainy szczęścia przez burzę śmierci, miasto ruin życia!...

Mózgi, które marzyły, — serca, które się krwawiły i kochały, — oczy, które się zachwycały i płakały, — usta, które szeptały słowa miłości i tonęły w rozkoszy namiętnych pocałunków, — łzy i uśmiechy, cierpienia i radości przeżyte — wszystko to mogiła dziś pokrywa!... Zapach zgnilizny pozostał tylko po nich; miesza się z wonią kwiatów, rzuconych pod nogi śmierci!...

Gdzie te płomienie zemsty i miłości, co walczyły z sobą, gdzie rzeź i jęki, gdzie namiętności pałające niegdyś, gdzie wdzięki upajające, gdzie tchnienia pełne nadziei i wiary?... Echa ich tylko zbłąkane uderzają duszę przechodnia, one tylko przerywają ciszę cmentarną swoją mową.

Napisy mogilne znaczą ilość drogi przebytéj każdego z tych pielgrzymów cyframi lat i miesięcy, któż jednak wié, jaką kto z nich kroczył drogą? Kto z nich był wielkim, a kto nicością; kto bogaczem, a kto nędzarzem; kto potężnym, a kto słabym; kto pięknym, a kto potworem; kto mędrcem, a kto głupcem?...

Wszyscy są tu równi, od wszystkich wionie zgnilizna śmierci.

„Cierpienia nasze kończą się w spokoju nieskończonym". — „Śmierć wszystko leczy." — „Grób jest schroniskiem najlepszém, śmierć — największém dobrodziejstwem." — „Śmierć jest zbudzeniem się ze snu życiowego." — Tak brzmią napisy rzucone tu i owdzie po płytach kamiennych, tak brzmią głosy tych, co chcieliby żyć, a skazani są na to, aby umrzéć. Nie dojdą do krainy zupełnego szczęścia, więc obiecują sobie szczęście takie w świecie innym, po śmierci.

. . . .

Jakaś postać niewieścia w czarnéj osłonie zarysowuje się na tle grobowców i drzew cmentarnych. Żałobna jéj szata świadczy, iż utraciła kogoś bardzo ukochanego, iż wielki smutek przepełnia nieszczęśliwą jéj duszę. Kilkakrotnie oddala się od mogiły ukochanéj i znowu ku niéj powraca, jakby nie mogąc się od niéj oderwać.

Lecz oto jakaś postać męska ukazuje się przy niéj.

— Spóźniłem się cokolwiek, ale to nie z mojéj winy.

— A ja myślałam, że cię już dzisiaj nie zobaczę. Czy to się tak godzi?

— Czyż przypuszczasz, że dla ciebie nie pobiegłbym choćby na koniec świata nawet? O, droga moja, odsłoń twe oczęta czarujące, niechaj w nie popatrzę, i twe usteczka rozkoszne, niech się napoję słodyczą ich pocałunku!

I uniósłszy czarną zasłonę przezroczą z twarzy ukochanéj, gorącemi okrywa ją pocałunkami.

— Jakaś ty piękna w téj żałobie, jak cudownie uwydatnia się białość twego ciała na czarném tle twego stroju, jak anielsko wyglądasz w tém ponurém otoczeniu cmentarném! Ta krepa tylko, zanadto ku ziemi spadająca, mogłaby być nieco krótszą.

— Krepa krótszą? Czyż po stracie męża można nosić krepę krótszą? Coby to ludzie na to powiedzieli?

I para zakochanych, cichsze zamieniając z sobą słowa, oddala się od miejsca spotkania, od świeżéj mogiły nieboszczyka odpowiednią długością krepy żałowanego i niknie wśród drzew i płyt kamiennych cmentarza...

I odwieczna pieśń ludzka płynie w powietrzu, echem swém uderzając o deski grobowe...

. . . .

Smutno mi na widok tych grobów, bo rozumiem cichą ich mowę, a rozumiem, bom się urodził na cmentarzu. Nad kołyską moją szalała burza przy głuchym jęku pogrzebowego płaczu. Skargi rozpaczliwe jedyną były pieśnią, jaką wówczas słyszałem, wsączyły się one w mą duszę tak całkowicie, iż nie byłem już późniéj zdolny do nowych dostroić się melodyi...

Nie widziałem cmentarza tego od lat wielu. Fale życia uniosły mnie w inne obszary świata i nie pozwalają mi zbliżyć się do mych mogił.

Daleko mi do tych pól krwią zasianych, do tych gajów sosnowych, złocących się w słonecznym blasku i echem pieśni zmartwychwstania dźwięczących. Daleko mi do tego cmentarza, więc tęsknię za nim, choć sam noszę w swéj duszy cmentarz złudzeń czarujących i smutków przeżytych, pieśni niedośpiewanych i nadziei umarłych...

Upiory tylko chwil minionych, mary cierpień i radości krążą około zgliszcz pożarów zagasłych, błądzą wśród ruin i popiołów przeszłości...

Któż zresztą nie nosi w sobie takiego cmentarza? Każdy składa na nim wszystko, co dla niego zamiéra, a gdy go zapełni, idzie złożyć go razem z sobą na wielkim cmentarzu dla wszystkich wspólnym, skąd

w postaci błędnego nawet upiora nigdy już nie powróci... Cmentarzami jesteśmy i cmentarz ostatecznym jest celem wędrówki naszego życia...

Ciemność na cmentarzu zapada coraz głębsza i coraz samowładniéj ogarnia wszystko. Ciszę cmentarną zamącają tylko kroki ziemskiego przechodnia, spieszącego na swój pogrzeb...

VII. Tabor.

Mistrzom tonów.

Wyłaniający się z morskiego szafiru Karmel, mglistą gazą osłonięty Moab, bielejący śniegiem Hermon, zwierciadlana toń Tyberyady, pogrążony w zieleni Nazaret, a przy nim piękna nizina Esdrelonu — co za przedziwna harmonia barw i kształtów, oblana morzem ciepła i światła i ujęta we wspaniałe ramy błękitu nieba!...

Zapatrzone w ów błękit olbrzymy zdają się marzyć o przeszłości, wydają się zaczarowanemi urokiem słów boskiego Mistrza, urokiem przebóstwienia się człowieczeństwa przewyższającym je swą wielkością.

Urok ten żyje tu jeszcze; cała natura tchnie tym urokiem, choć przeszłość dawno już w grobie spoczęła.

Przeszłość!?...

Cienie jéj krążą jak zaklęte około miejsc, gdzie ciało jéj zostało pogrzebane; usiłują odtworzyć to, co zamarło, dać życie temu, co żyć przestało...

. . . .

Od Wschodu do Zachodu wicher Zemsty mknie i zapala zniszczenia pochodnie.

Krwiożercze plemię Kaina usiłuje zgasić w rzezi bratobójczéj ogniem gwałtu pałające swe pragnienia, lecz krew przelana nowy podmuch Zemsty wywołuje.

Oko za oko, ząb za ząb, życie za życie oddać trzeba.

Ani modlitwy, ani groźby, ani potopy wód nie zdolne zażegnać biegu Zemsty.

Kroczy ona fatalnie we krwi ludzkiéj i po trupach ludzkich, wśród przekleństw i złorzeczeń, witana i żegnana wściekłym wrzaskiem rozbestwionych tłumów i jękami rwącéj serca rozpaczy. Tysiące rąk, tysiące piersi wyrywa sobie wzajemnie życie...

Nagle, wśród téj rzezi powszechnéj jakiś blask się zapala, blask Idei olbrzymiéj, boskiéj, rozpłomienia się, błyskawicą świat ogarnia i tchnieniem miłości i braterstwa napełnia całą przestrzeń...

Wzburzone fale tłumów, gnane wichrem Zemsty, truchleją z przerażenia...

Odwieczny hymn cierpienia przeistacza się w brzmienie wesela, w pieśń nadziei i wiary...

Wzbierająca bezustannie rzeka łez ludzkich nieznane dotychczas znajduje dla siebie ujście...

Gniewny Jehowa cofa groźbę zagłady i przejęty litością dla nędzy ludzkiéj, staje się troskliwym ojcem świata, opiekunem miłosiernym ptaków niebieskich i lilii polnych.

Widnokrąg świata błyska świtem królestwa bożego. Słowo boskiego Czarodzieja staje się ciałem, szczyt Galilei—szczytem dziejów, oraz szczytem epopei chrześciaństwa...

„Dobrze nam tu być” — woła ustami Piotra nędza ludzka.—„Dobrze nam z tobą, święty Czarodzieju! Pragnęlibyśmy zawsze z Tobą pozostawać, czerpać w tobie siłę i otuchę i pracować z Tobą nad poprawą świata i budową lepszéj przyszłości!...”

Słowa te dźwięczą jeszcze, rozbrzmiéwają echem wśród ruin przeszłości i rozchodzą się po całéj ziemi.

„Błogosławieni ubodzy, błogosławieni pokój czyniący, bo dla nich przyjdzie królestwo boże.”

Nędza staje się opoką nowéj świątyni, wita płomienném wejrzeniem Posłannika zwiastującego jéj wschód nowego życia, czuje w nim wybawiciela swego, wcielającego w sobie jéj pragnienia i tęsknoty, czuje w nim swe bóstwo oddawna oczekiwane...

Wszystkie barwy, wszystkie tony grają hymn uwielbienia Odrodzicielowi życia; cała natura, przyodziana we wszystkie swe powaby, sławi zwycięzcę Zemsty i Zwiastuna pokoju.

„Pokój wam!” — wołasz Mistrzu; świat jednak cię nie słucha, bo żyje jeszcze fałszem i nienawiścią i dlatego równa cię z łotrami i krzyżuje. Lecz nędzarze, wśród których się urodziłeś i żyłeś i dla których pracowałeś stają się apostołami twych wielkich haseł: Prawdy, Sprawiedliwości i Braterstwa...

Jak cudną, jak uroczą jesteś Ideo Chrystusa, gdy ze szczytu Tabor oko ludzkie ci się przygląda!...

Antoni Złotnicki.



FRANCUZI I ANGLICY.

Porównanie.

(Dokończenie)[1].

Nie ma w rodzinno domowych stosunkach angielskich, jak się to staraliśmy wykazać, tego serdecznego wylania, téj solidarności uczuć, dążeń i interesów pomiędzy ich członkami, jak to ma przeciętnie miejsce we Francyi, ale życie pospołem, w liczném zazwyczaj gronie siόstr i braci i odwiedzających ich przyjaciół płci obojéj, przyczynia się do podniesienia dyapazonu moralności indywidualnéj. Klasztorno-koszarowe odosobnienie, w jakiém wychowuje się młodzież francuska płci obojéj, z góry przyzwyczaja ją do spostrzegania swych odrębności, do przeczuwania niebezpieczeństw, do napastniczego z jednéj strony, a obronnego z drugiéj stanowiska. Przywykła do wspólnych zabaw i gier, młodzież angielska, traktuje się z przyjacielską poufałością, bez żadnéj przymieszki galanteryi. Cześć i szacunek dla kobiéty jest elementarną zasadą, wyssaną przez Anglika z mlékiem i zachowywaną wytrwale przez cały ciąg życia. W szkołach publicznych nie ma ani sposobności, ani pohopu do tych brudnych wybryków, w których młodzież francuska przedwcześnie traci swe siły życiowe. Nie razi pojęć francuskich rola, jaką odgrywają u studentów uniwersyteckich ich kochanki, z którémi żyją na wiarę, z którémi się łączą, rozstają, które zamieniają jedne na drugie: ten bezrząd moralny bywa usprawie-

---

[1]) Patrz „Ateneum", sierpień 1896 r. str. 349.

dliwiany pobłażliwą maksymą, że młodzież wyszumiéć się musi. Ani śladu czegoś podobnego nie ma w ogniskach uniwersyteckich angielskich. Studenci mają tam zbyt wysokie poczucie osobistéj godności, aby żyć na poufałéj stopie z kobiétami upadłemi, i nie jest gentlemanem, raz na zawsze traci swą pozycyę towarzyską ten, coby się poważył publicznie z taką istotą pokazać. Istnieje w Anglii prostytucya uliczna w całéj swéj szkaradzie, to prawda, ale płynie swoim odrębnym kanałem, z życiem przyzwoitych ludzi się nie miesza, na nic nie oddziaływa. Nie ma także w Anglii owego pół-światka, słynnego we Francyi, składającego się z osób wykolejonych, upadłych, ale zachowujących wyrafinowane formy towarzyskie, żyjących zbytkowo, narzucających swój widok uczciwym kobiétom. W olbrzymiém pięciomilionowém mrowisku londyńskiém tego rodzaju kobiéty znikają niepostrzeżenie, giną w odmęcie, i zna je tylko osobista klientela. Nie ma dzienników, któreby otrąbywały codzienną reklamę ich zbytku, ich przyjęć, ich skandalów. Francuzi widzą w tém hypokryzyę i oświadczają, że Anglicy nie są od nich lepsi. Być to może, ale trzeba przyznać, że niegorszenie innych, pranie swéj brudnéj bielizny w zakątku, świadczy już o rozpoznaniu, o uczynieniu różnicy pomiędzy tém co jest dobre, a tém co niém nie jest, o istnieniu ideału moralnego.

Na tym punkcie istotnie pojęcia obu społeczeństw zachodnich się rozchodzą. Powierzchowni spostrzegacze, gadatliwa, płytka rzesza Gaudissart'ów kładzie te różnice postępowania na karb temperamentu ognistego, południowego Francuzów a lodowatego Anglo-sasów; jest to ubliżające istocie ludzkiéj sprowadzenie ich do instynktami powodującéj się trzody bydląt. Różnica jest w samym rdzeniu ideału moralnego: Anglicy wprowadzają doń czystość obyczajów, kiedy u Francuzów jest ona jeżeli nie rzeczą podrzędną, to przynajmniéj drugorzędną. Nie twierdzimy, ażeby życie rozpustne było niezbędnym warunkiem powodzenia i reputacyi we Francyi, ale nie stoi mu na zawadzie. W Anglii nie zgasła jeszcze całkowicie skra purytanizmu, a wychowanie, na biblijnéj tradycyi się kształtujące, podsyca ją ciągle. Dlatego téż od swych ludzi publicznych wymagają przestrzegania moralności prywatnéj i czystości. Francuzi pojąć nie mogą tego ostracyzmu angielskiego, który spycha z wyżyn bohatérskich Parnella za to, że był kochankiem kobiéty zamężnéj, albo który wyklucza z liczby kandydatów ministeryalnych raz na zawsze genialnego męża stanu, jak sir Karola Dilke, za to, że w procesie rozwodowym ukazała się lekkomyślność jego zachowania i jego rozwiązłość.

Gdy jest mowa o moralności społecznéj, nie mamy do czynienia z żadną stałą, konkretną ilością, ale z czynnikami różnorodnemi

zmiennemi a ogólnego prądu, przemagającéj tendencyi nie mamy prawa zagrzebywać pośród zbiegu pojedyńczych faktów. Byłoby fałszem twierdzić, że Anglicy są wysokiéj, idealnéj czystości obyczajów, ale jest prawdą, że przywiązują do nich wielką wagę i że pomiędzy teoryą a praktyką jest w nich mniejszy odstęp, aniżeli u Francuzów. Są i u nich złe małżeństwa, niewierni mężowie, występne żony, cudzołóstwo skalało świętość rodzinnych ognisk, jak to pokazuje kronika rozwodowa, ale wogóle warstwy towarzyskie średnie żyją uczciwie i przykładnie. W literaturze powieściowéj, szczególniéj w téj jéj gałęzi, któréj orędowniczkami są ośmieszone już *new women* czytać się zdarza o nowéj formie związków rodzinnych, ale nie należy tego rodzaju teoryi brać zbyt literalnie. Anglicy są jeszcze zdania, że za podstawę bytu społecznego nie znaleziono dotąd nic lepszego, jak małżeństwo. Tak zwane życie na wiarę, związek dwóch istot nie uświęcony ani religią, ani prawem, nie posiadający żadnéj rękojmi trwałości i spuszczający z uwagi całkowicie los dzieci, nie jest w Anglii rozpowszechniony. Cytowany tak często przykład George Eliot'a, która żyła bez ślubu z Jerzym Cornwallis Lewis aż do jego śmierci, jest jaskrawym wyjątkiem i dość przypomnieć, że nawet ona nie wahała się zawrzéć małżeństwa z p. Cross, ażeby zrozumiéć, że ten wyjątek potwierdza tylko ogólną regułę.

Była już mowa wyżéj, że inne pojęcie leży na dnie małżeństwa u Anglików a u Francuzów. Bez oglądania się na majątek, na konwenanse, Anglik żeni się z miłości i dla zaspokojenia swoich własnych potrzeb. Zrozumiéć nie może narzucania małżeństwa dzieciom przez rodziców, ich interwencyi, ich oporu, a *sommatione respectueses* są całkiem nieznane po tamtéj stronie kanału. Żenią się dla siebie, zakładając swój dom własny, utrzymując go z własnéj pracy, nie pozwala nikomu mieszać się do téj sprawy. Synowa rzadko tylko traktuje rodziców swego męża jako swych krewnych: zostają na stopie przyzwoitéj odległości. Nie ma potrzeby rozstrzygać, jaki sposób zawierania małżeństw jest lepszy. Zataić się nie daje, że młodzież angielska czyni często wybory opłakane. Kierując się tylko własnym popędem, nie troszcząc się o przyszłość, wpadają nieraz w sidła awanturnic. Nawet gdy poślubione dziewczyny są uczciwe, należą one często do warstw towarzyskich niższych i nie posiadają wykształcenia i wychowania odpowiedniego stanowisku, jakie mąż ich z czasem sobie wyrabia. Nic częstszego, jak spotkać się z żoną jakiego wybitnego członka społeczeństwa angielskiego, która jest zerem: jéj nicość, przysłonięta dziewiczą krasą w czasie, gdy się małżeństwo skojarzyło, nie znikła razem z jéj pięknością, ale, niestety, ją przetrwała. We Francyi mniéj

częste są te przeciwieństwa, gdyż małżeństwa są układane przez rodziców z uwzględnieniem jednolitości towarzyskiéj sfery, a nawet gdyby téj harmonii w początku nie było, wywiązuje się ona następnie przez poufałe życie małżonków.

Gdy się mówi o moralności indywidualnéj i o życiu domowém, nie można ograniczać się do mężczyzny, któremu, nie zawsze słusznie, przypisywaną bywa rola napastnicza, demoralizująca, a trzeba zwrócić uwagę jednocześnie na kobiétę. Ona bowiem jest kamieniem węgielnym, na którym spoczywa ustrój rodzinny i od niéj zależy nastrój duchowy społeczności. Oddaliśmy już wyżéj hołd kobiécie francuskiéj, jéj działalności, ekonomii, gospodarności z jednéj strony, a z drugiéj—macierzyńskiemu poświęceniu. Stoi ona niezaprzeczenie wyżéj pod tymi względami od swéj siostry w Anglii. Praktyczny zmysł Francuzki zastępuje w rodzinném ognisku nakład pieniężny większy, którym stoi domowość angielska. Jest to szczególniéj widoczne w warstwach robotniczych społeczeństwa. Robotnik angielski zarabia więcéj od francuskiego, ale ponieważ żona jego jest gospodynią nieumiejętną, ponieważ nie ma wyobrażenia o kuchni, zatém żywność jego jest pośledniejsza aniżeli w tychże samych pokładach we Francyi. W sferze naukowéj za to, pod względem wykształcenia i wiadomości teoretycznych, brania udziału w życiu narodowém, w rozwoju człowieczeństwa, kobiéta angielska posiada niewątpliwie wyższość. Ale te niższe pod jednym względem, a wyższe pod drugim warunki nie rozstrzygają jeszcze pytania, co do moralności i czystości obyczajów. Istotnie rozstrzygnąć go niepodobna. Różnice są uderzające, ale nie upoważniają do żadnego wniosku syntetycznego. Podnieść wystarczy niektóre strony bliżéj lub daléj do niéj się odnoszące.

Nie należy naprzód spuszczać z uwagi, że przez wychowanie fizyczne kobiéta w Anglii kształci i rozwija swój organizm fizyczny, tak samo jak mężczyzna. Codzienna zimna kąpiel, gry na świeżém powietrzu, wiosłowanie, jazda konna, welocypedy, długie przechadzki, wyrabiają w niéj siłę muskularną i przeciwdziałają wszechwładzy nerwów. Nie ma wątpliwości, że oddziałało to na zupełnie inny wygląd zewnętrzny obu narodów. Smukły, hoży, czerstwy, energiczny ale spokojny w swych ruchach Anglik, nie jest podobny do małego, czarnego, skokliwego Francuza; ale większe jeszcze różnice uderzają w kobiétach. Angielka jest wysoka, szczupła, o cerze liliowéj białości, o włosach złocistych, o owalu twarzy ściągłym; Francuzka jest niska, tłusta, o wydatnych biodrach, szerokiéj, płaskiéj twarzy, włosach krótszych, ciemnych. Stopa jéj i ręka jest mniejszą dzięki bezczynności. Jest rzeczą indywidualnego smaku dawać pierwszeństwo temu lub owe-

mu typowi: Angielka jest bardziéj grecką boginią zstępującą z Olimpu, Francuzka bardziéj serajową huryską. Obie bywają piękne; skończonych, idealnych piękności bywa więcéj w Anglii. Byłoby impertynenckiém pytanie: czy owe białe, harmonijne, urocze, angielskie kobiéty są zimnemi, martwemi Galateami, których Pygmalion nie łatwo ożywić potrafi. Zmysł kochania nie zdaje się być w nich wytrzebiony, albo poprostu upośledzony: jest natomiast skanalizowany i po zakréślone sobie brzegi zazwyczaj nie występuje.

Celem kobiéty w dzisiejszym ustroju społecznym, jak nieraz wytknęli zgryźliwi moraliści, jest znaléść sobie męża. Francuzki tak samo jak Angielki ubiegają się o nich, używając do tego, mniéj lub więcéj bezwiednie, wszelkich możliwych środków. Rola dziewczyny francuskiéj jest bierna, bo dla niéj rodzice szukają męża i wyjątkowo tylko sama ona udział w téj kampanii bierze. Angielka jest czynniejszą, bo na niéj saméj odpowiedzialność ciąży za powodzenie przedsięwzięcia. Kokieterya jéj atoli nie posiada w sobie nic przewrotnego, a flirt nie zapuścił głębokich korzeni i nie spaczył jéj moralnego organizmu, skoro przestaje być zaczepnym i przechodzi na stopę pokojową, gdy znalazła sobie narzeczonego. Dla Angielki najszczęśliwszą epoką życia jest ta, która idzie od zaręczyn do ślubu. Niczego podobnego być nie może we Francyi, gdy panienka zaledwie zna swego przyszłego męża; nie jest jéj dozwolone być z nim na poufałéj stopie, a on ogranicza się do przysyłania jéj bukietów, nie otrzymując wzamian nic oprócz zdawkowych frazesów. W Anglii dziewczyna zdobyła sobie narzeczonego, równego sobie zazwyczaj wiekiem, towarzysza jéj braci, albo wspólnika gier; znają się oboje, mają wspólne zamiłowania i pojęcia; w stosunku ich nie ma żadnéj sztywnéj ceremonialności, nie ma nawet romansowości, ale przemaga odcień dobrego koleżeństwa. Dozwolone jest im wymieniać całusy wobec grona rodzinnego i nikogo to nie razi. Ci przyszli towarzysze całego życia zaczynają jego praktykę od wspólnych wycieczek, odwiedzin u członków rodziny i przyjaciół; uczęszczają razem do teatrów, na zabawy, bez dozoru osób trzecich. To bezpieczeństwo dziewczyny, która w swym narzeczonym widzi protektora i przyjaciela, ta swoboda ruchów i słowa, te oznaki powszechnéj sympatyi, które zbiéra i które się objawiają w podarkach ślubnych bez liku, to przygotowywanie sobie wspólne domowéj siedziby, posiada w sobie tyle dodatnich czynników, że nie dziwota, iż jéj nie śpieszno położyć kres téj zaręczynowéj epoce. Swoboda jéj kończy się z dniem ślubu i kończą ciągłe rozrywki i zabawa, a małżeństwo przychodzi jak prozaiczna rzeczywistość, z willą gdzieś na przedmieściu, z życiem skromném, z wydawaniem na świat licznéj ilości

dzieci. Dla Fracuzki, wychowanéj w klasztorze albo pod czujnym nadzorem rodzicielskim, spragnionéj jak każda istota ludzka swobody ruchów i działania, małżeństwo jest synonimem niezależności: nie dziwota tedy, że jéj używa w pełni i że, mało doświadczona, nadużywa jéj niekiedy. Czy nie nadużywa jéj także Angielka? Jeżeli tak samo jak tamtéj zdarzy się jéj zdradzić wiarę małżeńską, to dzieje się to w innych zazwyczaj okolicznościach. Wśród rozrywek i podniety zabaw, wystawiona na każdym kroku na pokusy, młoda mężatka we Francyi, jak motyl leci do światła i skrzydła swe w niém opala; Angielka skazana na domowe zacisze i odosobnienie, traktowana przez męża po przyjacielsku, znudzona nieraz bezbarwnością szarego życia, z którego wszelki żywioł romantyczny zdaje się wygnanym, ulega wpływowi tego lub tych, co potrafili dać jéj poznać, iż znaleźli i uczcili w niéj wybraną istotę. Zmysłowość u jednych, romantyczność u drugich: taka zdaje się być geneza cudzołóstwa u kobiét we Francyi i Anglii.

Dla uzupełnienia obrazu stosunków małżeńskich należy jeszcze podnieść jeden rys charakterystyczny angielski, mianowicie procesa o zerwanie projektowanego małżeństwa. Naśmiewają się z nich na stałym lądzie i nie można zaprzeczyć, że posiadają w sobie stronę komiczną. Rzadko się zdarza, ażeby mężczyzna wytaczał proces swéj narzeczonéj o złamanie mu wiary i żądał za uczyniony sobie zawód pieniężnego wynagrodzenia: jest to natomiast częstém ze strony kobiét. Małżeństwo uważane jest przez nie jako operacya korzystna pod względem materyalnym: gdy je chybia, uważają za rzecz naturalną, ażeby powetowano im szkody. W wyższych sferach towarzyskich procesy takie są często wytaczane synom arystokratycznych rodzin przez aktorki, baletnice, pół-światówki, dziewczyny posługujące w szynkach i t. d. Młodzi i lekkomyślni ci panicze, jako ostatni argument do uwiedzenia, używają obietnicy małżeństwa. Jeżeli byli dość niebaczni, ażeby obietnice te uczynić piśmiennie, czeka ich niechybnie, po zerwaniu miłosnego stosunku, proces skandaliczny. Im lżejszą i bardziéj nadwyrężoną była reputacya tych cór Afrodyty, tém raźniéj rzucają się do procesu, tém większych sum się domagają. Nie ma roku, ażeby kilka takich rozgłośnych procesów nie zabawiało publiczności. Rodziny magnatów wolą nieraz płacić grzywny, obliczone przez trybunały stosunkowo do majątkowéj ich pozycyi na wysokie sumy, aniżeli widziéć swe rodzinne gniazdo skalane tego rodzaju związkiem.

Nie ma wątpienia, że obawa procesu skandalicznego i ciężkiéj kary pieniężnéj powstrzymuje w niejednym razie złotą młodzież angielską od rozpusty i owych nieprawych związków, które we Francyi

w téj saméj sferze towarzyskiéj są rzeczą daleko powszedniejszą. Jeżeli związki takie istnieją, starannie są ukrywane. Obyczajność nie pozwala o nich mówić nawet z najbliższymi przyjaciołmi. Kiedy w Paryżu bogata młodzież pokazuje się publicznie w teatrze, lasku bulońskim i t. d. w towarzystwie kobiet upadłych, w Anglii nic podobnego nie zdarza się, i gęsta zasłona pokrywa tam tę ujemną stronę życia prywatnego.

Uciekanie się pod skrzydła prawa, do opieki sądu i żądanie wyznaczenia przezeń kompensaty pieniężnéj za poniesioną krzywdę, jest głęboko zakorzenione w obyczajach angielskich nie tylko w sprawach małżeńskich, ale we wszystkich innych, w tak zwanych honorowych. Na dnie tego leży odmienne pojęcie honoru. My na stałym lądzie uciekamy się do pojedynku, dzikiego zabytku średniowiecznéj rycerskości i krwią przeciwnika zmazać chcemy doznaną zniewagę. Teoretycznie, na zimno, nikt pojedynku jako takiego już nie broni, ale brakuje nam odwagi cywilnéj zerwać z tą fikcyą. Anglicy posiadają tę odwagę. Na kułak odpowiedziéć umieją kułakiem i o brak męzkości nikt ich zapewne nie posądzi. Ale nie widzą jéj w pojedynku. Nic śmieszniejszego w ich oczach, jak owe francuskie pojedynki, powstające z lada jakiéj kłótni, stające się przedmiotem długich negocyacyi, podawanych przez dzienniki we wszystkich szczegółach, kończące się zadraśnięciem szpadą a częściéj śniadaniem wspólném. Anglicy widzą w tém reklamę, komedyę a w razie tragicznego końca pojedynku — morderstwo. Nie na los ślepy składają oni obowiązek bronienia swego honoru i godności osobistéj ale podejmują się tego sami. Chłodniejszego, mniéj zapalczywego temperamentu, nie tak łatwo jak Francuzi posuwają się do ostateczności. Anglicy umieją w danym razie schłostać gbura lub zuchwalca i sami wymierzać sobie sprawiedliwość. Na obelgi, na potwarz, na obrazy krzywdzące reputacyę i dobre imię odpowiadają pozwem sądowym. Opinia publiczna nie widzi w tém nic zdrożnego, nic upakarzającego. Pieniężne zadośćuczynienie nie ubliża temu, który je otrzymuje a czyni ostrożniejszym tego, co na nie został skazany. Nie ma wątpienia, że społeczność angielska wyprzedziła pod tym względem francuską.

Francuskiemu pojęciu honoru Anglicy przeciwstawiają poczucie godności osobistéj. Posiadają je w wysokim stopniu. Są dumni ze swéj narodowości i w dobréj wierze uważa się *Civis britanicus* tak jak ongi *Civis romanus*, że z innéj ulepiony gliny. Jak dowcipnie powiedziano: Anglik sądzi, że Bóg stworzył jego ojczyznę prawą ręką a resztę świata—lewą. Czuje on rodzaj politowania dla cudzoziemca. U ludzi pospolitych, rubasznych, ujawnia się to poczucie wyższości bez osłonek,

a jeżeli u wykształconych i dobrze wychowanych znika pod uprzejmemi formami towarzyskiemi, to istnieje nie mniéj silne, niewzruszone. Każdy Anglik zdaje się nosić w sobie uosobioną potęgę Wielkiéj Brytanii, i jest to innego rodzaju uczucie aniżeli naiwna chełpliwość Francuza albo pycha dorobkowiczów niemieckich. Ta skrystalizowana esencya dumy narodowéj pokazuje się u Anglików w chłodnym spokoju, pewności siebie, w wykluczeniu wszelkiéj obawy o śmieszność, o sąd wyrażony o nich przez cudzoziemców, przez osoby trzecie. Poczucie godności osobistéj nie pozwala mu spoufalać się z postronnymi znajomymi, strzeże go od wywnętrzania się, od gadatliwości. Jest on zazwyczaj pełen rezerwy, i cudzoziemcy upatrują w tém sztywność, jaskrawo odbijającą od przyjacielskości i szybkiego spoufalania się Francuzów. W oczach Anglików jest to natomiast okazem złego wychowania, pospolitości. Osławionym jest zwyczaj angielski nie zawiązywania rozmowy jak z ludźmi, którzy urzędowo, ceremonialnie byli sobie przedstawieni. Istotnie posuwają oni tę formalistykę do przesady. Ludzie, którzy przez całe lata, dzień w dzień znajdują się w tym samym wagonie drogi żelaznéj lub omnibusie, udając się ze swych domów do swych biur w City, którzy dobrze wiedzą kim są i czém się trudnią, nie wymieniają z sobą jednego słowa, jednego ukłonu, dopóki ich wspólny znajomy nie zapozna. U mężczyzn znika jednak w znacznym stopniu to dziwactwo, ale u kobiét przestrzegane jest jako tarcza godności osobistéj i wywołuje nieraz komiczne zajścia. Trzeba jednak dodać, że ten rygor obserwowany względem rodaków, łagodnieje względem cudzoziemców. Anglicy są dla nich uprzejmiejsi, prawdopodobnie w przekonaniu, że *cela ne tire pas à conséquence*.

Nie da się zaprzeczyć, że ta rezerwa i oddalenie w jakiém jedne osobistości pozostawają względem drugich, wpływa na cały ustrój towarzyskiego życia. Jest ono u warstw średnich angielskich mniéj przyjemne aniżeli u francuskich. Dawni i zażyli znajomi zdają się zawsze być odgrodzeni murem, i trzeba przy każdém spotkaniu łamać lody. Rozmowa Anglikom idzie daleko trudniéj, aniżeli Francuzom i zabierają głos wtedy tylko, gdy mają coś do powiedzenia. Rzadkiemi są fajerwerkowe wyskoki dobrego humoru i dowcipu właściwego, wrodzonego nieledwie jowialnym Francuzom. Trzeba naprzód przebrnąć przez ogólniki o stanie powietrza, o stosunkach rodziny królewskiéj, w których bierze ta warstwa towarzyska tém żywszy interes, im mniéj je zna, zanim się dobierze do przedmiotów bezpośrednio ich obchodzących, gdzie indywidualne zdania mogą się wypowiedzieć. Anglicy są świadomi tego braku giętkości w rozmowie i świadomość ta paraliżuje nieraz ich przyrodzone siły. Zbyteczném było by wchodzić

tu w drobiazgi tych form towarzyskich które wytwarzają ogólną układność, grzeczność, przyzwoitość, ale nie można powstrzymać się od zdziwienia stwierdzając jak zasadnicze i jak wielostronne zachodzą pomiędzy niemi różnice u obu społeczeństw.

Kluczem do zrozumienia odrębności fizyognomii i nie tylko fizyognomii ale wewnętrznego charakteru życia towarzyskiego Francyi i Anglii, jest ten zasadniczy aksyomat, iż ci są demokratycznem społeczeństwem a tamci arystokratycznem. We Francyi istnieją wprawdzie warstwy społeczne tak zwane wyższe, jest pewna ilość rodzin o arystokratycznych tradycyach i mnóstwo ludzi, którzy pod rozmaitemi fałszywemi pretekstami wdzierają się do szlacheckich rodów i przybierają tytuły, do których nie są uprawnieni, ale pomimo tego nie ma ani politycznie pewnéj uprzywilejowanéj klasy, ani ekonomicznie i gospodarczo klasy, którąby ześrodkowała w swych rękach bogactwo narodowe. Stulecie rewolucyjne zniwelowało w łonie narodu wyłączności i uprzywilejowane stanowiska. Robotnik w bluzie i chłop na drobnéj skibie nie tylko wiedzą, że posiadają takie same prawa co wielki pan o długiéj liczbie antenatów albo milioner wszechwładny, ale posiadają wyrobione w sobie, przesiąkłe do szpiku kości przeświadczenie, że są im równi, że istniejące pomiędzy nimi różnice są po prostu dziełem trafu albo niesprawiedliwości. Utrwalające się i zakorzeniające instytucye republikańskie przyczyniają się wielce do ugruntowania demokratycznych zasad. Nie ma wątpienia, że z każdym nowym dziesiątkiem lat pogłębia się otchłań dzieląca Francyę współczesną od dawnéj, przedrewolucyjnéj. Naprróżno w błyszczących salonach Paryża rozlegają się szumne tytuły i krzątają się gorączkowo przedstawiciele klas dawniéj uprzywilejowanych o utrzymanie wyłączności klasowéj; nie ma już ducha w tym organizmie. Najpowierzchowniejszy spostrzegacz potrafi zdać sobie sprawę, że to pałac z kart i że nie potrzeba uraganu ażeby go przewrócić. Towarzystwo francuskie nie uznaje żadnych różnic przyrodzonych i stara się o przypuszczenie najszerszych kół ludowych do uczestnictwa w oświacie i dobrobycie. Kultura artystyczna i smak wyrafinowany z jednéj strony, a nagromadzone bogactwa i potężny zasób społeczny—z drugiéj sprawiają, że się nie spostrzega na pierwszy rzut oka owéj pospolitości, rubaszności, gminności, jaka jest nieodłączną od demokratycznego ustroju społeczeństwa, w jego obecnéj przynajmniéj, przechodowéj fazie. Francuzi nie posiadają téj kategoryi osób, która odpowiada angielskiemu pojęciu *gentleman*'a, t. j. człowieka o zasadach, uczuciach, zwyczajach i formach uszlachetnionych, podniosłych, czystych, harmonijnych, i posiadać ich nie mogą. Do kotła, w którym się smaży i wytwarza społeczeństwo przyszłości, wrzuca-

ne są w tak przeważnéj ilości we Francyi czynniki gminne, ludowe, iż nie można się spodziewać, ażeby pierwszy lepszy Francuz wzniósł się na owe wyższe szczeble cywilizacyjne, które mu widnieją w oddali.

Inaczéj rzeczy stoją w Anglii. Społeczeństwo całe przesiąkłe jest duchem hierarchii. Ustopniowanie klas, rozgraniczenie praw i przywilejów zaciéra się w prawodawstwie i na gruzach historycznéj, tradycyonalnéj Anglii w oczach naszych powstaje inna, nowa. Ale jeżeli państwowy organizm przetwarza się szybko, to ustrój społeczny do tak szybkich reform się nie nadaje. Potrzeba będzie wieków, ażeby szczepione od pierwszéj ćwierci naszego stulecia zasady demokratyczne wydały swe owoce i zatarły w sercach i mózgach angielskich tylowiekowe tradycye. Anglik nie czuje się upokorzonym przez istnienie ponad nim sfery towarzyskiéj wyższéj, nie sarka na swą niższość. Wié, że od niego samego zależy stanowisko swoje polepszyć, przebiedz szczebel po szczeblu drabinę społeczną i okazuje szacunek tym co stoją po nad nim, wymagając szacunku od tych co się znajdują pod nim. Owo energiczne, bezustanne pięcie się w górę jednostek, rodzin, warstw, jest widoczne na każdym kroku. Robotnik nie ubiéra się jak we Francyi w skromną, czystą jego własną bluzę, symbolizującą jego ręczną pracę, ale kupuje stare, przechodzone ubrania gentlemanów: przypuszcza, że mu to da ich wygląd. Służąca, robotnica nie wyjdzie na ulicę bez kapelusza i rękawiczek: modeluje się na pani. Drobne mieszczaństwo, klasy rzemieślnicze dokładają wszelkich starań aby w swych sprzętach, powierzchowności i zachowaniu wznieśli się do wysokości tych, których nazywają *gentle folk*. Klasy średnie, wyzwolone, stykające i ocierające się o arystokracyę obdarza szacunkiem, otacza rodzajem czci, bo wié, że przez nagromadzenie fortuny, przez odznaczenie się w jakiéjkolwiek dziedzinie, arystokracya ta otworzy dłań swe szeregi i przyjmie go do swego koła jako równego. Postronny widz widzi w téj czołobitności względem klas wyższych czysty snobizm i sarkazmów swych mu nie skąpi. Nie myślimy tego snobizmu zaprzeczać, ale wydaje się on nam nieuniknionym, nieodzownym w społeczeństwie uorganizowaném hierarchicznie, nie mającém pojęcia o abstrakcyjnéj doktrynie równości. Gdy się słyszy w rodzinnych kołach warstw średnich angielskich, światłych, postępowych, bogatych pełne namaszczenia wzmianki o przelotnym stosunku z jakim lordem lub lady, pod wszystkimi innymi względami oprócz racyi towarzyskiéj, od nich samych niższymi, gdy się spotyka raz po raz ze wzmianką o oddalonéj, trudnéj nawet do zrozumienia koligacyi z tym lub owym podrzędnym członkiem arystokracyi, to się nie myśli podawać w wątpliwość zacho-

wawczego temperamentu towarzystwa angielskiego, to mu się przepowiada jeszcze długi okres rozwojowy na téjże saméj podstawie.

Z téj zasadniczéj różnicy wypływa odmienna fizyognomia towarzyskiego życia w obu krajach. We Francyi, przy napływie coraz nowych osobistości wybijających się na jaśnię, przy kalejdoskopowéj ruchliwości temperamentu, przy wirowaniu prądów, idei, zamiłowań ciągle nowych, nie ma żadnych żelaznych reguł, żadnego kodeksu obyczajów, żadnego ceremoniału tradycyjnego. Każdy przybysz czuje się od razu jak u siebie i jest tylko jednym atomem więcéj wśród nieskończonéj ich liczby: asymilacya jest łatwą. Inaczéj w Anglii: nie ma tam miejsca dla najwyższéj nawet samorodnéj wielkości. Trzeba być jeduém ogniwem w łańcuchu, jednym szczeblem na hierarchicznéj drabinie. Nikt nie może poważać się zburzyć istniejącego porządku. Ceremoniał jest sztywny, obowiązujący: kto mu się poddać nie chce albo nie umié, sam się na ostracyzm skazuje. Cudzoziemiec dziwić się będzie, jak się temu przed laty, przed wielu dziwił piszący, gdy spostrzegł, że przy świetnym stole jednego z pierwszych adwokatów Londynu, gospodarz domu najwyższe honory oddawał dwudziestoletniéj gąsce, ale żonie wice-hrabiego a podrzędne miejsce zajmowała przy nim poważna matrona słynna z literackiego talentu i rozległéj filantropijnéj działalności: Anglicy widzą w tém rzecz całkiem normalną, warunkującą się na hierarchii społecznéj, któréj niedostatki wybaczają się ze względu na jéj niezaprzeczalne usługi.

Naturalne tu znajdujemy przejście do wykazania różnic pomiędzy obu narodowościami w dziedzinie patryotyzmu i polityki. Patryotyzm, to jest miłość ziemi rodzinnéj z wszystkiemi jéj przynależnościami, gotowość do poświęcenia się zupełnego dla niéj, inaczéj manifestuje się u Francuzów aniżeli u Anglików. Uczuciowe przywiązanie niewątpliwie przeważa u pierwszych. Są oni przeświadczeni, że Francya jest najpiękniejszym, najlepszym krajem pod słońcem, ubłogosławiona od nieba. Wieśniak francuski, uwłaszczony od stu lat z górą, przylgnął do swéj gleby i na myśl mu nie przychodzi z niéj się wyprzedawać. Nie tylko patryotyczne przywiązanie do swéj wielkiéj ojczyzny ale do swéj prowincyi, do swéj parafii jest wysoce rozwinięte. Klasy średnie, oświecone, do tego czysto materyalnego przywiązania dodają jeszcze inny czynnik — poczucie wielkości cywilizacyjnéj Francyi, jéj usług oddanych światu, jéj przewodnictwa w sferze wiedzy, literatury, sztuki. Wzrosłe i wychowane w téj miłości i czci dla swéj ojczyzny pokolenia, czują się tak dobrze, na swéj własnéj ziemi, pod swą własną strzechą, że nie chcą jéj opuszczać, że się stali domatorami systematycznymi. Horyzont duchowy Francuzów zamknięty był długo i jest

nim jeszcze w znacznéj części w granicach ich kraju. To co jest, co się dzieje po za jego kresami nie miało dlań interesu. Jeżeli Francya, ongi pierwsze kolonialne mocarstwo, postradało kolonie z uszczerbkiem swego stanowiska w gronie państw wszechświatowych, to przyczyny tego szukać należy w tym wstręcie do opuszczania swego kraju i osiedlania się w zamorskich krajach, chociaż one były francuskiemi. Obecnie, za trzeciéj rzeczypospolitéj, Francya utworzyła w Azyi i Afryce nowe państwa kolonialne z olbrzymim wysiłkiem i nakładem, któremu historya przyklasnąć będzie musiała jako jednemu z doniosłych i dodatnich wypadków w rozwoju ludzkości. Ale przyszłość tego nowo zdobytego świata dla Francyi, jako narodu, zawisła jest od tego, czy jéj obywatele zgodzą się na osiedlanie w koloniach, czy zechcą opuścić swe wygodne gniazdka domowe dla ulepienia nowych w Anamii w Congo, w Madagaskarze. Jest to wątpliwe. Miłość Francuzów do swego kraju jest ślepą, przesadzoną, i dla dnia dzisiejszego poświęca jutrzejszy. Pokazuje się to nie tylko we wstręcie do zamieszkiwania w koloniach ale w ograniczaniu rodzajności. Dla utrzymania dzieciom téj saméj pozycyi, tego samego mienia, które oni mają, ograniczają umyślnie ilość swych dzieci. Jako następstwo téj uszczuplonéj rodzajności, Francya zostanie coraz bardziéj przekréskowaną przez współzawodniczące z nią państwa.

Nie ma śladu téj ciasnéj, przesadzonéj miłości ojczyzny u Anglików. Tak samo jak czynszownik nie posiadający skiby własnéj ziemi, przenosi się z łatwością z jednego okręgu i jednego hrabstwa do drugiego, tak samo całe ludowe i średnie pokłady społeczne zmieniają miejsce pobytu. Nie ma ścisłych węzłów pomiędzy ziemią a ludnością. Anglicy w porównaniu do innych narodów, a szczególniéj do Francuzów są włóczęgami, prowadzą życie koczownicze. Za lada powodem, często bez żadnego, przenoszą się z jednéj miejscowości do drugiéj. Zamożność większa i łatwość utworzenia wszędzie wygodnéj placówki umożebnia ten sposób życia, który wszedł już w organizm indywidualny Anglików. Są oni kosmopolitami; opuszczają bez żalu brzegi ojczyste [1]), ażeby się przenieść do jednéj z tych kolonii, któremi usiali całą kulę ziemską i często nie zagrzeją miejsca w jednéj i przenoszą się do drugiéj, na antypodach. Potrzeba dla młodszych synów rodzin bogatych i dla całéj masy narodowéj, zaprzęgniętéj do konkurencyi życiowéj, zdobycia sobie pozycyi materyalnéj, popycha ich do osiedlania się w koloniach. Sentymentalna czułość nie staje na zawa-

[1]) Wyraz „ojczyzna“ we francuskiém pojęciu „patrie“ albo niem. „Vaterland“ nie istnieje nawet w języku angielskim. Zastępuje go wyraz country i kraj. Nie jest to toż samo.

dzie temu emigracyjnemu prądowi. Na każdéj piędzi ziemi do Wielkiéj Brytanii należącéj, Anglik wié, że jest u siebie, że go osłania sztandar narodowy, *Union Jack*. Rezultatem téj gotowości do przesiedlania się, do rozpinania swego namiotu pod dalekiém niebem jest to, że obecnie, u schyłku XIX stulecia, trzecia część kuli ziemskiéj stała się własnością Anglików a prawdopodobnie ostatnie słowo tego wyłaniania się na zewnątrz nie zostało jeszcze wypowiedziane.

Ale Anglik nie tylko osiedla się w koloniach brytańskich. Z równą łatwością przenosi się do obcych krajów. Nie ma stolicy europejskiéj, nie ma pięknéj miejscowości po téj lub tamtéj stronie Atlantyku, gdzieby się nie utworzyła osada angielska. W przeciwieństwie do Francuza - domatora, Anglik stał się podług znanego wyrażenia istotnym typowym *globe-trotter*. Dziwnym naturalnych uczuć przewrotem, Anglik, który ojczyźnie swéj nie okazuje żadnego nadzwyczajnego przywiązania, przywyka nieraz do miejscowości obcych, w których się osiedlił i daje jéj dowody synowskich uczuć: piśmiennictwo angielskie przechowuje wspomnienia tego hołdu złożonego postronnym krajom.

Ciasnota francuskiego patryotyzmu wyrodziła osławioną zarozumiałość narodową: przeciwstawą jéj u Anglików jest duma, wyniosłość i pycha. Francuzi byli aż do ostatniéj ćwierci wieku naszego, zepsutém dzieckiem, pieszczochem świata. Odegrali w nim istotnie wielką rolę, ale przypisali sobie większą jeszcze. Ciągle im się zdawało, że *gesta Dei per Francos* spełniane być muszą, że posiadają przyrodzoną wyższość nad innymi narodami, że ani pod względem wojennéj waleczności ani w dziełach pokoju nikt się z nimi porównać nie może. Ich literatura i sztuka nie tylko górowały nad innemi, ale miały być jedynemi. Ten dym kadzideł, które sobie sami palili, zawrócił im głowę i doprowadził prostą drogą do katastrofy 1870 r. Cios obucha był bolesny ale użyteczny. Zarozumiałość francuska ustąpiła miejsce słuszniejszemu własnych sił ocenieniu. Od téj pamiętnéj chwili przestali pomiatać innemi narodami, zaczęli studyować ich instytucye, języki, piśmiennictwa, przestali się uważać za zbawców i kierowników ludzkości. Nie można wprawdzie powiedziéć, żeby rdzennie wyleczeni zostali z dawniejszéj swéj przywary, a nadzwyczaj szybkie odrodzenie ich kraju, pod nową formą wykazawszy żywotność i potęgę ich narodowego organizmu, przyczyniło się do pokrzepienia ich na duchu, do dodania im otuchy: jest atoli postęp niezaprzeczony.

O wyniosłéj pysze angielskiéj uczyniona już była wzmianka wyżéj. Spoglądając na rozległość należących doń krajów, na setki milionów mieszkańców swego imperium, czując się przewodnim narodem rasy anglo-saskiéj, która będzie za sto lat najliczniejszą i najpotężniej-

szą na świecie, świadoméj swego bogactwa, swéj przemysłowo-handlowéj hegemonii, Anglik ze wzgardą spogląda na inne narody, traktuje je jak chudopachołków, jak karłów. Wobec braku oporu, jaki się okazał u współzawodników, z wysokości swego zajętego stanowiska pomiata nimi i nie zadaje sobie pracy lekceważenia tego ukrywać. Pierwsze miejsce należy mu się zawsze i wszędzie w jego przekonaniu i spycha po grubiańsku tych, co się poważają o nie kusić. Narzekają i oburzają się ci, co przez Anglików są wyparci, na ich egoizm. Jest to egoizm bezwątpienia, ale specyalną jego cechą jest przeświadczenie głęboko zakorzenione, że hegemonia ta należy się Anglii i że przez ich ręce dobroczynna manna spada na całą ludzkość. Ta pycha sprawia, że Anglicy są tak ogólnie nielubiani, niecierpiani nawet. Nikt z nas nie znosi chętnie pogardliwego traktowania.

Przez wymiar sprawiedliwości, w duchu moralnego prawa niecierpiącego wyjątków, winy popełnione przez nas spadają na nas samych i mszczą się stokrotnie. Dzieje się to nie u jednostek tylko, ale i u zbiorowych organizmów. Zarozumiałość i bezczelność Francuzów przyprawiła ich o stratę supremacyi europejskiéj. Pycha angielska jest także w trakcie otrzymania takiéj saméj nauki. Nie przypuszczała, ażeby inne narody mogły stworzyć kolonie zyskowne: dziś już wié, że to miało miejsce. Obok swéj marynarki, która miała monopolizować morza, stanęły potężne floty, z któremi się liczyć musi. Świat cały, który miał być hołdownikiem jéj przemysłu i rynkiem handlowym dla jéj towarów, nietylko z téj służebności się wyzwolił, ale Anglia widzi się zagrożoną, pobitą, wypartą ze swych wewnętrznych rynków przez wyroby obce, przedewszystkiém niemieckie. Otwiérają się oczy Anglikom i spostrzegają, że ci cudzoziemcy, których im się tak długo podobało traktować jako rasy pośledne, nie są zupełnie pozbawieni wartości. Prawdopodobnie nauka w las nie pójdzie!

Ale przywiązanie do ojczyzny, do organizmu duchowego i konkretnego, który ona uosabia, okazuje się i okazywać winno nie w uczuciowości, choćby wysoce podnieconéj, lecz w czynach, w gotowości do ofiar i poświęcenia swych osobistych interesów na ołtarzu powszechnego dobra. Trzeba przyznać, że oba zachodnie społeczeństwa posiadają ten patryotyzm czynny, ale manifestują go w odmienny sposób. W świeżéj jeszcze ma świat pamięci gorączkowy zapał, z jakim się wzięła Francya po wojnie niemieckiéj do odbudowania ojczyzny. Nie było wysiłku, któregoby się nie podjęła, i nie szemrano ani na miliardy wydane dla postawienia kraju na pierwszorzędnéj stopie wojennéj, ani na brzemię podatków, które od téj pory gniecie naród francuski, silniéj aniżeli jakikolwiek inny. Co więcéj, Francya zgodziła się

chętnie na zaprowadzenie u siebie powszechnéj, obowiązkowéj służby wojskowéj, największéj ofiary, jaką może obywatel ponieść dla kraju, gdyż daje mu trzy lata swego osobistego życia. Nie zamykając oczów na szlachetne strony téj akcyi publicznéj, nie można wszelako spuszczać z uwagi, że objawiła się ona pod bodźcem entuzyazmu, że pochlebiała miłości własnéj narodu, i że materyalne jego bogactwo z jednéj strony, a wrodzone wojenne skłonności z drugiéj, przyczyniły się, że tak powiemy, do skanalizowania tego jednorazowego poświęcenia w stałe instytucye. Anglicy nie mogą wymódz na sobie aż takiéj ofiary, jak obowiązkowa służba wojenna: jest to sprzeczne z tym wysoce w nich rozwiniętym zmysłem indywidualizmu. Nie można jednak zapominać ani o jedności opinii narodowéj, przytłumiającéj głos stronnictw, gdy idzie o interesa i o wielkość Anglii w przeciwieństwie do obcych krajów, ani o tych codziennych, stałych ofiarach, jakie wszystkie warstwy narodowe, a szczególniéj zamożniejsze, czynią dla utrzymania instytucyi użyteczności powszechnéj. Mniéj to uderza w oczy, mniéj sprawia efektu zawotowanie przez izby kilkudziesięciu milionów podatku, rozłożonego na całe społeczeństwo, aniżeli zapisanie w swoim osobistym budżecie rodzinnym pewnéj sumki na publiczne subskrypcye, filantropijne instytucye etc., którą to sumę płacą bez żadnéj kontroli, żadnego przymusu, lecz jedynie w poczuciu patrotycznego obowiązku względem swego kraju.

Łatwy, nader łatwy, zużyty temat przedstawiałoby wykazanie różnic między Francyą a Anglią w dziedzinie politycznéj. Najpowierzchowniejsza znajomość historyi i konstytucyjnego rozwoju obu narodów wystarcza do postawienia pomiędzy niemi słupów granicznych. Ale jeżeli są to dwa odmienne światy podług ogólnego uznania, to porównawczy badacze zapominać się zdają o chronologicznych datach przełomowych w historyi każdego z tych narodów. Rewolucya angielska dokonała się w połowie XVII-go wieku, francuska o cały wiek późniéj—w końcu XVIII-go. Oddawna Anglia przetrawiła już swoją, zapomniała o ściętéj głowie Karola I-go, o wojennéj dyktaturze Cromwella, a monarchia konstytucyjna, ten szyld pokrywający wyemancypowanego narodu swobody, miała czas zapuścić głębokie korzenie w organizm państwowy. We Francyi rewolucya trwała także prawie całe stulecie i można powiedziéć, że społeczeństwo francuskie dopiéro od lat kilkunastu weszło w peryod ewolucyjny normalny. Jest tedy niesprawiedliwością, krzywdą wyrządzaną Francyi, gdy się przeciwstawia tryumfująco instytucye angielskie, funkcyonujące gładko w wyżłobioném korycie, jéj instytucyom zaledwie z jajka wyklutym, zaimprowizowanym. Gdy się te daty dwie ma w pamięci, rozwiéwa się w puch

ta oklepanka, która przeciwstawiać lubi zmienną ruchliwą fizyognomię politycznéj Francyi—poważnéj, niezmiennéj budowie Anglii. Zmienność francuska i jéj szamotanie się konwulsyjne było symptomatem odbywającéj się u nich rewolucyi, a o tendencyach zachowawczych społeczności francuskiéj, o jéj zamiłowaniu tradycyi i rutyny nawet nie wątpi nikt, kto się w naturę jéj wewnętrzną zagłębił. Jest równie fałszywém zdanie o nieruchomości kamiennéj gmachu konstytucyjnego Anglii. Przeciwnie. Prąd ku równości demokratycznéj podkopał już fundamenta tego gmachu. Anglia ani na chwilę w ciągu ostatniego pół wieku nie zatrzymała się w dziele reorganizacyi i reform o charakterze radykalnym. Nie spostrzeżono tego z razu dzięki metodzie działania i mechanizmowi parlamentarnemu, który wymaścił wrzeciądze, ale porównywając Anglię u schyłku naszego stulecia z tą, jaką była w przededniu bilu reformy 1832 roku, można słusznie zapytać, czy to jest ten sam organizm. Francya i Anglia w odmiennym porządku wprowadzały u siebie dwie zasady pierwotne organizmów postępowych — równość i wolność. Przewaga pierwszéj skrystalizowała się we Francyi w centralizacyi państwowéj, przewaga drugiéj pozwoliła Anglii rozwinąć szeroki samorząd. Nie ma wątpienia, że gdy Francya zabezpieczy sobie raz na zawsze swobody, o których posiadanie tak zapalczywie walczyła, będzie usiłowała wyzwolić osobników z kurateli scentralizowanego państwa. W Anglii natomiast rozpoczął się już ruch dośrodkowy i wytwarza się sfera działalności wszechpaństwowéj, wręcz przeciwna odwiecznym, historycznym narodu tego tradycyom.

Zatrzymujemy tutaj tę paralelę bynajmniéj nie dlatego, żeby materyał wyczerpany został, ale w przekonaniu, że dotknięte zostały w pobieżnym przebiegu główne strony charakteru indywidualnego, rodzinnego, towarzyskiego i publicznego życia Francuzów i Anglików. Daleką jest od nas myśl wyciągnięcia z tego zestawienia morału i przyznawania jednym lub drugim palmy pierwszeństwa. Wobec różnic na tylu punktach stwierdzonych, wobec szali przechylającéj się bądź na jedną, bądź na drugą stronę, byłoby to niewykonalném, nawet gdyby się zapomniało, że się ma tu do czynienia z organizmami żyjącemi, a zatém ulegającemi ustawicznéj zmianie.

Ale jeden wniosek da się w każdym razie uczynić. Skoro pomiędzy dwoma najbardziéj ucywilizowanemi społeczeństwami istnieją w chwili obecnéj takie głębokie, takie rdzenne różnice, to owe marzenia ideologów o zjednoczeniu ludzkości, albo przynajmniéj Europy w jednolity związek pokazują się być—gruszkami na wierzbie.

N. T.



W sprawie zakładów obłąkanych.

W Anglii i w Niemczech ukazały się równocześnie dwie broszury, tendencyą i duchem zupełnie ze sobą zgodne. Celem, do którego dążą, jest skłonienie państwa do żywszego zajęcia się sprawą domów obłąkanych, — duch, który czyni je podobnemi do siebie, jak dwie bliźnie siostry, jest szczere a bezinteresowne zajęcie się dolą tych nieszczęśliwych, z pomiędzy upośledzonych najnędzniejszych, bo opuszczonych nietylko przez matkę naturę, lecz także przez ludzi. W obecnych stosunkach społecznych, we wszystkich—o ile wiem—państwach cywilizowanego świata, człowiek obłąkany jest pozbawiony przez państwo wszelkich praw. Z chwilą, gdy zostanie uznany za waryata, jest prawnie zmarłym. Państwo albo pozostawia go na łasce i niełasce osób prywatnych, albo — jeśli czyn ten jest niemożliwy — grzebie go żywcem w grobie zwanym domem obłąkanych. Powiadam: w grobie, bo przeciętna organizacya tych zakładów wyklucza prawie zupełnie jakąkolwiek kontrolę traktowania internowanych, a lekarze i służba dzierży nad nimi nieubłagane prawo miecza, z którego nazbyt często czyni użytek, jak o tém świadczą częste i liczne pogłoski lub rozprawy sądowe.

Obie wspomniane broszury zajmują się przedewszystkiém urządzeniem zakładów dla obłąkanych, a reformy, jakie, zdaniem ich, powinny wejść w życie, dotyczą prawie wyłącznie traktowania osób już pomieszczonych w zakładach.

Sprawa zaś osądzenia stanu umysłowego jednostki, na którą pada podejrzenie zboczenia psychicznego, jest traktowana zbyt pobieżnie. Sprawa ta jednakowoż jest—mojém zdaniem—w rozwijaniu i rozpatrywaniu powyższéj kwestyi, natury tak samo zasadniczéj, jak część jéj dotycząca zakładów, ale znajduje się bezwarunkowo na pierwszym planie. Autorowie obudwu broszur starają się jedynie udowodnić — co im się też w zupełności udało, że państwo, jeśli w zachowaniu się swém wobec hygieny socyalnéj chce być konsekwentne, musi równie zająć się chorymi umysłowo, jak się zajmuje upośledzonymi w innym kierunku, inwalidami, kalékami, trędowatymi, nędzarzami zdemoralizowanymi brakiem najpierwszych potrzeb życia, głucho-niemymi, ślepymi, sparaliżowanymi i t. d.

Żadne głuchonieme lub ślepe indywiduum nie zostanie pierwéj przyjęte do zakładu zanim nie zostanie najdokładniéj, najwszechstronniéj zbadaném. Wobec gałęzi nauki, dotyczących tych działów chorób, dyagnoza przychodzi stosunkowo szybko i lekko. O chorobach umysłowych nie można tego twierdzić. Brak jest nietylko lekarzów-fachowców w psychiatryi, ale nie istnieje dotychczas ani jedna norma, ani jedna definicya, dająca całkiem jasny pogląd na różnicę zachodzącą między człowiekiem umysłowo zdrowym a chorym. Teorya powstała ostatniemi czasy, przedewszystkiém Lombrosa i jego szkoły, zagmatwały kwestyę do reszty. I jesteśmy rzeczywiście w tém stadyum rozwoju psychiatryi, że w razie popadnięcia w podejrzenie znajdowania się w stanie umysłowo-chorobliwym, — może łatwo zajść ewentualność internowania na t. zw. obserwacyę przez całe miesiące i lata. Od widzimisię lekarza zależy obecnie życie i zdrowie człowieka podejrzanego o obłąkanie. A co jest najcharakterystyczniejsze dla istniejącéj hygieny umysłowéj: psychiatra jest za swe czynności nieodpowiedzialny.

Ta ostatnia okoliczność bywa powodem strasznych pewnego rodzaju nadużyć, które grozą swą przypominają wieki średnie. Jak wówczas klasztory były owym środkiem, którego się chwytano nieraz, gdy chodziło o pozbycie się słabszego przeciwnika, — tak samo dzieje się w naszych czasach, jak poświadczają częste skandale familijne, kończące się zwykle przed kratkami sądowemi. Przedtém zamykano w klasztorze pod zarzutem żywota pędzonego w grzechu i bezecności; procedura była w tym względzie łatwa, bo zwykle nietrudno było o dygnitarza, który zarzuty czy to familii łakoméj na majątek internowanego, czy też wrogów, chcących się bez noża pozbyć rywala,—potwierdził i tém samém wyrok bez żadnéj dla siebie odpowiedzialności podpisał.

Ten brak odpowiedzialności pochodził z braku ścisłéj definicyi cnoty i grzechu. Ponieważ *quot erant capita — tot sensus erant puncto* określenia moralności i niemoralności, więc téż konsekwencya nie mogła być inna, jak tylko zdjęcie odpowiedzialności przedewszystkiém z tych, którzy stanowiskiem swém dawali rękojmię niezachwianéj wiary w kościół. Rozjemcą i czynnikiem godzącym przeciwności była zatém religia, jako urząd. Piastujący urząd kościelny był niejako patentowanym na nieomylnego w kwestyach cnoty.

Jak się ma sprawa z psychiatryą?

Wobec zupełnego braku definicyi zdrowia i choroby mózgu czyli normalnych i anormalnych objawów umysłu, żaden człowiek—jak już wyżéj wspomniałem — nie może nigdy wiedzieć, czy jest umysłowo zdrowym czy nie. Z tego wynika, że podejrzenie choroby może być na niego w każdéj chwili rzucone i w dalszym ciągu zażądane „wzięcie pod obserwacyę lekarską", czyli — poprostu — zamknięcie w domu waryatów.

Decydujące słowo ma w tym razie patentowany dygnitarz medycyny.

Podobnie jak kościół nie podawał, ani nie podaje definicyi cnoty, — podobnie medycyna nie objawiła dotychczas, gdzie się znajduje granica zdrowia i choroby umysłowéj. To téż w ostatecznym rezultatacie, każdy człowiek o przeciętnym trzeźwym rozumie, jakkolwiek nie jest fachowym medykiem, o stanie umysłowym potrafi wydać sąd takiéjże wartości, co sąd każdego przeciętnego lekarza.

Ale tu właśnie wkracza państwo ze swą ustawą. Jakkolwiek więc sąd medyczny przeciętnie nie wart więcéj, aniżeli sąd laika, mimo to sąd lekarza jest ostatnią instancyą, od któréj nie ma rekursu. Sędzia zaś jest od wszelkiéj odpowiedzialności wolny.

Że znajdują się lekarze wyzyskujący to uprzywilejowane stanowisko, związane z dyplomem doktorskim — o tém świadczą liczne fakta, zbyt znane, by je bliżéj w téj chwili omawiać. Ten stan rzeczy jest podobnie anormalny, jak przywileje średniowiecznego kleru, będące powodem tylu i tak strasznych nadużyć. Ostatecznie władza kościelna w rzeczach świeckich przeżyła się lub się przeżywa, gdzie jéj jeszcze stosunki sprzyjają, — o władzy lekarskiéj jednak można śmiało powiedziéć, bez najmniejszéj obawy popadnięcia w przesadę, że nietylko sił nie traci, ale ich owszem z każdym dniem nabiéra.

Każdy profesor na fakultecie medycznym, mający swą klinikę, każdy prymaryusz szpitala jest—dosłownie—absolutnym panem życia i śmierci swych pacyentów. Jednak chorzy, znajdujący się na klinikach interny, chirurgii i t. d., mają cierpienie ściśle określone; dyagno-

za zaś daje—jakkolwiek nie zupełną — w każdym razie jednak jaką taką rękojmię racyonalnego leczenia i wyleczenia. Psychiatrya w chwili obecnéj téj rękojmii wcale nie daje, bo nie daje — nie mówimy już pewnéj — ale nawet przybliżonéj dyagnozy t. z. wynikającéj z dokładnéj znajomości przyczyn organicznych.

Powód tego wyjawi bodaj krótki rzut oka na rozwój téj nauki, nie sięgającéj wstecz nawet połowy wieku.

Budowę mózgu, uznanego od dawna za siedzibę władz umysłowych, rozpoczęli badać systematycznie anatomowie, datujący swą działalność od roku 50-go, a z pomiędzy których profesorowie Hyrtel (Wiedeń) i Teichman (Kraków) na szczególną zasługują wzmiankę. Badanie mózgu, jako specyalność, obrał sobie profesor fizyologii na uniwersytecie wiedeńskim zmarły już Ernest Meynert [1]), i od niego dopiéro datuje się właściwa, pozytywna, psychiatrya fizyologiczna, ściśle złączona z psychofizyologią.

Są zatém dwa widoczne powody skłaniające do najsilniejszego sceptycyzmu, odnośnie do pomyślnych rezultatów tegoczesnéj psychiatryi. Pierwszym powodem jest nadzwyczajne skomplikowanie tego działu nauk medycznych; wymaga ona bowiem, pominąwszy znajomość najdokładniejszą anatomii i fizyologii organizmu ludzkiego, co już samo stanowi materyał, na którego owładnięcie życie ludzkie ledwie wystarczyć może, ale nadto najdokładniejszéj znajomości wzajemnego oddziaływania organizmu i mózgu, a specyalnie wgląd we wszystkie funkcye tego organu, którego każda komórka jest skarbnicą wiedzy, którego najdrobniejsze wzruszenie wywołuje rozterkę całego organizmu, a który mimo wszelkie usiłowania stanowi dotychczas księgę zamkniętą na zamek, do którego klucza dotychczas nie zdołano dorobić.

A dopóki w księdze téj nie będziemy mogli swobodnie czytać, dopóty sądy choćby nauczeńszych lekarzy-fachowców będą miały wartość bardzo a bardzo problematyczną.

Ponieważ jednak chodzi o paliatyw, o doraźny środek przeciw istniejącym nadużyciom, dlatego zamiast rozpaczać nad niedołęstwem wiedzy ludzkiéj, należy raczéj rozpatrzyć możliwość częściowego przynajmniéj usunięcia złego, jeśli zupełne wyplenienie jest niemożliwe.

---

[1]) Wymieniam przedewszystkiém Meynerta, jako najwybitniejszego, co do rezultatów swych badań mózgu. Głośnymi na tém polu są nadto Fritsch, Hitzig, Munk i Flechsig, — ten ostatni znany szerszéj publiczności z ostatniego kongresu psychologicznego w Monachium, na którym przedstawił swą oryginalną hypotezę, dotyczącą „centrów assocyacyi w mózgu ludzkim", mogącéj w razie swego sprawdzenia, nabrać ogromnéj doniosłości w rozwoju psycho-fizyologii.

Przedewszystkiém więc, jakkolwiek psychiatrya sama przez się stoi jeszcze bardzo nisko, nawet wobec innych równie młodych działów medycyny, mimo to wymaga wyłącznego zajęcia się sobą przez tych lekarzy, którzy leczeniu chorób umysłowych mają zamiar się poświęcić. W tym wypadku ma zastosowanie hasło wydawane stopniowo we wszystkich dziedzinach wiedzy, a mianowicie: specyalizowanie. Ogromny a z każdym dniem rosnący nawał nowych odkryć i faktów zmusza do jednostronnego oddania się pewnemu działowi naukowemu. Jakkolwiek zatém psychiatrya sama przez się nie zdolna jest budzić wielkiego zaufania, jednakowoż mając w danym krytycznym wypadku do czynienia ze specyalistą-psychiatrą lub z całą komisyą psychiatrów, można liczyć przynajmniéj na dyagnozę, która jeśli może niezupełnie będzie trafną, nie będzie téż do tego stopnia szkodliwą, jak się to dzieje w wypadkach, gdzie nie-specyalista wydaje sąd o stanie umysłowym pewnego indywiduum.

Zatém obowiązkowe studya psychiatryczne dla specyalistów, którym jedynie tylko ma być dozwolone orzekanie o stanie umysłowym pacyenta, a w wypadkach bardziéj zawikłanych, t. j. wymagających prawdopodobnie internowania badanéj osoby, — orzeczenie komisyi, złożonéj z pewnéj liczby specyalistów określonéj ściśle przez prawo, byłoby paliatywem, który prawdopodobnie zdołałby usunąć, chwilowo przynajmniéj, najbardziéj krzyczące nadużycia, popełniane w dziedzinie teraźniejszego systematycznego (!) — *sit venia verbo*—leczenia obłąkanych.

A teraz przystępuję do części drugiéj zadania, t. j. do sprawy racyonalnego urządzenia zakładów obłąkanych.

Jak już wspomniałem, kwestya ta jest wyczerpująco traktowana w broszurze Mr. Charles Heneage'a, wręczonéj 14 czerwca r. b. lordowi kanclerzowi i innym ministrom, celem zachęcenia rządu angielskiego do interwencyi w sprawie nowych reform zakładów obłąkanych. Również z planem reform, dotyczących tegoż przedmiotu, występuje dr. A. Erlenmeyer w swéj broszurze p. t. „*Unser Irrenwesen: Studien und Vorschläge zu seiner Organisation*". Wiesbaden, 1896.

Dzieło Erlenmeyera jest bardziéj wyczerpujące od broszurki Mr. Heneage'a i prześciga je tak pod względem gruntownego i przejrzystego przedstawienia materyału, użytego na poparcie przedłożonego planu reform, jak pod względem szczegółowego traktowania sprawy. Jakkolwiek w tym kierunku różnią się obie broszury znacznie, zgadzają się jednak bezwzględnie na jedno: że reformy są konieczne i to reformy podjęte i przeprowadzone z góry, t. j. przez rząd.

Działalność publicystyczna Mr. Haneage'a w sprawie nowych reform domów obłąkanych datuje się już od lat kilku. Zanim wręczył swą broszurę rządowi, głosił już zebrane w niéj krótko i węzłowato zasady w szpaltach licznych poważnych pism angielskich. Osiągły one dotychczas przynajmniéj ten skutek, że poruszana przez niego kwestya traktowania nałogowych pijaków (*Habitual drunkwards*) omawiana już była w roku bieżącym w parlamencie angielskim i uznana za dojrzałą do stanowczego rozwiązania.

W swéj broszurze podaje on trzy grupy reform, których konieczne i szybkie przeprowadzenie jest—jego zdaniem—sprawą najaktualniejszą, najbardziéj piekącą, która nie powinna schodzić z porządku dziennego publicystyki, dopóki nie zostanie doprowadzona do skutku.

Żąda on po pierwsze „założenia centralnego urzędu z poręką państwa, rozciągającego swą władzę na wszelkie sprawy dotyczące obłąkanych w całéj Anglii."

Sprawa założenia centralnego urzędu dla psychiatryi w całéj swéj rozciągłości, poruszona już była w r. 1889 przez Mr. Brudenell'a Carter'a w londyńskiéj radzie lekarskiéj (*London County Council*) i jakkolwiek zainteresowała szersze koła publiczności, kroków żadnych celem wprowadzenia jéj w życie nie poczyniono. Poszczególne punkty, związane z tą reformą, są: zakładanie klinik psychiatrycznych, domów obłąkanych pod kierownictwem wytrawnych specyalistów, przytułków dla nałogowych pijaków i t. d. Zadaniem owego urzędu centralnego wobec tych instytucyi byłaby: obowiązkowa ścisła kontrola i prowadzenie psychiatrycznych wykazów statystycznych. Ten ostatni punkt zasługuje w szczególności na głęboką uwagę. Przekonanie o doniosłości usług oddanych przez statystykę każdéj gałęzi wiedzy i przemysłu ludzkiego, zapuściło w obecném społeczeństwie głębokie korzenie, — a nauka ta pomocnicza, jakkolwiek znajduje się jeszcze w pieluchach, gra w życiu społeczném rolę pierwszorzędną i z dniem każdym stanowisko to wzmacnia. Czém dla hydro i aero-mechanika jest barometr, dla handlu wykazy tranzakcyi, dla giełdy wykazy kursu papierów — tém dla socyologii w ogólności a w szczególności dla psychiatryi odpowiednie wykazy statystyczne. Cel, do którego statystyka dąży, równa się zadaniu rurki manometrycznéj, umieszczonéj na kotle parowym. Podobnie jak tu manometr przez dokładne wykazywanie ciśnienia pary umożliwia zapobieganie wszelkim wypadkom, czy to wyziębienia kotła przez zbytni ubytek, czy też jego eksplozyi przez zbytnie nagromadzenie pary—takie same działanie ma—zdaniem optymistów—spełnić w przyszłości statystyka: przez

wykazy swe umożliwi najdokładniejsze regulowanie postępu społecznego pod każdym względem. Środki zaś, których się władza będzie chwytać dla osiągnięcia powyższego celu, będą częścią natury zapobiegawczéj (*Praeventio*) częścią represywnéj (*Repressio*) t. j. walką przeciwko już wybuchłéj klęsce.

Zastosowanie statystyki w zakładach psychiatrycznych polegałoby na prowadzeniu ścisłego wykazu chorób umysłowych w dotyczącym zakładzie badanych. Rezultat tych badań zostałby następnie podany do wiadomości centralnego urzędu psychiatrycznego, będącego zarazem centralnym urzędem statystycznym dla psychiatryi — a ponieważ czynność ta byłaby obowiązkową dla wszystkich domów obłąkanych, rozmieszczonych po rozmaitych okolicach państwa, powstałaby w ten sposób dokładna ogólna tabela statystyczna objawów psychiatrycznych całego terytoryum królestwa angielskiego. Mr. Heneage podnosi znaczenie tego urządzenia. Państwu daną byłaby przez to możność szybkiego niesienia środków zaradczych a przez dokładne poznanie warunków hygienicznych każdéj miejsowości—podniesienia, względnie poprawienia stosunków sanitarnych państwa.

Myśl téj reformy była również w Niemczech poruszana. Wymownie bronił jéj prof. Pelmann (*Zeitschrift für Psychiatrie, Bd.* 53), zalecając usilnie wprowadzenie jéj przez rządy rzeszy niemieckiéj i monarchii austryacko-węgierskiéj. Usiłowania te nie osiągły dotychczas pożądanego skutku, mimo, że nie ulega najmniejszéj wątpliwości, iż reforma tego rodzaju przyczyniła by się niezmiernie do rozwoju psychiatryi i racyonalnego traktowania obłąkanych.

D r u g i é m ż ą d a n i e m Mr. Heneage'a jest „założenie przez rząd psychiatrycznych „instytucyi" (klinik) w stolicy i kilku większych miastach prowincyonalnych dla kształcenia fachowych psychiatrów. Instytucye te mają się znajdować pod bezpośrednią kontrolą rządu".

Gdyby ten znakomity wniosek wszedł w życie — wystarczyłby krótki przeciąg kilku lat a państwo znalazłoby się w posiadaniu sporéj liczby młodych, dzielnych sił lekarskich, wykształconych fachowo w psychiatryi. Brak tych fachowych sił mocno daje się odczuwać społeczeństwu—przedewszystkiém gdy chodzi o sądowe orzeczenie lekarskie, dotyczące umysłowego stanu delikwenta. Prawdziwy rzeczoznawca miałby tu sposobność do usunięcia wielu zastarzałych poglądów biurokracyi i niesienia ulgi skazańcom, nękanym niewinnie w więzieniach za winy, które ze stanowiska medycznego, w wielu wypadkach należałoby uważać za niepopełnione, ponieważ były wykonane nietylko bez dostatecznego rozmysłu, lecz bardzo często bezprzytomnie. Nadzieja, że w przeciągu krótkiego czasu zaroiło by się państwo od

dzielnych psychiatrów, ma o tyle silne podstawy, że popierwsze konkurencya na tém polu jest stosunkowo jeszcze bardzo słabo rozwinięta, a wzgląd ten skłoniłby bardzo wielu młodych lekarzy do rozwiązania w ten sposób swéj kwestyi chleba,—nadto zaś wzmagające się ostatniemi czasy zainteresowanie zagadnieniami psychiatrycznemi—rozbudzone przedewszystkiém przez Lombrosa—zyskałoby téj gałęzi praktyki lekarskiéj sporą liczbę adeptów. Uwzględnienie w powyższém wnioskowaniu tych dwóch czynników: ekonomicznego i naukowego — zdaje się że jest wystarczającém do wysnucia zeń rezultatu dodatniego.

Trzecia wreszcie reforma Mr. Heneage dotyczy „zaprowadzenia we wszystkich zakładach obłąkanych zupełnéj swobody w leczeniu chorych", jak się to już dzieje w Austryi i Niemczech. Dla nałogowych pijaków i nieuleczalnych waryatów żąda Mr. Heneage uchwały parlamentu w formie „ustawy nakazującéj odosobnienie nałogowców od reszty obłąkanych, a dla obudwu wymienionych typów zaprowadzenia systemu kurateli majątkowéj."

Tak pierwsza jak druga część tego ostatniego wniosku nie znalazła nigdzie zasadniczych przeciwników. Swobodne traktowanie chorego przez lekarza jest samo przez się zrozumiałe i jeśliby mogło być pod jakim względem ograniczone, chyba jedynie o tyle, że ów lekarz musiałby być zawsze fachowym psychiatrą.

Co się tyczy części drugiéj — jakkolwiek wniosek nie jest bezwzględnie fałszywym, jest jednak zbyt ogólnikowy. Kuratela rozciągnięta nad majątkiem nieuleczalnie obłąkanego lub nałogowego pijaka—jest urządzeniem bez zarzutu, — chodzi tylko o ścisłe zaznaczenie granicy między zwykłém pijaństwem a nałogowém i między nieuleczalnie obłąkanym a owym typem, który ludowa gwara zowie „bzikiem" lub „postrzelonym." W ten sposób trafiamy znowu na przeszkodę wskazaną już wyżéj na początku. Racyonalném jest, aby w każdym wypadku, gdzie chodzi o przyjęcie pewnego indywiduum do zakładu lub uznanie go za wyleczonego czyli—uwzględniwszy bezpośredni skutek orzeczenia, — gdzie chodzi o uznanie kogoś za zdolnego do samodzielnego załatwiania swych interesów lub za niedołężnego — należy nie pozostawiać orzeczenia nigdy jednemu lekarzowi, choćby nawet był dzielnym fachowcem, lecz tylko całéj komisyi, by tém samém zmniejszyć prawdopodobieństwo popełnienia błędu, pociągającego za sobą wieczne unieszczęśliwienie osobnika normalnego, popadłego w niesłuszne podejrzenie obłąkania, i zmniejszyć ciężar odpowiedzi alności, spadający na barki pojedyńczego lekarza.

Sprawa odosobnienia notorycznych pijaków, cierpiących na obłęd, spowodowany zbytniem oddawaniem się napojom alkoholicznym była wiele razy obszernie omawiana i można ją uważać za załatwioną, gdyż w zakładach obłąkanych—zwłaszcza w Austryi—metoda internowania pijaków w odosobnieniu od reszty pacyentów, jest po największéj części w użyciu. Powody skłaniające do tego postępowania wynikają nietylko ze względów praktycznych, związanych z rozmieszczeniem obłąkanych według kategoryi chorób, któremi są upośledzeni, lecz i ze względu na innych pacyentów, na których towarzystwo obłąkanych pijaków działa w wysokim stopniu demoralizująco. Interesujące uwagi w téj materyi zamieścił dr. L. Schlangenhausen w czasopiśmie „Strassburger Anzeiger" w zeszycie z 8 lutego b. r. w artykule p. t. „*Die Gewohnheitstrinker und das Curatelverfahren in Oesterreich.*"

Wymieniona broszura Mr. Haneage'a wzbudziła nadzwyczajne i ogólne zajęcie. Interesują się nią nietylko w kołach lekarskich a więc fachowych, lecz i publiczność angielska, odczuwająca na każdym kroku prawdę bijącą ze słów wnioskodawcy, wytykającego braki w hygienie społecznéj Wielkiéj Brytanii, stara się o to, aby kwestya ta stała się kwestyą dnia. Być może, iż wnioski Mr. Haneage'a są zbyt ogólnikowe — jak mu zarzuca londyńskie czasopismo lekarskie „The Lancet", jest to przecież brak dający się tak łatwo usunąć przy pomocy specyalnéj komisyi, wybranéj ku wypracowaniu stosownego przedłożenia, opartego na *memorandum* Mr. Haneage'a, iż nie warto dłużéj się nad nim zatrzymywać. Dzieło dr. A. Erlenmeyera, które zamierzam teraz właśnie omówić, jest potemu, aby i ten zarzut obalić tam, gdzie chodzi o przedstawienie całokształtu reform psychiatrycznych, zdolnych pchnąć rozwój stosunków społecznych o spory krok naprzód. Jakakolwiek bądź zresztą jest redakcya *memorandum* petenta-filantropa, wnioski, jakie pismo to zawiera, nie chybiłyby swego celu w praktyczném życiu, a przez urzeczywistnienie ich—stosunki sanitarne państwa tylko by zyskały.

Dzieło Erlenmeyera możnaby śmiało uważać za obszerne rozwinięcie wniosków zamieszczonych w broszurze angielskiéj, gdyby wogóle stało z nią w jakimkolwiek związku. Pierwszy rzut oka przekonywa, że obie prace powstały zupełnie niezależnie i samoistnie. Jeśli zaś pojawiły się równocześnie, dowodzi to tylko, iż kwestya „leży w powietrzu", że na chorobę traktowaną przez obudwóch, cierpi nie tylko jedno państwo, ale prawdopodobnie całe „cywilizowane" społeczeństwo.

Dzieło Erlenmeyera powstało pod wrażeniem ostatnich nadużyć, popełnionych w domach obłąkanych, a wykrytych przed kratkami sądowemi. Nie jest jednak pisane w stylu agitacyjnym — przeciwnie, kwestya jest traktowana chłodno, bez namiętności, a wnioski reform są długo i głęboko obmyślane, a przedstawione jasno i potoczyście.

Trudności, z jakiemi przychodzi walczyć wszelkim usiłowaniom gruntownego załatwienia sprawy obłąkanych, leżą—zdaniem autora— w niedowierzaniu publiczności do zakładów obłąkanych w ogólności, w szczególe zaś do wiedzy lekarskiéj, objawiającéj się często bardzo niekorzystnie w haniebnych stosunkach sanitarnych domów obłąkanych. Laik jest przyzwyczajony zdawna do uważania lekarza obłąkanych, jako człowieka gotowego dopatrzyć się waryata w każdym, choćby najzdrowszym osobniku. Okrutném wydaje mu się obejście z internowanym, szczególnie odosobnienie, nie uzasadnione — jego zdaniem — najdrobniejszym, niebezpiecznym dla innego ekscesem ze strony pacyenta.

Usunięcie tego anormalnego stosunku między lekarzem-psychiatrą a publicznością powinno być zadaniem państwa. Ciało prawodawcze, państwo, powinno stworzyć odpowiednie ustawy, które byłyby w stanie przeprowadzić sanacyę energiczną w czasie możliwie jaknajkrótszym. Erlenmeyer podaje środek, wprowadzony w owe czasy w użycie przez rządy niektórych państw, skoro upadła wiara publiczności w sprawiedliwość wyroków sądowych, wydawanych przez rządowych sędziów. Tym radykalnym środkiem była instytucya sędziów przysięgłych. Coś w tym rodzaju proponuje dr. Erlenmeyer dla psychiatryi. Według jego zapatrywania, najlepszym i najpewniejszym środkiem do zyskania zaufania publiczności jest „uzupełnienie praktyki lekarskiéj i lekarskich orzeczeń" przez interwencyę niefachowców, laików, którzy stanowiliby komitet mężów zaufania i pod nazwą „patronatu" orzekaliby o stanie umysłowym podejrzanego pacyenta. W komitecie takim kobiéty byłyby z mężczyznami równouprawnione. Instytucyę tę musiałaby gwarantować odpowiednia ustawa prawna, podobnie jak wszystkie inne reformy projektowane przez Erlenmeyera.

Ustawy, które państwo jest bezwarunkowo zobowiązane przeprowadzić celem ochrony osobistéj wolności obywateli, dotyczą przedewszystkiém warunków, pod któremi ktokolwiekbądź może być oddany do zakładu obłąkanych.

Przedewszystkiém — powiada wniosek — w razie zajścia nagłéj a gwałtownéj konieczności oddania kogoś pod dozór lekarski, musi być stosowne orzeczenie, wydane przez lekarza fachowego (psychiatrę

i przez lekarza policyjnego. W razie, gdyby orzeczenie lekarza policyjnego nie mogło być na razie załączone, musiałoby to nastąpić w czasie najwyżéj 24 godzin. Tylko pod tym warunkiem dozwala państwo na przyjęcie podejrzanego pacyenta do zakładu. Lekarz prywatny, jakoteż lekarz policyjny, muszą być zawodowymi psychiatrami, tylko pod tym warunkiem jest im dozwolone dawanie orzeczeń w kwestyach psychiatrycznych. Po odstawieniu chorego do zakładu, ordynujący lekarz jest przez ustawę zobowiązany zbadać najdokładniéj chorego i powziąć stosowne postanowienie, za które dźwiga bezwzględną odpowiedzialność.

W interesie państwa leży nastręczenie jaknajliczniejszych sposobności studentom medycyny i młodym lekarzom do wykształcenia się w psychiatryi. Sposobności tych jest obecnie wprawdzie więcéj, niż przed czasem stosunkowo jeszcze krótkim, ale nie zaspakajają one jeszcze wszelkich wymagań, jakie dobro publiczne ma prawo państwu stawiać.

Gdyby wymienione środki ostrożności wydawały się niedostatecznemi, zaleca autor jeszcze jeden, którego zastosowaniem może się państwo ewantualnie zająć; byłyby nim t. zw. stacye obserwacyjne, przeznaczone wyłącznie dla chorych, uznanych wprawdzie przez lekarzy za obłąkanych, jednak przez familię uważanych za umysłowo zdrowych i dlatego wzbraniającéj się wydania ich „na pastwę” lekarzy i samotnéj celi. W tym wypadku należy rozważyć co następuje:

Zdarza się, że pobyt obłąkanego na łonie familii jest dlań korzystnym — jest to jednak czémś nadzwyczaj wyjątkowém. Pominąwszy bowiem pewnik, że pobyt waryata w domu jest znośny tylko wtedy, skoro mieszkanie jest obszerne i można większą odosobnioną przestrzeń oddać do użytku obłąkanego—poucza doświadczenie, iż nic bardziéj nie demoralizuje otoczenia, jak ciągły pobyt w towarzystwie waryata, zwłaszcza złośliwego i niechlujnego. Jedno obłąkane indywiduum zdolne jest całą liczną familię umysłowo i moralnie zmarnować, to téż państwo nie powinno się nawet wahać z powzięciem odpowiednich środków, celem zapobieżenia licznym tego rodzaju wypadkom. Wzgląd na żal familii, któréj władza odbiéra przemocą pacyenta, schodzi na drugi plan, jak to się dzieje np. w wypadku aresztowania w kole familii członka jéj pod zarzutem spełnienia przestępstwa. Podobnie, jak familia pacyenta, może bardzo nisko cenić wartość psychiatryi i tylko z tego powodu wzbraniać się powierzenia lekarzom chorego,—podobnie może mieć bardzo złe wyobrażenie o sprawiedliwości, nieprzedajności i t. p. cnotach, związanych z urzędem sędziowskim, co jednak nie wstrzymuje wcale władzy od spełniania raz przepisanéj

ustawy i odosobnienia podejrzanego indywiduum, mimo wszelkich protestów rodziny.

Jednak prawdziwych powodów teraźniejszych spaczonych stosunków w dziedzinie leczenia obłąkanych szuka dr. Erlenmeyer gdzieindziéj, niż w zagwarantowaniu osobistéj wolności obywateli państwa. Widzi on je w zupełnie zaniedbanéj organizacyi zakładów obłąkanych i to zarówno rządowych, jak prywatnych. Państwo powinno tu wkroczyć energicznemi ustawami i przedewszyskiém uznać za zakłady obłąkanych wszelkie mieszkania, w których przebywają stale lub chwilowo osoby obłąkane, nie należące do familii. Ustawa ta ma na celu wyplenienie licznych t. zw. sanatoryów psychiatrycznych, które nie są niczém innéni, jak przedsiębiorstwami niesumiennych spekulantów, pragnących jedynie ciągnąć z pacyentów zyski, bez względu na ich zdrowie. Następnie zaś, aby zapobiedz licznym pomieszczeniom obłąkanych w domach dla ubogich, starców, inwalidów i t. p., zamiast w domach obłąkanych, gdzie w danym wypadku należą, i usuwania ich tym sposobem od kontroli lekarskiéj.

Obowiązkiem rządu jest daléj wydanie ustawy, mocą którego każdy bez wyjątku zakład psychiatryczny musi się znajdować pod kierownictwem fachowego lekarza, odpowiadającego za wszystko, co się w zakładzie dzieje, któremu jednak cały personał winien jest bezwzględną w sprawach służbowych uległość. Od tego obowiązkowego posłuszeństwa nie może być nikt wykluczony, a miłosierni mnisi lub zakonnice z chwilą przestąpienia progu szpitalnego i zajęcia się spełnianiem obowiązków szpitalnych nie zależą więcéj od swego duchownego przełożonego, względnie przełożonéj, lecz jedynie od kierującego lekarza.

Ostatecznie żąda Erlenmeyer od rządu uregulowania wzajemnego stosunku między lekarzami obłąkanych a służącymi, przeznaczonymi wyłącznie do pilnowania pacyentów. Autor uważa słusznie, iż wielu lekarzom brakuje zupełnie zrozumienia właściwego stanowiska służby szpitalnéj. Ludzie ci są prawie bez wyjątku bardzo licho płatni, a bardzo obciążeni pracą. Tygodniami całemi nie wolno im wydalać się z zakładu, muszą poprzestawać na lichéj strawie szpitalnéj i przebywać bez ustanku w towarzystwie obłąkanych. Jak można od tych zmęczonych, znękanych i rozstrojonych podobném życiem ludzi żądać łagodności i cierpliwości w obejściu z chorymi? Zadaniem rządu jest przedewszystkiém uregulować czas pracy, uczynić ich pobyt w zakładzie znośniejszym, polepszyć im płacę i odżywianie, a przedewszystkiém dać im teoretyczne wykształcenie fachowe. Jeśli rząd téj reformy nie przeprowadzi, w takim razie—zdaniem autora—z nadziei prze-

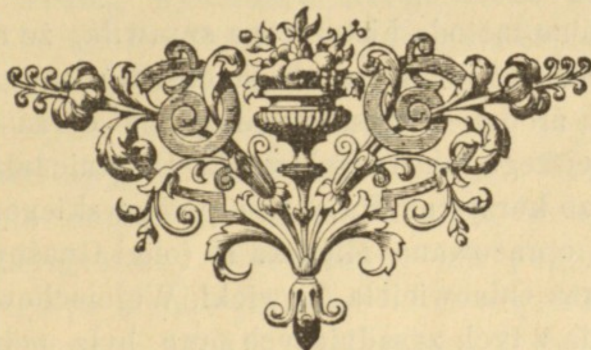
prowadzenia téj reformy „z góry" należy wogóle zrezygnować, gdyż inicyatywy ze strony lekarzy domu obłąkanych próżno oczekiwać; są to „ludzie, którym brak zupełnie należytego zrozumienia społeczno-politycznéj strony téj kwestyi", co jest nie tyle ich cechą jako wykształconych lekarzy, ile raczéj téj klasy społecznéj, z któréj wyszli. Żądają od proletaryusza pracy, któréj nawet ocenić nie są w stanie.

Całe dzieło da się streścić w tych kilku słowach: ujęcie psychiatryi w karby ustawodawstwa i zorganizowanie jéj podobnie, jak inne działy. Psychiatrya bowiem nie ma nic do czynienia z domami przytułku dla starych lub inwalidów, — wymaga ona równie specyalnego zorganizowania, jak kliniki dla chirurgii, interny, okulistyki i t. d.

Co się zaś tyczy ogólnego charakteru dzieła i zawartych w niém reform, czynią one na czytelniku wrażenie, iż autor jest nietylko człowiekiem wszechstronnie wykształconym i bezinteresownym, lecz nadto zdolnym, chłodnym krytykiem i śmiałym myślicielem pozytywnym.

Wiedeń, w sierpniu 1896 r.

Karol Bicz.



NOWINY O PIASTACH.

Tadeusz Wojciechowski. „O Piaście i piaście“. — Oswald Balzer. „Genealogia Piastów“.

Wydoskonalona metoda historyczna sprawiła, że rzeczywiście można dziś miewać nowiny z odległych wieków, choć nie odkrywa się już nowych źródeł; wszystko zależy od coraz umiejętniejszego, a wszechstronniejszego ich wyzyskiwania. Ostatnie lata naszéj historyografii były bardzo korzystne dla okresu piastowskiego; w krótkim stosunkowo czasie opracowano Mieszka II (ongi Gnuśnym zwanego) (Lewicki), Kazimierza Odnowiciela (Lewicki, Wojciechowski), Mieszka III (Smolka), a każda z tych zasadniczych prac była pełną doniosłych rezultatów; nie brakowało obok nich rozpraw drobniejszych, przynoszących cenne szczegóły, nie było roku, któryby minął bez nowego przyczynku. Ostatni jednak rok szczególniéj się zaznaczył w historyografii piastowskiéj; sam początek dynastyi wyświetlony, a cały jéj ciąg (z wyjątkiem tylko linii śląskiéj) poddany gruntownéj rewizyi.

Ten sam uczony, który w r. 1885 przywrócił dziejowe życie opuszczonemu przez historyków, nieznanemu zgoła królowi polskiemu Bolesławowi (pomiędzy Mieszkiem II a Kazimierzem Odnowicielem), ten sam teraz wykreśla z historyi osobę imieniem Piast.

Jesteśmy przyzwyczajeni robić już naprzód zdziwione miny, ilekroć prof. Wojciechowski głos zabierze; wiemy bowiem z wszelką a wszelką pewnością, że usłyszymy coś dziwnego i niezwykłego. Przy

każdéj sposobności, choćby to była prosta tylko mowa akademicka lub pogrzebowa, powié Wojciechowski coś takiego, czego nikt przedtém nie powiedział, coś nowego. Jest to u nas stanowczo najoryginalniejszy umysł. To bardzo dobrze. *Item* jesteśmy ździwieni, ale i uradowani, gdy się wieść rozejdzie, że Wojciechowski coś pisze; a gdy wieść się sprawdzi, cały cech historyczny ma sobie przez dłuższy czas nad czém głowę łamać. Wojciechowski ciągle czémś zajęty, wiecznie pracuje, wciąż bada, wertuje i ślęczy nad czémś i to aż do skutku, aż dojdzie do pozytywnych rezultatów; ale nie zawsze je ogłasza.

Roku zeszłego atoli zdarzyło się znowu, że coś nietylko opracował, ale też drukiem ogłosił; a rozprawa „O Piaście i piaście" należy do najdonioślejszych prac, jakie wogóle posiadamy. Oto jéj treść [1]).

Nie istniało nigdy imię osobowe „Piasta". Wyraz „piast" oznacza wysokie dostojeństwo, zwane w łacińskich źródłach *nutritor* lub *paedagogus*. Założycielem dynastyi nie jest tedy ktoś imieniem „Piast", lecz ktoś będący przedtém „piastem" poprzedniego księcia. Roztrząsnąwszy tradycye o początku dynastyi, stwierdza autor, że społeczeństwo polskie IX-go wieku miało szlachtę, a więc nie sposób przypuścić, żeby ta szlachta uznala księciem prostego chłopka. A jednak Gallus nie waha się zanotować chłopskiego pochodzenia królów, jakkolwiek to według wyobrażeń XII-go wieku nie byłoby dla nich zaszczytném,—bo około chłopa Piasta formuje się legenda o cudzie.

Rzekome imię założyciela dynastyi nie powtórzyło się ani razu u jego następców, co jest rzeczą dziwną, wbrew zwyczajowi; powtarzają się tylko Bolesławy, Mieszki, Leszki i t. p. Wogóle najstaranniejsze przetrząsania źródeł nie wskażą nikogo, ktoby się był nazywał „Piast". Z drugiéj strony niewiadomo, jak po polsku nazywano dostojnika, zwanego po łacinie „*nutritor*". A więc autor bada wszystkie wzmianki o nutrytorach XI, XII i XIII wieku i dochodzi do wniosku, że to wielcy dostojnicy dworscy, coś w rodzaju *comes palatii*, których władza coraz bardziéj jednak malała. Dostojeństwo to wprowadzono około r. 900, a może i wcześniéj. Istniało ono pod tą samą nazwą łacińską na wszystkich dworach współczesnéj Europy, a funkcye frankońskich „*paedagogus*, *nutritor*, *bajulus*" są współrzędne *majordomowi*. Były to pierwotnie godności dworu cesarskiego rzymskiego. W Czechach znajduje się „*paedagogus*"; w księstwach ruskich zowie się „kormilec", „diadia", „detko"; u Kroatów „dziad", a u hospoda-

[1]) Artykuł ten jest po większéj części tłómaczeniem z „Bulletin International", ponieważ artykuł w Bulletynie jest przezemnie napisany, gdyż Wojciechowskiego żadna moc nie zdołała do tego nakłonić.

rów wołoskich „pitar". Wszędzie zakres jego urzędu zakrawa na majordoma, na „*comes palatii*". U Franków godność bajulusa bywała często stopniem do majordomatu. W Polsce dawne tytuły *paedagoga* i *nutritora* są prototypami najwyższéj godności dworskiéj, *comesa palatii.* Ten *comes palatii* był w Polsce XI i XII wieku grododzierżcą gnieźnieńskim i miał władzę nad całym dworem, a przez to nad całém państwem, zupełnie tak samo, jak majordom lub „*maire du palais*" u Franków. Zdaniem autora, tytuł *comitis palatii* przyjął się w Polsce dopiéro około r. 1000; ale była to tylko nowa nazwa urzędu istniejącego oddawna pod nazwaniem *paedagoga* lub *nutritora.* Następnie dowództwo wojska przeszło na *comesa palatii*, skutkiem czego ten *comes* „wojewoda" posiadł szczególną władzę, zwłaszcza w okresie podziałów, a nowy tytuł „wojewody" stał się cechą zmienionéj już w swym zakresie dawnéj godności.

Można tu rozróżnić trzy okresy. Pierwszy sięga do roku 1000 lub 1024. *Paedagogus*, *nutritor* jest wówczas zwierzchnikiem dworu i niewątpliwie przełożonym grodu gnieźnieńskiego. Drugi okres obejmuje wiek XI-ty. Wtenczas zjawia się *comes palatii*, z coraz większym zakresem władzy, z wpływem na sprawy skarbowe, sądownicze i mianowanie urzędników w całém państwie. W trzecim okresie, który trwa aż do XIII wieku, *comes* staje się *princeps militiae.* Od początku XIII wieku podupada *comes palatii*, a różne jego funkcye rozdzielają się stopniowo na kilka dostojeństw. Wojewodowie objęli dowództwa wojskowe. Zarząd grodów oddano postanowionym *ad hoc* kasztelanom. W końcu widzimy na dworze Leszka Białego urząd *iudex curiae*, a równocześnie *paedagogus-nutritor* ma tam podrzędne już znaczenie. Książęta pookrawali stopniowo przemożnych *comites palatii*, którzy z pedagogów doszli do tego, że wydzierali władzę z rąk swych panów.

Otóż ten *paedagogus* zwał się po polsku „piast". Dawni tłómacze słowiańscy ksiąg liturgicznych greckich, tłómaczą wyraz παιδαγωγός przez pěstunъ. Słowo to jest we wszystkich językach słowiańskich; weszło nawet do litewskiego i madiarskiego, co jest dowodem jego starożytności.

Co do tradycyi u Galla, składa się ona zdaniem Wojciechowskiego z dwóch pierwiastków; z tradycyi i z mytów pomieszanych z faktami historycznemi i politycznemi. Te pierwiastki należy od siebie oddzielić. Myt o wieśniaku ubogim a uczciwym, nagrodzonym cudownie za gościnność, jest bardzo stary; należy wogóle do dawnych Aryów, a ma związek z greckim mytem o Filemonie i Baucydzie. Bohatér wersyi polskiéj nosi nazwę „Piasta", ponieważ legenda z imienia pospolitego

zrobiła własne. „Imiona Filemona i Piasta, chociaż etymologicznie różne, wypowiadają przecież jednę i tę samą myśl. Czasownik μφιλητα—φιλέω wyraża głównie: przyjacielskie przyjęcie i opiekę gospodarską nad miłym gościem; u Homera miał wyłącznie takie znaczenie; późniéj znaczył też: całować, pieścić, piastować, skąd rzeczownik φιλημα całus, pieszczota. Że imię Piasta ma w baśni polskiéj takie samo znaczenie, jest rzeczą jasną. Piast, to nietylko *nutritor*, który nakarmił swych gości; bo gdyby trzymać się ściśle pisowni Galla: Pazt, mielibyśmy jeszcze rozszerzony zakres pierwiastka etymologicznego, w znaczeniu: opiekuna i obrońcy, rozumié się—obrońcy owych gości, których skądinąd niemiłosiernie wyrzucono." Cała zaś ta legenda przylgnęła do założyciela dynastyi, bo ten był rzeczywiście „piastem", zasiadając na urzędzie tego imienia. Pomieszano dwa znaczenia wyrazu. Wyjaśnienie to usuwa zarazem trudności co do chłopskiego pochodzenia założyciela dynastyi; ten wieśniak kronikarza, toć to wieśniak z legendy, nazwany w niéj piastem.

Autor zajmuje się dalszemi szczegółami podania Gallusa. Popiela uważa za osobę historyczną; był to ostatni książę dynastyi poprzedniéj, a przybrał postać mityczną, z powodu legendy o myszach, która jest też pochodzenia aryjskiego. Również mniema autor, że miejsce zamieszkania Piasta *in suburbio Gniezna* zgodne jest z rzeczywistością, bo *suburbia* miały ludność wyłącznie szlachecką. Gallus zapisuje dwukrotnie imię ojca Piasta „Chossisco", co kilku historyków uważało za przydomek Popiela. Pisze: „Pazt filius Chosisconis", a drugi raz, w inném miejscu „Semovit filius Pazt Chosisconis". Autor mniema, że dobrą jest druga lekcya, że Ziemowit był synem Chociszki, piasta (*nutritor*) na dworze Popiela i że ten Ziemowit zabrał Popielowi tron, a zarazem pojął w małżeństwo jego córkę.

Tradycya opisana u Galla powstała wśród ludu, ale krzewiło ją otoczenie dworskie w interesie dynastyi, któréj zależało na tém, ażeby zapomniano, że władzę posiedli przez uzurpacyę. Podobieństwo „piasta" z legendy z dostojnikiem „piastem" wiele tu dopomogło. Książę wolał uchodzić za potomka chłopa, umiłowanego przez bogów i przez nich obdarzonego władzą, niż za potomka wielkiego dostojnika, który jednakże nieprawnie tron posiadł.

Samo pobieżne streszczenie okazuje, że mamy przed sobą niezwykłą rzecz. Autor dotyka nadto jeszcze mnóstwa kwestyi ubocznych, wiążących się z tematem jego pracy przez ten lub ów szczegół; cały szereg cennych przyczynków do przeróżnych zagadnień rozrzucony jest po całéj książce. Obok tego dosyć też pomysłów, hypotez, które wzbudzają wielkie powątpiewanie, np. wywód cały o imieniu Rzepichy,

żony Piasta, lub przypuszczenie, że „*comes*” nazywał się po polsku „kmieć”.

Co do jądra rzeczy, należy uważać za udowodnione, że nie było Piasta, ale tylko piast. Czy jednak piast Chociszko doszedł do tronu drogą gwałtu i uzurpacyi? toby trzeba dopiéro udowodnić.

Nietylko dla samego piasta rzekomego Piasta, ale dla całego jego potomstwa był ten czas w historyografii bardzo szczęśliwy; wszyscy ulegli gruntownéj rewizyi naukowéj.

Oto mamy pomnikowe zaiste dzieło Oswalda Balzera. „Genealogia Piastów”. Wiadomo, że w rozrodzonéj dynastyi był już nieraz kłopot dla historyków z niejedną kwestyą genealogiczną; ale teraz dopiero dzięki benektyńskiéj pracy Balzera widzimy, że o większéj części podobnych kwestyi nie wiedzieliśmy zgoła! Co za obfitość szczegółów historycznych, nie przeczuwanych nawet! Pod względem zaś metody, sumienności, pracy, jest to arcydzieło pilności i usilności. Nie jestem skłonny bynajmniéj do superlatywów; ale temu dziełu należy się bezwzględnie przydomek: pomnikowego.

Foliant o 574 stronicach *in 4-to*, powstał „przygodnie, jako przygotowanie do innéj pracy, która nie mogła być dokonana bez dokładnéj znajomości stosunków genealogicznych w rodzie Piastów” (Balzer przygotowuje monografię prawa spadkowego w Polsce). Cóż to za człowiek, co za organizm, co za potęga umysłu, która „przygodnie” wydaje sobie dzielo, które samo jedno starczyłoby już najzupełniéj za pracę całego życia. Oczywiście, że takich wielu być nie może; niech się tylko w każdém pokoleniu znajdzie jeden Balzer, będziemy wołali: „*sursum corda*”.

Układ dzieła jest następujący: Na czele dwanaście tablic genealogicznych, sięgających od Ziemomysła, ojca Mieszka I-go, do wygaśnięcia Piastów mazowieckich r. 1526, z pominięciem jednakże Piastów ślązkich. Tablice te ułożone nader przejrzyście i praktycznie; do każdego nazwiska dodano datę urodzin, zaręczyn lub ślubu i śmierci; z któréj żony zrodzony który potomek, oznaczono za pomocą liczb rzymskich; pochodzenie nieślubne oznacza litera *N.* nad nazwiskiem umieszczona. Każda tablica ma swój numer rzymski, a wszystkie osoby pewnéj tablicy oznaczone porządkową liczbą arabską. W ten sposób wszystkich Piastów wymienionych w tych tablicach można cytować numeracyą, np. VIII, 6, znaczy: Kazimierz Wielki, jako osoba oznaczona liczbą 6 na tablicy VIII. Te same cyfry znajdują się, u góry każdéj stronicy całéj grubéj księgi; chcąc tedy odszukać tekst do spraw genealogicznych Kazimierza W., przerzuca się ćwiartki, aż się dojdzie do VIII, 6. Chcąc zaś znaléść np. rzecz o Krystynie Rokiczańskiej,

Prażance i żonie Kazimierza Wielkiego, trzeba wśród stronic opatrzonych znakiem VIII, 6 odszukać rozdział 5-ty, bo Rokiczana jest piątą z rzędu wśród narzeczonych i żon tego króla na tablicy VIII-éj. Na pytanie zaś np. czyją żona była Rokiczana? odpowiada dodany na końcu „Spis Piastów", odsyłając do VIII, 6, t. j. do tablicy. Przewidziano też możliwość pytania w téj formie: Czy Rokiczana należy do rodziny Piastowskiéj? W tym celu ułożył autor dwa rejestry abecadłowe osób, ów wspomniany już „Spis Piastów" i drugi jeszcze: „Wykaz Piastów rzekomych" — decyduje, w którym rejestrze imię umieszczone. Ponieważ autor Rokiczanę umieszcza w „Spisie", uważa ją przeto za małżonkę królewską, a motywa do tego znajdziemy zestawione wyczerpująco za pomocą znaku VIII, 6. Wykaz rzekomych Piastów obejmuje około (*sic*) 400, czterechset nazwisk! To samo najlepiéj już ilustruje, jak żmudną była praca Balzera, a jaką jest jego zasługa. Weźmy jeszcze taki przykład: Chcemy się poinformować o małżeństwie Witołda z księżniczką mazowiecką—Mężowie Piastówien uwzględnieni są w obudwóch rejestrach, szukamy przeto wyrazu „Witołd". Nie znalazłszy go w „spisie", odszukujemy w „wykazie rzekomych", z krótką notą, że to mąż Anny, córki Ziemowita III-go mazowieckiego i z odsyłaczem X, 6. Na tablicy X mamy pod nr. 6 zapisane, że owa „żona Witołda" była mniszką u Dominikanek w Raciborzu; a zatém za mąż nie wychodziła całkiem, stąd też Witołd figuruje w „wykazie rzekomych? Dlaczego? na to poszukajmy odpowiedzi w tekście książki, na stronicach oznaczonych u góry sygnaturą X 6 i znajdujemy cały aparat naukowy.

W tekście książki, nazwanym skromnie „Objaśnieniami" (do tablic), znajdujemy nietylko wszechstronne i wyczerpujące dowody do dat podanych w tablicach, ale po większéj części formalne biografie. Ile przy téj sposobności wyjaśniono szczegółów ważnych do stosunków politycznych, tego nie zliczyć! Nie sposób będzie odtąd opracowywać jakikolwiek temat z doby Piastowskiéj, nie poradziwszy się poprzednio dzieła Balzera; cały zaś szereg spornych dotychczas kwestyi teraz dopiéro się rozstrzygnie. W jaki sposób pisane są te „objaśnienia", okażmy na przykładach.

Mieszko I. (I. 2). Najpierw kwestya, jak się właściwie nazywał u współczesnych: Mieczysław czy Mieszko? Zestawienie rozmaitych form jego imienia w źródłach; forma Mieczysław rozpowszechnia się dopiéro przez Długosza; forma Miseco przyjęta przez Zeissberga, musi być odrzucona, jako niezgodna z duchem języka. Trzeba jednak jeszcze rozprawić się z przypuszczeniem, jakoby ten książę nazywał się jeszcze Dagonem, na podstawie znanéj zapiski w *Liber pontificalis:*

„Dagone iudex et Ote senatrix". Potém poszukiwanie daty urodzin, różnie w źródłach zapisanéj. Następnie stwierdzenie, kiedy po raz pierwszy występuje w historyi. (Data chrztu odłożona do rozdziału o Dubrawce). Następuje zebranie kryteryów do daty śmierci, o rok nie ma wielkich trudności — ale co do daty dnia, trzeba się na całych dwóch stronicach borykać z przeróżnemi notatkami rocznikarskiemi. Do tego artykułu 47 cytat źródłowych, z uwzględnieniem prac Miklosicha, Zeissberga, Lewickiego, Maciejowskiego, Przezdzieckiego, Łaguny, Lappenberga, Bielowskiego, Semkowicza, Roepella, Grünhagena, Abrahama, Stumpfa — którzy w przeróżnych dziełach wspomnieli o tém i owém, co do ustalenia dat z życia Mieszka I, może być przydatném. Teraz zacznie się rzecz o żonach tego księcia. Najpierw pogańskie wielożeństwo, potém Dubrawka. Znów kwestya, jak brzmiało właściwie to imię: Dobrawa, Dobrówka, Dąbrówka, Dubrawka i Bona. Czyją była córką? Źródła wymieniają, jako jéj ojca, książąt czeskich: Wratysława I, Wacława I św., Bolesława I Srogiego i Bolesława II Pobożnego. Naruszewicz pierwszy oświadczył się za Bolesławem Srogim; już się to przyjęło, a Balzer stwierdza tylko, że Naruszewicz miał racyę. Kiedyż się urodziła? W jakim mogła być wieku, wychodząc za Mieszka? Kiedy to się stało? Przyjmując ustalone już twierdzenie, że ślub był w r. 965, a chrzest Mieszka dopiéro 966, przechodzi autor w krótkości cały odnośny aparat źródłowy. Nigdy bowiem, w całym ciągu olbrzymiego swego dzieła, nie poprzestaje na niczyjéj powadze; jeżeli zgadza się z wynikami poprzedników, czyni to tylko dlatego, że sam zawsze samodzielnie do tego samego doszedł rezultatu; natenczas zaznacza, że to nie jest rzeczą nową i wymienia, czyją zasługą odkrycie — ale sprawdza wszystko tak, jak gdyby sam pierwszy dopiéro poruszał daną kwestyę. Temu to nieustannemu sprawdzaniu zawdzięczamy całe seciny cennych sprostowań. Śmierć Dubrawki ma datę jednomyślną w źródłach. Pozostaje jednak jeszcze rozprawić się z błędném mniemaniem, jakoby Dubrawka była przedtém żoną Guntera, margrabi miśnijskiego. O tém traktuje osobno I, 12, a., w artykule poświęconym „rzekomemu Piastowi" Guncelinowi.—Do artykułu o Dubrawce cytat 39; potrzebne były prace Zeissberga, Naruszewicza, Palackiego, Roepella, Przezdzieckiego, Grünhagena, Abrahama.—Druga żona Mieszka I-go: Oda. Znów to samo: czyja córka, data zaślubin, śmierci, czy wyszła powtórnie za mąż? A przy „sposobności" krytyka aktu owego, zwanego „darowizną Gniezna", w którym Dagone *iudex et Ote senatrix et filii eorum Misica et Lambertus* zapisują Polskę św. Piotrowi. Przegląd różnych prób tłumaczenia te-

go aktu, podanie nowéj hypotezy o jego genezie: „Dagone" jest Mieszko I, powstałe z korrupcyi *E G O⁀M E* (*sico*). — Przypisków do artykułu o Odzie 25; z opracowań uwzględnieni: Giesebrecht, Naruszewicz, Wagilewicz, Zeissberg, Hübner, Barthold, Cohn, Przezdziecki, Grünhagen, Bielowski, Lelewel, Kętrzyński. — Potém trzeba wykazać, że Geina i Thyra, żony Mieszka I, należą do „rzekomych" Piastów; szczegóły w artykule o Sygrydzie Dumnej (I q.) córce Mieszka. Załatwił się autor dopiéro z żonami Mieszka I. Ale książę ten miał rodzeństwo: trzech braci i siostrę! Jeszcze dziesięć stronic *quarto* ścisłego druku! Gdzie kwestya jasna, tam autor ścieśnia się, gdzie rezultat zgodny z otrzymanym już przez kogo innego, tam poprzestaje na sumarycznym przeglądzie swego aparatu — ale nie cofnie się przed żadném zagadnieniem, uważaném powszechnie za przepadłe i tak długo ślęczy nad gmatwaniną, aż węzeł rozwiąże. Niezrównany jest Balzer jako sędzia śledczy w najbardziéj zakazanych zakamarkach średniowiecznéj annalistyki i w najbardziéj osławionych zakrętach bałamutnego kronikarstwa. Roi się jego praca od misternych arcydzieł tego istnego filigranu historycznego kunsztu. Np. to rodzeństwo Mieszka I. Najstarszy brat, nieznany z imienia nawet, ale go odkrył, opisał, stwierdził i jak się dało, chronologicznie osadził! Nawiasem mówiąc, dokazać musiał Balzer téj sztuki w ciągu swéj „Genealogii" siedmdziesiąt trzy razy! To taki miłośnik nauki! tak przed żadnym trudem się nie cofnie!

Łatwe było zadanie z drugim bratem Mieszka Czciborem (Cidebur). Ale za to ile roboty o trzeciego, o Prokuja! Lelewel i Wattenbach nie uważali go całkiem za Piasta. Trzeba tedy zaczynać sprawę *ab ovo* i rozstrzygać wszystkie wątpliwości, rozbierać wszelkie zarzuty; żadnego z nich autor nie lekceważy, rozprawiając się nawet z temi, o których wspomina „dla dokładności, nie dla wagi." Mamy więc zebrane dowody, że Prokuj, to nie Gyula węgierski lub siedmiogrodzki; w tym celu trzeba przerobić także historyę polityczną Polski i Węgier około r. 1002. Przy téj zaś sposobności poprze się twierdzenie Kętrzyńskiego, że Kraków już za Mieszka I należał do państwa polskiego. Za Bolesława Chrobrego siedział Prokuj przez jakiś czas na Słowaczyźnie. Następnie stwierdza się wiadomość o żonie Prokuja — i przechodzi do siostry jego i Mieszka: Adelajdy Białéj Kniegini (I, 6). Księżniczką tą zajmowali się już tylekroć uczeni polscy, węgierscy i niemieccy. Rozstrzygnięcie sporu co do jéj osoby stanowi o doniosłych kwestyach politycznych, a między innemi występuje tu na pierwszy plan zagadnienie: Kto był matką św. Szczepana? Polskie źródła twierdzą, że Gejza pojął za żonę siostrę Mieszka, Adelajdę, kiedy węgierskie zgoła

nic o tém nie wiedzą, notując tylko małżeństwo z Saroltą Siedmiogrodzką. Historycy jedni przyjmowali wyłącznie wersyę polską, inni wyłącznie węgierską; niektórzy przyjmują, że był dwa razy żonaty, różniąc się jednak co do kolei małżonek, od czego zawisła znów kwestya macierzyństwa św. Szczepana. Węgierskie żywoty św. Szczepana milczą zupełnie o jego matce, a przytém najwcześniejsze zabytki dziejopisarskie pochodzą tam dopiéro z XIII wieku. Kronika węgiersko-polska pochodzi z końca XII wieku, ale jest źródłem osławioném z bałamutności. Rozjemcą jest—jak często—Thietmar, notujący wyraźnie „Beleknegini"—ale on nie wspomina, jakoby była siostrą Mieczysława. Kłopotu tedy autorowi nie braknie. Obok tego trzeba było rozpatrzéć krytycznie cały materyał źródłowy odnoszący się do Sarolty. Małżeństwo jéj z Gejzą niewątpliwe — którąż była pierwszą żoną? Autor stwierdza, że gdyby Sarolta była dokonała nawrócenia Węgier, byłoby to nastąpiło według wschodniego obrządku, a tymczasem współczesne zachodnie źródła, i to nie historyograficzne, lecz t. z. bezpośrednie stwierdzają, że wiara przybyła na Węgry z Zachodu; równocześnie też następuje polityczne zbliżenie się do Zachodu. Nadto wykazuje autor, że w pierwszych dziesiątkach lat po przyjęciu chrześciaństwa Węgry utrzymywały ożywione stosunki z Polską właśnie na polu kościelném. Przeszedłszy dopiéro te wszystkie sprawy, konkluduje Balzer, że Adelajda była drugą żoną Gejzy. Potém dochodzi daty zaślubin, którą podaje na przed 972, a skoro św. Szczepan ur. 975, więc Adelajda była jego matką, a Thietmar ma racyę, nazywając Prokuja jego wujem [1]). Artykuł o Adelajdzie ma cytat 65 — obszar źródeł i opracowań zużytych do aparatu naukowego jest prawdziwie imponujący. Na zakończenie rzeczy o rodzeństwie Mieszka I, potrzeba było jednak jeszcze jednego artykułu, żeby obalić hypotezę o dwóch „rzekomych" Piastach, Odylenie i Przybywoju, którzy zdaniem autora byli prawdopodobnie przybyszami z Czech.

W artykule o córce Mieszka I, Sygrydzie Dumnéj (I q.), zamężnéj za Erykiem Zwycięskim, królem szwedzkim i duńskim, następnie zaręczonéj z królem norwegskim Olafem Tryggwessonem, a zamężnéj powtórnie za duńskim królem Swenem Ottonem Widłobrodym, trzeba się było przebijać przez zawiłe kwestye z historyi skandynawskiéj, i nie zawahał się autor uczynić tego; po drodze do... monografii o prawie spadkowém polskiém.

Widząc tę niesłychaną żarliwość dokładności, ma się wątpliwości, czy też autor dotrwa do końca w téj nużącéj pracy. Przerzućmy się do środka pracy:

---

1) A zatém światło wiary otrzymały Węgry z Polski!

Konrad I mazowiecki miał dziesięcioro dzieci; najmłodsze z nich, Mieszko Chościsko (VI, 17), dożyło zaledwie kilku lat wieku. Nie należy do historyi, można było rozgrzeszyć się z téj gruntowności, w tym stopniu uprawianéj, jak widzieliśmy przy Mieszku I i jego rodzeństwie. Historyografia przekazała o nim legendę, że go myszy zjadły, podobnie, jak ongi Popiela. Długosz robi go władcą Kujaw i podaje mylną datę zgonu. Przetrzebiwszy współczesne dokumenta, wziąwszy do pomocy napisy na kielichu płockim fundowanym przez Konrada, wywodzi autor, że data urodzin tego Piasta przypadać może najwcześniéj na rok 1230, a rok śmierci 1238, podaje analistyka. Lecz teraz uważa sobie za obowiązek wytłumaczyć przydomek: Chościsko. Wykazuje, że u synów Konrada pojawiają się właśnie po raz pierwszy imiona nie używane poprzednio wcale w szeregu Piastów historycznych; Konrad dopiéro sięga po imiona dla swych synów w dobę przedchrześciańską, w dobę bajeczną i pojawiają się odtąd Ziemowity, Ziemomysły i—Chocisko, imię ojca założyciela dynastyi. Popęd do tych imion dała kronika Kadłubka, która niedawno właśnie przedtém powstała. Następnie imię Chociska zaczęto (przez pomyłkę) uważać za imię nie założyciela, a raczéj ojca założyciela dynastyi Piastów, lecz przypisano je ostatniemu księciu poprzedniéj dynastyi Popielidów. W chwili, kiedy Konrad nadawał je swojemu synowi, miało jeszcze znaczenie pierwsze, ale już wnet potém przybrało znaczenie drugie, w jakiém je widzimy w Kronice Wielkopolskiéj. W ten sposób imię to zrosło się z tradycyą o myszach, przywiązaną do osoby ostatniego Popiela—późniejsze tedy roczniki tradycyę tę przeniosły na historycznego księcia, używającego tego samego imienia, co tém łatwiéj było, że książątko to dla rychłéj śmierci całkiem było nieznane.

Koniec Piastów mazowieckich stanowi też zakończenie książki. Dokładność, benedyktyńska pieczołowitość o jak najgruntowniejsze wyzyskanie wszelkich danych, nie zmniejszyły się ani na włos w artykułach o Konradzie III Rudym, jego żonach i potomstwie.

Ilość sprostowań mylnych dat lub mylnie zrozumianych faktów, która da się dokonać i powoli też dokonaną być musi na podstawie tego dzieła, obliczyć można śmiało na jaki tysiąc; to też skutki tego dzieła w historyografii okresu piastowskiego będą się wzmagały z roku na rok.

W „Bulletin International de l'Académie des Sciences de Cracovie" za styczeń 1896, mamy podane bezpośrednie tylko sprostowania, dotyczące wyłącznie tylko dat z biografii Piastów; wykaz ten jest niedokładny, a obejmuje 20 stron druku. Dla przykładu zacytujmy coś z linii wielkopolskiéj:

Dzieci Mieszka III Starego: Otton umarł 20-go kwietnia, a nie 15 maja 1194. Żona jego nieznanego imienia była córką Jarosława Ośmiomysła, ks. Halickiego, a nie księżniczką pomorską. — Judyta była zamężną raz tylko, za Bernardem Saskim, hrabią Anhalckim, a nie była nigdy żoną Racibora, syna Bogusława Pomorskiego. Wyszła przed r. 1178 za Bernarda, który nie był nigdy żonaty z Judytą Duńską.—Elżbieta miała za pierwszego męża Sobiesława I, pomiędzy 1173 — 1177. Bolesław miał za żonę Dobrosławę, córkę Warcisława Pomorskiego. Włodzisław III Laskonogi, umarł 3 listopada, a nie 18 sierpnia 1231. Żona jego, Łucya, córka Jaromira I, ks. Rugii, zmarła 19 lutego, po r. 1208. Nieznanego dotychczas imienia córka Mieszka, zamężna za jednym ze synów Bogusława I Pomorskiego, nazywała się Salomea i wyszła za Racibora przed r. 1177; zmarła 11 maja, rok niewiadomy. Anastazya wyszła za Bogusława I, około 26 kwietnia 1177 a nie w r. 1184; umarła po 31 maja 1240; być może, że żyła jeszcze 24 lipca 1242. Kadłubek donosi, że jakiś *questor vectigalium* z Pomorza ożenił się około r. 1181 z jedną z córek Mieszka Starego. Był to Mszczuj I, późniejszy rządca Pomorza wschodniego. Tą córką jest Zwinisława, wymieniana w kilku dokumentach, jako żona Mszczuja. Z tą sprawą łączy się kwestya pochodzenia rodu książąt gdańskich, która miała już różne hypotezy. Balzer przysądza słuszność Długoszowi, że jest to dawny możnowładczy ród pomorski.

Albo też ciekawy przykład z linii mazowieckiéj: Dzieci Ziemowita IV. Do ich szeregu dodać należy przedewszystkiém Miklusza, nieprawego łoża, legitymowanego przez cesarza Zygmunta Luksemburczyka w r. 1417. Zienowit V umarł 17 lutego, a nie 5-go marca, 1442 r. Żona jego, Małgorzata Raciborska, zmarła 5 lipca 1459, a nie po 28 czerwca 1475, jak przyjmuje Grotefend i historycy śląscy. Literatura dziejopisarska pomija jedną córkę Ziemowita IV, któréj ślad oznaczył w ostatnich czasach historyk węgierski Wertner. Jestto Jadwiga, wydana w r. 1410 za Jana Garę (z Gary), starszego żupana Temesu i Pożegi, wojewody Uzory; do niéj-to odnosi się zapewne pozycya w rachunkach dworu Władysława Jagiełły z powodu chrztu córki Ziemowita IV, pod datą 16 listopada 1393 r., którą dotychczas mylnie odnoszono do Cymbarki. Żywot téj Jadwigi bardzo awanturniczy. Cudzołożnica, otruła swego męża, popchnęła własną córkę do rozpusty; sejm presburski 1435 r. skazał ją na konfiskatę dóbr i dożywotnie więzienie. Żyła jeszcze 19 lutego 1439, a prawdopodobnie i w r. 1440. Cymbarka wyszła niedługo przed 17 lutego 1412 r. za Ernesta Żelaznego, arcyksięcia Styryi, Karyntyi i Krainy; zmarła 28 września 1429. Alexander był proboszczem kapituły gnieźnieńskiéj,

rektorem Akademii Jagielońskiéj, biskupem trydenckim, wreszcie patryarchą akwilejskim, a pod koniec r. 1439 mianowany przez Feliksa V kardynałem. Siedziby patryarszéj nigdy jednakże nie objął, wyprzedzony w tém przez kandydata antypapy, Eugeniusza IV, Ludwika Scarampi Mezzarotę; zatrzymał tedy biskupstwo trydenckie, jako komendataryusz. Pod koniec życia, po 22 lutego 1443, otrzymał probostwo katedralne św. Szczepana w Wiedniu. Umarł nie w r. 1443, jak mylnie podano na napisie grobowym w Wiedniu, ani też w r. 1442, jak mniema kilku pisarzów, lecz napewno 2 czerwca 1444 r. Amalia nie była żoną Bogusława IX Słupskiego, jak podaje Długosz a za nim wszyscy inni, lecz Wilhelma II Bogatego, landgrafa turyńskiego i margrabi miśnieńskiego; faktu tego nie dostrzegł żaden z historyków nie tylko w Polsce, ale ani w Niemczech. Ślub odbył się 16 maja 1413. Kazimierz II ks. Bełzki, umarł w r. 1442. Miał za żonę Małgorzatę, córkę Wincentego Szamotulskiego, kasztelana międzyrzeckiego, a nie siostrę jej Jadwigę, jak twierdzi Grotefend. Niesłusznie też Grotefend odrzuca w tém miejscu informacyę Długosza i podaje datę śmierci 21 lipca, zamiast 5 listopada 1464 r. Anna, żona Włodzisława Płockiego, zmarła 15 sierpnia 1482. Grotefend myli się, twierdząc, że już nie żyła 29 marca 1481. Anna (a nie Agata) poślubiła przed 26 maja 1427 Michała Zygmuntowicza, ks. litewskiego; umarła przed 7 lutego 1435 r. — Żona Bogusława IX Słupskiego nazywała się Marya, a nie Amalia. Umarła po r. 1449. Ślub z Bogusławem odbył się pomiędzy 15 kwietnia a 16 maja 1433 r. Mylném jest twierdzenie Okolskiego, jakoby Ziemonit IV miał był jeszcze córkę Barbarę, żonę Ziemka Rościszewskiego. Do tego jeszcze biografie Eufemii, Trojdena i Katarzyny—a będziemy mieli pojęcie o doniosłości jednej dla typu wybranéj rubryki „Dzieci Ziemowita IV."

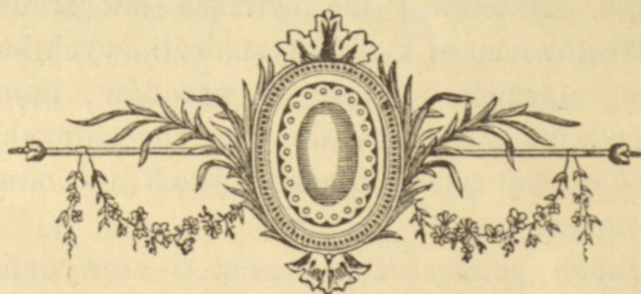
Wystarczy dać czytelnikowi wyobrażenie o tém dziele, ono samo chwali autora najlepiéj. Kilka tylko jeszcze słów objaśnienia. Autor zajmuje się szczegółowo wszystkiemi narzeczonemi i żonami Piastów, skądkolwiekby z zagranicy pochodziły; uważa to bowiem za swój obowiązek i słusznie. Natomiast nie roztrząsa tak źródłowo cudzoziemskich mężów Piastówien; ci książęta znaleźli swych badaczów w dziejopisarstwie zagraniczném odnośnych narodów, autor cytuje tedy tylko daty, odsyłając czytelnika do prac specyalnych zagranicznych; w szczegóły wdaje się tylko wtenczas, jeżeli jest odmiennego zdania i potrzebuje je umotywować.

W dodatkach pomieszczono rzecz o niewydanym dotychczas układzie nekrologu Lubińskiego, dostarczonym autorowi przez Kętrzyńskiego.

Rozstrzyga też Balzer ostatecznie sprawę o pierwotne, właściwe brzmienie imion piastowskich; mówiono tedy: Mieszko, Przemysł, Włodzisław. Sam autor używa też statecznie w całém dziele tylko tych form. Przyjmujemy :z wdzięcznością do wiadomości, jak mawiali współcześni, ale swoją drogą my dzisiaj będziemy używać form dzisiejszych, bo rozwój języka ma też swoje prawa i żadna moc ludzka nie skłoni dzisiejszego pokolenia, żeby zamiast Władysław zaczęło w imię antykwarstwa mówić i pisać: Włodzisław.

Jednéj rzeczy brak tylko temu dziełu: indeksu ogólnego imion własnych. Przy sposobności poszukiwania dat genealogicznych przerobił autor jak najgruntowniéj całą niemal historyę piastowską, mnóstwo faktów mylnie pojmowanych sprostował, mnóstwo nieznanych wykrył. Twierdzę stanowczo, że gdyby te wszystkie naukowe zdobycze Balzera uporządkować, powstałby nowy zrąb dziejów tego okresu; ale nikt się nawet nie domyśla, co za skarby tam się kryją, kto całéj książki nie przewertował; ten zaś, który czytał, czyż wszystko w pamięci zatrzyma? Gdyby był taki indeks imion własnych, dzieło mogłoby być należycie wyzyskaném; każdy zabierający się do pracy z okresu piastowskiego wiedziałby odrazu, że w tém dziele znajdzie też dla siebie wskazówki; bez indeksu zaś może się wydarzyć, że w niejednéj pracy pominięte będą rezultaty Balzera, bo trzeba za każdym razem odczytać na nowo całą księgę; a pominięte być mogą tém łatwiéj, że jest tam mnóstwo spraw poruszanych takich, o których nikt z góry przypuszczać nie może, że i one mają też związek z genealogią Piastów. W interesie tedy szybkiego postępu nauki powinna Akademia o taki indeks się postarać i dodatkowo jaknajrychléj go wydać; nie trzeba na to absorbować cennego czasu autora, wystarczy, gdy on nad tém obejmie tylko nadzór.

Felix Koneczny.



Szkolnictwo w Księstwie warszawskiém.



Krótka bardzo epoka istnienia utworzonego przez Napoleona Księstwa warszawskiego, odznacza się wielce ruchliwą pracą we wszystkich kierunkach życia narodowego, które w tym czasie po kilkoletnim letargu poczyna się nanowo. Ruchliwość taka daje się łatwo zauważyć przedewszystkiém w kierunku oświaty, na którą już koniec XVIII w. silny położył nacisk, powołując do życia komisyę edukacyjną, właściwie pierwsze w Europie ministeryum oświaty. Właśnie ów rąbek, osłaniający szkolnictwo z tych czasów, tak mało badanych dotychczas, uchylił przed nami Henryk Konic w wybornéj swéj pracy p. t. „Kartka z dziejów oświaty w Polsce", mieszczącéj w sobie charakterystykę władz oświecenia publicznego i oświatę elementarną w Księstwie. Pierwsza część dzieła powyższego poświęcona jest charakterystyce dwóch kolejno po sobie istniejących instytucyi naukowych: Izby edukacyjnéj i Dyrekcyi edukacyi narodowéj, zaś druga część rozpatruje niższe zakłady naukowe w Księstwie. Każdéj z nich poświęćmy słów kilka, streszczając przed szerszém gronem czytelników tę cenną a ze wszech miar godną baczniejszéj uwagi pracę Konica.

Z chwilą powstania Księstwa warszawskiego w r. 1807 została powołaną do życia Izba edukacyjna przez komisyę rządzącą, która poddała ją pod zwierzchnictwo ministeryum spraw wewnętrznych. Nie była ona tedy wedle prawa instytucyą państwową samodzielną, nieza-

leżną w zakresie wychowania publicznego, jak np. komisya edukacyjna niegdyś, atoli w rzeczywistości, mając zupełną swobodę działania, nie była krępowana w swych czynnościach ani przez komisyę rządzącą, ani przez ministeryum, którego rola polegała przeważnie tylko na zatwierdzaniu niektórych jéj uchwał lub pensyi nauczycieli. Pierwszymi członkami Izby, których było wogóle ośmiu z prezesem Stanisławem Potockim na czele, widzimy takich ludzi, jak głośny twórca „Słownika polskiego" Bogumił Linde, ks. Stanisław Staszic, ks. Kopczyński i t. d. Pod zwierzchnictwo Izby poddano wszystkie zakłady naukowe w Księstwie, a w ich liczbie i szkołę prawa, będącą pod zwierzchnictwem ministeryum sprawiedliwości, i dwie szkoły wojskowe: w Kaliszu i Chełmnie, powierzono jéj kontroli. Mając tedy przyznane sobie dość rozległe atrybucye i rozległy zakres działania, Izba rozpoczęła działalność niezmiernie energiczną około podniesienia poziomu szkolnictwa, na które dotychczasowy rząd pruski zwracał wprawdzie baczniejszą uwagę, otwierając wciąż nowe zakłady naukowe (Liceum warszawskie, gimnazyum w Poznaniu, seminaryum nauczycielskie w Łowiczu i Poznaniu, szkoła wojskowa czyli kadetów w Kaliszu i Chełmnie), ale jednocześnie tamował swobodny jego rozwój, uważając je za narzędzie swéj polityki germanizacyjnéj, w którym to celu język ojczysty wyrugowano ze szkół i sprowadzono nauczycieli niemców. Wojna francusko-pruska, poprzedzająca utworzenie Księstwa warszawskiego, zadała dotkliwy cios szkolnictwu; Izba edukacyjna w raporcie swoim z r. 1808 tak kréśli stan szkół owoczesny: „Uczniowie rozproszeni, domy szkolne na szpitale, magazyny i inne potrzeby wojskowe zajęte, dochody przerwane, a nauczyciele niepewni losu czekali dzielnéj opieki rządu." Przedewszystkiém tedy zadaniem Izby było puszczenie w ruch prawidłowy machiny szkolniczéj. Jakoż wydała ona odezwę do wszystkich większych obywateli ziemskich z prośbą o współdziałanie i pomoc materyalną przy otwieraniu całego szeregu szkółek elementarnych po wsiach lub miasteczkach. Następnie uporządkowała w możliwy sposób fundusze szkolne, będące dotychczas w stanie opłakanym, i przystąpiła do otwierania średnich zakładów naukowych, jak np. szkoły departamentowéj w Sejnach i Bydgoszczy, szkoły wydziałowéj we Wschowie, szkoły lekarskiéj w Warszawie z programem uniwersyteckim i t. d., a prócz tego przekształciła seminaryum nauczycielskie i obie szkoły wojskowe, zreformowawszy program nauk. Po przyłączeniu w roku 1809 do księstwa części austryackiego, gdzie stan oświaty również jak i byt materyalny był rozpaczliwy, zajęła się z niemniejszą gorliwością szkolnictwem elementarném i w téj nowoprzyłączonéj dzielnicy, zakładając przytém i średnie zakłady naukowe,

jak np. szkołę departamentową w Lublinie, wydziałową w Hrubieszowie i t. d. Wszystkie szkółki elementarne były utrzymywane wogóle ze składek, wnoszonych przez wieśniaków i mieszczan, ponieważ fundusze, któremi izba rozporządzała, były zbyt szczupłe, wynosiły bowiem po przyłączeniu zaboru austryackiego 1,945,000 złp. (na sumę tę składały się dochody z dóbr pojezuickich, będących niegdyś pod rozporządzeniem komisyi edukacyjnéj i subsydya stałe ze skarbu państwa). Obok tego zasługuje na uwagę utworzenie przez izbę w r. 1810 Towarzystwa do ksiąg elementarnych, na wzór takiéjże instytucyi istniejącéj za czasów komisyi edukacyjnéj. Zadaniem jego było rozpatrywanie wszelkich książek szkolnych, wychodzących w kraju i zagranicą, i rękopisów podręczników naukowych, nadsyłanych mu przez izbę, a następnie składanie o nich wymotywowanéj należycie i szczegółowéj opinii izbie, która pozostawiła sobie prawo ostatecznéj decyzyi przyjęcia lub odrzucenia danéj książki. Towarzystwo to i po zniesieniu izby istniało daléj pod zwierzchnictwem nowéj instytucyi, a mianowicie Dyrekcyi edukacyi narodowéj.—Właściwie obrazu całkowitéj działalności izby edukacyjnéj autor w książce swéj nie podaje, poprzestając tylko na skreśleniu jéj pracy około podniesienia oświaty elementarnéj (co prawda jest to najważniejsza część jéj działalności), a pomijając stosunek jéj do średnich i wyższych zakładów naukowych, jak np. do akademii krakowskiéj, na którą zwróciła ona szczególniejszą uwagę.

Po krótkim ale niezmiernie ruchliwym żywocie pożyteczna ta instytucya przestaje istnieć, a natomiast dekret księcia warszawskiego z r. 1810 powołuje do życia Dyrekcyę edukacyi narodowéj, która wszakże dopiéro na początku 1812 roku rozpoczyna swoją działalność, będąc, jak i jéj poprzedniczka, oddaną pod zwierzchnictwo ministra spraw wewnętrznych. Składała się ona z sześciu członków rzeczywistych, dziewięciu honorowych, dyrektora, którym był w dalszym ciągu Stanisław Potocki, i sekretarza generalnego. Różnica między członkami rzeczywistymi a honorowymi polegała na tém tylko, że pierwsi pobierali stałą pensyę, drudzy zaś bezpłatnie spełniali swe obowiązki. W zakres czynności téj instytucyi wchodziło: kontrola nad funduszami edukacyjnemi wogóle i każdéj ze szkół osobno, władza i kontrola bezpośrednia nad wszystkiemi zakładami naukowemi i instytucyami, mającemi związek z oświatą (bibliotekami publicznemi, zbiorami naukowemi), mianowanie lub usuwanie nauczycieli, otwiéranie szkół, wybór podręczników przy pomocy Towarzystwa elementarnego i t. d., jedném słowem była to instytucya jakkolwiek stanowiąca wydział ministeryum spraw wewnętrznych, atoli mająca wszelkie znamiona niezależnéj magi-

stratury, podobnéj ze względu na zakres swych czynności do dzisiejszych ministeryów oświaty. Mając pozostawiony sobie do rozporządzenia na cele edukacyi publicznéj etat roczny w kwocie 1,574,306 zł. (mniéj niż Izba edukacyjna), Dyrekcya usiłowała daléj prowadzić sprawę oświaty, chlubnie rozpoczętą przez swą poprzedniczkę; napotykała atoli nieustanne przeszkody, z któremi wciąż musiała walczyć i to bezskutecznie; do takich należał ciągły brak funduszów skutkiem pogorszającego się stopniowo stanu ekonomicznego kraju i burz wojennych, paraliżujących prace i usiłowania téj pełnéj jaknajlepszych chęci instytucyi, która wreszcie i czasu dostatecznego nie miała, by rozwinąć całkowicie swą działalność, gdyż w r. 1815-ym przestaje już istniéć, przy nowéj organizacyi kraju, ustępując miejsca komisyi rządowéj wyznań i oświecenia.

W dalszym ciągu swéj pracy autor, dawszy ogólnikowy przegląd władz administracyjnych w dziedznie edukacyi i charakterystykę dozoru szkolnego, przechodzi do drugiéj części swego dziełka, poświęconéj szczegółowemu rozpatrzeniu ustroju szkolnictwa elementarnego w Księstwie, jakiém je uczyniła izba edukacyjna, a następnie utrzymała dyrekcya edukacyi narodowéj.

Poraz pierwszy na oświatę początkową zwróciła u nas uwagę komisya edukacyjna, wydając ustawę, tyczącą się organizacyi szkółek elementarnych, i wkładając na proboszczów wiejskich obowiązek ich zakładania i utrzymywania z ofiarności publicznéj; szkółki te, wedle brzmienia ustawy komisyi, były niemal całkowitą własnością plebanów, stojących na czele parafii. Rząd pruski, opiekując się oświatą elementarną, również otwierał i utrzymywał szkółki ze składek mieszkańców (włościan i mieszczan), usiłując atoli usunąć je z pod wpływu duchowieństwa i wprowadzając do nich język niemiecki; prostém następstwem téj okoliczności było to, że za czasów pruskich szkolnictwo elementarne nie wydało prawie żadnych owoców, gdyż szkoła niemiecka i nauczyciel cudzoziemiec nie mógł żadną miarą zyskać zaufania wśród ludności miejscowéj. Ilość szkółek początkowych za czasów pruskich była stosunkowo niezbyt wielka, gdyż na 2,600,000 ludności w dwóch ostatnich zaborach (późniéj sześć departamentów Księstwa) liczono ich 144. Izba edukacyjna, przejąwszy sprawę oświaty,, gorliwie zajęła się zwiększeniem ilości szkół początkowych, których w roku 1808-ym liczono już 578, a w roku 1814-ym, jak to widzimy z wykazów statystycznych, dochodzi ona do poważnéj cyfry 1490 w całém Księstwie, liczącém wówczas przeszło 4,000,000 mieszkańców, zaś uczniów płci obojga w tymże roku uczęszczało do tych szkółek 44,670.

Kwestyę funduszów, potrzebnych na utrzymanie szkół elementarnych izba pozostawiła również pieczy samych mieszkańców z tą atoli różnicą, że gdy komisya edukacyjna za pośrednictwem duchowieństwa odwoływała się do ich ofiarności i wysokość składek rocznych pozostawiła dobréj ich woli, izba usiłowała wprowadzić stały określony podatek szkolny, zmierzając przytém do przeprowadzenia zasady obowiązkowego utrzymywania szkół już nietylko w każdéj gminie, ale nawet w każdéj wsi i każdém miasteczku.

Atoli cała doniosłość i postępowość prac izby edukacyjnéj wystąpi w pełni przed nami dopiéro wówczas, gdy się przypatrzymy wewnętrznemu ustrojowi szkolnictwa elementarnego za jéj czasów. System nauczania i sam program nauk dla szkółek początkowych lub podwydziałowych był oparty na rozumnie pojętéj zasadzie wychowania praktycznego, przedewszystkiém by dać możność uczącéj się młodzieży korzystania późniéj w życiu codzienném z nabytych wiadomości, co jasno wypowiada izba we wstępie swym do wewnętrznego urządzenia szkół podwydziałowych, gdzie spotykamy następujące zdania: „Celem jest szkoły podwydziałowéj dać dobrze poznać młodzieży treść wszystkich tych nauk i umiejętności, które wykształcają obyczaje i oświecają rozum, powszechnie potrzebnemi i użytecznemi wiadomościami zaostrzają szczególniéj przemysł i wskazują obfite źródła tak prywatnéj zamożności, jak bogactw krajowych i podają niezawodne praktyczne sposoby nabycia i pomnożenia obojga. Cechą więc, zasługą i zaletą będzie dobrze urządzonéj i utrzymywanéj szkoły podwydziałowéj, kiedy każdy uczeń, który wszystkie jéj klasy chwalebnie ukończy, miéć będzie gruntowne zasady wszystkich tych wiadomości, umiejętności i talentów, za pomocą których rolnictwo, rękodzieła, handel i piękne kunszta do tak wysokiego, jak widzimy, doskonałości stopnia w krajach obcych doszły."

Wobec tak pojętego znaczenia nauki początkowéj w szkołach elementarnych, obok czytania, pisania, arytmetyki aż do reguły trzech włącznie i nauki religii i moralności, uczono jeszcze w szkółkach wiejskich zasad hygieny, początków weterynaryi, rolnictwa, pszczelnictwa, ogrodnictwa, a daléj początków geometryi praktycznéj i ogólnych zasad prawa krajowego; zaś w szkółkach miejskich zamiast rolnictwa, pszczelnictwa i ogrodownictwa zaznajamiano uczniów z przedmiotami, mającemi związek z handlem, przemysłem i rzemiosłami; zaś w szkołach dla dziewcząt uczono wszelkich robót kobiecych. W szkołach podwydziałowych zakres nauk był już z natury rzeczy znacznie obszerniejszy, tu bowiem wykładano: religię i moralność, język polski, francuski, niemiecki i łaciński, historyę powszechną i polską, geografię, arytme-

tykę, geometryę, historyę naturalną, fizykę, technologię, konstytucyę krajową, wreszcie uczono kaligrafii i rysunków, nie zaniedbując przytém, jak i w szkółkach elementarnych, ćwiczeń fizycznych. Jak widzimy tedy, plan nauk dla szkół niższych był bardzo rozległy, obejmując przedmioty nietylko ważne ze względu na przyszłe stanowisko uczniów wśród ogółu, ale także rozwijające ich umysł i dostarczające ogólnych pojęć o tém, co ich otacza w przyrodzie. Przynosi on niewątpliwie zaszczyt ówczesnéj władzy naukowéj, która, należy dodać, nietylko na stronę umysłową lub fizyczną młodzieży zwracała baczną uwagę, ale jednocześnie i na moralną, żądając w przepisach swych przedewszystkiém od nauczyciela bezwarunkowéj nieskazitelności charakteru i sumiennego spełniania swych obowiązków, co zapewniłoby mu niezbędny dla niego szacunek współobywateli i samych uczniów, dla których nauczyciel powinien być zawsze wzorem i powagą bezwzględną. Niezmiernie charakterystycznym jest i godnym uwagi pogląd władzy naukowéj na kary szkolne, które i dziś jeszcze tak różne i rozległe mają zastosowanie w wychowaniu młodzieży, aczkolwiek pedagogika dzisiejsza nie uznaje ich stanowczo za środek wychowawczy. Również i dyrekcya edukacyi narodowéj uważała karę za zło nieuniknione, które z konieczności trzeba stosować tylko w razach nadzwyczajnych; w przepisach swych instytucya ta powiada: „Zwierzchność szkolna jaknajmocniéj o tém przekonać się powinna, że utrzymanie młodzieży, edukacyę biorącej, w przyzwoitym porządku i karności nie od praw, obejmujących wszystkie powinności uczniów i wszystkie zdarzyć się mogące przewinienia, tudzież przepisujących stosownie do nich kary, ale od jéj roztropności, długiém doświadczeniem lub czytaniem książek pedagogicznych i rozmyślaniem wydoskonalonéj, od jéj nieprzerwanéj nad powierzoną sobie młodzieżą baczności i od jéj dobrego przykładu i ciągłego osób jéj między sobą porozumienia się zależy. Jeżeli rektor i nauczyciele dopełniać będą dokładnie obowiązków, jakie im własny ich rozsądek i serce wskaże, a wewnętrzne urządzenie szkół w części wymienia, pociągną tém samém najskuteczniéj uczniów do przyzwoitego sprawowania się i wiernego dopełniania powinności, a zarazem zapobiegną zdrożnościom, zasługującym na kary upadlające i niewolnicze." W każdym razie przy wymierzaniu kary ustawa zaleca koniecznie uwzględniać charakter ucznia, przytém stanowczo wyklucza pewne rodzaje kar, niestety i dziś jeszcze stosowanych, jako to: klęczenie, szturchanie, ciągnienie za włosy i t. d., również, co dowodzi wielkiego rozumu instytucyi, zakazuje naznaczać uczenia się czego na pamięć tytułem kary, „chcemy bowiem, aby uczniowie w szkołach na-

szych tak byli od nauczycielów prowadzeni, żeby uczenie się nie za karę, lecz za największe dla siebie szczęście poczytywali."

Takiém w ogólnych zarysach było szkolnictwo elementarne w epoce Księstwa warszawskiego, takiemi były te władze naukowe, które, ojcowską, rozumną otaczając je opieką, wydały szereg ustaw, wprawdzie w owym czasie w całéj swéj rozciągłości i szczegółach nie wprowadzonych w życie, będących atoli bądź co bądź chlubném świadectwem rozumu i postępowości instytucyi naczelnych.

Miéjmy nadzieję, iż autor niebawem da nam również dokładny i sumiennie skréślony obraz szkół średnich i wyższych z czasów Księstwa, dla dopełnienia całokształtu dziejów szkolnictwa z owéj tak mało wogóle zbadanéj w swych szczegółach epoki.

I. Nitowski.



Obrazy i obrazki społeczne.

BEZDOMNI.

Pisarz o nazwisku nieznaném, nieledwie, jak profesor Wagner zapewnia nas w przedmowie, reporter berliński, przemówił do nas książką, któréj dwieście kilkadziesiąt kartek roztwiéra tyleż perspektyw na losy człowiecze, a każdy z 17-tu rozdziałów téj olbrzymiéj epopei nędzy i upadku i w najbardziéj wystygłém sercu obudzić potrafi litość i współczucie. Jest to jeden z tych obrazów, które w zbliżających się tygodniach zimowych będą najbardziéj aktualne, które winniśmy uprzytomnić sobie, gdy bierzemy się do pracy w ciemny poranek i kiedy o nocnéj godzinie zasypiamy pod dźwiękami płaczącego dészczu — w pokoju swoim, ogrzani i niegłodni, ze świadomością, że i następnego rana nie zapomni o nas ani piekarz, ani służący. Cóż to za obraz? Jednym wyrazem odpowiem na to pytanie: Bezdomni. Taki tytuł jest książki, którą napisał p. K. Liebich („Obdachlos", str. XVI + 256). Szkoda, że autor nie jest uczonym, ani artystą. W pierwszym wypadku ofiarowałby nam zbiór faktów, na tle których fantazya utkaćby zdołała obrazy wzorzyste; w drugim — wypełniłby i tę pracę za nas. Sam atoli, gwoli wymaganiom wydawcy zapewne, rozpuścił esencyę prawdy ekonomicznéj i społecznéj w wodzie nieudolnego opowiadania „powie-

ściowego", i z tego samego powodu musiał na ojca chrzestnego swéj pracy prosić p. Wagnera, który wypisał na wstępie kilka kartek ze swego podręcznika „Ekonomii"—w rezultacie otrzymaliśmy rzecz nieudaną. Ta fabuła nowelistyczna polega na tém, że autor daje sylwetki kilku bezdomnych w ich rozwoju historycznym: na kilku przykładach wykazuje, w jakich sposób można się stoczyć w szeregi tych potępieńców, i prowadzi ich następnie, — a nas wraz z nimi — po wszystkich kręgach tych piekieł nędzy ludzkiéj. W jaki sposób stać się można bezdomnym, na to odpowié każdemu jego własne doświadczenie, czerpane z otoczenia, z dzienników, z opowiadań. W jakiéj formie, a raczéj w jakich osłonkach ukaże się sam nagi fakt — o to mniejsza; wszystkie bowiem te formy mają jedno wspólne źródło, bezdenne, niewysychające nigdy w dobie naszéj: brak pracy. „Poszukujący zajęcia" — to istotnie jeden z typów doby współczesnéj, który odnaléść można wszędzie na samym spodzie uspołecznienia, w kuźni pracy fizycznéj i pośrodku w zawodach „wyzwolonych", i na samym szczycie, na jedwabném podścielisku pracy umysłowéj. Są i kierunki pracy umysłowéj bezdomne, są i szkoły literackie bezdomne. Mniejsza więc o to, skąd płyną te rzesze: w téj chwili ważném jest dla nas, gdzie je znaléść możemy. Pierwszym etapem takiéj wędrówki za pracą jest gościniec prowincyonalny. Słusznie i rozumnie uczynił autor, że wskazał, jako początek téj wędrówki wieś, a jako koniec pochodu Berlin. Ta siła przyciągania, którą rozporządza wielkie miasto w stosunku do wsi, nie może być pominięta w poczcie psycho-socyologicznych założeń bezdomności.

Na gościńcu spotkać można towarzystwo liczne i różnorodne. „Biédni podróżni" — tak brzmi wspólne imię, które obejmuje najróżnorodniejsze żywioły: obieżysasów, b. kupców i studentów, nawet b. oficerów znaléść tam można. Obliczono ilość tych wędrownych nędzarzy na dwieście tysięcy. Mają swój specyalny język, swoje zwyczaje, nawet kodeks, zbudowany na bezwzględny równości wszystkich. Latem o nocleg łatwo: trzeba tylko zboczyć z drogi do pobliskiego lasu, albo wyszukać w polu stertę, pod którą przespać się można. Zazwyczaj podróżują gromadnie. Gospody t. zw. chrześciańskie, w których nie ma napojów wyskokowych i które zresztą są często dość oddalone jedna od drugiéj — nie cieszą się względami téj publiczności. W szynku przydrożnym weseléj. Szynkarz, zazwyczaj skończony łotr, zajmujący się swoim procederem pomiędzy jedném a drugiém uwięzieniem, umié dogadzać życzeniom swoich gości, których poglądy obyczajowo-etyczne bywają niekiedy zupełnie niemożliwe. Zasady równości, wspominane przed chwilą, przybierają charakter specyalny,

wszyscy bowiem jednakowo łupią i okradają siebie nawzajem: kodeks karny, obowiązujący tutaj, sprowadza się do *lynchu*. Bohatér naszéj opowieści, młody robotnik Wilhelm, który przed miesiącem stracił miejsce w warsztacie, spotyka, będąc już bez grosza, dobrane towarzystwo wędrowne. Nie puszczają go już od siebie, jakkolwiek ma szczery zamiar dotarcia do najbliższéj „stacyi dobroczynnéj". Noc spędzają w polu pod stertami, nad ranem znajdują ich tam chłopi, przed którymi muszą ratować się ucieczką. Wreszcie znajdują pewną wioskę, z któréj należy wyciągnąć, co się da. Wilhelm otrzymuje pewien obręb który ma obejść po prośbie. Jeszcze nie zepsuty, szczerze gardzący otaczającymi go już zupełnie skończonymi łotrzykami, probuje i tutaj szukać pracy. We wsi jest gorzelnia. Znajduje majstra i prosi o zajęcie.—„Czyś pracował już w wielkim warsztacie?"—„Nie." — „W takim razie nie mam miejsca dla ciebie, zresztą wydajesz mi się zbyt słabym." Więc rekuza. Majster jednak i czeladnicy składają mu pół marki zapomogi. Idzie od drzwi do drzwi. W połowie domów każą mu się wynosić za drzwi; inni dziwią się: „tak młody, a już żebrze"; litościwe dziecko daje mu trochę chleba i mléka! Za wsią spotyka resztę towarzyszów, od których uciec zamierza. Im powiodło się lepiéj. Jeden z nich był u młynarza, drugi u rzeźnika, trzeci u pastora. U piekarza, korzystając z „okazyi", udało się ukraść kilka bułek. Ciekawą ze względów socyo-psychologicznych jest wizyta u pastora. Okolica jest ewangielicka. Po obrazie atoli Matki Bożéj poznaje łotrzyk, że jest we wsi katolickiéj. Mówi więc do księdza: „Szukam pracy. Tu u protestantów znaléść jéj nie mogę. Muszę wędrować do Bawaryi!" Wzruszony starzec daje mu pół marki i błogosławieństwo na drogę...

Następny etap — to *Verpflegungsstation*. Założone przez pastora Bodelschwingh'a przed kilkunastu laty, liczą dzisiaj blisko dwa tysiące stacyi w całém państwie i kosztują rocznie około $1\frac{1}{2}$ miliona marek. Są one tak rozrzucone, że wędrowiec, z każdego punktu wychodząc i w jakimkolwiek kierunku idąc, po 4—6 godzinnym marszu, znajduje schronienie. Jeżeli jest pozbawiony środków, to mapa topograficzna stacyi wskazuje mu drogę w wędrówce; niewolno mu atoli ani zbaczać ze wskazanéj drogi, ani opuścić jednéj chociażby stacyi, w takim bowiem razie traci wszelkie prawo do pomocy. Z wieczora otrzymuje na stacyi wieczerzę, nocleg; może spędzić tam kilka godzin przedobiednich i za dokonaną pracę otrzymać dwukrotnie, rano i w południe posiłek. Po obiedzie wyrusza na dalszą wędrówkę do następnéj stacyi. Posiłek *ma* być tak obfity, aby zupełnie wystarczał na utrzymanie organizmu i nie zmuszał do żebrania. Tak brzmi teorya, inaczéj nieco ma się rzecz w praktyce. Jakkolwiek bowiem urzędownie i nomi-

nalnie wszyscy szukają pracy, to jednak zaledwie mała część szuka jéj istotnie i jest do pracy zdolna. Dlatego też najczęściéj chroni się ta publiczność do gospody, gdzie za wyżebrane przez dzień piéniądze może znaléść nocleg za 20—30 pf., albo w karczmie za pozostałe od libacyi 5—10 pf. śpi na ławie. W gospodach i na stacyach nie przyjmują często podobnych gości ze względu na „faunę" bogatą, jaką tam ze sobą „na sobie" przynoszą. Zarząd stacyi przyzwyczaja się tak do tych bardzo licznych gości, że jednakową politykę stosuje do wszystkich. Nie potrafi już odróżniać uczciwego nędzarza, który pracy znaléść nie umié, od takiego, który pracować nie chce. Obchodzi się z nimi ostro, bez litości, niekiedy z pogardą. Natura zepsuta nie „robi sobie nic" z takiego traktowania, ale Wilhelma naprzykład musiało przyjęcie, jakiego doznał na pierwszéj stacyi, uderzyć niemile. Przybył tam około południa po 24-godzinnym poście; było już po obiedzie, więc mu jeść nic dać nie chciano, kazano drwa rąbać i czekać do 6-éj; musiał znowu wyżebrać sobie w jednéj, drugiéj, trzeciéj jadłodajni resztki z obiadu gości. Wieczorem dotarł do następnéj stacyi; jeść nie dostał wiele: talérz cienkiéj zupy mącznéj i kromkę suchego chleba, ale „ojciec" był łaskawszy i przed nocnym spoczynkiem przeczytał rozdział z Ewangielii, który uczynił na Wilhelmie duże wrażenie.

Wróćmy na chwilę do jego dawnych towarzyszów. Ci rozpoczęli dzień od tego, że z pobliskiego pola wydobyli potrzebną do śniadania ilość marchwi, poczém obeszli wieś jedną i około 2-éj po południu zawitali do pobliskiéj karczmy. Za szynkwasem zastają vice-gospodarza. Jest to zazwyczaj dzierżawca karczmy, który od miejscowego właściciela musi brać (w myśl umowy) całą ilość zapotrzebowanéj wódki i piwa. Za litr używanéj tu gorzałki płaci właściciel 30—33 pf., odprzedaje dzierżawcy za 70, ten zaś w sprzedaży detalicznéj bierze 100 czyli markę. Jest on wtajemniczony we wszystkie arkana kunsztu żebracko-złodziejskiego. Widuje u siebie najchętniéj najgorszych, ci bowiem najprędzéj wydają zdobyte fenigi. Daje im też najlepsze wskazówki, jak uniknąć niemiłego spotkania z policyą, skupuje wyżebraną albo skradzioną odzież i t. p. Dzięki jego wskazówkom „strategicznym", udało się towarzyszom zdobyć dzisiaj poważną ilość odzienia: kilka koszul, kilka par butów, jedno skradzione palto. Podaż jest na tym rynku stale większa, niż popyt. Ceny stąd bywają skandalicznie małe. Nie wpływa to atoli bynajmniéj na humor gości. Bliższym znajomym gospodarz nie odmawia kredytu. Znajdujemy tam b. kowala, 73-letniego starca, któremu dają na krédkę dwa kieliszki wódki; po godzinie jest on z powrotem, przynosi markę w gotówce

i mnóstwo prowiantu. Po „pracy” zasiada towarzystwo do biesiady: dowcipy sypią się bez miary i liczby, każdy ma do opowiedzenia wiele ciekawego. Wieczorem zawita do karczmy wędrowny muzykant. Wtedy się rozpoczyna bal: damskiego towarzystwa nigdy nie brakuje. Ciekawa jest zresztą historya tego muzykanta. Jest to Węgier; towarzyszy mu żona z dwojgiem dzieci, które wiozą ze sobą w wózku, a spodziéwają się niebawem trzeciego. Węgra biorą pod klucz w pobliskiém mieście „za wzbronione wykonywanie muzyki”, nazajutrz idzie na jego miejsce żona „za przeciwne prawu oswobodzenie więźnia”. Węgier ucieka, a miasto otrzymuje dwoje, a po dwóch dniach trzecie dziecko „na garnuszek”. Podobno magistrat był oburzony na sąd i policyę za niespodziankę, którą mu był zesłał. Ludzie mówili: gdyby się nikt Węgra nie pytał o jego patent na wykonywanie rzemiosła, nicby się było nie stało, ale tak — *fiat justitia, pereat mundus.* Najmniéj lubianymi gośćmi w karczmie są obieżysasi. Kiedy idą z Poznańskiego do Saksonii, są zdrowi, silni, mają oblicza uczciwe. Kiedy wracają z dzielnicy buraków cukrowych do domu, są upadli: mężczyźni dotknięci zarazą szynku, dziewczęta — nierządu. Otoczenie obcoplemienne nie lubi ich, gdyż zazwyczaj obniżają cenę pracy, mając potrzeby mniejsze i skromniejsze wymagania.

Pozostawiliśmy Wilhelma na „stacyi”. Odnajdujemy go obecnie w gospodzie „pod strzechą rodzinną”. Istnieje takich gospód w Niemczech 364, które mieszczą 12,600 łóżek. W ostatnich latach spędziło tam noc $1^{1}/_{2}$ miliona podróżnych rocznie. Prócz tego, korzystało z samego tylko obiadu 185,000 gości. 216 gospód łączy się z opisanemi powyżéj „stacyami”. W jednéj z takich instytucyi w połowie październik spotykamy Wilhelma. Jest już w Berlinie, gdzie znajduje się ich cztery (największa posiada 150 łóżek). Zastaje w ogromnéj sali około stu towarzyszy niedoli. Pyta przedewszystkiém obecnego urzędnika, czy nie ma żadnych ofert dla pożądających pracy. Zapomniał dodać: w jakim fachu. „Czy mam z nosa pańskiego poznać, czém jesteś?”— odpowiada typowy berlińczyk. „Jestem bednarzem, ale dlatego nie masz pan prawa przemawiać tak do mnie”—rzeknie Wilhelm w poczuciu posiadania trzech marek w kieszeni. „Jeśli nie będziesz pan cicho, to każę go wyrzucić”—słyszy znowu. Miejsca nie ma (rocznie podobno bywa ofert do 15,000). Próbuje szukać. Tu żałują, że nie był wczoraj, owdzie czynią mu nadzieje na przyszłość i t. d. Wraca więc do gospody. Za resztę pieniędzy kupił kilka marek obiadowych, które mu pozwoliły przepędzić bez głodu dni kilka. Nie pozostało tedy nic więcéj, jeno żebrać. „Ojciec” atoli, któremu się podobał, pozwolił mu zostać i poradził wziąć inną, jeżeli nie może dostać fachowéj pracy.

Zgłosił się ktoś z żądaniem terminatora i on, chociaż już dawno czeladnik, przyjął miejsce za 9 mar. tygodniowéj płacy, aby się tylko uczepić o coś uczciwego: za $2^1/_2$ mar. na miesiąc wynajął sobie „łóżko" u pewnéj rodziny (zwyczaj rozpowszechniony w Niemczech po dużych miastach fabrycznych śród klasy robotniczéj, gdzie przyjmuje się na noc „na *schlafstelle*" młodych nieżonatych robotników), za co otrzymywał także ranny posiłek; jadał w kuchni ludowéj i płacił za to $5^1/_2$ m. miesięcznie. Było bardzo skąpo, ale czuł się szczęśliwym. Tymczasem jednak sezon się skończył i Wilhelm stracił miejsce. W początkach grudnia spadł duży śniég — znalazł pracę śród zamiataczy ulicznych. Trwało to jednak trzy dni tylko, poczém znowu został na bruku.

Dom przytułku dzieli się w Berlinie na kilka części. W pierwszéj, obliczonéj na 600 głów, mieszkają rodziny całe, które wyrzucono z mieszkania za niezapłacenie komornego. Płci są podzielone, gdyż nie ma tak licznéj ilości pokoi, aby każdą rodzinę można było w oddzielnym pomieścić; dla dzieci urządzono szkołę. Za tym gmachem ciągnie się drugi przeznaczony dla osób bezrodzinnych, obliczony na 1,500 osób; zdarzało się atoli, że umiano tam pomieścić i 3,000. Każdy, kto nie ma własnéj siedziby może być przyjęty tutaj, codziennie pomiędzy 4-tą po południu i 1-ą w nocy; nawet pijanych przyjmują. Tłum różnojęzyczny, o najróżniejszych zawodach, obyczajach i „sumieniach" zbiera się tutaj: istna wieża Babel. Tych, którzy po raz pierwszy stają w sieni przytułku, ostrzega się, że mogą korzystać z téj instytucyi przez dni 5 z rzędu, poczém wynajdą sobie inne schronienie. W razie przyłapania na oszustwie grozi im się karą sześciotygodniowego więzienia. Każdego prowadzą przedewszystkiém do kąpieli. Muszą uprzednie ubranie swoje spakować w worki, te poddaje się dezinfekcyi przez parę, ogrzaną do + 100°, ... poczém „żywy inwentarz" garderoby staje się zupełnie bezpiecznym dla czystszego otoczenia. O 8-éj otrzymuje każdy 200 gramów chleba i 0,9 litra zupy. O $4^1/_2$ budzi się gości. O 5-éj jest śniadanie, po którém ci, co się podają za chorych, muszą poradzić się lekarza.

Tutaj zapukał pewnego dnia Wilhelm. Przeszedł cały kurs procedury, którą opisaliśmy przed chwilą i znalazł się wreszcie na sali z kilkudziesięciu innymi, między którymi było kilku dawnych znajomych z wędrówki. Jeden z nich był tutaj dawnym gościem, który pomimo zakazu umiał wkręcić się nie tylko na 6-tą, ale i na 15-tą noc. Ten znał już mniéjwięcéj całe towarzystwo zebrane: w tém gronie spoczywał jeden murzyn z Kamerunu, którego cywilizowała w ten sposób Europa, — były zawiadowca stacyi kolejowéj, który nieszczęśliwym

trafem wypadł z prostéj kolei swego zawodu, i stoczył się powoli na sam spód życia wielkomiejskiego, kandydat teologii, a obok tego b. obywatel ziemski.

Były to jeszcze względnie szczęśliwe chwile, które spędzał w przytułku. Za dnia szukał miejsca, wiedząc, że wieczorem otworzą mu drzwi ciepłego schronienia. Dni atoli przeszły prędko. Próbował szczęścia dni następnych, ale już 7-go dnia przyłapano go i w drodze łaski skończyło się na prostém wypędzeniu z przytułku. Rozpoczęły się więc dni żebracze. Noc całą spędzał na świeżém powietrzu, zrana wyżebrał po piekarniach trochę pieczywa, a z pierwszym otrzymanym datkiem pieniężnym zawitał do kawiarni ludowéj. Jestto instytucya, godna pilnéj uwagi. W roku 1889 powstało w Berlinie towarzystwo akcyjne, które powołało do życia już trzy wielkie halle, otwarte od 7-éj rano do 9-éj wieczór. Tutaj przez dzień cały pełno. Kręcą się handlarze starzyzny, którzy skupują od biedaków resztki „zbytecznego” odzienia, a od złodziei łup poprzednich godzin pracy. Tutaj spotkał się znowu Wilhelm z dawnymi towarzyszami podróży, i znowu musiał się do nich zbliżyć. Te dni należały do bardzo ciężkich. Kilka godzin dziennie żebrano, a za zebrane grosze raczono się w knajpach, już jawnie „złodziejskich”. Musiał wytrzymać kilka razy powtarzane podmowy okradzenia jakiéjś „góry” z bielizną w bogatéj dzielnicy. Wreszcie uciekł, i wrócił do przytułku. Wolał już otrzymać zapowiedziany chrzest więzienny, aniżeli dłużéj gnić w tém błocie. To się téż spełniło. Po pierwszéj w przytułku spędzonéj nocy zdemaskowano go i oddano w ręce policyi. Tutaj miał wytoczony proces jako włóczęga. Spędził kilka dni w więzieniu śledczém, poczém wezwano go przed stół sędziowski. Mógł powołać świadków, że się starał o pracę, ale jéj nie znalazł. Uwolniono go, i znowu znalazł się na bruku. Zwrócił się więc do biura pracy, utrzymywanego przez berlińskie towarzystwo poprawy więźniów, zostającego pod protektoratem cesarza. Latem zwracają się do biura właściciele ziemscy, potrzebujący robotników, zimą idzie z umieszczeniem gorzéj. W r. 1892-im było do umieszczenia 3,645 osób, a znaleziono zajęcie tylko dla 2,726 (z tych 836 liczyło mniéj, niż 16 lat!), przeważnie na wsi, przy zbiorach. Jeżeli robotnik taki pozostaje dłużéj w miejscu, to musi z zarobku spłacać biuru poniesione nań koszta. Z tego źródła otrzymało towarzystwo w roku zeszłym 8,000 mar. Tutaj zapukał więc Wilhelm. Urzędnik okazał się łaskawym. Zapisał nazwisko i ofiarował marki obiadowe na czas bezrobocia. Śniadania i wieczerze otrzymywał w przytułku. Wreszcie znalazła się robota. Jakiś dzierżawca z Meklemburskiego zażądał kil-

kudziesięciu robotników: w téj kompanii wyjechał Wilhelm. Prócz kilku nie było w niéj takich, którzyby jeszcze pracować chcieli, po dwu dniach rozpoczęły się burdy, a solidarność nędzy nie pozwoliła niewinnym działać bez względu na innych. I oto znowu wrócił do Berlina.

Stowarzyszenie „Opieka dla pozbawionych pracy" urządza w Berlinie w dwu miejscach co niedziela (od września do kwietnia) nabożeństwa dla bezdomnych i ofiaruje im przy téj okazyi śniadanie. Podczas ciężkiéj zimy liczba takich gości wynosi w obu kościołach od 500 do 700 każdorazowo. W r. 1892/3 około 1,200 osób korzystało z téj pomocy. Kiedy w ciemną godzinę poranku niedzielnego stanął Wilhelm przed drzwiami takiego kościoła, zastał tam już licznie zgromadzoną publiczność. O ósméj rozpoczyna się uroczystość chorałem. Potém odmawia się modlitwy przed jedzeniem, następuje śniadanie. Przemowa pastora i kilka pieśni kościelnych kończą ją. Wszystko razem trwa $1^1/_2$ godziny. Gdy już mieli wychodzić, Wilhelm usłyszał, jak jeden z towarzyszących pastorowi młodych ludzi zapowiedział, że kto chce korzystać z rady, niechaj zajdzie następnego dnia do Stowarzyszenia Ewangelickiego. Z polecenia tegoż otrzymuje nasz biedak robotę na kolonii robotniczéj. Ta mieści się na przestrzeni kilku morgów; może dać schronienie 360 robotnikom, a od czasu swego powstania (od r. 1883) przyjęła ich około 4,000. W całém państwie Niemieckiém istnieje takich kolonii 25, które zawierają 3,044 miejsca a ofiarowały za przeciąg dziesięciolecia (do połowy roku 1893) 63,000 ludzi czasowe zajęcie. Koloniści nie zawsze, albo raczéj bardzo rzadko bywają zadowoleni z pobytu tamże. Praca jest ciężka, a wynagrodzenie tak małe, iż zmuszeni płacić za mieszkanie, wychodzą bez grosza w kieszeni. Tylko silni pod względem moralnym mogą wytrzymać tę ciągłą karność i nieustający przymus pracy. Zbiéra się tutaj z wyboru własnego tylko najlepsza, najmniéj zepsuta cząstka bezdomnych.

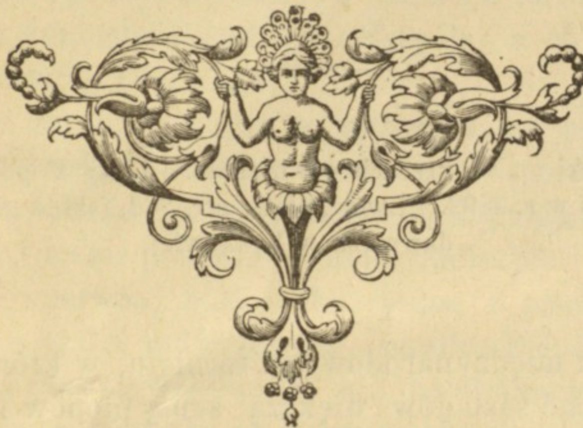
Przebiegliśmy o ile można było najtreściwiéj, całą drogę, jaką kroczy bezdomny od chwili, kiedy los wytrąci go ze zwykłéj kolei życiowéj, aż do dnia, kiedy już do żadnéj pracy okazać się może niezdolnym. Mniejsza wszakże o to, czy i że „Wilhelm" pana Liebich'a okazuje się względnie idealnym człowiekiem, któremu nie wyczerpany zasób wielu uczuć moralnych nie pozwala po półrocznéj walce uledz zepsuciu. Chodziło tu o „przedmiot" do badania, do eksperymentów, o *ein Versuchsthier*, na którymby wiwisekcyą wykonywać można długo, a bezkarnie. Wilhelmowi każe autor wrócić do rodziny, która go przyjmuje po dawnemu na swe miłujące łono, do poprzedniego majstra,

który zapomniał o wszystkiém, co było i t. d. Jestto więc wypadek najzupełniéj wyjątkowy i nie dla tego tylko ostatniego powodu: jakaż nieprzebrana mnogość jemu podobnych nędzarzy upada nie przeszedłszy nawet tak dalekiéj drogi--kędyś po jéj środku, nie wyczerpawszy nawet połowy sposobów, któremi tegoczesne społeczeństwo stara się zatkać swoje cuchnące rany.

Pan Liebich w ostatnim rozdziale, profesor Wagner w „Przedmowie"—dają trochę teoretycznego rozumowania. P. Wagner zwraca uwagę na niepokonaną trudność znalezienia warunków możliwego istnienia dla 500 — 600 tysięcy ludzi, o których zwiększa się ludność corocznie Niemiec a pośród których piąta część zaledwie emigruje. P. Liebich i w swéj teoryi wychodzi z praktycznego doświadczenia. Około Bożego Narodzenia — mówi — w styczniu i lutym zbiera się najwięcéj warunków, powodujących brak pracy: mularze nie mają po większéj części roboty; w dziedzinie towarów bławatnych, odzieży, fabryk krawieckich „sezon" przypada na jesień do Bożego Narodzenia i na wiosenne miesiące od marca do czerwca. Na resztę czasu przemysły te nie dają zajęcia znacznéj części swych pracowników. Przed dwunastu laty stowarzyszenie tokarzy podjęło badanie które wykazało, że na 230 czeladników 103 było po 7½ tygodnia w roku bez zajęcia; czyni to (według płacy ówczesnéj) 140,000 marek rocznie. Jestto jeden tylko wypadek nie charakteryzujący nawet całkowitéj grozy położenia. Ilość żebraków, znajdujących „zarobek" w Berlinie wynosi sześć do dziesięciu tysięcy. Obliczono, że każdy zbiéra dziennie 1,30 mar., co czyni przeszło milion marek rocznie! Ilu jest w Niemczech robotników bez pracy? Dawniéj obliczano tę cyfrę na 200 — 300 tysięcy; jestto cyfra wygórowana, gdyż dyrektor towarzystwa przytułków na podstawie spisu jednorazowego obliczył tę cyfrę na 64,000; nie popełnimy jednak błędu, jeżeli minimalną liczbę bezdomnych określimy, jako tłum stutysięczny, mnóstwo bowiem kategoryi tych ludzi nie weszło do statystyki urzędowéj. Ta sama statystyka obliczyła, że przeciętny dochód żebraka wynosi około 2 marek dziennie, co w razie zamiany na podatek dobrowolny dałoby rocznie 73 miliony marek. P. Liebich — a oczywiście nie pierwszy — twierdzi, że wobec tych cyfr państwo nie czyni tutaj, co uczyniéby było w możności. Są rozległe płaszczyzny moczarów i piasku, które można uczynić dostępnemi dla racyonalnéj kultury. Do téj pracy dałoby się zaprządz tych, którzy żadnéj innéj znaleźć nie są w stanie. Ziemia, doprowadzona do stanu uprawnego, może być rozdawana kolonistom za pewną płacę: wytworzy więc państwo i źródło zarobku dla mas i dochodu dla siebie. Jestto

projekt tylokrotnie podnoszony, a w parlamencie niemieckim odnawiany co zimę, że zdawałoby się, jakoby już nie mógł mieć przeciwników. Państwo atoli nic nie czyni. Dlaczego? to kwestya inna, któréj tu roztrząsać nie będziemy. Wiąże się ona organicznie z innemi zasadniczemi rysami układu społeczeństwa dzisiejszego.

Zen. Por.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Dr. Józef Siemiradzki. „Na kresach cywilizacyi. Listy z podróży po Ameryce południowéj, odbytéj w r. 1892.“ Lwów, 1896, str. 263, (skład główny: Spółka wydawnicza w Krakowie).

„W wielkim międzynarodowym turnieju, w którym naród każdy pragnie prześcignąć sąsiadów większą sumą plonów naukowych, zdobytych w krajach bądź całkowicie nieznanych, bądź z rozmaitych powodów trudno dostępnych, naród nasz nie zajmuje wybitnego miejsca, a nasza literatura podróżnicza, po odtrąceniu licznych felietonowych wrażeń turystów po krajach cywilizowanych, jest nader uboga.” Tak się wyraża dr. Józef Siemiradzki w ostatniém z trzech dzieł swoich, wydanych w ciągu lat dwóch, a mianowicie: „Z Warszawy do równika” (wyd. drugie, 1895), „Za morze”, szkice z wydzieczki do Brazylii (1895) i „Na kresach cywilizacyi.” Odcień lekceważenia, dający się zauważyć w słowach: „wrażenia felietonowe” — nie jest zupełnie usprawiedliwiony, najpierw dla tego, że pomienione dzieła d-ra Siemiradzkiego złożyły się w większéj części z „felietonów”, ogłaszanych przez autora w „Czasie”, „Gazecie lwowskiéj”, „Wieku”, „Kraju” i t. d. Powtóre, owe „wrażenia” przeważają w nich tak dalece nad tém, co zwykle zaliczamy do kategoryi badań, poszukiwań umiejętnych, że trzeba było, aby sam autor wytknął nam cząstkę swych trudów, mogącą rościć prawo do tytułu „zdobyczy naukowéj.” Przebywszy setki mil stepów, „nietkniętych stopą uczonych europejskich”, nie zmierzone

obszary słonéj pustyni patagońskiéj i wiecznie zielonéj Araukanii, — stepy, lasy i góry „całkowicie nieznane uczonemu światu", dr. Siemiradzki, na czele tych trofeów podróżniczych umieszcza „odkrycie k i l- k u nieznanych a potężnych pasem górskich, rzek i jezior." Nadmienia przytém, że w pomnikowém,—niezbyt wszakże znaném u nas dziele Eizeusza Reclus „La Terre", okolice zwiedzone przez naszego podróżnika opracowane zostały według jego notat i spostrzeżeń, przesłanych geografowi francuskiemu na jego życzenie; nadto, dokładny szkic drogi przebytéj przez d-ra Siemiradzkiego, jako objaśnienie do miejscowości cytowanych w tekscie książki „N a k r e s a c h c y w i l i z a c y i," znajduje się w XL-m tomie *Geographische Mittheilungen* Petermanna, za rok 1893. Owóż, po uwzględnieniu nawet tych wskazówek, najbardziéj światły i roztropny czytelnik nie zdołałby, pomimo największéj dobréj woli i pracy, odróżnić w dziele d-ra Siemiradzkiego: c o w niém posiada doniosłość istotnego odkrycia, a co jest tylko „wrażeniem felietonowem"... Dla czego?

Pytanie to ma swoją wagę w sprawozdaniu powołaném wyświetlać kwestye ogółowi nie zupełnie dostępne lub sporne, przeto pozwalamy sobie zilustrować je na przykładzie dostępniejszym, znacznie bliższym od stepów i jezior południowo-amerykańskich.

W końcu czerwca, bież. roku, jeden z piśmienników naszych zwiedził krainę niegdyś jadźwingską,—okolice Bielska, dawniéj Podlaskim zwanego, obecnie cieszącego się kwalifikacyą miasta powiatowego w guberni grodzieńskiéj (w dawnym obwodzie Białostockim). Na wschód od Bielska, wśród niw i łąk należących do obywateli miasta, w poletku czyli zmianie zwanéj Płaucze, (*vel* Płowucze, „pływające", „zapłynięte"), znajduje się nizina błotna, pastwiskowa „Kiszczyno." Miano należy z pewnością do starożytnych, gdyż w pomiarach z XVI-go stulecia, między innemi Dybowskiego, brzmi ono co do litery identycznie z dziś używaném: w Kiszczynie, na Kiszczynie, przy Kiszczynie. Dybowski nie wspomina wszakże o K o z a r s k i é j krynicy, którą na Kiszczynie wymieniają akta grodzkie z XVII i XVIII-go stulecia. W wysłowieniu dzisiejszém, krynica „Kozarska" przeobraziła się na „Kozacką",—a liche, domiérające na gruncie w porze posuchy źródełko zaledwie spostrzedz się daje na łączce, należącéj dawniéj do znanego w okolicach archeologa ś. p. Jana Tokarzewicza, dziś, do jego syna Leona. Legendę przywiązaną do owego źródełka na Kiszczynie, którą rzeczony piśmiennik słyszał w dzieciństwie (przed 45 laty) od ludzi starych, przypomniano mu obecnie — w innych warstwach ludności i w innych okolicznościach, w dosłowném, niezmąconém powtórzeniu. Oto jest: „Resztki Jadźwingów, jako społeczności niezawisłéj,

dochowały się do czasów Witołda, który chcąc z nimi skończyć, sprowadził przeciwko nim Tatarów („kozarów”). Harce i boje, przed ostateczną porażką Jaćwieży odbywały się w okolicach Bielska. Kozary następowali od północy, szeroko roztoczeni w podjazdach od istniejącego podziśdzień uroczyska Piliki do istniejących również okopów przy wsiach Rajsk i Haćki; Jadźwingi, cofając się ku południowi, ku puszczy białowieskiéj opiérali się wśród błock Białéj (wpadającéj do Orlanki), od miejscowości gdzie dziś młyn i pole bielskie Klementynowo, do dworu i osady położonéj pod samym Bielskiém, Hołowiesk (miejsce późniejszego pobytu kniazia Kurbskiego), i do wsi daléj na południe posuniętéj, Hołody. Jedno ze starć nastąpiło na Kiszczynie. Jadźwingi byli w rozsypce. Opiérał się tylko jeszcze jakiś z ich wodzów. Ku niemu to poskoczył wódz kozarski — i nagle się potknął wśród bagnisk... Utonął (z koniem czy sam—niewiadomo) w k r y n i c y, gdzie dziś do kostek-byś nie uwiązł. Legenda dodaje, że śmierć wodza kozarskiego nie polepszyła sprawy Jadźwingów. Cofnęli się w głąb’ mateczników białowieskich, w gromadkach luźnych, błąkających się czas jakiś bez ogólniejszego związku. Usiłowali jednakże oryentować się w puszczy z pomocą wysokiego stosu drzew, wzniesionego na wzgórzu i uwieńczonego jakąś kleconką błyszczącą („białą”); przedmiot ten błyszczący, widzialnym był zewsząd z wierzchołków drzew roślejszych—a dostał się on zwycięzcom, wraz z nazwą „Białowieży” dopiéro po doszczętném wyginięciu Jadźwingów.

Zróbmy teraz przypuszczenie: legenda powyższa zjawia się w druku po raz pierwszy. Ś. p. Józef Jaroszewicz utrzymywał wprawdzie (około r. 1858), że Kiszczyno i okolice Klementynowa, Rajska, Hołodów i t. d. zwiedzał w celach archeologicznych pewien inżynier jeneralnego sztabu (Borowski czy Bobrowski) a korespondencyę z nim w tym przedmiocie prowadził prof. uniwersytetu moskiewskiego Bielajew. Bardzo zatém być może, że i podanie o krynicy kozarskiéj ukazało się gdzieś, kiedyś, w jakimś zbiorze pamiętników i zapisek, — a i sam Jaroszewicz mógł o niéj wspomnieć w drugiéj edycyi pierwszego tomu „Obrazu Litwy”, którego rękopism, po zgonie ś. p. Skimborowicza, znajduje się dziś w nieznaném posiadaniu. Cóżkolwiek bądź, dobra połowa naszych historyków i starożytników nie zasłyszało prawdopodobnie dotąd o owéj krynicy... Posuńmy się więc daléj w hypotezie: Ukazuje się oto w obiegu publicznym historya Jadźwingów, napisana na podstawie dokumentów oddawna u nas znanych i używanych (kroniki Bychowca, Stryjkowskiego, Duisburga, Gallusa, mistrza Wincentego, i t. d.), a skonfrontowanych z niewyzyskaną podziśdzień i krytycznie nie obrobioną kroniką wołyńską, tudzież z rezultatami naj-

świeższych roztrząsań lub domysłów na tém polu, np. Antonowicza, Daszkiewicza, Siögrena i t. p. W historyi téj jest mowa o Holadach (z Hołodów i Hołowieska), utożsamionych z Ptolemeuszowemi „*Galindae et Sudeni*" (ks. III, rozdz. 5) i zaliczonych do Jadźwingów, o Pokieńcach kroniki wołyńskiéj siedzących tam, gdzie dziś wieś Pokaniewo (powiat bielski, gub. grodz.); o Rajgrodzie téjże kroniki, jako synonimie okopów z pod Rajska; o Bołdykiszczach i Ołdykiszczach (z téjże jeszcze kroniki) w odniesieniu do Kiszczyna i o prastaréj rodzinie Ołdakowskich, osiadłéj w najbliższém sąsiedztwie z Kiszczynem, jako potomkach kniażków Hołodakowskich lub Holadokowskich. Wreszcie, znajdujemy w téj historyi i powołanie się na nieznaną, świéżo odkrytą krynicę kozarską z czasów Witołdowych. Alboż „odkrycie" owo mićć będzie jakąkolwiek wartość inną od téj, jaka się dla nas kryje w masie dawniéj zaznaczonych faktów i podań o Jadźwingach.? — Bynajmniéj. W nauce, w literaturze, tak samo jak i w życiu, wszystko zależy od stosunku, — a jakiż to stosunek zachodzić może pomiędzy zjawiskiem nowoprzybywającém a szeregiem zjawisk poprzednio, niegdyś i przez kogoś tam postrzeżonych, jeżeli te ostatnie stanowią szarą, nieukształtowaną, chaotyczną otchłań zdarzeń, przez specyalistów nieobrobionych i niewyklarowanych, a do świadomości ogółu przedziérających się jedynie pod postacią setki różnorodnych znaczków i brzmień, w których tylko oko i ucho, nie zaś umysł i świadomość odróżniają wodza Stekinta od przewodnika Jaszczołda, kronikę Stryjkowskiego od kroniki wołyńskiéj, Bołdykiszcza od Prywiszcza...

A skoro tak rzecz się ma z naszemi odkryciami w ziemi Jadźwingów, z którą związany jest spory kawał historyi i etnografii polskiéj, to cóż teraz i mówić o naszych odkryciach w zielonéj Araukanii lub w słonéj Patagonii?... Chwalebny to zaiste turniejowy wyścig, na którego doniosłości spostrzedz się może Petermann albo Reclus, ale w książce po polsku i dla Polaków pisanéj, sławna „gorzka studnia" (str. 70), znaleziona na stepie argentyńskim (dajmy na to po raz pierwszy od czasów Kolumba), nie wywiera ani na włos większego efektu od kozarskiéj krynicy, odszukanéj na Kiszczynie podlaskiém. We wszelkich wycieczkach, bliskich czy dalekich, zaantlantyckich czy zabużańskich, *great attraction* dla czytelnictwa, nietylko u nas, lecz w świecie całym, dotychczas składa się, nietyle z bogactwa nomenklatury geograficznéj (odwiecznéj czy świeżutkiéj), ile z żywego i dokładnego przedstawienia strony krajobrazowéj, obyczajowéj, etycznéj, estetycznéj i t. p. — ziem i ludów zwiédzanych. W tém tkwi niewysychające źródło przyjemności i pożytku, na tém się kształci umysł, z te-

go urasta wiedza, to stanowi najposilniejsze i najsmaczniejsze ziarno nauki. Dwie trzecie sławy Stanley'a urosło z „wrażeń felietonowych”: *jak* Levingstona odnalazł, — nie zaś, *że* go odnalazł. I właśnież wśród takiego to felietonowego kwiecia ukrył się owoc podróży d-ra Siemiradzkiego, — to jest odnalezione przez niego zielone i słone krainy w południowéj Ameryce... Owoc ten przekazujemy przyszłym naszym wydawnictwom w rodzaju „*La Terre*” i „*Mittheilungen*”, sami zaś pozwalamy sobie pozostać przy kwieciu.

Sporo go w książce. Poświęciwszy kilka miesięcy obejrzeniu kolonii rolniczych w południowéj Brazylii, autor wypłynął w d. 30-ym sierpnia 1891 r. na „mętne” wody La Platy i niebawem dotarł do stolicy Urugwaju, Montevideo, wyglądającéj zupełnie po europejsku: „ulice czyste, szerokie, porządnie budowane, piękne place i skwery; ludność biała, o typie czysto hiszpańskim; murzynów i mulatów bardzo mało.” Mamy następnie, płynąc daléj „rozległą, chociaż bynajmniéj nie piękną panoramę Buenos-Aires”, o wąskich ulicach i „nieskończonéj sieci tramwajów, należących do kilku rywalizujących z sobą towarzystw”. Ze spostrzeżeń w tém mieście zaznaczmy, że obywatele Argentyny, „synowie kraju” oddani są całkiem polityce, to jest walce o dostęp do kasy narodowéj i nie raczą zajmować się takiemi błahostkami, jak przemysł i handel, które pozostawione są w rękach żywiołów obcych, cudzoziemców; notujemy nadto, upośledzenie kobiéty obok uroczych jéj wdzięków, zupełny brak życia towarzyskiego obok wielu obyczajów wschodnich i wychowanie dziewcząt, polegające jedynie „na bębnieniu na fortepianie i francuskiéj konwersacyi”. A ponieważ podług przyjętego zwyczaju, mąż powinien utrzymywać nietylko rodzinę własną, lecz i wszystkich krewnych żony rodzaju żeńskiego, nie posiadających podpory męskiéj, przeto np. pułkownik Chodasiewicz, ożeniony z argentynką, ma przy sobie aż dziesięć takich wybębniaczek (str. 6—9). Kolonię polską, oprócz wspomnianego Chodasiewicza i p. Michała Laudańskiego, właściciela jednego z większych składów bielizny, stanowili w r. 1891 w Buenos Aires między innymi pp.: dr. Sudnik, profesor uniwersytetu, Ludwik Ganot prawnik, Michał Górski dyrektor pensyi żeńskiéj, dr. Jasiński lekarz, Wiktor Wojniłowicz ogrodnik, Rechniewski inżynier, Michał Szelągowski majster krawiecki, pani Nowalewska z córką i panna Zofia Cybulska, nauczycielka muzyki (12). O półtory godziny jazdy od B. Aires leży nowo-wybudowana stolica stanu tego imienia—Laplata, grób firmy Baringów i wielu banków europejskich, które na zbytkowną tę zabawkę rzuciły miliony. Miasto wystawione w ciągu lat 8 na czystym stepie, posiada wspaniałe pałace stojące pustkami, szerokie ulice, na których ruchu nie ma,—handel

stanął, ludność topnieje (23). Wyjazd 13 listopada na stepy, malowniczy ich opis, kolonie żydowskie bar. Hirscha, w których żydzi polscy stanowią dla administracyi hirschowskiéj najcięższą plagę, gdyż oprócz jednostek inteligentnych, przyznających się do narodowości polskiéj, oraz kilku rzemieślników, reszta handluje wyłącznie „żywym towarem i należy do wstrętnéj szajki, któréj pojedyńczych agentów łapie niekiedy u nas policya" (36); późniéj kolej na pustyni, lasy mimozowe, pierwsze zetknięcie się z czerwonoskórymi, — podniecają ciekawość, nie nużąc i nie nękając zbytnio uwagi. Idą daléj i powtarzają się monotonnie noclegi i dniówki w nieznanych górach lub wąwozach z pocztem nazw topograficznych i hydrograficznych: Marako, Lihue-Kalel, Urre-Lafken, Kura-ko... Wyszczególnienie flory niektórych okolic wygląda jak botanika Linneusza. Doznajemy niejakiéj ulgi i wypoczynku nie wcześniéj aż w dyliżansie patagońskim i podczas świąt Bożego Narodzenia spędzonych w Choele-Choel (83). Tu podróżnika opuszczają dotychczasowi jego towarzysze pp. Łaźniewski i Hempel, udający się do Chili, ażeby stamtąd przez Buenos-Aires powrócić do kraju (89). Formuje się nowa karawana do jeziora Nahuel-Huapi przez dolinę Limay, — „szeroką, obfitują w wodę, zamieszkaną przez kilku owczarzy baskijskich" (100). W drodze po przez przedgórza kordylierskie, mamy „niemiłe spotkanie" — polegające na powitaniu trzema strzałami jeźdźca-złodzieja, skradającego się nad ranem do koni karawany (104). Chów bydła w Kordylierach opowiedziany szczegółowo i zajmująco (112—115), równie jak i gaj w kotlinie rzeki Traful, do któréj prowadzi droga „wszędzie dobra, po któréj galopować można swobodnie, wśród widoków co chwila nowych, dzikich i malowniczych, pozbawionych jednak wszelkiego niemal życia: najdziwaczniéj poszarpane wulkaniczne skały w kształcie słupów, zwalisk i zamków, uwieńczonych u szczytów ząbkowaną koronką cienkich iglic trachitowych, lub téż rozpadające się w olbrzymie, jakby ręką ludzką wyciosane kolumny i baszty; są one niemal zupełnie nagie, zrzadka tylko pojedyńczemi cyprysami urozmaicone, a różowo-fioletowa ich barwa dziwnie odbija od lazuru pogodnego nieba, śnieżnych płatów na szczytach i zielonéj murawy doliny, usianéj kępami mirtów i buków" (123). Piękną jest również w Kordylierach patagońskich dolina Maipu, wzdłuż strumyka Huecziu-Ehueu, płynącego pośród wysokich śniegiem przyprószonych szczytów; jest ona wyżłobiona pomiędzy pionowemi niemal urwiskami granitowemi, a zasiana gajami mirtów, jabłoni, laurów, porastających na długiéj, mokréj łące z wybornemi pastwiskami, stadami klaczy i tabunami owiec. W pobliżu znajduje się siedziba kacyka tych stron „Czarnego Złodzieja". Widz —

powiada nasz podróżnik — zdaje się być naraz przeniesiony gdzieś w najbardziéj malownicze zakątki Alp włoskich (135). Pod tytułem „Nieco etnografii" podaje autor zajmującą charakterystykę dwu różnych typów Indyan, rozrzuconych w Ameryce Południowéj od międzymorza Panamskiego do Patagonii, od oceanu Wielkiego do Atlantyku; kraniologowie znaléść tu mogą wyborny temat do polemiki i popisu (140—142). Wspinając się ciągle na szczyt Kordylierów, docieramy do granicy chilijskiéj i do źródeł rzeki Bio-Bio, „do niedawna jeszcze z powodu Indyan niedostępnych"; tu autor zaznacza, że jest pierwszym europejczykiem, który swą stopę na tych skałach postawił (163). W stolicy Chili, Santiago, najpilniejszą rzeczą do oglądania, po krótkiéj wzmiance ogólnéj, jest naturalnie spuścizna domeykowska. „Domek Domeyków na Calle Cuetto wygląda od ulicy jak szary mur klasztorny, o gęsto okratowanych oknach. Zabudowany w obszerny kwadrat, mieści w środku ogród, którego wszystkie drzewa ś. p. Ignacy własnoręcznie zasadził,.. W salonie pełno przedmiotów pamiątkowych: na sofie rzucona poduszka z herbem wśród łacińskiego napisu *si Deus nobiscum, quis contra nos*, na szafie marmurowe popiersia kilku generałów, na ścianie, jako pamiątka z ostatniego pobytu w kraju, wśród cennego zbioru monet, zatłuszczony i podarty papiérek rublowy nowego wzoru... Wszystko to pozostało jak było za życia znakomitego uczonego polskiego, dom bowiem zamieszkuje obecnie syn jego i następca na katedrze uniwersyteckiéj, prof. Kazimierz Domeyko, nie rozumiejący już, pomimo polskiego imienia, po polsku" (176). Wyjechawszy z Santiago 28 kwietnia 1892 r., dr. Siemiradzki w kilka dni był już na przełęczy kordylierskiéj; pociągi od San Felipe de los Andes nie szły daléj, przeprawiać się wypadło na mułach. Na stacyi Salto del Saldado „jakiś Francuz przemyślny, posiadający w dodatku młodą i ładną żonę, urządził polową restauracyę; na prostych stołach skleconych z desek, pod dachem z zielonych gałęzi, zastawiono dla nas wcale dobre śniadanie po 10 franków od osoby" (180). Zresztą, pełno w tych stronach Francuzów i Szwajcarów, zarabiających suto, uprzejmych wielce i wracających po kilkunastu leciech zabiegów do swych ojczystych siedzib, bez wielkiéj być może chwały, lecz z grubym trzosem gotówki na starość... Jesteśmy ponownie w Argentynie, na wodach La-Platy, lecz w innéj jéj stronie, w prowincyach Santa Fe i Entre Rios, skąd podróżnik nasz przedsiębierze epizodyczną wycieczkę do republiki Paragwajskiéj, „graniczącéj bezpośrednio z brazylijską prowincyą Parana, dokąd się dzisiaj emigracya polska kieruje" (187). Nie dojeżdżając do Parana, La-Plata, „szeroka jak cztery Wisły pod Gdańskiem razem złożyć, ma brzegi wciąż płaskie; coraz częściéj ukazują się

gaiki nad brzegiem wody i obok wierzb zaczynają się pojawiać cenione jako roślina garbarska drzewa *quebracho*; wogóle, drzewa karłowate i koszlawe"... Kolonie w Parona rosną wszędzie jak grzyby po deszczu i ludzie do nich się walą jak dészcz w jesieni; osadnikami przeważnie są Włosi i Szwajcarowie; na gruntach kolonii Felicya i Emilia leżą najstarsze osadnictwa żydowskie w Argentynie, Moiseville i Aaronville (193). Na terytoryum właściwie paragwajskiém zmienia się w zupełności pejzaż: „wszystko tu inne niż w sąsiedniéj Argentynie: krajobraz leśny i falisty, architektura domów odbrębna, zamiast skleconych z błota szałasów, porządne białe domki, kryte czerwoną dachówką, dachy śpiczaste—wskazówka wilgotnego klimatu niemylna, stare kościołki pojezuickie i ruiny osad hiszpańskich, — zupełnie odmienny typ ludności, biały ubiór kobiét, odmienne zwyczaje" (200). Lubujemy się w głębi Paragwaju stacyą klimatyczną w Villa-Rica, „uczęszczaną nawet przez chorych z Europy." Ludność złożona przeważnie z potomków Basków pirenejskich. Kobiéty prześliczne. Oto „dzień świąteczny, wieczór cichy i pogodny, całe towarzystwo miejskie używa wczasu na ulicy lub pod odkrytemi werendami domów... Położenie osady rozkoszne, widok rozległy, aromat wiecznie kwitnących gajów pomarańczowych odurza poprostu, a o dojrzałe pomarańcze zawadzamy głowami, jadąc po ulicy... Twarzyczki niewieście wprost rajskie: jedną jakąś blondynkę o ciemnych oczach, wyglądającą oknem, będę pamiętał długo—nie widziałem bowiem nigdy podobnego wcielenia Madonny murillowskiéj" (232)... I nagle—zakończmy ten spis rzeczy, przeskakując z Villa-Rica do Genui... „Zabawiwszy tu zaledwie dni kilka, gnany tęsknotą za swoimi, opuściłem mórz królowę, a kuryer malowniczą drogą przez Medyolan i Pontebę, uniósł mię na północ, tam daleko, gdzie świat inny, lud odmienny, gdzie dusza i serce moje przyrosły. Przebyta podróż, niebezpieczeństwa i trudy, zdawały się snem jakimś, gdy konduktor zawołał na stacyi: D z i e d z i t z , a przed nami błysnęła srebrna wstęga królowéj rzek naszych" (263).

Trzebaby zaiste być — nie recenzentem, lecz nadwornym lub kolegialnym registratorem, ażeby streściwszy książkę odznaczającą się tylu zaletami osnowy i stylu, stanowiącą tak cenny przyczynek do literatury naszéj podróżniczéj, nie wskazać, w czém ona szwankuje. Naczelną jéj wadą: genezyjna forma sprawozdawcza, dziennikarska. Notatki spisywane dzień po dniu, a choćby nawet z tygodnia na tydzień i natychmiast drukowane, są późniéj nader trudne do scalenia i wyrównania na dzieło jednorodne, dobrze uplanowane. Przygoda doraźna rozbija tu raz po raz celowość ogólną. Wyruszyliśmy np. pociągiem rannym kolei warsz.-petersburskiéj. Z okna wagonu, na stacyi Czyżew,

odsłania się przed nami, we wspaniałém oświetleniu przedpołudniowego słońca, które jest za nami, jedna z najpyszniejszych gier kolorytowych: białéj fary i białych domków, otoczonych, przeplecionych wieńcami zieleni. Rzucamy pociąg, zapominamy o głównéj marszrucie, zachwycamy się widokiem, piszemy olbrzymią korespondencyę estetyczną i konno dojeżdżamy do Szepietowa, gdzie nas uderza zjawisko niebywałe prawie w kraju naszym: prześliczna droga bita do Bielska i puszczy białowieskiéj. W mgnieniu oka powstaje nam w głowie traktat o naszych komunikacyach strategicznych i handlowych... Jedziemy szosą. Nigdzie żywego ducha... W Brańsku wpadamy na Kumatową mogiłę. Piszemy,—a stąd, naturalném następstwém kojarzenia się wyobrażeń; nastręcza się nam stary gościniec do Drohiczyna, w którym odgrzebujemy fundamenta świątyni, gdzie pod jesień 1253 r. Daniel Romanowicz, jeden z najgłośniejszych pogromców Jaćwieży, ukoronowany został na pierwszego króla ruskiego (zob. prof. N. Daszkiewicza „Pierwaja unia Jugo-zapadnawo kraja s katoliczestwom", Kijów, 1884, str. 34)... Rysujemy mapkę, opisujemy miejscowość... A tymczasem główne zadanie wycieczki: odszukanie k o z a r s k i é j k r y n i c y i pole bitew przy Rajsku, Klementynowie, Hołowiesku i Hołodach, usuwa się po za widnokrąg. Chwytamy wreszcie za nić przerwanego zamiaru, ale akurat w chwili, kiedy gazeta, w któréj, rozpoczęliśmy naszą relacyę, oznajmia, że nie ma już miejsca na ciąg dalszy, z powodu za mówionych ośmiu powieści i nadesłanych czternastu nowel... Pragniemy wszakże wyłatać cały materyał, tak ogłoszony jak i rękopiśmienny—do wydania książkowego, ale oto jedyna firma księgarska, mogąca podjąć się nakładu, zawiadamia, że wpierw zniewolona jest przedrukować 25 romansów oddawna zakupionych. Oczywiście tworzy się stąd kasza, przeciwko któréj użala się dziś—jak się zdaje— i sam także dr. Siemiradzki, powiadając w przedmowie, że doznał zawodu ze strony jednego z wielkich naszych domów wydawniczych, zawód zaś nie tylko wpłynął na opóźnienie wyjścia książki, ale też pozbawił ją pewnéj części materyału ilustracyjnego,—przedewszystkiém prawdopodobnie,—mapki... W takich to obrotach i opałach wierci się nasza publicystyka i nasz ruch księgarski!

***



NEKROLOGIA.

† Ksiądz **Roch Filochowski**, urodzony we wsi Choromany Wielkie (w pow. Ostrołęckim) w roku 1838-ym (16 sierpnia), nauki odbywał w gimnazyum łomżyńskiém, w seminaryum pułtuskiém i w akademii duchownéj warszawskiéj, którą ukończył w roku 1864-ym; w hierarchii kościelnéj sprawował rozmaite a coraz wyższe obowiązki w dyecezyach płockiéj, kujawsko-kaliskiéj i warszawskiéj, w końcu był prałatem kapituły i sędzią surrogatem tutejszego konsystorza. Działał pożytecznie na polu piśmiennictwa ludowego, wydając książki treści religijno-moralnéj: „Pielgrzym nauczycielem", „Ciekawe opowiadania", „O czytaniu biblii", „Historya święta", „Katechizm", „Nauki niedzielne" i t. d. W rękopisach pozostawił wspomnienia swoje i poezye. Zmarł nagle 21-go sierpnia r. b. w rodzinnéj parafii Piski.

† Dr. **Antoni Rosner**, urodzony w Tarnowie 1831 r., ukończywszy gimnazyum w témże mieście, udał się do uniwersytetu wiedeńskiego, w którym po wysłuchaniu dwuletniego kursu filozoficznego, wstąpił na fakultet medyczny, a w r. 1855 otrzymał stopień doktora. Następnie praktykował w szpitalu powszechnym wiedeńskim i klinikach znakomitych profesorów. W r. 1862 przeniósł się do Krakowa i habilitował w uniwersytecie Jagiellońskim na docenta chorób skórnych i wenerycznych. Znakomite zdolności, jakie niebawem wykazał, sprawiły, że w pięć lat potém został profesorem nadzwyczajnym, wreszcie mianowano go profesorem zwyczajnym w r. 1887 i dyrektorem kliniki chorób skórnych. Oprócz wielu prac pomniejszych, drukowanych w „Przeglądzie lekarskim", wydał „*Ergebnisse der Impfung mit syphilitischen Secreten*" (Wiedeń, 1862), „Krótki opis nieoznaczonéj wysypki pęcherzykowéj", „Uwagi nad znaczeniem przypadków późnéj kiły" (1868), „O kile w płucach ze stanowiska klinicznego". Nagły zgon d-ra A. Rosnera nastąpił w dniu 24 sierpnia.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

OGŁOSZENIA.



